PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143

ROK TRZYDZIESTY CZWARTY. — TOM ~~CXXXVI~~ 134.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1917.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1917.

cach katolickich. Ostatni wiec katolicki, jaki u nas był, zjazd skargowski, odbywał się pod jego przewodnictwem. Bliżej jednak zetknąłem się z nim dopiero w ostatnim roku jego życia, gdy wskutek zawieruchy wojennej wypadło mi przebyć kilka miesięcy pod jego dachem, w pałacu kopaszewskim.

Opowiadać bieg tego życia nie jest moim zamiarem. Był posłem do parlamentu berlińskiego i członkiem Izby panów, był gospodarzem i zasłużonym obywatelem, który nigdy nie usuwał się od pracy dla kraju — był przedewszystkiem czynny w rozwoju życia katolickiego. Każdy z tych tytułów byłby w biografii tytułem sporego rozdziału.

Jeden z tych tytułów, przy zbliżającej się rocznicy jego śmierci, domaga się wspomnienia, zwłaszcza, że ten tytuł stanowił fizyognomię duchową człowieka, a zarazem skarbiec jego duszy i skarb społeczeństwa, do którego należał.

Tytuł ten, że był katolikiem w pełnem tego słowa znaczeniu.

Nie będę próbował odtwarzać, jak ten duch katolicyzmu w życiu tego człowieka się kształtował, jakie przechodził etapy i jakie stopniowe wywoływał przemiany. Mogę mówić tylko o tem, na co własnemi oczyma patrzyłem, a więc o ostatnim roku życia, gdzie przemiany już były skończone i zaistniała przedziwna równowaga między przymiotami natury, a działaniem nadprzyrodzonem. Pociągające ludzkie przymioty, dobroć, szlachetność, naturalność, były jakby artystycznie wycezylowaną alabastrową urną, którą ustawicznie rozpromieniał blask ukrytego wewnątrz światła wiary.

Sharmonizowanie to świata przyrodzonego i nadprzyrodzonego promieniowało wszędy, nietylko w życiu prywatnem, ale i w życiu publicznem, nietylko we własnem postępowaniu, ale i w charakterze całej rodziny. Od pierwszego dnia pobytu w pałacu kopaszewskim odczuwałem to na każdym kroku. Pani domu, dodająca siły i powagi temu charakterowi, córka, oddana cała posłudze chorych we wsi i łagodzeniu nędzy bliźnich — wszędy duch ofiarności, chrześcijańskiej miłości bliźniego i życia wiary. Cały dom codziennie na Mszy świętej i na nabożeństwie wieczornem, bardzo często u Sakramentów świętych. Siła ta oddziaływania szła dalej, przykład dworu działał na całą wieś. Milutka kaplica, budowana zaraz po upadku Polski, otulona staremi drzewami parku, nad uroczym stawem, była codziennym punktem zbornym wsi.

Co więcej. Cała dystynkcya rodowa, ton i kultura domu miały tę najwyższą miarę, iż odczuwało się, że jedyną ich podstawą i pobudką

jest tylko chrześcijańska cnota. Żadnych sztucznych wyodrębnian się, żadnych sposobów i sposobików, jakimi małe domy szlacheckie usiłują nadstawić miarę. Prostota pana domu i prostota całego domu była jedną z największych ozdób domu kopaszewskiego.

Czcigodny starzec pozwalał wglądnąć w głąb swoich katolickich przekonań i uczuć i tych wspomnień życia, jakie się z działalnością jego katolicką łączyły. Obdarzony był niezwykłym darem opowiadania; każdy ważniejszy szczegół przeszłości zamienił się w tem opowiadaniu w prześliczną nowelę. W wieczór zimowy, zwłaszcza kiedy za oknem huczała śnieżyca, lubiał siadać przy ciepłym piecu i opowiadał.

Lubiał wspominać o pierwszem w życiu widzeniu papieża. Był wtedy małym chłopczykiem, prowadzonym za rękę przez ojca swego, jenerała, na audyencyę do Grzegorza XVI. Grzegorz XVI przycisnął dziecko do piersi i posadził na kolanach. — Później bywał w Rzymie często i z każdym ze współczesnych mu papieży łączyły go bliższe stosunki. W tym zaś stosunku do Rzymu i papieża było w czcigodnym starcu coś niezwykle głębokiego, co rdzeń katolicki stanowi. Papież to nie był dla niego tylko najwyższy dostojnik hierarchii katolickiej, zewnętrzna głowa Kościoła, to był widzialny Chrystus, w ten sposób Kościołem rządzący, to było niegasnące światło wiary, żywy pomost między niebem a ziemią, coś, co w samą istotę religii i serca katolickiego wnika. Trzeba było widzieć rozjaśnione błękitne oczy starca, gdy o tem mówił.

Sam miał coś w sobie, za co możnaby go nazwać świeckim papieżem poznańskiej dzielnicy. Gdy prądy antykatolickie zaczęły się zjawiać, zastawiał się za swoją sprawę z natężeniem wszystkich sił, słowem i piórem, gdzie mógł i jak mógł, bez żadnego ludzkiego względu. Gdy wybuchnął Kulturkampf, stał w pierwszym szeregu obrońców praw Kościoła; w swoim domu, w Kopaszewie, bez względu na narażanie się rządowi, urządzał zjazdy księży; nawet, dla podtrzymania ducha, kilkodniowe rekolekcye księży. Później nie było zjazdu katolickiego, w którymby nie brał udziału; sam niektóre zjazdy inicyował. Zapoczątkował ligę antypojedynkową, w której bezpośrednim swoim wpływem niejeden pojedynek usunął. Wzruszającą była serdeczność, z jaką wspominał zawsze o dwu swoich starych towarzyszach broni, o księdzu Kalince i księdzu Koźmianie; nic dziwnego — niejedną chwilę przepędzili społem i niejednej rzeczy wspólnemi siłami dokonali.

O wszystkiem, co do sprawy katolickiej w Polsce odnosiło się, wiedział — wszystkiemi siłami chciał jej zawsze służyć. Sam byłem

pomocnikiem jego planów w dwu dość ważnych sprawach. Ostatni, o ile wiem, zabieg jego w sprawie katolickiej był taki: Wróciłem z Pomorza, od robotników polskich, internowanych na czas wojny. Opowiadałem mu, że tylko dla braku potrzebnych papierów, bez których prawo pruskie na małżeństwo nie pozwala, powstało tam wiele dzikich małżeństw. Na drugi dzień wybrał się ze mną do biskupa wrocławskiego, ażeby pobudzić do interwencyi u pruskiego rządu, celem uzyskania wyjątkowych pozwoleń na czas wojny. Książę-biskup wrocławski obiecał wszystko uczynić, co będzie w jego mocy, ale nie miał wielkich nadziei. A jednak był skutek tego zabiegu. Gdym tej jesieni był znowu na Pomorzu, wyjątkowe pozwolenie ministerstwa pruskiego już nadeszło i liczne pary małżeńskie łączyły się u ołtarza węzłem sakramentalnym. Święte związki życia łączyły się, jakby pośmiertne błogosławieństwo, już nad grobem tego, który o dojście ich do skutku pierwszy zabiegał.

Najwyższy nakaz religii, miłość bliźniego, był mu najwyższem prawem. Nawet w wolnych chwilach, gdy pokazywał w wspaniałym parku wysokie drzewa, które sam sadził, gdy szedł z nożycami do obcinania szczepków, jakgdyby patrzył za kimś, komuby dobrze uczynić. Tu pocieszył matkę, zatroskaną o losy syna na wojnie, tam obiecał konie po lekarza, to znowu dzieciom wiejskim rozsypywał łakocic. Zawsze wesoły, uśmiechnięty, serdeczny. Ze śmiercią takich ludzi niknie jeden promień radości na ziemi.

Religia także była mu ciepłem i światłem, rozgrzewającem żywą i czynną miłość ojczyzny. Służył jej życie całe i to tak wydatnie, jak niewielu, a jak pragnął doczekać się jej wskrzeszenia! Przez ojca znał dokładnie rok 31, czasy Napoleońskie, legiony; poza sprawą katolicką to był drugi temat jego ożywionych opowiadań. Doczekał się przynajmniej nowych legionów, którym dał silny dowód swej życzliwości. Między jednymi a drugimi legionami stał się żywym pomostem, arką przymierza między dawnemi a nowszemi laty.

Ks. J. Pawelski.

Ze świata wynalazków.

Ostry niezmiernie paroksyzm wojny, jaki miota obecnie organizmem Europy, odsuwa uwagę od wielu chronicznych jego niedomagań, któremi w czasach pokojowych energicznie się zajmowano, oceniając ich doniosłość społeczną. Wśród takich ropiących i wiecznie otwartych ran społecznych najboleśniejszą jest rana wyżarta i ciągle

wyżerana przez tuberkuły. Rocznie około milion trupów[1]) i około 4 miliony ciężko rannych i inwalidów, to jest suchotników[2]), — oto straszne pokłosie tego nieprzyjaciela ludzkości, które zbiera w samej tylko Europie. To, co wojna obecna przy użyciu wytężającym techniki i wysiłku ludzkiego powaliła w ciągu lat 4-ch, to tuberkuły cicho, lecz potężnie pracując, dokonują w ciągu lat niespełna sześciu. A dodać do tego trzeba i tę uwagę, że prawie cała ludzkość, bo jak badania pokazują 95%, podlega w ciągu życia tuberkułom[3]), przyczem jednak w przeważnej liczbie wypadków ludzie nie wiedzą nawet, że zdradliwa strzała tego wroga ich zadrasnęła.

Wprawdzie wysiłkom zbiorowym medycyny i ekonomii społecznej udało się w walce z suchotami osiągnąć już pewne rezultaty pomyślne, bo jak wykazuje statystyka, liczba zgonów z suchót w ostatnich latach przedwojennych w wielu krajach ustawicznie się zmniejsza, ale słuszny jest powód do obawy, że niezmiernie utrudnione stosunki żywnościowe i wogóle warunki bytowania w ciągu lat wojennych

---

[1]) W Prusach r. 1908 umarło na gruźlicę 16.24 na 10.000 osób żyjących, w Austryi jednak (w r. 1912) 28, a na Węgrzech 36. W krajach niżej cywilizacyjnie stojących i po miastach, stosunek ten jeszcze jest gorszy. Wobec tego, że ludność Europy wynosi przeszło 452 miliony, można śmiało ocenić liczbę zgonów około milion rocznie, to zn. około 22 na 10.000.

[2]) Suchoty przeciętnie trwają czas dłuższy, przez lat kilka, zanim ofiarę swą zduszą. Mamy np. pod tym względem dokładną statystykę z 10 okręgów politycznych koło Osnabryku, z której widać, że na 1133 suchotników, będących pod opieką lekarską, w r. 1911 umarło 357, tj. 31%, a więc średnie trwanie choroby wynosiłoby prawie 3 lata.

[3]) Mosse i Tugendreich: Krankheit und soziale Lage. Monachium 1913. Przekonać się o tem można bądź przy sekcyach zwłok ludzi zmarłych na rozmaite choroby lub z powodu wypadków, bądź też korzystając z faktu, że organizmy zakażone gruźlicą oddziaływują w sposób swoisty na pewne substancye. Taką substancyą jest przedewszystkiem tuberkulina Kocha, otrzymana z bakteryi tuberkulicznych, którą bądź wstrzykuje się wprost, jak to czynił Koch, bądź używa się metody Wolff-Eisnera, w której rozcieńczony roztwór tuberkuliny wstrzykuje się do spojówki oka, bądź wreszcie posługuje się metodą Von Pirqueta, lekarza amerykańskiego. Pirquet kładzie kroplę tuberkuliny Kocha, rozpuszczonej w chlorku sodowym, na powierzchnię zeskrobanej nieco skóry i gdy osobnik zakażony jest gruźlicą, występuje na tem miejscu brodawkowaty nabieg krwisty, otoczony jasnoczerwoną plamą. W Wiedniu, gdzie gruźlica jest szczególnie częstą, bo na 10.000 osób umiera rocznie aż 72 na gruźlicę, doświadczenia Hanburgera i Montiego, którzy za pomocą reakcyi Pirqueta zbadali 509 dzieci klas biedniejszych, wykazały gruźlicę 9% u dzieci w drugim roku życia, 71 procent u dzieci w 10 roku życia a w 14 roku życia 94%. W Heidelbergu z pomiędzy dzieci w 15 roku życia znalazł Feer u 53% dodatnią reakcyę Pirqueta l. c. str. 79 i str. 559 i nas.

i powojennych znowu stworzą dla owego strasznego bakcyla dogodniejsze podłoże i dostarczą obfitszego dlań łupu. I z pewnością wśród licznych zadań hygieny społecznej stanie znowu sprawa walki z tuberkułami na miejscu naczelnem — a z nią tyle omawiany i roztrząsany związek pomiędzy tuberkułami ludzi i zwierząt.

Suchoty tak u ludzi jak u zwierząt znane były zawsze, prawdziwy pogląd jednak na istotę tej strasznej choroby dały jak wiadomo wiekopomne badania niemieckiego uczonego Roberta Kocha, który w r. 1882 wykrył w wydzielinach suchotniczych bakcyl, barwiący się w pewnych swoistych warunkach na kolor czerwony odporny przeciw kwasom i który z tego powodu dostrzedz można łatwo pod mikroskopem, jednak tylko pod silniejszem powiększeniem, gdyż długość bakcyla, posiadającego kształt laseczki, wynosi zaledwie cztery tysiączne części milimetra a szerokość ośm razy mniej. Pokazało się, że bakcyl ten może rozgościć się w każdej części naszego organizmu: jeżeli w płucach, staje się przyczyną suchot płucnych, jeżeli w kiszkach, mówimy o tuberkułach kiszek, podobnie zachorzeć na tuberkułę mogą inne organa wewnętrzne, nawet mózg i stos pacierzowy, a przed bakcylem tuberkulicznym nie jest także i skóra bezpieczną, gdyż zdolny on jest i tam się szybko mnożyć, wywołując znaną i tak okropnie na powierzchni ciała spustoszenia nieraz szerzącą chorobę, zwaną wilkiem (Lupus).

Bakcyle tuberkuliczne znajdują się także i u zwierząt, dotkniętych suchotami. A choroba ta w państwie zwierzęcem szerzy się wcale nie rzadko. U bydła rogatego znaną ona jest jako perlica, gdyż ogniska tuberkuł, zwłaszcza w opłucnej, nie miękną stale, jak u człowieka, lecz powoli wapnieją, tworząc np. w opłucnej groszkowate twarde bryłki, jakby perełki, które jednak czasami dosięgać mogą wielkości jaja kurzego, lub nawet pięści. Po bydle najłatwiej ze zwierząt domowych ulegają tuberkułom świnie, zwłaszcza gdy karmi się je nieprzegotowaną serwatką, która często zawiera bakcyle suchot, rzadziej zapadają konie, kozy, owce i koty, a jeszcze rzadziej psy. Ogromnie natomiast małą odpornością odznaczają się dzikie zwierzęta, chodowane w niewoli. Małpy, lwy, tygrysy, niedźwiedzie, szakale, pantery, jaguary, żyrafy i wielbłądy, jak to widzimy nieraz po ich wyglądzie w menażeryach i ogrodach zoologicznych, bardzo często i łatwo zapadają na tuberkuły, tylko mysz polna i mysz biała niewiele sobie robi nawet z injekcyi tuberkulicznych, natomiast bardzo wrażliwą jest świnka morska. Gdy wstrzyknie się jej pod skórę substancyę, zawierającą bakterye tuberkuliczne, ginie ona na galopujące suchoty w ciągu kilku tygodni. Oczy-

wiście nie są wolne od suchot także i ptaki, zwłaszcza drób domowy, jak kury, gołębie, bażanty, które zapadają przedewszystkiem na tuberkuły organów brzusznych, a ze zwierząt zimnokrwistych obserwować można tuberkuły szczególnie łatwo u ryb, żab, węży, jaszczurek, żółwi[1]).

Podobnie jak u człowieka także i u zwierząt przyczyną tuberkuł jest bakcyl, którego zachowanie się w kulturach i w barwieniu jest bardzo podobne, często prawie identyczne, z bakcylem tuberkuł człowieka.

Że suchoty z chorego zwierzęcia przenieść się mogą na inne zwierzęta zdrowe, przebywające z tamtem w tej samej stajni, to rzecz już dowiedziona. Również nie ulega dzisiaj żadnej wątpliwości, że i między ludźmi tuberkuły przenosić się mogą z jednego człowieka na drugiego, że więc suchoty człowieka uważać należy za chorobę zaraźliwą, tem się jednak różniącą od innych chorób zakaźnych, że w największej części wypadków trudną albo nawet niemożebną jest rzeczą dojść, gdzie i kiedy i w jakich warunkach zakażenie nastąpiło. Pochodzi to stąd, że tuberkuły latami taić się mogą w organiźmie, zanim przy warunkach dla siebie korzystnych zmogą człowieka ostatecznie i objawią się gwałtownie na zewnątrz. Dostawać się zaś mogą bakcyle tuberkuliczne do organizmu człowieka przeróżnemi drogami: nosem przy wdechaniu zakażonego pyłu lub drobniutkich kropelek śliny, jaką kaszląc wyrzuca ze siebie suchotnik (samo powietrze, które suchotnik z siebie wydecha, jest prawdopodobnie wolne od bakteryi suchotniczych), dalej przez jamę ustną, gdzie w zepsutych zębach mogą wygodnie przebywać, przez pokarm zanieczyszczony bakteryami, przez dotykanie powierzchni ciała, gdy naskórek chroniący na miejscu dotykającem jest zdarty. Znane są wypadki, gdzie plwocina suchotnika, dostawszy się na rankę na nodze lub ręce, wywołała tam wilka czyli gruźlicę skóry, a także niejednokrotnie i lekarze, wykonujący obdukcye zwłok ludzi tuberkulicznych, dostają na rękach tuberkuły skóry[2]). I nie należy sądzić, że tuberkuły rozwijają się tylko na tem miejscu, którędy do organizmu weszły. Kongres międzynarodowy tuberkuliczny odbyty w r. 1907 w Wiedniu pomiędzy sposobami, zapomocą których dostać można suchot płucnych, wskazuje także i na wewnętrzne organa jamy brzusznej, gdzie bakcyle tuberkuliczne zakazić mogą przyległe gruczoły

[1]) Ziegler: Allgemeine Pathologie, wyd. 11, str. 669 i nast.
[2]) Mering: Innere Medizin, V wyd., str. 256 i nast.

i stamtąd dostać się przez krew lub lymfę do płuc i następnie je zakazić. Czy jednak i bakcyle tuberkuliczne zwierząt także w organiźmie naszym mogą się mnożyć i wywołać suchoty? Biorąc pod uwagę ścisły i konieczny stosunek ludzi do zwierząt, z któremi człowiek nietylko ustawicznie się stykać musi, ale niemi się żywi, a więc wprowadza je lub ich produkty wprost do wnętrza swego organizmu, nie można się dziwić, że temu pytaniu poświęcano wytężającą uwagę i niezliczone banania. Dlatego też i artykuł Prof. Dra. Möllersa, który jest ostatnim asystentem Prof. Kocha i pierwszorzędną w tej sprawie powagą, ogłoszony świeżo w czasopiśmie niemieckiem „Umschau"[1]), a w którym tenże uczony streszcza obecny stan tej kwestyi, wielkie budzić musi zainteresowanie.

Prof. Dr. Möllers stwierdza przedewszystkiem, że po wieloletnich badaniach wszyscy uczeni zgadzają się dzisiaj na to, iż ze stanowiska biologicznego, rozróżnić trzeba trzy typy bakteryi tuberkulicznych: bakterye, wywołujące tuberkuły u człowieka, dalej bakterye tuberkuliczne bydła rogatego i wreszcie bakterye tuberkuliczne drobiu. Prof. Möllers ostrzega jednak, że typy te bynajmniej nie ograniczają się na te klasy zwierząt, wedle których nadano im nazwę, nazwa ich oznacza tylko ich najczęstsze podłoże, a więc np. bakterye tuberkuliczne bydła rogatego najczęściej i najregularniej napotkać można u bydła, bakterye ptaków u drobiu. Czy jednak i u człowieka te bakterye bydła i ptaków mogą się mnożyć i wywołać objawy chorobliwe? Rivolta i Maffuci jeszcze w r. 1890 stwierdzili, że bakcyl ptaków praktycznie biorąc nie przedstawia niebezpieczeństwa dla człowieka. Wyjątek stanowi tylko papuga, co do której stwierdzono, że podlega ona łatwiej zakażeniu pod wpływem bakteryi gruźlicznych człowieka lub bydła, aniżeli bakteryi ptaków. Ponieważ papuga często chowana jest po domach i wchodzi w ścisłą styczność z człowiekiem, więc należy pod tym względem zachować ostrożność, bo suchoty od niej udzielić się mogą człowiekowi, a zwłaszcza dzieciom. Także i pies zapadać może na suchoty zarówno pod wpływem bakteryi bydlęcych jak i ludzkich. Największa jednak wątpliwość panowała co do stosunku bakteryi tuberkulicznych bydlęcych do człowieka, jakoteż bakteryi ludzkich do bydła. Już dawno hygieniści ostrzegali, że należy zachować wielką pod tym względem ostrożność i chronić zwłaszcza dzieci od spożywania surowego mleka, bo łatwo pochodzić ono może od krowy tuberkulicznej, a stąd

[1]) Umschau 1917, str. 6 i nast.

zawierać w sobie bakterye.. To też ogromne wrażenie po całym świecie zrobił na kongresie tuberkulicznym w Londynie w r. 1901 prof. Koch, gdy opierając się na badaniach własnych jakoteż dokonanych wspólnie z Schützem, oświadczył stanowczo, że bakcyl wzniecający suchoty u człowieka różnym jest od bakcyla suchotniczego u bydła, że więc należy się obawiać zakażenia między bydłem rogatem a człowiekiem.

Oczywiście aksyomat taki niezmiernej byłby doniosłości dla hygieny społecznej, gdyby się okazał prawdziwy, bo ustałaby potrzeba kontroli nad pochodzeniem mleka, nad tem, czy krowy są dotknięte gruźlicą. Twierdzenia jednak Kocha bynajmniej nie przyjęto powszechnie za prawdziwe, owszem podniosły się przeciw niemu zwłaszcza w Anglii namiętne protesty, gdzie ostrzegano, iż używanych dotychczas środków ostrożności przeciwko zakażeniu człowieka bakteryami bydlęcemi bynajmniej nie należy zaniedbywać. I rzeczywiście — dalsze badania nad tym przedmiotem wykazały niezbicie, że przeciwnicy Kocha mieli niestety zupełną słuszność.

Möllers oświadcza, że sam osobiście badał 114 wypadków tuberkuł rozmaitych organów u człowieka. Z tego stwierdził ponad wszelką wątpliwość dwa, w których zakażenie człowieka nastąpiło bakteryami bydlęcemi. Jeden z tych wypadków były to suchoty ogólne, a drugi, gruźlica skóry, na które zapadł pewien rzeźnik, gdy bił bydlę chore na perlicę. Wogóle zaś, biorąc pod uwagę badania innych także uczonych, aż do 1-go stycznia 1914 roku w różnych krajach ziemi zbadano bakteryologicznie bardzo sumiennie 2051 wypadków tuberkuł u człowieka. Wśród tego u 1848 chorych znaleziono wyłącznie bakterye tuberkuł ludzkich, natomiast u 189 suchotników znaleziono wyłącznie bakterye tuberkuliczne bydlęce, zaś u 14 chorych oba typy bakteryi.

Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że tuberkuły bydła są dla człowieka zaraźliwe, mogą się z bydła na człowieka przenosić, jak to zresztą, nawiasem mówiąc, uznał już międzynarodowy kongres przeciwgruźliczny w Paryżu w r. 1905. Że to przenoszenie odbywa się głównie z pokarmem, przemawia za tem fakt, że w powyższych 189 wypadkach, gdzie u ludzi chorych na suchoty znaleziono wyłącznie bakterye bydlęce, przeważna część chorą była na tuberkuły organów brzusznych i gruczołów szyi, a 151 chorych byli to dzieci poniżej lat 16, a więc tacy, którzy odżywiają się obficie mlekiem. Wogóle zdaniem Möllersa

przyjąć należy, że blisko 2%, dokładniej 1,8% wypadków tuberkuł u człowieka jest wyłącznie wywołane bakteryami typu bydlęcego[1]).

Taki rezultat sam w sobie dosyć byłby niepokojący. Wszak ilość tuberkuły u bydła rogatego przytrafiała się już w czasach normalnych, pokojowych, gdzie bydło było dostatecznie żywione i troskliwie pielęgnowane, wcale nie rzadko. W Niemczech np. w r. 1900 stwierdzono u 25% czyli u czwartej części bydła gruźlicę[2]). A dodać do tego trzeba, że krowy zapadają często na gruźlicę wymion, która przez kilka początkowych miesięcy może być zupełnie utajona i niczem na zewnątrz się nie przejawia, a mimo to mleko od takiej krowy jest zakażone obficie bakteryami tuberkulicznemi. Prawdziwie senzacyjne są wyniki badań, jakie w tym przedmiocie czynił Ostertag. Rozcieńczał on mleko, pochodzące od krowy chorej na perlicę wymion, czyli tuberkuły wymion, bilion razy i gdy tak rozcieńczony roztwór wstrzykiwał świnkom morskim, które co prawda, jak widzieliśmy, są szczególnie na gruźlicę wrażliwe, wywołał u tych zwierzątek perlicę. Żeby zaś dać pojęcie przystępniejsze, co to znaczy bilionowe rozcieńczenie, przedstawmy sobie olbrzymi zbiornik czy staw, do którego wlano pięć tysięcy wagonów wody. Otóż gdy do takiego stawu puścimy następnie jedną kroplę mleka, otrzymamy dokładnie roztwór bilionowy, jakiego w swych doświadczeniach używał Ostertag. Widzimy, że

---

[1]) Wobec olbrzymiej ilości chorych na suchoty procent taki daje cyfry znaczne. W Anglii np. oceniają liczbę chorych na gruźlicę na mniej więcej 400.000, a więc znaczyłoby to, że około 7200 osób zakażonych jest wyłącznie bakcylem-gruźliczym bydlęcym.

[2]) Hennessy wskazuje (w Encyclopaedia Britanica, wyd 11, t. 27, str. 354 i nast.) na to, że ze zwierząt domowych najłatwiej perlicy podlega bydło, najrzadziej konie i owce, przyczem bydło pochodzące z swobodnych preryi jest bez porównania rzadziej zakażone, niż bydło przebywające w stajniach. I tak według urzędowych dat, w Stanach Zjednoczonych Ameryki w latach od r 1900 do r. 1905 wśród 28 milionów bydła tylko 1,3 na tysiąc miało perlicę, a natomiast w rzeźni berlińskiej w r. 1892—1893 znaleziono gruźlicę między bydłem u 15 na sto czyli 151 na tysiąc. Z innych zwierząt znaleziono tamże (w Berlinie) w tychsamych latach gruźlicę u świń 1,55%, cieląt 0,11%, owiec 0,004%. Obliczenia w Kopenhadze dały w tym samym mniej więcej okresie (1890—1893) bydła rogatego gruźliczego 17,7%, świń 15,3%, cieląt 0,2%, owiec 0,003%. Nocard wskazuje na stosunkowo bardzo małą liczbę wypadków perlicy u cieląt, coby dowodziło, że dziedziczność w przenoszeniu gruźlicy bydlęcej nie odgrywa znaczniejszej roli. Między szczurami znalazł Stefański w Odesie i Rabinowicz w Berlinie 5% osobników zakażonych gruźlicą.

wobec tego tyle wyśmiewane dawki homeopatyczne stają się czemś niezmiernie wielkiem.

Najprostszy środek zabezpieczający przed bakteryami perlicy, byłby zwyczaj używania wyłącznie mleka przegotowanego. Cóż kiedy prócz mleka słodkiego i śmietany istnieją jeszcze inne, niemniej ważne produkty mleczarskie, których używa się w stanie surowym. A więc w pierwszym rzędzie masło, dalej maślanka, sery, wreszcie mleko kwaśne. I oczywiście we wszystkich tych artykułach żywności znajdować się mogą żywe bakterye perlicy, czyli gruźlicy, jak to dowodnie stwierdzono. Szczególniej zaś zwrócić uwagę należy ze stanowiska hygieny na mleko kwaśne, uważane przez wielu za źródło zdrowia i antydotum na wszystkie choroby. Mleko kwaśne, jak uczy bakteryologia, powstaje w ten sposób, że pewne specyficzne gatunki bakteryi dostawszy się do mleka słodkiego przy odpowiedniej temperaturze, krzewią się i mnożą nadzwyczaj szybko, przemieniając cukier mleczny, znajdujący się w mleku, na kwas mleczny, który ma własność zabijania niektórych gatunków bakteryi. Po mleczarniach na nowoczesny, naukowy sposób urządzonych, przyrządza się mleko kwaśne specyalnie czysto robione w ten sposób, że mleko słodkie najpierw się sterylizuje, to jest ogrzewa do jakich 130°, przez czas pewien, przez co zabija się wszystkie bakterye, jakie w niem się znajdują, a następnie, po ostygnięciu, zaszczepia się w nie czystą kulturę bakteryi mleka kwaśnego, które szybko się mnożąc kwaszą mleko, dając nam rzeczywiście zdrowy i hygieniczny pokarm. W gospodarstwie codziennem jakże odmiennie przedstawia się cała manipulacya! Mleko czy to prosto od krowy, czy też kupione na targu, wlewa się do garnka — umytego zwykłą wodą i wytartego „na czysto“ ścierką, będącą często prawdziwym ogrodem botanicznym różnych bakteryi, — i stawia się w ciepłem miejscu, ażeby skwaśniało. To znaczy czeka ono tam zmiłowania jakich bakteryi mleka kwaśnego, by tam się dostały przypadkiem i rozgościły. Gdy mleko skwaśnieje, wynosi się je do piwnicy, by się oziębiło i płyn do spożycia gotowy — zdrowe, czyste, domowe kwaśne mleko. Posłuchajmy jednak, co na to mówi bakteryolog.

W mleku krowiem, chociażby pochodzącem od zdrowej krowy, znajdują się bakterye rozmaitego gatunku, które szybko się tam dalej krzewią. Freudnereich[1]) znalazł w mleku krowiem w godzinę po wydojeniu w jednym centymetrze sześciennym 9 tysięcy bakteryi, gdy

[1]) Reitz: Die Milch und ihre Produkte. Leipzig 1911.

zaś to mleko stało 25 godzin w temperaturze 15 stopni, a więc w temperaturze pokojowej, było w centymetrze sześciennym 5 milionów bakteryi, a więc kto wypił szklankę takiego mleka, wchłonął w siebie przeszło miliard bakteryi. Są tam bakterye rozmaite, a jeżeli krowa była tuberkuliczna, to także bakterye gruźlicy. To też zdarza się nieraz, że mleko postawione, jak się mówi, „na kwaśne", nie kwaśnieje jakoś, tylko nabiera dziwnego wyglądu. Mimo to nieraz spożywa się go jako kwaśne, tymczasem jest to w rzeczywistości mleko nie kwaśne, lecz zgniłe, pochodzi zaś stąd, że w otoczeniu nie było bakteryi mleka kwaśnego, więc niema fermentacyi cukru mlecznego na kwas, a natomiast w mleku rozmnożyły się inne bakterye, które mleko zgniły. Widzimy więc z tego przykładu, że mleko kwaśne nie zawsze jest zdrowe.

Lecz wracając do gruźlicy trzeba na pociechę naszą dodać, że na szczęście stwierdziła nauka, iż bakterye gruźlicze bydła daleko trudniej przeszczepiają się na organizm ludzki, aniżeli bakterye gruźlicze ludzkie. Przedmiotowi temu poświęcono także liczne badania hygieniczno-statystyczne i przekonano się np. w jednym wypadku, gdzie 360 osób spożywało mleko i produkty mleczne zakażone ponad wszelką wątpliwość bakteryami gruźliczemi z chorej na perlicę krowy, że tylko u dwojga dzieci stwierdzić można było chorobowe objawy zakażenia perlicą, a i te wypadki miały przebieg łagodny. Oczywiście nie można powiedzieć, czy i u innych po upływie dłuższego czasu nie wystąpiły suchoty. W każdym razie strzedz się trzeba gruźliczego bydła, lecz roztropnie i bez nerwowej obawy, pamiętając, że głównem zabezpieczeniem od chorób zakaźnych jest zawsze siła samoobronna organizmu. Natomiast, jak ostrzega Möllers za innymi hygienistami, główną troskę w walce z gruźlicą trzeba kierować ku tuberkulicznym ludziom, bo od nich, zwłaszcza w życiu rodzinnem, tak starsi, jak przedewszystkiem dzieci najłatwiej suchot nabawić się mogą. W życiu codziennem nie należy na oczach nosić mikroskopów, chorobliwie wszędzie upatrując niebezpieczeństwa, ale też nie zamykać oczu tam, skąd złe rzeczywiście grozić może.

W badaniu przyrody nieorganicznej nauka doszła bardzo daleko i odkryła cały szereg zjawisk, o których istnieniu ludzkość przez wiele lat tysięcy nie miała nawet przeczucia, np. cały dział elektryczności, rozmaitego rodzaju promienie niewidzialne, materye wybuchowe, — a nato-

miast o naturze zjawisk najzwyklejszych jak grawitacyi powszechnej ciał dotychczas jeszcze nic powiedzieć nie umie, są one zawsze powleczone jaknajgłębszą tajemnicą. Podobne objawy spotykamy także w naukach biologicznych, a między innemi i w hygienie. Ta ostatnia pod wpływem biologii ścisłej i medycyny poczyniła postępy olbrzymie, umie chronić ludzkość przed tak strasznymi wrogami, jak cholera, ospa i tyfus, poznała i wydobyła na zewnątrz cały szereg tajemnic organizmu żywego, jego właściwości odporne i choroby, a jednak i tu istnieją zupełnie niezbadane szeregi zjawisk najzwyklejszych, z którymi spotykamy się codziennie i codziennie wobec nich wyznawać musimy swą bezradność i brak wiedzy. Do takich należy choroba czy niedomoga, lekceważona przez wielu, nielubiana ogólnie, ale znoszona z konieczności cierpliwie — a chorobą tą jest katar nosa. Znane są powszechnie objawy tej choroby, ale sposób, w jaki się jej nabywa czyli jej etyologia, jeszcze nie są dostatecznie zbadane.

Przed trzema laty badaniami nad tym przedmiotem zajmował się profesor Dr. Kruse, dyrektor uniwersyteckiego instytutu hygienicznego w Lipsku[1]). Przedewszystkiem staje on na stanowisku, że samo zaziębienie, jak to dotychczas powszechnie mniemano, nie może być wyłączną przyczyną kataru nosowego i kaszlu, lecz że mamy tu do czynienia ze sprawą zakaźną. Jednak badania bakteryologiczne nie dały dotychczas pozytywnych wyników. Wprawdzie w wydzielinach kataralnych, których nos w ciągu tej przykrej słabości staje się jakby nigdy niedającem się wyczerpać źródłem, stwierdzono obecność niektórych bakteryi, zwłaszcza owych maleńkich kuleczek, zwanych pneumokokami, i według Krusego niekiedy mogą one prawdopodobnie stać się przyczyną kataru i szerzyć tę słabość, ale w przeważnej ilości wypadków niemożna przypisać bakteryom żadnej roli, gdyż sposób, w jaki występują one w wydzielinach kataralnych nosa wykazuje, że znane dotychczas bakterye nie mogą być w wielu wypadkach przyczyną tej choroby. Kruse wskazuje jednak na istoty, z któremi medycyna spotyka się od lat już dwudziestu, które jednak tak są drobne, że przechodzą przez filtry, dla bakteryi zwykłej nie przenikliwe, nie można ich też dostrzedz w zwykłym mikroskopie nawet pod najsilniejszem powiększeniem, a mimo to stwierdzić można na pewno ich istnienie i ich charakter istot żywych. Istotom tym nieznanym dano też nazwę „Virus“, i przekonano się z biegiem badań, że im przypisać należy

[1]) Münchener Medizinische Wochenschrift 1914. str. 1547.

cały szereg bardzo ważnych i niebezpiecznych chorób zakaźnych, jak np. zarazę pyskową i racicową u bydła, zarazę u kur, ospę u drobiu i owiec, zarazę u świń, a z chorób ludzkich między innemi żółta febra, wścieklizna, ospa, szkarlatyna, odra.

Badania bakteryologiczne wogóle przeprowadza się w ten sposób, że pod mikroskopem stwierdza się w badanej substancyi obecność pewnych bakteryi i następnie substancyę tę zaszczepia się, t. j. wpuszcza odrobinę z niej do tak zwanej pożywki, np. żelatyny, agaru lub bulionu i w przyrządach odpowiednich otacza pewną temperaturą i po pewnym czasie otrzymuje się liczne kultury żywych bakteryi. Lecz jak prowadzić badania z owemi istotami, których wogóle dostrzedz nie można, jak operować tam, czego zupełnie się nie widzi? Otóż postępuje się w sposób podobny, jak z bakteryami, tylko że z substancyi badanej usunąć trzeba obecność wszelkich bakteryi, jednak nie przez gotowanie, bo w ten sposób możnaby zabić owe istotki pozamikroskopowe, o których badanie właśnie chodzi. Osiąga się to przez przepuszczenie przy pomocy ciśnienia czy ssania powietrza substancyi badanych przez filtry tak drobne, że przez ich otwory nawet bakterye się nie przecisną, bakterye, których rozmiary często mniejsze są od tysiącznej części milimetra. Oczywiście otworków takich nie można robić sztucznie, ale dostarczyła ich sama przyroda. Już Pasteur stwierdził, że przez płytkę nieglazurowanej porcelany przecisnąć można zapomocą działania prądu powietrza płyn, i w ten sposób przecedzić go tak dokładnie, że po przejściu przez porcelanę jest on zupełnie sterylizowany, nie zawiera żadnych bakteryi. Jest to tak zwany filter Pasteura, który następnie udoskonalił Berkefield, używając zamiast porcelany, odpowiedniego gatunku wypalonej glinki. I nauka stwierdziła ponad wszelką wątpliwość, że nieraz substancye, uwolnione w ten sposób od wszelkich bakteryi, wzięte z organizmów chorych, są w stanie wywoływać w organizmach zdrowych tę samą chorobę, czyli są zakaźne i mogą się mnożyć a więc widocznie są tam istoty żywe, lecz drobniejsze znacznie od wszelkich chociażby najmniejszych bakteryi. W tak zwanych ultromikroskopach można nawet dostrzegać je, jako drobne niezmiernie punkciki. Krause tedy przypuszcza, że właśnie istnieje specyficzny taki virus, który dostawszy się do naszego organizmu, wywołać w niem jest zdolny katar nosa i połączony z niem kataralny kaszel.

Ażeby się o tem doświadczalnie przekonać, trzeba było stwierdzić, czy wydzielina kataralna z nosa człowieka chorego na katar, oczyszczona z bakteryi przez przepuszczenie przez opisany wyżej filtr

Berkefielda, może wywoływać po zakropleniu nią nosa człowieka zdrowego objawy kataralne.

W pierwszem doświadczeniu Kruse korzystając z faktu, że asystent jego Dr. Hilgers dostał porządnego kataru, wydzieliny z nosa asystenta rozcieńczył 15 razy roztworem fizyologicznym soli (jest to woda destylowana, zawierająca w litrze 6 gramów soli kuchennej) i następnie ten roztwór przepuszczał przez filter Berkefielda, by go uwolnić od wszelkich bakteryi. Tym troskliwie przygotowanym płynem obdzielił dwunastu członków instytutu hygienicznego, wpuszczając każdemu do obu dziurek nosa po kilka kropel. Doświadczenie wypadło dosyć zadowalająco, bo w ciągu trzech dni czterech członków, a więc trzecia część zapadła na silny katar.

W jakiś czas potem w czerwcu Dr. Hilgers znowu zapadł na ostry katar, z czego skorzystał prof. Kruse, by powtórzyć swe interesujące doświadczenia. Wysiąk z nosa dr. Hilgersa rozpuszczono w roztworze fizyologicznym 20 razy, i po przepuszczeniu go przez filter Berkefielda zakroplono nosy 36 uczestnikom kursu bakteryologicznego, którzy sami na to się ofiarowali. To doświadczenie jeszcze lepsze dało rezultaty, bo w przeciągu 1—4 dni zapadło na katar 15 z tych, którym wydzieliny zaszczepiono, podczas gdy z siedmiu innych uczestników kursu, niezakażonych, zapadł w tym czasie na katar tylko jeden. Wobec tych faktów istnienie niedostrzegalnego kataralnego virusu jest bardzo prawdopodobnem, a prof. Kruse proponuje nadać owemu nieznanemu piękną nazwę, jak to jest w medycynie zwyczajem, z grecka łacińską: Aphanozoon coryzae — przyczem aphanozoon pochodzi z greckiego: aphanes niewidzialny, i zoon żyjątko, coryza zaś od greckiego korydza.

Do doświadczeń tych wrócił niedawno kierownik instytutu hygienicznego niemieckiej szkoły medycznej w Schangaj w Chinach, docent Dr. Dold. Postępując dokładnie metodą prof. Krusego zakroplił wydzielinami kataru nosy 17 Chińczyków, uczniów i funkcyonaryuszy instytutu, i z nich zapadło na katar siedmiu, przyczem czas inkubacyi virusu, to jest czas, jaki upłynął od zaszczepienia do objawów chorobliwych, wynosił od 1—4 dni. Gdy jednak inną razą zakroplił wydzielinami kataru nosy 40 chorych Chińczyków, znajdujących się przeważnie na oddziele chirurgicznym i leżących w łóżkach, doświadczenie dało wyniki zupełnie ujemne, bo w ciągu dni 10 ani jeden chory nie dostał kataru. Co prawda, wydzieliny kataralne, których w tem drugiem doświadczeniu używano, były inne niż poprzednio, więcej

gęste, ropiaste i koloru żółtawego. Widocznie, jak Dold przypuszcza, oparty na powyższem doświadczeniu, wydzieliny te nie zawierały virusu kataralnego. Wobec tego stwierdza Dold, co znanem zresztą było dawniej, że etyologia, czyli sposób powstawania kataru, nie jest jednakowa we wszystkich wypadkach. Raz występuje katar jako zjawisko częściowe niektórych chorób infekcyjnych, jak przy odrze, szkarlatynie, ospie, to znowu jest jedynym objawem zakażenia organizmu rozmaitemi bakteryami, np. pneumokokami, meningokami, bacylusami dyfteryi. A zdarza się też często, że katar występuje przez jakiekolwiek chociażby mechaniczne podrażnienie błony śluzowej, górnych dróg oddechowych, gdy ono sprawić tam jest zdolne lokalne zapalenie. Przykład tego mógł Dold zaobserwować w swym szpitalu, gdy jedna z sióstr opiekujących się chorymi, otworzywszy pudełko z proszkiem przeciw owadom, silnie proszek powąchała, dostała natychmiast ostrego kataru z obfitemi, rzadkiemi wydzielinami i podrażnieniem spojówki oka, który trwał cały tydzień. Ten sam objaw zauważono u innych dwóch osób, które celem doświadczenia powąchały tenże proszek, zawierający prawdopodobnie starty kwiat chryzantemu. Taki paroksyzmowy katar znany zresztą jest w hygienie i powtarza się on potem u tej samej osoby po pewnym przeciągu czasu, np. po paru tygodniach. Czy i w tym wypadku spowodowanym przez opisane wdechanie owego proszku powtórzył się, Dold nie pisze.

Nasuwa się tu na pamięć inny, ciekawy bardzo rodzaj ostrego kataru, jaki niektórzy ludzie dostają z wiosną, gdy kwitnie trawa[1]). Katar ten spowodowany jest przez pyłek kwiatów trawy, który dostawszy się przez oddechanie na błonę śluzową nosa, drażni ją i wywołuje stan kataralny. Ciekawą jest jednak ta okoliczność, że nie wszyscy ludzie są podatni w tym względzie, mamy tu widocznie do czynienia z tak zwaną idyosynkrazyą, to znaczy swoistą, indywidualną wrażliwością na pewne podniety. Jak Mering wspomina, udało się Dunbarowi wynaleźć środek przeciwko takiemu katarowi pochodzącemu z traw. Mianowicie podaje on zwierzętom niektórym pyłek kwiatowy traw i następnie z surowicy krwi tych zwierząt otrzymuje substancyę, która podana choremu człowiekowi na taki katar bądź w formie proszku (t. zw. Ponatiyna) bądź jako płyn rozcieńczony, znaczną sprawia choremu ulgę.

---

[1]) J. von Mering-Krehl: Lehrbuch der inneren Medizin. Jena, 5 wyd., str. 195.

Chociaż więc katar jest chorobą ściśle określoną, o jasno zarysowanych symptomach, to przecież sposoby nabycia kataru są bardzo liczne. Do znanych dotychczas dodały badania Krusego i Dolda jeszcze ów virus, który zarazem tłómaczy, dlaczego czasami katar występuje widocznie jako słabość zakaźna, której bez żadnej zewnętrznej przyczyny, bez przeziębienia się, można dostać wyłącznie przez stykanie się z osobą na katar chorą. Że taki virus kataralny istnieje, widać to dowodnie z dalszych badań Dolda. Wydzieliny kataralne, o których zaraźliwości się przekonał, zaszczepiał na organiczne substancye, i w pewnych wypadkach otrzymał po 24 do 48 godzinach kultury sztuczne, ujawniające się na zewnątrz jako charakterystyczne szarawe, opalizujące zmętnienie, w którem pod ultramikroskopem dostrzedz można było prócz cząstek Browna, obecność małych ciałek. Tę kulturę zaszczepił znowu do świeżej substancyi organicznej, dokładnie przedtem wysterylizowanej, gdzie otrzymał takież zmętnienie i tak dalej, aż wypielęgnował czwartą niejako generacyę. Rozcieńczywszy około pół centymetra sześciennego tej substancyi w pięciu centymetrach roztworu solnego fizyologicznego, po trzy krople tego preparatu wpuścił w każdą dziurkę nosa trzech Chińczyków, którzy się na to ofiarowali. Już po 24 godzinach dwóch z nich dostało ostrego kataru, połączonego z podrażnieniem spojówki oka i lekkim kaszlem, który po 4—5 dniach zniknął. Trzeci osobnik wykazał na szczepionkę zupełną odporność.

Oczywiście warunkiem niezbędnym prawdziwości tych badań jest zupełna jałowość owego zmętnienia, nie może być w niem żadnych bakteryi, bo wtedy nie niewidzialnemu virusowi, lecz im możnaby wywołanie kataru przypisać. To też gdy przy piątej generacyi Dold dostrzegł, że do kultury virusu dostały się przypadkiem bakterye, trzeba było te ciekawe, lecz niezmiernie mozolne doświadczenia przerwać. Może jednak uda się kiedyś doprowadzić je do tego stopnia, by wykryć jakiś preparat prawdziwie antykataralny, bo dotychczas właściwie lekarstwa przeciw katarowi medycyna nie posiada.

Ks. F. Hortyński.

Z kazań politycznych X. Woronicza
o odbudowie Państwa Polskiego.

Z pośród wielkich wydarzeń dziejowych, w jakie obfituje doba spółczesna, na plan pierwszy wybił się manifest mocarstw centralnych o wskrzeszeniu państwa polskiego, a w ślad za nim rozwało się hasło pracy realnej około jego odbudowy w duchu pragnień i nadziei całego narodu. Temu zadaniu oddaje się trwale, zasadniczo i programowo, powołana ku temu w pierwszym rzędzie Rada Stanu w Warszawie na podstawie wolnego wyboru; zajmuje się niem również nasze Koło Polskie w Wiedniu na swych zebraniach w pewnych czasu odstępach i w zakresie swych stosunków parlamentarnych; jemu poświęcają baczną uwagę różne stronnictwa polityczne i społeczne na gruncie rodzimym; na łamach czasopism wszelkich odcieni i kierunków, równie ojczystych, jak obcych, mnożą się zagadnienia i roztrząsania, plany i projekty, dla możliwie najskuteczniejszego rozwiązania kwestyi tak żywotnej a trudnej, jaką jest dla każdego odradzającego się narodu: budowa własnemi siłami i środkami przyszłości państwowej, jego nowoczesnego ustroju, silnego a rozumnego rządu, własnego dzielnego wojska, skrzętnej i sprężystej administracyi — przy zachowaniu autonomii narodowej i nadaniu konstytucyi, domierzonej do właściwości historycznych kraju, jakoteż do wymagań nowszej doby i przyszłego posłannictwa Polski wolnej i niepodległej.

Zadanie to, równie zaszczytne, jak w następstwa brzemienne, nie po raz pierwszy przypada polskim mężom stanu. Powtarza

się obecnie, jeśli nie zupełnie ścisła analogia, to w każdym razie wielkie podobieństwo stosunków historycznych, śród których tworzył się przed przeszło stu laty ustrój Księstwa Warszawskiego. I wtedy, jak dziś, musieli ówcześni mężowie stanu przyjąć na swe barki zadanie pełne odpowiedzialności, musieli po raz pierwszy po kilku dziesiątkach lat zaboru tworzyć, jakby z niczego nowe formy rządu dla nowego ustroju polskiej państwowości, kłaść podwaliny dla jej dalszej budowy i trwałej organizacyi.

Jednym z mężów wybitnych, a bardzo czynnych i zasłużonych w ówczesnej pracy narodowej i mozołach społecznych był X. Woronicz, naówczas kanonik kapituły warszawskiej, późniejszy (od r. 1815) biskup krakowski, a w końcu (1829) arcybiskup i prymas warszawski. Będzie może na czasie, a nie bez jakiegoś pożytku w dobie obecnej, tak żywo i prawie wiernie odtwarzającej wypadki historyczne z przed przeszło stu laty, przypomnieć i odświeżyć bodaj kilka szczegółów wskazujących, jak też zacny ten kapłan, wieszcz i mowca narodowy pojmował obowiązki męża stanu i jak rozumiał doniosłe znaczenie odbudowy Polski, choćby w tak skromnym zakresie, na jaki pozwalały stosunki ówczesne.

Jego program polityczny streszcza się, obok licznych odezw okolicznościowych, projektów sejmowych do prawa, referatów treści administracyjnej i zarysów reform państwowo-kościelnych, głównie i sumarycznie w trzech kazaniach przygodnych, przepojonych osnową polityczną i, jak zawsze w jego pismach, nawskróś patryotyczną.

Pierwsze z nich, wygłoszone 3 maja 1807 r. — a więc przed 110 laty — w pamiątkową rocznicę Konstytucyi, ma napis:

Kazanie przy uroczystem poświęceniu orłów i chorągwi polskich, wojsku narodowemu nadanych [1]).

Okoliczności, w których wówczas mówić wypadło X. Woroniczowi, były „wielkie i uderzające". „Niesłychanem i prawie

[1]) Drukowane oddzielnie pod tymże napisem w drukarni Gazety Warszawskiej, 1807 r. w 8-ce, str. 32, a następnie w rozlicznych wydaniach zbiorowych.

cudownem wydarzeniem [1]) Polska, z liczby żyjących państw wykreślona, budziła się właśnie śród zmian i przewrotów całej Europy z przymusowego letargu do życia. Pierwszy raz po rozbiorze ziemia ojczysta czuła znowu stopę polskiego żołnierza, licznie w stolicy zgromadzonego. Trzeba było religijnym obrządkiem poświęcić narodowe znaki, wznoszące się na nowo nad dawnemi ojców siedzibami. Uczucia żołnierza, rządu, ludu całego, jednym duchem i zapałem napełnione, gotowe były przyjąć, co tylko cnota i obowiązek nakazywały". Niedługo przedtem (dn. 27 listopada 1806) po ustąpieniu załogi rosyjskiej i pruskiej weszli do Warszawy Francuzi. Wnet powstał tu z polecenia Napoleona (5 grud. 1806) tymczasowy rząd narodowy, zmieniony następnie, po przybyciu Napoleona do Warszawy (19 grudnia 1806 r.), na Komisyę rządzącą tj. rząd stały pod przewodnictwem dawnego marszałka sejmowego, Małachowskiego, „dostojeństwami najwyższej władzy odziany". Ta właśnie Komisya rządząca otrzymała po utworzeniu Księstwa Warszawskiego zaszczytną misyę przedłożenia projektu do konstytucyi, zawarowanej dla tego nowego państewka. W pierwszym jednak rzędzie przypadło jej główne staranie, wedle życzenia i wskazówki Napoleona, o pomnożenie zastępów własnego wojska narodowego. Z wielkiem poświęceniem mienia i grosza, w kraju już wyniszczonym poprzedniemi kontrybucyami poczęto tworzyć nowe pułki, ściągano zewsząd i starych weteranów-legionistów i nowozaciężnych ochotników pod sztandary polskie. Wszystko, co jeszcze w kraju nie miało sposobności dźwigania broni, cały kwiat młodzieży polskiej, pozostałej w ojczyźnie po starszej daty legionistach, wszyscy ci stanęli teraz społem pod sztandarami w barwach dawnego wojska narodowego. Cieszono się powszechnie obietnicą Napoleona, chociaż tylko ogólnikową i zawarunkowaną, że skoro tylko polityczna konstelacya się utrwali, on odbuduje Polskę w dawnych granicach, z zachowaniem jej samorządności i niepodległości. Jakoż już w kilka miesięcy po wejściu Francuzów do Warszawy stanęła gotowa armia polska w sile

[1]) Z mowy pochwalnej X. Czartoryskiego na zgon arb. Woronicza str. XXIII.

trzech legionów pod własnymi sztandarami z godłem orła białego na szczycie.

Zwyczaj narodowy, dawną tradycyą uświęcony, domagał się uroczystego poświęcenia tych nowych sztandarów i wręczenia ich solennego nowo utworzonym pułkom. Ten obrzęd miał być wyrazem zarówno entuzyazmu patryotycznego, jak pietyzmu religijnego, dwóch czynników, zdolnych porwać duszę do najwyższego zapału, podnieść je do najwznioślejszych uczuć, zwłaszcza, gdy mają za tło zastępy wojenne. Na ten akt uroczysty obrano dzień 3 maja 1807 r., jako pamiątkę doroczną uchwalenia wiekopomnej konstytucyi. Na obszernym placu Saskim, przy drzwiach wchodowych pałacu Krasińskich, od strony ogrodu wzniesiono ołtarz, wspaniale a stylowo wykonany, a obok niego mownicę. Dokoła ołtarza stanęły zastępy wojskowe odświętnie przystrojone, w ich otoczeniu obcy posłowie, delegaci pułków cudzoziemskich, przedstawiciele i naczelnicy władzy narodowej wraz z gronem urzędów wykonawczych i świetnym orszakiem rycerstwa. Pułki polskie uszykowały się w średniej alei ogrodu. Mszę św. celebrował arcbp. Ignacy Raczyński, któremu w charakterze biskupa poznańskiego dostała się po ś. p. biskupie warszawskim, Miaskowskim, czasowa administracya (do r. 1818) biskupstwa warszawskiego.

Po skończonej polowej Mszy św. przyniesiono do ołtarza chorągwie, haftowane przez znamienite panie warszawskie, a dostojnicy kraju, począwszy od Stanisława Małachowskiego, prezesa rządu narodowego, czyli tak zw. Komisyi rządzącej, wbijali starym zwyczajem gwoździe w ich drzewca. Nastąpiło religijne poświęcenie orłów i chorągwi. Tej części obrzędu przewodniczył ks. Józef Poniatowski, jako wódz naczelny i minister wojny, a przemowa, którą po tym obrzędzie wygłosił z konia do wojska polskiego, i przysięga, którą na jego wezwanie złożyło całe wojsko na znaki dopieroco poświęcone, sprawiły bardzo potężne wrażenie. Jakoż nastrój ogólny i uczucia uczestników tej uroczystości przyczyniły się potężnie do podniesienia tego wrażenia. Naoczni świadkowie tej uroczystości, tacy nawet, którzy mieli sposobność uczestniczyć nieraz zagranicą przy obchodach nierównie świetniejszych i patrzeć na tryumfalne przyjęcia wojsk zwycięskich, wyznają

prostodusznie, że żaden z owych pompatycznych obchodów nie uczynił na nich tak głębokiego wrażenia i nie wrył się tak mocno w pamięć, jak ten obrzęd poświęcenia orłów i chorągwi narodowych.[1]) Po złożonej przysiędze muzyka wojskowa odegrała hymn narodowy, z fortów ozwały się działa, wojsko odbyło defiladę przed ołtarzem śród uniesień i okrzyków zgromadzonej rzeszy, dającej łzami radości wyraz swemu szczęściu na ten widok przepiękny.

W takim to dniu i śród tak niezwykłego nastroju słuchaczy przypadł X. Woroniczowi, od r. 1806 już kanonikowi katedralnemu warszawskiemu, zaszczyt uświęcenia uroczystości narodowej słowem patryotycznem. A wywiązał się z tego zadania chlubnie — i przyczynił się niepomiernie do wytworzenia i podniesienia ogólnego entuzyazmu i uroczystego nastroju publiczności. Sam przejęty do głębi znaczeniem chwili, uderzyć umiał w swej mowie w ton właściwy i dostosować jej treść do oczekiwania i usposobienia słuchaczy, co jest zawsze najlepszym wskaźnikiem i rękojmią powodzenia, skoro mowca potrafi nawiązać nić wzajemnej łączności duchowej na kanwie uczuć swoich słuchaczy. I dlatego właśnie kazanie to, obok innych licznych czynników, podziałało potężnie na obecnych, iż sama doniosłość chwili i nastrój całej publiczności wpłynęły zarówno na wybór tematu i tok myśli, jak na układ zewnętrzny tego kazania i na całe wówczas usposobienie tego mowcy religijnego. Jakże słusznie miał prawo przy tak radosnej sposobności głos zabrać ten właśnie kaznodzieja, którego już przedtem nie brakło nigdy przy wspólnych obchodach ojczystych lub pogrzebach osób zasłużonych ojczyźnie, który od lat tylu krzepił swych braci w smutnych wydarzeniach i ciężkiej doli sieroctwa po utracie wspólnej matki.

X. Woronicz uprzedza swe kazanie cytatą biblijną: „U c z y n i ł p a m i ą t k ę d z i w ó w s w o i c h l i t o ś c i w y i m i ł o ś c i w y P a n“ (Ps. 110) i wraz stosuje ją do współczesnych wydarzeń, kiedy to po ciężkich przejściach i klęskach narodowych przypadło Polakom w piętnastą rocznicę konstytucyi poświęcić orły

[1]) Stryjeński, Pamiętniki hr. Potockiej, str. 112.

i chorągwie jako znamiona sławy rycerskiej, jako zadatek odrodzenia się ojczyzny i rękojmię lepszej przyszłości. W tejto nagłej i niespodziewanej przemianie losów Polski widzi kaznodzieja spełnione słowo proroka: Uczynił pamiątkę dziwów swoich, pamiątkę wszechmocy i dobrodziejstw, ale także wspomnienie klęsk i utrapień, aby odzyskane dobrodziejstwo naród nauczył się lepiej cenić. Podniosłe w takiej chwili uczucia i pamięć na te dziwy miłosierdzia Bożego były niewątpliwie pobudką, że naczelnicy ówczesnego rządu krajowego stanęli w gronie urzędów wykonawczych i w świetnym orszaku rycerstwa przed ołtarzem Pana Zastępów, aby złożyć uroczysty wyraz dziękczynienia, radości i nadziei społem. Na tem też tle zapowiada kaznodzieja, że pragnie korzystać z tego podniosłego nastroju „kiedy opadły już te okowy, które nie ręce tylko, ale także język i usta dotąd krępowały", a jak przypadło mu niegdyś pocieszać naród i koić łzy jego na zamierzchłych gruzach rozpaczy, tak postanawia teraz: „Pozwólcie, szanowni Rządu krajowego naczelnicy, abym przy rozbłyśnionej jutrzence odrodzenia naszego wyświecił obecnym świętość i ważność tego obrzędu, którego celem jest:

a) przypomnieć wiarę i pobożność ojców,

b) ocucić pamięć na przeszłość i

c) zwrócić ich mądre baczenie na przyszłość.

Rozwijając to założenie, kreśli X. Woronicz wspaniałymi rysami rządy opatrzności Bożej, widoczne w dziejach całego świata i poszczególnych ludów. Od tych wspaniałych spostrzeżeń przechodzi wzrok mowcy do współczesnych, nadzwyczajnych wypadków w Europie, do upostaciowanego w Napoleonie bożka wojny, w którym — zgodnie z ogólną naówczas opinią w Polsce — pragnie dopatrzyć się również narzędzia Opatrzności. Wspaniale, a z żywem przejęciem się, z wymową i polotem, godnym Bossueta, kreśli jego niesłychane powodzenie wojenne i wraz przenosi je na teren ziemi ojczystej. „Co to za bohater! — woła z podziwem i uwielbieniem — ledwie stanął na ziemi naszej, a wnet więźnie i więziciele zniknęli: Pierwsi opadłe kajdany na oręże przekuli, drudzy w własnych sidłach i pętach zadzierzgnieni sromotnie uwię-

źli". Przejęty do głębi doniosłością tych wypadków dla ojczyzny, kaznodzieja maluje po mistrzowsku, z wielką mocą obrazowania i werwą niezwykłą, ówczesne usposobienie i zapał wszystkich niemal warstw narodu polskiego, dźwignionego z niewoli: „Ciało rozszarpane narodu kilkunastoletnim zamorem zakrzepłe, ducha, uczucie i krzepkość odzyskuje: Starcy zgrzybiali, ojcowie rodzin z synami i całym domem na koń wsiadają, młodzieńcy szlachetnym zapałem roziskrzeni, przez najeżone dzidy i zapory przedarłszy się, pod zbawcze chorągwie lecą w zawody! Dzieci nawet z ręku matek wyśliźnione z orężem się mocują! Kraj, niedawno ponury, niewolnictwa cechą zhańbiony, rozpaczą przyciśniony, z nadziei i sposobów dźwigania się odarty, świetnemi rotami połyska! Rycerze wczorajsi z mistrzami ćwiczonymi w wojnie o pierwszeństwo chlubnej śmierci dobijają się! Wszystko wre, zakwita, radością oddycha i pociechą! Wszyscy głusi i ślepi na domowe cierpienia, od nagłych przemian nierozdzielne; każdy prywatne łzy i dolegliwość nadzieją odzyskania ojczyzny w zakącie otarłszy, z wesołą twarzą i wylanem sercem ostatni ułomek chleba wybawcy swemu przynosi". Teraz rozpoczyna mowca głośny panegiryk dla ówczesnego pogromcy świata.

Zastanowiwszy się jednak w porę, że ponad wawrzyny Napoleona więcej zająć muszą słuchaczów bliższe sprawy ojczyzny, własne i domowe doświadczenia, zwraca w dalszym toku uwagę na ubiegłą przeszłość naddziadów, aby ci, którym przypadło w udziale zakładać nową Polskę na grobowisku starej, poznali, jakim duchem żyli przodkowie, iż zdołali budowę ojczystą przez tyle wieków utrzymać w całości. Więc wspomina ważniejsze pamiątki przeszłości dziejowej, z równą mocą, jak szybkością przebiega wieki Polski minione, każdej epoce mistrzowską ręką rys właściwy nadając [1]). A streszczając te ubiegłe fazy dziejowe, woła z zapałem: „Przebieżcie ten długi szereg głośnych i pamiętnych zwycięstw, któremiby starożytne narody całe księgi i pamiętniki swoje napełniły, policzcie owe miliony najezdnych tłumów, które po tyle razy powodzią klęsk i zatracenia tę ziemię

[1]) Z panegiryku X. Czartoryskiego l. c.

zalały i rozorały. Czyjaż ręka ten nietknięty korab jestestwa i bytu naszego na szumiącym wylewie tylu nieszczęść i zaburzeń cudownie unosiła? Ta, zapewne! która do jestestwa i bytu naszego wyższe i dalsze przeznaczenia przywiązała, która w ocaleniu niepodległości naszej, całość i życie innych narodów zabezpieczyła!"

Na tle tej myśli religijnej o opatrznościowem przeznaczeniu Polski wobec innych narodów Europy rozwija dalej X. Woronicz pogląd historyozoficzny o jej dziejowem w minionych wiekach posłannictwie, niegdyś jeszcze przez Kochowskiego naszkicowany, a później ciągle przez innych autorów potęgowany, zamieniony w końcu prawie w dogmat historyczny. „Nie dla siebie samych — słowa są kaznodziei — żyli i północą władali ojcowie nasi! Ich granice, potęga, sława i same nieszczęścia były zbawieniem i świetnością całej Europy. Jeżeli w jej okręgu znamiona chrześcijaństwa na świątyniach bożych dotąd jaśnieją, jeżeli tyle jej ludów i pokoleń łuków scytyjskich i turbanów azyatyckich dotąd nie przybrały, jeżeli ta cała zachodnia połać świata równego losu z owemi kwitnącemi niegdyś carstwa wschodniego (bizantyjskiego) krainami nie doznała, czyjeż to dary i dobrodziejstwa? czyjaż to krew sowicie okupiła i opłaciła? Kto te rozrojone tłuszcze i napady niewstrzymanej dziczy odpierał i roztrząsał? Oto piersi i oręż ojców naszych! Tu się owe hordy, jak rozdęte morza wzburzonego bałwany o ścianę polską rozbijały, tu swój grób znajdowały i otuchę dalszego postępu traciły. Polska za Europę we krwi tonęła, a Europa za jej plecami bezpieczna swoje światło i korzyści doskonaliła. Opowiadajcie to wiekom i pokoleniom przyszłym nasterczone kośćiami mogiły naszego Podola i Ukrainy! Bądźcie do zgonu świata mownemi piramidami naszych znakomitych zasług dla całego rodu ludzkiego i zarazem okropnej niewdzięczności od niebacznych na własne dobro sąsiadów. O, ojczyzno nasza! mogłażeś na taką odpłatę kiedy zasłużyć?!

Wspomnienie doznanej niewdzięczności odświeża w pamięci mowcy cios śmiertelny, zadany Polsce przed 35 laty (rozbiór r. 1772). „Zdumiał się świat, rozśmiała się w norach i bagniskach swoich dzicz pocieszona, jęknęli wszyscy cnotliwi a rozumni i okropne skutkie tego gwałtu przepowiedzieli. Ale nikt się za krzy-

wdą naszą nie ujął!“ Przed oczyma kaznodziei odsłania się teraz obraz jaśniejszy, kiedyto po kilkunastu latach ciszy i martwoty od owego pierwszego ciosu żarliwi patryoci, zebrani na sejmie wielkim, położyli węgielny kamień konstytucyi politycznej dla zleczenia ran ciała narodowego. Wymownie kreśli ówczesną gorliwość, jednomyślność i rozum patryotycznych przedstawicieli narodu; wskazuje, jak wielką im naród winien wdzięczność, a korzystając z szczególniejszego zbiegu okoliczności, który wielu jeszcze z ówczesnych posłów zgromadził w stolicy na uroczystości poświęcenia nowych sztandarów i postawił ich pośród słuchaczy, mowca wypowiada życzenie, by ich ten radosny dzień „pocieszył wieszczem przeczuciem dalszych przeznaczeń i do dalszego ratunku odecknionej ojczyzny zachęcił“:

Dojrzawszy w ich gronie Małachowskiego, zasłużonego marszałka owego sejmu, Woronicz idzie za porywem radości i te oto zwraca do niego słowa: „A kiedy wolno nam dzisiaj tych chlubnych czasów rocznicę słodko przypomnieć, niech jej sława i pamięć umai najprzód okwitą wysługami dla ojczyzny sędziwość Twoją, pamiętny owego dotąd nierozwiązanego Sejmu marszałku i niniejszej Komisyi rządzącej dostojny prezesie! Nie na próżno przeżyłeś smutne rozwaliny ojczyzny, nie próżno zgon jej i upadek prześladowaniem, ofiarą majątku, usterkiem zdrowia sowicie opłaciłeś. Ty jeden w rzędzie narodowych marszałków ten szczególniejszy zaszczyt w potomności odniesiesz, że jednąż laską przewodniczyłeś ojczyźnie do szczytu sławy i tą samą znowu wywiodłeś ją z grobu do nowego życia“. I dalej jeszcze daje uniesiony mowca upust swemu rozradowaniu, że „kiedy wszystkie sprzysiężone nieszczęścia nad zagładą naszą pracowały, odjąć nam wszelako nie zdołały tej szlachetnej i wybitnej cechy rodu oddzielnego, która nas w tylu przemianach szczęścia nigdy przeistoczyć i przelać w mieszaninę obcych narodów nie dopuściła“, owszem — wedle jego przekonania — właśnie „ta ciągła i niepojęta kolej rozmaitych przemian narodu naszego, ten nagły przechód z poniżenia do sławy, ze sławy do upadku, z upadku do chlubnego wskrzeszenia musi mieć szczególniejsze w tajnikach Opatrzności przeznaczenie. Mowca ufa niezłomnie, że losy narodu polskiego podobne są do owego biblijnego

Samsona, który po ciężkich przejściach „skoro mu siłodawcze włosy w pętach odrosły, jednem wstrząśnieniem przywalił ruinami zgromadzonych nieprzyjaciół i narodowi swemu ciągłą odtąd przewagę nad najezdniczą tłuszczą stale zabezpieczył". Spodziewa się przeto, że obraz Samsona „będąc niejaką pociechą i wróżbą, stanie się także baczną na przyszłość przestrogą".

Pragnąc w ostatniej części kazania „zwrócić mądre baczenie słuchaczy na przyszłość przy nowych przerodzinach jestestwa narodowego", postanawia przypomnieć wieczne i nieodmienne zasady, które jako są pierwszem nasieniem rządnych społeczeństw, tak wzrostu i trwałości onych najpewniejszą warownią. Ogranicza się jednak do trzech najważniejszych i najpotrzebniejszych, a te są:

1. zgoda i jednomyślność do jednego celu połączona,

2. mądrość w przedsięwzięciu do niego dzielnych i skutecznych środków i

3. stałość nieporuszona w onych wykonaniu.

Aby słuchaczy swoich zjednoczyć około tego programu odrodzenia ojczyzny, Woronicz podkreśla obowiązek poświęcenia się dla niej, przyczem zastosowuje najświetniejsze zwroty i efekty oratorskie. Zamiast wprost uzasadniać potrzebę owych cnót obywatelskich, przyjmuje je jako już istniejące, powszechnie odczute i uznane. „Na niezgodny zarzut niezgody narodowi naszemu narzucany" odpowiada ubocznie, wskazując na ofiary w zakresie sławy wojennej złożone: „Któryż lud pod słońcem w swojej się ojczyźnie zapamiętalej rozkochał? Któryż więcej ofiar i całkowitego dla niej poświęcenia się okazał? Który najszlachetniejsze zawody swoje po tyle razy sowiciej opłacił? Oddajmy bez chluby tę sprawiedliwość plemieniowi naszemu, którego potomność dość ocenić i wysławić nie zdoła, a raczej powiedzmy prawdę, że wszystkie przygody i nieszczęścia ojczyzny naszej nigdy nie były winą ogółu narodowego... ale raczej zdradą i przemocą obcą, albo słabością i niedołęstwem tych, którym kierunek ogólnej woli narodowej był powierzony".

Ta uwaga otwiera mu w dalszym toku dogodną sposobność do bardzo trafnego określenia przymiotów, jakie powinni posiadać sterownicy sprawy publicznej, a zarazem do zapewnienia, że kogo Opatrzność na to stanowisko powołuje, temu użycza także potrzebnych ku temu warunków, a zwłaszcza „ducha prawdziwej mądrości, która... w spokojnej rozwadze prawdę od mamiących pozorów rozróżniać naucza. Ona mu do każdego przedsięwzięcia stosowne i niezawodne środki podaje, niebezpieczeństwa i przygody zdala wskazuje, sposoby odwrócenia onych wcześnie gotuje". Długi poczet wyliczonych w dalszym toku darów Opatrzności dla sterników państwa przypomina żywo wymowne zwroty francuskich kaznodziejów królewskich z XVII w., zmierzające wprost do obecnego na kazaniach Ludwika XIV, jego ministrów i całego dworu panującego. Woronicz wylicza je dla zaszczepienia i zastosowania u członków ówczesnej Komisyi rządzącej i tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób do ratunku powstającej ojczyzny mają należeć, aby „w tym zgiełku radości i pośpiechu miasto lekarstwa nowej trucizny tej matce omdlałej nie podali, albo jej twarzy ulubionej, przemianą tylu wieków niezatartej, obcemi farbami nie-przekształcili". Podaje dalej rozliczne pobudki, które do gorliwości w tym kierunku powinny ich nakłonić, a zwracając się wprost do nich, wypowiada w oratorskiej apostrofie mocne przekonanie, że rękojmię przymiotów, takim sternikom nieodzownych, cały naród widzi „w cnocie, charakterze i gorliwości waszej, dostojni mężowie! którzy pierwsi językiem ojczystym rząd nam ojczysty z woli zwycięzcy ogłosiliście. Dla was ta pociecha zachowana była, abyście tę niwę ojczystą po spłynionym śmiertelnym zamrozie (lodach) pierwszym zakrojem prac waszych użyźnili, a następnie, jakie najprzód nasiona na niej wsiejecie, takim nadal plonem odradzać się będzie. O, ileż to zaszczytów i niebezpieczeństw, pociechy i bojaźni, błogosławieństw i przekleństw, dostojne stanowisko wasze osiadło!"

Pomnąc jednak, że nietylko w domu, ale i poza domem trzeba się okazać Polakami, że zarówno zgody, jak mądrości, jak wreszcie stałości w przedsięwzięciach postanowionych, rękojmią ostatnią jest męstwo stanu rycerskiego, zwraca się kaznodzieja

w zakończeniu do przedstawicieli tego stanu, a wezwawszy duchy sławnych królów polskich i walecznych niegdyś wodzów, aby go natchnęły ogniem „górnego siedliska", przemawia dalej z wielkiem przejęciem i polotem oratorskim. Im bardziej zbliża się do końca, tem pełniejsze płyną z ust jego słowa serdecznego rozrzewnienia i prawdziwego wzruszenia, zwłaszcza w apostrofie, zwróconej do starych legionistów: I wy, którzyście z rozsypanych kości wspólnej matki naszej w okamgnieniu w mścicielów jej krzywdy urośli! I wy, którzy jej imię, w Europie wywołane, aż na piaski murzyńskie dla przechowku unieśli! Któreż was lądy i morza nie znają? któreż narody i języki imion waszych ze czcią i politowaniem nie wymawiają? Nadbrzeża Tybru, Padu, Rodanu, Sekwany, Renu, Dunaju i owe równiennice świata, żyznego Nilu piramidy i owe ogorzałe skwarem arabskie Izmaela pustynie!... Napaście się słodkiem obliczem uśmiechnionej ojczyzny, uściskajcie nowowskrzeszonych spółbraci waszych, którzy jednym z wami duchem goreją. Pojrzyjcie na tych starców we łzach tonących z radości, że przez was Polakami umrą — na te matki rozczulone, które was dziatkom swoim pokazują — na ten lud radością i wdzięcznością ku wam zachwycony. Przenieście myśl nieśmiertelną w odległą głębinę przyszłych wieków i pokoleń, które jeszcze słońca nie widziały, a i te już was po imieniu znają, już wasze mogiły i popioły czułemi łzami skrapiając, wdzięcznem kwieciem potrząsają".

Wreszcie mówi wprost do dzielnego wodza wojska odrodzonego i ministra wojny, księcia Poniatowskiego, składa mu publicznie wyrazy ufności weń i powszechnego oczekiwania, wspomina o bohaterstwie dziada, w nim odtworzonem, przechodzi na jego wuja, króla Stanisława, i wzywa go wymownie: „A gdy pierwszy z urzędu podajesz tym rotom święte znamiona wskrzeszonej ojczyzny i przysięgę wierności dla niej odbierasz, wspomnij, że jednego z królów naszych załośnych zwłok na ziemi ojczystej znaleźć nie można. Krew jego w żyłach twoich płynie, dobrodziejstwami jego przybytki światła i nauk u nas rozjaśniały, a ta stolica, gmachy i budowy swoje na milę rozciągnęła. Możnaż mu tej przynajmniej uskąpić pamięci przy rocznicy dnia tego, którego on radości był pierwszym sprawcą, w którym imię jego w tem sa-

mem miejscu po tych rynkach i ulicach radośnie wykrzykiwano". I wraz woła z radością: „O, niedołężna sławy, pamięci, wdzięczności ludzkiej posado, jakżeś podobna do ludzi!... Boże! Ty jesteś litościwszym sędzią, niż ludzie. W twoich statutach nie czyny tylko, ale i chęć dobrze uczynienia do nagrody ma prawo. Ty jeden znasz rzetelną przyczynę, dlaczego ta budowa świetna ruinami swojemi nas zasypała!" Ostatnie zdania torują mowcy przejście do dalszej potężnej apostrofy, zamykającej kazanie, pełnej gorącego wezwania do Boga, obrachunku za przeszłość i modlitwy błagalnej o przyszłość.

Znaczenie tego kazania podnoszą nietylko okoliczności, śród których przypadło, ale także treść i forma odświętna, stąd też zaliczono je do najdoskonalszych z tego działu, któremu sam Woronicz dał napis: pism i mów politycznych. Pod względem układu, związku i toku myśli mistrzowskie, pod względem treści podniosłe i przeważnie historyczne, bardzo polityczne i wielce rozumne, jest ono zarazem pod względem przepełniających je uczuć wysoce nastrojowe, a przecie zupełnie aktualne, do ważnych wydarzeń społecznych, do bieżących warunków politycznych i panującego wtedy właśnie ducha czasu, do usposobienia, oczekiwania i potrzeb słuchaczy świetnie domierzone. Poza niektórymi zwrotami, a zwłaszcza poza motywami filozoficznymi i spostrzeżeniami natury ogólnej, zdobiącymi wstępy do jego części składowych, a wspólnymi lub przynajmniej podobnymi do ustępów takiejże mowy Massilona przy poświęceniu chorągwi pułku Katynata, jest ono zresztą zupełnie samodzielne, rozwija się, pogłębia i wypełnia na podłożu ściśle rodzimem. Zarówno jego tło ogólne, podkład naskróś historyczny, jak szczegóły i epizody, w niem poruszone, wzięte są — z wyłączeniem przesadnego uwielbienia dla Napoleona [1]) — zresztą jedynie tylko z motywów narodowych. Przeszłość Polski, przeobrażenie jej stosunków politycznych w dobie spółczesnej, poglądy wreszcie i nadzieje na jej przyszłość dalszą, to są główne jego akordy, miłe dla ucha słuchaczy ówczesnych, urocze dla ich serc rozradowanych. Oddaje też ono wiernie i szcze-

[1]) Wodzicki, Pamiętniki str. 298.

rze nastrój duchowy samego mowcy, którego dusza tak była zawsze otwarta dla uczuć patryotycznych, tak wrażliwa na wszelkie losy ojczyzny, tego kapłana wpatrzonego od szeregu lat jedynie w dzieje jej minione, mogącego dotąd jedynie „pocieszać niekiedy łzy braci na zamierzchłych gruzach rozpaczy", wyglądającego oddawna z utęsknieniem, jak niegdyś Symeon ewangeliczny, lepszej doli i zbawienia ojczyzny umiłowanej, a teraz oto niezwykłym przejętego entuzyazmem, że ta upragniona chwila już nadeszła, że zmarłej pogrzebanej świta już różowa jutrzenka zmartwychwstania.

Rozgłos, jaki Woronicz zjednał sobie już przedtem wygłoszonemi w stolicy mowami i utworami poetycznymi, kursującymi w odpisach, wzmógł się po tem kazaniu przygodnem i domagał się niejako wyróżnienia mowcy tej miary, a zarazem uznania publicznego dla kapłana, który w opinii publicznej stanął już wówczas bardzo wysoko. Zwrócił też uwagę panującego w utworzonem dnia 9. lipca 1807 r. Księstwie Warszawskiem Fryderyka Augusta (od dn. 12 grudnia 1806, króla saskiego, którego dynastya w linii żeńskiej powołana została już przed laty konstytucyą Trzeciego Maja do dziedzictwa tronu polskiego po bezdzietnym Stanisławie Auguście). Jednym z pierwszych aktów nowego władcy było powołanie ks. kanonika Woronicza na dziekana kapituły warszawskiej i mianowanie go równocześnie członkiem (referendarzem i radcą) Rady Stanu nowego Księstwa.

Odtąd rozpoczął się dla Woronicza nowy zakres pracy, przeważnie natury politycznej. Albowiem za Księstwa Warszawskiego głównym przedmiotem zajęcia ogólnego były stosunki prawno-polityczne i wojskowe. Rozumiano zwłaszcza to, że w wojsku narodowem jest najpewniejsza podstawa lepszej przyszłości i ono też dostarczyć może rękojmi do przywrócenia i zabezpieczenia bytu politycznego, nietylko małemu kraikowi, jakiem było ówczesne Księstwo Warszawskie, ale całej przyszłej ojczyźnie w jej dawnych granicach. Stąd poszło, że nawet w rozprawach sejmowych sprawy odnoszące się do zaopatrzenia wojska i wzmocnienia twierdz dzierżyły naczelne miejsce. Obok nich wymagała także organizacya nowego Księstwa dużo rozwagi, sporo projektów i uchwał. Napoleon zwykł był każdy kraj zdobyty urządzać na wzór francuski.

Tak się stało i z Księstwem Warszawskiem. Dawne zwyczaje i prawa ustąpić musiały kodeksowi napoleońskiemu, a przez to powstało w początkach nowego ustroju państwowego znaczne zamieszanie z powodu rozlicznych zmian w stosunkach prawnych i sądowych. Bo chociaż kodeks ten zawierał świetne przepisy dla Francyi, nie nadawał się przecie do nagłego a ryczałtowego wprowadzenia w krajach polskich, gdzie tradycyjne zwyczaje miały często przewagę nad literą prawa. Aby te sprzeczności wyrównać, a wynikające z nich niedogodności usunąć, utworzył król Fryderyk August w Księstwie Warszawskiem dnia 5. paźdz. 1807 r. nowy rząd stały czyli radę ministrów, a przy niej równie ważną instytucyę rządową, tak zw. R a d ę S t a n u, złożoną z najznamienitszych prawników i urzędników, której obowiązkiem było: przygotowywać dla Sejmu projekty do praw. Sejm Księstwa składał się z Izby poselskiej i z Senatu, zbierać się zaś miał co dwa lata, lecz posiedzenia jego trwać miały tylko przez dwa tygodnie. — Uchwały powzięte w Izbie poselskiej otrzymywały sankcyę w Izbie senatorskiej. Członkowie Rady Stanu wnosili projekty do uchwały Izby poselskiej i bronili ich lub uzasadniali przed Senatem. Prócz nich miały to samo prawo deputacye (dzisiejsze komisye sejmowe) dla spraw szczególniejszych.

Tych kilka szczegółów historycznych posłuży do ocenienia nowego zajęcia i urzędu Woronicza, a zwłaszcza do zrozumienia samychże napisów i treści jego odezw, projektów do prawa lub przemówień publicznych w Sejmie, tem więcej, że wszystkie prawie tego rodzaju jego utwory i prace pozostały dotąd w rękopisach. Mianowany radcą Stanu, oddał się Woronicz nowemu urzędowi w zupełności, włożył weń cały swój zapał, talent i pilność. Cały rok 1808 poświęcił pracy przygotowawczej do nowego zawodu, zbierał materyały i podejmował obszerne studya, a wskutek tego zaliczyć można cały rok następny do najpłodniejszych w jego pracy publicznej podczas narad sejmowych. On to zainaugurował niejako akcyę Sejmu, gdy przy jego otwarciu (a więc w niespełna dwa lata po poświęceniu orłów i chorągwi polskich) wygłosił wobec króla Fryderyka Augusta i obu Izb sejmowych:

Kazanie przy pierwszem otwarciu Sejmu głównego[1]) Księstwa Warszawskiego, miane w kościele katedralnym warszawskim dnia 10 marca 1809 r.

Kazanie to nie ustępuje poprzedniemu ani co do głębokich myśli, ani co do siły w wyrażeniu. Jest ono chyba tylko mniej uczuciowe, ale natomiast rozwija program bardziej realny, a doniosły dla losów ojczyzny. Wedle brzmienia napisu utwór ten należy wprawdzie do działu mów religijnych, jest jednak w całej swej treści mową polityczną, ściśle sejmową, z rodzaju tych, które w naszej literaturze kaznodziejskiej tworzą osobną, a wcale obfitą kategoryę. Kazania te, pod nazwą „sejmowych", tworzące od kilku wieków oddzielną a bogatą gałąź naszego kaznodziejstwa i niewyczerpane źródło do poznania każdoczesnych stosunków ojczystych, mają też odrębną cechę rodzimą, wyróżniającą je zasadniczo od obcych utworów kaznodziejskich podobnej nazwy, a to przez sam ustrój polityczny i zwyczaje krajowe, jakie istniały w Polsce, odmiennie od innych narodów. Żadne też obce kaznodziejstwo, nawet w krajach oświeceńszych i politycznie wyżej stojących, jak np. Francya, wobec odmiennego ustroju społecznego i politycznego tych narodów, nie zdoła pochlubić się kazaniami sejmowemi w tym zakresie, w takiej rozmaitości tematów, o znamionach tak charakterystycznych i tak naskróś rodzimych, jak je posiada nasze.

---

[1]) Drukowane oddzielnie tegoż roku w Warszawie, przedrukowane następnie w wydaniu Czecha 1832 r. i Bobrowicza 1853 r. — W tymże r. 1809 wyszło ono także w przekładzie na język francuski i niemiecki pod napisem:

Discours prononcé dans la Cathédrale de Varsovie lors de l'ouverture de la première assemblée nationale du Duché de Varsovie par Mngr. l'abbé J. Woronicz, Doyen de la Cathédrale et Conseiller d'état le 10. Mars 1809, traduit du polonais par Ms. Tęgoborski ci-devant secrétaire d'état en Departement des affaires étrangères... in 8-o pk. 40. Bibl. Ossol nr. 2617.

Rede des Warschauer Dom-Dechants und Staats-Raths Herrn I. v. Woronicz, welche bei Eröffnung des ersten Reichstages des Herzogthums Warschau am 10. Maerz 1809 in der warschauer Domkirche abgehalten wurde. Aus dem polnischen übersetzt von Malisch, Kath. Weltpriester, in 8-o, pag. 46.

W Polsce bowiem nie obszedł się żaden sejm krajowy, ni sejmik ziemski bez kazania, choćby tylko wstępnego. Często było ono nawet wskaźnikiem i przewodnikiem dla posłów, a sam kaznodzieja stawał się przezeń nietylko rzecznikiem spraw ważnych, na sejmie do rozstrzygnięcia podanych, ale nieraz i rozjemcą śród rozbieżnych dążności stanów, stronnictw i kółek sejmujących.

Owoż zarówno kazaniem, w nagłówku podanem, jak następnem w r. 1812 wygłoszonem, wznowił Woronicz najpiękniejszą tradycyę polskich kazań sejmowych. Tak co do układu, jak co do treści, należy ono do najudatniejszych z tej kategoryi utworów. Opracowane starannie, miało zadanie jako program narad i działania: „rzucić na odzyskaną niwę narodowej pracy pierwsze przynajmniej nasiona tych prawd, któreby całemu pokoleniu przynieść zdołały przyszły plon prawdziwego szczęścia i sławy". Jak inni mowcy sejmowi w dawnych latach tak i Woronicz występuje w tem kazaniu jako zwolennik, tłumacz i rzecznik zasadniczych podstaw konstytucyi, nadanej Księstwu Warszawskiemu i wymownie zachęca posłów do sumiennego korzystania z jej darów dla zabezpieczenia przyszłości ojczyzny. Poglądy jego i wskazówki, rozwinięte wobec króla, senatu i Izby poselskiej, niemniej końcowe wezwania, godne są nietylko kaznodziei sejmowego, ale też prawdziwego statysty, doświadczonego radcy i wytrawnego męża stanu.

Za tło tego kazania i jego podziału na trzy części bierze mowca słowa Ezdrasza (1, 9): Stała się prośba nasza u Pana, że nam zostawiono ostatek, i dana nam jest podpora na miejscu jego świętem i oświecił oczy nasze Bóg, a dał nam żywot. Te słowa, zapisane przed dwudziestu i kilku wiekami, stosuje Woronicz przez analogię do ówczesnego położenia politycznego Polaków. Wspaniała a potężna odezwa do słuchaczy: „Polacy z popiołów wskrzeszeni, posłuchajcie mię", żywo przypomina podobne wezwanie św. Piotra w pierwszem jego kazaniu do mieszkańców Jerozolimy. Wyrazistymi rysami kreśli dzieło Opatrzności Boskiej, spełnione właśnie co na ojczyźnie polskiej, i barwnie maluje radość powszechną, z tego powodu spotęgowaną, a zarazem wskazuje na bezpośrednie jej przedmioty. „Ten sam narodowy sobór wasz, na który niespodzia-

nym głosem z grobów wywołani przybyliście, ta postać odrodzona składu waszego, którą się zamierzchłe mury tej świątyni rozradowały, ten święty obłąkania zachwyt, w którym z sobą się znaleźć i poznać nie możecie". Przypomina położenie Polski z przed dwóch lat, kiedy to jej jestestwa nie można było napytać się na okręgu ziemi, aby w tem przeciwieństwie tem korzystniej okazała się świeża zmiana stosunków politycznych i aby tem pewniej przekonać słuchaczy, że taka zmiana jest zaiste dziełem Bożem, zapisanem w księdze przeznaczeń narodów. Dla wyzyskania tem silniejszego kontrastu między niedawną żałobą a obecną radością, powołuje się na fakt historyczny, że już przed półtrzecia wiekiem przepowiadał w tej samej świątyni natchniony X. Skarga smutne losy przyszłe Polski, a to śród nierównie pomyślniejszych warunków bytu narodowego. Bóg długo zwlekał karę, a zesławszy ją, znowu się zmiłował dla zasług przodków, wysłuchał prośby i wzdychania narodu i mu przebaczył. Jak niegdyś Cyrusa przeznaczył na wskrzesiciela i wybawcę narodu żydowskiego z niewoli, tak obecnie powołał „wielkiego Napoleona, który urządziwszy w pogromie część zachodnią świata, jednym przelotem roztrącił grobowisko ojczyzny naszej i natchniony w nas zarodek nowego istnienia trojakim darem uświęcił". Ten dar trojaki wiąże kaznodzieja misternie z cytatą naczelną i w samychże jej słowach zakłada podział kazania na trzy części:

I. Wypuszczono nam ostatek (łać. reliquiae, a tą relikwią narodową jest jego konstytucya polityczna), a więc się na tych drogich szczątkach poznajmy, jeżeli na więcej zasłużyć chcemy;

II. Podpora dana jest nam w zamiłowanym królu, więc się jej sercem i duszą oburącz trzymajmy;

III. Bóg oświecił oczy nasze, więc w tej światłości do obrad sejmowych przystępujmy, aby nam... godny rodu i plemienia naszego żywot wskazała.

Najważniejszą w tem kazaniu programowem jest część pierwsza, gdyż w niej rozwija Woronicz myśli i projekty najdonio-

ślejsze. Aby słuchaczom przedstawić wielkość darów i dobrodziejstw niedawno co uzyskanych, rozpoczyna od największego, a więc od oswobodzenia ojczyzny, od przywrócenia jej choćby części dawnych granic. W tym celu odtwarza ponownie, a nierównie wydatniej, obraz niedawnych jeszcze (z przed 30 miesięcy) jej warunków politycznych, bardzo przykrych i dojmujących, a w dalszym toku uwydatnia zaszłe odtąd zmiany, wysłużone niemałym trudem i ofiarami bohaterskich legionów, w dalekich nawet krajach dla odnalezienia straconej ojczyzny podjętemi. Teraz tłumaczy ideę ojczyzny, kładzie nacisk na pojęcie jej duchowe, aby sobie utorować drogę do wykazania dalszych dobrodziejstw, jakie wskrześca ojczyzny w ślad za jej odrodzeniem przydał. Są one zawarte w księdze konstytucyi politycznej dla świeżo utworzonego Księstwa Warszawskiego nadanej; dlatego zajmuje się mowca jej ustawami szczegółowo, aby wskazać stanom sejmującym, jaki ma być duch tej konstytucyi i przewodnie jej zasady. Pierwszym i zasadniczym artykułem tej konstytucyi uznano religię katolicką za panującą. Kaznodzieja wykazuje jej znaczenie dla Polski w wiekach minionych, potrzebę ścisłego przestrzegania jej prawd i przepisów w czasach bieżących, jako podstawy i rękojmi lepszej przyszłości. Są to na ogół myśli i pobudki już w poprzedniem kazaniu rozwinięte, a w tem jedynie szkicowo i w zmienionej stylizacyi zawarte.

Walną zasługą religii katolickiej, jej owocem i koniecznem następstwem, jest zniesienie niewoli. Tę zdobycz przynosi właśnie drugi artykuł nowej konstytucyi, a przeto mowca, trzymając się związku logicznego, przechodzi do tej ważnej naówczas sprawy i poświęca jej znaczną część tego kazania. Skreśliwszy w kilku silnych rysach walki o usunięcie niewoli w dawnych czasach i narodach, przebiega szkicowo fazy odnośne w dziejach Polski, aby uwydatnić, że Sejm czteroletni przygotował w Konstytucyi 3 Maja dla stanu rolniczego mądre prawa, zmierzające do zniesienia poddaństwa, lecz w czyn wprowadzić ich już nie zdołał. Kaznodzieja wypowiada oczekiwanie, że przynajmniej teraz poddaństwo chłopów, ta „śmiertelna politycznego ciała choroba“ zostanie usunięte, a nowa konstytucya przyniesie im wolność pra-

wdzięk. Wskazuje też na spodziewane korzyści moralne, jakie to zrzeszenie się pociągnie za sobą w przyszłości: „Doświadczacie już na pierwszym wstępie skutków tego zamiaru, poglądając z radością, że lwy same z taką zaciekłością legowisk swoich nie bronią, jak te pracowite mrówki, nadzieją dopiero znalezienia ojczyzny pocieszone, za jej się całość i sławę zastawiają".

Wzywa przeto stany sejmujące do wymierzenia sprawiedliwości wieśniakom, do rozciągnięcia nad nimi opieki, do udostępnienia im korzyści z wolności konstytucyą zabezpieczonej, a przeto żąda w logicznej konsekwencyi: równości w obliczu prawa dla wszystkich mieszkańców wspólnej ojczyzny i równości pod względem bezpieczeństwa stanu kmiecego pod opieką trybunałów, bo „skoro ta upragniona ojczyzna ma być wspólną dla wszystkich matką, więc wszystkie dzieci do jej posagu należeć powinny".

To śmiałe wystąpienie kaznodziei w ówczesnych warunkach w obronie zasady równości wszystkich wobec prawa i domaganie się wolności obywatelskiej dla wszystkich mieszkańców, ta gorąca obrona ludu wiejskiego i silne podkreślenie potrzeby zniesienia poddaństwa zasługuje na szczególniejszą uwagę i rzetelne uznanie.

Obawia się jednak Woronicz, by pojęcie „równości" nie było źle zrozumiane w niższych warstwach pracujących, by nie poprowadziło „rozdrażnionych chuci i rządz" do gwałtownych porywów socyalnych, do zaburzeń i rzucenia się na to, co drugiemu od potrzeby zbywa". Dla ochrony przed takiem nadużyciem równości i wolności, choćby nawet nędzą spowodowanem, każe szukać hamulca w religii, gdyż ona tylko zdoła przekonać Łazarza przed bramą bogacza na śmieciu leżącego, aby swą nędzę miłował, a bogaczowi losu jego nie zajrzał", ona jedna „może natchnąć czarodziejskie posłuszeństwo cegiełkom, w kształcie i naturze równym, aby dla w z n i e s i e n i a n o w e j b u d o w y jedne się z nich w rozkopanych wnętrznościach ziemi zagrzebały i cały ogrom ciężaru dźwigły, a drugie dla kształtu i ozdoby na szczycie świetnego gmachu jaśniały". Przemawia tedy do poczucia sprawiedliwości i do roztropności sejmujących, aby umieli zręcznie pogodzić równość

polityczną z nierównością sił fizycznych i z warunkami duchowymi różnych warstw społeczeństwa.

Z zapałem prawi dalej mowca o znaczeniu wolności prawdziwej i jej korzyściach, wykazując, że to zawiera również świeżo ogłoszony statut konstytucyjny. Z jednej strony zabezpiecza swobody wolnego ludu, z drugiej powściąga niekarną swawolę. W pierwszym kierunku podkreśla wolność sejmowania i zwraca uwagę na ustrój podwójnej Izby prawodawczej, t. j. na Koło sejmowe i na Senat, w drugim stawia na straży dóbr materyalnych i duchowych księgę ustaw p. t. kodeks cywilny Napoleoński, spisany w języku narodowym, i przypomina, że jego wykonanie poruczono rodakom z wolnego wyboru, od nikogo niezawisłym, a przeto niczego nie dostaje do prawdziwej swobody obywatelskiej i społecznej.

Koroną dobrodziejstw konstytucyjnych jest rząd silny, aby mógł powściągnąć swawolę i wykroczenia. Woronicz powołuje się na dzieje ojczyste i obce dla przekonania słuchaczy, do jakiego upadku doszły państwa bez sprężystego rządu, a przeciwnie, jak zakwitły te, które miały rządnego gospodarza. Unosi się dalej nad wartością rządu wzorowego z jednym naczelnym kierownikiem, zachwala przeto formę rządu monarchiczną, wylicza trudy, ofiary i odpowiedzialność naczelników rządowych za całość państwa i dobro każdego z obywateli, uzasadnia potrzebę przysposobienia im licznych pomocników i wyręczycieli, a tem samem zabezpieczenia im bytu z funduszów publicznych, gdyż oszczędność przesadna w tym względzie byłaby ze szkodą dla dobra ogólnego. Streszcza raz jeszcze dobrodziejstwa konstytucyjne i wykazuje, że podobnie jak w niespodzianem odzyskaniu ojczyzny tak i w warunkach, w jakich Księstwo Warszawskie otrzymało tak mądrą i wiele obiecującą konstytucyę, uznać trzeba w duchu wiary i w świetle rozumu opiekuńcze rządy Opatrzności i niezaprzeczony palec Boży.

W drugiej części kazania wychodzi mowca z zasady, że cała radość z nowo otrzymanej konstytucyi na małoby się przydała, gdyby zabrakło trwałości i pewności dla nowych urządzeń. Ich rękojmią jest osoba króla. Mówiąc w obecności króla, kaznodzieja

oświadcza, że skromność zamyka mu usta, aby miał o jego przymiotach rozprawiać na miejscu świętem. Natomiast chce pójść za wskazówką Tobiasza (r. 12), iż dzieła Boże w królach objawiać i wyznawać jest rzeczą chwalebną. W tem także uznaje zrządzenie Opatrzności, że Bóg dochował i powrócił narodowi tego króla, „którego 10 milionów braci naszych niesłychaną w dziejach jednomyślnością za ojca sobie i pokoleniom swoim przybrały. Wysławia dalej zasługi domu saskiego w minionych dziejach Polski, a przechodząc do stojącego wtedy na czele Księstwa, w tem widzi zamiary Boże spełnione, że Polacy otrzymali księcia wedle serca Bożego, podobnego do Mieczysława I., bo jak tamten zakładał węgielną podwalinę pierworodnej ojczyzny, tak temu przeznaczono odrodzić ją po klęskach wstrząsających jej bytem u samych podwalin. Jak Mieczysław niegdyś kolebkę państwa polskiego oparł na przymierzu i przyjaźni z Bogiem, tak i ten drugi „zaszczepca odrodzonego nasienia naszego“ odznacza się pobożnością. Zachęca przeto do naśladowania jego przykładu, do cnoty i bogobojności, bez których życie prawdziwe, wzrost i polot do sławy nie może się w żyłach zawiązać, bo nikt nie był wielkim i sławnym, kto się wprzód „Bogiem nie napełnił“.

Wykazawszy, że w królu dana jest podpora nadziei ojczystych, na prawdziwej cnocie i pobożności u samego Boga oparta, owszem, ręką samego Boga wkopana, mowca uzupełnia to w trzeciej części kazania wskazówką, że to „światło na świeczniku królewskim zapalone pomaga znakomicie otaczające potrzeby rozpoznać i onym zaradzić“. Tę otuchę śród ogólnego niedostatku i nędzy w kraju, w którym jeszcze świeże rany nie zostały zagojone, czerpie kaznodzieja stąd, że ten sam monarcha w dziedzicznym kraju swoim zasłynął z dobrodziejstw i sztuki rządzenia. Szczegół ten uwydatnia za pomocą retorycznej personifikacyi, dla wywołania silniejszego wrażenia użytej. Przypomina następnie, że ten monarcha objął rządy Księstwa Warszawskiego nie dla swojej przyjemności, ale dla dobra narodu, więc odpowiedzieć mu należy z całą ufnością i powolnością korzystaniem z jego „wzorów i przykładów“. Zaczem woła patetycznie: „O szczęśliwy zawiązku no-

wej istności naszej, jeżeli tymi sokami cnót ojczystych powrócone życie napoisz!"

Teraz przechodzi kaznodzieja do wskazówek przydatnych posłom przy rozpoczęciu sejmu, a idąc stale za cytatą naczelną, wykazuje przez analogię, że jak niegdyś żydzi, dekretem Cyrusa do swej stolicy powróceni, zaczęli od przeczytania praw i dziejów ojczystych, tak podobnie czynić należy przedstawicielom narodu polskiego dla narad zgromadzonym. Tu w krótkich parafrazach, zręcznie dobranych ustępów z Pisma św. daje stanom sejmowym cenne rady, upomnienia i przestrogi, oparte na doświadczeniu dziejowem, a bardzo praktyczne dla ówczesnych stosunków w Polsce. Więc przypomina wpierw niedawne jeszcze nieszczęścia: Zapomnieli o Bogu swoim i dla tego zagniewany Pan podał ich w ręce nieprzyjaciół. Wzywa przeto, aby teraz, zrozumiawszy przyczyny swych poprzednich nieszczęść, zwrócili się w uczuciu wdzięczności do Boga i aby zawołali do Pana, który im wskrzesił zbawcę i wybawił je, a na przestrogę dalszym pokoleniom, by zapisali na czele praw narodowych dawny wyrok Boży, iż Królestwo przechodzi od narodu do narodu dla niesprawiedliwości, ucisku i zdrad rozmaitych. Epilog tworzy logicznie i retorycznie rozwinięta parafraza słów św. Pawła: „Braterstwo miłujcie, króla szanujcie, Boga się bójcie".

Treść tego kazania wskazuje chyba wyraźnie, że ono nie było tylko dekoracyjną inauguracyą posiedzeń sejmowych, okrasą retoryczną wymownego kaznodziei, ale wnosiło rzeczywiście w dalszy tok narad gotowy program, uwagi i wskazówki godne zastanowienia i zastosowania. Zwłaszcza w pierwszej jego części stanął Woronicz zupełnie na wysokości zadania mowcy sejmowego, wprowadzoną konstytucyę poddaje gruntownemu rozbiorowi, nie bawi się w ogólniki i frazesy, lecz wskazuje wyraźnie, które jej artykuły mają znaczenie zasadnicze i którym mają posłowie poświęcić baczną uwagę, aby niezwłocznie weszły w życie i przyniosły rzetelne jej dobrodziejstwa. Tam szczególnie, gdzie mowca ujmuje się za stanem włościańskim, gdzie domaga się dla niego wolności politycznej, zniesienia poddaństwa, obrony prawa

osobistego, znamionuje jego wymowę głębokie przejęcie się, wielka siła przekonania i żywe współczucie dla warstw w narodzie upośledzonych, a te uczucia wnoszą w praktyczną przeważnie osnowę mowy nietylko pożądane urozmaicenie, ale także wątek do najśmielszych zwrotów i ozdób retorycznych. Również ustępy o religii katolickiej jako panującej w państwie, o wolności dyskusyi, zgromadzeń i głosowania, o podziale sejmu na Izbę posłów i Senat, jakoteż o wzajemnym ich do siebie stosunku o formie silnego rządu monarchicznego i o władzach wykonawczych, przynoszą potężne echo tych głosów kaznodziejskich z lepszej przeszłości, kiedy to w kazaniach sejmowych ustrój polityczny rozległego jeszcze państwa był przedmiotem troski, rady i wniosków. Ta pierwsza część kazania, jak rozmiarami swymi byłaby wystarczyła całkiem na wstępne kazanie sejmowe, tak znowu treścią prawdziwie polityczną mogła najzupełniej wytworzyć całość odrębną, nawet z pominięciem w dalszych częściach gloryfikacyi króla i obowiązków sejmujących, i w tych nawet ramach zabezpieczyć Woroniczowi wszelkie przymioty sejmowego kaznodziei, mowcy, obejmującego sprawy jak najbardziej aktualne, trzeźwego a bystrego statysty i mądrego męża stanu.

(C. d. n.)

Ks. Dr. Aloizy Jougan.

Zmartwychwstanie.

Wkrąg cisza, mrok w Katedrze,
Majestat Wielkiej nocy:
Śpi stary gród sierocy, —
Tylko się czasem przedrze
Lękliwy blask miesiąca,
Na gzymsów zadrga ramie,
Po fryzach się roztrąca,
Upadnie na kolumny
I srebrne smugi złamie
U Męczennika trumny...
Śpi w ciszy Wawel dumny;
Lecz oto dzwon uderzy,
Wstrzęsną się stropu belki,
Łom słychać, łoskot wielki
Od lochów pod szczyt wieży:
O dziw! przez opar szary,
Pod znaków dawnych wodzą,
Z podziemnych sal wychodzą
Świetlane Przodków mary,
Przybrane w kolczug druty,
Z pękami piór na głowie,
Hetmani i Królowie,
Rój zjawisk z mgły wysnuty,

W sobolach i atłasie
Poważne wojewody,
Dziewice w wiosny krasie,
Pacholąt orszak młody
Rozgląda się ciekawie,
Biskupi i prałaci,
Ogromny tłum postaci
Ku bocznej płynie nawie,
Gdzie wielka tajemnica:
Bóg z krzyża złożon w grobie,
W zielonych palm ozdobie
Pobladłe skłonił lica; —
Tam głów się chyli morze,
Zagrzmiało: „Święty Boże!“
Mocnymi tonów grzmoty
Zahuczy organ złoty
I gromem przez świątynię,
Jak jęk, co serce targa,
Potężną falą płynie
Ogromna duchów skarga:

Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny!
Do Ciebie jęczym w pyle,
Strój chwały wróć — weselny,
Wskrześ Wielkość, co w mogile, —
Zmyj rdzę, co puklerz plami —
W niewoli lat już tyle!
Spójrz, nędznim, słabi, sami...
Zbudź w synach hart nasz dzielny,
Ulituj się nad nami,
O Święty, nieśmiertelny!

Od powietrza, głodu, ognia i wojny,
Co braci na się miota,
Broń, Panie, lud niezbrojny!
Nas pali żar — tęsknota,

Nam granat pola orze...,
Wskrześ zmarłych do żywota,
Zmień w słońce — ranne zorze,
Wróć Polsce mir dostojny,
Wybaw nas, Ojców Boże,
Od głodu, ognia, wojny!

Od nagłej, a niespodziewanej śmierci,
Co w niemoc rzuca ducha,
Sztandary rwie na ćwierci,
Na pozew Boży głucha —
Zachowaj nas, o Panie,
I zbaw od rdzy łańcucha,
Co jady kładzie w ranie
I w proch moc serca wierci;
O, usłysz głos, wołanie —
Od nagłej broń nas śmierci!

My grzeszni, do Ciebie, Boga, wołamy:
Wróć dawnych blask stuleci,
Przemocy pokrusz bramy,
Wysłuchaj głos Twych dzieci:
Trzy ziemie, trzy narody,
Rozbite wśród zamieci,
Do starej przywiedź zgody,
Od swarów obmyj plamy —
I wiedź w tryumfu gody;
Do Ciebie my wołamy!

Jezu, przepuść! Jezu wysłuchaj! Broń nas, Matko nasza!
Królowo z Jasnej Góry!
Spalone wznieś poddasza,
Wskrześ Polskę po raz wtóry,
Przebłagaj gniew Jehowy! —
Słyszcie nas Świętych chóry,
Wiek łask zjednajcie nowy:

Niech krew już pól nie zrasza,
O, zerwij nam okowy,
Królowo, Pani nasza!

* * *

Umilkły modlitw słowa,
W dalekich kryptach tonie
Pieśń skargi, bezechowa;
Wzniesione jeno dłonie,
Wzniesione w niebo twarze....
Tłum mar w tęsknocie czeka
Rychło się cud ukaże:
A oto — tam — z daleka
Ogromne światło błyska
Tęczową jasną łuną.
Pomroki się rozsuną
I widać cud Zjawiska:
To On, Król wieków, w chwale,
Zwycięzca jasny zgonu,
Nad świateł drżących fale
Z niebiosów spływa tronu:
Moc, tryumf w Jego twarzy,
To On, co serc tęsknotą,
Król wieków, Pan mocarzy,
W koronę zdobny złotą,
Szaty ma lśniące białe,
Na dłoniach krwawy rubin,
Królewskich znak zaślubin,
Przez które wszedł w swą chwałę,
Cyrograf zdradny śmierci
Stargawszy wprzód na ćwierci! —
Oblicze Jego płonie
Jak z rannej, rajskiej zorzy,
Szeroko wprzód rozłoży
Swe święte, Boże dłonie,
Jakby tych ziemic kręgi

Chciał objąć w swe ramiona,
Do swego tulić łona
I skrzydłem swej potęgi
Od nieszczęść strzedz nawały:
To On, Król wiecznej chwały!
O patrzcie, jak świetlanie
Błyszczą Mu szczęściem oczy,
Ubrany w płaszcz przeźroczy,
Z otwartym bokiem — w ranie,
Jak powiew wiatru cichy,
Co wstrząsa róż kielichy,
Szepce:
„Jam Zmartwychwstanie!“

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Dawne czy nowe cele życiowe?[1]

My, ludzie dzisiejsi, znajdujemy się wśród dziwnie rozbieżnych prądów. Jak Herakles stoimy na rozdrożu, nie wiedząc, gdzie się udać, bo dwie przewodniczki pragną nas wieść przez życie, a każda darzy nas obietnicą, iż pewną ręką doprowadzi tego, kto ją wybierze, do jedynie prawdziwego, pełnego życia... do jedynego życia, jakie przeżyć warto.

Najpierw więc P r z e s z ł o ś ć kładzie na nas dłoń i mówi: Jesteś mojem dzieckiem! Wychowałam cię pracą stuleci, w wiernej trosce chyliłam się już u twojej kolebki, zanim istniałeś jeszcze. Przez dwa długie tysiąclecia chrześcijańskiej kultury tworzyłam pożywienie dla ciebie, nad głową twoją i twego narodu wzniosłam niebosiężny tum chrześcijańskiej wiary w Boga i dałam ci boskiego przewodnika, by cię przeprowadził przez ciemnię dróg, przez otchłanie przepaści życia... I dlatego zostań mi wiernym! U mnie jedynie znajdziesz prawdę ducha, spokój duszy i szczęście serca.

Ale do owej mowy P r z e s z ł o ś c i mięsza się zwycięsko dźwięczący ton, przejmujący zew P r z y s z ł o ś c i. W mieniącej się od barw szacie przychodzi ona do nas, z świadomą nadzieją w błyszczącem oku, pełnię uwodnego czaru mieści jej postać, z obie-

[1]) Odczyt wygłoszony w dużej sali wiedeńskiej „Uranii", dnia 19 stycznia 1917 roku.

cującym uśmiechem woła ona: Nie jesteś już niewolnikiem przeszłości! Jesteś dziedzicem tronu w państwie przyszłości! Naprzód więc! Oto ja wołam cię do nowego, szlachetniejszego człowieczeństwa. A może zadowala cię rola małego Epigona, dawno zamierzchłych czasów?... Zaprowadzę cię na strome ścieżki gór!... Ale może tobie wystarcza pełzanie staremi drogami, w tępem, wygodnem zadowoleniu... stulecia je już wydeptały przed tobą? Uznaję cię za dojrzałego i świadomego dostatecznie, byś bez przewodnika, jako samego siebie pan, życie swoje na nowo kształtował... a może chcesz być wciąż jeszcze jako ów syn dorosły, wieszający się u fartucha zgrzybiałej matki? Zniszczę mury i sklepienia rozwalę, bo zaciemniają lot twego ducha... Kraj lśniących gwiazd będzie twoją ojczyzną, twym tronem ziemski głob! Co dnia, w każdej chwili, walczą o nas te dwie przewodniczki życiowe; pierwsza skromnie, niemal lękliwie powołuje się na swoje udokumentowane prawa, na pamięć usług wiernych — druga śmiało i natrętnie obiecuje nam wszystko, czego człowiek zapragnąć może.

Wołanie tych dwóch przewodniczek dochodzi do nas zarówno z naszego własnego ja, jak i z całego zewnętrznego świata, dźwięczy ono w harmonii dzwonów kościelnych, woła z afiszów teatralnych, mieści się w głosie sumienia, w pragnieniach krwi.

Odczuwacie zapewne, o czem mówię: z jednej strony staje dawny, chrześcijański światopogląd, stara, znana wiara w Boga, z drugiej kult nowego życia, nowa religia bytu doczesnego.

Dawna, chrześcijańska wiara w Boga jest waszą, mniej lub więcej dobrą znajomą, więc przedstawić jej nie potrzebuję, ale papiery uwierzytelniające drugiej przewodniczki nie wszyscy przejrzeć zdołali dokładnie.

W ostatnich stuleciach, szczególniej zaś od czasów wielkiej rewolucyi francuskiej, złączyły się różne pokrewne prądy duchowe w jedną wielką całość, aby chrześcijańskim światopoglądom przeciwstawić nowe. Ten nowy światopogląd pragnie opierać się jedynie na rzeczach uchwytnych, na doświadczeniach naukowych; wszystko nadzmysłowe, wszystko, czego dotknąć nie można, ani badaniem udowodnić, zostaje z góry wykluczone. Według tego no-

wego światopoglądu cały świat jest w sobie zamkniętą, na sobie polegającą jednostką, wszechnaturą, czy wszechbogiem, który w całym świecie żyje, działa i rozwija się do coraz większej doskonałości. Jest to światopogląd czysto doczesnego bytu, który znajduje właściwe rozwiązanie w dzisiejszym naturalizmie i monizmie, a swoje specyalne wypowiedzenie w prądach monistycznych. I jeżeli nawet ten światopogląd, u niektórych swoich przedstawicieli, uznaje konieczność pierwiastka religijnego, to przecież podkreśla zawsze swoje główne dążenie, iż nie należy szukać Boga jako coś od świata oddzielnego, wszechmocnego, świadomego i osobowego.

Nadzmysłowa, religijna podstawa monizmu nie jest niczem innem, tylko istotą świata samego, w najlepszym wypadku wszystko obejmującym, w materyi zamieszkałym duchem, nieosobistym i nieświadomym, a budzącym się do świadomości i pełnego rozwoju dopiero zapomocą ludzkiego ducha i mózgu.

I ten właśnie monizm chce być nietylko właściwym z r o z u m i e n i e m ś w i a t a, ale pragnie także stworzyć i upodstawować n o w e z a p a t r y w a n i a ż y c i o w e.

Ukazałem więc wam metrykę, papier uwierzytelniający nowej wiary życiowej, jej o j c e m jest pozytywizm, jej m a t k ą naturalizm, a ojczyzna jej znajduje się tam, gdzie mieszka zaprzeczenie bytu zaświatowego i osobowego Boga!

I właśnie w sposobie pojmowania sensu i treści życia zaznacza się, pomiędzy tymi dwoma światopoglądami, kontrast najsilniejszy. Chrześcijańska wiara w Boga poucza: Sens życia mieści się w tem, byśmy wprawdzie rozwijali harmonijnie wszystkie siły życiowe, mieszczące się w nas, byśmy współpracowali wytrwale we wszystkich zadaniach teraźniejszej kultury, nie zapominając jednak, iż życie nasze obecne jest tylko przygotowaniem, szkołą do przyszłego, wiecznego żywota. Oderwane od tego pojęcia, jest życie ziemskie znikomem jak fala morska, którą toń pochłania, jak dym unoszący się z ogniska, jak chmura, która nie zostawiając widomego śladu, rozpływa się w przestrzeni. Tylko byt przyszły jest treścią i celem teraźniejszego.

Nowa wiara życiowa mówi jednak: Nie oczekujmy żadnego życia przyszłego, żadnej Bożej nagrody, ni kary. Jedynym celem

życia jest rozwój życia samego. Nie mamy innej ojczyzny prócz tej na ziemi, dobrze nam tu jest i tu pragniemy rozbić nasze namioty.

Jak już wspomniałem, matką tego nowego kultu życia jest naturalizm. Zadziwiające postępy wiedzy przyrodniczej wywołały wiarę, że oto duch ludzki odnalazł cudowny, zaczarowany klucz, który otworzy najbardziej nawet tajemnicze zakamarki natury, i jej starannie strzeżone skarby wyniesie na światło dzienne. Szał upojenia owładnął ludzkością, widziano się na pewnej drodze, która z jednej strony miała wieść do istotnych głębin rzeczywistości, z drugiej zaś urzeczywistnić najśmielsze, najidealniejsze plany szczęśliwej, niczem nie zamąconej przyszłości. I dziś jeszcze te optymistyczne zapały niezliczonych posiadają stronników.

Ale również coraz silniej uwydatnia się obecnie — prąd przeciwny. Jednostronny, przesadny kult natury czyni zwolna miejsce spokojniejszemu sposobowi zapatrywania. Człowiek pyta: Dałaż nam wiedza wszystko, czego nasz młodzieńczy zapał oczekiwał od niej, w co wierzył? Nasze pragnienie wiedzy zaspokoiła ona wprawdzie w sposób wprost nieprzeczuwany, odnieśliśmy jednak wrażenie, że kryje się zawsze jakieś tajemnicze coś w najgłębszej istocie rzeczywistości, coś, co staje się tem więcej zagadkowem, im więcej szat zrzuca z siebie natura. Wiedza zadowoliła nasze płomienne pragnienie najwyższej władzy nad światem, wyniosła nas na panów ziemi, powietrza i morza. Ale czy z tem rozszerzonem władztwem przybyło nam i władania nad własnym losem? nad własną istotą? Czy nie stało się wprost przeciwnie, czy to władanie w państwie naszej duszy, w naszej osobistej wartości, nie zmniejszyło się, nie znikało, im więcej owe odkrywane skarby natury wabiły nas na zewnątrz? Wiedza urzeczywistniła nam ideały, o których nie marzyliśmy nawet, ale czy przesadne zachwyty naturą nie zniszczyły nam również ideałów, nie zrabowały nam ich, nie zabiły, — i to ideałów, które do nas należały niepodzielnie, były w nas najczystszemi i najdroższemi? Wiedza coraz to większe bogactwa dawała nam do rozporządzenia... ale czy szalona pogoń za dobrami materyalnemi nie zrabowała nam właściwego szczęścia duszy i serca?

I ta świadomość budzi się wśród ludzkości coraz silniej, wzrasta coraz potężniej, coraz bystrzejszemi, czystszemi, świetlistszemi stają się nareszcie widzące oczy. I zwolna zaczyna się ludzkość odwracać od przesadnego kultu natury i życia, by powrócić znowu do prawdziwych, nieśmiertelnych ideałów!...

Oto jest godzina narodzin religijnej tęsknoty naszych czasów!

Przyszła wojna, niezmierzony pożar owładnął światem, jej płomienny żar rzucił olśniewające światło na nasze czasy, naszą kulturę... I oto w jej trawiącym ogniu zaczyna więdnąć chorobliwe uwielbianie życia, jak roślina bez korzenia, poddana płomieniom upalnego słońca; tęsknota religijna czerpie z niej natomiast nowe życie, wzrasta, zakwita, woła za coraz szerszą przestrzenią, by się uzewnętrznić. Tak młodość w pełni rozwoju żąda szlachetniejszego celu dla swej siły.

I oto jest godzina próby religijnej wiary naszych czasów!

Dzisiaj najszlachetniejsi i najlepsi z nas przedarli się już do przekonania, że naturalizm i monizm, które od wiedzy jedynie oczekiwały rozwiązania wszelkich zagadnień światowych i wybawienia ludzkości, skończyły swoją rolę, bo nie mogły wypełnić swoich obietnic. I w miejsce naturalistycznego światopoglądu wkracza coraz silniej światopogląd religijny, który widzi w istocie Bożej podstawy prabytu, a w naszych związkach z Nią odwieczny warunek prawdziwego i istotnego szczęścia. Chociaż słabemi, niepewnemi, macaniu ślepca podobnemi są dążenia nowoczesne do zdobycia religijnego światopoglądu, nie mniej należy je witać radośnie, dopomagać im i kierować na tory właściwe. W naszej nowoczesnej duszy budzi się coraz więcej pragnień, których spełnienie może dać życiu naszemu prawdziwą, czysto ludzką wartość i wartość wieczną zarazem. Przedewszystkiem więc istnieją cztery źródła, w których głębi szuka zaspokojenia swoich pragnień człowiek współczesny. Są to cztery kamienie węgielne, od których rozchodzi się w przeciwne kierunki stara wiara w Boga i nowy życiowy kult. A ja twierdzę, iż nie modny, życiowy kult, jeno prawdziwa wiara w Boga może pragnienie ukoić i na owych kamieniach węgielnych silny gmach życia wznieść.

Człowiek dzisiejszy pragnie osobistej wartości. Uświadamia sobie, że nie jest tylko atomem wśród milionów podobnych atomów, których wartość jedynie w liczbie, a siła w zjednoczeniu spoczywa. Wie, że także, jako istota pojedyncza, jako osobnik ma swoje właściwe znaczenie, swoją własną wartość. Wie, że drzemią w nim siły, które w tym złożeniu, ugrupowaniu, w tej formie raz tylko istnieją i tylko do niego należą. Wie również, iż odpowiednie wykształcenie i pomnożenie tych uzdolnień wytworzyć może życie ludzkie, które mieści samo w sobie pewną samoistną wartość. Czemże są marzenia dziecka albo dojrzewającej chłopięcej lub dziewczęcej duszy, jeżeli nie tęsknotą, która dopomaga kiełkującym, uśpionym zdolnościom do pełnego ukształtowania? Czem jest duma, próżność, samolubstwo, które w większej lub mniejszej mierze opanowują każdego człowieka, jeżeli nie sprowadzoną na fałszywe tory świadomością, iż on sam, jako jednostka posiada dużą, nie przemijającą, wieczną wartość?

Konsekwentnie przeprowadzony naturalizm niszczy wszelką osobowość. W naturalizmie istnieją tylko atomy, drobiny (molekuły) i ich odmiany. W gruncie rzeczy nie wiele to zmienia, czy się mówi o materyalnych, czy o duchowych atomach, każdy atom jest tylko liczbą, która przez drugą, równoznaczną zastąpioną być może. Wartości pojedynczych, osobistych niema w naturalizmie. Cały świat i nietylko świat martwej natury, ale także świat roślin, zwierząt, ludzi, jest tylko jedną wielką maszyną, której koła obracają się pod wpływem wiecznych, żelaznych, nieodmiennych praw natury.

A jeżeli zapytasz, jaki cel ma ta światowa maszyna, to naturalizm odpowie ci ironicznym uśmiechem wyższości: pytanie było bezmyślnem, świat i jego mechanizm nie mają żadnego celu, a co w tryby tej maszyny wpadnie, miażdży ona z bezwzględną obojętnością. I nie powinien skarżyć się człowiek, gdy on sam lub ktoś z jego blizkich stanie się ofiarą tej maszyny; z tą samą obojętnością i nieodpartą siłą konieczności, z którą tutaj niszczy kwitnące życie, tam wskrzesza ona nowe z gnijących grobów.

Przeciw takiemu fatalizmowi oburza się głąb naszej jaźni! Każdy nerw naszego serca, każde drgnienie duszy woła: — taki

światopogląd nie może być prawdziwym! I dlatego powraca głębiej myślący człowiek współczesny do religijnego światopoglądu. Religia daje prawa osobiste człowiekowi, daje mu właściwe uprawnienie życiowe. Jedynie religijny światopogląd zapewnia osobistą wartość człowiekowi, pomnaża, rozwija i uszlachetnia ją. Religia polega przecież na osobistym stosunku człowieka do Boga. Więc osobista wartość człowieka należy do najgłębszych podstaw prawdziwej religii. Dlatego ni martwa materya, rośliny, ni zwierzęta nie mają religii, bo nie posiadają osobistej wartości, bo nie są świadomemi, myślącemi, moralnie skończonemi istotami. Religia daje naszej osobistej wartości jej pełne uprawnienie życiowe, w niej Bóg sam wstępuje z człowiekiem w związki duchowe i osobiste, a im głębiej, im potężniej religia przenika nasze życie wewnętrzne, a naszemu zewnętrznemu nadaje swoje piętno, tem silniej zaznacza się właściwa, osobista wartość człowieka.

Najdoskonalszym kwiatem osobistej wartości są przecież nasi święci; im dopomogła religia do opanowania nawet najlżejszych drgnień namiętności, przeciwnie zaś sławne, znane „osobistości", należące do historyi świata, były często wielkimi niewolnikami swoich małych kaprysów.

I kiedy najmniej czuje się człowiek owym atomem między atomami, owym małym kółkiem w olbrzymiej maszynie praw natury, jeżeli właśnie nie w owej cichej, pięknej godzinie wewnętrznej rozmowy ze swoim Bogiem? Albo... może istnieć piękniejsze świadectwo dla osobistej wartości człowieka nad to, jakie przynosi religia? — oto Bóg sam zeszedł na ziemię, by zbawić duszę ludzką, by ją wyzwolić z pęt win zmysłowych. Naturalizm nie zna osobistej nieśmiertelności i znać jej nie może, o ile chce być konsekwentnym, i tem niszczy już to, co jest kwiatem człowieczeństwa. Religia uczy wszędzie i zawsze, w jakiejkolwiek formie występuje, że człowiek jest nieśmiertelnym. Niema nic bardziej rozwijającego, pobudzającego, uszlachetniającego nad ową obyczajową wiarę w nieśmiertelność. Wszystkie stare i nowe religie panteistyczne i monistyczne są w gruncie rzeczy tylko zawelonowanym naturalizmem, gdy mówią o nieosobowem zaniknięciu i złączeniu się człowieka z praosobową otchłanią bytu.

Mówi się jednak, iż naturalizm i monizm mają nas prowadzić do j e d n o ś c i, a niczego nie pragnie tak człowiek dzisiejszy jak tego właśnie. Cała myśl, całe dążenie człowieka od zamierzchłej przeszłości do dnia dzisiejszego skupiało się w poszukiwaniu jedności dla świata. Wszystkie mitologie wschodu i zachodu, narodów kulturalnych i ludów natury, nie są niczem innem, tylko symboliczno-poetycznym wyrazem dla jedności świata. Gdy jednak mitologia mimowiednie puszcza wodze twórczej fantazyi i nie wiele troszczy się o świat rzeczywisty, to przeciwnie wiedza wzięła sobie za zadanie najdokładniejsze zbadanie jego tajników i tą drogą naukowego badania doszła do uznania jedności w naturze w tej mierze, w jakiej nie posiadała go żadna filozofia i żadna religia.

Zapytajmy jednak, na czem polega ta jedność, do której prowadzi wiedza przyrodnicza, a raczej naturalistyczny światopogląd? Jestże to owa jedność i łączność, za którą tęskni cała nasz istota?

Najpierw zaznaczyć należy, że naturalistyczny światopogląd bezprawnie przywłaszcza sobie wyłączne prawa własności do stwierdzonej przez wiedzę jedności i prawomocności w świecie. Uznajemy w całej pełni wielkie odkrycia wiedzy, zdumiony duch nasz podziwia olbrzymie zdobycze nowoczesnych badaczy, pełni podziwu spoglądamy, jak wiedza swoje prawa, na kształt olbrzymiej, nierozerwalnej sieci rozpina zwolna nad całym światem i obejmuje coraz silniej najróżnorodniejsze dziedziny organicznej i nieorganicznej natury. Ale te jednolite prawa są międzynarodowe i neutralne, że się tak wyrażę, i żaden światopogląd nie daje do nich specyalnego prawa. O ile są ścisłym wyrazem, wiedzą stwierdzonych faktów, to są wspólną własnością całej ludzkości. Więc gdy naturalizm przychodzi i utrzymuje, że te zjednoczone prawa wiedzy są równocześnie właściwemi i jedynemi prawami całej rzeczywistości, to myli się grubo. Chciałby on pod płaszcz wiedzy podsunąć swoje błędne, jednostronne twierdzenia, to mu jednak trwałego powodzenia zapewnić nie zdoła. Instynktownie odczuwa człowiek, że prawa, które tworzy obserwująca i eksperymentująca wiedza, nie pokrywają się z prawami ludzkiej historyi, moralności i religii. Naturalizm stworzył sobie cel zbyt

nizki. Harmonijnie rozwinięty człowiek pragnie szlachetniejszego celu, wyższego zjednoczenia. Naturalizm prowadzi tylko do jedności abstrakcyjnej, do jedności matematycznych i przyrodniczych pojęć. Człowiek — a przedewszystkiem człowiek współczesny nie może zadowolić się świadomością, że prawa, które władają jego ciałem, są temi samemi, które rozwijają czynność w całej naturze, tęskni on za zjednoczeniem, za przynależnością serdeczną, za idealnym stosunkiem z jakąś podobnie złożoną, ale wyższą, lepszą istotą, za obcowaniem, które go wzniesie, wykształci, udoskonali, a nie zepchnie do roli części jednej w ogólnej maszynie, słowem tęskni on do związku odpowiadającego jego najwyższym pragnieniom i dążeniom.

Takie zjednoczenie pełne, taki żywy stosunek znajduje się jedynie w religii, można go osiągnąć tylko za pomocą prawdziwej wiary w Boga. Jedność naturalizmu, która właściwie nie jest niczem innem, tylko formułką bezprawnie przeniesioną na całą rzeczywistość, może na czas pewien spragnionego świadomości ducha olśnić, ale całego człowieka, w jego najgłębszej treści porwać, ni zadowolić nie zdoła. I dlatego to dzisiaj, nawet najbardziej typowy naturalizm chętnie przywdziewa płaszczyk religijny. H a e c k e l, ostatni przodownik gruboziarnistego naturalizmu z 19 stulecia, pisze książkę o religii teozoficznej, o Bogu-naturze, a O s t w a l d, przedstawiciel energetycznego światopoglądu, który również jest tylko odmianą naturalizmu, wstępuje na mownicę dziś tak modnego a przytem tak nic nie mówiącego monizmu i przemawia do nas o nowej religii Związku monistycznego. Wszystko to jednak jest to tylko niesmaczne fałszerstwo, a zwodzona ludzkość, dająca się uwodzić, niestety, tak lekko każdej głośno występującej reklamie, nie długo rzuci owe bezwartościowe szczegóły religijne pod stopy ich wynalazców, a sama zwróci się do właściwych źródeł życia. Gdy bolesne, gorzkie godziny próby zbliżają się do ludzkości, gdy serca nasze pod uderzeniem losu drżą i cierpią, potrzebujemy silnego, niewzruszonego oparcia. Gdy rozpętane furye walki narodów przewalają się w dzikiej bitwie po całej ziemi, gdy dobrobytowi, kulturze, osobistemu szczęściu każda chwila ruiną grozi, gdy orkan wypadków szarpie najgłębszymi korzeniami naszego bytu — wtedy

padają w proch wszystkie wytwory ludzkich wymysłów, rozlatują się jak skrawki podartej, papierowej zabawki. Tylko z nieśmiertelnego życia może ludzkość czerpać siłę życia nowego. Tylko oparta o nadludzką, niewyczerpaną siłę, może słabość znaleźć możność powstania; to życie, tę siłę daje nam nie naturalizm, ale tylko religia, bo religia jednoczy nas z Bogiem, pra-źródłem wiecznego żywota i niezmierzonej siły!...

Jedynie w religijnym światopoglądzie odnajduje człowiek swoją królewską godność, którą mu zrabował naturalizm, swoją moralną wolność. Naturalizm nie może uznać żadnej psychologicznej wolności, a więc i żadnej wolności moralnej, bo jedna jest korzeniem drugiej. Ten, kto naturalizm wypisał jako hasło na swojej tarczy, jest równocześnie deterministą, bo w naturalistycznym światopoglądzie człowiek jest tylko drobnym składnikiem natury, poruszany tą samą siłą, która ją przenika, rządzonym temi samemi prawami, które w całej naturze władają. Prawa te są absolutnie dla wszystkiego jednakowe, nie znoszą najmniejszego wyjątku, działają one z konieczności tam, gdzie istnieją wszystkie warunki do ich rozwoju, a ludzka wola jest siłą zupełnie taką, jak siły fizyczne, chemiczne, psychiczne, więc gdzie spotyka warunki do rozwoju, tam z konieczności natury wywołuje odpowiednie do warunków i okoliczności działanie. Nie może bowiem działać inaczej, niżeli działa, tak samo jak kamień, podniesiony w górę a pozbawiony podstawy, nie może spaść w innym kierunku, tylko ku środkowemu punktowi ziemi. Każdy więc czyn człowieka jest w naturalizmie nieodzownie koniecznem następstwem działających za każdym razem warunków.

Czy jednak nie jest to mowa najwyrazistszego fatalizmu? Czy przy podobnym światopoglądzie ma jeszcze jakąkolwiek wartość żal za czyn popełniony? Bentham mówi też zupełnie otwarcie: żal, wyrzuty sumienia są to niepotrzebne, głupie, szkodliwe skrupuły. Gdzie jednak żal jest uznanym za szaleństwo, tam równie głupiem i bezcelowem wyda się postanowienie działania innym razem, w podobnych warunkach i okolicznościach, inaczej. Jak jabłko na jabłoni bez naszej pomocy dojrzewa, a z chwilą, gdy promienie słońca w połączeniu z sokami ziemi wypełnią swoje za-

danie, z gałęzi opada, tak odpadają nasze czyny z drzewa naszej istoty jako dojrzałe owoce, gdy prawa rozwoju naszej natury i warunki otoczenia swoje zadanie wypełnią. Dlatego w naturalizmie nazywa się ułudą wzniosłe poczucie i świadomość wolności, płomienny wstyd za czyn zły, pochwała, jaką nam daje nasze sumienie za zwycięskie walki wewnętrzne.

Zbrodniarz więc zostaje popchniętym do zbrodni przez tę samą konieczność praw, która zmusza sędziego do skazania go na śmierć. Tchórzliwy żołnierz, który opuścił szeregi towarzyszów, tak samo nie zasłużył na naszą naganę, jak bohaterski na odznaczenie. Tak samo więc nie posiadamy prawa do potępienia wojennych szakali, wojennych poszukiwaczy zysku, jak nie posiadamy prawa okazania najwyższego uznania poświęcającym się siostrom-pielęgniarkom... Bo gdzie niema moralnej wolności, tam niema również różnicy pomiędzy dobrem i złem. W ramach naturalistycznego światopoglądu, moralna ocena ludzkich czynów i myśli jest więc najzupełniej niezrozumiałą, tu jest wszystko tylko użytecznem lub szkodliwem. Naturalizm mówi wyraźnie, że występek nie jest absolutnie czemś moralnie potępienia godnem, poniżającem. lub złem — jest tylko niekorzystnym i dlatego unikać go należy. Cnota jest tylko dobrze przeprowadzonym rachunkiem użyteczności, grzech — pomyłką w rachunku.

Dziwnie uderza nas to dzisiaj, gdy pomyślimy, iż to naturalistyczne pojęcie etyki właśnie w angielskiej filozofii 19 stulecia znalazło najliczniejszych i najwybitniejszych przedstawicieli... Może tu właśnie leży powód, dla którego Anglia ujmuje obecną wojnę nie ze stanowiska moralności i kultury, tylko z punktu użyteczności. Cała ta straszliwa groza wojenna jest dla Anglii tylko użytecznym rachunkiem, który wypisuje na ziemskim globie... My jednak chcemy i ten rachunek przekreślić!

Nawet powyższe twierdzenie, że grzech jest tylko pomyłką w rachunku, właściwie nie posiada podstaw w naturaliźmie. Wina jest podobnie jak cnota ogólną sumą, tylko powstałą z dodania poszczególnych liczb. Dlatego też Nietzsche, który zawsze bezwzględnie przedziera się przez ostatnie konsekwencye, przechodzi ponad dotychczasową moralnością w słowach: „Naprzód więc!!...

teraz tylko zęby zacisnąć! oczy otworzyć! ręce silnie na sterze położyć — przepływamy ponad moralnością".

Tak wykreśla naturalizm jednym, jedynym pociągnięciem pióra wszystkie dążenia moralne, całą etykę z historyi ludzkości. Heroiczne ofiary naszych żołnierzy na froncie i naszych kochanych w domu, ku którym patrzymy z podziwem, ciche męczeństwo cnót ukrytych, które często więcej mieści w sobie bohaterstwa, niżeli zaborcze wyprawy sławnych rycerzy, tysiąclecia trwająca walka ludzkości o obyczajność i prawo — to wszystko ma być tylko zwodniczem światełkiem, drżącem tu i tam na stężałej, martwej powierzchni bezwarunkowej konieczności w naturze. Goethe napisał w swoim „Zachodnio-wschodnim Dywanie": „Właściwym, jedynym i najgłębszym tematem w historyi świata, któremu podporządkowane są wszystkie inne, jest walka wiary z niewiarą. Wszystkie epoki, w których wiara panuje, są świetliste, podnoszą serce i są płodne w plon dla teraźniejszości i przyszłości. Wszystkie epoki natomiast, w których niewiara utrzymała swoje smutne władanie, jeżeli nawet zabłysną chwilowo, to fałszywym blaskiem, nie mającym wartości dla potomności, ponieważ nikt nie zajmuje się chętnie zapoznawaniem się z epokami bezpłodnemi". Ten wyrok Goethego, który jest jakgdyby wyrwanym z mózgu każdemu wielkiemu historykowi i myślicielowi, każdemu szlachetnemu, pełnię wartości posiadającemu człowiekowi, byłby zupełnie odwróceniem rzeczywistości takiej, jak ją naturalizm pojmuje. Naturalizm wbrew Goethemu powiada: właściwem, jedynem i prawdziwem nieszczęściem człowieka jest religia, moralnie religijna wiara w Boga jest właściwym i jedynym grzechem dziedzicznym ludzkości i pozbyć się jej musimy za wszelką cenę.

Czy można się wobec tego dziwić, iż duch współczesny rozwiera oczy, że rozumie, jaką ciemną nocą otoczył go naturalizm, z dreszczem wstrętu strząsając z siebie lodowato zimną rękę śmierci, którą mu fałszywa wiedza usiłowała narzucić, jako jedyne prawdziwe życie, że zwraca się znowu do wiecznie kwitnących łanów prawdziwego bytu? Naturalizmowi można przeciwstawić jeszcze jedno ze zdań Goethego, owo delikatne, a głęboko psychologiczne:

Jakim ktoś jest, takim jest Bóg jego... i dlatego był Bóg tak często wyśmiewanym"

I jeszcze czwarty kontrast wyrasta pomiędzy naturalistycznym a religijnym światopoglądem, mam na myśli ich stanowisko wobec problemu zbawienia. Akordem podstawowym, który dźwięczy przez wszystkie przeżycia i rozpoznania ludzkości, od najdawniejszych epok starożytnych do najbardziej kulturalnie rozwiniętych narodów jest tęsknota za wyzwoleniem, za wybawieniem z więzów skończoności, przedewszystkiem zaś z wiecznego rozdwojenia pomiędzy chęcią a możliwością, pomiędzy dążeniem do cnoty a winą grzechu. Chociaż ludzkość w różnych czasach, na różnych drogach szukała możliwości wybawienia, chociaż zwracała się o pomoc raz do religii, to znów do filozofii, do polityki, wiedzy lub sztuki, to jednak nigdy, aż do dzisiejszego dnia nie zatraciła świadomości, iż jej tego wybawienia potrzeba. Kto tego stanu rzeczy w jego podstawowem i ogólno-ludzkiem znaczeniu uznać nie chce, ten przechodzi z zawiązanemi oczyma obok historyi i buduje urojone zamki powietrzne, które z powagą życia związku nie mają; taki człowiek jednak nie może także rościć sobie praw do pouczania ludzkości i do wprowadzenia jej na wyższy stopień rozwoju.

Ten ciężki zarzut musi przyjąć naturalistyczny światopogląd, dla niego nie mają przecież żadnego znaczenia moralno-idealne dążenia, ani głos sumienia; jak niema w nim cnoty, tak niema pojęcia winy, ni grzechu. A gdzie niema winy, niema także słabości moralnej i poczucia niedoskonałości, a tem samem niema pragnienia wybawienia; wszystko to jest konsekwentnem następstwem myślowem, jeżeli przyjęliśmy wstępne twierdzenia. Naturalizm jednak idzie jeszcze o jeden krok dalej, przynajmniej o tyle, o ile jeszcze stara się o nadanie sobie pozoru, iż wierzy w jednego Boga. Odwraca on cały stosunek i mówi: nie człowiek ma być wybawionym przez Boga, ale Bóg wybawienia swego czeka od człowieka. Bo według naturalizmu i naturalistycznego monizmu Bóg został wciągnięty w walkę i tworzenie świata, świadomy więc rozwój człowieka wybawia Boga z męki istnienia. Stuart Mill jest jeszcze stosunkowo skromny w swoich ideach religijnych, gdy

twierdzi, że zarówno Bóg jak człowiek potrzebują wybawienia i w czasie, gdy dobry człowiek ze złem walczy i tym sposobem w cnocie niejako z Bogiem współpracuje, to ma uczucie, iż Bogu pomaga. Feuerbach w budowie swojego naturalizmu jest o wiele bezwzględniejszy, twierdzi bez wahania: nie człowiek potrzebuje Boga, przeciwnie, Bóg czeka pomocy człowieka, by być wybawionym. Jest to doprawdy silny cios pięścią, skierowany przeciw historyi kultury i ludzkiemu doświadczeniu, im potężniejszym wydaje się sobie człowiek, tem prędzej odczuje swoją niemoc i zależność.... „Kto wysoko się wzniesie, spada głęboko“ — powiada przysłowie: Nietzsche chciał objąć tron „zmarłego Boga“ i skończył w mrokach obłędu... Podobne przykłady nie są rzadkimi w historyi, a są jakgdyby ostrzeżeniem, iż nie powinniśmy zabawki czynić z najpoważniejszych problemów.

Żadna wymowa i żadna wiedza nie usunie ze świata faktu, iż człowiek, nawet współczesny, kulturalny człowiek odczuwa w najgłębszej swojej jaźni trawiącą tęsknotę za prawdziwem, czystem szczęściem, jego cała istota woła o wybawienie od winy i moralnej niedoskonałości. Tu nie pomaga wiedza, władza, sława... często właśnie w godzinach największej chwały, najpotężniejszej rozkoszy... owa tęsknota wzrasta do bezmiaru! Prawdziwe wybawienie może zejść do nas tylko z religii, bo tylko Wszechmocny Bóg jest w stanie zapełnić nieskończoną głębię ludzkiego serca.

Jeden z angielskich filozofów wypowiedział te znane słowa: „wiedza połowiczna od Boga odwodzi, całkowita do Boga prowadzi“. Naturalizm w swoich badaniach zatrzymuje się w połowie drogi, pomimo swoich twierdzeń, iż on jeden wiedzę cenić umie. Wielcy badacze natury zawsze odnajdywali również drogę do Boga i religijnego światopoglądu. I nasze czasy współczesne przesyciły się wiedzą połowiczną i owem krótkowzrocznem, jednostronnem uwielbieniem natury. W wielkich czasach, jakie obecnie przeżywamy, jednostronność tę spotykamy co dnia: wiedza nauczyła nas budować wielkie twierdze i zdobywać je, ona nas nauczyła, jak zapewnić wyżywienie ogółowi, ona stworzyła wspaniałe lecznice, wyposażyła bogato naszych doktorów i ich personal pomocniczy... jest to wiele, bardzo wiele, ale też i niemal wszystko. By czas

ciężkiej próby przetrwać zwycięsko, by nieść ofiary, których się wymaga nietylko od naszych dzielnych w polu, ale i od nas pozostałych w domu, by obronić prawdziwe ideały przed piętrzącą się coraz wyżej falą kłamstwa, nienawiści, sobkostwa, do tego nie wystarczy najgłębsza wiedza w dziedzinie praw natury, ani najwabniejszemi barwami przedstawiony system naturalistyczny.

Te czasy leżą poza nami, pisze słusznie Rudolf Eucken, w których najpierw: zaprzeczenie religii wogóle uważanem było za coś wielkiego, później za coś naturalnego, kiedy to najpłytszy dowcip wydawał się iskrzącym, jeżeli tylko jego ostrze zwracało się przeciw religii. Nasze czasy wymagają i pragną czego innego, krzewią się w nich prądy augustyańskie daleko szerzej, niżeli się to pozornie wydaje. Wszystko wskazuje na to, że w duchowem życiu następnej epoki religia będzie posiadała dużo większe znaczenie, niżeli w czasach specyficznie-modernistycznych.

Ja zaś jestem zdania, iż ta, przez Euckena przeczuwana, nowa epoka religijna już się rozpoczęła... Tylko zapominać nie należy, że kto własnemi siłami, według własnych przypuszczeń i własnego zdania szuka nowych form dla religijnego światopoglądu, ten zamienia tylko grubą formę naturalizmu na inną wytworniejszą, ale jeszcze niebezpieczniejszą. Kto pragnie Boga odnaleźć, musi Go szukać na drodze, po której Bóg sam dąży na jego spotkanie.

Ks. Fryderyk Klimke.

Z cyklu: »Opowieści Chrystusowe«.

Różnemi drogami.

Przez złote ścierniska zbóż dążyły dwie męskie postacie, w szarych płaszczach ludzi z gminu, przestrzenią drgał gasnącego słońca blask purpurowy, widmowo majaczyły faliste linie wzgórz i chaty przytulone do ich stoków, woń sian skoszonych unosiła się w powietrzu i rosy świeżo opadłej. Jeden z wędrowców szedł pogrążony w zadumie, w jego śmiałej, smagłej twarzy rysowało się skupienie olbrzymie, modlił się, a wszystkie jego siły żywotne prężyły się jako struny oczekujące, aż w nie ręka mistrza uderzy akordem potężnym;—drugi, młodszy usiłował dotrzymać kroku towarzyszowi i znać do gawędy miał ochotę, jeno mu słów i odwagi brakowało; w ciemnych jego oczach kupił się jąkiś niedowierzający lęk, gdy patrzył na osadę rozrzuconą na wzgórzu, coraz bliższą a bliższą... Kilka razy rozwierał już usta, by owym myślom, co mu w czaszce szalały, wyraz dać, ale spojrzawszy w energiczną, a dziecięco rozmodloną twarz towarzysza, zamykał je znowu bez słowa. Wreszcie jednak zatrzymał się, jego oczy raz jeszcze spojrzały na domy rozgorzałe w purpurze zachodu, a w głosie dźwięczał niepokój i prośba:

— Piotrze!...

— Andrzeju?

— Spocznijmy chwilę...

— Znużony jesteś?

— Nie... ale... — urwał, by dokończyć je po chwili ochrypłym od wzruszenia głosem: — wątpliwości jest we mnie tyle, tyle niedowierzania we własne siły, taki lęk...

— Przed czem?

Piotr na kamieniu przydrożnym usiadł, a szare jego oczy spojrzały uważnie w twarz brata, a Andrzej zwijając i rozwijając róg płaszcza, mówił z przerwami, bo głos mu tamowało wzruszenie:

— Bo jakoż to może być, Piotrze... bym ja... lub ty... ludzie prości, nagle do ludzi przemawiać mogli, cuda działać, zdrowie przywracać?.. Zda mi się, iż nam Mistrz powierzył zadanie nad miarę naszych sił, nad możność... W myśli mi się to wszystko pomieścić nie może i jestem jako człowiek we śnie! Jakoż to może być, bym ja, nie przygotowawszy się nawet wprzódy, do ludu przemawiał, ja, który nigdy dobrym mówcą nie byłem... albo i ty, Piotrze! W rzemiośle to naszem leży, iż cichymi się stajemy i zamkniętymi w sobie, a oto teraz... teraz...

— Uspokój się, Andrzeju... to nie my przemawiać będziemy i nie my działać, jeno przez nas moc swoją objawi Pan... my jeno wierzyć mamy silnie, gorąco i tak żyć, byśmy godnymi byli Jego łaski... Nie martw się niepotrzebnie, bracie... życie należy z radosną ufnością brać, bo po to powołał nas Pan, byśmy zdobyli sobie prawo do innego, lepszego istnienia. I dlatego Pan nie śmierci wystrzegać się nam każe, nie przed nią lęk mieć, jeno przed czynem złym, występkiem, winą... A co mówić będziemy ty lub ja?... wszakże to takie proste, to, co nam Jezus mówił; wszakże rzekł, byśmy na dachach obwieszczali to, co On nam na ucho powiedział.

Ciemna twarz Andrzeja pobladła o jeden ton, gdy wyznał szczerze:

— A jednak... Piotrze... we mnie naprawdę lęk jest... Niedługo do pierwszego miasteczka zajdziemy, otoczy nas lud jako uczni Jezusa z Nazaretu, będą wśród nich przyjaciele i wrogowie, a najwięcej obojętnych, mających dla wszystkiego uśmiech wątpienia... W synagogach rabini tygodniami pracują nad mową, zanim ją w sabbatu święty dzień wygłoszą ludowi... a my?... Nie stanież się nam jako siewcom, którzy wyszedłszy na rolę, ujrzeli, że

zapomnieli wziąć zboża do siewu? Nie braknież nam głosu, słów, siły przekonania? Nie zbierzemy w plonie... jeno wstydu, śmiechu i drwin?...

Ciemne brwi Piotra zbiegły się nad szarych oczu przejrzystą głębią, gdy kładąc twardą, szeroką dłoń na ręce brata, mówił z siłą:

— Jak myślisz?... czy dla Tego, który ducha ludzkiego z krainy zmarłych przywołać może, fale wzburzone uspokoić, winy darować... gdy skruchę ujrzy... obłąkanych jednym słowem do rozumu przywrócić... czy dla tego Pana Wszechrzeczy jakimś niepodobnym czynem jest przez usta nasze przemówić? za pośrednictwem naszej gorącej wiary... cud zdziałać?

Zapewne... ale... — rozpaczliwym, zakłopotanym ruchem Andrzej z czoła czuprynę odgarnął.

A w głosie Piotra zadźwięczała siła:

— Niema „ale“... jeno tę wiarę trzeba mieć, a moc Pana spłynie na nas w chwili właściwej. A czyć wątpić możemy, my, którzyśmy co dnia spoglądali na Chrystusową moc? My, którzy uczniami Jego jesteśmy? Jako zbudził Pan ze snu śmierci do życia młodzieńca z Naimu i dzieweczkę Jaira, tak zbudzić chce słowa i czynu potęgą zamierającego, w śnie o ziemi pogrążonego ducha narodu... Boć w ziemię utkwili wzrok, utonęli w błędnej trosce o jutro, w pragnieniu dostatków i chwały i zapomnieli, iż jest im ona daną na czas jednego bytu tylko, jako środek wiodący do celu, nie jako cel! Rybak ja prosty jestem, Andrzeju... pamiętasz jednak, jako sieci zarzuciłem ku łowieniu, na słowo Pana, i pełnemi się stały do zerwania... i teraz więc, gdy przemówię, to On słowom moim da treść i dźwięk, On sprawi, iż znajdę drogę do ludzkich dusz... Nie lękaj się, bracie, tak jako był z nami w czasie burzy, chociaż spał, tak i dziś jest z nami, pomimo, iż Go dojrzeć nie możemy. Siłę woli jeno miej i wiary pełń, bo jeżeli sam wierzysz, to i obudzisz wiarę.

Zniknął Piotr, szli chwilę w milczeniu, coraz bliżej rysowały się płaskie dachy osady, winnice rozległe, płoty figowe lśniły ciemną zielenią, wystrzelały ku niebu smukłe cyprysy, a u studni w dolinie, o kamienne ocembrowanie wsparte, gwarzyły niewiasty.

Czerpią wodę, gawędzą, wypoczywają po trudach dnia na zielonej murawie u źródła, wieczorny wiatr igra z ich lnianemi szatami, rozrzuca zawijki białe, a gasnące słońce wywołuje błyski ogniste w dzbanach z czarnej, połyskliwej gliny, skry krzesa w złotych monetach u naczółków niewieścich, pieści dziewcząt rozrzucone warkocze, tańczą one koło, przeginają się wdzięcznie, a w białych szatach swoich wyglądają, jak duchów jasnych rój. U studni chłopię jasnowłose przysiadło, oczy martwe utkwiło w dal i na jednostronnych skrzypcach gra... płyną przestrzenią tony żałosne, tęskne, a miły pacholęcy głos śpiewa:

Już wieczorna zorza
otuliła kraj,
graj, biedne pacholę,
na uciechę graj.

Zatańczcie dziewice,
czyńcie łańcuch z rąk,
ślepego sierotę
otaczajcie w krąg.

Słyszę wasze śmiechy,
szelest słyszę szat,
tyle mi pociechy
daje Bóg i świat.

Tańczcie, tańczcie w koło,
choć ból w piosnce łka,
do was śmiech należy,
do mnie jeno łza...

— Nie, przy twojej pieśni tańczyć nie można, Dawidku, ani się śmiać, bo serce się ściska żalem — jasna postać dziewczęca wyłączyła się z grupy tańczących i ciemną drobną rękę oparła na chudym ramieniu wyrostka: — zagraj mi coś wesołego, tyle piosenek znasz... ty wiesz, iż chętnie obdarzymy cię potem.

— Wesołego?! — smutny uśmiech drgnął na wychudłej twarzy pacholęcia. — Dobrze, ale... to ty jesteś, Rachelo... prawda?

— Ja, Dawidku...

— Powiedz ty mnie, Rachelo, co wesołego zagrać wam może ociemniały sierota, który przed tygodniem utrącił jedyną istotę, która go kochała... matkę... i sam pozostał, sam ze swoją niedolą. Ona mi mówiła, jak słońce wschodzi i zachodzi, jej twarda, dobra ręka przywodziła mnie co dnia do studni w dolinie, bym wam grał, więc mimo kalectwa, radosnemi bywały moje pieśni. Bo dopiero, gdy drżącemi rękoma po raz ostatni dotknąłem jej zimnej, drogiej twarzy, zrozumiałem cały ogrom mojej niedoli, ociemniałem naprawdę, bo już przestały czuwać nademną jej dobre oczy, przestał jej cichy głos ostrzegać: — uważaj synu, bo kamień na drodze... i nikt już twarzy mojej nie ucałuje, ni strawy ciepłej nie poda... O Rachel! Rachel! i jakżeż mi wam dziś śpiewać wesoło?

Wątłym korpusem chłopięcia wstrząsnęło łkanie i spływały z martwych oczu łzy na skrzypki jednostrunne i lśniły w słońca zachodzącego błysku jak krople krwi. Zbiegły się do płaczącego dzieweczki, otoczyły go w krąg.

— Powinieneś do przełożonego synagogi iść... gmina dba o swoich biednych.

— Przecież ojcowie nasi dają dziesięcinę, by podobni tobie nędzy nie cierpieli.

— Zali myślicie, że głód, to jedyne zło? Jam na chleb mój zarabiał dotąd... mamże teraz.... o nie! nie!

— Dawidku...

— O Rachel! były to w mojem biednem życiu jasne chwile, gdy mnie matka przywodziła tu, do studni, tyle tu głosów różnych, tyle melodyi snuło się w przestrzeni... i był mi świat jako jedna pieśń. Grał wicher w gałęziach drzew, szumiały trawy, śpiewały ptaszęta, brzęczały muszki, szemrała woda spływająca do źródła... a matka mówiła mi, jak wyglądają kwiaty, drzewa, świat. I gdy z gór wracały owiec stada, to jam nie tylko słyszał ich bek radosny i nawoływania pasterzy, jam widział ich śnieżne runo, a gdy otoczyłyście mnie, tom rozróżniał każdy szelest waszych szat i umiałem odgadnąć Rachelę po dźwięku łańcuszków złotych, Miryam po śmiechu radosnym, Abigail po róż woni.

— Biedne chłopię... ty...

— O biedne, Abigail!... Żebyś ty wiedziała, ile razy upadłem dzisiaj, zanim przybyłem tu do was, poraniłem ręce i nogi... nie dobre są kamienie gór i nie mają litości dla ociemniałego sieroty... Odkąd brakło matki, wszystko się zmieniło w moim życiu... sam jestem... sam a wokół mnie jeno świat dziwny, tajemniczy, straszny; dawniej z odgłosów jego dochodziła do mnie radość i życia pełń, dziś nie mogę się wyznać w tych szmerach wszystkich... boję się ich... znane z nieznanem zlało się w mojej pamięci i lękam się... czy to tak będzie przez życie całe?

— Nie, biedny synu i w twój mrok może zawitać światło.

Dzieweczki i kobiety spojrzały ku mówiącemu, a Piotr podszedł do chłopięcia i silną swoją dłoń na jego zwichrzonej czuprynie położył:

— Nad życiem każdego człowieka czuwa potężna, twórcza dłoń Boga, a więc i nad twojem... Oto przyszedłem obwieścić wam, iż Messyasz obiecany... jest pomiędzy nami! — Głos Piotra zerwał się wzruszeniem, a potem spotężniał nagle: — I dzieją się cuda, jakich nigdy nie oglądał naród izraelski: ślepi widzą i wstają umarli... Ślepi widzą... słyszysz, chłopczyno!...

I mówił Piotr, a ze słów jego dźwięczała potęga wiary wielkiej, ufności olbrzymiej i porywała. Cicho się stało, jako w domu Bożym, gdy rabini Pismo wykładają ludowi.

I mówił Piotr... skromny rybak z Tyberyadzkiego pobrzeża stał się nagle przedstawicielem Pana i była w jego słowach siła, w jego wspomnieniu moc!

Nie widział, że się zwiększyła grupa słuchaczy, iż dołączyli się do kobiet powracający z pracy w winnicach mężczyźni, że otoczył go tłum z początku zdziwiony i obojętny, później wzruszony i rozradowany, bo oto on przyniósł im życia wieść.

Oto on mówił im, by spojrzeli wokół siebie, natura to codzienne objawienie Boga i codzienny cud.

W imieniu tego Pana Wszechrzeczy, który ulitował się nad w ciemni błądzącym narodem i przesłał mu syna swego, przemawia on, Piotr... w Jego imieniu podnosi martwe powieki ślepca, bo ślepemi jesteście i spojrzeć wam każe: Człowieku... oto twój Bóg...

a to droga prawdy, dobroci, miłowania, po której ci dążyć trzeba do Niego!

I pochylił się nad ociemniałem pacholęciem Piotr, bo oto czuł, że duch jego stanął u szczytu wiary, zyskał potęgę i moc, bo nagle coś potężnego zawołało w nim: — oto twój pierwszy cud, Piotrze...

Ponad głowami milczącego tłumu zadźwięczały słowa:

— Uwierz, synu, w potęgę Boga, który cię stworzył, który przemawiał do ciebie w szepcie traw, w woni kwiatów, w matki pieszczocie... uwierz tak silnie, byś czuł, iż dla Niego nic niemożliwego niema i nic nieosiągniętego... uwierz, a zyskasz uzdrowienie...

I zwracając się do tłumu, mówił:

— Przed kilku dniami bogatemu Jairowi zachorzała córka i gdy już doktorzy nie robili nadziei ratunku, poszedł Jair, rzucił się Jezusowi z Nazaretu do stóp i błagał: — Córka moja kona... o pójdź, włóż na nią ręce, a będzie uzdrowiona, będzie żywa! I poszedł za nim Pan, bo nie odmawia prośbie człowieka, gdy ją wiary dyktuje potęga, w połowie drogi jednak nadbiegli słudzy i rzekli panu swemu: — Córka twoja umarła, nie trudź nauczyciela... A Chrystus spojrzał w lęku pełne oczy przełożonego synagogi i rzekł: — Nie bój się... tylko wierz! A gdyśmy weszli do wnętrza, kazał zamilknąć gwarowi żałoby, płaczkom i muzykantom wskazał drzwi i pochyliwszy się nad sztywnym trupem jasnowłosej dzieweczki, rzekł z uśmiechem pełnym dobroci: — Dzieweczka nie umarła, jeno śpi... Wybuchnęła rozpaczliwym płaczem matka nieszczęśliwa, która na dziecka patrzyła konanie i nie mogła uwierzyć, by ten sztywny trup życie mógł odzyskać... Lekarz Chaldejczyk nie mógł drwiącego powstrzymać uśmiechu... wiedza jego przecież stwierdziła śmierć. A oto Pan ujął w silną dłoń bezwładną, z posłania zwisłą rękę i rzekł dziwnym, do szeptu zniżonym, do głębi ducha przejmującym głosem: — „Talitha cumi!", a z niej odbiegła sztywność śmierci, rozwarły się oczy błękitne, uśmiechały blade usteczka, wstała i szła za nim, z początku chwiejnie, jak dziecko, które nie zna jeszcze sprawności swoich nóg, później lekko jak dziewczę zdrowe. I oto w imieniu Tego, który zmarłych do życia

budzi, bo ma moc nad całym światem, wzywam cię, synu... wierz! Pragnij silnie, módl się gorąco, a połączona nasza prośba sprawi cud.

A pacholę łzami zalane twarz przytuliło do szaty Piotrowej i łkało:

— Oto jest we mnie ta wiara... Panie...

Spoczęły palce Piotra na oczach pacholęcia:

— Więc w imię Chrystusa... spójrz!...

Roztrzepotały się serca w ludzkich łonach, bo w głosie Piotra nadziemska zadźwięczała potęga.

I nagle w ciszę wieczoru padło radosne łkanie pacholęcia:

— O Panie!.. obacz, Panie... oto widzę studnię cembrowaną... i słońce gasnące na zachodzie.

— O Chryste!

A teraz Piotr drżał wzruszeniem i kładąc dłoń na głowie pacholęcia, mówił:

— Pamiętaj, synu, to nie ja sprawiłem cud, jeno Bóg go uczynił przezemnie, za pośrednictwem twojej i mojej wiary... pamiętaj o tem, synu i podziękujmy Panu za Jego łaskę.

I na kolana usunął się Piotr, dłonie na ocembrowaniu studni wsparł i modlił się, składając Panu dziękczynienie... i modlił się... a w głosie miał łzy.

* * *

— Więc gdzie pójdziemy?

— Jako nam kazał Mistrz, o najgodniejszych trzeba pytać w mieście i u nich szukać gościny.

— A kogo... za najgodniejszego masz? — pytał Judasz Zelota swego towarzysza. Drwiący półuśmiech drgnął na wązkich wargach Judasza z Karjotu, gdy podróżnym kijem wskazał na biały pałac, tonący w żywej zieleni pomarańczowych sadów.

— Któż może być godniejszy od zarządcy dworu królewskiego? — do niego pójdziemy.

— Alboż ty myślisz, iż ziemskie godności na myśli miał Pan?

— Ten, kto się najwyżej ponad braci swoich wzniósł, najlepszym być musi i najrozumniejszym.

Także! toż w takim razie i Herod Antyp należałby do najlepszych ludzi...

— Jak dla kogo.

— Nie mówią dobrze o zarządcy królewskiego dworu, Judaszu, słyszałem, iż nielitościwym jest i okrutnym, a mnie się zdaje, nie wiem to napewno, iż Pan najgodniejszych duchem szukać nam kazał i u nich przyjmować gościnę.

— Alboż Saul ben Efraim nie jest najwykształceńszym? alboż nie pochodzi z pokolenia Lewi? A na jego dworze bywają nietylko książęta żydowscy, ale i przedstawiciele potężnego Rzymu.

I znowu po ustach Judasza z Kariotu przesunął się ów blady, zagadkowy uśmiech...

— Większe tam pole do pracy, niżeli wśród ludu zwykłego... wierz mi, przyjacielu.

Judasz Zelota młody, smagły chłopak o oczach czarnych, pełnych zapału i wiary, wstrząsnął głową:

— Starszym jesteś, więc słuchać cię muszę, jednak gdybym ja miał wybierać, poszukałbym gościny u Anny, wdowy po kapłanie, ma to być wzór matrony. Uboga, pracą rąk zarabia na życie, ale wieczorem wszystkie ubogie dzieci z Diapory przychodzą do niej na wieczerzę i na naukę, ona tym opuszczonym pisklętom stworzyła przytułek, jej ręka czuwa nad niemi, jak ręka prawdziwej matki... Mojem zdaniem ona jest najdostojniejszą osobą w Diaporze i drogi, po której Chrystus idzie... najbliższą.

— Może... jeżeli jednak weszlibyśmy w dom ubogiej niewiasty, musielibyśmy dopiero zdobywać sobie posłuch i uznanie dla naszych słów, gdy zaś przyjmie nas pod swój dach potężny zarządca królewskiego dworu, biedni będą patrzyć na nas z szacunkiem i zaufaniem, a bogaci... chociażby z ciekawości tylko, chętniej otworzą swoje uszy dla naszej nauki. Czyż nie rzekł Pan, iż należy nam mieć ostrożność węża?

— I prostotę gołębia... o tem zdaje się zapomniałeś, Judaszu z Kariotu?

— Jeżeli zapomniałem o czemś, to moją to będzie winą, nie troszcz się ty o moją duszę i o jej los, raczej o twojej myśl. Starszy jestem od ciebie, więcej wykształcony, możesz mi wierzyć, iż co

uczynię, dla dobra naszego będzie. Zali myślisz, iż nauka naszego Mistrza nie jest królewskich dworów godną?

— Królewskie dwory zabijały proroków...

— Wszakże rzekł nam Jezus, byśmy się nie lękali śmierci nawet.

Ciemny rumieniec uderzył do smagłej głowy Zeloty.

— Zaprawdę... trudno mi z tobą rozprawiać, Judaszu z Kariotu, czuję, że fałszywą obrałeś drogę, ale tak zręcznie władasz słowem, iż podsuwasz wszystkiemu inną treść... I jeżeli tak mówić będziesz do ludu... to...

— To co?

— To nie powiedziesz go drogą Chrystusa, jeno... bezdrożem....

Drwiąco zaśmiał się Judasz.

— Wszak przez nas mówić będzie Pan!

Zastukał Judasz z Kariotu żelaznym młotkiem do wspaniałej bramy, otaczającej białą willę królewskiego zarządcy, a w chwilę potem dwaj uczniowie Nazarejczyka czekali w wspaniałej sali przyjęć, na przyjście Saula ben Efraima. Juda spoglądał po białym marmurze ścian, po nizkich łożach rzymskich, przepychu haftów i makat różnobarwnych i było w nim zakłopotanie, raz pierwszy bowiem otaczał go zbytek, atmosfera rozluźnienia i zmysłów... Więdły w opalowych wazonach róż purpurowych pęki... snując przestrzenią złoty sen tęsknoty... za ziemią.

Judasz z Kariotu czuł się tu jak u siebie, przygasłe jego oczy nabrały blasku, niedbałe ruchy wytworności i gdy ciemną kotarę wejściową odrzuciła ręka niewolnika i na jej tle zarysowała się watła, w bezcenne jedwabie przybrana postać pana domu, Judasz z Kariotu szedł ku niemu z ujmującym uśmiechem, pragnął powitać go wpierw ułożonym greckim zwrotem, pełnym służalczej obłudy... gdy nagle uśmiech zgasł w skrzywieniu bolesnem, odczuł, iż owładnęła nim obca moc i usta jego rozwarły się w prostej, płomiennej, przekonywującej, przekonaniom jego dalekiej, wymowie.

W tej chwili nie był on Judaszem z Kariotu, występnym uczniem, każdą myślą zdradzającym Mistrza, wbrew woli i chęci przedstawicielem Pana był i on...

I miał w duszy ból zwyciężonego, gniew, nienawiść, lęk, a na ustach słowa światła i prawdy...

A pomarszczona twarz Saula ben Efraima odbiła zdziwienie, ten wytworny retor był uczniem Nazarejczyka, syna cieśli... ciekawe...

I tak pięknie mówi... tak porywająco... nawet jego stargane nerwy odczuwają dreszcze wzruszenia.

Judasz skończył, na jego bladą twarz wybiło się znużenie śmiertelne i bolesny, drwiący, bezwładny uśmiech.

Saul ben Efraim rozważał chwilę... wieczór przyjęcie daje, ciekawą atrakcyą byłby ten uczeń Mistrza z Nazaretu, Knidyjski śpiewak zachrypnął... a przytem sam pan jego, Herod Antyp, dopytywał go, gdy był w Jeruzalem, o Nazarejczyka... lęka się bowiem, iż to Jan zmartwychwstał... zyska więc pewność... Któż lepiej wiedzieć może, kim jest Jezus z Nazaretu, jeżeli nie uczniowie Jego, więc zaprosił ich pod swój dach.

I wieczorem dnia tego kazał Judasz z Kariotu w wytwornej sali pałacu ben Efraima... mówił do możnych tego świata i spływały z jego ust słowa Chrystusa, nie tracąc nic ze swojej siły, ni treści.

A gdy ben Efraim spytał:

— Za kogo Mistrza swego masz?

To z bladych warg Judasza z Kariotu padła odpowiedź:

— Za Boga... samego.

— Jeno potem, potem... gdy dawno zgasł pochodni żar, zmilknęły głosy, to w ciemni gaju, otaczającego willę, wił się na murawie człowiek bólem szalony, nienawiścią opętany i wołał... i łkał:

— Zaliż ja już sobą nie jestem?

A wówczas gdzieś z przestrzeni... wionął szept...

— Jezus z Nazaretu człowiekiem jest... wydaj go...

— Boga!?!...

— Człowieka....

Zimny pot lęku wystąpił na skronie Judasza... i oto zdało mu się że w szepcie wiatru, w woni kwiatów dźwięczą słowa pokusą, namową, rozkazem:

— Wydaj go... uwolnisz się z pod jego władzy...

A on, człowiek słaby, słuchał tego szeptu, snującego się przestrzenią najpierw ze wstrętem, później z ciekawością, a wreszcie zaczął myśleć o nim, jak o czemś... co wcielić można w życie.

A równocześnie w ubogiej komnatce Anny, wdowy po kaplanie przemawiał do ludu Judasz Zelota całą potęgą swojej młodej, prostej, wierzącej duszy.

Marya Czeska.

Mickiewiczowe widzenie księdza Piotra.

II.

Wśród podobnych warunków politycznych, jak u Żydów, powstało proroctwo mesyanistyczne i poezya mesyanistyczna w Polsce. Analogia Polski z narodem wybranym wcześnie w niej występuje, a raczej pojmowanie Polski, jako narodu wybranego, jest jej premissą. Ponieważ te rzeczy już nieraz traktowano bardzo obszernie, wystarczy tu przypomnieć, że Mickiewicz na równi z prorokami starozakonnymi stawiał „miliony Izraela, który z głębi swoich bożnic nie przestaje od wieków wołać krzykiem, z jakim nic w porównaniu iść nie może“ i sądził, że „jeżeli jest co takiego, co może prawdę ściągnąć z wyż na ziemię, to zapewne nie są bez skutku te wniebogłosy, w których człowiek skupia i wystrzela całe swe życie“. Sądził on, że prawo do prorokowania będą mieć tylko ludzie prawdziwie natchnieni, od których Francuz, zaznajomiony z polską poezyą mesyanistyczną, odróżni pisarzy, operujących „fałszem, zmyśleniem, słowem tak pospolicie zwaną dzisiaj poezyą: Takim porządkiem poezya stanie się znowu, czem była niegdyś w czasach proroków (oczywiście żydowskich), czem była za Orfeusza i Muzeusza, a wtedy odzyska prawo do względu i szacunku u ludzi“ (IV 45 n).

Aby sobie zdać sprawę, jaką treść łączył Mickiewicz z imio-

nami Orfeusza i Muzeusza, przypomnijmy sobie, co o nich słyszał od wileńskiego swego nauczyciela, B. E. Groddecka, lub czytał w jego: „Initia historiae Graecorum literariae" (I wyd. Wilno, 1811, II wyd. 1821). Otóż Groddeck pisze (§ 9), że najdawniejsza pieśń grecka, śpiewana przy uroczystych zebraniach i obchodach, była samorzutnym wyrazem duszy, poruszonej gwałtownymi uczuciami, a jej przedstawiciele, śpiewacy (ἀοιδοί), którzy porwani jakiemś natchnieniem, wyrażali je zapomocą słów, zdań, głosu, wyrazu twarzy, giestów uchodzili za naczynie jakiegoś boga (ἔνθεοι). Przekonanie to opierało się na treści najdawniejszych pieśni: Zawierały one pochwały bogów i bohaterów, przepowiednie przyszłości, przykazania, osłonięte w wieszcze obrazy, przepisy rytualne i kultowe, objaśnienia tajemnic przyrody i wszelkiego bytu. Głosiciele takich rzeczy uchodzili za pierwszych i jedynych mędrców[1]) i za prawdziwych nauczycieli wszelkiej społeczności i obyczajności (§ 10). Najsławniejszym z nich był Orfeusz, założyciel sławnych misteryów orfickich i sekty orfickiej. Pod jego imię podszyto w późniejszych czasach wiele poematów, z pośród których doszły do nas „Argonautica", „Hymny", „Lithica" i różne fragmenty. Nie mamy też nic autentycznego po Muzeuszu, którego „Przepowiednie" miał sfabrykować Onomakryt za czasów Pizystrata. Zachowana pod jego imieniem powieść poetyczna o Hero i Leandrze pochodzi z IV/V w. po Chr.

Mickiewicz interesował się widocznie na uniwersytecie tą apokryficzną poezyą grecką, łączoną z imionami mistycznych proroków, skoro przyjął od Groddecka do opracowania temat o podobnym autorze, Epimenidesie z Krety, który miał przybyć do Aten dla oczyszczenia miasta po zamordowaniu stronników Kylona. Mickiewicz miał zebrać i opracować fragmenty z dzieł mu przypisywanych, jak zbiór jakichś wyroczni, Theogonia, Argonautika i przepisy o ofiarach i oczyszczeniach. Zadania tego, jak wiadomo, nie wykonał, ale samo zetknięcie się z tą starogrecką poezyą proroczą wywarło na nim pewne wrażenie, któ-

[1]) Echo tego zdania w Kursie lit. słow. III. 12: Mędrcy objawiają wielkie prawdy, mędrcy czyli cnotliwi, bo po grecku σοφὸς znaczy razem jedno i drugie.

rego refleksem jest przytoczona w Kursie literatury wzmianka o Orfeuszu i Musajosie. Równie dobrze mógłby był wymienić Epimenidesa, boć i jego znał tylko z ogólnego charakteru: Apokryficznych poematów Orfeusza chyba nigdy nie czytał, a choćby był czytał Argonautika, Lithika i Hymny, to nie byłby ich mógł stawiać za wzór nowej poezyi proroczej. Proroctw tam niema żadnych.

Jeśli chciał był naprawdę poznać proroczą poezyę grecką, to musiał sięgnąć po zachowane „Wyrocznie sybillińskie". Groddeck (§ 14) wymienia świadectwa o Sybillach starogreckich, opowiada o losach ksiąg sybillińskich w Rzymie i konkluduje, że do nas z tych starych Sybill nic nie doszło, a zachowane księgi heksametrycznych wyroczni sybillińskich pochodzą przeważnie od poetów chrześcijańskich z 2-go wieku po Chr. — Taka informacya nie bardzo zachęcała do tego, by sięgać do starych wydań Betuleiusa, Opsopaeusa, Gallaeusa lub nowych uzupełnień Angela Mai. Inaczej patrzył na księgi sybillińskie znany Mickiewiczowi i nieraz przez niego cytowany (np. Lit. słow. II l. 12) symbolista Creuzer; to też jego sąd raczej mógł go skłonić do przypatrzenia się tej poezyi. Bezpośrednich dowodów na to, że to rzeczywiście uczynił, nie mamy, a słowa pierwszej improwizacyi: „Z góry na ludy spozieram. — Tam księga sybilińska przyszłych losów świata" mogą się opierać na konwencyonalnej wiadomości o istnieniu proroczych ksiąg sybillińskich. Ale że pewien szczegół techniczny w widzeniu ks. Piotra opiera się na zasadzie, praktykowanej jedynie w Księgach sybillińskich, poświęcimy im tu parę uwag, zaznaczając tylko te szczegóły, które mogą się przydać przy interpretacyi owej wizyi.

Nie przywiązujemy większej wagi do tego, że zaraz pierwsza Księga zawiera we formie proroczej wizyi historyę świata i ludzkości, opartą na Biblii i rozmaitych apokryfach. Zamyka ją wizya męki Pańskiej, opowiedziana według ewangelii, lecz z następującym epilogiem (I 379 nn Geffcken [1]): „A kiedy po trzech dniach przyjdzie znowu na światło (z piekieł) i p o k a ż e ś m i e r t e l-

[1]) Die Oracula Sybillina, bearb. v. Joh. Geffcken, Leipzig 1902. Por. tegoż rozprawę w Preuss. Jahrb. 1901, str. 210 nn.

nym ranę i o wszystkiem pouczy, na chmurach stanąwszy, do niebieskiego domu pójdzie, pozostawiwszy światu zakon ewangelii". Możnaby sądzić, że reminiscencya tej wersyi mieści się w widzeniu ks. Piotra o przebitej prawicy, którą transfigurowany Naród pokazuje ludom i o owej białej szacie, którą światu zostawia. Ale bliższe jest objaśnienie, że jak u Sybilli, tak u Mickiewicza szczegół o pokazywaniu przebitej prawicy pochodzi z ewangelii św. Jana (20, 25 i 27), gdzie czytamy o niewiernym Tomaszu, żądającym widoku ran po gwoździach na rękach Zmartwychwstałego i otrzymującym namacalny dowód, że to Chrystus przed nim stoi.

W tejże samej księdze spotykamy się po raz pierwszy z tak zwaną (przez kabbalistów) gematrią sybillińską, to jest pewnym sposobem oznaczenia imion własnych zapomocą liczb. Imię Boga (Emmanuel czy też, jak inni chcą, Theos Soter) wyrażone jest w ten sposób (I 141 nn): „Dziewięć mam liter, a cztery syllaby, domyśl się: z trzech pierwszych każda zawiera dwie litery, pozostała resztę, a pięć jest spółgłosek. Ogólna ich suma wynosi setek dwa razy ośm i trzy, trzy razy po dziesiątce i siedm. Poznawszy, kto jestem, nie będziesz niewtajemniczony w moją mądrość". Wobec tego, że uczeni do dziś dnia nie znaleźli powszechnie przyjętego rozwiązania tej zagadki, trudno przypuszczać, by Mickiewicz na własną rękę zdołał był dojść, na jakiej zasadzie ona się opiera. Daleko przejrzystsza i łatwiejsza była gematrya, dotycząca imion historycznych, głównie cesarzy rzymskich, których dzieje, przepowiadane „ex eventu" łatwe były do zidentyfikowania. Otóż katalog cesarzów rzymskich od Juliusza Cezara do Marka Aurelego tak się przedstawia w piątej księdze sybillińskiej (V 10 nn): „Po wielu władcach, po miłych Aresowi bohaterach i po dzieciach, potomkach zwierzęcia pożerającego owce, będzie pierwszy panujący, który dwa razy dziesięć osiągnie początkową literą (imienia, Κ[αῖσαρ])... Będzie zaś miał z dziesiątki pierwszy znak i będzie panował po nim ten, który otrzymał początkową literę alfabetu (Α[ὔγουστος])... Po długim czasie innemu odda rządy, który będzie miał na pierwszy znak liczbę trzysta i miłe imię rzeki (Τ[ιβέριος])... Potem będzie panował

ten, który otrzymał znak liczby trzech (Γ[άιος], Caligula), dwa razy dziesięć ten, co potem rządzić będzie, na pierwszy znak mieć będzie (Κ[λαύδιος]) ... Kto ma zaś znak pięćdziesięciu, ten będzie władcą (Ν[έρων]), straszny wąż, ziejący ciężką wojną, który kiedyś ręce swego rodu wyciągnąwszy zgubi i wszystko zamiesza, walcząc (na arenie), wyścigując się, zabijając i na wszystko się poważając; i przetnie górę z dwóch stron morzem oblaną i krwią morderczą skala, lecz i niewidzialny będzie szkodził; potem wróci, równając się z Bogiem, lecz przekona się, że nim nie był..." Pomijamy dalsze gematrye księgi piątej, a z licznych innych, rozsypanych po księgach XI—XIV, zwracamy uwagę tylko na kilka takich, których formuła jeszcze bliższa jest Mickiewiczowskiej: „A imię będzie miał liczby dwieście" (Σ, XI, 91)... „A imię będzie miał król, wielki mąż z Zeusa, z początku alfabetu ([Ἀγαμέμνων] XI, 141)"... „A imię to będzie miał, które pokazuje litera liczby pięćdziesiąt razy dziesięć (Φ[ίλιππος])".

Bez znajomości historyi, aż nadto przejrzyście przepowiedzianej, niktby z pierwszej litery nie domyślił się całego imienia; ale gdy się raz wie, o kim mowa, zasada sybillińskiej gematryi okazuje się bardzo prostą: Pierwszą literę imienia wyraża się liczbą, którą ta litera oznacza w greckim alfabecie. Więc 20 = Κ(αῖσαρ), trzysta = Τ(ιβέριος), 50 = Ν(έρων) i t. d. System to daleko prostszy niż ten, który zastosowywano do objaśnienia apokaliptycznej bestyi [1]) (Apokal. św. Jana 13, 18): „Kto ma rozum, niech obliczy liczbę bestyi. Liczbą bowiem człowieka jest, a liczba jego sześćset sześćdziesiąt sześć". Wiadomo [2]), że wychodząc z założenia, iż w apokalipsie pisanej po grecku, z greckich wartości liter trzeba szukać klucza tej zagadki, przez wieki mozolono się nad odgadnięciem owych 666 i domyślano się nawet Mahometa, Lutra, Papieża, Napoleona, póki (w r. 1837) kilku teologów niemieckich nie wpadło (prawie równocześnie) na po-

[1]) Cytowanej przez Mickiewicza w rozmowie egzorcyzowanego ducha z X. Piotrem: „A wiesz w Apokalipsie co znaczy bestya?".

[2]) E. Zittel, Die Entstehung der Bibel, Reclams Universalbibl. Nr. 2836/7, str. 172.

mysł, że skoro autor apokalipsy pochodzi z kół żydowsko-chrześcijańskich, hebrajski alfabet jest podstawą jego kombinacyi. Napisawszy hebrajskimi literami Neron Kesar i zesumowawszy liczbowe wartości hebrajskich liter, otrzymuje się: 50 + 200 + 6 + 50 + 100 + 60 + 200 = 666. Ponieważ w wielu rękopisach Apokalipsy liczba owa brzmi 616, zauważono, że tu podstawą jest łacińska forma imienia N e r o, a po opuszczeniu wartości hebrajskiego n otrzymano rzeczywiście 616. Mickiewicz w r. 1832 nie mógł znać jeszcze tych objaśnień, a dawniejsze kombinacye matematyczne nie dawały mu żadnej przekonywującej zasady proroczej gematryi. Że te dawniejsze kombinacye nie były mu obce, widać z 26 lekcyi Kursu (24 maja 1842, II 285). Mówiąc o antinapoleońskim hymnie Dzierżawina, zauważa: „Poeta wznosi się tu do sfery tajemniczej, mówi nawet językiem Apokalipsy. Napoleon dla niego jest — to Antychrystem, to bestyą z objawienia św. Jana. Ta opinia była w owym czasie dość upowszechniona między oświeceńszą klasą Rosyi. Uczony profesor dorpacki, Gezel w raporcie urzędowym przedstawił ministrowi rozprawę, w której przez rachunek kabalistyczny dowodzi, że imię Napoleona jest liczbą 42 i znaczy Antychryst. Dzierżawin przytacza to w nocie dla objaśnienia kilku swoich wierszy".

Dla zamknięcia koła proroczego, które zakreśliliśmy koło Mickiewicza[1]), wypada jeszcze wspomnieć, że profesor Kolegium francuskiego powoływał się także na spełnienie się proroctwa św. Brygidy o Krzyżakach (według Długosza ks. XII) i proroctwa kapelana Sobieskiego, który mszę polową pod Wiedniem zakończył słowy: „Vinces Joanne", zamiast „Ite missa est". „On wiedział" — dodaje Mickiewicz. Wobec takiego interesowania się tą literaturą możnaby przypuścić u niego znajomość i innych sławnych proroctw[2]) takich, jak proroctwo św. Malachiasza (wiek

[1]) Pomijając same polityczne i inne przepowiednie Mickiewicza, o których piszą E. Krzyszkowski i S. Ptaszyński na początku swych cytowanych powyżej rozpraw, głównie na podstawie artykułu Wł. Mickiewicza p. t.: „Przepowiednie Adama". „Kraj" (petersburski) z r .1885, nr. 46.

[2]) Dziś najprzystępniejsze w ludowem wydaniu J. Chociszewskiego. Księga Sybillińska o przyszłości, Inowrocław, 2. wyd. 1908.

XI/XII), o następstwie papieży, przepowiednia astrologa Piotra Turela (z XVI w.), proroctwo opata Jędrzejowskiego Stanisława o królach Polski[1]). U Turela znajduje się taki opis człowieka przyszłości: „Zapomnijcie cierpień waszych, ukójcie boleści, otrzyjcie łzy, człowiek zbawca niebawem wystąpi. Poznacie go po wierze gorącej, po promiennem i pięknem obliczu: pojawi się w znaku V i r g o, a znak jego będzie P i s c e s; za godło weźmie p o k ó j i p r a c ę; narazi się na wszystkie prześladowania, aby wlać wiarę w Boga tym, co w nią nie wierzą i roznieść żywe i dobroczynne światło religii w świecie ogołoconym z wiary... Uspokoiciel świata, ożywiony duchem Ewangelii, wróci nadzieję wszystkim, walcząc błogosławionym orężem pokoju i religii; nakaże uszanowanie ołtarzom Stwórcy i da obfitość chatom, a miłosierdzie pałacom. Zgoda i związek zakwitnie między rodziną, spokój i cisza w sercach, radość na ustach, szczęśliwość i nadzieja wszędzie... Ludy, będące sobie braćmi przez Jezusa Chrystusa, przestaną toczyć walk zabójczych, które ich ubożyły i wytępiały. Jedność Kościoła, rozrywana tylekrotnie, znowu w całym majestacie i potędze zabłyśnie. Bóg na ziemi panować będzie, jak panuje na niebie"... Malachiasz i naśladujący go opat Stanisław, nie opisują dokładnie swych bohaterów, lecz podają tylko ich godła, np. „Crux de cruce" (o Piusie IX), „Flos florum; de labore soli" u Malachiasza; „Ex duobus unus" i t. p. u Opata Stanisława.

Te przytoczenia wystarczą dla pokazania, jak wyglądają najtypowsze proroctwa, jaka jest ich technika, w jaki sposób oznaczają przyszłych mężów; podane zaś powyżej miejsca z pism Mickiewicza stwierdzają wystarczająco, że poeta wierzył w przyszłą misyę Słowian, specyalnie Polaków i był przekonany, że narzędziem tej misyi będzie jakiś natchniony mąż, którego przyjście zapowiada, czy ma zapowiadać jedynie uprawniona poezya — prorocza. Po tych przesłankach możemy przystąpić do objaśnienia dalszych części widzenia ks. Piotra — w związku z Dziadów częścią III.

---

[1]) Przytoczył je L. Siemieński w przypisach do „Trzech wieszczy", Paryż 1841.

III.

Dzięki monografii Stanisława Pigonia[1]) „O księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" możemy dość dokładnie określić przemiany wewnętrzne Mickiewicza od Wallenroda do ksiąg: Naoczne poznanie potęgi rosyjskiej i osobiste zetknięcie się z dekabrystami, kazało poecie na chwilę uwierzyć, że zbawienia narodu może dokonać jakaś bohaterska jednostka przez podziemną pracę konspiratorską, gdzie przebiegłość walczy z przebiegłością — zimnym rozumem. Filareci (Zan i Czeczot) widzieli w tem przekonaniu odstępstwo od haseł O d y, a i sam poeta czuł w duszy jakieś bolesne pęknięcie, jakąś rysę. Przymus do wężowego pełzania, by łudzić despotę, gnębił go, choć czuł się podobnym do Samsona... W takim to momencie psychologicznym poznaje poeta w Petersburgu mistyka Oleszkiewicza, który nie rozumowi, ale uczuciu przyznawał kierownictwo czynów (dawniej czucie i wiara mówiły tylko do artysty-romantyka). Sprawdzianem uczucia miało być Objawienie, najwyższym poetą i człowiekiem ten, kto się okazał godnym łaski Objawienia. Na taką godność miało się zasługiwać przez stosowanie wewnętrznego życia do najwyższego uczucia, miłości społecznej. Oleszkiewicz wydobył też Mickiewicza z obojętności religijnej i obudził w nim zamiłowanie do Biblii, a pogłębienie wiary nie pozostało bez wpływu na pojmowanie dalszej pracy narodowej, zwłaszcza w świetle idei, że naród polski wziął od Boga święte posłannictwo prowadzenia ludzkości drogami pańskiemi. Jeżeli do tego dodamy szczegół, który niedawno wydobył z autografu Ustępu prof. Kallenbach[2]), że Oleszkiewicz powitał przybysza Orła i Booza znakiem, więc tajnem pozdrowieniem masońskiem, będzie nam wolno przypuścić, że mistycyzm jego miał pewne przymieszki wolnomurarskie, chociażby tylko w używaniu pewnych formuł i symboli.

Petersburski posiew Oleszkiewicza wzrasta podczas podróży

---

[1]) Prace hist. liter. nr. 1, Kraków, 1911.

[2]) Spraw. z pos. Wydz. filol. Akademii Um. z 13. XI. 1916, str. 8.

Mickiewicza po Europie, a zwłaszcza podczas pobytu w Rzymie. Jednem z centralnych zagadnień Mickiewicza z tego czasu jest stosunek władz twórczych w człowieku, zwłaszcza stosunek rozumu do wiary i uczucia. Głosi on, że źródłem prawdy jest Objawienie: Ono jednoczy, buduje, rozum zaś różniczkuje, burzy. Ale nie każdy jest godzien natchnienia, otrzymują je tylko jednostki wybrane, a zarazem pobożne: „Kiedy rozumne, gromowładne czoło — zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem — Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło — i umalował promieni tysiącem (Rozum i wiara)". Widniejące tu jeszcze resztki Byronistycznego pojmowania poety, jako jednostki uprzywilejowanej, nikną do reszty pod wpływem rzymskiej znajomości z X. Chołoniewskim, rozczytywania się w pismach św. Tomasza a Kempis (Naśladowanie Chrystusa) i X. Lammennais'a. Pokora chrześcijańska bierze teraz górę nad natchnieniem jednostki, uważającej się za uprzywilejowaną, ona jedynie zasługuje na łaskę objawienia. Gdyby Mickiewicz wykonał był planowany w Rzymie dramat o Prometeuszu[1]), uwolnionym ze skał Kaukazu przez Chrystusa, mielibyśmy najautentyczniejszy refleks tego zmagania się tytanicznej, nieboburczej pychy z chrześcijańską pokorą. Choć jednak pomysł tego dramatu nie przybrał konkretnych kształtów, nie zaginął, lecz jak to się często zdarza u poetów, przeszedł w innych kształtach w najbliższe dzieło napisane, w Dziady, nazwane rzymskimi przez prof. Kallenbacha, który pierwszy zwrócił uwagę na tego Prometeusza i jego związek z Improwizacyą[2]).

Między owym pomysłem Prometeusza a Dziadami leży po-

[1]) Odyniec, donosząc 23. grudnia 1829 Korsakowi o zajęciu się Mickiewicza tragedyą Ajschylosa, referuje rozmowę z Adamem o przyszłem dziele: Nie będzie to ani tłumaczenie, ani nawet proste naśladownictwo poety greckiego, ale tylko daleka parafraza jego idei, zastosowana do chrześcijańskich pojęć duchowych. W treści zaś jest to odwieczna historya ducha ludzkiego, nie bez dobrej woli w gruncie, ale obłąkanego przez pychę, w zapasach z potęgami wyższemi, a raczej tylko silniejszemi od niego, których on ani ujrzeć, ani im ulec nie chce i nie może.

[2]) O improwizacyi Konrada, Pam. Tow. liter. im. Ad. Mickiewicza, 4, 1890. — Wpływ Prometeusza Ajschylosa na Improwizacyę restrynguje M. Kawczyński, Przyczynki do wyjaśnienia Improwizacyi Mickiewicza i trzeciej części Dziadów, Rozpr. Akad. krak. filol. t. 21, 1894, str. 36.

wstanie listopadowe. Ostatnie męczeństwo Polski sprawiło, że miejsce tragedyi indywidualnej zajęła tragedya narodowa, tak jednak ukształtowana, że „w wiernej pamiątce z historyi litewskiej lat kilkunastu“ znalazło się miejsce i na osobiste przeżycia poety, od prześladowania filaretów w r. 1823 do pojęcia misyi emigracyi polskiej po r. 1831. Stosunek Mickiewicza do narodu w tej dobie aż nadto często był już omawiany, więc tu zwrócimy tylko uwagę na to, ile z dramatu Prometeusza przeszło do dramatu Konrada. Wobec braku bliższych wiadomości o pierwszym, możemy o tem wnioskować jedynie z podobieństwa dramatu Konradowego do prototypu wszelkich prometheiad, do Prometeusza Ajschylosa. Ogranicza się ono do wielkiej improwizacyi: Prometeusz umiłował ludzi, wzmocnił w nich rozum, nauczył ich sztuk; Konrad chciałby dopiero uszczęśliwić swój naród. Prometeusz cierpi za swoje dobrodziejstwa, wyświadczone ludziom; Konrad za miliony kocha i cierpi katusze. Grek ufa w swój rozum i w swoją nieśmiertelność; Polak na te same powołuje się moce. Jeśli Prometeusz jest typem bohatera-zbawiciela, to w tym samym charakterze staje Konrad przed Bogiem. Ten Bóg ma wprawdzie w jego charakterystyce dużo rysów biblijnego Jahwe, z którym o tajemnicę cierpienia i zła na ziemi opierał się Job, ale w pewnych szczegółach tak maleje wobec tytana, jak Zeus wobec swego antagonisty. Konrad porywa się na groźbę, że uczuciem spali silne ramię Stwórcy, jak Tyfon, „z oczu sypiąc iskry coraz krwawsze, — przypuszczał, że tron Zeusa zdruzgoce na zawsze“. (w. 356). Do ostatniej obelgi ośmieliły Konrada takie wyrzeczenia Prometeusza o Zeusie, jak „nowy tyran“ (942) itp., jeśli nie nazwanie Jahwego przez Joba tyranem ludzi. — Czy w zamierzonym dramacie rzymskim Chrystus miał rzeczywiście przyjść jako wybawca Prometeusza, czy też to zbawienie miało być tylko zapowiedziane jakiemś proroctwem, nie wiemy; za proroctwem przemawiałby wzór Ajschylosa, u którego Prometeusz sam sobie przepowiada wybawiciela w osobie Heraklesa. Tak, prócz nieboburczych zapędów Konrada, także sam pomysł wprowadzenia do dramatu proroctwa o jakimś zbawcy, pochodziłby z rzymskiego Prometeusza.

Przy interpretacyi Dziadów części III nie trzeba zapominać

o tem, że jakkolwiek słowa i uczucia Konrada opierają się na przeżyciach samego poety i z nich wyrosły, to Konrad nie jest maską Mickiewicza, tylko takim samym tworem fantazyi twórczej, jak X. Piotr, na którego znów złożyli się Oleszkiewicz i X. Chołoniewski. Ale w X. Piotrze jest także pewna strona duszy Mickiewicza. Nad pierwiastkami prometejskimi w duszy poety odnoszą zwycięstwo pierwiastki chrześcijańskie, będące już własnością tej samej duszy. Pisząc Dziadów część III, miał Mickiewicz już w duszy poznanie, czy uświadomienie, że jest powołany na nauczyciela narodu, na głosiciela Ksiąg narodu i Ksiąg pielgrzymstwa.

Więzień, jako prorok na pustyni, dumający o swem przeznaczeniu, dowiaduje się od aniołów[1]) o swym najbliższym losie, uwolnieniu z więzienia. Wie jednak, co to znaczy być wolnym z łaski Moskwicina: to wygnanie, to przymus życia wśród cudzoziemców, którzy pieśni śpiewaka nie zrozumią, przez co ta broń poety będzie niejako przełamana. Już miłość do narodu wzięła górę nad miłością indywidualną, już Gustaw umarł, a Konrad się narodził, gdy duch suggeruje śpiącemu Konradowi wiarę w potęgę myśli ludzkiej, byleby się w nią uwierzyło. Jakoż wzburzony opowiadaniami kolegów i własną pieśnią (pogańską), Konrad czuje się wyniesionym nad ludzi między proroki, rozcina źrenicą jak mieczem obłoki przyszłości, patrzy w księgę sybillińską przyszłych losów świata... Spodziewalibyśmy się, że zacznie prorokować, gdy wystąpienie kruka (pychy) hamuje jego orle loty. Kruk myśli jego zmieszał, splątał. Zamiast proroctwa mamy wielką improwizacyę, wzbicie się pychy prometejskiej aż do wyzwania Stwórcy. Następuje po niem równie prometejski upadek w przepaść. Pierwsze słowa po przebudzeniu się: „Tysiąc lat...[2]) dobrze, jeszcze więcej, ja wytrzymam i dziesięć tysięcy tysięcy“, to jeszcze słowa Prometeusza, który czuł swą nieśmiertelność, wiedział, że go Zeus

[1]) Prof. Kallenbach w cyt. artykule o Improwizacyi wywnioskował trafnie, a niedawno z autografu III. części Dziadów dowiódł, że jądrem Dziadów jest Improwizacya, najpierw napisana; jako przygotowanie do niej dopisany był prolog i wtrącone niektóre ustępy w scenę więzienną.

[1]) Przepaść i te tysiąc lat są, jak to zauważył Ptaszyński, str. 20, echem Apokalipsy 20. 3: I wrzucił go (szatana) w przepaść..., aby się wypełniły tysiąc lat.

będzie jeszcze potrzebował i że go ostatecznie uwolni i dlatego nie ugiął się przed karą i bólem. Ale po egzorcyźmie duch Konrada leci znowu w górę, jak ptak, a ksiądz Piotr wyraża nadzieję, że myśl jego, jak strącona z tronu grzeszna królowa, odpokutowawszy swoje grzechy, „znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje, i większym, niźli pierwej, blaskiem zajaśnieje". — To samo powtarza w modlitwie, że Konrad poprawi się i wsławi imię Boże. Jakby odwołaniem oskarżeń, rzuconych przez zbuntowanego Konrada Stwórcy, są słowa aniołów: U stóp krzyża niech cię cały świat sławi „żeś sprawiedliwy i litościwy, Pan nasz, o Boże!"

Widzenie księdza Piotra jest właściwie zastępstwem zapowiedzianego w t. zw. pierwszej improwizacyi proroctwa Konrada, które nie doszło do skutku z powodu przeszkody ze strony ducha pychy. Z tegoby wynikało, że treść tego proroctwa byłaby objawem pychy Konrada. Jakim? Ta pycha kazała mu się w improwizacyi uważać za powołanego do rządzenia własnym narodem, do dźwignięcia go i uszczęśliwienia; więc nie co innego, tylko tę misyę jego miało obwieścić proroctwo. Droga pychy, równania się z Bogiem nie dała mu rządu dusz. Anieli obwieścili śpiącemu, że tylko pokora, dobrowolne uniżenie się u stóp krzyża, uznanie sprawiedliwości i litości Boga dają ludziom łaskę objawienia Bożegò: „Pan maluczkim objawia — czego wielkim odmawia".

Ta łaska przypada w udziele X. Piotrowi. Widzieliśmy już, jak mesyanistyczna wizya Polski umęczonej i transfigurowanej objaśniła mu tajemnicę losów ojczyzny. Komentarz Ksiąg Narodu pozwolił nam uzupełnić to objaśnienie o tyle, że Polska emigracyjna miała przygotowywać swe zmartwychwstanie praktykowaniem nauk, udzielonych jej w Księgach pielgrzymstwa — przez Mickiewicza. Jeśli zaś od trzymania się tych nauk zależało zmartwychwstanie Polski, to ich głosiciel był właściwym jej wskrzesicielem.

Takiego wskrzesiciela widzi ksiądz Piotr. Powtarzając obraz z widzenia Ewy[1]), głosi: Młoda Polska wydana w ręce Heroda.

[1]) „Zły car kazał ich wszystkich do ciemnicy wsadzić — i jak Herod, chce całe pokolenie zgładzić". We wstępie do Dziadów III. pisze Mickiewicz: Zdaje się, że królowie mają przeczucie Herodowe o zjawieniu się nowego światła na ziemi i t. d.

Białe, długie drogi prowadzą na północ. Po nich pędzi tłum wozów, uwożąc dzieci na wygnanie, na na zatratę. Jednych wiozą prosto do żelaznej bramy, to jest do więzienia, drugich „pod skałę w jamy", do kopalń, innych ku morzu, do kazamat Petersburga, czy też na posielenie gdzieś nad morzem[1]). Przewidziała to już piosenka Feliksa: „Nie dbam, jaka spadnie kara — mina, Sybir, czy kajdany". Jedno dziecię uszło, rośnie. „To obrońca, wskrzesiciel narodu". Wizya odnosi się oczywiście do wywożenia filaretów i młodszych uczniów kibitkami do Rosyi. Nazwa dzieci pochodzi z obrazu żydowskich niewiniątek, wyrżniętych z rozkazu Heroda. Jak tam dziecię Jezus, tak tu jedno dziecię uchodzi prześladowania. Konrad jeszcze jako więzień zapowiedział, że będzie wygnany, choć anioły mu wieściły, że będzie wolny. Potem ksiądz Piotr daje mu taką przestrogę: „Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę — będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie: szukaj męża, co więcej niźli oni umie. — Poznasz, bo cię powita pierwszy w imię Boże. — Słuchaj, co powie". Więcej ksiądz Piotr nie może mu powiedzieć. Ale widocznie nadzieje, łączone z Konradem nawróconym — co do wsławienia przezeń imienia Boga i powrotu jego myśli na tron królewski, łączyły się z owym mężem, spotkanym na wygnaniu, skoro ks. Piotr osobno o nim mówi. Wspomnieliśmy już wyżej o roli, jaką Oleszkiewicz odegrał w życiu Mickiewicza podczas pobytu w Petersburgu, więc tu zauważymy tylko, że ta przemiana, która się w poecie dokonała pod wpływem Oleszkiewicza, miała się przyczynić do wsławienia imienia Bożego przez Konrada. Owocem jej były, jak widzieliśmy, Księgi Narodu i Pielgrzymstwa.

Widok pędzonych na północ kibitek wraca, ale już jako rzeczywistość w opowiadaniu guślarza: „Patrz... tam od Giedymina grodu — śród gęstych kłębów zamieci, — kilkadziesiąt wozów leci. Wszystkie lecą ku północy". Wyróżnia się wśród jadących jeden, z mnóstwem ran w piersi, z tysiącem mieczów w duszy, mieczów wrażonych przez nieprzyjaciół narodu. Jest to oczywiście Konrad

[1]) Por. List do Niemcewicza z 22. III 1833: „Sceny wileńskie są wstępem do więzień petersburskich, katorżnej roboty i posielenia w Sybirze".

z Improwizacyi, Konrad, który cierpi za miliony. Nie kim innym jest dziecię, które z pośród wywiezionych na północ uszło i rośnie na obrońcę i wskrzesiciela narodu, tylko Konrad, który się wyzbył pychy, a pod wpływem męża, spotkanego na wygnaniu, nabędzie cnót, czyniących go godnym naczyniem objawienia Pańskiego.

Badanie więc związku między scenami samych Dziadów III. doprowadziło nas do poznania, że ks. Piotr jako przyszłego obrońcę i wskrzesiciela narodu widzi nawróconego Konrada. Widzenie jego jest więc rzeczywiście zastępstwem niewypowiedzianego proroctwa samego Konrada — o sobie samym. W wizyi, która następuje po transfiguracyi Polonii, widzi X. Piotr swego wskrzesiciela narodu, jako męża. „Znałem go — był dzieckiem —znałem jak urósł duszą i ciałem", odnosi się do wizyi pierwszej: „To dziecię uszło... rośnie..." Podobną psychologię wspomnień wizyjnych spotykamy w scenie pierwszej, gdzie aniołowie oznajmiają śpiącemu więźniowi, że będzie wolny, a on budząc się mówi: „Będę wolny? Pamiętam, ktoś mi w c z o r a j prawił; Nie... Skądże to? Czy we śnie? Czy Bóg mi objawił?" Kiedy wreszcie po balu Konrad, prowadzony na śledztwo, spotyka się w progu mieszkania senatora z X. Piotrem, tak rozważa: „Dziwna rzecz, nie widziałem nigdy tej postaci — a znam go, jak jednego z mych rodzonych braci. — Czy to we śnie? Tak, we śnie; teraz przypomniałem": Więc X. Piotr równie dobrze powiedzieć może, że swego męża znał, jako dziecko, które rosło — w wizyi pierwszej, choć jeszcze się nie ocknął i przeżywa wizyę drugą. Ale czy nam się czasem nie śni, że nam się to i owo śniło?

(Dok. nast.).

Tadeusz Sinko.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Ks. Józef Kruszyński M. T.: **Wstęp ogólny,** historyczno-krytyczny do Pisma św. Włocławek i Warszawa. 1915. Str. 472.

Dowód to niespożytej energii, wśród zawieruchy wojennej, przez którą okolice Włocławka tak często w r. 1914 i 1915 były nawiedzone, zamknąć się w sobie i opracować dzieło o tak potężnych rozmiarach. Jedynie tylko święty zapał Boży, umiłowanie ksiąg świętych oraz gorliwość służenia umysłom naszych teologów polskich mogły czcigodnemu ks. profesorowi dodać tyle sił i odwagi do tak wielkiego przedsięwzięcia.

Omawiając tę książkę, musimy mieć zawsze ten cel główny na myśli, a zarazem ten olbrzymi zasób pracy włożonej, by sprostać tak trudnemu zadaniu. Napisać podręcznik, to, zdaniem wszystkich, rzecz niezmiernie trudna. Ile to potrzeba oczytania, ile sądu wytrawnego, jak znakomitego opanowania przedmiotu, by umieć wybrać z olbrzymiego materyału to, co jest najistotniejsze, by to owładnąć, syntetycznie ująć i przedstawić tak, by czytelnik, a szczególniej tutaj młody teolog mógł to zrozumieć, ocenić i nauczyć się kształtować swój sąd i swojej zdanie. Ktokolwiek choć tylko parę lat wykładał teologom kwestyę introdukcyjną, wie najlepiej, co to znaczy taki wykład opracować i jak trudnem jest nadać wykładom całość jednolitą. Pisząc tę recenzyę, miałem to na oku, a jeżeli ośmieliłem się wytknąć pewną ilość rzeczy mniej dobrze ujętych, zaznaczam zaraz na wstępie, że jest to znikomo małem wobec

tego, co ta książka przynosi dodatniego i trwałego do naszej polskiej literatury teologicznej.

Wstęp ogólny już parę lat temu został opracowany w języku polskim przez ks. prałata Szlagowskiego. Obliczony był na daleko szerszą miarę, zakrojony głębiej niż wstęp X. Kr. Praca X. Szlagowskiego spotkała się z dużem uznaniem u nas, a jeżeli krytyka wytknęła w niej pewne usterki, nieodstępne niestety od każdej ludzkiej pracy, to nie odmawiała książce wielkiego znaczenia, które sobie u nas zdobyła. Dobrze jednak uczynił ks. Kr., że rzecz tę podjął na nowo. Pod nazwą wstępu ogólnego obejmuje X. Kr. szereg gałęzi wiedzy biblijnej, które obecnie uważa się na Zachodzie jako odrębne nauki, jak to: inspiracyę biblijną, kanon ksiąg Starego i Nowego Testamentu, tekst i tłumaczenia Pisma św., hermeneutykę i historyę Egzegezy. Dzisiaj w nauce o inspiracyi i kanonu zwykło się już osobno traktować stronę teologiczną, a osobno stronę biblijno-historyczną. Czyni się to na Zachodzie głównie dlatego, by dać pewien przeciwważnik krytyce racyonalistycznej, nieumiejącej, a raczej nie chcącej inaczej omawiać introdukcyi biblijnej jak tylko jako naukę ściśle historyczną nie teologiczną. Jednak książka X. Kr. słusznie uważa naukę o kanonie, a po części także naukę o introdukcyi szczegółowej jako dział nauk teologiczno-historycznych, stojących jakby w pośrodku pomiędzy naukami ściśle historycznemi a teologicznemi podobnie, jak się to ma rzecz z apologetyką, która także zawiera cały szereg kwestyi wyłącznie teologicznych. Na Zachodzie ma ścisłe odgraniczenie introdukcyi naukowej od teologicznej swoje uzasadnienie we walce z racyonalizmem. Kiedy się zaś chce dać podręcznik teologom, trzeba jednak jedno i drugie umieć połączyć. Słuszna jest uwaga X. Kr., że introdukcya nawet szczegółowa nie zawsze może być brana jako nauka ściśle historyczna, bo chociaż naogół nauka o autorze ksiąg świętych nie wchodzi w zakres nauczania Pisma św., to jednak co do niektórych ksiąg, a szczególnie Pentateuchu i ewangelii IV już samo Pismo św. poucza nas, kto jest ich autorem — może naturalnie wtenczas introdukcya historyczna brać to świadectwo ksiąg św. jako świadectwo ludzkie, abstrahując na ten moment od jego znaczenia teologicznego. Metody jednak, któremi się introdukcya posługuje, będą zawsze metody historyczne, analogiczne do metod używanych w ocenie innych pism ludzkich.

Niepodobna oczywiście tu rozbierać szczegółowo całej treści tej książki, ani też podnosić wszystkich jej zalet, oraz całego zasobu spożytkowanych materyałów. Na ogół trzeba powiedzieć, że autor wy-

wiązał się ze zadania bardzo dobrze — czasami nawet, a szczególniej w Hermeneutyce, napisanej krótko, zwięźle i jasno, wywiązał się świetnie. Szkoda tylko, że rzecz o historyi Egzegezy traktowano tak ogólnikowo, czytelnik mało co dowiaduje się o wielkiej wartości badań katolickich na polu egzegezy. W tak krótkiem streszczeniu historyi egzegezy nietyle powinno chodzić o wyliczenie poszczególnych dzieł i nazw, ile o przedstawienie rozwoju tej nauki tak pięknie pielęgnowanej zawsze w Kościele, tem więcej, że dzisiaj mamy na tem polu tyle znakomitych dzieł i monografii.

Co do innych części trzeba powiedzieć, że nie pominięto żadnej ważniejszej kwestyi. Autor jest pod tym względem aż nadto skrupulatny. Może to nie zawsze wychodzi na korzyść jasności wykładu, gdy się chce teologom za dużo powiedzieć. W każdym razie poszczególne problemy powiązano logicznie, w wyborze dowodowego materyału ograniczono do tego, co jest najkonieczniejsze i najistotniejsze; chociaż i tu są czasem znaczne nierówności. I tak należało, mojem zdaniem, kwestye Vulgaty łacińskiej traktować więcej wyczerpująco, podać dokładniej jej charakterystykę i niepospolitą jej wartość i znaczenie, do czego byłoby się ogromnie przyczyniło obszerniejsze przedstawienie historyi prac nad krytycznem wydaniem Vulgaty. Nie można autorowi darować, że nic nie powiedział o tej złotej nici badań nad poprawą tekstu Vulgaty od Cassiodora, św. Bedy, Alkuina poprzez całe wieki średnie, że nie wspomniano o tych licznych korektoryach cysterskich, benedyktyńskich, dominikańskich, rzymskich, paryskich oraz o pracach poprzedzających Sobór Trydencki. Właśnie te badania nad tekstem Vulgaty, to jest największa chluba wieków średnich na polu biblijnem, one tam najsamodzielniej pracowały. W ten sposób czytelnik lepiejby ocenił wydania Sixtyny i Clementyny. Należało też choć słówkiem wspomnieć o nowych pracach nad poprawą tekstu Vulgaty. Nie wiem, czy to, co powiedziano o stosunku Sixtyny do Clementyny jest wystarczające oraz czy to się da pogodzić z tem, co przyniosła znakomita praca Hetzenauera nad trzema edycyami Clementyny. Rzecz o bibliach polskich również, zdaniem mojem, traktowano zbyt ogólnikowo, a kiedy mowa o wydaniach Wujka, to łatwo może sobie czytelnik na podstawie tego, co napisano w książce, wyrobić nieścisłe wyobrażenia; np. o wydaniu Nowego Testamentu Wujka z r. 1593 mówi X. Kr.: „Gdy tylko ukazała się Vulgata Clementyńska, Jakób Wujek... niezwłocznie rozpoczął swój przekład Nowego Testamentu, który już w następnym roku się ukazał. Wujek jednak mówi sam w przedmowie, że pracował nad swojem tłumaczeniem

Nowego Testamentu wiele lat, a powtóre, że przekładał nie z Clementyny, jak się nam każe domyślać X. Kr., lecz z wydania Lowańskiego z r. 1574, nadto tekst grecki nie jest brany z Polyglotty antwerpijskiej, zwanej Biblia regia, a drukowanej w latach 1569—1572, lecz sam Wujek wyraźnie mówi, że z przedruku greckiego tekstu, dokonanego na podstawie biblii królewskiej z r. 1583. Także należało wyraźniej podnieść, że Nowy Testament Wujka z r. 1593 nie jest identyczny z Nowym Testamentem z r. 1599. Co prawda, można wywnioskować, że X. Kr. odróżnia te dwa tłumaczenia, ale nie wiem, czy uczeń tego się domyśli. Czy możemy powiedzieć, że język Wujka odznacza się wyjątkową czystością, jeżeli sami wydawcy Wujka w rozdziale IX. przedmowy tłumaczą się, czemu język tłumaczenia jest gruby. Już wtenczas zrozumiano, że pod tym względem tłumaczenie z r. 1599 nie dorównuje tłumaczeniu z roku 1593, które jest znakomite i świetne pod względem językowym.

W krótkim stosunkowo rozdziale o natchnieniu ksiąg świętych potrącił X. Kr. niemal o wszystkie kwestye podnoszone dzisiaj w tym przedmiocie. Sobór Watykański i Encyklika „Providentissimus Deus" spowodowały, że kwestya ta przybrała olbrzymie rozmiary. Ma ona stronę teologiczną i biblijną, które się jednak wzajemnie przenikają i uwarunkowują. O ile stronę biblijną traktował X. Kr. ogólnie dobrze, to pod względem teologicznym nie została należycie wyświetloną, a mianowicie nie oddano dostatecznie wzajemnego stosunku objawienia i natchnienia.

Szkoda, że nie wyszedł autor ze stanowiska św. Tomasza, który objawienie i natchnienie nadzwyczaj głęboko ujmuje jako dwie strony tego, co on nazywa „lumen propheticum", zaznaczając, że objawienie i natchnienie stanowią dwa odcienia specyficzne oświecenia proroczego, mają mianowicie ten sam przedmiot formalny, czyli jak się św. Tomasz wyraża „principium quo"", różnią się zaś tylko w przedmiocie materyalnym „principium quod", czyli według św. Tomasza w objawieniu sposób i przedmiot poznania pochodzą wprost od Boga z mocy nadprzyrodzonego światła przez Boga udzielonego, w natchnieniu natomiast przedmiot poznania może być sam ze siebie skądinąd znany, ale prawda ta musi być koniecznie poznaną przez proroka nowym sposobem nadnaturalnym na podstawie światła proroczego, które jest niczem innem, jak tylko udziałem nadprzyrodzonym w poznaniu samego Boga. Nie wystarcza zatem, jak czasem X. Kr. się wyraża, ustrzeżenie autora od błędu, w prawdach, które naturalnym rozumem poznać można, nadto nie jest właściwem mówić, że w natchnieniu coś pochodzi częściowo od Boga,

a coś częściowo od człowieka — i d e a od B o g a — s ł o w a od c z ł o w i e k a. Św. Tomasz bardzo słusznie każe nam rozumieć, że w natchnieniu proroczem i biblijnem Bóg i człowiek działają jako dwie przyczyny sprawcze. Gdyby św. Tomasz był mówił o natchnieniu werbalnem i idealnem, nie byłby nigdy w tej kwestyi mówił o różnicy „inter res et verba". Bóg i człowiek zarówno jest autorem księgi natchnionej z tą naturalnie różnicą, że Bóg jest przyczyną pierwszorzędną „causa efficiens primaria antecedens concomitans pariter et consequens", człowiek zaś jest przyczyną sprawczą drugorzędną, stojącą pod wpływem Bożym nietylko co do idei samych, ale także co do stosownego wyrażenia tych idei, nietylko w sposób nieomylny, ale także taki, że te słowa są istotnie wyrazem tego, co oglądał prorok w świetle Bożem bez względu na to, czy to są prawdy wprost objawione, czy też skądinąd już znane. Toteż O. Lagrange, X. Billot i X. Pesch dopiero w należytem świetle przedstawili, jak należy rozumieć wyrażenia „inspiratio verbalis et realis. Oni żądają dla biblii jednej i drugiej. Jest to stanowisko jedynie słusznie, bo dla nas w ocenie książki zawsze są miarodajne jej słowa, w których wypowiedziano myśli autora.

Po encyklice „Providentissimus Deus" nie należy ograniczać wpływu Bożego na słowa autora o tyle tylko, by one były wolne od błędu, bo to nie wystarczy do pojęcia o inspiracyi, jak to przypuszcza X. Kr. na str. 51 w ostatniem zdaniu § 15, a także na stronie 67 pod numerem 1: „jeżeli autor jako człowiek wykształcony potrafił na mocy własnych swych zdolności dobrać wyrazy, obrobić stylowo... podówczas... do tych rzeczy nie był potrzebny wyraźny wpływ Boży" (Czy tak?) Niesłusznem jest także na str. 69 ustęp Nr. 6. Co najmniej nie jasnem jest zdanie na str. 70: Byli także tacy, co zbytnio rozszerzali zakres natchnienia, stosując je do poszczególnych wyrażeń, do objaśnień choćby błędnych, bez najmniejszych względów". (W biblii przecież nie może być żadnych błędnych objaśnień). Gdy jest mowa o inspiracyi werbalnej, należało zwrócić uwagę na to, że jej zwolennicy zbytnio kładli nacisk na wyrażenie soboru Trydenckiego: „a Spiritu Sancto dictatas", oraz na rozdział 36 Jeremiasza, mylnie sobie wyobrażając, że Bóg takich, a nie innych słów pisarzom św. kazał używać. Zwolennicy zaś natchnienia idealnego błądziliby niechybnie, gdyby wpływ P. Boga ograniczyli tylko do preserwacyi od błędów. W pojęciu natchnienia św. Tomasza pisarze św. byli swobodni w doborze wyrazów na wyrażenie myśli czy to swoich, czy to pochodzących wprost od Boga, ale w każdym razie myśli wszystkie poznawali sposobem nadprzyrodzonym, za pomocą światła od Boga im

danego, ale wyrażając myśli w taki sposób nadprzyrodzony poznane, nietylko wyrazić je umieli bez błędu, ale Bóg światłem swojem udzielał im pomocy tego rodzaju, że zawsze czynili to w stosownych słowach, nie koniecznie zawsze najlepszych i najdoskonalszych. X. Kr. to czuł, gdy na stronie 77 powiedział bardzo dobrze, choć trochę niejasno: „P. Bóg, objawiając człowiekowi idee i myśli, objawiał równocześnie całkowity materyał, a więc dostarcza zasobu wyrazów, który powinien być użyty w księdze natchnionej". Tu, mojem zdaniem, X. Kr. trochę przesadził. Nie tyle dostarczał zasobu wyrazów, ile tak oświecał i prowadził, że prorok przez dobór odpowiednich słów, zostawionych jego własnej indywidualności i poczuciu artystycznemu, to i tylko to powiedział, co Bóg chciał.

Po encyklice „Providentissimus Deus" trudno nazwać sentencyi Newmana t. zw. „obiter dicta", jako możliwą wobec definicyi natchnienia tam podanej. Jeżeli X. Kr. twierdzi, że książka, będąca pseudonimem, może wejść w zbiór ksiąg natchnionych, twierdzi słusznie, jednak należy położyć to zastrzeżenie, by czytelnik w jakikolwiek sposób mógł poznać z lektury tej książki, że imię autora jest pseudonimem. Istotnie ma to miejsce tak w księdze Mądrości, jak w księdze Kohelet, w których autorowie bardzo wyraźnie odróżniają siebie od Salomona, którego wprowadzają jako osobę przemawiającą. W kwestyi stosunku Kanonu Palestyńskiego do Aleksandryjskiego postąpiono cokolwiek niemetodycznie. Chodzi głównie o to, jak wytłumaczyć naukowo różnicę między jednym i drugim Kanonem. Jeżeli się przyjmie i twierdzi tak kategorycznie, jak to czyni czcigodny autor, że Kanon hebrajski ustalił się jeszcze w czasach Ezdrasza i jeżeli się nie powie jasno, że Kanon Ezdrasza nie jest identyczny z Kanonem hebr., tak jak się on ustalił obecnie, to tem samem usuwa się możliwość naukowego wytłumaczenia kwestyi stosunku obydwóch kanonów. Dogmatycznie jest pewnem, że Kościół za swój uznał Kanon Aleksandryjski, nie odrzucił jednak Kanonu Palestyńskiego, owszem ceni go tak samo jak tamten, a jednak wszystkim wiadomo, jak wielkie są różnice między jednym i drugim Kanonem. Rzecz ta wymaga zasadniczego wyjaśnienia.

Nie przeczę, że jest ogólnem przekonaniem Ojców, że Ezdrasz pierwszy dokonał zbioru ksiąg świętych, ale Ojcowie nie chcieli twierdzić nigdy, by Kanon Ezdrasza był identycznym z Kanonem hebrajskim. Widać to już z cytatu św. Ireneusza, przytoczonego na str.118, że Ezdrasz zebrał „praecedentium prophetarum sermones" w jeden porządek i on do pierwszej postaci przywrócił prawodawstwo Mojżesza. To jest wła-

śnie naukowo pewnem, co uczy Ireneusz, że już w czasach Ezdrasza obok Tory istniał niemal cały zbiór Proroków tak starszych, jak i młodszych, o ile ci prorocy poprzedzili Ezdrasza — „praecedentium prophetarum", a z trzeciego zbioru Masoreckiego z Ketubim istniały co najmniej psalmy, a prawdopodobnie także inne księgi w Kanonie Ezdrasza. Nikt jednak nie potrafiłby udowodnić, by Kanon hebrajski przed przyjściem Chr. Pana miał już tę samą formę, co dzisiaj. Wiemy przecież, że niektóre księgi Kanonu hebrajskiego nieznane są Jezusowi ben Sirach, a także autorowi II. Księgi Machabejskiej. Jeszcze w epoce Miszny szereg ksiąg obecnie będących w kanonie był kwestyonowany, a natomiast jest bardzo prawdopodobnem, że istniały w Kanonie Miszny księgi Tobiasza i Judyt, księgi Daniela i Esther w formie Septuaginty, a napewno Ekklezyastyk. Dopiero z końcem II. wieku, jak się okazuje z traktatu Baba Batra, Kanon hebrajski miał formę taką jak obecnie. Należy jednak jeszcze zauważyć, że Melitto ze Sardes, co jest bardzo charakterystycznem, pomija w wyliczeniu ksiąg Kanonu hebrajskiego księgę Esther. Dawno już zwracali uwagę uczeni katoliccy, że sprawdziany kanoniczności u Żydów takie jak: księga musiała być starożytna, napisana po hebrajsku i to w Palestynie, wyrobiły się dopiero w epoce Miszny. Dlatego to w traktacie Baba Batra napisano takie dziwaczne rzeczy o powstaniu i zbiorze ksiąg świętych. Jeszcze u Flawiusza znamy tylko jedno kryteryum kanoniczności: sukcesyę proroków. — To też lubo już Flawiusz Józef jest po części pod wpływem opinii pierwszego z kryteryów kanoniczności, ustalonych w Misznie, kiedy mówi, że napewno należy uważać za boskie księgi powstałe przed Artakserksesem, podniósł jednak, że właśnie te księgi czczono jako boskie, bo aż do Artakserksesa istniała sukcesya prorocka. Ale równocześnie zapisuje w sławnym VIII. rozdziale contra Apionem, że obok 22 ksiąg inne powstałe później dlatego tylko nie mają tej samej powagi, co tamte, że brak co do nich kryteryum sukcesyi prorockiej. A wiemy, że Flawiusz w praktyce szereg ksiąg Kanonu Aleksandryjskiego z taką samą czcią cytował jak księgi Kanonu palestyńskiego. Nie czytamy u Flawiusza ani razu, by w kwestyi Kanonu miały istnieć gdzieś różnice między żydami palestyńskimi i aleksandryjskimi. Z metodycznego zebrania źródeł o Kanonie wynika to jedno, że Kanon w epoce Chrystusowej u żydów nie był ostatecznie ustalony. Dopiero Chrystus Pan i Apostołowie swoją nauką ustalili Kanon ksiąg Starego Testamentu, przyjmując weń te wszystkie książki Starego Testamentu, które Kościół odtąd aż do dziś uważa za święte. Żydzi natomiast, jak zdaje się wynikać ze świadectw

historycznych, dopiero pod wpływem polemiki z chrześcijanami nadali Kanonowi tę formę, którą ma dzisiaj i to na podstawie kryteryów swoich, wypowiedzianych dosyć jasno w traktacie Baba Batra. Począwszy dopiero od wieku II po Chrystusie, zaczęli też Żydzi omijać szereg ksiąg, które dawniej uważali za święte i to nietylko Żydzi palestyńscy, ale i żydzi hellenistyczni i odtąd zaczyna się u nich ta wielka niechęć do starego tłumaczenia Septuaginty, które przedtem było u nich w tak wielkiem poważaniu. Jest dzisiaj niemal rzeczą pewną, że księga Esther w tej formie, jak jest w Septuagincie, była dawniej czczona i poważana. To samo było z księgą Daniela, jak to widzimy jeszcze z jej tłumaczenia, dokonanego przez Teodocyona. Trzy tłumaczenia żydowskie Biblii hebrajskiej na grecki II. i III. z naszej ery są najlepszym dowodem ewolucyi wstecznej, zaszłej w tym czasie u żydów. Że zaś u chrześcijan Kanon ustalił się już w epoce apostolskiej, oczywistym dowodem tego jest jednomyślne jego uznawanie jako ksiąg boskich w całym Kościele w pierwszych trzech wiekach. Znanem powszechnie jest oburzenie, jakiemu dał wyraz Orygines, gdy przeciw powadze Kanonu katolickiego zaczęto się powoływać na Kanon żydowski. Kościół zatem uznając Kanon LXX, nie odrzucił Kanonu Palestyńskiego, bo w epoce apostolskiej, kiedy to się stało, dwa te Kanony nie były sobie przeciwstawione, ani zwalczane. Dlatego tak obszernie się o tem rozpisałem, bo w kwestyi Kanonu X. Kr. podaje szereg zdań niejasnych, i czytelnik odnosi wrażenia, jakoby ta kwestya stosunku Kanonów nie dała się należycie rozwiązać.

Co do wątpliwości, powstałych na tem tle w Kościele w w. IV. nie dość jasno zaznaczono, że były one raczej natury teoretycznej, aniżeli dogmatycznej. Właściwym powodem wyróżnienia ksiąg deuterokanonicznych była, jak wiemy, okoliczność, że księgi te nie nadawały się do polemiki, szczególniej z żydami, którzy ich już wtenczas nie uznawali, a także przyczyniło się z pewnością wielce i to, że we wydaniach hexaplaryjnych greckich były opatrzone obelusami. Wiemy, że to się stało na Wschodzie we wieku IV, ale tam te wątpliwości trwały krótko, bo już we wieku VI. księgi te są na Wschodzie uważane powszechnie, bez wyjątku, za boskie, aż dopiero pierwszy Lascaris we wieku XVII, a potem teologowie ruscy we w. XVIII pod wpływem reformacyi i racyonalizmu książki te poczęli nie uznawać jako kanoniczne. Na Zachodzie tymczasem wątpliwości takich nie było, dopiero powaga św. Hieronima spowodowała, że wielu pisarzy zachodnich, począwszy od Grzegorza Wielkiego przez całe wieki średnie aż do Soboru Trydenckiego uważali te księgi jako mniej wartościowe niż tamte. Kwestye te

przedstawia X. Kr. odmiennie. Także, mojem zdaniem, nie należało mówić, że św. Hieronim pod wpływem rabinów odrzucił powagę kanoniczną ksiąg Kanonu Aleksandryjskiego. To jest z pewnością niesłuszny zarzut, uczyniony św. Hieronimowi, który, jak wiemy, w kwestyi tej nie doszedł do należytej jasności i sam ze sobą jest w tym względzie ciągle sprzeczny. Gdy się tylko czyta choćby przedmowy św. Hieronima, umieszczone w wydaniach Vulgaty, odnosi się wrażenie, że wątpliwości co do kanoniczności tych ksiąg u św. Hieronima są natury czysto teoretycznej. Jako uczony filolog raz po raz przeciwko nim występuje, ile razy zaś mówi jako chrześcijanin albo teolog, czci je taksamo jak tamte. Nic też dziwnego, że stanowisko św. Hieronima zaciążyło tak bardzo na pisarzach zachodnich. Nie miała jednak żadnego wpływu na pisarzy Kościoła wschodniego.

Podobnie jak św. Hieronim, tak i pisarze zachodni, którzy za nim poszli, teoretycznie podzielają wątpliwości św. Hieronima, ale w praktyce „sensus christianus“ kazał im je czcić na równi z innemi księgami świętemi. To też Sobór Trydencki, powodowany instynktem Ducha św. nie wdając się żadną miarą w rozbiór wątpliwości, podnoszonych przez tak wielkich teologów wieków średnich za przykładem dawnych Soborów na pytanie, które księgi są kanoniczne, wyliczył wszystkie księgi Kanonu chrześcijańskiego bez zaznaczenia jakiejkolwiek między niemi różnicy. Sobór nie chciał się zgodzić na żadną nad tem debatę, jak tego żądali niektórzy teologowie tam obecni. Pozwoliłem dodać sobie te uwagi, gdyż brak ich w książce X. Kr. stanowi dotkliwą lukę.

Mojem zdaniem, także nie należało się tak bardzo zapalać do teoryi Naville'a o znalezieniu Deuteronomium w świątyni Jerozolimskiej. Naville był świetnym egiptologiem, lecz niestety w swej znanej hipotezie prawie nic się nie liczy z brzmieniem tekstu Pisma św. To wszystko, co on pisze, że kodeks znaleziony przez Hilkiasza miał być pisany pismem archaicznem, nieczytelnem, przystępnem tylko dla pisarza królewskiego Safana, że kodeks ten znaleziono, nie, jak mówi biblia, w skarbcu świątyni, lecz jako wmurowany w fundamenta świątyni, jest czystym wymysłem fantazyi Naville'a. Zresztą dla biblisty teorya Naville'a nie ma wielkiego pożytku.

Ośmielam się również wytknąć małe niedokładności z dziedziny paleografii biblijnej. Papier z włókien lnianych był już znany w wieku VIII, a nie w w. XIII. Rzymianie i Grecy pisali kursywą już na długie wieki przed wiekiem IX. Przypominam tylko choćby te piękne wzory kursywy greckiej z I. i II. w. po Chr., umieszczone w znanej książce

Deismanna: Licht von Osten. Już wtedy pisano oddzielnie każdy wyraz, dopiero później, im dalej posuwamy się ku wiekom średnim, charakter pisma, tak inicyałów, jak kursywy, staje się coraz więcej zaniedbany.

Nie chęć pouczania kogokolwiek spowodowała te dłuższe uwagi o tej książce tak na czasie i tak pożytecznej bardzo, ale tylko to jedno, by ułatwić jej zrozumienie, oraz urobienie sobie sądu na jej podstawie o zagadnieniach biblijnych, nawet najtrudniejszych. Zrozumiałą jest obecność wielu niedokładności i niejasności w książce tak zbicie pisanej. — Właśnie ta okoliczność przyczyniła się głównie do tego, że myśl autora nie wszędzie należycie się uwypukliła. Szereg zdań rozbieżnych w książce nie dowodzi, by autor kwestyi tych nie był należycie pogłębił, owszem, przeciwnie, wynikło to właśnie z potrzeby i poczucia jak najgłębszego oddania rzeczy — ale zapał, z którym je pisano, sprawił, że czasami nie uwydatniono dostatecznie ogniw łącznikowych, któreby były złagodziły i objaśniły pewne wyrażenia rozbieżne i sprzeczne — głównie ten brak daje się odczuwać w kwestyi inspiracyi i Kanonu — toteż to miały na celu moje uwagi w recenzyi.

Byłbym był wolał, gdyby Sz. Autor w niektórych kwestyach był inną obrał drogę — ale w rzeczach wątpliwych i nie mających dostatecznej jeszcze podstawy naukowej, każdemu przysługuje wolność przychylenia się do takiego lub innego zdania, byle tylko to wszystko razem stworzyło jedną całość organiczną. Oby ta książka tak bardzo a bardzo u nas potrzebna — przyczyniła się do obudzenia zamiłowania do Pisma św. i do jego zrozumienia i poszanowania.

X. Dr. Wilhelm Michalski C. M.

Ks. Józef Kruszyński: **Wstęp szczegółowy do ksiąg N. Testamentu.** Włocławek 1916, Str. 740.

Po raz pierwszy w języku polskim ukazuje się tak obszerna i według najnowszych metod opracowana Introdukcya N. Testamentu. Zasługa to wielka, tem większa w tym czasie tak przełomowym dla naszej ukochanej Polski, której daje się tem samem świadectwo żywotności najgłębszej. Autor nie taił zapewne przed sobą ani trudności, ani też nie bał się brać do dzieła, choć doskonale wiedział, z jakiemi przeszkodami walczyć musi u nas o każde nowe wydawnictwo. Odwagi mu dodawała myśl, że tem służy Bogu i Ojczyźnie. Zasłużył się też bardzo dobrze, bo dziełem swem otworzył na oścież bramę N. Testamentu, i tę

księgę św., zapieczętowaną u nas niestety dla wielu jeszcze siedmioma pieczęciami, uczynił przystępną wszystkim nawet, powiem, laikom.

Wstęp ogólny X. Kruszyńskiego nie wyszedł po za ramy podręcznika dla teologów, tu zaś Autor daje książkę dla wszystkich wykształconych Polaków, chcących się zapoznać z N. Testamentem. Stąd też widocznie pochodzi ta metoda traktowania rzeczy szeroko, swobodnie, stąd dążność oświetlania wyczerpująco wszystkich aktualnych problemów. Ze zimną odwagą poruszano zagadnienia najdelikatniejszej natury, jak kwestye źródeł ksiąg św., ich wzajemnego stosunku, układu, wzajemnej zależności. Książka pisana jest z wielkim rozmachem, śmiałością przekonań, oraz wielkodusznością, udzielającą prawa głosu ludziom najrozmaitszych szkół teologicznych. Czytelnik dowiaduje się, ile to swobody mają katoliccy teologowie w badaniu źródeł objawienia. Książka jednak zawsze stara się iść po linii złotego środka, wytyczonej z jednej strony przez zasady nauki Kościoła, a z drugiej przez praktykę uczonych katolickich wszystkich wieków.

Autor nietylko daje obraz nauki obecnej doby, idzie nawet dalej, próbując nowych dróg w rozwiązywaniu niektórych zagadnień, jak kwestyi synoptycznej, powstania ewangelii św. Marka i kompozycyi Apokalipsy, choć co do ostatniego punktu nie mogłem sobie z lektury zdać sprawy, na czem właściwie polega nowa jego opinia. Nadto należy jeszcze podnieść jasność i przejrzystość układu, oraz troskliwość w unikaniu rutyny i szablonu w omawianiu poszczególnych tez.

Chciałoby się jednak coś więcej powiedzieć o tej pierwszej u nas Introdukcyi; treści książki takich rozmiarów w recenzyi oczywiście wyczerpnąć niepodobna, ani również tego, co w niej powiedziano pięknie i dobrze. Zresztą dla znających przedmiot jest to zbytecznem, a dla nowicyuszów bezcelowem, bo autor sam ich w znajomość rzeczy dopiero wprowadza. Musimy z całym naciskiem stwierdzić, że jakkolwiekby się ktoś na tę pracę zapatrywał, to jest ona w każdym razie korzystnym zjawiskiem i drogim nabytkiem dla naszego polskiego piśmiennictwa; oby tylko ta książka jak najwięcej pobudziła do czytania i zdrowego zrozumienia N. Testamentu.

Nie odpowiedziałbym jednak zadaniu mojemu, gdybym w tej nowej u nas książce nie podniósł tego, co w niej jest, nie powiem, ujemnem, ale co może, zdaniem mojem, jest mniej odpowiedniem w osiągnięciu celu pracy, którym jest należyte zrozumienie św. pism. Krytyka sprawiedliwa i przedmiotowa więcej dziełu przynosi korzyści, niż bezwzględna pochwała, pozbawiona podstawy rzeczowej. Nazwano mnie

kiedyś zgryźliwym krytykiem, przyczem zgoła zapoznano właśnie moją najszczerszą intencyę, oraz mój sposób patrzenia na każdą rzecz.

Wiem, że w każdej ludzkiej pracy zawsze się odbić może nasza naturalna ułomność i znikomość, ale też prawie zawsze odźwierciedla się to, co w nas jest pięknego i dobrego.

X. Kruszyński zadanie swoje pisarskie pojmuje bardzo wszechstronnie i głęboko. Zapoznaje z treścią dzieła, rozbiera starannie myśl przewodnią utworu, sposób myślenia autorów św., ich rodzaj umysłowości, charakter i właściwości stylu i języka, odważa właściwe im formy, analizuje i porównuje analogiczne objawy w innych księgach. N. T. Cokolwiek w nauce się znajduje ważniejszego, a mogącego, zdaniem autora, być pożytecznem dla lepszego zrozumienia ksiąg św., to starał się zaznaczyć. Wszystko go obchodzi: autor, jego otoczenie, czytelnicy, warunki, wśród jakich żyją, prądy i kierunki umysłowe etc.

Oczywiście, że tak wszechstronne ujęcie przedmiotu pociąga za sobą wielkie oczytanie odnośnej bibliografii, którą też w miarę możliwości podaje.

Napisać dziś introdukcyę, a mieć o każdej kwestyi zdanie oparte na osobistem zgłębieniu każdej tezy, jest rzeczą dla jednostki prawie niemożliwą. Chodzi tylko o to, aby wśród wielu rozbieżnych opinii uczonych umieć obrać drogę właściwą. W kwestyach zasadniczych tutaj to osiągnięto, ale w zagadnieniach dalszych, we wielu punktach nie pisałbym się na twierdzenia i sposób pojmowania autora.

Przynajmniej niektóre rzeczy ważniejsze ośmielam się podnieść. Mam na myśli najpierw kwestyę powstania ewangelii św. Mateusza i Marka. O ewangelii ustnej można było, skoro już tyle o niej jest mowy, opisać ją dokładniej z tego, co z niej do nas doszło w Dziejach apostolskich, listach św. Pawła itd., bo inaczej operujemy potem w przestworze dla niewtajemniczonych pustym i próżnym. Nadto należało lepiej zaznaczyć nieocenioną wartość wstępu ewangelii św. Łukasza dlatego, że on niezbicie pokazuje, jakto koło roku 63 istnieje kilka conajmniej pism, omawiających zdarzenia, związane z dziełem Pana Jezusowem. Pisma te, jak wyraźnie mówi św. Łukasz, opierały się na opowiadaniu tych, którzy od początku byli naocznymi świadkami wydarzeń, a także z czasem stali się sługami słowa. Autor mylnie rozróżnia αὐτόπται i ὑπηρέται jako dwie różne kategorye ludzi; w myśl ś. Łukasza byli to jedni i ci sami. Nadto w słowie „przyłożyli rękę" ἐπεχείρησαν nie zawiera się żadna nagana poprzednich pism, wspomnianych przez Łukasza. Toteż teorya wymyślona przez X. Kr. o istnieniu rzekomem całego szeregu

pisanych ewangelii, a to podobno nawet na Cyprze przed pierwszą podróżą misyjną św. Pawła, a mających zawierać już nie całą prawdę ewangelicznych zdarzeń, nie może mieć przynajmniej u św. Łukasza żadnego oparcia, z którego nb. tylko coś bliższego wiemy o literaturze ewangelicznej. Owszem, on dość jasno mówi, że jeżeli chodzi o źródła, to nie miał innych do dyspozycyi tylko tesame, co jego poprzednicy. Ten punkt teoryi jest słaby i niebezpieczny bardzo dla obrony historyczności naszych ewangelii. Jeżeli ktoś przyjmie choćby tylko możliwość istnienia dzieł ewangelicznych, niezupełnie wiarygodnych przed r. 50, to nie wiem, jak obroni historyczność ewangelii później powstałych, gdy się przytem pamięta, że prawie wykluczoną jest tego rodzaju teorya wobec milczenia Dziejów apostolskich o istnieniu jakiegoś środowiska chrześcijańskiego w tym czasie na Cyprze. Nadto w tym wypadku zapomina sz. Autor o fakcie gdzieindziej przez niego samego podnoszonym, że ewangelie to nie utwory, przeznaczone do czytania zwykłego, ale one mają chrześcijanom dawać to, co dotąd otrzymywali przez żywe słowo ewangelicznych głosicieli. Kwestye: powstanie ewangelii i synoptyczna są zadaniami co prawda literackiemi, ale równocześnie nie wolno nigdy spuszczać z oka, że św. pisarze N. T. pisma swe pisali zawsze w celach apostolskich — nawet św. Łukasz, ten największy literat N. T. w pismach swych nie literaturze chce służyć, ale jedynie zbawieniu dusz. To też zapewne te kwestye samemi wyłącznie metodami literackiemi nie zostaną wytłumaczone. A już najmniej nie można takiej metody używać, uzasadniając powstanie ewangelii św. Marka. Naturalnie czuł to sam autor, który w tym celu przeniósł powstanie drugiej ewangelii, wbrew przekonaniu tradycyi kościelnej, do Jerozolimy, ale to tej hypotezie nic nie pomoże. Ten niewłaściwy punkt wyjścia spowodował dalej drugie twierdzenie, wręcz sprzeczne z tradycyą pierwszych wieków, że nasz grecki Mateusz nie jest tłumaczeniem, lecz oryginałem. Mojem zdaniem, te 10 argumentów, przywiedzionych na obronę tej tezy, nie są zdolne przeważyć historycznego podania starego Kościoła, który nie mógł tego przekonania wysnuć z rozbioru literackiego ewangelii, noszącej szatę nadzwyczaj poprawnej greczyzny. Snać wspomnienie prawdy dziejowej było u nich żywsze, niż przeciwne wrażenie brane z językowej czystości, którą niemniej dobrze od nas odczuwali. Tak, jest prawda, że dzisiaj krytyka nie chce uznać naszej ewangelii I. za przekład z aramejskiego, ale równocześnie musi przyznać, że Mateuszowe logia są dopiero zrozumiałe, jeżeli się przyjmie dla nich podkład aramejski. Dla wyjaśnienia kwestyi synoptycznej, jest koniecznem istnienie pisanej

ewangelii aramejskiej, czemu zaś szukać jakiejś innej, jeżeli mamy tak jasne pod tym względem podanie tradycyi. — Nadto zbyt łatwo przychylono się do zdania pierwszeństwa Marka przed Mateuszem. W kwestyi synoptycznej jest wskazanem bardzo brać jako punkt wyjścia ewangelię Marka, jakoże ona prawie bez reszty mieści się w dwóch innych. Ale stąd jeszcze daleko do twierdzenia, by ona była pierwszą ewangelią. Przypominam zresztą, że zdaniem komisyi biblijnej należy unikać bronienia tej opinii, wyrosłej w szkołach niekatolickich. Kto przeczy istnieniu Mateusza aramejskiego, ten musi iść ze zdaniem X. Kr. ale to zaprzeczenie dziś prawie trudno da się naukowo bronić.

Za nie do darowania uważam także to, że tak pobieżnie traktowano klasyczny tekst Ireneusza (adversus hereses III. 1, 1). Tekst nie chce coprawda pouczać nas o czasie napisania ewangelii, ale należało go należycie wytłumaczyć, lub przynajmniej przypomnieć jego tłumaczenie przez Chapmana, wprowadzone do nauki, które nie naciągając wyrażeń: εὐαγγελιζομένων μετὰ τὴν ἔξοδον αὐτῶν, daje prawdziwy jego sens. Tembardziej to należało uczynić tu, skoro też X. Kr., mojem zdaniem, słusznie nie bierze tego tekstu w rachubę przy obliczaniu czasu powstania ewangelii.

Co do ewangelii św. Jana mam do podniesienia głównie to, że niejasno wytłumaczono symboliczny charakter tej ewangelii, dużo o tem napisano, ale tem tej kwestyi tak delikatnej nie wyświetlono i boję się, że ktoś, nie znający się na rzeczy, zrozumie to fałszywie. Co do ewangelii wogóle za mało zajmowano się ich treścią, a za dużo rozprawiano się z różnemi opiniami. Niejednokrotnie podnoszono zarzuty, na które potem nie ma wytłumaczenia. To samo było w Dziejach apostolskich: powiedzenie np. Act. II. 45 jest sprzeczne z IV, 34—35, a potem brak wytłumaczenia, chociaż jestto cytat z Batiffola, jednak należało zaznaczyć, na czem to przypuszczenie się opiera i jak je pogodzić z powagą Dziejów. Takie rzeczy są dość częste. Dużo rzeczy pięknych czytelnik się dowiaduje, ale szkoda, że przy tylu różnych, dobrych argumentach, zaczerpniętych z literatury introdukcyjnej, mniej brano ze samego tekstu ewangelii. Wiemy przecież, jak krytyka wroga nadprzyrodzonemu charakterowi ksiąg św. umie obficie czerpać z tego źródła, a przecież ono nie dla nich, lecz dla nas płynie. Zapewne znaną jest piękna broszurka Harnacka, napisana w obronie zdań tradycyjnych, odnośnie do powstania ewangelii synoptycznych i Dziejów ap., a dająca nam przykład bardzo pouczający, jak wiele znakomitego materyału apologetycznego wobec ciągłych nowych zarzutów daje nam sam tekst ksiąg św.

Pisma św. Pawła opisano po raz pierwszy u nas tak „con amore". Autor jak najstaranniej zapoznaje nas z osobą św. Pawła, w szerokich liniach kreśli nam jego charakterystykę, wychowanie wśród nawskróś greckiego miasta rodzinnego Tarsu, każe mu nawet chodzić do szkół greckich, co jednak, sądząc z jego pism, miejsca prawdopodobnie nie miało, w każdym razie wyniósł z Tarsu już tę sympatyę i zrozumienie tego, co miał szlachetnego duch tej cywilizacyi. Osoba św. Pawła dobrze się uwypukla, poznajemy go już przed nawróceniem, co tem lepiej pozwala ocenić w nim potężne działanie łaski później. Szczególniej podkreślić należy tu rozdział o języku św. Pawła, gdzie sobie autor zadał bardzo dużo trudu, byłoby jednak lepiej zamiast słów Vulgaty używać wyrażeń samego oryginału.

Listy omówione zostały w porządku Pisma św. Zazwyczaj opracowuje się je dzisiaj w porządku, jak powstawały. W introdukcyi, tak zakrojonej jak ta, byłoby najbardziej wskazanem, bo w ten sposób najlepiej się uwydatnia rozwój myśli tak bardzo widoczny w jego pismach, nadto unika się niepotrzebnego powtarzania. Ogólnie są listy starannie opracowane, najlepiej ad Ephesios i ad Hebraeos, mniej zaś jasno cztery wielkie listy. Szczególniej mam tu na myśli list do Rzymian i pierwszy do Koryntyan. Listy te są, co prawda, szczególnie trudne, jednak charakterystyka rozdziałów V—VIII oraz XIII—XIV listu do Rzymian nie odpowiada temu, co tam jest. Jeszcze mniej zadowalającym jest rozbiór I. listu do Koryntyan. Ten list, to perła dla każdego introdukcyonisty — tam się jest jakby żywcem przeniesiony w pośród tych pierwszych chrześcijan. Co w nim za bogactwo pierwszorzędnego materyału do poznania osoby św. Pawła, jego sposobu pracowania. Jest tu jednak jedno miejsce, czyniące przykre wrażenie, mianowicie to niezgodne z historyą scharakteryzowanie glossolalii, która w przedstawieniu autora wydaje się być jakimś rodzajem pobożności dziwacznej, tegoby św. Paweł zapewne swym chrześcijanom nigdy nie był podarował. R. XIV I. listu do Koryntyan należy do miejsc bardzo trudnych, ale trud włożony opłaca się sowicie bogactwem światła, które się przy tem odbiera. Co do drugiego listu do Koryntyan chciałbym to podnieść, że przypuszczenie, by w międzyczasie był św. Paweł przebywał w Koryncie, a tem mniej, by był jeszcze przedtem jeden list napisał, którego dziś nie posiadamy tj. III. z rzędu, przypuszczenie takie nie jest bynajmniej koniecznem; można nasz drugi list doskonale zrozumieć bez tych dwóch hipotez, które, mojem zdaniem, więcej jeszcze niejasności w tekst wprowadzają. A już całkiem nieuzasadnionem jest, by fałszywi aposto-

łowie i ich adherenci byli identycznymi z tymi, co św. Paweł 1 Cor. I. nazywa: ego sum Christi. Słusznie podniósł autor, że nie można nazwać zwolenników czy Apollosa, czy Pawła partyami. Wiemy, że św. Paweł w liście I. rozprawia się tylko z tymi dwoma kategoryami ludzi, a o zwolennikach Cefasa i Chrystusa nic nie mówi. W drugim liście jest mowa o ludziach zgoła nowych, o judaistach najgorszego gatunku.

Niepodobna przypuścić, że, gdyby ci ludzie już w czasie I. listu byli w Koryncie prowadzili swe zgubne dzieło, byłby św. Paweł o nich milczał, gdy tak wiele mówił o partyach Pawła i Apollosa, które w porównaniu z tamtemi były czemś zgoła niewinnem.

Nie chęć szukania czarnego na białem spowodowała te zastrzeżenia, ale tylko pragnienie służenia dobru samej sprawy. Z pewnością te różnice zapatrywań na szereg trudnych zagadnień jednego tylko dowodzą, jak nam bardzo potrzeba specyalistów do poszczególnych gałęzi wiedzy teologicznej, która dzisiaj tak się rozrosła, że nawet nauka o Piśmie św. nie może być żadną miarą przez jedną osobę ogarniętą. X. Kruszyńskiemu należy się też szczególniejsza wdzięczność, że idzie choćby w pojedynkę na to leżące ugorem prawie pole, i ku zawstydzeniu innych, mogących pracować, mężnie motykę podnosi. Gdy nam Pan Bóg wolną wróci Ojczyznę, i gdy złagodnieją kordony nas rozdzielające, może wtenczas podział pracy umożliwi nam jeszcze skuteczniejszy sposób badania kwestyi biblijnych.

X. Dr. Wilhelm Michalski C. M.

Sinko Tadeusz: **De traditione orationum Gregorii Nazianzeni.** Pars I, (in 8⁰) VII+241. Cracoviae, sumptibus Academiae Litterarum, 1917.

Akademia krakowska przygotowuje do druku krytyczne wydawnictwo pism św. Grzegorza z Nazyanzu.

Nie tu miejsce ni pora opisywać ogrom i jakość prac przygotowawczych, podjętych od lat szeregu, by to pomnikowe wydawnictwo posiadało cechy prawdziwie naukowe, by odpowiedziało powadze najwyższego areopagu wiedzy u nas. Uczyni to „Przegląd Powszechny“ w swoim czasie. Dziś pragniemy zwrócić jedynie uwagę szerszych kół naszych na jedną ze wstępnych prac całej tej sercyi, która ma na oku ustalenie porządku chronologicznego w samychże mowach wielkiego Teologa z Nazyanzu. Praca to nad wyraz żmudna a przytem wymagająca ogromnego taktu, wyszkolenia krytycznego, a nieraz i daru kombinacyi, graniczącej z intuicyą. Akademia oddała ją w ręce dzielne,

a pewne — prof. Uniw. krak., Tadeusza Sinki, znanego filologa, krytyka i — co nie zawsze idzie w parze — wytwornego literata. Ostatni owoc jego głębokich studyów mam właśnie przed sobą: De traditione orationum Gregorii Nazianzeni. Na część I., która właśnie opuściła prasę, złożyły się trzy księgi: I. O czasie i porządku mów Grzegorza, wygłoszonych w Konstantynopolu (str. 1—86); II. O czasie i porządku reszty mów (str. 87—148); III. O dodatkach do mów Grzegorza i o stosunku grup M. i N. (str. 149—233). Wszystkie bowiem ważniejsze rękopisy mów Grzegorza (począwszy od IX. w.) dadzą się ująć w dwie grupy: większą, obejmującą 52 numerów (νβ) i mniejszą o 47 (μξ) numerach. Pierwszą oznacza autor siglem N, drugą siglem M. Jak z jego nader ciekawych, trafnych, czasem wprost genialnych uwag i kombinacyi wynika, zasługuje grupa M pod każdym względem na pierwszeństwo, co do ilości przechowanych mów (pism), ich wzajemnego porządku, a nawet drobnych lekcyi odmiennych (wariantów). Migne oparł się wprawdzie w samem wydaniu na grupie N, jako pełniejszej; z wywodów profesora Sinki wynika jednak, że grupa M. powinna stanowić podstawę i punkt wyjścia, a grupa N służyć jedynie do aparatu krytycznego. Jest to główna, bo zasadnicza zdobycz przytoczonego dzieła, której jednak towarzyszą inne, niemniej ważne: mianowicie bardzo prawdopodobne ustalenie chronologii 22 mów Grzegorza, mianych w Konstantynopolu (rok 379—381), i reszty mów jego, wygłoszonych w latach 364—379.

Z zaciekawieniem oczekujemy drugiej części tego dzieła, napisanego wytworną łaciną.

Ks. Wład. Szczepański T. J.

Ks Jan Wiśniewski: **Monografie Kościołów Dyecezyi Sandomierskiej.** Tomów VII. Radom 1907—1915.

Jak bardzo pożyteczną i potrzebną rzeczą jest inwentaryzacya dawnych zabytków, względnie kościołów, teraz dopiero naocznie o tem przekonać się możemy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w latach 1914—1915 wiele kościołów, na które całe pokolenia z upodobaniem spoglądały, uległo zniszczeniu lub przynajmniej częściowemu uszkodzeniu, wskutek nadzwyczajnych wypadków i smutnego zbiegu okoliczności. Z radością zatem powitać musimy publikacyę, jakiej się podjął w dawniejszych czasach ks. Jan Wiśniewski, poprzednio prefekt szkół radomskich, a obecnie proboszcz w Borkowicach. Nie jest to historya w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale skrzętnie i sumiennie zebrany ma-

teryał, bez którego niejeden monograf przy opisie tej lub owej miejscowości obejść się nie może. Autor objechał w dyecezyi sandomierskiej dekanaty: iłżecki, konecki, kozienicki, opatowski, opoczyński, radomski i sandomierski. Cokolwiek zobaczył w poszczególnych kościołach, wszystko pilnie notował, zaglądał do aktów i kronik kościelnych, słowem niczego nie pominął, co się odnosiło do przeszłości i teraźniejszości domów Bożych, tak miejskich jako i wiejskich. Tym sposobem wydał okazałe dzieło, zamknięte w siedmiu sporych tomach. Zaglądnijmy do nich.

Jakby w kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma naszemi najrozmaitsze rzeczy. Nie podobna tu omawiać poszczególnych, nieraz bardzo malowniczych kościołów, poprzestaniemy zatem na ogólnych notatkach. Poszczególnym miejscowościom poświęcił autor przynajmniej krótkie, a nierzadko i obszerniejsze wspomnienia z przeszłości. Opisał wewnętrzny i zewnętrzny wygląd kościołów, ich ołtarzy, obrazów, sprzętów i aparatów, nadmienił również o bractwach religijnych, a nawet o starych drukach, przechowywanych dość licznie przy niektórych kościołach. Nie były mu obojętne zwyczaje i podania ludowe, pieśni i hymny i inne charakterystyczne okolicznościowe wiersze. Czytał nagrobkowe tablice i podał ich napisy dosłownie, niekiedy z postaciami leżących rycerzy, uśpionych snem wiecznym. Nie zapomniał i o dzwonach kościelnych, z jakich lat pochodzą i przez kogo odlane zostały. Długim szeregiem proboszczów lub przełożonych klasztorów, dziś nieistniejących, zamyka zwykle autor swoje mozolne monografie kościołów. Do każdego kościoła załączył rycinę, czy to z natury narysowaną, czy to fotograficznie zdjętą. Nie brak tam widoków także rozebranych i już nieistniejących kościołów i kaplic. Zebrał mnóstwo podobizn pieczęci parafialnych, miejskich, cechowych, szlacheckich, gminnych i klasztornych. O ile można było odszukać, dołączył w dosłownem brzmieniu dokumenta czyli przywileje, nadane kościołom i klasztorom przez papieży, królów, biskupów lub innych hojnych panów polskich.

Niemasz już dzisiaj w Sulejowie i Koprzywnicy Cystersów, w Siecjechowie i na Łysej Górze (Św. Krzyż) Benedyktynów, umilkły śpiewy chórowe Benedyktynek w Sandomierzu, stoją poklasztorne budynki w Klimontowie, Radomiu, Rytwianach, Studziannej, Sandomierzu, Zawichoście i gdzieindziej jeszcze, w których niegdyś zakonne osoby różnej reguły we dnie i w nocy chwaliły Pana Zastępów, oraz zanosiły modły za swych dobrodziejów i fundatorów, tak żywych jak i umarłych; runął też niejeden zamek, zdobiący przedtem swemi wie-

życami i basztami okoliczne sioła, zato lubownik przeszłości odszuka w dziele ks. Wiśniewskiego niejeden o nich szczegół.

Najwięcej dawnych zabytków w dyecezyi posiada Sandomierz, niegdyś stolica województwa, kasztelanii i starostwa grodowego, a od r. 1818 rezydencya biskupów. Patrząc na piękne ryciny kościoła katedralnego, wzgórze z domem Długosza, ratusz, którego zewnętrzny wygląd przypomina Sukiennice krakowskie, 31 metr. wysoką wjazdową bramę opatowską, zbudowaną z cegły w XIV. wieku, kościół św. Jakóba, należący do najpiękniejszych budowli romańskich w Polsce, z przepięknym portalem romańskim, ambonę w kościele św. Michała, kościół po Benedyktynach, kościół św. Pawła etc., prawdziwie zachwyca się oko, a serce z radości rośnie. W dodatku do siódmego tomu umieścił autor pokaźną wiązankę wierszy o Sandomierzu, napisanych przez ks. Apolinarego Knothe († 1894) z prawdziwym polotem, uczuciem i ciepłem. Z jakimże pietyzmem i czcią zmarły profesor teologii opiewa zabytki sandomierskie: o Sandomierzu, jego ratuszu, rękawiczkach królowej Jadwigi w kościele katedralnym, o pałacu Gostomskich, o domu Długosza, zamku, kościele św. Jakóba, grobach Benedyktynek, kościele św. Józefa etc. Dla próby przytoczę tu tylko jego zwroty do orła, umieszczonego na szczycie ratuszowej wieży:

Stary nasz orle! wyostrz dziób zgarbiony,
Wartkiemi skrzydły wyleć na przestworze...
Twe przebudzenie ogłoszą nam dzwony,
Odpowie echem jedno, drugie morze...
I stara Wisła hardy grzbiet podniesie,
Krępak z Łomnicą potrząsą głowami,
Zaszumią dęby w świętokrzyskim lesie,
I pola przodków zasiane kościami...
Kędyż, ach kędyż przyjdzie ta godzina?
Zegar wolności kędyż ją wybije?
I rozszarpana Piastowa dziedzina,
Kędyż się zrośnie i z grobu odżyje?
Orle nasz, orle! my patrzym na ciebie,
Lecz pierw zagaśnie wzrok nasz zapłakany....
I pierwej w ziemi serce się zagrzebie,
Niżeli pękną Ojczyzny kajdany!
Orle! gdy wrócisz do pierwszej wolności,
Uderz twem skrzydłem po naszej mogile,

Wtedy się wzruszą niewolnika kości,
Czując się wolne, chociaż na tę chwilę!

Udatnie także przedstawia się ks. Wiśniewskiego rozprawka: Biskupi Sandomierscy 1818—1910. Radom 1913. Skreślił w niej ich życiorysy i wydał z ładnemi podobiznami. Szczęść Boże dalszej, uczciwej i zbożnej pracy!

Ks. Jan Sygański T. J.

O nauce dopełniającej i o znaczeniu pracy, na podstawie ustępów, zawartych w „Szkółkach dla młodzieży" część III, IV i V. *Leon Stachoń.* (Odbitka z „Praktyki szkolnej"). Lwów 1917. Nakładem autora. 8⁰ mała, str. 64.

O wadze nauki dopełniającej w dobie obecnej zaświadczył wymownie któryś z lordów angielskich, utyskując w parlamencie z początkiem stycznia br. nad niedomaganiami szkolnictwa niższego w trójjedynem królestwie Wielkiej Brytanii. Z utyskiwań rzeczonych okazuje się, że tak wielkich niedomogów, jakie są w szkolnictwie niższem angielskiem, niema nawet u nas w Galicyi, tak niesłusznie okrzyczanej za kraj analfabetów przez naszych „najserdeczniejszych" sąsiadów od zachodu.

Zapewne! w szkolnictwie naszem wszystkich stopni są braki i niedostatki. Ale gdzież ich niema? Ale w dodatku podnieść godzi się, iż nie brak u nas ludzi, którym leży na sercu sprawa usunięcia dostrzeżonych braków. Najwymowniejszym tego dowodem książeczka redaktora lwowskiego miesięcznika „Szkoły". Podniesiono w niej bowiem sprawę wagi ogromnej, w sposób, zasługujący na najgorętszą pochwałę i uznanie

Ale też długie lata, spędzone w zawodzie nauczycielskim, wykonywanym z rzetelnem umiłowaniem, co dzisiaj tak rzadko zdarza się, dały p. Stachoniowi pokaźny zasób doświadczeń, z których skorzystać powinni wszyscy, którym dobro naszej szkoły i młodzieży leży na sercu. Winni z jego pracą zaznajomić się nie tylko pedagogowie zawodowi, ale niemniej też mężowie, mający wpływ na rozwój naszego szkolnictwa, posłowie sejmowi, wreszcie — i to bodaj czy nie najwięcej — rodzice, mający dzieci w wieku szkolnym, słowem jak najszerszy ogół społeczeństwa.

Zazwyczaj pora zimowa bywa uważana za czas na nauce dopełniającej w gminach wiejskich i miasteczkach z przewagą ludności rolniczej najodpowiedniejszy do powtórzenia i uzupełnienia wiadomości,

nabytych w latach poprzednich, z młodzieżą, dojrzalszą wiekiem i doświadczeniem życiowem, znajdującą się na stopniu wyższym rozwoju naturalnego. W miastach większych na naukę tę uczęszcza przeważnie młodzież rękodzielnicza. W uwzględnieniu potrzeb tej młodzieży potworzono w Galicyi szkoły przemysłowe uzupełniające, które z biegiem czasu zaczęły przyjmować charakter przygotowawczych szkół zawodowych, zwłaszcza we Lwowie i Krakowie. Tego rodzaju szkół było w r. 1913—14 w Galicyi 80 męskich i 7 żeńskich oraz jedna mieszana.

W znacznie niekorzystniejszem położeniu znajduje się młodzież małomiasteczkowa tam, gdzie ludność zajmuje się w lecie przeważnie gospodarstwem rolnem, a w zimie oddaje się rzemiosłu. W takich bowiem miejscowościach nie da się wprost przeprowadzić rozdział młodzieży na najgłówniejsze choćby zawody. Nauka odbywa się zatem zbiorowo, musi być prowadzona dorywczo, skutkiem czego przy wielkim nakładzie pracy ze strony nauczyciela rezultaty mogą być nadzwyczaj skromne.

Najwięcej niewątpliwie utyskiwań, tak ze strony nauczyciela, jak również ze strony nadzoru szkolnego, nadarza nauka dopełniająca w szkołach wiejskich. Brak zrozumienia dla niej u rodziców i niedocenianie jej przez zarządy gminne, brak należytej egzekutywy w wykonaniu zarządzeń szkolnych, stawia nauczycieli w położenie bez wyjścia. Nauka ta powinnaby mieć charakter rolniczo-ogrodniczo-sadowniczy, z uwzględnieniem hodowli pszczół, bydła i przemysłu domowego, czyniąc zaś zadość potrzebom gospodyń wiejskich, objąć powinna hodowlę drobiu, zarząd niewieści gospodarstwem domowem i najprymitywniejsze choćby wiadomości teoretyczne i praktyczne ze sztuki kulinarnej, pozostającej na wsi w stanie rozpaczliwym. Do wypełnienia tego olbrzymiego, kulturalnego i oświatowego zadania potrzeba przedewszystkiem nauczycieli i nauczycielek, którzyby sami posiadali potrzebne wiadomości; potrzebne są dalej odpowiednie warunki, jak: grunt szkolny, budynki i urządzenia gospodarcze, umożliwiające pracę w danych kierunkach.

Koroną nauki szkolnej, elementarnej, jest nauka dopełniająca. Utrzymuje ona bowiem dalej łączność pomiędzy uczniami a szkołą, pozwala ostatniej dalej oddziaływać zbawiennie na młodzież, pogłębić i utrwalić to dobro, które wszczepiono dzieciom w czasie nauki codziennej. Nauka dopełniająca — zdaniem p. Stachonia — nie ma n a u c z a ć, lecz raczej, udzielając najpotrzebniejszych wiadomości, ma starać się o obudzenie w uczniach zaciekawienia i zamiłowania i ma

wskazać drogi, jakiemi postępując, mogą uczniowie po opuszczeniu szkoły zaspokoić swoją ciekawość.

Podstawą całej nauki jest czytanie. Pierwszym więc warunkiem, aby nauka dopełniająca przyniosła korzyść, jest odpowiednia polska książka do czytania. Z historyi należy kłaść główny nacisk na historyę kraju rodzinnego, obudzając żywem słowem zainteresowanie. Nauki dopełniającej powinni udzielać nauczyciele teoretycznie i fachowo uzdolnieni, a nie ci, którym przy układzie podziału godzin z nauki codziennej wypadło najmniej godzin, ani ci, którzy w danej szkole są najmłodsi.

Frekwencya na naukę dopełniającą po miasteczkach pozostawia bardzo dużo do życzenia, tak, że mimowoli nasuwa się pytanie, czy w miasteczkach wogóle potrzebna jest nauka dopełniająca? Uczniowie po skończeniu klasy szóstej idą zazwyczaj do rzemiosła lub przechodzą do seminaryów, szkół przemysłowych i t. p. Idący do rzemiosła przenoszą się zazwyczaj do miast większych tak, że w miasteczku pozostaje tylko mała garstka, skutkiem czego częstokroć z 8-miu, zapisanych na naukę, uczęszcza czworo. Czy warto tedy mozolić się z nimi wobec częstych absencyi? Otóż władze szkolne miejscowe i okręgowe powinny użyczać nauczycielom jak najskuteczniejszego poparcia w formie działania doraźnego, by naukę tę traktowano seryo, a nie na żarty. Kary nakładane winny być niewielkie, ale należy je zaraz ściągać, a nie po upływie kilku miesięcy, gdy nauka dopełniająca już się kończy, bo wtedy, gdyby nawet uczeń przyszedł do szkoły, niewiele będzie z niego pożytku.

Pierwszą, najbardziej i najdotkliwiej odczuwaną przeszkodą w udzielaniu nauki dopełniającej jest skład na niej młodzieży. Rekrutuje się ona zwykle z rozbitków z nauki codziennej, którzy bądźto z powodu ubóstwa, bądź też z innych przyczyn zostali przeznaczeni na naukę dopełniającą. Kierownik szkoły mimowolnie musi zgodzić się z takim stanem rzeczy, uważa bowiem, że jest jego obowiązkiem obywatelskim i rzeczą sumienia zajęcie się tymi rozbitkami. Tymczasem uczniowie tej kategoryi przywykli za czasów poprzednich do nieregularnego uczęszczania na naukę codzienną, uczęszczają podobnie także na naukę uzupełniającą. Częstokroć należałoby stworzyć tyle oddziałów, ilu jest uczniów. To też czas 4-ro i 6-cio godzinny, przeznaczony zazwyczaj na tę naukę, jest za krótki nawet dla najzdolniejszego nauczyciela. W szkole jednoklasowej przybywa do tych stosunków anormalnych jeszcze ta niewłaściwość, że nauczyciel uczy wszystkiego teoretycznie

na podstawie książki — nawet uprawy roli, bo gruntu przy szkole wcale niema. Nawet choćby przy szkole znalazł się ogród odpowiedni na ćwiczenia praktyczne, młodzież z nauki dopełniającej niewiele może skorzystać, gdyż nauka ta odbywać się będzie w nieodpowiednich porach roku, tygodnia lub dnia. Nieodpowiednie na naukę dopełniającą, w pojęciu odbywania ćwiczeń praktycznych na glebie, są niedziele i święta, kiedy to roboty fizyczne tego rodzaju są przez Kościół zakazane, nieodpowiednia do tego pora zimowa.

Słowem: wychowanek winien nauczyć się w szkole pracy, bo do pracy stworzony, bo praca jego przeznaczeniem, bo praca najważniejszym środkiem umoralniającym. To też nie można pozwolić na to, ażeby nauka dopełniająca pozostawała u nas nadal w stanie poczwarczym. Postulaty, zmierzające do jej zreformowania, zebrał p. Stachoń w kilkunastu punktach.

Druga rozprawka „O wyborze zawodu przyszłego uczniów" wychodzi z założenia, iż przedewszystkiem należy trwale pracować nad wykształceniem poczucia obowiązku. Porządek bowiem społeczny wymaga, by każdy na własny swój tylko obowiązek baczył, na własne zadanie, któreby wedle sił, bez opieszałości, z należytem zrozumieniem i należytą gorliwością spełniał, a nie zwracał wciąż oczu na to, do czego inni w swym zawodzie doszli. Widok cudzych powodzeń jest zazwyczaj złudny. Nie obliczamy, ile udziału miał w tem niezależny od nikogo los, warunki życia albo nareszcie osobiste trudy, skrzętność, nieprzespane noce tego, który sobie gmach swój postawił, a co najważniejsze, nie obliczamy, czy w gmachu tym istotnie zamieszkało szczęście? Uwaga powyższa dotyczyć może nawet tysięcy jednostek, które „minęły się ze swoim zawodem". Ponieważ społeczeństw idealnych niema, jednostki takie istnieć muszą. W społeczeństwach zamożniejszych, nawskróś zdemokratyzowanych, w których poszanowanie każdej pracy należy do ustalonych pojęć, wybór zawodu nie pozostawia wiele do namysłu. Chorobą naszą społeczną jest powszechna bieda. Stąd niezadowolenie ze wszystkich i wszystkiego. A że narzekania na nic się nie zdadzą, trzeba zatem najprzód wyzbyć się ich, a natomiast więcej pracować. Gdy od dziecka począwszy uczeń nasz tę prawdę zrozumie, będzie więcej zadowolenia z siebie wśród ludzi. Toteż powinnością nauczyciela jest: 1. przy nadarzonej sposobności podnieść użyteczność danego zawodu; 2. kłaść nacisk na potrzebę należytego, umiejętnego i sumiennego spełniania obowiązków zawodowych; 3. uprzytomnić uczniom, że należyte spełnianie obowiązków wynika

z umiłowania podjętej pracy, ze zrozumienia i poczucia obowiązku obywatelskiego i narodowego; 4. że nie zawsze i nie za wszystko człowiek każe sobie płacić, oraz 5. że w każdym zawodzie można być szczęśliwym.

Praca p. Stachonia godna jest jak najszerszego rozpowszechnienia zwłaszcza, o ile chodzi o rozważanie wyboru zawodu przyszłego dziewcząt, która to sprawa po wojnie stanie się znacznie aktualniejszą, niźli nią była dotąd.

Dr. St. Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Stanisław Przybyszewski. **Von Polens Seele,** Ein Versuch. Verlegt bei Eugen Diederichs, Jena, 1917, in 8°. Str. 91.

Powody, jakie skłoniły autora do napisania powyższego „szkicu" wyjaśnia on tak w przedmowie:

„Porozumienia „między narodem a narodem" nie osiąga się za pomocą politycznych rozpraw, które raczej zaostrzają przeciwieństwa i zwiększają wzajemną nieufność, nie zadzierżga się także naprawdę przyjaznych związków przez dyskusye i racye rozumowe, kończące się pogwałceniem najgłębszych przekonań jednej lub drugiej strony i wywołujących w końcu jeszcze większe przeciwieństwa, spory i kłótnie: rzeczywiste porozumienie przychodzi do skutku jedynie dzięki największemu skupieniu i tylko wprost od narodu do narodu w świecie ich wrażeń i uczuć.

„Staram się torować drogę do takiego porozumienia".

Czy wymieniona w nagłówku broszura, oraz poprzednia tegoż autora pt. „Polen und der heilige Krieg" osiągną w tym kierunku, tj. w kierunku porozumienia Polaków z Niemcami, jakikolwiek rezultat—nie zamierzamy przesądzać. Narazie zajmiemy się tylko jej stroną literacką.

Strona ta jest znakomita, wprost porywająca i to tak silnie, że czytając ten właściwie płomienny poemat o duszy polskiej, a nie studyum o zamierzeniach, bądź co bądź politycznych, zostaje się całkowicie pod jego urokiem. Dopiero po przeczytaniu nasuwają się

czytelnikowi pewne wątpliwości co do tego, czy Przybyszewski przedstawił duszę polską naprawdę taką, jaką jest w rzeczywistości i czy charakterystyka jej jest równie wszechstronna i głęboka, co do treści, jak świetna co do formy?....

* * *

Za ideę przewodnią swego studyum przyjął autor pewnik, że porozumienie między Polakami a Niemcami jest z tego względu zasadniczo możliwem, ponieważ między kulturą i wogóle umysłowością polską a germańską zachodzą mniejsze różnice, niż między kulturą i umysłowością germańską a romańską.

Przybyszewski prowadzi czytelnika po „drogach duszy polskiej", począwszy od czasów Kazimierza W. Zaznacza on w pierwszym rzędzie nadzwyczajną zdolność Polski do przyswajania sobie obcej kultury i dar asymilowania u siebie obcych żywiołów, przyczem zręcznie zestawia działalność tego monarchy z działalnością o trzy wieki przeszło późniejszego Piotra W. Następnie krótko, lecz świetnie charakteryzuje czasy rozkwitu humanizmu polskiego, poczem przechodzi do Kochanowskiego, o którym powiada:

„W tej zdumiewającej postaci poetyckiej krystalizuje się cała ówczesna kultura polska, ale nie ta, która siliła się na naśladownictwa i która pomimo całej swej łatwości pojmowania i uczenia się, była prowadzoną na pasku przez kulturę zachodu, lecz kultura, posiadająca własne oparcie pod nogami, a panująca nad ziemią ojczystą przez swą potęgę i doskonałość".

Wspomniawszy o proroczych przepowiedniach Skargi, który „sam jeden widział gasnące słońce Polski", autor charakteryzuje dwa wieki, dzielące Mickiewicza od Kochanowskiego, w ten sposób:

„Między Kochanowskim a Mickiewiczem niema żadnej przerwy, gdyż to, co leży między nimi, a co w historyi literatury nazywa się „czasami upadku" — a gdzież w Europie „upadku" podobnego nie było? — trwającymi dwa stulecia, można śmiało z dziejów duszy polskiej wykreślić, nie czyniąc tem ujmy dla ciągłości rozwoju tych dziejów, oraz bez osłabienia lub rozerwania ich organicznej całości".

O Mickiewiczu twierdzi Przybyszewski, że

„jeżeli kiedy wśród jakiegokolwiek narodu objawił się „geniusz", jako taki, to cud ten dokonał się w narodzie polskim.

„Czy jestto przesadą narodową?!

„Bynajmniej! Jeśli kiedykolwiek jaki naród cierpiał na manię małości i z podziwem oglądał megalomanię innych narodów — to był nim polski naród. Już byłby czas, aby ten naród przyszedł do świadomości swej godności i swego posłannictwa".

Świetne tłumaczenie (prozą) Improwizacyi daje niemieckiemu czytelnikowi możność poznania całej głębi i potęgi duchowej Adama i zrozumienia, że jako „Seher und Deuter" stoi on wśród największych geniuszów ludzkości.

Za drugiego „władcę" w państwie duszy polskiej uważa autor Słowackiego, który

„jest wcieleniem buntującej się, żądnej podbojów w dziedzinie ducha duszy polskiej..."

„Słowacki — jego zdaniem — jest ojcem polskiej teraźniejszości duchowej".

Wyrazem zaś tej teraźniejszości jest Kasprowicz. Charakteryzuje go Przybyszewski w ten sposób:

„Wyprzągnięta z historycznej kwadrygi tradycyj dziejowych i oswobodzona z jarzma czysto narodowego życia, polska dusza Kasprowicza rozwinęła skrzydła do wspaniałego lotu, aby się rzucić w głębie kosmicznych przepaści, aby się wznieść tryumfująco nad wszechświatem, aby wchłonąć w siebie duszę całej ludzkości".

Czwarty filar, dźwigający świątynię duszy polskiej — to Sienkiewicz.

„Jak długo Polska będzie istniała — mówi Przybyszewski — tak długo będzie jaśniało w tym samym blasku, obok nazwiska jednego Henryka — gen. Henryka Dąbrowskiego, twórcy Legionów — nazwisko drugiego Henryka — Sienkiewicza, tego potężnego Tyrteusza, który uratował duszę polską z najgłębszej nędzy marazmu i upadku materyalistycznego. I nikt nie był więcej godnym osiągnąć ten zaszczyt, niż ten wielki artysta, który oddał na służbę ojczyźnie, co miał najświętszego w sobie, a który czasami nie wahał się sprzeniewierzyć własnemu artyzmowi, byle tylko dotrzeć do chat wieśniaczych, ożywić serca zwątpiałe łaską nadziei, stopić pancerz lodowy, którym okryli się syci niedowiarkowie, uczynić ślepych widzącymi".

Ponad tą świątynią duszy polskiej unosi się, niby kopuła, Szopen.

„Jego całe życie zewnętrzne — pisze Przybyszewski — nie posiada żadnego znaczenia wobec świętego posłannictwa, jakie miał spełnić: ukazać światu w całej wspaniałej potędze geniusz narodu, którego

to geniusza był wcieleniem. I, gdy się myśli o Szopenie, to trzeba zapominać, że istniał on, jako pojedyńczy osobnik. Natomiast należy głęboko uczcić objawienie duszy polskiej, której symboliczne ucieleśnienie dokonało się właśnie w Szopenie".

Szkic swój kończy autor temi słowy:

„Dla nas, Polaków, jest Polska od morza do morza, kto wie, czy nie utopijnym postulatem, ale rozszerzanie granic państwa Polski duchowej od jednego do drugiego bieguna duszy świata — to nasza misya".

* * *

Już z tego króciutkiego streszczenia można wyrobić sobie pojęcie, jak potrafi pisać taki „majster", jak Przybyszewski.

Pod względem literackim jest to — powtarzamy — rzecz kapitalna. Niektóre jednak tylko cechy duszy polskiej zestawił autor bardzo zręcznie. Pominął np. element religijny, który przecież, w tej lub owej formie, ciągnie się, niby nić czerwona przez całe dzieje Polski, począwszy od zabójstwa św. Stanisława aż po Kroże.

I jeszcze jedno.

Po odczytaniu tego „pisemka" — jak je skromnie Przybyszewski nazywa — spostrzega się, jaką ewolucyę wewnętrzną przeszedł intelekt autora. Czyż byłby on wówczas, gdy rej wodził wśród „młodej Polski" w Krakowie, pisał tak, jak dziś pisze?... Wątpimy, podobnie, jak wątpimy, czy ówczesny Przybyszewski pisałby o duszy ludzkiej wogóle tak, jak to czyni obecnie. Wprawdzie jest on dotąd jeszcze panteistą, ale widać wyraźnie, że umysłowość jego skłania się w stronę nowych dróg, które mogą zaprowadzić go zupełnie gdzieindziej, niż tam, dokąd dążył dawniej.

Józef Trepka.

Die Kulturgemeinschaft der Völker nach dem Kriege von *Dr. Franz Klein.* Minister a. D. Leipzig, 1915. Verlag von S. Hirzel, in 8°. Str. 112.

Wśród istnej powodzi pism okolicznościowych, spowodowanych obecną wojną, powyższa broszura wyróżnia się bardzo dodatnio. Napisał ją mąż stanu o szerszych, ponad zwykłą miarę poglądach, omawiający ze spokojem akademickim przyczyny wojny światowej, oraz możliwe jej konsekwencye w dziedzinie międzynarodowego ukształtowania się sto-

sunków gospodarczo-społecznych. Treść jej zaś tak jest bogatą, że wystarczyłaby — przy odpowiedniem opracowaniu — na wypełnienie grubego tomu.

Dr Klein podzielił swe studyum na ośm rozdziałów, traktujących o wysokim rozkwicie międzynarodowych stosunków intelektualnych i handlowych przed wojną, dalej o doświadczeniach podczas niej poczynionych, a wreszcie o sytuacyi powojennej ze szczególnem uwzględnieniem spólnoty państw centralnych — Austro-Węgier i Niemiec. Wprawdzie nie na wszystkie zapatrywania autora pisać się można, jednak dużo z nich odznacza się wielką trafnością.

Bardzo interesującym jest między innymi rozdział, poświęcony „rozkładowi internacyonalizmu". Czytamy tam, że o wiele donioślejszym w skutkach, niż tarcia między pojedyńczemi państwami lub ludami, „...był wykład duchowej spólnoty ludów, spowodowany przez ewolucyę myśli ludzkiej i wyciśnięte na naszej epoce piętno, że tak się wyrazimy, kolektywistycznego indywidualizmu. Rozkład ten nie ogranicza się jedynie do państw, które kolejno wstępowały w szranki wojny światowej, ale jest naprawdę międzynarodowym. Zbudzono nawet teraz stare instynkty rasowe, które zdawały się być zupełnie lub częściowo ułagodzonemi przez wpływ kultury... Wojna otwarła upusty drzemiącym namiętnościom, które już przed wojną gromadziły się i rozpalały. Wykazuje to historya polityczna, gospodarcza i społeczna ostatnich lat dziesiątków. Oburzenie z powodu upadku moralnego, jaki wyszedł na jaw z powodu wojny, wszędzie jest na porządku dziennym. Ale czyż nie widziano przedtem, że się on zbliża?" (Str. 34).

Nowe ułożenie się stosunków międzynarodowych napotka na wielkie trudności po wojnie, zdaniem Dra Kleina. Pominąwszy inne względy, będzie brakowało wzajemnej ufności, gdyż obecnie

„...ciężki cios dotknął przekonanie o dobrej wierze i wzajemnem zaufaniu. Niema obecnie państwa, co do którego możnaby mieć całkowitą pewność, że będzie zdecydowanem niezłomnie wypełniać obowiązki, nałożone przez stosunki międzypaństwowe, oraz, że będzie strzegło sumiennie i bezstronnie zawartych układów" (str. 50).

Sposób wzajemnego krytykowania się w czasach teraźniejszych charakteryzuje autor w ten sposób:

„Co się tyczy oceny prowadzenia wojny — wszędzie powtarza się tosamo: dla wykroczeń nieprzyjaciela ma się wyrzuty i potępienie z wszelkimi możliwymi rodzajami oburzenia, dla własnych — zaledwie ubolewanie. Przedstawia się przytem te wykroczenia, jako czyny konie-

cznej obrony, lub jako represalia, albo też jako środki, zmierzające do pouczenia nieprzyjaciela, który żadnych konwencyi nie szanuje" Str. 53).

W kwestyi uspokojenia się wzburzonych instynktów rasowych i namiętności politycznych po wojnie, a także przywrócenia dawnych międzynarodowych stosunków, wyraża Dr Klein przekonanie, iż

„to, co wojna rozdzieliła, winien pokój zjednoczyć, aby, o ile się da, jak najprędzej naprawić szkody wyrządzone kulturze przez wojnę. Myśl głębsza, mieszcząca się w oddzieleniu armii od cywilnej, niewalczącej ludności, opiera się na tem, że ludność ta, jako dalsza od spraw wojennych, łatwiej powróci do stanu pokojowego" (str. 70).

Co do spólnoty państw centralnych po wojnie, autor wyraża przekonanie, iż

„koniecznem jest, by stosunki do zagranicy zostały przez oba mocarstwa wspólnie uregulowane w myśl z góry ułożonego programu i aby przez zręczne połączenie siły odpornej i zaczepnej obu ciał gospodarczych została wyzyskana każda jej cząstka, podobnie, jak podczas wojny.

Byłoby wielkim, nie dającym zapewne nigdy naprawić się błędem, gdyby każde z mocarstw centralnych traktowało na własną rękę z konsorcyum nieprzyjaciół, bo

„przez to obniżyłyby one wielce wartość poczynionych sobie nawzajem koncesyj, a równocześnie pozbawiłyby silnego argumentu postawione przez siebie wrogom ultimatum: wszystko, albo nic!... Mocarstwa te muszą w sali obrad, tak samo jak na polu bitew, stanowić jedno ciało.... Jestto koniecznem, bo gdyby naszym wrogom udało się skutkiem zmowy, lub przez utrzymanie panowania Anglii na morzu, wykluczyć poddanych tych mocarstw od udziału w handlu światowym — bez względu na to, czy coś podobnego jest wogóle możliwem — to ścisłe połączenie się ich zdoła i ten cios odeprzeć". (Str. 90).

Na sytuacyę, wytworzoną przez wojnę światową, zapatruje się autor w ten sposób:

„To, co ma przyjść, przedstawia się nam jako coś ponurego i wstrząsającego, jako grób zapadającej się kultury. To, co było pięknem i cennem, co nadawało życiu wdzięk, co je wspierało, grozi zanikiem. Ale w myśl poety, że nadzieja nie oddala się nawet od grobu, chętnie słuchamy głosu tych, którym się zdaje, że odkrył, poza druzgocącą rzeczywistością, możność powrotu nowożytnej spólnoty ludów... Ciemności zalegają jeszcze drogi, prowadzące do uleczenia obecnego kry-

zysu. Liczmy jednak na to, że każda burza musi w końcu się uspokoić i że kiedyś z pewnością uleczone będą choroby ducha, którym podlegają narody". (Str. 109).

Niewielka to wprawdzie i na daleką metę obliczona pociecha, ale w braku innej musimy ją przyjąć w tych ciężkich czasach, jakie przychodzi nam przeżywać. Pociechą pewnego rodzaju jest także przeczytanie podobnej pracy, jak omawiana. Autor jej bowiem umiał z objektywnością uczonego wznieść się ponad wymyślania i wybuchy namiętności, prawdziwych lub udanych, które teraz przepełniają tego rodzaju literaturę bieżącą. *J. Trepka.*

Der Weltkrieg und das Schicksal der Juden. Stimme eines galizischen Juden an seine Glaubensgenossen in neutralen Ländern inbesonders in Amerika, von *Binjamin Segel,* Lemberg. Verl. v, G. Stilke, Berlin 1915, in 8°. Str. 144.

Nie jestto właściwie broszura polityczna, lecz raczej obszerne przemówienie na jakimś wiecu żydowskim, wygłoszone z pewną swadą oryentalną, a skierowane przeciw Rosyi. Po przeczytaniu jej nasuwa się mimowoli pytanie, dla kogo ją właściwie p. Binjamin Segel napisał? Dla inteligencyi żydowskiej jest zbyteczną, bo inteligencya ta zna niezawodnie lepiej sprawy omawiane przez autora, niż on, g h e t t a czytać jej nie będą, bo nie jest napisana w żargonie, a polski czytelnik także nie dowie się z niej nic nowego. Owszem, nie znajdzie on w niej nawet rzeczy bardzo dobrze mu znanych, jak prześladowanie p o l s k i e g o żywiołu przez rząd rosyjski, o czem autor tylko mimochodem wspomina.

Jak sam długi tytuł broszury wskazuje, miała być ona apelem do żydów amerykańskich. Teraz jednak, wobec zupełnie zmienionej sytuacyi politycznej przez przechylenie się otwarte Ameryki na stronę koalicyi, utraciła wszelką aktualność. Żydzi amerykańscy, choć bardzo wpływowi, nie zmienią kierunku politycznego Unii.

Pod względem rzeczowym treść broszury jest nader jałowa. W przedstawieniu np. stosunku rządu i społeczeństwa rosyjskiego do żydów brakuje wszelkiego pogłębienia. Widać, że autor pisał o tym przedmiocie „ze słuchu", nie poznawszy go dokładnie. Nie wiedział on także czy z umysłu zapomniał o roli, jaką odgrywali na ziemiach polskich, podległych Rosyi, tzw. „litwacy", najżarliwsi krzewiciele kultury rosyjskiej i rosyjskiego języka.

Dla czytelnika nieżyda jedynie interesującymi ustępami broszury

są te, które p. Binjamin Segel poświęca polemice z nudnym dziś filozofem Bergsonem oraz z autorem osławionego niemieckiego utworu poetyckiego „Hassengesang". Dowiadujemy się z niej, że oni oba (nb. Bergson, wedle p. Segela ma być urodzonym żydem warszawskim), jako żydzi, nie powinni byli odzywać się ze swemi przekonaniami politycznemi, bo „Judaeus taceat in ecclesia calumniatorum.

Jaka szkoda, że żydzi, a mianowicie pisarze żydowscy, tak rzadko stosują się do tego zdania! *J. Trepka.*

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Cerkiew rosyjska po rewolucyi.

Ogromnie pouczającym jest los religii, uzależnionej całkowicie od władzy państwowej w chwili, gdy ta władza państwowa runęła. Tryumfujące prawosławie, które zasiadało na tronie rosyjskiej potęgi, razem z rozsypującym się tronem rozsypuje się w proch. Zdawać się w pierwszej chwili mogło, że prawosławie pospieszy z pomocą upadającej władzy, tymczasem ono, czując swoją bezsilność duchową, prawie pierwsze przytuliło się do rewolucyi. Kilku metropolitów zgłosiło akces, inni archireje zakazali duchownym w kazaniach jakichkolwiek politycznych aluzyj. Mimo to, rewolucya wcale nie ma ochoty zadawać sobie wiele trudu z cerkwią. Co chwilę słyszy się pogłoski o rozdziale cerkwi od państwa, o konfiskacie dóbr kościelnych i zniesieniu wszystkich przywilejów, prócz tego były wypadki dość radykalnego obejścia się z duchowieństwem. A już prasa korzysta w pełni z nowej wolności. Miarę daje artykuł w „Birż. Wied." pod tytułem: „Kniaziowie cerkwi", z którego przytaczamy wyjątki:

„Ci sami książęta cerkwi — czytamy tam — którzy teraz tak niespodziewanie pokochali wolność, uwielbiali dawniej Pobiedonoscewa i Sablera, a w ostatnich czasach Griszę Rasputina. Przed Pobiedonoscewem i Sablerem bili czołem uniżenie. Przeciw Griszy Rasputinowi, temu wcieleniu najstraszniejszego świętokradztwa, jakie zna prawosławny kościół, nawet najlepsi z nich nie śmieli podnieść głosu, a gorsi... ci zginali się w pałąk przed obskurnym włóczęgą i wybłagiwali jego łaski... Jeżeli ludzie tacy, jak Suchomlinow, Stuermer, Niłow i Wojejkow beznadziejnie kompromitowali monarchię, to czarnosecinni hierarchowie dopuszczali się ciężkiego świętokradztwa; włóczyli w błocie nie carską purpurę, dawno już sponiewieraną, ale symbol najwyż-

szej w świecie ofiary i największego cierpienia: krzyż, na którym przez podobnych do nich obrońców panującego ustroju został rozpięty Bóg-człowiek".

„Tak! w wolnem państwie kościół powinien być wolny, ale wolność kościoła nie może być dana niewolniczym pochlebcom, służalcom samowładztwa i zdrajcom. Pod jarzmem synodu jęczy całe rosyjskie duchowieństwo; cerkiew musi być przedewszystkiem uwolniona od carskich sług, od świętokradców, hańbiących święte imię Chrystusa, od oszustów naśmiewających się z cierniowej korony, od tych, którzy zawsze byli gotowi błogosławić skrwawioną rękę złoczyńców, a nigdy nie podnosili głosu w obronie niewinnej ofiary. My wierzymy, że w cerkwi prawosławnej znajdą się żywe siły, znajdą się czyste ręce, którym wierni oddadzą władzę nie policyjną, ale tę, co nie z tego świata".

„Nie! obecni hierarchowie nie mogą pogodzić się z władzą, stworzoną przez wielką rosyjską rewolucyę. Ich położenie w nowej wolnej Rosyi jest bez wyjścia, pozostaje im tylko: ustąpić na zawsze. Teraz niema i nie będzie już nigdy chytrego cynika, jak Pobiedonoscew, który ich deptał pod swoją stopą. Niech idą, a wierząca Ruś znajdzie drogi dla poświęcenia i oczyszczenia pohańbionej świątyni. Książęta cerkwi bardzo długo kłaniali się przed książętami tego świata, oszukańczo igrali zbyt świętemi, zbyt drogocennemi przedmiotami. Przyszła pora skończyć tę nieczystą grę. Synodowi hierarchowie zbyt długo podtrzymywali wszystko zgniłe, wszystko ciemne, wszystko zdrożne w Rosyi, ale Galilejczyk znowu zwyciężył".

Czyż może być cięższa odmiana losu, jak ta?

Jakie będą dalsze dzieje rewolucyi rosyjskiej, w następstwie i cerkwi prawosławnej, nie można dziś przewidzieć. Patrząc na historyę i zwykły bieg spraw ludzkich, sądziłby trzeba, że ostateczna wypadkowa będzie gdzieś w pośrodku, ale kiedy to nastąpi, przesądzać trudno.

Jak na dziś, powstaje kwestya, jakie szanse w najbliższej zawichrzonej przyszłości miałaby akcya katolicka w Rosyi? Poruszamy tę sprawę dlatego tylko, ażeby zdać sprawę z artykułu p. Niemojewskiego w „Myśli Niepodległej". P. Niemojewski sądzi, że propaganda katolicka miałaby w tej chwili powodzenie w sferze arystokratycznej, wśród usposobień subtelnych i umysłów głębszych. Zauważył ponadto p. Niemojewski, że wykwintne umysły rosyjskie z najwyższą satysfakcyą czytają Krasińskiego, jako autora łączącego w sobie poezyę z filozofią i teologią. Jako pierwszy krok akcyi katolickiej, mogący w tych

sferach rosyjskich liczyć na powodzenie, doradza p. Niemojewski, przetłumaczenie dzieł Krasińskiego na język rosyjski.

Druga kwestya jest ta, że na każdy wypadek tak należy przygotować się w Polsce, by ewentualna akcya o rozdział kościoła od państwa w Rosyi nie podziałała zaraźliwie na rodzącą się konstytucyę młodego państwa polskiego. Podobna akcya francuska oddziałała bardzo silnie na różne państwa — cóż byłoby u nas, gdy od Rosyi oddziela nas tylko miedza? Rewolucya rosyjska, o ile usuwa potworny carat, o ile dla Polski jest hojniejszą od caratu, jest niewątpliwie sympatycznem zjawiskiem — o ile jednak na falach swoich niesie wszystkie męty radykalizmu i socyalizmu, jest zjawiskiem dla nas niepożądanem.

Watykan a „Süddeutsche Monatshefte".

Jak wojna działa kojąco na pewne zastarzałe rany, jak zbliża do siebie to, co przedtem nieprzystępne było, świadczy marcowy zeszyt liberalnego miesięcznika „Süddeutsche Monatshefte". Redakcya miesięcznika poświęciła cały zeszyt Watykanowi, i to w ten sposób, że wszystkie artykuły pisane są przez katolików. Ci katolicy skorzystali z tej sposobności w pełnej mierze, ażeby zachwiać antykatolickiemi uprzedzeniami współziomków. Gdy zna się zacietrzewienie, nienawiść nawet względem Watykanu, w jakiej masy protestanckie chowane są od młodu, zrozumieć łatwo, że krok taki jest wypadkiem dnia. Czuje też sama redakcya potrzebę usprawiedliwienia się przed swymi czytelnikami. Z tej przedmowy redakcyi warto kilka ustępów przytoczyć, przyczem zaznaczamy, że rzecz sama zasługuje na uznanie. Między innemi czytamy w tej przedmowie: „Szerokie koła nawykły... o stosunkach katolicyzmu pouczać się u ludzi, stojących poza katolicyzmem. W tej okoliczności widzimy jedną z przyczyn tej przepaści, która nawet w czasie jednego z największych niebezpieczeństw nie usunięta, przez zawodowych polityków była niejednokrotnie pogłębianą. Gdy zadamy sobie pytanie: co niekatolik z katolickich rzeczy zna, co porusza prasa codzienna, to musimy odpowiedzieć: począwszy od sporu o nieomylność tylko — kwestye sporne"... „W zeszycie tym piszą katolicy o Watykanie, a gdyby coś z tego niepodobało się niekatolikowi, niech pamięta, że dla katolika papiestwo jest religijną, a nie polityczną ustanową"... „Sprawa rzymska jest sprawą katolików, a rola niekatolickich Niemców winna być ta, ażeby stanęli za swoimi katolickimi współziomkami, dla których położenie papieża od r. 1870, zwłaszcza podczas sojuszu z Włochami, było i jest powodem najgłębszej troski i ucisku sumienia. Spotyka się często z takiem rozumowaniem: czy refor-

ma wyborcza do sejmu pruskiego jest wskazaną czy nie, faktem w każdym razie jest, że pożądaną jest ona sercu wielu tysięcy naszych ziomków, którzy w tej wojnie wszystko poświęcili dla ojczyzny, i z tego względu musi być ta reforma w jakiś sposób przeprowadzoną. Podobnie, nie jest nieuzasadnionem, gdy niemieccy katolicy oczekują po nas, że co najmniej w równym sensie będziemy traktowali kwestyę położenia papieża, jako sprawę ich serca"... „Niezależnie od tego, zaprzeczyć się nie da, że stanowisko i urok papieża, w ciągu tej wojny, nadzwyczajnie podniosły się w opinii niekatolickiego świata. Co katolicy i niekatolicy wspólnie przyznają, jest to, że on, który widzi miliony swoich wiernych synów po obu stronach walki, istotnie odczuwa cierpienia ludzkości, że sumieniem jego wstrząsa dojmująco narzucone przez wojnę zagadnienie: jak to wszystko da się z Chrystusem pogodzić?... W ciągu tej wojny powstaje u niekatolików pragnienie, ażeby usłyszeć coś o papiestwie, nie jako o przedmiocie sporu, lecz jako o przedmiocie powszechnej czci katolików — i uznać w tej powszechności, która dla katolików wiąże się z wiecznością, jedną z wielkich sił doczesności".

Co samo wpada w oczy, jest to, że żaden jeszcze papież nie doczekał się podobnego kultu u protestantów. Ponadto, wyrazić trzeba pragnienie, ażeby ta dążność do przedmiotowości stała się trwałą wartością na przyszłość.

Jubileusz Lutra. 31 października 1916 r. minęło 400 lat, jak Luter wywiesił swoje tezy na oddrzwiach kościoła w Wittenberdze. Dziś ten kościół jest mauzoleum Lutra; grobowiec Lutra i grobowiec Melanchtona, wznosząc się przy wielkim ołtarzu, są jakby strażnikami kultu reformatora w całych Niemczech.

Jak jubileuszowi Husa w Czechach, tak Lutra w Niemczech, stanęła na przeszkodzie wojna. Jakie miały być rozmiary tego jubileuszu, dowiadujemy się z artykułu Dra Kaftana w Kiel (Allg. evang. luth. Kirchenztg. 1916 Nr. 52): „Wracający raz na sto lat jubileusz tak wielkiego zdarzenia, jak reformacya Lutra, nie na miesiące przedtem bywa obmyślany, ale na lata. Byliśmy w samym środku przygotowań jubileuszowych, gdy wybuchła wojna.... Zamierzonem było, co w przeciwieństwie do poprzednich stuleci dopiero w tym wieku możliwem się stało, zgromadzić na jubileusz w kościele witembergskim przedstawicieli kościołów ewangelickich całego świata. Miarą, jak daleko sięgały zamiary, jest to, że wszedłem w korespondencyę z kierownikiem luterskiego synodu Immanuela w Australii.

Szczególniej pociągającą była dla mnie myśl, że przy takiem

ukształtowaniu się jubileuszu dojdzie do wyrazu nadnarodowość także ewangelickiego kościoła". Ta tęsknota za nadnarodowością w członku narodowego kościoła jest objawem bardzo pouczającym. Wojna jednak sprawiła, że ten nimb nadnarodowości odpadł i jubileusz stał się tylko niemieckim jubileuszem. Pouczającą jest także w przytoczonym artykule następująca uwaga: „Nie można przemilczeć, że w jubileuszu reformacyi bierze udział znaczna część takich, którzy od ducha reformacyi bardzo się oddalili, a biorą udział jużto dlatego, że są czcicielami rozwoju kulturalnego, jaki w reformacyi tkwi, jużto dlatego, że pamiętają bardziej na oderwanie się od Rzymu, niż na religijne dobro reformacyi".

Jubileusz zaznaczył się dotychczas wielu artykułami w prasie protestanckiej. Kierunek ideowy artykułów jest podwójny. Pierwszy streszcza się w wymyślaniach na Rzym i na katolicyzm — i ten kierunek przeważa. Jako próbkę tego kierunku wystarczy przytoczyć zdanie z artykułu Dra Preus-Erlangena p. t.: „Czego Luter chciał, a czego nie chciał": „Porywającym dla każdego jest widok, jak wielki zdobywca Luter oczyszcza wiekowe wały ze złota i żelaza, z bul papieskich i listów odpustowych, ze świętych kości i z różańców, jak chwyta i za koronę papieża i za brzuchy mnichów, jak zdmuchuje ogień czyścowy, jak odzwyczaja pątników od pielgrzymek, a żebraków od próżniactwa". Drugi kierunek wchodzi w dzisiejsze potrzeby religijne protestantyzmu. W tym duchu naprzykład zainicyowała „Allg. evang. luth. Kirchenztg." na łamach swoich cykl reformacyjny, w którym „najzawołańsi znawcy i przewódcy mają budzić w narodzie ducha starej reformacyi". W dalszym ciągu czytamy słowa: „Chce się być reformatorskim, a nie jest się nim" — wielkie słowa, które nietylko do dzisiejszych dni, ale i do całej reformacyi i do Lutra odnieśćby należało. Cztery ledwo wieki istnienia, a już taka ruina; ponadto, niema pod ręką żadnych środków i sposobów naprawy. Tymczasem oczyszczane przez Lutra wały katolicyzmu istnieją po 19 wiekach nienaruszone, i to tak istnieją, że jak w tym samym cyklu czytamy, trzeba podnosić religijność reformacyi także „ze względu na Kościół katolicki i na jego rosnące znaczenie".

Międzynarodowa unia katolicka.

W połowie lutego odbył się w Zurychu katolicki kongres międzynarodowy, pierwszy w czasie obecnej wojny. Co nie powiodło się masonom i socyalistom, to udało się katolikom.

Udział w kongresie wzięło 40 posłów parlamentarnych i przewód-

ców politycznych, z łona 9 narodowości. Inicyatywa wyszła ze strony neutralnej, od kilku katolickich Szwajcarów.

Wszystkie szczegóły kongresu nie są znane, pewne z nich pozostały w tajemnicy. Głównym celem kongresu była idea, już od lat wielu w katolickich kołach wiedeńskich żyjąca, ażeby międzynarodowemu związkowi masonii i socyalizmu przeciwstawić międzynarodową unię katolicką. W urzeczywistnieniu tej idei odbiłaby się i powszechność katolicyzmu, wypłynąćby mogły też z niej te wszystkie dobra, jakie ze zorganizowanej solidarności płyną.

Kwestya pokoju grała na tym kongresie ważną rolę, w czem kongres szedł tylko za wielkodusznemi wskazaniami Benedykta XV. Powzięto rezolucye, dotychczas jednak jeszcze nie ogłoszone, co do zbliżenia się narodów na polu politycznem, kulturalnem i społecznem. Ze spraw szczegółowych omawiano kwestyę rzymską, sprawę jeńców wojennych i osób internowanych, ułożenie międzynarodowych stosunków w zakresie prawnej ochrony robotników i społecznych ubezpieczeń.

Dr Mataja, jeden z przedstawicieli Austryi na kongresie, scharakteryzował obrady, jako pierwszy i wiele obiecujący krok do zjednoczenia katolików różnych krajów i narodów.

Jubileusz Suareza. Hiszpania obchodzi w tym roku trzechsetletni jubileusz jednego z największych swoich synów, Franciszka Suareza. Członek Towarzystwa Jezusowego, myśliciel wielkiej miary, genialny teolog i filozof, zasługuje na pamięć i cześć następnych po sobie stuleci.

Jubileuszowe uroczystości zaczynają się 25 września. W różnych miastach Hiszpanii w różny sposób będzie ten jubileusz obchodzony, szczególniej jednak obchodzonym będzie w Granadzie, rodzinnem mieście Suareza. W Granadzie zacznie się w dniu tym pod prezydencyą króla hiszpańskiego międzynarodowy kongres filozoficzno-teologiczny, ze ściśle określonym programem, na temat ideowej spuścizny po Suarezie. Sekcye będą następujące: 1. Suarez jako psycholog, 2. Suarez jako asceta, 3. Suarez teolog, 4. Suarez filozof, 5. Suarez prawnik, 6. Suarez socyolog, 7. Suarez apologeta, 8. Suarez pedagog, 9. Suarez mistrz prawa międzynarodowego.

Ten ostatni tytuł wiąże szczególniej jubileusz Hiszpanii z chwilą obecną. Gdy pod ciężarem obecnej wojny wróciła na widownię pamięć o prawie narodów, zapomnianem i w teoryi i w praktyce, zaczęła także wracać pamięć o przedstawicielach tego prawa w ubiegłych stuleciach. Jeden z wybitnych dzisiejszych znawców prawa międzynarodowego,

profesor Lammasch, nie wiedząc i nie myśląc o jubileuszu Suareza, wspomniał o nim na myśl o ideowych konsekwencyach tej wojny. W odczycie swoim w Salzburgu mówił między innemi: „Sądzę, że z końcem wojny światowej... mamy teoretyczny obowiązek względem przeszłości... Ciąży na nas powinność wydobycia na światło bogatego skarbu, jaki kryje w sobie katolicka literatura prawa narodów, literatura średniowiecza i czasów nowszych". Powiedziawszy to, wskazał trzy nazwiska: św. Augustyna, św. Tomasza z Akwinu i Suareza.

Zniesienie w Niemczech ustawy antyjezuickiej.

W ostatniej chwili, gdy te kartki oddajemy do druku, przychodzi wiadomość, że rada związkowa w Berlinie zniosła łącznie z ustawą antyjęzykową i ustawę antyjezuicką.

Ks. J. Pawelski.

Ze spraw szkolnych.

Wywiad z wiceprezydentem Rady szkolnej.

„Gazeta Wieczorna" podaje następujący wywiad swojej współpracowniczki:

— Z komunikatu Rady szkolnej krajowej o uchwałach, powziętych dnia 8 i 9 lutego, dowiedzieliśmy się, że w Krakowie ma być jedno z gimnazyów klasycznych przekształcone na gimnazyum realne. Wniosek zapewne był prezydyalny? Czy Pan Prezydent jest może zwolennikiem gimnazyów bez greki?

— Kwestya, którą Pani porusza, nie może być traktowana w sposób oderwany. Łączy się ona z innymi ważnymi problemami szkolnymi i społecznymi. Uchwała Rady szkolnej jest emanacyą pewnych zasadniczych poglądów, które zresztą na tem samem posiedzeniu Rady szkolnej były podstawą jeszcze dwóch innych uchwał — uchwał, które dążą do ułatwienia kobietom nauki w akademiach handlowych w Krakowie i we Lwowie.

Widzę, że Panią dziwi łączność tych uchwał z zamianą gimnazyum klasycznego na realne. Zaraz Pani rzecz wytłumaczę. Naprzód jednak wróćmy do gimnazyum klasycznego.

Jestem stanowczym zwolennikiem gimnazyum klasycznego z łaciną i greką. Kto chce poznać i zrozumieć w pełni, a więc i genetycznie, naszą kulturę, ten musi sięgnąć do jej źródeł, do starożytnego Rzymu i Grecyi, ten musi poznać język tych dwóch wielkich narodów. Język bowiem — podobnie, mówiąc nawiasem, jak prawo — jest tą miękką, podatną formą, na której kultura odciska się, jak obraz plastyczny na

woskú. Bez znajomości języka nie pozna nikt w pełni narodu — może o nim mówić, czytać i pisać, może z tłumaczeń nabierać wyobrażeń o jego dziełach literackich, ale go naprawdę nie zrozumie. Trzeba zatem nauczyć się języka greckiego, by poznać należycie starożytnych Greków i ich wielką kulturę, by zrozumieć Helladę, kolebkę humanizmu i nowoczesnej kultury, by pojąć tą dziwną harmonią i boskiem pięknem pociągający świat, z którego wychodzą wielkie impulsy naszej wiedzy i sztuki.

Oto, dlaczego gimnazyum naprawdę klasyczne nie może porzucić nauki języka greckiego i powinno doprowadzić uczniów do rozczytywania się w oryginale w dziełach homeryckiej poezyi.

* * *

Ale iluż ludzi potrzeba społeczeństwu z taką głęboką, genetyczną znajomością naszej kultury? Czy tylu, ilu chłopców i dziewcząt zapisuje się u nas do gimnazyów? Czy Galicya potrzebuje tak licznych rzesz znawców kultury starożytnej i czy może ich tylu wychować i wykształcić? Czy do tej wysokiej duchowej biesiady nie jest za dużo powołanych — a mało wybranych? Na te pytania, sądzę, odpowie socyolog i polityk tylko bardzo stanowczem zaprzeczeniem. Rażącą jest w naszym kraju dysproporcya między ilością gimnazyów klasycznych i ilością zapisujących się z jednej strony, a z drugiej strony ilością ludzi uzdolnionych do wysokiego humanistycznego wykształcenia, oraz ilością zapotrzebowania ich w społeczeństwie. Niema zaś dosyć szkół realnych i szkół fachowych, handlowych, przemysłowych i rolniczych. U nas, kto nie poprzestaje na nauce w szkole ludowej lub wydziałowej, zapisuje się z reguły do gimnazyum klasycznego. Szkoła humanistyczna przestaje więc być tem, czem być według swej nazwy powinna, a zamienia się z konieczności w szkołę powszechną, pospolitą — chociaż wyższą! Stąd to liczne zastępy zapisanej młodzieży w grece, a nawet w łacinie upatrują tylko ciężar, balast niepotrzebny — uczą się wprawdzie gramatyki i bębnią słówka, by przejść z klasy do klasy, czytają mniej lub więcej mechanicznie nieśmiertelne dzieła klasyków — a tak mało je poznają, że opuściwszy szkołę, rzucają je z przyjemnością, aby do nich więcej nigdy nie zaglądnąć; z litością i współczuciem patrzą wraz z rodzicami na młodsze rodzeństwo, które nadal ma „mordować się“ nad Cyceronem, Horacym lub Demostenesem lub Sofoklesem. — „Jeszcze na łacinę zgoda — tak sobie mówią — bo łaciny potrzebuje do nabożeństwa ksiądz, lekarz do napisania recepty, prawnik do czy-

tania „corpus iuris civilis“ — ale pocóż ta greka? — Tak sobie rodzice z dziećmi biadają, a nauczyciele coraz więcej ulegają prądowi ogólnemu i uczniom pobłażają, wyczuwając, że uczą nie w gimnazyum klasycznem, ale w wyższej szkole pospolitej — świadomi tego, że tym licznym rzeszom uczniów nie idzie o wysokie humanistyczne wykształcenie, ale o patent dojrzałości — pierwszy środek do szukania chleba. Ale z tą pobłażliwością idzie w parze zbyt często bezcelowe „mordowanie czy męczenie“ uczniów. Każe im się bowiem uczyć na pamięć kilkanaście tysięcy słówek łacińskich i kilkanaście tysięcy greckich, licznych form gramatycznych (uznaję wartość dydaktyczną gramatyki łacińskiej i greckiej, ale jej nie przeceniem) — a nie doprowadza się przeważnie do tego, o co chodzi — do poznania i zrozumienia autorów łacińskich i greckich, do rozmiłowania się w nich, do pokochania ich wielkiej kultury. Szkoła doprowadza rzesze uczniów z mozołem najczęściej tylko przed kurtynę, wybranym pozwala przez otworki wglądnąć w wielką scenę starożytnego świata, ale kurtyny nie odsłania, przed okiem widzów nie otwiera szerokiego piękna i harmonii obrazu, któryby pozostał w ich pamięci, jak gwiazda przewodnia przez życie całe i do któregoby nieraz później wracali, gdyby w gimnazyum byli zdołali weń się wpatrzyć należycie i swobodnie.

Tu przerwał na chwilę wiceprezydent, a potem mówił dalej:

— Widzi więc Pani, że przez nadmiar młodzieży uczęszczającej do gimnazyów klasycznych, przez wielką ilość tych gimnazyów i przez to, że one zamieniły się u nas w szkołę powszechną i pospolitą, zdegenerowało się gimnazyum klasyczne i że mija się z swym wielkim, najistotniejszym celem. A ten objaw staje się w obecnych czasach groźnym i niebezpiecznym dla gimnazyum klasycznego. Wojna i to, co się z nią łączy i co po niej jeszcze przyjdzie, jest jak powódź, która burzy dużo złego i dobrego. Mogłaby ona podmulić, znieść i zmieść typ czysty gimnazyum klasycznego z jego wielkiemi podstawowemi zadaniami — gdyby tak zostało, jak jest obecnie.

Aby takich fatalnych następstw uniknąć, musi administracya szkolna podnieść gimnazyum klasyczne tak wysoko, ażeby wyniosło się ponad powódź, ażeby nie dosięgły go fale, męty i niszczące siły obecnych i najbliższych burz.

W tym celu trzeba jednak koniecznie zdecydować się przedewszystkiem na redukcyę znaczną, choć powolną, tych szkół klasycznych i zastąpić część ich szkołami, jakich nam już teraz potrzeba

i coraz więcej w przyszłości potrzeba będzie dobremi szkołami realnemi i szkołami fachowemi.

Jak to jednak uczynić? Jako prawnik, nie jestem zwolennikiem żadnych gwałtownych i szybkich zmian, nie chcę rewolucyi, ale pragnę postępu spokojnego w drodze ewolucyi. Z tego punktu widzenia nasuwa się sama przez się jako forma dogodna i podatna — gimnazyum realne. Uważam ją za środek przejściowy.

Nie wiemy jeszcze, co po wojnie będzie, nie wiemy, ilu będzie nam potrzeba realistów, ilu handlowców, przemysłowców i rolników — niewiadomo, jak się życie ekonomiczne u nas rozwinie — zresztą rodzice nie chcą, często i nie mogą z góry rozstrzygać o przyszłym zawodzie swych dzieci, czy kształcić je na humanistów, czy na realistów — to przecież dwa odrębne światy — siła przyzwyczajenia i głęboko zakorzenionych uprzedzeń odgrywa także pewną rolę — społeczeństwo domaga się więc szkoły średniej, powszechnej, pospolitej — a tym względom odpowiada gimnazyum realne. Daje ono i to i owo: Uczy łaciny, tyle, co gimnazyum klasyczne, ale nie greki, za to uczy francuskiego lub angielskiego; uczy więcej realiów niż gimnazyum, nieco geometryi wykreślnej, nieco rysunków, więcej niż gimnazyum chemii, fizyki itd. itd., wszystkiego potrosze — a przytem uprawnia do wstępu na uniwersytet, prawie na wszystkie wydziały — przygotowuje lepiej, niż gimnazyum klasyczne do politechniki.

Przeciwnicy greki agitują nadto za gimnazyum realnem argumentem, że przecież byli nawet wielcy humaniści na świecie, którzy wykształcili się na łacinie, a po grecku nie umieli.

Oto powody, dla których gimnazyum realne jest coraz popularniejsze, przynajmniej w zachodniej Galicyi. Niewątpliwie nie można zachwycać się tym typem szkoły, któremu brak jednolitej podstawowej myśli i organizacyi, konsekwencyi i ścisłości z punktu widzenia dydaktycznego. Ale typ ten istnieje, a wiele względów praktycznych za nim przemawia; jako forma przejściowa ma swe wielkie zalety i może służyć na czas pewien jako szkoła wyższa, powszechna i pospolita.

Z tymi względami liczy się i liczyć musi Rada szkolna krajowa, jeżeli patrzy na świat realnie, nie po doktrynersku — jeżeli nie ma spotkać się z zarzutami, że w niej zasiadają archeologowie, historycy, idealiści, rozumiejący może świat piękna klasycznego, ale nie znający potrzeb społeczeństwa.

Że Rada szkolna na ten zarzut nie zasługuje i że przytem chce ratować czysty typ gimnazyum klasycznego — tego dała dowód w swych uchwałach, o które Pani na początku pytała.

Sądzę, że moje wyjaśnienia usuną pewne nieporozumienia, jakie przez uchwałę dotyczącą zamiany jednego gimnazyum klasycznego — na realne w Krakowie, mogły powstać w naszem społeczeństwie.

Rada szkolna nie spuszcza jednak z oka i dalszego swego planu i dlatego rozważa, co uczynić, aby młodzież zwracać do szkół realnych i fachowych. Co do pierwszych istnieje ustawa krajowa z lat ostatnich, dążąca do zamiany szkół realnych 7-klasowych na 8-klasowe. Sejm zamierzał w ten sposób podnieść szkoły realne pod względem dydaktycznym. Obecnie idzie więc tylko o to, aby nastały warunki konieczne do wprowadzenia w życie tej ustawy.

O zakładaniu, lepszem wyposażeniu i t. d. szkół fachowych na razie trudno myśleć, trzeba czekać na czasy normalne. Ale co się teraz da uczynić, aby młodzieży ułatwiać dostęp do już istniejących, tego nie należy zaniedbać. Wypływem tych dążeń są uchwały dotyczące akademii handlowych w Krakowie i we Lwowie, o których na początku wspomniałem.

* * *

— A jeszcze jedno pytanie — zagadnęłam. Jak Pan Prezydent zapatruje się na stosunek zmian w szkołach średnich, o jakich Pan właśnie mówił, do rzuconego przez Radę szkolną hasła: „Non multa sed multum"?

Hasło to — odpowiada prezydent — raczej stara zasada pedagogiczna, która się pod niem kryje, powinno być kierownicą we wszystkich typach szkół, a więc w gimnazyach klasycznych i realnych, w szkołach realnych, fachowych, a nawet ludowych. Lepiej mniej uczyć, ale zato dokładniej; lepiej budzić samodzielną myśl, a nie przygniatać młodego umysłu nadmiarem wiadomostek — to zasada wychowawcza i dydaktyczna tak prosta, że jest i powinna być ogólną i powszechną. Jeden z naszych najwybitniejszych pedagogów po bardzo sumiennych wizytacyach przyszedł do przekonania, że wyniki nauczania są lepsze w szkołach ludowych typu wiejskiego, aniżeli miejskiego, a przyczynę upatruje w tem, że w szkołach wiejskich uczy się znacznie mniej, ale dlatego intenzywniej. „Non multa sed multum" ma oczywiście tem większe znaczenie, im rozleglejsze są plany nauczania, a temsamem większe niebezpieczeństwo powierzchownej nauki. Dlatego hasło nasze Rada szkolna przedewszystkiem propaguje w szkołach średnich — tu jednak bez różnicy, z równym wszędzie naciskiem, tak w gimnazyach klasycznych i realnych, jak i w szkołach realnych. Zresztą chodzi nam przecież nietylko o cele dydaktyczne, ale i wychowawcze. Zniewalając

młodzież naszą do najdokładniejszego nauczania się, co nauczyciel zadał, wyrabiamy w niej poczucie obowiązku, sumienność, hart woli, charakter — to, czego nam wszystkim tak bardzo potrzeba.

Zasady pisowni polskiej

uchwalone na Walnym administracyjnym posiedzeniu Akademii Umiejętności d. 17 lutego 1917, a ułożone d. 15 lutego t. r. w porozumieniu z przedstawicielami Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego oraz galicyjskiej c. k. Rady Szkolnej Krajowej.

1. a) W przyrostkach wyrazów przeważnie obcych, zatym przedewszystkiem (ale nie wyłącznie) w ich zgłoskach końcowych, pisać **j** np.:

Arabja, Serbja; Francja, lukrecja, Łucja, promocja, prowincja, racja, stacja, Wenecja, specjał, facjata, krucjata; gwardja, Lombardja, kordjał, medjum, parodja, paradjer, stadjum; mafja, bibljografja; orgja; Anglja, biblja, balja, kanalja, konsyljum; akademja; Danja, gubernja, kalumnja, manja, unja, lampjon, archiwarjusz, Austrja, barjera, banderja, centurja, embrjon, galerja, historja, kurjer, malarja, Marja, marjasz, parjas; pasja, Rosja, kasjer, posesja; bestja; Azja, fryzjer.

Oczywiście tak samo w pochodnych, np. specjalny, racjonalny, stacjonować, Wenecjanin; gwardjan, konsyljarz, posesjonat, manjak, bestjalski, Rosjanin, marjacki, marjański. Podobnie w rodzimych, dosyć rzadkich zresztą, np.: Igołomja, Bogorja, Złotorja (obok Bogoryja, Złotoryja wedle c).

b) W pniach, czyli tematach wyrazów obcych, zatym przedewszystkiem w ich zgłoskach początkowych, zatrzymać etymologiczną pisownię przez i, np.: biografia, biograf, fiolet, miazmat, hiacynt, Hiob, Hieronim, trio, Pius, diagnoza.

c) W wypadkach niewątpliwej wymowy yj, ij, pisać tak zgodnie z pisownią rodzimych wyrazów, takich jak: kryjówka, pomyje, Kołomyja, stryjek, kijek, pijak, pijus itd., oraz takich jak: linijka, bestyjka, stacyjka, Maryjka, biblijny, gwardyjski itd.; zatym: bryja, chryja, fijołek, Tryjest, austryjacki, dryjakiew, patryjota itd. Naodwrót, znowu zgodnie z powszechną wymową, djabeł, djak.

U w a g a 1.

Wahania, jak: Priam, triumf, triera, diarjusz, dialekt, grubjan, diament itd. obok Pryjam, tryjumf, tryjera, dyjarjusz, djament, dyjalekt, grubijanin itd. są nieuniknione i dopuszczalne.

U w a g a 2.

Zgodnie z wymową i ogólną zasadą polskiej pisowni pisze się

powszechnie: maniera, inżynier, kanonier, (kosynier), magazynier, Madziar, pakier (pakiet) itd, to znaczy w wypadkach, gdzie zgodnie z pochodzeniem wymawiamy tylko zmiękczoną spółgłoskę bez następującego j, wyrażamy zmiękczenie, jak zwykle, przez i.

2. W końcówkach zaimkowo-przymiotnikowych pisać jednolicie, bez rozróżniania rodzajów, w liczbie pojedynczej -ym, w liczbie mnogiej -ymi: dobrym dzieckiem i ojcem, dobrymi dziećmi, kobietami, panami. Taksamo: zatym, przedewszystkim itd.

3. W tematach (przeważnie zgłoskach początkowych) wyrazów obcego pochodzenia pisać ge, ke (nie gie, kie): geografja, geologja, geometrja, Genewa, agent, kefir, Wogezy itd.

W wyrazach odczuwanych jako swojskie, oraz w pochodnych pisze się gie, kie: angielski, giełda, giemza (jak giez), kierat, kielich (jak kiedy itd.), Giedymin, Jagiełło itd.

4. W imiesłowach czasu przeszłego na -szy zatrzymać ł, pisać zatym: zjadłszy, przyniósłszy itd.

5. Pisać: biec, móc, strzec, strzyc itd.

6. Przymiotniki: bliski, męski, niski, śliski, wąski, grząski pisać przez s; podobnie rześki.

(7. Bezokoliczniki słów: gryzę, wiozę, lezę pisać przez ź — gryźć, wieźć, leźć (znaleźć).

8. Przyimek z w roli prefiksu czasownikowego pisać zawsze wedle wymowy (z lub s); a mianowicie przez s także przed s-; zatym nietylko: skrócić, scedzić, sczesać itd. (jak i dotychczas), ale także: ssunąć, ssadzić, ssinieć, ssypać, sszyć itp.

9. Imiona (nazwy) narodów i zgromadzeń zakonnych pisze się, jak dotychczas, dużą literą.

10. Podwójną spółgłoskę pisze się w wyrazach obcych tam, gdzie się tak powszechnie wymawia, a zatym np.: willa, bulla, madonna, Budda, manna, Gallowie, innowacja, irracjonalny itd.; zresztą, zgodnie z wymową, pisze się pojedyńczą spółgłoskę: aluzja, iluzja, ilustracja, pesymizm, apelować, asymilacja, korekta itd., nie mówiąc już o ustalonych oddawna: profesorze, gramatyce, literaturze, klasie, asystencie itd.

11. W wyrazach (przeważnie) łacińskich lub romańskich pisać s lub zgodnie z tradycją lub ogólnie polską wymową, zatym: konsul, uniwersytet, intensywny, mansjonarjusz, ansa, sensacja (oczywiście też Persowie itp.) itd., ale: cenzor, cenzura, a także utarte obecnie ofenzywa, defenzywa itp. (oczywiście też, jak oddawna: formalizm, idealizm, epizod, Cezar itd.).

12. a) Wyrażenia, złożone z przyimka i imienia, pisać razem, jeżeli mają samoistne znaczenie przysłówkowe, zatym np.: powoli, pomału, zapomocą, zamłodu, zbliska, zdala, naczele, nakoniec, wkońcu (ale: w końcu wsi) itd.

b) Enklityczne by pisać razem: robiłby, zrobiliby, jeżeliby się dało, jemuby warto dać itd. (oczywiście też, jak dotychczas: róbże, chodźcieno, kiedyście tacy mądrzy itd.).

c) Partykułę to pisać osobno: byli to sami chłopi, była to trzecia noc itd.

d) Niema „non est", ale nie ma „non habet".

13. Pisać: poślę, Śląsk, ślub, ślaz, wiśnia itp. przez ś (nie przez sz).

14. Imiona i nazwy klasyczne pisać (i wymawiać) zgodnie z ustaloną tradycją polską. [1])

Nowożytne obce imiona i nazwiska zachowują, z rzadkimi wyjątkami jak: Szekspir, Wolter obok Voltaire, pisownię oryginalną. W odmianie odrzuca się końcowe samogłoski, zatym: Racina, o Racinie, Roussa, Corregia, z Popem, Comta itd., obok mianowników: Racine, Rousseau, Corregio, Pope, Comte itd.

15. Dopuścić postać dwóch obok dwu.

16. Dzielenie (przenoszenie) wyrazów odbywa się wedle poczucia etymologicznego lub fonetycznego, np.: po-rząd-ko-wy, na-stęp-ny, końców-ka, mat-ka, zat-kać itd.

U w a g a. Szczegółowiej zostaną te zasady rozwinięte przez Komisję językową; tymczasem odsyła się do rozprawy J. S t e i n a, Język Polski II, 1914, nr. 4 i 5.

17. Liczebniki porządkowe, o ile się ich nie wypisuje słowami, wyraża się cyfrą bez kropki, np. w IV wieku, w 20 tomie, albo też dodaje się odnośną końcówkę: w IV-ym wieku, w 2-im tomie, 10-y rozdział, 20-a mowa itd.

18. Przymiotniki na ski, urobione od rzeczowników, których pień kończy się na -g., brzmią regularnie -ski, nie -gski, np.: praski, nowotarski, norweski, ryski itd. jak boski; tak też je pisać należy, nie pragski itd.

„Dziecko w sztuce".

Dzięki gorliwym zabiegom „ad hoc" utworzonego komitetu, a szczególniej dzięki energii jego przewodniczącego, Dra Ignacego D e m-

[1]) Szczegóły w obszerniejszej redakcyi.

bowskiego, oraz sekretarza, P. Leonarda Lepszego, przyszła w Krakowie do skutku, wymieniona w nagłówku wystawa specyalna obrazów, rysunków i rzeźb, z której dochodu część jest przeznaczoną na rzecz pomocy dla dzieci i rodzin artystów polskich. Niestety, obecne stosunki polityczne i wynikające skutkiem nich utrudnienia komunikacyjne nie pozwoliły, aby na tej wystawie dało się było zgromadzić odnośne dzieła, zostające w posiadaniu osób prywatnych, instytucyj i artystów z Królestwa Polskiego i Poznańskiego. Pomimo tego jednak zdołano na rzeczonej wystawie zebrać około 300 dzieł sztuki, które powstały w czasie od połowy XVII wieku aż do do dni naszych. [1])

Tego rodzaju wystawy o charakterze retrospektywnym przychodzą do skutku jedynie przy chętnym spółudziale posiadaczy dzieł sztuki. Tym razem znalazła się spora liczba takich chętnych, którzy umożliwili przyjście do skutku wystawy „Dziecka w sztuce". Należy się im, a przedewszystkiem inicyatorom wystawy, prawdziwa wdzięczność: raz dla pięknego celu wystawy, następnie zaś dla faktu, że teraz właśnie podjęto jej urządzenie. W czasach bowiem obecnych każde przedsięwzięcie, pozwalające ludziom oderwać się na chwilę od brutalnej rzeczywistości i przenoszące ich w dziedzinę piękna, jest dobrym uczynkiem.

* * *

Do wystaw retrospektywnych z zakresu sztuk plastycznych trzeba z natury rzeczy, przykładać zgoła inną miarę krytyczną, niż do wystaw, na które składają się dzieła sztuki spółczesnej. Mianowicie, obok wartości czysto artystycznej, należy na takich wystawach uwzględniać nieraz wartość zabytkową eksponatów. Stare portrety np. ciekawsze bywają często ze względu na osobę, którą przedstawiają, niż na osobę swego wykonawcy i jego sposób malowania. Dlatego też, oglądając wystawę „Dziecka w sztuce", nie wypada zbytnio się dziwić, że wśród jej eksponatów znalazły się, obok prawdziwych dzieł sztuki, rzeczy o bardzo nikłej wartości artystycznej. Na szczęście, te ostatnie są w znacznej mniejszości. I nie mogło być inaczej, skoro widzimy na niej dzieła — ze spółczesnych — Malczewskiego, Fałata, Wyczółkowskiego, Axentowicza, Mehoffera, Wojciecha Kossaka, Wyspiańskiego,, a z da-

[1]) W chwili pisania niniejszego sprawozdania, t. j. w 3 dni po otwarciu wystawy, ukazał się dopiero „tymczasowy" jej katalog, w którym niema jeszcze wymienionych wszystkich dzieł wystawionych. Katalog ten wykazuje wprawdzie tylko 251 eksponatów, ale jest ich daleko więcej. Pominięto w nim np. prace Weissa, Pelczarskiego, Wygrzywalskiego i w. in.

wniejszych — Matejki, Kotsisa, Grottgera, Piotra Michałowskiego — że tylko najwybitniejszych wymienię.

Nie ulega wątpliwości, że omawiana wystawa przedstawiałaby się o wiele okazalej, gdyby — pomijając nieobecność dzieł artystów z innych dzielnic Polski, o czem wspomniałem na wstępie — wszyscy artyści z Galicyi byli stanęli do apelu. Niejednego jednak z nich brakuje. Nie obesłał między innymi wystawy np. Stachiewicz, ten mistrz w odtwarzaniu główek dziecięcych.

Bądź jak bądź, wystawa „Dziecka w sztuce" przedstawia pewną zaokrągloną całość. Stawia ona przed oczy mnóstwo twarzy dziecięcych, z których widz może do pewnego stopnia wypośrodkować sobie typ polskiego dziecka. Typ ten jest dość wyraźnym, ale tylko w odniesieniu do dziecka klas wyższych, zamożniejszych naszego społeczeństwa. Jest to łatwo zrozumiałem, gdyż chłop, robotnik, lub małomieszczanin nie może pozwolić sobie na zbytek portretowania swych dzieci. Służą one natomiast za modele malarzom lub rzeźbiarzom, tak, że, chcąc dać pojęcie o typie polskiego dziecka, w najszerszem znaczeniu, należałoby, obok portretów, zgromadzić znaczną ilość kompozycyj rodzajowych, w których dzieci chłopskie i robotnicze są głównymi aktorami. Ale takich kompozycyj, względnie studyów takich dzieci, jest na obecnej wystawie niewiele.

Jak wiadomo, Polacy odznaczają się wśród Słowian północnych i zachodnich typem swoistym, różniącym ich silnie od pobratymców. Otóż, w twarzach wszystkich niemal dzieci, jakie oglądamy na wystawie, typ ten, wprawdzie jeszcze nierozwinięty, zaznacza się wyraźnie. Ma się rozumieć, jest to typ „szlachecki", różniący się od typu „ludowego", tak, jak „szlachcic" polski, który nadał swe cechy klasom wyższym naszego społeczeństwa, różni się antropologicznie od „chłopa" polskiego. Typ, o którym mowa, jest bardzo charakterystyczny i sprawia, że trudnoby było pomylić się co do narodowości prawie wszystkich dzieci, których konterfekty oglądamy na wystawie. Najdobitniejszym wyrazem tego typu są portrety dziecięce Malczewskiego, a przedewszystkiem portret zbiorowy trzech chłopców, zatyt. „Bratankowie" (nr. kat. 195).

Dzieło to posiada wartość pierwszorzędną i pod względem uchwycenia indywidualności portretowanych i pod względem faktury, szczególniej zaś pod względem prostoty i szczerości, wyzierającej z każdego pociągnięcia pendzla i z układu całości. Sposób malowania tego zbiorowego portretu różni się znacznie od sposobu, jaki znamionuje ostatnią dobę twórczości tego wielkiego artysty. Wówczas nie był Malczew-

ski takim jak dziś wirtuozem palety, ale zato był o wiele mniej skomplikowanym, prostszym, a więc zrozumialszym. Pastelowy „portret Rogera i Edwarda hr. Raczyńskich" (nr. kat. 197) jest już dla tego ciekawym, bo pastele Malczewskiego należą do rzadkości. Technika pastelowa nie odpowiada jednak usposobieniu artysty, bo w niej nie może wydobyć tyle siły i decyzyi, co w malowaniu olejnem. Pewna rozwiewność, nieodłączna od techniki pastelowej, zasadniczo nie godzi się z temperamentem artysty, który często staje się w wykonaniu za ostrym raczej, niż za miękkim. Ostrość ta przebija w bardzo zdecydowanym rysunku szczegółów, biorących niekiedy górę nad całością, czem przypomina Matejkę. „Portret dziewczynki" i „Ogrodniczek" (nr kat. 194, 196), aczkolwiek rozdzielone znaczną przestrzenią czasu, noszą na sobie cechy tego właśnie kultu artysty dla rysunku i to tak dalece, że pierwszy z nich jest, jak to mówią malarze, „przerysowany", tj., że mieści w sobie za wiele szczegółów drobnych, zatracających bryłowatość ogółu.

W innym zupełnie rodzaju mistrzem techniki jest F a ł a t. Jego akwarelowe „Portrety dzieci artysty" (nr kat. 147—152), malowane są ze zwykłą u niego siłą i swobodą. Kto ma jakiekolwiek wyobrażenie o technice malowania wodnemi farbami i o trudnościach, jakie ono nastręcza na punkcie wydobycia silnych efektów, ten oceni swobodę, z jaką Fałat wydobywa tony tak głębokie i światła tak silne na swych akwarelach, jakie nawet farbami olejnemi wydobyć nie łatwo. Fałat nie miał w polskiem malarstwie pierwowzorów do naśladowania. Jest on też malarzem nawskróś oryginalnym, zarówno w swoich scenach myśliwskich, jak w krajobrazach, jak i w portretach, a raczej studyach dziecięcych. I jeszcze jedno uderza w tych studyach, a mianowicie brak wszelkiej „pozy"— artysta chwyta naturę i n f l a g r a n t i, nie naciągając jej do swego widzimisię, co tak często się zdarza, nawet u równie wybitnych, jak on, malarzy.

Jednym z artystów, cieszących się największemi sympatyami polskiej publiczności, jest A x e n t o w i c z. Ale właśnie z racyi tych sympatyj — zresztą zasłużonych — nie można czasem nie irytować się na niego, tak bywa nierównomiernym, „niedociągniętym", poprostu lekkomyślnym w swej produkcyi. Należy on do tego klanu malarzy, co nic sobie nie robią z tego, że równocześnie dają na widok publiczny rzeczy doskonałe, obok zupełnie słabych. Powtarza się to prawie za każdym razem, gdy kilka swych prac równocześnie wystawia — tak jest i teraz. Wystarczy np. porównać taki olejny „Portret Hr. Adasia Szem-

beka“ (nr. katalogu 128), istną perełkę, co się tyczy poprawności i wdzięku roboty, z takim pastelowym „Portretem“ (nr. kat. 141), wykonanym tak ogólnikowo, tak schematycznie, że aż ckliwo się robi, nań patrząc. Inne pastele tego artysty przeważnie wykazują znane zalety kolorystyczne autora, z któremi nie zawsze idzie w parze siła i poprawność rysunku. Wyróżniają się między nimi nr. kat. 135, 137, 138. Mocno zniszczony wielki „Portret rodziny artysty“ był zapewne kiedyś interesującym ze względu na rozmiary pastelem — dziś pozostały na olbrzymim papierze tylko ślady po tem, co kiedyś było na nim narysowane.

Doskonałe są studya i portrety dzieci, malowane i rysowane przez M e h o f f e r a. Szczególniej „Dziewczynka“ (nr kat. 204) i „Chłopczyk w koronkowym kołnierzyku“ (nr. kat. 205) zwracają na siebie uwagę, podobnie jak „Portret Janka Cybulskiego“ (nr kat. 203). Są to typowe okazy maniery — ale w dobrem znaczeniu — malarskiej Mehoffera, który tak jest rozmiłowany w witrażach, że nawet niektóre z jego studyów dziecięcych na szkło dałyby się przenieść odrazu.

W y c z ó ł k o w s k i e g o pastele główek dziecięcych, aczkolwiek są drobiazgami, do wykonania których artysta zapewne nie przywięzywał zbyt wielkiej wagi, zdradzają jednak tę siłę barwy i głębokość tonu, jakich sekret w pastelu umiał on zdobyć.

Dzieci są ulubionymi modalemi Vlastimila H o f m a n n a. Kompozycye jego przepojone są swoistym sentymentem, ożywiającym świat napoły fantastyczny — co do koncepcyi, napoły realny — co do formy. Ulubionymi zaś jego bohaterami są przeważnie „maluczcy“. Sentyment ten, będący czasem jakby jakiemś dalekiem echem twórczości Malczewskiego, zdobył Hofmannowi odrębne, a poczesne stanowisko w polskiem malarstwie. Powtarzam „w polskiem“ — bo chociaż jest on Czechem z pochodzenia, to jednak wśród nas kształcił się, rozwinął i wrósł w naszą glebę jego talent. „Puste gniazdko“, które dał obecnie na wystawę, nie zmieni pochlebnego wyobrażenia, jakie ma o Hofmanie ogół polski, aczkolwiek nie jest wcale jedną z najlepszych prac artysty.

Pastele S i c h u l s k i e g o (nr. kat. 227, 228, 229) należą, zdaje mi się, do głównych ozdób wystawy. Przy oglądaniu ich nasuwa się mimowoli porównanie z pastelami Wyczółkowskiego — oczywiście nie z temi tylko, które są na obecnej wystawie. Jakaż między niemi kolosalna różnica w technice, a jednak, mimo to, jakie podobne osiągnięcie

efektu! Twórczość Wyczółkowskiego nie osłabła wprawdzie z wiekiem, ale, jak bądź, należy on do malarzy doby „wczorajszej", podczas, gdy Sichulski jest przedstawicielem polskiego malarstwa doby „dzisiejszej" i to świetnym przedstawicielem. Taki np. „Chłopak" modlący się (nr kat. 229) jest dziełem bardzo znaczącem, bo ma na sobie wyraźne piętno epoki, a mianowicie epoki przejściowej polskiego malarstwa na nowe drogi, prowadzące do nowych celów. Daleki jestem od chęci obniżania wielkości naszego malarstwa, począwszy od Matejki, Grottgera, przez Juliusza Kossaka, Gierymskich do Malczewskiego lub Wyczółkowskiego, owszem, uznaję ją w całej pełni. Ale stwierdzić muszę, a każdy bezstronny obserwator przyzna mi chyba słuszność, że malarstwo polskie, ulegając ogólnemu prawu ewolucyi, wchodzi teraz w nową fazę rozwoju i że jednym z najpoważniejszych przedstawicieli tego okresu jest właśnie Sichulski.

Zamiłowanym malarzem brzydoty jest Weiss. Historya sztuki zna takich malarzy, dość wspomnieć Callota, Hogartha, Goyę, lub Wirtza. U wymienionych jednak usprawiedliwiała niejako brzydotę łącząca się z nią groza, albo głębszy interes psychologiczny. Tego u Weissa wcale nie widać. Maluje on brzydotę dla niej samej, z dużem opanowaniem techniki. Każdy malarz czyni oczywiście najlepiej, gdy maluje tak, jak widzi. I Weiss niezawodnie tak widzi swe modele, jak je przenosi na płótno. Z tego nie można mu czynić zarzutu. Inna jednak sprawa, jeżeli malarz zawsze i wszędzie widzi brzydotę, podczas gdy w rzeczywistości spotykamy obok bardzo brzydkich indywiduów, także bardzo piękne, nie mówiąc już o mnóstwie typów pośrednich. Rzeczą więc artysty byłoby urozmaicać swą wytwórczość, biorąc czasami za model niekoniecznie brzydkie w monstrualny sposób osobniki. Kwestyi nie ulega, że dziecko przy piersi wdzięcznym modelem nie jest, ale dla czego ma być tak potwornie szpetnem, jak to, które służyło za model do „Dziecka z pendzlem"? Zresztą jestem przekonany, że owo bobo wcale tak brzydkiem nie było, lecz, że Weiss z umysłu pomija wszystko w swych modelach, coby dla oka mogło być przyjemnem. Malarze tego rodzaju podobni są do hypohondryków-pesymistów, upatrujących we wszystkich czynach i słowach swych bliźnich strony czarne, brzydkie.

Pewnego stopnia pesymistką w odniesieniu do swych modeli, ale nie tak beznadziejną, jak Weiss, jest także Olga Boznańska. Wybitna ta malarka, obok właściwej sobie maniery patrzenia na naturę, posiada również własną manierę malowania, cieszącą się w szerokich kołach publiczności uznaniem. Jej olejne portrety, obecnie wystawione (nr

kat. 142, 143, 144) są jota w jotę podobne do tych, jakie tyle razy oglądaliśmy na rozmaitych wystawach w kraju i zagranicą. Artystka, stworzywszy pewnego rodzaju technikę portretową, stanęła na martwym punkcie, nie maluje ani lepiej, ani gorzej, niż przed wielu laty.

Dużą niespodzianką dla tych, którzy śledzą rozwój jego talentu, sprawił Turek. Cykl wystawionych przez niego pasteli i rysunków pt. „Dzieci cierpiące" zasługuje na baczną uwagę. Przejawia się w nich, zdrowa obserwacya i wcale niepoślednia technika, wzorowana do pewnego stopnia na Wyspiańskim. Artysta ten jest na bardzo dobrej drodze, zdolności jego rozwijają się i mężnieją widocznie.

W swoim rodzaju niezrównanym jest Dębickiego „Mizantrop" (nr kat. 145). Tego rozgrymaszonego bębna, mającego za chwilę wybuchnąć gwałtownym krzykiem i płaczem, a patrzącego na otoczenie z jakąś żywiołową nienawiścią, namalował artysta szeroko, choć w miniaturowych rozmiarach.

Także miniaturowym obrazkiem jest „Sierotka" (nr kat. 236), Wincentego Trojanowskiego, malowana z taką precyzyzą i prawdą, że trudno od niej oczu oderwać. Złożyły się na to arcydziełko i rysunek energiczny, a subtelny, i doskonały światłocień, a głęboki złotawy ton całego obrazka i wreszcie rzewny smutek, rozlany na twarzy sierotki. Nie wiem, gdzie i kiedy zostało to pieścidełko namalowane, ale to pewne, że widać na niem wpływ szlachetny sztuki francuskiej, może Meissonier'a.

I jeszcze jeden niewielki obrazek wart jest, by przy nim dłużej się zatrzymać. Jestto „Portret synów artysty" przez Wygrzywalskiego, rzecz malowana z taką dostojną powagą i głębokim nastrojem, że przykuwa do siebie widza. Nie często spotyka się portret tak pojęty, tak wolny od wszelkiej konwencyonalności.

Augustynowicza znamy z wystaw dawniejszych. „Portret dzieci artysty" (nr. 127) należy do rzędu prac bardzo sumiennych, bardzo dokładnych w całości i szczegółach, jednem słowem, bardzo „solidnych", ale wcale nieporywających. Malarze stwarzają sobie nieraz trudności, których pokonanie jednak nie może im być wcale poczytane za zasługę. W tym portrecie np. zadał sobie Augustynowicz taką niewdzięczną trudność, ubierając oba dziewczątka w sukienki o białych i niebieskich paskach. Te paski są wykonane z taką dokładnością, że poprostu mięni się w oczach, gdy się dłużej na ów portret patrzy. Kosztowało to zapewne dosyć pracy, a rezultat jej jest mały.

„Portret córek" i „Portret syna" (nr kat. 176, 177) przez Woj-

ciecha Kossaka dają świadectwo wszechstronności tego batalisty, który w chwilach wolnych od malowania scen wojskowych i wojennych, bywa wytwornym portrecistą, co zresztą było oddawna wiadomem.

Z pośród innych prac żyjących artystów, których omówienie zajęłoby zbyt wiele miejsca, muszę jednak na niektóre zwrócić uwagę, gdyż wznoszą się ponad przeciętność.

I tak, osobna wzmianka należy się: zgrabnym pastelom Heleny Lustgarten (nr. kat. 191—193) dalej bardzo oryginalnym i z dużą fantazyą artystyczną pomyślanym autolitografiom i rysunkom (nr kat. 230—234) Zofii Stryjeńskiej, a także olejnym portretom dzieci Rzegocińskiego (nr. kat. 223—225).

Jeżeli dziecko dla malarza jest nieraz trudnym i mało interesującym modelem, to cóż dopiero dla rzeźbiarza. Nic tedy dziwnego, że na obecnej wystawie tak mało rzeźb oglądamy. Ratuje poniekąd sytuacyę Laszczka swemi dziełami w liczbie dwunastu, a przedewszystkiem prześlicznemi bronzowemi plakietami (nr. kat. 186—189), przedstawiającemi „Dzieci artysty". Modelowane są one wszystkie tak znakomicie, jak to umie modelować ten „ostatni z romantyków między klasykami" rzeźby polskiej.

Dobre są także „Śpiące dzieci" Hochmanna, modelowane bardzo zgrabnie i miękko.

* * *

Przechodząc do właściwego działu retrospektywnego, nie sposób zacząć jego przeglądu od kogo innego, jak od Wyspiańskiego. Niespożyta zasługa tego znakomitego poety i malarza tkwi nietyle w tem, co stworzył pendzlem i piórem, ile raczej w tem, że odsłonił nowe horyzonty i w naszem piśmiennictwie i w naszem malarstwie. Za życia twórczość jego napotykała obok entuzyastycznej oceny u jednych, nie uprzedzoną krytykę u innych. Zaraz po śmierci wielbiciele fanatyczni stworzyli bezkrytyczny kult jego pamięci, czem nie oddali jej wcale przysługi. Dopiero teraz, gdy patrzymy z pewnej odległości czasu na dzieła Wyspiańskiego, ocena ich wypada bezstronnie. Z pracami malarskiemi tego artysty sprawa ma się taksamo, jak z pracami wszystkich artystów, którzy wstępują na nowe tory przed nimi nieutarte — Ogół musi przyzwyczaić się do patrzenia na dzieła ich pendzla lub dłóta. Dziś zżyto się już z rysunkami, pastelami, witrażami itd. Wyspiańskiego i nauczono się je cenić w miarę ich realnej wartości. Toteż z odpowiednim pietyzmem oglądamy na wystawie kilkanaście jego rysunków i pasteli (nr kat. 111—125), dających dokła-

dne pojęcie o tem, jak artysta patrzył na naturę i jak ją odtwarzał. A że czynił to w sposób, odpowiadający dzisiejszym prądom w malarstwie, pokazuje się stąd, iż nie będąc podobnie, jak np. Stanisławski, profesorem Akademii Sztuk pięknych, znalazł również legion naśladowców wśród spółczesnego sobie pokolenia malarzy.

Czem był dla naszego malarstwa Juliusz K o s s a k — wiadomo każdemu, który choć cokolwiek zajmuje się historyą naszej kultury artystycznej. Kilka jego akwarel (nr. kat. 23—27), jakie znajdują się na wystawie, przypomina tego luminarza naszego malarstwa i daje go poznać z mało dotąd znanej strony, jako doskonałego portrecistę dzieci.

Gdyby się nie wiedziało, że mistrz Jan jest autorem „Portretu Włodków, Zdzisława i Bolesława“ (nr kat. 45), to nikt absolutnie tegoby się nie domyślił. Nie będzie to jednak dziwnem, gdy weźmiemy na uwagę, że portret, o którym mowa, został wykonany w 1862-gim roku, a więc na pięć prawie lat przed „Kazaniem Skargi“, od którego to obrazu datuje się bujny a nagły rozwój talentu M a t e j k i. Pilnie rozpatrując jednak ten portret, można w nim dostrzedz „pazur lwa“. I tak, mimo nadzwyczaj gładkiego malowania i monotonnego, Stattlera przypominającego kolorytu, jest coś w tle, w układzie dzieci portretowanych, oraz w rysunku i wyrazie ich twarzy, co zapowiada, że ten młody na on czas malarz przerośnie o głowę spółczesnych.

G r o t t g e r a rzeczy olejne są stosunkowo rzadkie. Z tem większem tedy zainteresowaniem patrzy się na trzy główki dziecięce (nr. kat. 18—20) przez niego malowane, z których szczególniej oznaczona nr 19 odznacza się kapitalnem uchwyceniem typu chłopskiego dziecka. Jeszcze więcej zajmującym jest niewielki szkic „Wiejska szkółka w Wróblewicach“ (nr. kat. 21), skomponowany i rzucony na płótno z istną maestryą. Dzieła tego mistrza mają to do siebie, że im więcej się ich ogląda, tem różnorodniejsze strony jego bogatego talentu odkrywają — tu poznajemy go, jako znakomitego znawcę dziecięcego świata.

Zaznaczyłem na wstępie, że na obecnej wystawie mało jest obrazów rodzajowych z chłopskiemi dziećmi. I rzeczywiście, oprócz wymienionego obrazka Grottgera, są do zanotowania tego rodzaju prace tylko K o t s i s a (nr. kat. 32—36), K o s t r z e w s k i e g o (nr. kat. 30, 31) i Andrzeja G r a b o w s k i e g o (nr kat. 16 i 17).

Pierwszego z nich malutki obrazek „Matula umarli“ należy, obok Trojanowskiego „Sierotki“, o której już mówiłem, do cennych ozdób wystawy. Na tak małem płótnie odtworzyć prawdziwy dramat życiowy —

na to trzeba być artystą tej miary, co Kotsis. Równie pociągającą jest jego „Sierotka, wychodząca z wiejskiego cmentarza".

O ile Kotsis jest często malarzem cichych dramatów, rozgrywających się w życiu „maluczkich", o tyle znów Grabowski i Kostrzewski patrzą na to życie ze strony pogodnej. Pierwszego z nich „Mały żołnierz" i „Mały tancerz", a drugiego „Czterech krowoderskich zuchów" pełne są zabawnej obserwacyi i humoru.

Jedną z bardzo ciekawych osobistości malarskich ubiegłego wieku jest, jak powszechnie stwierdzono, Piotr Michałowski. Że był doskonałym malarzem koni, to wiadomo, mniej jednak znanym jest jako portrecista, a pokazuje się, że i w tym rodzaju celował. Dość popatrzeć na jego „Portret Józefa i Romana, bratanków artysty, (nr. kat. 48), aby się o tem przekonać. Przychodzi doprawdy zdumiewać się nad tem, jaki on jest „modern" w swojem malowaniu. Jakaś, trudna wprawdzie do określenia, analogia istnieje między nim a Malczewskim, ale że istnieje, to fakt. Oczywiście, że mam na myśli Malczewskiego z epoki tej, w której malował „Bratanków" z obecnej wystawy. Prawdopodobnie opiera się ona na tem, że obaj posiadają decyzyę w rysunku, bryłowatość w modelowaniu i prostotę w kolorze.

Cztery portrety słynnego ongi Winterhaltera (nr kat. 107—110) słusznie znalazły się na obecnej wystawie, bo są podobiznami dzieci polskiej arystokracyi. Najudatniejszymi z nich są: „Portret Artura hr. Potockiego w sukmanie krakowskiej" i „Portret Róży hr. Branickiej, zam. hr. Stanisławowej Tarnowskiej". Nietuzinkowa finezya i szlachetny styl wykonania czynią z tych portretów dzieła, których wartości czas nie przyniósł uszczerbku.

Im dalej cofamy się wstecz co do czasu, tem mniej prac wartościowych — mam na myśli wartość artystyczną nie pamiątkową — zawiera wystawa „Dziecka w sztuce". Sądziłbym nawet, że urządzanie takich wystaw retrospektywnych, sięgających aż po chwilę bieżącą, jest z natury rzeczy — bo kontrasty są zbyt wielkie — niekorzystnem dla prac dawniejszych, jeżeli nie są arcydziełami, których wartość czas raczej pomnaża, niż umniejsza. Wystawa obrazów, malowanych, dajmy na to, tylko między r. 1790 a 1850, była dla nich o wiele korzystniejszą, niż zestawianie ich razem z dziełami, jakie następnie powstały. Tosamo odnosi się do malowideł z XVIII w., które powinny po czasy rewolucyi francuskiej stanowić odrębną całość.

Wśród sporej liczby portretów, pochodzących z pierwszych dziesiątków lat ubiegłego stulecia niewiele zatrzymuje na sobie uwagę

widza. Do tych niewielu należy w pierwszym rzędzie A. Paszkowskiego, (malarz pono nieznany nawet specyalistom-historykom sztuki polskiej), „Dziewczynka i chłopczyk“ (nr kat. 86). W swym układzie jest ten portret, wedle dzisiejszych pojęć, pretensyonalny, śmieszny nawet, ale same głowy portretowanych, namalowane z dużą ekspresyą, bardzo przypominają portrety dziecięce Velasqueza.

Katalog wystawy wylicza spory szereg portretów dzieci z rodzin Czartoryskich, Sapiehów, Sułkowskich itd., zgromadzonych na wystawie. Niezawodnie są to cenne pamiątki rodzinne, ale wybitniejszego dzieła sztuki między niemi niema, z wyjątkiem „Portretu królowej Marysieńki ze wszystkiemi dziećmi pod popiersiem Jana III“ (nr kat. 81). Autor tego bardzo stylowego (późny barok), olbrzymich rozmiarów portretu, jest nieznany — katalog objaśnia, że malowany jest on w „rodzaju Altomontego“, nadwornego malarza króla Jana.

* * *

Kończąc ten przegląd wystawy „Dziecka w Sztuce“, zaznaczam, że nie wyliczyłem za katalogiem wszystkich eksponatów, bo to nie było mojem założeniem. Natomiast zwróciłem uwagę czytelnika na najbardziej wartościowe, między nimi, ułatwiając w ten sposób oryentowanie się w pewnego rodzaju chaosie, jakim jest z konieczności każda wystawa retrospektywna.

Zachęcać do zwiedzania rzeczonej wystawy niema chyba potrzeby wobec pięknego jej celu. Przytem, sądząc zupełnie bezstronnie, można ją nazwać — zwłaszcza z uwagi na niekorzystne warunki, w jakich powstała — za udaną odnośnie do dzieł sztuki z drugiej połowy ubiegłego i początków bieżącego stulecia. Że z czasów dawniejszych nie udało się inicyatorom wystawy zgromadzić większej ilości dzieł o wartości artystycznej, to nie ich wina, lecz zbiegu fatalnych okoliczności.

ka.

Szanownej Redakcyi „Gazety kościelnej“.

Na drobniejsze notatki o „Przeglądzie powszechnym“ nie zwykliśmy reagować. Jeżeli dziś odpowiadamy na notatkę „Gazety Kościelnej“ (1917 Nr. 14 str 166), to czynimy to z pietyzmu dla zmarłego przyjaciela naszego, Antoniego Mazanowskiego, o którego w tej notatce chodzi. Tembardziej do odpowiedzi jesteśmy zobowiązani, że atakowany

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Prof. Wacław Tokarz: **Kraków w początkach powstania styczniowego i wyprawa na Miechów.** 2 tomy, stron 239+259, Kraków 1915 i 1916. Nakładem Tow. Miłośników Krakowa.

Tenże: **Żołnierze Kościuszkowscy.** Str. 45. Kraków 1915. Nakładem N. K. N.

Tenże: **Bitwa pod Lipskiem.** Str. 15. Kraków 1913. Nakładem II. Polskiej drużyny strzeleckiej.

Kwaśny Emil: **„Krakowskie dzieci"** (Trzynasty pułk na polu chwały). 1914—1915. Str. 160.

— XXII. **Sprawozdanie Wydziału Tow. Bursy gimnazyalnej imienia Adama Mickiewicza w Bochni** od r. 1913 do r. 1915.

— **Sprawozdanie Dyrekcyi c. k. Gimnazyum w Bochni** za rok szkolny 1914/15.

Lam Dr. Stanisław: **Organizacya pracy literackiej.** Lwów 1917. str. 30.

Sokołowski Ks. Dr. Czesław: **Przysięga antymodernistyczna.** Warszawa 1916. Str. 231. Nakładem „Kroniki Rodzinnej".

Pelczar X. Biskup: **Zarys dziejów Kaznodziejstwa.** Kraków 1917. Wyd. 2-gie, Str. 477.

Gutberlet Dr. Konstaniin: **Der Gottmensch Jesus Christus,** bei Manz in Regensburg. S. 325 in 8°.

Biblioteczka Legionisty.

Kraków 1916. Nakładem N. K. N.

I. *Różycki Karol:* **Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej.** Str. 74.

II i III. *Bentkowski Władysław:* **Notatki osobiste z r. 1863.**

IV i V. *Prądzyński Ignacy:* **Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historyi.**

VI i VII. *Jabłonowski Stanisł.:* **Wspomnienia o bateryi pozycyjnej artyleryi konnej gwardyi królewsko-polskiej.** Str. 164.

VIII. *Chłapowski Dezydery:* **Wojna w 1807 roku.** Str. 71.

IX i X. *Górski Konstanty:* **Wojna 1792 roku.**

XI i XII. *Wojciech Chrzanowski:* **Opisanie bitwy Grochowskiej.** Kraków 1917. Str. 112 i 2 mapki.

Nakładem księgarni: B. Herder, Fryburg w Bryzgowii r. 1917.

Fröbes Joseph S. J.: **Lehrbuch der experimentellen Psychologie.** I Bd. 2 Abtheilung.

Kardinal Hergenröther: **Handbuch der allgemeinen Kirchengeschichte,** bearbeitet von Dr. J. Kirsch, fünfte Auflage.

Rieder Dr. Karl: **Aus der Heimat des Friedens.** Dorfpredigten, Str. 290.

Nakładem księgarni św. Wojciecha. Poznań 1917.

X. Adamski J. St. Tow. Jez.: **Patryotyzm** — nasze względem Ojczyzny powinności. Str. 83. (Nr. 40. Głosy na czasie).

Dembińska Marya: **Tadeusz Kościuszko** — obraz historyczny z 22 rycinami. Str. 80.

Bressières T. J.: **„Dopuśćcie dziatkom iść do mnie".** Str. 51.

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa r. 1917.

Kaden-Bandrowski Juliusz: **Spotkanie,** powieść. Str. 284.

Perzyński Włodzimierz: **Wróg wojny,** powieść. Str. 310.

Dębicki Zdzisław: **Książka i człowiek.** Str. 119.

Urbanowska Zofia: **Złoty pierścień,** opowiadanie dla młodszych dzieci, z ilustracyami. Str. 148.

Baranowski Mieczysław: **Dydaktyka,** uzupełniona „zasadami logiki" dla użytku seminaryów nauczycielskich, wyd. 7-me. Str. 113.

— **Logos,** wydawnictwo poświęcone idei Mesyanistycznej polskiej. Nr. II. **Sprawa Boża.** Str. 107.

Pigoń Stanisław: **Do podstaw wychowania narodowego,** ze słowem wstępnem Ign. Chrzanowskiego. Str. 172.

przez „Gazetę kościelną“ artykuł Mazanowskiego sami wydobyliśmy z pośmiertnej teki.

Chodzi o artykuł umieszczony w „Przeglądzie Powsz.“ w zeszycie styczniowym 1917 r., w dziale piśmiennictwa, pod tytułem: „Krytyka literacka ostatnich lat“. W artykule tym jest także dłuższy ustęp o „Legendzie młodej Polski“ Brzozowskiego. Krytyk „Gazety Kościelnej“ X. M. J. zestawił z tego ustępu dwa zdania Mazanowskiego; jedno, które maluje antykatolickie i antyreligijne stanowisko Brzozowskiego — a drugie następujące: „Ojcem tego pomysłu był niezawodnie rozum, rozwaga i przemyślenie spraw narodowych. Dobra wola w świat go wysłała. Nie bez szacunku zastanawiałem się nad nim... Jeżeli jednak pozbędziemy się w życiu i pracy odwiecznych czynników, z krwią przodków odziedziczonych i z pokolenia przekazywanych dotąd pokoleniu, to lękam się, że rozwaga i zapał otworzą nam wrota nie ku odrodzeniu, lecz ku zgubie“.

Oczywiście, że z połączenia ze sobą tych dwu zdań wypływa wniosek, iż w opinii Mazanowskiego antyreligijne stanowisko jest płodem rozumu, rozwagi i przemyślenia spraw narodowych, a religia o tyle ma tylko wartość, o ile jest czynnikiem z krwią odziedziczonym.

Nie zwrócił jednak dość uwagi szan. krytyk, że między jednem zdaniem a drugiem są dwie strony druku — i że na tych dwu stronach mówi Mazanowski o wszystkich ideach książki Brzozowskiego, zwłaszcza o problemie pracy i o sprawie narodowej — i to nazywa owocem rozumu, rozwagi i przemyślenia spraw narodowych. Czyż sam zwrot „przemyślenie spraw narodowych“ nie powinien był upomnieć krytyka, że coś przeoczył, bo jakiż logiczny związek może mieć przemyślenie spraw narodowych z antyreligijnem stanowiskiem (np. zwrot: „Bóg starem rupieciem“). Wniosek zatem szan. krytyka upada. Tembardziej, że Mazanowski nazywając problemat pracy i narodowości Brzozowskiego owocem rozumu, pośrednio polemizuje z bezwzględnymi wielbicielami „Legendy“, Chlebowskim i Gostomskim. Podpisuje ich sąd o rozumie i przemyśleniu spraw narodowych, ażeby tem skuteczniej podkreślić antyreligijne stanowisko Brzozowskiego, które ci dwaj krytycy zostawili nietknięte. Czy zaś atakowanie tego antyreligijnego stanowiska dokonywa się w imię dziedzictwa krwi, czy w imię innej racyi, to już jest kwestya gustu, kwestya większej lub mniejszej skuteczności ataku, żadną jednak miarą kwestyą ortodoksyi.

X. Jan Pawelski.

Z powodu wystawy obrazów księdza Moszyńskiego.

Niewymownie trudną byłoby rzeczą dociec bezmiaru oceanicznego w połysku toni morskiej. Żywioł bo ten ma swe głębiny niedocieczone i życie, które ledwie że brzegi oceanu zdołają utrzymać. Lecz o wiele trudniejszem zadaniem jest z paru dzieł ręki człowieka odtworzyć życie ascety-artysty czyli jaźni utkanej w swych najgłębszych posadach inteligencyi z samych silnie zdecydowanych ruchów ku przedmiotom umiłowania swego.

Bliższe wniknięcie w żywot ś. p. ks. Stanisława Moszyńskiego, ascety-malarza, odkrywa przed nami tyle perspektyw mających w sobie przekonywającą siłę życia, że jedynem wyjściem na razie było dać się porwać pewnym życiowym jego prądom i te ująć w możliwie jasne i zwięzłe pojęcia.

Mimo to dla ogólnej orjentacyi uważam za stosowne podanie kilku szczegółów z życia jego.*)

Stanisław był synem Stefanii z Cieleckich i Jerzego hr. Moszyńskiego. Przyszedł na świat w Sójkach koło Kutna w Łęczyckiem 5-go maja 1875 roku.

Wychował się w Łoniowie w rodzinnym majątku, w Sandomierskiem, razem ze swym ś. p. bratem Stefanem i siostrą Maryą.

---

[1]) Ks. Dr. Edward Komar: „Ks. Stanisław Moszyński, jako kleryk i kapłan". Kraków, 1908.

W dwunastym roku życia przybywa na naukę do Krakowa. Tu zaprzyjaźnia się ze swymi ciotecznymi braćmi, Karolem hr. Roztworowskim i Ksawerym hr. Pusłowskim, zaprzysięgając sobie wzajem pozostanie artystami. Stanisław rozweselał wszystkich swemi karykaturami. Czyste to było stworzenie, człowiek anielskiej dobroci. W czerwcu 1893 roku składa maturę gimnazyalną u Sobieskiego, chcąc wstąpić do seminaryum duchownego.

Ojciec skierował go jednak na rolnictwo. Na trzecim roku agronomii Stanisław chciał się oddać wyłącznie malarstwu, nie czując w sobie zupełnie gospodarskiego temperamentu. Lecz... uległszy woli ojca, kończy studyum rolnicze przy uniwersytecie krakowskim w r. 1896. Praktykę gospodarczą odbywa w Łękach, marząc raczej o „liniach i plamach barwnych“ niż o szarzyźnie dnia rolnego. W trzy lata później wstępuje do Akademii Sztuk pięknych w Krakowie, lecz niedługo tam zabawiwszy, jedzie do Berlina w roku 1900, na studyowanie galeryi. Był tam coś tydzień czy dziesięć dni, a narysowawszy 12 obrazków — jeden z nich przedstawiał pokój jego, w którym ułożone na krześle samo ubranie imitowało siedzącego człowieka — wraca do domu. W 1902 całe lato bawi u ciotki, hr. Pusłowskiej w Czarkowach Wielkich, dokąd ciągnęło go ciepło atmosfery artystycznej i rozległy krajobraz, obserwowany z cypla, zwanego „końcem świata“.

Tegoż roku zamiar wstąpienia do seminaryum duchownego dojrzewa i 4-go października zapisuje się Stanisław na wydział teologiczny w Krakowie. Z natury był elegantem, wytwornym dowcipnisiem, obdarzonym mimo żywości wyobraźni ogromną pamięcią, i niezwykłym zmysłem obserwacyjnym. Rysował wciąż. W seminaryum jest klerykiem pracowitym, karnym, umartwionym prawym, spokojnym, łagodnym i uprzejmym dla każdego, szukającym zawsze i wszędzie woli bożej czyli ‚Rzeczywistości“, cieszącym się niezamąconą duchową równowagą, opromienioną wiarą heroiczną. Nagle w czerwcu roku 1905 zapada na zdrowiu; 9-go lipca jest już u dra Dłuskiego w Zakopanem. W rok powraca do Krakowa i otrzymuje 17-go lipca subdyakonat, 24 lipca dyakonat, a 14 października — z rąk księcia-biskupa kardynała Puzyny — święcenia kapłańskie. Uczęszcza parę dni do uniwersytetu, lecz

zapada znowu na zdrowiu i wyjeżdża do Zakopanego. W lutym 1907-go roku zdaje egzamin z prawa kanonicznego w Krakowie, lecz już w marcu ponownie leży w łóżku w sanatoryum. Mszę św. po raz 167 odprawił na św. Stanisława, przygotowując się do uroczystości Zesłania Ducha św., która przypadała na 19-go maja. Lecz pierścień śmierci, który go zamykał, jak sam powiada, w swem kole, stawał się z każdym dniem coraz ciaśniejszym, groźniejszym i trudniejszym do przełamania, aż wreszcie 17 maja w południe przerwał wątek życia ks. Stanisława.

Zgasł, lecz że „była praca, było silne pragnienie zasilenia sztuki", więc dążenia jego zaważą na szali ogólnych interesów kultury, ciężarem tej przekonywającej siły twórczego życia, która przenikała na wskróś ofiarne serce ks. Stanisława.

Najbardziej ogólną syntetyczną władzą, spajającą życie jego więzami nieustannej pracy, było szukanie idealnej r ó w n o w a g i życiowej. Hasłem jego wyznanie: „pragnę szczęścia w teraźniejszości i znajduję je". Krwawy to był spokój, a jednak cudownie świadczący o nieustannem twórczem opanowaniu siebie. W dzieciństwie „Stasina", jak go nazywano, snuł bezgraniczne nadzieje przyszłości; gdy podrósł, zaczął marzyć o gloryi sławnych mężów, których żywoty poznawał; gdy rzeczywistość życia odsłoniła mu prawdziwą i cichą pracę, pragnął iść razem z ludźmi, których nauczył się cenić; gdy uchodząc „od niewyrozumiałej opinii publicznej", wstąpił do seminaryum, był wzorowym klerykiem, aby zostać gorliwym kapłanem; gdy piersiową zniewolony chorobą dostał się do sanatoryum Dłuskiego, zapragnął być ideałem chorego. We wszystkich zaś warunkach siedmiokroć rozmnażał talent, dany mu przez Najwyższego.

Ten sam nastrój życiowej równowagi skierował niezawodnie talent jego w dziedzinę m a l a r s t w a r e l i g i j n e g o, czyli tam, gdzie tej równowagi od dawna było potrzeba.

Bodźcem, który mu spokoju nie dawał wśród sytości widoków roztaczanych przed nim, był, jak sam spostrzeże, n i e u s t a n n y g ł ó d s z t u k i, który mu dokuczał przez całe życie. „Traciłem, pisze, coraz bardziej grunt pod nogami, zgubiłem strzemiona, a ssuwając się po karku ku uszom swego konia, znalazłem

się w seminaryum... mój głód ciągle mi dokuczał... Ten głód, dany mi przez Wszechmocnego. Jestto płomień, płonący na Jego cześć, to źródło osobistego mego szczęścia, rozwiązanie zagadki żywota mego. Na tle dopiero tem wyrósł kwiat przedziwnej świadomości jego malarskiej. „Gdy spojrzę na świat, zwierza się mniej więcej temi słowy, uderzają mnie kolory i kształty, gdy wyobrażam sobie coś, jawią się mi kolory i kształty tego, o czem myślę, gdy rozmawiając, patrzę bacznie komuś w oczy, wraża mi się w pamięć rysunek i koloryt jego twarzy... Bóg stworzył mię malarzem, Onci polecił mi kochać rzeczywistość i cieszyć się talentem, z rąk Jego pochodzącym. Obdarzył mię poczuciem sztuki, więc kocham sztukę; czy kocham powodzenie, rozgłos? — nie; czy kocham dzieła swe, w których indywidualność swą oglądam zewnątrz siebie? — nie; ja kocham to, czego nikt nie rozumie, kto nie ma duszy malarskiej. Dzięki składam Najwyższemu, że wszystko widzę, czuję, rozumiem jak malarz z przyrodzenia. Radośnie godzę się na sposób pojmowania życia, które mi Bóg zakreślił. Gdy mistrz mój każe mi czytać lub śpiewać, ja czytam i śpiewam jak malarz."

Kiedy Stanisław wstąpił do seminaryum, kierownik duchowny polecił mu wstrzymać się od malowania rok pierwszy ze względu na tem intensywniejsze wdrożenie się w nowy bieg życia duchownego. Popchnęło go to na drogę drobiazgowej reflekcyjnej pracy, oświetlającej zarówno treść jak i formę malarstwa religijnego. Na początku drugiego roku szkolnego Stanisław wśród ciągłej troski o swój talent usiłuje więc zrównoważyć temperament swój malarski z powołaniem kapłańskiem, i dochodzi do przekonania, że zginąłby razem ze swym temperamentem, gdyby nie poszedł „drogą" kapłaństwa. Kapłaństwo, pisze, jest drogą, malarstwo koniem, na którym jadę... Wrogiem mego temperamentu malarskiego było gospodarstwo... Powołanie zaś kapłańskie przeciwstawiło się we mnie małżeństwu... — Stwierdziwszy to, wszystkie modlitwy i prace zwrócił ku temu, by „zawsze i wszędzie" ratować swą twórczość malarską.

Lecz nie do rąk ułomka dostał się talent ten, zdolność twórcza.

Ks. Stanisław był naturą zdążającą zawsze do celu po linii najcięższego oporu czyli nieustannego twórczego zmagania się z sobą. „Celem malarza, powie, nie jest wymalowanie i porozwieszanie wielu obrazów, ale rozwiązanie jakiegoś zagadnienia artystycznego... pracując na polu malarstwa, szukałem swej drogi... Wszedłem na drogę naturalnych wrażeń, która prowadziła mię ku rozwojowi sił pierwotnego rozpędu... Ale ja nie chciałem tej drogi, poddałem się nowym trudnościom początkowym w kierunku sztuki religijnej.

Już w 18 roku życia, po maturze 1893, pragnąc podnieść malarstwo przez wlanie w niego ducha chrześcijańskiego, oświadczył ojcu, że chce pójść na teologię.

Dziewięć lat z górą upłynie, nim wreszcie przestąpi progi seminaryjne, trawiony głodem sztuki religijnej.

„Przypuszczam, napisze w roku 1903 dn. 12 września, że dziś jest chwila, w której zatracono tradycyę prawdziwego malarstwa religijnego". Jeśli tak, więc mając talent boży w ręku, obowiązkiem jego, Stanisława, będzie odrodzić sztukę religijną; „taką jest wola Boża" — czyli istotna równowaga rzeczy samej w odniesieniu do zdolności, tkwiących w naturze jego.

Ks. Stanisław to duch ze wszechmiar apostolski, rzec można, generalizując jego powiedzenie, że przewodnią myślą jego życia było „spłacenie jakiegoś długu". Nic też dziwnego, że myśli swe i czyny, a serce gorące ujął w jedno i rzucił na szalę ogólnych interesów sztuki.

Sztuka ta była potężną dźwignią czynów jego; życie też jego o niej pojęcie mu dało. „Celem sztuki", zadecyduje, „jest odsłanianie życia wewnętrznego artysty". Charakterystyką zaś życia jest twórczość. Sztuka również jest twórczością i nią się charakteryzuje. Wykrywanie więc twórczych drgnień życia w sposób twórczy, jest zadaniem sztuki, a dzieje się to na osnowie subtelnych, artystycznych wzruszeń, w chwili przebiegania artysty przez las wrażeń życiowych.

Ks. Stanisław, związany sztuką ściśle z życiem indywidualnem artysty i przechyliwszy się na stronę sztuki religijnej, twórczą jej treść chciał zobaczyć w życiu swem. Został teologiem,

aby naukowo zgłębić prawdy religijne, stał się mistykiem, aby obrawszy sobie pewne tajemnice wiary, zgodnie z prawdą uderzeń malarskiego serca swego, wycisnąć je na wyobraźni ludzi.

„Malarstwo religijne budzi się tam, powie, gdzie prawdziwa pobożność i rozważanie tajemnic świętych pobudza wyobraźnię malarską do szukania zewnętrznego wyrazu tego, co dusza wewnętrznie odczuwa.“ Zewnętrznym zaś wyrazem tego, co dusza wewnętrznie odczuwa, jest dzieło sztuki, a stwarza się go kunsztem artystycznym.

Kiedy pan Jerzy hr. Moszyński zauważył, że gospodarstwo synowi nie w smak, mimo że akademię rolniczą skończył w r. 1896 w Krakowie, a widząc jego nieprzepartą chęć malarską, zapragnął, aby Stanisław wreszcie wziął się do studyów malarskich na seryo. Wstępuje więc w r. 1899 do Akademii Sztuk pięknych w Krakowie, mając zamiar prowadzenia dalszych studyów w Paryżu.

Aliści, po trzech lekcyach wyznaje ojcu, że nie widzi tam żadnych dla siebie korzyści.

Samo rzemiosło artystyczne już mu nie wystarczało. Zrozumiemy to dosadnie, gdy będziemy świadomi, że „manieryzmu“ akademie uczą, aby poprzez formy utarte pchnąć talenty na drogi życia, po których nowe pomysły przechadzają się, oczekując form nowych. Lecz podkreślam, że manieryzmu uczą akademie, a maniera każda chce ująć każde choćby nowe zjawisko życia w stare wyuczone formułki. A to było narazie przeciwne duszy Stanisława. W trzy lata później, mianowicie w r. 11903, pisze: malując, przeprowadzam pewną myśl, tak w natchnieniu jak i środkach, artystyczną. Uderza mię to, że malarstwo dzisiejsze, jak i wczorajsze wśród szczerego zachwytu bada naturę, ciało ludzkie, anatomię, perspektywę, że przedstawia zawiłe symbole umiłowania swego, lecz, że biorąc się nawet do obrazów religijnych, zaniedbuje prawdziwie religijnych i pobożnych natchnień, i mało zastanawia się nad wyrazem twarzy Chrystusa Pana. — Odczuwając te braki, wziął się Stanisław do dzieła, a talentu swego i celowego wysiłku w pracy artystycznej był pewien. We wrześniu bowiem r. 1903 pisze: „Malowałem w życiu wiele dla własnej nauki. Moje próby zbyt śmiałe budziły niesmak w widzach, ale kilka

razy w życiu chciałem mieć powodzenie, i zadawszy sobie pracę subtelnej obserwacyi naturalnych wrażeń, oddałem szczerze to, co widziałem i zawsze spotkałem się z najzupełniejszem powodzeniem."

Rzeczywiście, karykatury pozostałe po nim, jak i obrazki rodzajowe, portreciki, chwytane są lotnie, z tak wielkiem poczuciem natury, że pewien artysta dwornie to ująwszy, powiedział: „A przecież już tam w nos jest postawiona sprawa po malarsku".

Ogólną niesympatyą jednak cieszyły się jego próby malarstwa religijnego. Stanisław pisze we wrześniu 1903 r.: „Niema trudniejszej nad tę gałąź sztuki, mimo to pracuję stale nad nią, chcąc dojść do opanowania tego przedmiotu".

Ujęcie myślowe zagadnień tyczących się malarstwa religijnego skrystalizowało się u ks. Stanisława w rozdziale V p. t.: „Zasady malarstwa religijnego" w jego pracy „Sztuka i wiara", pozostającej w rękopisie z roku 1905.

Przedewszystkiem przeciwstawia malarstwu religijnemu malarstwo naturalne, określając ich wzajemny stosunek. Dla jasności pojęcia poddaje uprzednio myśl, że malarstwo religijne w pojęciu ks. Stanisława jest malarstwem ściśle kościelnem, a malarstwo naturalne malarstwem rodzajowem w najszerszem tego słowa znaczeniu. Więc ostoją malarstwa religijnego jest wiara, malarstwa zaś naturalnego wzruszeniowe dociekanie tajemnic przyrody i tego wszystkiego, ku czemu serce ludzkie sympatyą życia lgnie. Malarza religijnego „bierze" myśl zaczerpnięta z tajemnic wiary, malarza wrażeń przyrodzonych: człowiek i natura. Siła dzieła religijnego tkwi w pomyśle rodzącym się z natchnień religijnych, a dzieła naturalnego w głębi wrażenia, które wyryło się na duszy malarza. Stąd malarstwo religijne zaczyna od natchnień religijnych i dąży do ich uzewnętrznienia przez coraz to głębsze poczucie przyrody, a malarstwo naturalne zaczyna od studyowania natury, i dąży do coraz głębszego i subtelniejszego jej odczucia oraz ujęcia w pomysły. Malarstwo religijne zdobywa coraz to doskonalsze sposoby, że twórczo wierzy, a malarstwo naturalne daje coraz to doskonalsze obrazy twórczej swej wrażliwości.

Szczytem malarstwa naturalnego jest sugestyonowanie myśli przez artystyczne stworzenie wrażenia naturalnego, a szczytem malarstwa religijnego zapomocą sugestyi wrażeń artystycznych stworzenie pełnego obrazu natchnienia religijnego.

Malarz wrażeń przyrodzonych potrąca nieraz o rzeczy bardzo głębokie i podniosłe, graniczące z nastrojem religijnym... Ile jednak razy mocą twórczego natchnienia wywoławszy wrażenie wysokiego nastroju, ulegnie pokusie zamieniania swego dzieła na obraz religijny — zawsze obniża jego wartość. Pięknym i podniosłym jest obraz, przedstawiający czyste dziewczę modlące się. Ale gdy malarz gwiaździstą aureolę nad jej czołem zawiesi, każąc grać rolę Bogarodzicy, obraz, tracąc na szczerości, tem samem niszczy wszelką myśl religijną. Boć co innego widok niewinnego dziewczęcia, a co innego Niepokalana moc ducha Maryi!

Wszystkie obrazy niby religijne, które pod firmą scen z Ewangelii przemycają życie i obyczaje pań weneckich, są przykre swoją dwulicowością i hipokryzyą. Tej dwulicowości niema tam, gdzie jedynem pragnieniem wiarą wywołać wizyę tajemnic religijnych i gdzie krok każdy rozwoju kunsztu artystycznego zdąża do tegoż celu...

Sztuka religijna, prawdziwie natchniona, jest najwyższym, ale nie jedynym wyrazem prawdziwej sztuki. Nie wyklucza ona sztuki naturalnej ani jej zastępuje, ale obie uzupełniają się wzajemnie. Dla zdrowia sztuki koniecznem jest, żeby sztuka religijna stała wysoko, i żeby opierała się o zasady prawdziwe. W razie jej upadku, lukę powstałą usiłuje wypełnić sztuka naturalna nagłona potrzebami życiowemi, rozszerzając nienaturalnie swój zakres, i naruszając swe zdrowe zasady. Przy zamęcie pojęć wszyscy malarze wszystkich kierunków pracują w ciemności, a wszystkie filozofie i poglądy na sztukę rozbijają się o zagadkę malarstwa religijnego, któreby niejeden już chciał wyrzucić i ślad po niem zatrzeć, gdyby nie opierały sę temu dawne wieki i Fra Angelico.

Prawda, „nie każdy malarz może być malarzem religijnym, ale każdy dla równowagi swej twórczości musi rozumieć zagadnienia malarstwa religijnego".

Powodem upadku malarstwa religijnego i zamętu pojęć

artystycznych było to, według ks. Stanisława, że duchowieństwo i zakony, które wydały Fra Angelica, wypuściły z rąk malarstwo religijne i powierzyły je Rafaelom, Michałom Aniołom, Rubensom, jakoteż ludziom, którzy będąc w gruncie rzeczy malarzami przyrody i czując całą nieszczerość swojej dwulicowej misyi, woleli być szczerymi i pozbyć się martwego depozytu. Dziś niejeden malarz wierzący nawet, namalowawszy obraz naturalistyczny, przylepi do niego jakieś wyznanie wiary, albo zajmuje się „stylem" sztuk religijnych, jak się zajmują stylem egipskim lub japońskim. Godzimy się zupełnie na myśli powyższe, podkreślając, że najdobitniej to widać w architekturze kościelnej, gdzie pseudo-romanizm i pseudo-gotycyzm jeszcze i dzisiaj zachwaszcza nasze parafie swoją „bezduszną stylowością", nieprzystosowaną do charakteru ziem naszych ani też do nowożytnych potrzeb duchowieństwa i wiernych.

Jako środek przeciw temu proponuje ks. Stanisław, aby duchowieństwo i zakony sami opanowali sztukę religijną. Kościół katolicki, który dziś ma wiele sił na polu nauk ścisłych, mało ma sił na polu sztuki. Nie obudził się jeszcze wśród duchowieństwa prąd osobistego popierania sztuki, a ogół ludzi uważa nieraz dążenia artystyczne za niezgodne z powołaniem kapłańskiem i to nie jedną siłę kieruje na światowe ścieżki. Jakkolwiek nie każdy kierunek sztuki i umiejętności nadaje się dla duchownego, gdyż lepiej temu odpowiada stan świecki, to jednak są pewne gałęzie sztuki, a do tych należy m a l a r s t w o r e l i g i j n e, i m u z y k a r e l i g i j n a i p o ę z y a r e l i g i j n a, i a r c h i t e k t u r a k o ś c i e l n a, i d r o b n y p r z e m y s ł a r t y s t y c z n y k o ś c i e l n y, które jedynie wtedy się zdrowo rozwijają, gdy pozostają w rękach duchowieństwa i zakonów lub przynajmniej, naszem zdaniem, gdy o ich wartości religijno-artystycznej będą te sfery głęboko uświadomione.

Myśl swą uprzednią opracował ks. Stanisław szczegółowiej w kilku uwagach o „Zakonnej szkole malarskiej". Nie musiałby to być koniecznie zakon ściśle malarski, lecz „malarstwo religijne stałoby się celem ubocznym jakiegoś zakonu, a przynajmniej jakiejś zorganizowanej społeczności duchownych". — Zgo-

dnie ze swą wybitną indywidualnością członków idei swych przestrzega, że „poziom artystyczny zakonu nie zależy od jego poziomu moralnego, ale od tego, czy do zakonu wstępują wybitni artyści czy nie. Gdy w zakonie zabraknie prawdziwych artystów, sztuka w nim zaraz zamiera. Zaród śmierci nosi w sobie ta zakonna szkoła malarska, która w doświadczeniu dawnych artystów widzi nie punkt zaczepny dla twórczości nowego pokolenia, ale klatkę dla indywidualności.

Przeciwne to naturze sztuki będącej owocem swobodnego doświadczenia, a nie konsekwentnych kanonów, które zresztą powstały niegdyś nie inną drogą, lecz przez swobodne, żywe doświadczenie. Zakon powinien pilnować, aby czystość zasad i duch pobożności przechowywał się nieskalany w tradycyi artystycznej, lecz rozwój artystyczny szkoły musi ulegać nieustannej ewolucyi, jeżeli ma uniknąć martwoty.

„Pierwszą i najbardziej istotną działalnością artystyczną zakonu jest to, że pojmując malarstwo jako modlitwę, daje niektórym duszom sposobność do chwalenia Boga w sposób im właściwy, a sobie przysparza pomników pobożności, gromadząc i szanując te prace.“

Powyższe zdanie należałoby złotemi zgłoski wytłoczyć i przed oczy wszystkich posiadaczy i opiekunów dzieł sztuki postawić, aby strzegąc ich, strzegli nienaruszenie, jako znaków widzialnych niewidzialnej twórczej potęgi, złożonej w sercu człowieka przez Dawcę Najwyższego!

Oprócz działalności wewnętrznej, zakon może rozwinąć działalność zewnętrzną, jeśli zakonni malarze mają dość wiedzy zawodowej, by podejmować się zamówień na obrazy kościelne i na malowanie wnętrza kościołów...

Ponieważ poziom artystyczny zakonu zależy od temperamentów utalentowanych, przeto: „zakon musi przechodzić chwile mniej lub więcej pomyślne. Sztuka przechodzi stany podobne jak nauka zakonna. Rozwija się szeregiem usiłowań, toruje drogę dla wielkich geniuszów miary św. Tomasza z Akwinu, czasami schodząc i na poziom skromniejszy“.

Że organizacyjne wysiłki Stanisława dążyły do stworzenia

cechu artystyczno-religijnego w celu podniesienia poziomu sztuki religijnej, niema dwóch zdań. Cześć mu za to, że usiłował sztukę religijną wepchnąć na pole pracy uciążliwej, a pracę ułatwić chciał szeregiem usiłowań „zrzeszonych" ze sobą artystów.

Zatrzymałem się dłużej na postawieniu pojęcia sztuki naturalnej, a sztuki religijnej i z wiążącą się z nią szkołą zakonną malarstwa religijnego, aby tem jaśniej zarysował się przed nami temperament Stanisława, usuwający wszystkie trudności, spotykane na drodze swego artystycznego temperamentu. Już w roku 1903 stawia zasadę, że dzieło artysty nigdy nie jest oddzielone od jego zasad, i że ucząc się techniki, adept sztuki musi przyjąć wraz z wiedzą techniczną pojęcia i zasady artystyczne nauczyciela, czyli cel i pole pracy, przez niego naszeptane. Jeśli tak, więc gdzie on, Stanisław znajdzie szkołę, w którejby zaniedbane natchnienia pobożne wiodły sztukę religijną poprzez głębokie uczucia przyrody? Kto w nim ustali tę dźwignię malarstwa religijnego — owe natchnienia pobożne? Odpowiedź jedyna: On sam, wsparty głosem powołania Bożego!

„Należy przyjąć za zasadę, powie, że jeśli mam talent, to bez cudzej pomocy potrafię zrobić rzeczywiście pierwsze kroki, na których ktoś następny oprze się. Jest więc rzeczą możliwą rozpocząć n o w ą s z k o ł ę m a l a r s k ą, opartą na doskonaleniu własnej duszy, a potem dopiero sztuki."

Jak głęboko wiąże się ta zasada z życiem religijnem uczniów szkoły malarskiej, którąby uznawała słuszność dążeń ks. Stanisława, świadczy uwaga, że technika tak wyrobiona, choć z czasem będzie pochłaniała całą pracę malarzy, nie będzie jednak niepokoiła sumień, gdyż wyjdzie z pragnienia służby Bożej i jako taka będzie pojmowana."

Jakie tedy są c z y n n i k i malarstwa religijnego w pojęciu ks. Stanisława, na których ma się oprzeć nowa szkoła malarska? Malowanie religijne rozważa pewną tajemnicę wary. Myśl wyczerpująca ową tajemnicę, przebywając w umyśle malarza, pobudza jego wyobraźnię do wytworzenia symbolu tej tajemnicy. By ów symbol był zrozumiały, musi oprzeć się o tradycyę malarstwa religijnego, a ta przez artystyczną obserwacyę natury i subtelne

odczucie duszy ludzkiej wiąże się ściśle z artystycznem uzdolnieniem malarza, czyniąc malarstwo religijne interesującem w znaczeniu ogólno-ludzkiem.

W obrazie religijnym schodzi się przeto myśl ujmująca tajemnicę wiary, symbol jej oparty o tradycyę i natura żywa z człowiekiem na czele.

Ten sposób postawienia kwestyi sięga daleko głębiej, niż traktowanie malarstwa religijnego w duchu gawędziarstwa ilustracyjnego. Tradycya zaś, ten jedyny czynnik stały, który tu występuje, jest sprowadzony wedle tego, com uprzednio zauważył, do zaczepnego punktu dla twórczości nowego pokolenia.

Na takie ujęcie rzeczy, sądzę, że zgodzi się bez wahania duchowieństwo jak i świat artystyczny. Idealne to jest założenie, ale tylko na takim gruncie znajdujemy wspólną placówkę dążeń całej ludzkości.

Należy sobie uprzytomnić, że ks. Stanisław naturę miał jak dziecko — do wszystkiego, czego się tknął — doświadczającą. Toteż powyższe uwagi o sztuce kościelnej, jak i wszystkie jego zapatrywania wyrosły na glebie szczerze odczutej rzeczywistości, stworzonej sercem jego i ręką.

Pod koniec października roku 1903 na drugim roku teologii po rekolekcyach wstępnych w seminaryum otrzymuje Stanisław od ówczesnego rektora, ks. dra Komara pozwolenie oddawania się malarstwu w godzinach, w których zwykł był spisywać swe „Rozważania i sprawozdania z życia duchownego".*) Zmienia więc pióro na pędzel i pod koniec roku szkolnego 1904 ofiaruje seminaryum 15-cie tajemnic Różańca św., wymalowanych na drewnie olejno. 30-go lipca będąc w Łoniowie na wakacyach, czyni uwagę, że „tego roku praca moja osiągnęła już pewne namacalne owoce, i sąd się mój bardzo ustalił. Ci, którzy mię sądzili, stanęli po mojej stronie, i wyrazili mi uznanie. Zrozumieli mą myśl i kierunek."

W malowaniu „Tajemnic Różańca" znajdował Stanisław nieustanną podnietę utrzymywania siebie na wyżynach ży-

*) Ks. Stan. Moszyński. Rozważania i sprawozdania z życia duchownego. Kraków 1909, wyd. ks. dr. Komar.

cia tak duchowego, jak i artystycznego. Praca ta dawała mu ciągłą możność doświadczalnego zastanawiania się nad istotą malarstwa religijnego z jednoczesnem pogłębieniem modlitwy i myśli. — 15 stycznia 1905 r. Stanisław powiada: „Od dłuższego czasu nic nie maluję prócz tajemnic Różańca św. Pracuję z wysiłkiem, robię próby, przełamuję trudności i odnoszę zwycięstwa. W 4 miesiące później czyni uwagę, że „myśl w malowaniu odnalazłem jedynie tylko w tajemnicach bolesnych Różańca św., tajemnic radosnych i chwalebnych jeszcze nie rozumiałem." A trochę później, t. j. 9 stycznia 1906 zapisze w Sprawozdaniach: „po wielu trudach doszedłem do swego własnego pojęcia tajemnic Różańca św." Innyby na jego miejscu, syt wewnętrznego zadowolenia, zdrzemnął się na chwilę, zacząwszy wciąż w kółko powtarzać zdobyte doświadczenia — szkoły artystów mogłyby dużo o tej duchowej śpiączce powiedzieć — lecz Stanisław zgodnie ze swą wynalazczą naturą natychmiast bieżąc dalej, powiada: „Teraz już ciągle się powtarzam i coraz mniej czuję zapału, a coraz więcej oziębłości. Aby to przełamać, muszę postawić sobie nowy cel artystyczny..." „Moją myślą artystyczną, powie 20 stycznia 1906 r., będzie szukanie Jezusa we wszystkiem. Gdy malowałem dawniej karykatury, nie myślałem o tym celu. Gdy ćwiczyłem się w oddawaniu wrażeń i układaniu kompozycyi, cel mój był nieco szlachetniejszy, ale niewyraźny. Gdy podjąłem ćwiczenia w odtwarzaniu tajemnic Różańca św., cel mój był znaleziony, jasny i taki, jakiego pragnąłem."

W pismach swych ks. Stanisław niejednokrotnie przeprowadza analizę i zestawia siebie z Fra Angelico da Fiesole (1387—1455), przedstawiając nawet siebie a la Fra Beato adorującego Najśw. Sakrament z paletą i różańcem w ręku. Że Fra Angelico za serce go brał, nic dziwnego. Dominikanin ten, to żarliwość jedyna na polu swej twórczości, pełen wdzięku Sieneńczyków chciał wśród powodzi realizmu florenckiego ocalić duszę religijną. „W sobie zaś samym — jak mówi Vasari, całkowicie wolnym był od fałszu i święty w swych czynach." Zacność charakteru, żarliwość religijna i temperament malarski — wszystko składało się na to, że Fra Angelico bliski był sercu ks. Stanisława A jak

Fra Angelico coraz głębiej udzielał się prądem swym w bieg ogólny kultury ówczesnej, zainteresowawszy się rzeźbą Ghibertiego i Donatella oraz malowidłami Masaccia w kaplicy Brancaccich, którzy po głębie natchnień artystycznych do natury sięgnęli, tak też i ks. Stanisław wykształciwszy swój „szlachetny poziom sztuki", pragnął swą myśl sprowadzić między ludzi, pociągając ich „piękną formą", w czem też widział nowy ów cel, pomost do artystycznego powodzenia swych Tajemnic.

Już w r. 1903 we wrześniu zastanawiając się nad ostrą krytyką swych malowideł, mimo odmiennych zdań bardzo poważnych i wytrawnych artystów, przedewszystkiem Jacka Malczewskiego, jedyny sposób zdobycia powodzenia widzi w tem, że gdy będzie pewnym wartości swych dzieł religijnych, całe swe doświadczenie malarskie włoży w oddanie wrażenia czysto naturalnego, aby tem dziełem publiczność zwyciężyć, a nie zrazić. Lecz jego zwarta natura nie dopuszczała do rozdwojenia jego talentu artystycznego, toteż gdy w marcu r. 1905 ustala regułę postępowania, robi krok naprzód w taktyce zdążania do powodzenia.

„W malowaniu przechodzę ten zwrot, że gdy dawniej chodziło mi o piękną i pobożną myśl, i do niej nałamywałem środki techniczne, bardzo nieudolne, teraz chodzi mi o jak największą prostotę, pewność i konsekwencyę w technice, choćby to było kosztem myśli. Ta w ten sposób przyduszona ma samorodnie i nieprzywidzianie sama ma zdobywać swe prawa. Idąc po drodze rozwojowej dalej, szukał swej właściwej techniki, aż wreszcie w lutym r. 1906 zaznaczywszy z naciskiem, że warunkiem techniki jest, aby służyła pierwszej myśli, nie wykrzywiając jej do „potrzeb" pracowni i modelu, zawyrokuje, że ideałem techniki jest zupełna wierność przyrodzie, zupełna prawda rysunku, kolorytu, oświetlenia i t. d. Następuje potem refleksya i postanowienie, że „do tej pory ręka moja niezależnie od wrażeń otoczenia układała na papierze linie i plany, z których wyobraźnia wyprowadzała różne kształty. Teraz chcę patrzeć na przyrodę i według niej prowadzić rękę". „Chcę zwalczać dla Jezusa Chrystusa wszelkie trudności w badaniu przyrody."

Bieg jednak dwóch wielkich prądów sztuki, któreśmy zróż-

niczkowali uprzednio, według ks. Stanisława musi pozostać w swej mocy, stykając się wzajemnie od strony sztuki naturalnej — głębokością pomysłu, a od strony sztuki religijnej subtelnością odczucia przyrody.

Stanisław bowiem ma swoją drogę, która go prowadzi do zwycięstwa i nie ma zamiaru jej zamieniać na cudzą. Jest on zrównoważony artystycznie, tak pod względem treści, jak pod względem charakteru formy. „Cechą mojego kierunku malarskiego, powie, jest myśl oddana Jezusowi Chrystusowi, wyrażona środkami możliwie najprostszymi. Ja chcę być malarzem myśli najkrócej wyrażonej. Moją dziedziną jest s z k i c. Należy zauważyć, że był to wniosek syntezujący praktyczne jego wysiłki, zgodnie z pewnym poglądem, który był Stanisław wyrobił sobie już uprzednio. Mianowicie temu trzy lata we wrześniu 1903 r. zastanawiając się nad „wykończeniem dzieł", doszedł do przekonania, że każda potężna twórczość objawia się przez to, że cała jej siła tkwi w pomyśle, który usiłuje wyrazić — przejrzyście i jak najgłębiej — środkami technicznymi. Są malarze, którzy całą myśl wyrażają w pierwszym szkicu... Jest sprawą sumienności, by nie ustawać, zanim całej się myśli nie wypowiedziało; jest rzeczą pokory przestać, gdy się ją wypowiedziało. Podwaliną wielkiego obrazu jest szkic... który jako taki ma wartość szczerych, szybko chwytanych myśli, szczegółów, jakoteż biegłości w środkach technicznych, że nie lęka się, by go wśród pracy zapał twórczości opuścił. Wykończenie takiego obrazu polegałoby nie na głaskaniu i szlifowaniu malowidła, ale na wielkim napięciu doświadczenia myśli i pracy. Takie dzieło miałoby śmiałość szkicu obok rozkwitłego bogactwa kunsztu artystycznego. Ta końcowa część myśli, nie zrealizowana jeszcze w całej pełni w sztuce Stanisława, pozwoli nam wejrzeć w artystyczne perspektywy stwarzane przez niego wśród chaosu zabiegów życiowych i urzeczywistniane potężną wolą jego.

Usystematyzowane drogi techniczne, któremi chodził ks. Stanisław, dążąc ku dobrze zorganizowanej wiedzy artystycznej zostały ujęte przez niego w 9-ciu ćwiczeniach, które poprzedzają uwagi „O szkole malarskiej", jakoteż uwagi „O zakonnej szkole malarskiej", o której wspominałem poprzednio. Szczegółowe ich

omówienia zostawiam sobie „ad meliora tempora", zaświadczając, że „Ćwiczenia" myślowym są kwiatem zabiegów kompozycyjnej ręki jego. Prowadzą one systematycznie do obrazu będącego skończoną całością w każdem stadyum jego rozwoju. A to jest postulatem żądań serca naszego, które zawsze, w każdej chwili chce mieć nie dwuznaczną całość uczucia przed oczami. Po nagłym zgonie ks. Stanisława znaleziono blok, a na białej kartce bloku odznaczony pędzlem margines, a pole w ten sposób otrzymane powleczone jednolitą barwą granatową. I gdyby śmierć nie skosiła ostrą kosą wątłego źdźbła płuc ks. Stanisława, on następnie zewnętrzną formę myśli swej wydobywałby konturem i harmonijnym doborem barw. — Cudowna całość charakteru eksperymentalnego tryumfowała zawsze tak w życiu jego, jak i sztuce, która bezwątpienia wyrosła na glebie „szczerze odczutej rzeczywistości życia", i „warunków właściwych każdemu stanowi", jak o tem w r. 1905 pisał do Sójek do swej matki, snując uzdrawiające projekta „o dziełach sztuki samorodnej", którą wydawać będą „stany i rzemiosła".

W ciągu dalszym naszych rozważań chcę chwilkę szczegółowej uwagi poświęcić formie sztuki religijnej ks. Stanisława. Dziś nie ulega żadnej wątpliwości, że jeżeli sztuka ma być twórczością, to musi przemawiać jakimś kunsztem czyli techniką, czyli formą, która ma być nietylko p i ę k n ą, t. j. poprawną, lecz i p r z e k o n y w a j ą c ą, a więc zniewalającą — musi w duszy naszej wywołać niezawodne zjawisko zwane estetycznem wrażeniem, przez które dopiero dochodzi się do wchłonięcia w siebie tego wszystkiego, co w najgłębszych posadach sztuki mieści się. Przytoczyliśmy już uprzednio zdanie ks. Stanisława, charakteryzujące ściśle jego dziedzinę artystyczną. „Kierunkiem" jego s z k i c u, wyrażający m y ś l r e l i g i j n ą. Dodać obecnie należy, że zrodziło się to na indywidualnej glebie zdecydowanych w i z y i m a l a r s k i c h. Stanisław, prowadzony samorodnym instynktem artystycznym, stanął w tak harmonijnem oddaleniu do głębi widzianych idei, że je ujmował w świat barw intenzywnych, nadając im formy silnie zdecydowane, zdążające konsekwentnie do najbardziej monumentalnej techniki — mozajkowej i witrażowej. Techniki te bowiem są technikami dekoracyjnemi, a mając za

cel opanowanie płaszczyzn i przezwyciężenie odległości stwarzanych przez architekturę, muszą posługiwać się zarysami grubszymi, aby nic nie stracić na swej artystycznej sile przekonywającej. Rozejrzawszy się w dorobku jego twórczym, musimy uznać trafność wyboru kunsztu Stanisława z podkreśleniem tego osobliwego taktu, omijającego wszelkie zawały, stojące na drodze jego karyery artystycznej; „wciąż maluję, pisze do matki w maju 1905 roku, idzie szybko, jak najbardziej szkicowo, to uwalnia mię od walki ze szczegółami, a daje swobodę do wyrażania samej myśli". Gdyby Stanisław zechciał myśl swą opracować szczegółowiej, musiałby oprzeć się o pracowniany model, a to, jak wiemy, nie leżało w zakresie jego artystyczno-religijnych indywidualnych pomysłów. Charakterystycznem u Stanisława było, że wartość artystyczna prac jego wzrastała z dnia na dzień, w miarę wciąż rozwijającego się malarskiego opanowywania natchnień jego religijnych. Zależnie od tego, dzieła jego nie są równej wartości pod względem „poprawności" formy. Od zarania zarysowany dekoracyjny talent Stanisława wciąż mężniał, zdążając świadomie do techniki uwzględniającej tylko grę płaszczyzn barwnych, co w terminologii Stanisława niejednokrotnie było określane wyrazem „szkic". Stąd, jeśli w początkach kompozycya jego chwieje się z braku harmonii wewnętrznej między pomysłem a formą zewnętrzną, to później równoważy się artystycznie, ustala się, nabiera cech wizyjnych — jakiejś przekonywającej nagłości i nieosobowości, zapowiadając coraz świetniejszy rozwój talentu Stanisława.

Natomiast, gdzie chodziło o istotę życia wewnętrznego, tam o szczerości i głębi duchowej pomysłu nietylko wyraz twarzy przemawiał, lecz i cała kompozycya z takiem subtelnem poczuciem bywała poczynana, że wymownymi stają się i ruch i barwa i kształt i ich harmonijne przeprowadzenie. Jak zaś sobie Stanisław to wyobrażał, poznajemy z jego uwag, które poczynił z okazyi „Tajemnic Różańca św.", które były dla niego symbolem prawd życiowych i treścią rozmyślań jego artystycznych. „T a j e m n i c e r a d o s n e, pisze w 1905 r., zajmują się postacią Najśw. Panny, odsłaniają jej wdzięk nieporównany i dają duszy przed-

miot najwyższej miłości i podziwu. Tajemnice bolesne odnoszą się do postaci cierpiącego Jezusa; tu już nie zachwyt, podziw i uwielbienie, ale spojrzenie w głąb własnej grzesznej duszy, w głąb własnej nędzy i nicości, przygotowanie się na to, co każdego czeka. Tryumfem Jezusa są Tajemnice chwalebne Różańca św., są to fakty bijące w oczy, wstrząsające posadami świata. Przedtem postać Jezusa pochłaniała uwagę ludzką i budziła zaufanie, teraz postać usuwa się, przemawiać zaczyna tryumf widomy, siła faktów. Występuje w grę „nastrój" artystyczny. Gdy maluję obraz, którego główna siła polega na wyrazie twarzy, staram się o jak największą prostotę szczegółów, a całą pracę i duszę wlewam w wyraz twarzy. Jeśli zaś maluję n. p. Zmartwychwstanie, którego urok polega na onem potężnem wstrząśnięciu, objawiającem się naokoło postaci Chrystusa, nie mogę lekceważyć ani kolorytu poranka, ani pejzażu wiosennego, ani blasku uwielbionego ciała Chrystusowego, ani bezwładności straży. Nastrój nie polega tu na samej postaci Chrystusa, lecz obejmuje każdy kamyk leżący na ziemi, szczegół każdy stroju i ruchu żołnierzy, każda gałązka, i każdy odblask barw. Nad każdym z tych szczegółów należy zastanowić się, bo całość malowidła zginie, jeśli je „nieznacząco" potraktuje się. Mimo nastrojowej impresyi całości żąda Stanisław od siebie, jako malarza religijnego, aby wśród szczegółów budowy samego malowidła zjawiała się „twarz myśląca", przestaje on z nią jak przyjaciel z przyjacielem, i nie spocznie, aż myśl malująca się w rysach nie przemówi do niego głosem jego pragnień. Artysta więc w pogoni za „formą piękną dla niej samej" nie zbacza ze swej drogi „natchnień religijnych". Prawdziwym celem sztuki, powiedział sobie w r. 1903, nie jest błyskotliwe chwalenie Boga barwą skrzydeł motylich, lecz przedstawienie własnej duszy ubogaconej życiem.

Co się zaś tyczy jednak charakterystyki życia psychicznego Stanisława, to ma się wrażenie, jakoby nad jego duszą nawisał jakiś ciężar cierpienia, który zaciemniał pogodne horyzonty łgodnego usposobienia jego. — Ksiądz prałat Szelążek, regens seminaryum w Płocku, widząc prace jego malarskie, orzekł, że heroiczny ten człowiek, uległszy widać zbyt jednostronnemu kie-

runkowi duchownemu, nosił w sercu swem wieczny żal do ziemi. Sąd zewszechmiar słuszny! W „Rozważaniach i sprawozdaniach“ z życia duchowego otwiera się przed nami dusza Stanisława z dominującym, oprócz głodu sztuki, rysem c i e r p i e n i a, czyli przykrości przypadkowej lub dobrowolnie stwarzanej, a pojmowanej w duchu umartwienia i składanej na szali — generalizując powiedzenie Stanisława — „spłacania jakiegoś długu“. Bezwątpienia, że gorączka jego duszy wzrośnie jeszcze silniej od czerwca 1905, gdy z powodu przeziębienia zapadnie na piersiową chorobę, która go, jak wiemy, w dość szybkim czasie zupełnie strawiła.

Stosownie do tego o pracach ks. Stanisława bez przesady powiedzieć można, że są „G o r z k i m i Ż a l a m i“ życia chrześcijanina na ziemi. Prawda, że całość nauki Chrystusowej one nie objęły; Z i e l o n e Ś w i ą t k i duszy chrześcijańskiej odłogiem i dziś leżą, czekając serca i ręki czującej do zasiewu artystycznego, lecz co było tragicznego w losie umęczonego człowieka, znalazło w Stanisławie twórczego wyraziciela.

Zamykając krąg ogólnych naszych spostrzeżeń, chcę jeszcze dla miłości prawdy podkreślić, że najwyższym celem zabiegów życia Stanisława była „zacność“; „chcę, powiadał, by mnie bardziej znano z zacności życia niż z twórczości talentu“. Artystyczne więc cele w jego apostolskim ręku miały być ś r o d k a m i, „formą piękną“, zniewalającą ludzi do takich samych doznań religijnych, jakiemi przepełnioną była dusza jego.

Przesunął się przed nami w tych kilku niekompletnych kartach obraz księdza Stanisława Moszyńskiego, przepojonego niezachwianą wiarą, podejmującego w jej imię potężnego dzieła uzdrowienia „głębokością natchnień religijnych“ wiary w sztuce, a „subtelnością odczucia natury“ artyzmu w wierze.

Stanisław przeszedł do historyi. Oby więc ten twórczy prąd, który go niósł do brzegu „równowagi“ twórczości artystycznej, był zasiewem nowych wysiłków, i nowych myśli, zrodzonych wśród tych, którzy — parafrazuję słowa artysty — stanąwszy na żyznej niwie dorobku Stanisława, uczują się porwani tem, co zdziałał Pan Jezus przez niego; ci będą dalej walczyli o myśl jego.

Ks. Piotr Śledziewski.

O wyższe kursa religii dla inteligencyi świeckiej.

— Dlaczego dostęp na wykłady wydziału teologicznego zamknięty jest dla młodzieży uniwersyteckiej świeckiej?

Takie pytanie zadawano mi parokrotnie ze strony właśnie młodzieży akademickiej, a opatrywano je następującą uwagą:

— Wszak inteligencyi naszej, nie wyjmując kobiet, potrzeba pogłębienia swych wierzeń, poznania niebezpieczeństw, jakie grożą religii ze strony rozmaitych wrogich prądów, uzbrojenia się przeciw skierowywanym w stronę wiary objawionej i etyki religijnej, rzekomo w imię nauki, napaściom! Czyż w dziedzinie religii niema już nic do nauczenia się dla nas, świeckich, ponad to, cośmy wynieśli z nauki religii w gimnazyach?

Na pytanie pierwsze łatwo mi było dać odpowiedź. Studyum teologiczne na naszych uniwersytetach i w liceach biskupich ma cel ściśle określony: dać pewne quantum wiedzy teologicznej w formie, dostosowanej ściśle do potrzeb pasterskiego urzędu. Jest to zatem studyum ściśle fachowe. Co robiliby — nie mówiąc już o kobietach, zasadniczo od kapłaństwa wykluczonych — studenci świeccy na wykładach naprzykład teologii pasterskiej, homiletyki, drobiazgowej liturgiki, a nawet teologii moralnej w tej postaci, w jakiej się ją wykłada, w postaci niezbędnej dla przyszłych spowiedników kazuistyki? Pożyteczniejszymi dla szerszych kół byłyby wykłady apologetyki, dogmatyki i historyi kościelnej, atoli i te przedmioty wykłada się na studyum teologicznem zbyt

obszernie i zbyt drobiazgowo w porównaniu z tem, co inteligencyi świeckiej istotnie jest potrzebnem. Dodajmy, że językiem wykładowym jest łacina, okoliczność również utrudniająca korzystanie z wykładów szerszym kołom.

Tak tłómacząc fakt zamknięcia przed młodzieżą świecką wydziału teologicznego, nie można nie uznać jednocześnie słuszności uwag, jakiemi opatrywano pytanię. I cieszyć się chyba należy z tego, że potrzebę pogłębienia wiadomości religijnych odczuwa właśnie młodzież akademicka, przynajmniej wiele lepszych z pomiędzy niej jednostek.

Nie trudno stwierdzić, że tę samą potrzebę odczuwają również — i to powszechniej niż wśród młodzieży — ojcowie, a zwłaszcza matki z naszych katolickich rodzin. I tu głównie gra rolę wzgląd na dorosłych synów i córki, których katolickie przekonania chciałoby się ubezpieczyć od rozbicia. My wiemy, na ile szkopułów wystawione są wierzenia młodego człowieka, czy dziewczyny inteligentnej, kiedy po ukończeniu szkoły średniej rozstanie się z katechizmem, a wejdzie w wir życia, zwłaszcza jeśli poświęcimy się dalszym studyom, wejdzie w kontakt z przeróżnymi prądami, mniej lub więcej wrogimi religii i etyce religijnej. Nie sądźmy zbyt surowo tych, których wiara rozbija się o te szkopuły. Prawda, że bardzo często w owych „kryzysach wiary“ dominującą rolę odgrywają moralne zboczenia, ale i to nie ulega wątpliwości, że za mało się dostarcza tej chwiejnej młodzieży pomocy do wybrnięcia z trudności, jakie się jej przeciwko wierze nastręczają.

Czyśmy dostatecznie na wszelką ewentualność zaopatrzyli naszą młodzież przez gimnazyalny kurs religii? Ależ i szczupłe ramy, jakie nauce religii w planie szkół średnich zakreślono, i sam wiek uczniów i uczenic, i stopień ich umysłowego rozwoju nie pozwalają w nauczaniu religii przekroczyć miary prawie elementarnych wiadomości. Przytem system ich podawania, zastosowany do wieku i umysłu dziecka, polega przeważnie na autorytatywnem wbijaniu w pamięć ucznia prawd religijnych, bez głębszego ich uzasadnienia, a tembardziej bez uwzględniania przeróżnych zarzutów, jakie bywają wytaczane przeciw religii i objawieniu. Czy

taki zasób wiadomości religijnych i w taki sposób podanych może wystarczyć umysłowi inteligentnemu, zwłaszcza w środowisku, gdzie wre życie intelektualne, dokąd przez oficyalne wykłady i prywatne odczyty, przez książkę naukową, czasopisma, ba! nawet przez beletrystykę dochodzą echa wytrwałej walki przeciwko wszystkiemu, co nadprzyrodzone, co wybitnie chrześcijańskie, katolickie? Nie potrzeba nawet, by w tej walce przeciw religii występowano z otwartą przyłbicą, — dość jeśli się będzie dawało do zrozumienia, że nauka nie ma żadnych punktów stycznych z religią, dość, jeśli się będzie wpajało kult dla nauki, jakoby ona była ostatnią wyrocznią we wszystkich obchodzących ducha ludzkiego zagadnieniach, a religię będzie się traktowało z pewną łaskawą pobłażliwością; młody, oszołomiony urokiem nauki umysł łatwo dojdzie do przekonania, że religia wypowiedziała swe ostatnie słowo przez usta gimnazyalnego katechety, lecz że nauka przechodzi nad tem ostatniem słowem do porządku dziennego. Wielkim brakiem całego systemu studyów wyższych jest to, że religię — poza ścisłem fachowem kształceniem teologów — wyeliminowano z uniwersytetów, że obok zawodowego kształcenia nie rozwija się dalej w duszy, w harmonii do ogólnego umysłowego rozwoju, ten czynnik, który niezbędnym jest każdemu człowiekowi, jako takiemu, bez względu na jego zawód i stanowisko. Podczas, gdy przy wyższych studyach umysł rozwija się dalej w różnych kierunkach, samodzielną pracą asymiluje podawane sobie wiadomości i idee, prawdy religijne pozostają pamięciową formułką, odosobnioną od reszty ideowej treści, a uczucie religijne, nie podsycane dalej, ulega atrofii. Jeszcze prędzej zanik przekonań religijnych nastąpi w środowisku, w którem religia jest wprost zwalczana jako przesąd i wyśmiewana jako przeżytek.

Czynniki, rozumiejące doniosłość sprawy, powinny pomyśleć o sposobach zapobieżenia zanikowi religii w kołach inteligentnych. Jednym ze sposobów zaradzenia złemu byłoby wprowadzenie na uniwersytetach pewnego minimum studyum religii np. apologetyki, jako obowiązkowego przedmiotu dla słuchaczy wszystkich wydziałów. Dlaczego społeczeństwo, w swojej olbrzymiej większości katolickie, jakiem jest nasze, nie mogłoby się zdo-

być na przywrócenie religii tej czci, jaka się jej słusznie należy, — zwłaszcza jeśli samo będzie decydowało o duchu i kierunku swych szkół?

Jeśli proponowany środek jest niewykonalny, tembardziej nagli potrzeba pomyśleć o innych. Nie wystarczy powiedzieć: niechaj inteligencya uczęszcza na kazania! Trzeba bowiem przyznać, że ambona kościelna nie jest w stanie odpowiedzieć słusznym wymaganiom inteligentnych słuchaczy: kazania muszą się liczyć z przeciętnym poziomem audytoryum, a zatem uwzględniać głównie te warstwy, które większość słuchaczy stanowią, mianowicie lud prosty i niższe warstwy miejskie. W takich okolicznościach niema miejsca na zastosowane do wyższych wymagań wykłady apologetyczne. Stąd nie bardzo trzeba się dziwić, jeżeli inteligencya, nawet wierząca, w przeważnej części omija kościół w tych godzinach, kiedy się kazania prawią. Próbowano tu i owdzie, np. przed paru laty w Krakowie, urządzać specyalne konferencye dla inteligencyi, przedewszystkiem dla młodzieży uniwersyteckiej, rezultat jednak tych prób zawiódł oczekiwania, — przypuszczam, że po części dlatego, iż ambona z natury rzeczy jest katedrą zbyt uroczystą, wykluczającą możliwość dyskusyi, zapytań ze strony słuchaczów, słowem czynnego udziału w pogłębianiu religii i obustronnej komunikacyi myślowej między prelegentem a słuchającymi.

Że sama rodzina nie uzupełni braków religijnego pogłębienia, to się samo przez się rozumie. W jaki sposób ojciec czy matka mają pokierować dalszem studyum religii swych synów czy córek, skoro sami pozbawieni są potrzebnego ku temu wykształcenia? Ze swojemi szczupłemi wiadomościami religijnemi nierzadko czują się upokorzonemi wierzące matki wobec krytyk, zarzutów i wątpliwości przeciw wierze, podnoszonych przez synów i córki. Zwykle nie znajdują wtedy nic odpowiedniejszego do powiedzenia im nad uwagę, że o wierze nie powinno się dysputować, tylko ślepo i pokornie ją przyjmować; uwaga jednak tego rodzaju zdolną jest tylko utrwalić wątpiących w ich przypuszczeniu, że religia nie umie się wylegitymować wobec krytycznego umysłu. Chcąc więc ratować przekonania religijne dorosłej inteligentnej młodzie-

ży przez rodzinę, przesuwamy tylko kwestyę, właściwie jaśniej jeszcze konstatujemy niezbędność jakiegoś wyższego studyum religii, nietylko już dla młodzieży, ale i dla dorosłej inteligencyi.

Nie zaradzi omawianej potrzebie prywatna lektura. Trzeba stwierdzić smutną rzeczywistość, że piśmiennictwo teologiczne i apologetyczne w naszym języku jest tak ubogie, iż np. kapłan, u którego szuka wskazówek w tym względzie ktoś z inteligencyi, musi z upokorzeniem ograniczyć się do wskazywania wciąż tych samych paru książek (np. ks. Morawskiego) albo odsyłać pytającego do dzieł francuskich lub niemieckich. Inny upokarzający fakt, że nawet w większych naszych miastach, jak Warszawa, Lwów, Kraków, nie posiadamy porządnych bibliotek, ani publicznych wypożyczalni, któreby wymaganiom religijnym inteligencyi odpowiadały. W istniejących czytelniach i wypożyczalniach dział religijny nie jest znany. Tu i owdzie, np. w Sodalicyach maryańskich, czynione są usiłowania stworzenia bibliotek wybitnie katolickich, — są to atoli dopiero początki. Zresztą nie spodziewajmy się rozwoju literatury religijnej, dopóki nie będzie na nią popytu, a ten zjawi się dopiero wtedy, kiedy koła inteligentne zdołamy w innej formie zainteresować zagadnieniami religijnemi. Wszelka literatura jest raczej odbiciem życia, aniżeli jego podstawą.

Dochodzę już do głównej mojej myśli. Akcyę w kierunku pogłębienia religii wśród inteligencyi należy rozpocząć od żywego słowa, — będzie to zresztą zgodniejsze z całą ekonomią szerzenia się nauki chrześcijańskiej. Skoro jednak dla tych czy innych powodów ambona okazuje się niewystarczającą, trzeba zaprosić inteligencyę do sali wykładowej. Że odczyty naukowe z zakresu przedmiotów religijnych mogą u nas liczyć na większe powodzenie, niż apologetyczne kazania w kościołach, to stwierdziły poczynione w ostatnich latach próby. Urządzane w Warszawie tak zwane wieczory dyskusyjne, gdzie omawiano bardzo poważne tematy z zakresu apologetyki, etyki, nawet dogmatyki, cieszyły się liczną frekwencyą. Niemałe powodzenie miał urządzony w ostatnim roku przed wojną cykl podobnych odczytów we Lwowie. Najlepszego dowodu zainteresowania się szerszych kół inteligentnych takimi tematami dostarczył Kraków ostatniej zimy. Gdy pod egidą teolo-

gicznego wydziału Uniwersytetu Jagiellońskiego ogłoszono szereg wykładów naukowych z zakresu biblistyki i teologii systematycznej, rezultaty wynikły nadspodziewane. Jak wykłady prof. Korzonkiewicza, Szczepańskiego i Kaczmarczyka z zakresu nauk biblijnych, tak podobnież prelekcye o. Woronieckiego Z. K. z traktatu, zdawałoby się zbyt scholastycznego — o psychologii wiary, zapełniały słuchaczami po brzegi wykładowe aule. Jednocześnie niżej podpisany miał szereg wykładów o Kościele, które również zgromadzały pokaźne grono słuchaczy. 30 odczytów teologicznych — bo tak je nazwać można — wygłoszonych z powodzeniem w ciągu jednej zimy w stosunkowo niewielkiem mieście, jakiem jest Kraków, jest bądź co bądź dowodem, że wśród naszej inteligencyi znajduje się wielu pragnących pogłębić swe wiadomości religijne i że na to nie żałują czasu.

Poczynione pomyślne próby winny stać się początkiem stałej, planowej akcyi w tym kierunku. Doświadczenie służy nam jeszcze jedną bardzo ważną wskazówką. Mianowicie, że odczyty na odosobnione od większej całości tematy mniejszem cieszą się powodzeniem niż systematyczne cykle wykładów o jednym i tym samym przedmiocie. Przyczynę tego łatwo zrozumieć. Odosobniony odczyt naukowy albo zechce dać jakąś zaokrągloną całość, a wtedy obracać się będzie w ogólnikach, albo też, kiedy się zapuści w jakiś szczegółik, będzie suponował u słuchaczy dostateczne ogólne wiadomości z odnośnej dziedziny, co jednak często jest zawodnem. Natomiast cykl wykładów o jednym przedmiocie, tworząc cały traktat, daje prelegentowi możność wprowadzenia nawet profana w dany przedmiot i wyczerpującego omówienia takowego ze wszech stron z większą korzyścią dla słuchaczy.

Ta uwaga podsuwa mi następujący projekt: Czy nie byłoby pożądaną rzeczą powołać do życia s t a ł e wyższe kursa religii dla świeckiej inteligencyi, coś w rodzaju fakultetu teologicznego dla szerszych kół? Takie kursa oczywiście byłyby pożądane przedewszystkiem w środowiskach umysłowego życia, zatem w większych miastach, gdzie istnieją uniwersytety i inne wyższe zakłady naukowe. W takich środowiskach możnaby było liczyć na dostateczną frekwencyę tak z pomiędzy kształcącej się młodzieży, jak

i inteligencyi dorosłej; z drugiej strony łatwoby tam było znaleźć odpowiednie naukowe siły do prowadzenia wykładów.

Takich kursów nie wyobrażam sobie koniecznie jako pewnej ilości stale obsadzonych i uposażonych katedr. Dosyć będzie jeżeli jakaś poważna instytucya naukowa, np. uniwersytet, lub któreś z naukowych towarzystw, lub wreszcie władza duchowna weźmie za stałe swe zadanie urządzać corocznie po kilka szeregów wykładów z dziedziny nauk teologicznych i pokrewnych z niemi, zaprosić odpowiednie do tego siły i umożliwić im dobre przygotowanie się i wywiązanie z włożonego zadania. Nie corocznie więc wszystkie przedmioty musiałyby być wykładane; dosyć, że co parę lat zmieniałyby się kolejno jedne z drugimi.

Ogólny program tego rodzaju kursów musiałby obejmować wszystko, co z zakresu nauk teologicznych może interesować inteligentnego świeckiego człowieka. Na pierwszem miejscu więc przyszłaby apologetyka w szerszym zakresie i znaczeniu tego słowa, a zatem rozbiór rozmaitych teoryi pochodzenia religii, religia i nauki przyrodnicze, początki chrześcijaństwa, a więc autentyczność i historyczna wiarogodność ewangelii, osoba Chrystusa i jego dzieło, Kościół i t. d. Innym przedmiotem byłaby dogmatyka, biorąc ją partyami i wskazując głównie na praktyczne znaczenie nauki objawionej; dodajmy historyę Kościoła, zwłaszcza te jej partye, które wymagają wyświetlenia i obrony wobec zarzutów wrogich; filozofię chrześcijańską; podstawy etyki religijnej w zestawieniu z modnymi systemami etyki niezależnej; ogólniejsze zasady kościelnego prawa, zwłaszcza prawodawstwo małżeńskie, stosunek Kościoła do państwa; pedagogikę katolicką, historyę sztuki religijnej — oto będziemy mieli ogólny zarys tego, o czem traktowaćby należało na proponowanych kursach. Niechaj co rok będą wzięte trzy-cztery przedmioty, czy pewne ich partye, z poświęceniem każdemu po kilkanaście godzin, a można się spodziewać, że publiczności słuchającej nie zbraknie.

Kiedy miarodajne czynniki wezmą tę sprawę do serca i ręki do jej urzeczywistnienia przyłożą, może zmniejszy się potrzeba narzekania na niski poziom religijnego wykształcenia naszej inteligencyi; przytem odda się religii i tę przysługę, że oma-

wiając śmiało i poważnie wszystkie zagadnienia, jakie nauka w stosunku do religii podnosi, zwalimy z siebie zarzut ignorancyi tych zagadnień, czy zamykania na nie oczu, damy sposobność niejednemu wybrnięcia z wątpliwości w wierze i jaśniej okażemy, że Kościół jest nie ostoją ciemności, — ale „filarem i utwierdzeniem prawdy".

Ks. Jan Urban.

Wojenni jeńcy austryaccy w Lublinie w 1914 r.

Pierwszych wojennych jeńców austryackich przywieziono do Lublina na chłopskim wozie dnia 16 sierpnia 1914 roku w niedzielę, około godziny 2 po południu. Byli to kawalerzyści: dwaj Rusini i jeden Czech. Zdawali się być rannymi. Zanim ich gdzieś umieszczono, wożono ich po ulicach miasta, przepełnionych spacerującym ludem. Czyżby robiono to dla poszczycenia się zwycięstwem?

W trzy dni potem, t. j. we środę, dnia 19 sierpnia, około godziny 6 po południu, pod konwojem kilkunastu kozaków, od strony warszawskich rogatek, przybyła większa partya jeńców, składająca się z przedstawicieli różnych narodowości. Poprowadzono ich naprzód do gmachu policyi przy ulicy Zielonej, a następnie do Szkoły Lubelskiej przy ulicy Ewangelickiej. Za jeńcami biegł tłum ludu, przyglądający się im z ciekawością. Gdy ich zatrzymano na dziedzińcu Szkoły, otoczonym żelaznemi sztachetami, przy których umieścili się kozacy, między ludem a jeńcami zaczęła się naprzód wymiana pojedynczych wyrazów, a później życzliwa pogawędka, której kozacy nie przeszkadzali. Wypadkowo przechodził tamtędy p. H. G. Widząc zupełnie poprawny stosunek kozaków do jeńców, wszedł do pobliskiego sklepu z pieczywem, kupił dwie duże bułki i, zbliżywszy się do jednego z kozaków, podał mu je, mówiąc: weź jedną dla siebie, a drugą oddaj

jeńcom. Kozak bułki wziął, lecz ze słowami: ja jestem syty, bo jadłem obiad, ale oni są głodni, oddał obydwie bułki jeńcom.

Zobaczywszy to, p. G. powrócił do sklepu z pieczywem i kupił kilka bułek, które doręczył kozakowi, a ten oddał je jeńcom.

Zebrany lud w jednej chwili rozpierzchł się po sąsiednich sklepikach, wykupił wszystko pieczywo, jakie znalazł i za pośrednictwem kozaków rozdzielił pomiędzy jeńców.

Początkowo więc stosunek konwoju rosyjskiego do jeńców austryackich był poprawny, a nawet kozacy nienawiści do nich nie zdradzali. Później jednak, kiedy wskutek ciągłych niepowodzeń wojsk rosyjskich, w głowach starszyzny wojskowej zrodziły się podejrzenia, że Polacy zdradzają armię rosyjską na korzyść wojsk austryackich, każdy objaw współczucia dla jeńców austryackich był bardzo źle widziany, a czasem nawet karany. Wydano też rozkaz, zabraniający zbliżać się do jeńców i rannych austryackich, ale i ten rozkaz, jak wszelkie wogóle rozkazy, w znacznej części zależał od wykonawców, t. j. od żołnierzy konwojujących. Kozacy zwykle wykonywali go z całą bezwzględnością i stąd np. dnia 29 sierpnia 1914 roku ni z tego, ni z owego zaczęli batożyć tych, którzy zbliżyli się do jeńców, by im dać coś do jedzenia, a dnia 30 t. m., po godzinie 3 po południu, kozak, należący do konwoju partyi jeńców, prowadzonej od strony dworca kolejowego, przy zbiegu ulic Zamojskiej i Królewskiej, tuż przed statuą Matki Boskiej, stojącą na Placu Katedralnym, strzelił w moich oczach do jednego z pięciu rannych jeńców, wiezionych za partyą na wozie i zabił go na miejscu za to, że jeniec ów upomniał się o swoją blaszankę, którą mu kozak zabrał. Podobno sąd wojenny skazał kozaka na rozstrzelanie.

Z drugiej znowu strony piechota rosyjska obchodziła się z jeńcami na ogół nieźle. Np. dnia 3 września wieczorem przypędzono do miasta partyę, liczącą do 4000 jeńców, wziętych do niewoli w okolicy Trawnik. Nie wiem, dlaczego partyę tę zatrzymano na ulicy Królewskiej, tuż przed mojem mieszkaniem. Jakiś jeniec poprosił o wodę, którą mu podał ktoś ze służby katedralnej. Za wodą poszedł chleb, bułki, mleko — słowem każdy niósł,

co miał i mógł. Piechurzy rosyjscy wprawdzie nie pozwalali zbliżać się do jeńców, lecz za to sami odbierali od ofiarodawców pokarmy i skrupulatnie dzielili je między jeńców.

Gdy nastała zima, a jeńców w mieście było bardzo dużo, położenie ich stawało się z dniem każdym nieznośniejsze, nietylko bowiem dokuczało im zimno, ale i głód.

Zwykle jeńców-żołnierzy mieszczono w fabrykach i browarach nieopalanych, np. u Kijoka na Podwalu, u Vettera za Seminaryum i t. d., gdzie spali pokotem zwykle na gołej kamiennej posadzce, gdyż słomy brakowało.

Jeść dawano im raz na dzień i to zwykle na drugi dzień po przybyciu. Nic więc dziwnego, że głód nie raz dokuczał im szalenie. Wreszcie obiady, bez względu na mróz, śnieg i słotę spożywali pod gołem niebem w parku miejskim na Bronowicach, dokąd ich w pewnych godzinach spędzano z całego miasta. Kto z nich nie mógł pójść, ten obiadu nie dostawał.

W takich wypadkach czasem żołnierze rosyjscy okazywali im bardzo wiele serca. Opowiadał mi p. Ł. P., który mieszkał tuż przy jednym z gmachów, służących za chwilowe pomieszczenie dla jeńców, że pewnego dnia o świcie, a było to w listopadzie, czy też w grudniu 1914 roku, ktoś zaczął silnie kołatać do drzwi jego mieszkania. Gdy przerażony zapytał: kto tam, odpowiedziano mu również zapytaniem po rosyjsku:

— Czy tu Polacy mieszkają?

— Polacy, odpowiedział p. P.

— Ja żołnierz rosyjski; należę do konwoju austryackich jeńców wojennych, znajdujących się w sąsiednim gmachu. Tam jest kilku jeńców bardzo biednych, a między nimi trzech waszych, Polaków. Oni tak są zagłodzeni, że chodzić nie mogą. Już dwa dni nie jedli, bo zajść na obiad sił nie mają. My ich swoimi sucharami żywimy, ale jakie to pożywienie dla biedaka, który sucharа ugryźć nie może. Myśmy z kolegami radzili, radzili i uradziliśmy, żeby prosić was Polaków, byście im ciepłej strawy dali i ot mnie z tem do was przysłano. Dajcie im, Panie, ciepłego pożywienia, bo szkoda ich; zamrą, a tam gdzieś w domu może żony i matki na nich czekają, oczy wypłakują. Nie pozwólcie im marnie zginąć!

Rozumie się, kończył p. P., że i żona i córki i służące rzuciły się do przygotowania śniadania dla jeńców. Gdy w parę godzin potem przyszedł po nie ten sam żołnierz, chciałem mu dać za tę usługę pewną kwotę pieniędzy, — nie przyjął, chciałem go nakarmić, — podziękował, tłumacząc się tem, że głodnym nie jest. Ot, powiedział, jutro ja mogę być w niewoli, może i mnie kto od głodowej śmierci zachowa. Wziął tylko kilkanaście papierosów dla siebie i towarzyszy. Ten sam żołnierz przychodził po jedzenie przez kilka dni z rzędu, wreszcie przyprowadził z sobą jeńców, Polaka i Niemca, którzy podziękowali mi za opiekę i oświadczyli, że nazajutrz idą w dalszą drogę. Odtąd już żołnierza tego nie widziałem, zakończył swe opowiadanie zacny p. P.

W późniejszym czasie państwo P. i ich znajomi, porozumiawszy się ze strażą rosyjską, nie raz różne usługi oddawali jeńcom austryackim tak Polakom, jak i obcym.

Miałem służącą, Bronisławę, której szczególnymi względami cieszyli się jeńcy austryaccy bez względu na ich narodowość. Co mogła, zabierała z domu i im wynosiła. Wkrótce jednak tego jej było za mało. Utworzyła więc coś w rodzaju stowarzyszenia, składającego się z kilkunastu jej koleżanek i kilku pań, które wiele dobrego jeńcom świadczyło.

Otóż ona opowiadała mi, że piechurzy rosyjscy, konwojujący jeńców, są strasznymi tylko pozornie, że zwykle, gdy się do jeńców zbliżać, robią wiele hałasu, ale krzywdy nie czynią nikomu i że raz, gdy uciekała przed goniącym ją z wrzaskiem piechurem i ten ją dogonił, rzekł do niej: „Głupia, czemu uciekasz? Ja krzyczę, żeby naczelnicy widzieli, iż gorliwie pełnię ich polecenie, a ty oddaj jeńcom, coś przyniosła“. Następnie zabrał od niej, co miała i w jej oczach rozdzielił pomiędzy jeńcami.

Ja osobiście bezpośrednio z jeńcami austryackimi zetknąłem się bliżej raz jeden tylko w następujących okolicznościach.

Było to dnia 9 listopada 1914 roku.

Nigdy jeńców w Lublinie nie brakowało, ale nigdy nie było ich tylu, co w pierwszych dniach listopada. Pędzono ich z pod Opatowa.

Jak zwykle wieczorem, około godziny 6, przechadzałem się

po Placu Katedralnym. Podczas tej przechadzki zbliżył się do mnie żołnierz rosyjski i podał mi kawałeczek papieru, widocznie oderwany z gazety, na którym ołówkiem były skreślone te wyrazy: „Jestem jeńcem wojennym. Proszę o wino. Oddawca zapłaci. Ksiądz Hadziewicz, kapelan wojsk austryackich". Oddawca-żołnierz był Polakiem, jak mówił, rodem z Warszawy. Z jego opowiadania dowiedziałem się, że w szkole męskiej imienia Staszica znajduje się kilkudziesięciu oficerów austryackich różnych stopni, a między nimi jeden ksiądz.

Posłałem tedy wino i pożywienie, jakie na razie dostać mi się udało w sklepach, już nietylko dla księdza Hadziewicza, ale i dla innych jeńców, przedewszystkiem Polaków i oświadczyłem, że jeszcze tego samego wieczora odwiedzę ks. Hadziewicza.

By dotrzymać słowa, udałem się do naczelnika wojennego miasta Lublina, który niezbędne pozwolenie odwiedzenia jeńców udzielił mi z łatwością, ale jako świadka urzędowego odwiedzin dodał mi oficera i zastrzegł, bym z jeńcami nie mówił o sprawach wojskowych i o ówczesnem położeniu kraju.

Do mieszkania jeńców przybyliśmy około godziny 8 wieczorem. Byli oni umieszczeni w trzech dużych klasach. W każdej, na brudnej, pokrytej cienką warstwą słomy, podłodze leżało od 20 do 30 mężczyzn w mundurach, lub na pół rozebranych. Jedni z nich już spali, inni palili papierosy, a jeszcze inni rozmawiali.

Wejście moje z oficerem rosyjskim i szyldwachem do pierwszej sali nie zwróciło niczyjej uwagi. Na moje zapytanie po polsku, czy niema tu księdza Hadziewicza, ktoś krótko odrzekł mi po rosyjsku: nie. Poszedłem więc do sali drugiej. Tutaj przedstawił mi się taki sam widok, jak i w pierwszej.

Gdym, stojąc na progu, powtórzył moje pytanie, otrzymałem na nie odpowiedź od jednego z leżących tuż u moich stóp mężczyzn, że niema i że wogóle w tej partyi jeńców niema księdza rzymsko-katolickiego, lecz jest kapłan grecko-katolicki. Jak się następnie okazało, odpowiedź wyszła z grupy jeńców Polaków: dwu krakowiaków i ślązaka.

Zobaczywszy mnie w towarzystwie oficera, biedacy ci widocznie przypuszczali, iż jestem jakąś znaczną „figurą", moja zaś

suknia kapłańska i mowa polska natchnęła ich nadzieją, że w nieszczęściu przyniosę im jakąś ulgę. Toteż zrobili to, czego z pewnością nie uczyniliby względem Rosyanina, t. j. prosili mnie, bym im wyjednał pozwolenie pójścia do łaźni, gdyż, jak mówili, brud powrastał im w ciało, i by im pozwolono wyjść na miasto kupić jakąś cieplejszą bieliznę, bo trętwieją z zimna.

Słysząc to mój towarzysz, oficer rosyjski, rzekł do mnie po rosyjsku: „Przypomnij im Ksiądz, że są jeńcami wojennymi".

Widok tylu oficerów, leżących na brudnej podłodze w barłogu, w izbie oświetlonej kopcącą lampką, prośba ich o pozwolenie umycia się i zabezpieczenia od zimna rozstroiły moje nerwy do niemożebności. Toteż uwaga powyższa pana oficera rosyjskiego oburzyła mnie i zawołałem: „Nie widzę potrzeby przypominać im, że są jeńcami, bo ta brudna izba, oświetlona kopcącą lampą i ten barłog, w którym leżą, zapomnieć im o tem nie pozwalają. Za to panu przypomnę, że to są oficerowie tacy jak i pan, że ich wychowanie, przyzwyczajenie do lepszego bytu i wykształcenie czynią położenie, w jakiem się znajdują, nieznośne nawet dla prostego żołnierza, jeszcze przykrzejszem. Co ich spotkało dziś, pana jutro spotkać może. Wreszcie kto wie, może jutro wypadnie panu walczyć nie przeciw nim, ale obok nich. Sądzę przeto, że nie szorstkie przypomnienie, iż są jeńcami, ale koleżeńska pomoc ze strony pana im się należy".

Oficer się zmieszał, zaczął się tłumaczyć, że on tu nic zrobić nie może, wreszcie prosił, żebym oświadczył jeńcom, iż nic nie przyrzeka, ale usilnie starać się będzie, by prośby ich uwzględniono.

Powtórzyłem to biedakom i zdaje mi się, że im to ulgę przyniosło.

Następnie zasypali mnie pytaniami: co słychać w kraju, czy prawda, że w Petersburgu rewolucya i t. p.

W odpowiedzi na to zwróciłem ich uwagę, że o podobnych rzeczach mnie z nimi mówić nie wolno, ale jeśli chcą się dowiedzieć, mogę im dostarczyć gazet, w których informacye co do poruszonych przez nich kwestyi są zupełnie wiarogodne. Oświadczyli mi, że gazety miejscowe zawsze mają, bo dostarcza im tako-

wych konwój. Gawędziłem z nimi ze 20 minut głównie o Rosyi, do której ich prowadzono i o stosunkach, tam panujących, a gdym się z nimi żegnał, zapytałem towarzyszącego mi oficera, czy, gdyby jeńcy o co prosili, można im to przysłać? Odpowiedział, że tak, ale przez żołnierza usługującego. A więc, panowie, rzekłem, jeśli się na co przydam, jestem do waszych usług.

W trzeciej sali, na takim samym barłogu, znalazłem wśród innych oficerów niemieckich i czeskich księdza Hadziewicza i jakiegoś pułkownika Polaka. Rozmowa z nimi nie kleiła się, bo byłem bardzo zdenerwowany, toteż pożegnałem ich po kilku minutach i wróciłem do domu.

Na ulicy towarzyszący mi oficer, widocznie jakiś niezły człowiek, starał się wytłumaczyć mi, że wszystkiego brak, a jeńcy ustawicznie przybywają, nic też dziwnego, iż nie mają łóżek i t. p.

Po powrocie do domu powiedziałem służącej Bronisławie, że nazajutrz rano trzeba się zająć kupnem ciepłej bielizny dla jeńców-oficerów austryackich Polaków i bieliznę tę im odesłać. Służąca jeszcze tego samego wieczora uważała za konieczne zawiadomić swoje koleżanki, że nazajutrz będę wysyłał oficerom austryackim, których odwiedzałem, pewne rzeczy. Te opowiedziały to swoim paniom, a skutek był taki, iż dnia następnego rano oświadczono mi, że w mojej kuchni będzie ugotowany obiad dla jeńców-oficerów i wysłany odemnie.

Gotowano go tedy dzień cały i wreszcie około godziny 4 po południu z ogromnego kotła buchała gęsta para, roznosząca po całem mieszkaniu zapach smacznego krupniku, a na paru ogromnych półmiskach leżały piramidy półfuntowych kotletów. Chodziło więc tylko o doręczenie tego wszystkiego jeńcom. Mojej Bronisławie, obytej z tego rodzaju misyami, nie wydawało się to trudnem, toteż z dobrą miną udała się do Szkoły Staszica. Jednakże w kwadrans powróciła z miną kwaśną i oświadczyła, że nie wie, co ma robić, gdyż natrafiła na nieprzewidzianą przeszkodę. Oto, gdy od oficera, którego tam zastała, otrzymała pozwolenie na rozdanie jeńcom obiadu, nadszedł inny oficer, udzielone pozwolenie cofnął, nawymyślał jej i wypędził, grożąc zaaresztowaniem tak jej jak i tych, co ją przysłali. Wobec tego nieprzewidzianego

obrotu sprawy posłałem ją powtórnie do rzeczonej Szkoły i kazałem wyszukać żołnierza, który mi dnia poprzedniego przyniósł kartkę od księdza Hadziewicza. Zrobiła to z łatwością i w godzinę potem paczki z kotletami i zawiniątko z ciepłą bielizną powędrowało do jeńców.

Kocioł z zupą służące zaniosły do jeńców-żołnierzy, których w dniu tym przyprowadzono bardzo dużo i umieszczono w browarze Kijoka na Podwalu, lecz i tu jakiś oficer nie pozwolił rozdać krupniku jeńcom. Musiały go tedy, by nie wylać na ulicę, oddać żołnierzom rosyjskim.

Gdy służące niosły ów nieszczęśliwy krupnik do browaru Kijoka, tuż obok gmachu Konsystorza, spostrzegły leżącego w błocie pod parkanem żołnierza austryackiego, a przy nim szyldwacha rosyjskiego z karabinem. Na zapytanie, co jest leżącemu, szyldwach odpowiedział, że padł ze zmęczenia i głodu, gdyż od Opatowa do Lublina wszystkich, tak oficerów, jak i żołnierzy pędzono pieszo. Posłałem więc herbaty i wina, któremi napojony, biedaczysko podniósł się i przy pomocy swego kolegi, Rosyanina powlókł się do towarzyszów swej niedoli dzielić z nimi nieszczęśliwy los jeńca wojennego.

Na nieszczęście nie zabrakło w Lublinie i prawdziwych hyen w ludzkiej postaci, które karmiły się niedolą i łzami nieszczęśliwego jeńca. Rozumie się, że w tego rodzaju sprawach prym trzymali synowie Izraela, ale i wielu naszych dzielnie z nimi współzawodniczyli. Zacna ta kompania kręciła się około jeńców, gdy ich zatrzymywano przed biurem naczelnika wojennego, lub gdy ich wprowadzano w ogrodzenie skweru na Bronowicach na obiad i ofiarowała im kupno chleba, papierosów i t. p., lub wymianę pieniędzy austryackich na rosyjskie. Ale jakże bezczelnie przytem obdzierano biedaków! Za 28-groszową bułeczkę chleba brano od nich po dwie i trzy korony, a przy wymianie pieniędzy za 20 koron płacono 2, lub 3 ruble! Wreszcie bywały wypadki, że hyeny te porywały podane przez jeńców pieniądze i uciekały z niemi. Sam widziałem na Bronowicach, po zdobyciu przez Rosyan Przemyśla, jeńca płaczącego rzewnemi łzami, iż mu zabrano ostatnie kilka koron, jakie posiadał.

Na założenie Stowarzyszenia Opieki nad jeńcami rząd rosyjski pozwolił dopiero w początkach 1915 roku, ale działalność jego krępował na każdym kroku.

Zaprawdę! Los jeńca wojennego nie jest godnym zazdrości!

Ks. Dr. Karol Dębiński.

„Noce" i „Wspomnienie" Musseta.

Musset to natura wykwintna, wrażliwa i czuła, jak mimoza na każde zetknięcie ze światem. Nie wytknąwszy sobie w życiu pewnych i opartych na gruntownej moralności drogowskazów, czyni poeta ten wrażenie rozpieszczonego dziecięcia, które chwytając niebacznie lśniące bawidełko, rani sobie niem rączki, a potem w rzewnych i czarujących słowach ból swój wypowiada. Pamiętajmy jednak, że to „dziecię wieku", jak się sam poeta nazywa, to talent poetycki pierwszorzędny, obdarzony potężną indywidualnością. Można powiedzieć, że Musset nie naśladuje nikogo, że jeżeli ma nieraz w stylu swoim pewną niedbałość, to przecież we wszystkiem jest samym sobą; podobnie, jak u nas Słowacki, stwarza swój niedościgniony styl poetycki, nęcący zarazem wykwintnością i prostotą. Mimo tej potężnej indywidualności, wiele jest prawdy życiowej ogólno-ludzkiej w utworach tego poety i wiele w nich przebija ogólno-ludzkiego wdzięku, choć obok tego znać w nich i ślady życia uwikłanego namiętnościami. Wieloma cechami zbliżony do romantyków, tak że za jednego z nich zaliczony być może, nie przejmuje przecież Musset ekscentryczności tego kierunku, zachowuje jakby wysoko-pańską niezależność i swoistość wyrazu.

W twórczości Musseta są dwa utwory poetyckie, najbardziej na przeżyciach osobistych oparte. Wypłynęły one ze zranionego serca poety, są echem jego pierwszej, potężnej,, a zawiedzio-

nej miłości. Miłość ta, pierwsza głęboka miłość Musseta, była nieszczęśliwą i zawodną; inaczej być nie mogło, ścigała poetę pomsta złamanych zasad moralności. George Sand, rozwiedziona z mężem, szuka miłości i szczęścia w związku z poetą o sześć lat młodszym i jak dziecię nieodpornym na ponęty wrażeń. W grudniu 1833 r. udają się oboje do Włoch, zwiedzają Wenecyę i Florencyę. Ale wymarzone szczęście wnet traci swe ułudy: P. Sand, a potem Musset zapadają na zdrowiu. Poetą opiekuje się troskliwie lekarz Pagello, pani Sand okazuje dla „biednego dziecka“ pieczołowitość, złączoną z opiekuńczej wyrazem wyższości. Mussetowi nie podoba się to, zazdrosnym jest. Zaczynają się gniewy, podejrzenia, a chociaż po powrocie poety do Paryża korespondują ze sobą, to jednak stosunek ich wzajemny zaczyna być coraz nieznośniejszym dla braku rękojmi co do stałości uczucia i niezgodności charakterów. Wreszcie w roku 1835 rozchodzą się bez głębokiej urazy.

Cała ta awantura miłosna w życiu poety tego jest rodzaju, że nie rozwodzimy się nad nią szerzej, niż potrzeba do zrozumienia poematów, które niby kwiaty z ruiny tej i złamanego życia wyniknęły pod tchnieniem geniuszu. Słusznie pisze Barine: Il avait fait des efforts steriles pour se purifier de ses anciennes souillures au feu d'une passion, qui était elle-même une violation de la règle morale, et à ses chagrins d'amour s'ajoutait le sentiment accablant d'avoir commis une erreur capitale, au jour solennel, ou l'homme choisit l'ideal, qui sera sa raison d'exister. 'A l'exemple des héros romantiques, il avait demandé à la passion le point d'appui de sa vie morale, et l'appui s'était brisé le laissant meurtri et épuisé. (Arvéde Barine, Les grands écrivains français.. Paris, 1893 p. 99).

Cios, jaki ta pierwsza, a zawodna miłość wymierzyła w serce poety, wykoleił życie jego; coś jakby w duszy jego się złamało, on sam pragnął przebudować całe swe życie wewnętrzne, wyrzucał od siebie nawet przedmioty i obrazy, przypominające mu lata płochej miłości, ale do pogody zupełnej umysłu dojść już nie mógł. Znajdziemy ślady tego żalu w przecudnych strofach „Nocy“ i „Wspomnienia“, utworów, którym poświęcamy obecnie uwagę.

Celem naszego szkicu będzie zaznajomić z ich artystyczną wartością[1]).

Przeciąg czasu, w jakim poeta pisał te utwory, to lata 1835—1841. Pisząc więc pierwszą „Noc majową“, miał poeta 25-ty rok życia. Trzy inne „Noce“ nastąpiły po pierwszej w krótkich przerwach, a dopiero 15 stycznia 1841 r., kiedy już ból wspomnień zatarł się nieco, kiedy nabrały one niejako łagodności i mgły oddalenia, pisze poeta wspaniały swój utwór „Souvenir“ (Wspomnienie), który jest jakby koroną czterech poprzednich i którego ocena uzupełni obraz gwałtownego, a tak wstrząsającego przejścia w życiu Musseta. Po tych wstępnych uwagach przejdźmy już do szczegółowej oceny estetycznej utworów, w tym porządku, jak powstawały i były wydawane.

Noc Majowa.

Poemat ten napisany został w przeciągu dwu nocy i jednego dnia na wiosnę r. 1835. Ukazał się on w druku w „Revue des deux Mondes“, 15 czerwca tegoż roku. Musset zaczyna swój utwór od wprowadzenia nas w krajobraz i ciszę nocy wiosennej maja, z nieporównanym wdziękiem uosabia swe natchnienie w postaci dziewiczej Muzy, której daje istotny i żywy wdzięk żywej istoty. Posłuchajmy odrazu słów poety, bo żadna opisowość nie odda nam tego nastroju, w jaki bezpośrednio duszę czytelnika wprowadza sam obraz, genialną pieśnią wykwintnego artysty wydobyty.

MUZA.

Poeto, weź twą lutnię, ucałuj me skronie:
Oto krzew polnej róży rozwija swe pęki:
Tej nocy wiosna wstaje, z ziół ciepły wiatr wionie
I pliszka oczekując porannej jutrzenki,
Zaczyna pląsy w krzaków zielonej osłonie.
Poeto, weź twą lutnię, ucałuj me skronie!

---

[1]) Przy cytatach posługuję się własnym przekładem, gdyż przekład „Nocy“, jaki wpadł mi pod rękę (B. Londyński-Miron „Noc Sierpniowa“) nie dosyć, zdaniem mojem, oddaje ducha oryginału.

POETA.

Jakiż cień tam na dolinie,
Jakaś postać w mgły powodzi
Nad lasami lekko płynie,
Ze zieleni łąki wschodzi,
Kwietne zioła stopą trąca,
Dziwna mara, skrą miesiąca
W mrok rozwiewa się i ginie...

MUZA.

Poeto, weź twą lutnię, noc, co wokrąg rośnie,
Kołysze w wonnych trawach ciepłe tchnienie maja,
Dziewicza róża kielich zamyka zazdrośnie
Przed trzmielem, co się śmiercią jej słodko upaja.
Słuchaj! — cisza dokoła, wspomnij twą kochaną,
W ten wieczór, gdy lip cienie przed okiem twem staną,
Zachód słońca: „Dobranoc!“ śle bardziej radośnie,
W ten wieczór wszystko kwitnie wiosną — zawsze młoda
Miłością, wonią, szmerem drży cała przyroda...

Co przedewszystkiem uderzyć musi w tym przecudnym obrazie majowej nocy, to pewna bezpośredniość jego; poeta nie zadawalniając się opisem suchym, z którego dopiero pracą naszą musimy sobie składać barwy i cienie, wzorem romantyków wywołuje w nas raczej wrażenie, jakie odczuwa się w nocy maja. Oto przez artystyczny dobór słów i wyrażeń — owiewa nas niejako ciepłe tchnienie majowego wietrzyka, pełnego zapachu ziół świeżych, słyszymy szmer ptaszka uwijającego się w krzakach, widzimy w dali nieuchwytny opar srebrzystej mgły, w który fantazya nasza tak chętnie wkłada kształty dawnych wspomnień. Mgła ta, unosząca się nad lasem, osłaniająca zieleń i kwiaty łąki, aby pod tchnieniem wiatru rozpierzchnąć się, jak marny cień — czyż to nie charakterystyczny obraz ciepłych nocy majowych?

Poeta nie zadawalnia się wcale ukazaniem nam tych widoków z oddali; zbliża on nas i z zaciekawieniem dziecka każe oglądać aksamit traw, w których słychać szept wiatru, każe nam od-

czuwać orzeźwiający zapach ziół i kwiatów wiosennych, przypatrywać się, jak zroszony trzmiel wysysa słodycz z pączka rozkwitającej róży, a wreszcie roztacza przed oczyma naszemi wspaniały obraz zachodzącego słońca, które przez szpalery cienistych lip śle nam radosne pożegnanie... Czyż to nie pełen prawdy i życia już nie opis, ale obraz żywy przyrody? Odczuwamy tutaj świeżość, urok i uśmiech wiośniany przyrody, która pełną piersią zaczyna śpiewać pieśń życia. Głęboko odczuta prawda obrazów pokazuje, jak wrażliwym obserwatorem przyrody był Musset; nieporównany wdzięk formy dostraja się zupełnie do wiosennego opisu tej ciszy majowej nocy.

Wrażliwość poety niewątpliwie wpłynęła głównie na dziwne piękno opisu, ale zastanowiwszy się uważniej, odkryjemy może i głębszą jego przyczynę. Pamiętajmy, że „Noc maja“ napisaną została bezpośrednio po zerwaniu ostatecznem z P. Sand. Świeżo przebyte, wstrząsające cierpienie wrażliwszym uczyniło poetę na piękno przyrody, zraniona jego dusza odsunęła się od ludzi i jak dziecię zwróciła się całem sercem ku przyrodzie i jej orzeźwiającemu tchnieniu. Serce człowieka jakiś punkt oparcia mieć musi, zranione serce poety jeszcze nie wzniosło się do szukania ukojenia w Stwórcy, ale już niejako przeczuwa litościwą Jego dobroć w ciszy i pięknie podnóżka stóp Jego — przyrody... Wszakże i nasz Adam Mickiewicz szukał ulgi cierpienia w nocnej ciszy i osamotnieniu; on także mówi:

Samotności, do ciebie biegnę jak do wody...
Z codziennych życia upałów. (Do samotności.)

Dopiero ta cisza wiedzie myśl jego wyżej i każe mu w prawdziwem źródle szukać ukojenia.

I tylko w nocy, cicho, na Twe łono
Wylewam burzę we łzy roztopioną. (Rozmowa wieczorna.)

Stęskniona i zbolała myśl francuskiego poety nie wznosi się jeszcze do tych wyżyn, ale błogość, ukojenie i przedsmak większej ciszy znajduje w upajającem tchnieniu wiosny majowej i z czarownym wdziękiem wrażenie swoje oddać umie. Ale wróć-

my do poematu samego. Na głos Muzy poeta zaczyna być wrażliwym:

POETA.

Czemuż drży tak serce moje?
Cóż to pierś porusza do dna?
Czego lękam się i boję?
Kto stuka tam w me podwoje?
Światłość lampy, wpierw łagodna,
Czemu łuną lśnić zaczyna?
Boże! ciało me drży trwogą —
Kto idzie? Niema nikogo!
Sam jestem, bije godzina —
Czyj szept? Nic ucho nie słyszy...
O samotności! o ciszy!

Muza odzywa się do poety z miłością przypominając mu, że dawno myśl jego i serce kołysała upojeniem. „Czyż nie przypominasz sobie — mówi — jak widziałam cię bladym pod dotknięciem mojego skrzydła i jak ze łzami w oczach schylałeś się w moje ramiona?“ Przypomina poecie, że dawniej już cieszyła serce jego, zranione gorzkiem cierpieniem i zachęca, aby i teraz szukał ukojenia w jej pieszczocie. Poeta rozpoznaje coraz wyraźniej głos swego natchnienia:

POETA.

Czy to twa mowa mnie wzywa,
O Muzo, jasny mój kwiecie,
Promienna zawsze i żywa,
Jedynie wierna w tym świecie,
Wdzięczna, jak jasny błysk ranka?
Ty jedna kochasz mnie jeszcze.
Znam cię, o tchnienie me wieszcze:
Tyś siostra moja, kochanka,
Ja dzisiaj smutny, sierocy,
Obrazem twoim myśl pieszczę,
W głębokim, cichym śnie nocy

Twa postać, nakształt promyka,
Me serce słodko przenika!...

Rozradowana przyjaznem słowem poety Muza zachęca go do śpiewu ze wzmagającem się uczuciem. Ustęp ten jest może najpiękniejszym z całego poematu:

MUZA.

Poeto, weź twą lutnię; ja, czasem nietknięta,
Widziałam cię tej nocy zdjętego żałobą
I jak ptak, przez swe drobne wzywany pisklęta,
Zeszłam z niebios, by cicho płakać razem z tobą...
Pójdź, cierpisz przyjacielu, jakiś smutek niemy
Dręczy cię, coś tam jęczy, na dnie twego serca,
Zranił cię cierń miłości, co dusze przewierca,
Cień, któremu kształt szczęścia w złudzeniu dajemy —
Pójdź, śpiewajmy przed Bogiem — myśli, co ulata,
Snom szczęścia utraconym, minionej boleści;
Pójdź, w słodkim pocałunku, nieznanym dla świata,
Zbudźmy echo dni zbiegłych, co mile słuch pieści, —
Śpiewajmy o twem szczęściu, o sławie i szale,
O śnie wiosny, co pierwszy ci uśmiech niósł świeży,
Znajdźmy ustroń, gdzie ludzie nie znajdą nas wcale,
Pójdźmy: sami jesteśmy, świat do nas należy...

Narzuca teraz poecie Muza różne dalekie wątki i obrazy, jako temat pieśni, do której go zachęca. I znowu przebija w tych sylwetkach żywa i pełna wyrazistości fantazya poety i głębokie odczucie natury. Nawet w dalekich mirażach, jakie okazuje poecie jego mistrzyni, przebija wielka obrazowość. Z przyjemnością patrzymy, jak z oddali pokazują się poecie „z i e l o n e“ brzegi Szkocyi, „b r u n a t n a“ Italia, Messyna, „n a d k t ó r ą u n o s z ą s i ę s t a d a g o ł ę b i“; mile oglądamy w dali „k ę d z i e r z a w e c z o ł o m i e n i ą c e j s i ę b a r w a m i g ó r y“ Pelionu, widzimy żywą barwę błękitu, połyskującą Tytaresę i srebrzystą zatokę rozlanych szeroko wód, gdzie przeglądają się w fali płynące łabędzie; widzimy „b i a ł ą“ Oloos i Kamyrę. Wszystkie te obrazy, wi-

dziane z dalekiej przestrzeni, oznacza poeta nieraz jednym tylko charakterystycznym rysem ich właściwości, ale w tych właśnie drobiazgach przebija się głęboko spostrzegawcze oko artysty, wyróżniające odrazu te ciekawe szczegóły. Zapewne mamy tu ślady podróży poety do Włoch, która wyobraźnię jego tyloma obrazami zasiliła. Upojenie, w jakiem się wtenczas znajdował, niewątpliwie przyczyniło się do upiększenia widoków, jakie napotykał; przypomnijmy sobie, że prześliczny opis Szwajcaryi u Słowackiego i wstępne strofy Przedświtu „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem rozwieszone Włoch błękity“, a także opis cudnej Krymu przyrody nabrał większej wyrazistości i wdzięku przez uczucie miłości, które im towarzyszyło. Ładnym jest obraz anioła w liliowych kolorach schylającego się nad wezgłowiem artysty, obraz gwiazdzistego nieba, widok stadka kóz, szczypiącego gorzkie zioła górskie, widok trwożliwej łani, załzawionem okiem spoglądającej na dobijającego ją strzelca — nawet obraz roztargnionej dziewczyny, przysłuchującej się podczas nabożeństwa dalekim echom muzyki, wzięty jest żywo z natury; paradną wprost jest sylwetka zgryźliwego krytyka-panflecisty, który sam nie mogąc stworzyć nic wybitnego, rzuca się z zazdrością na czoło geniusza, aby przynajmniej oddechem swym zbrudzić wawrzyn, jaki je otacza! Wszystkie te dalekie miraże i projekty kończy Muza okrzykiem:

Weź twą lutnię, weź lutnię, już milczeć nie mogę,
Skrzydła mi wiosny tchnienie łagodne rozchyla,
Wietrzyk lekko w powietrzną porywa mnie drogę,
Łza dla ciebie — Bóg słucha mnie, nadeszła chwila!

Przecież poeta nieugięty jest w swem milczeniu.

POETA.

Gdy pocałunku chcesz, miła,
Najchętniej daję go tobie,
Gdy łza cię będzie nęciła,
Z mych łez podarek ci zrobię,
By ci mą miłość wspomniały,
Gdy będziesz w niebios krainie —

Lecz nie chcę śpiewać ni chwały,
Ni szczęścia, które w snach ginie,
Ni bólu, co się w pierś wwierca,
W milczeniu słucham jedynie,
Co mówi cichy głos serca...

MUZA.

Czy mniemasz, że ja jestem podmuchem jesieni,
Co płaczem się nad świeżą nasyca mogiłą,
Dla którego łza w wody kropelkę się mieni?
O poeto, przezemnie, twe serce dziś biło,
Ja gnuśnej bezczynności wypłenić chcę zielsko
Z twej duszy, ból dopuścił na cię wyrok boski;
Usłuchaj mnie, za radą mą idź przyjacielską:
Jakiekolwiekby były młodzieńcze twe troski,
Otwórz ranę, co w głębi twej duszy się mieści:
Choć niechętnie pod smutku ciężarem się gniemy,
Nic nie wiedzie tak w wielkość, jak wielkie boleści,
Ale nie myśl, poeto, by ból miał być niemy:
Ze smutku najpiękniejsza się piosnka wyłania;
Nieśmiertelne znam, które pełnemi są łkania...

Następuje piękny, ale, według naszego mniemania, nieco za długi opis pelikana, który dla głodnych swych piskląt rozkrwawia pierś, karmi krwią swoją zgłodniałe swe dziatki i kona z przerażającym jękiem. Muza powiada, że taksamo wielcy poeci karmią słuchacza bólem przeżytych cierpień. Przyrównuje Muza pieśni takie do błyśnięcia szpady, które nieci wprawdzie krąg świetlany, ale widać też zarazem krople krwi, co błyszczący oręż zciemniły. Na wszystkie wywody Muzy poeta pozostaje głuchy i nie daje się skłonić do śpiewu.

POETA.

O! Muzo nienasycona,
Prośbą mnie nie męcz daremno,
Któż kreśli drogie imiona
Na piasku — w burzę — w noc ciemną?

Był czas w mych młodych dni wiośnie,
Żem skorej pieśni mógł tony
Jak ptaszę dobyć radośnie,
Lecz ból, przez który dziś ginę,
Na moją lutnię rzucony,
Strzaskałby struny, jak trzcinę...

Ażeby zrozumieć tło życiowe poematu, uprzytomnić sobie trzeba, że napisany on został niedługo po ostatecznem zerwaniu z George Sand. Zerwanie to nastąpiło w połowie listopada 1834 r. W liście do Alfreda Tattet, datowanym z 12-go tego miesiąca pisze wyraźnie Musset: Tout est fini. (Alfred de Musset. Correspondance p. Léon Séché, str. 113). W tym samym miesiącu do Sainte-Beuve: Il ne m' est plus possible maintenant de conserver sous quelque prétexte que ce soit, de relations avec elle, ni par écrit ni autrement. (Tamże. str. 113).

Wrażenie doznanego zawodu w wymarzonej miłości było wielkie i cierpienie tak głębokie, że poeta nie czuje jeszcze siły, aby ból swój wyśpiewać. Odczuwa jednak w sercu pewien poryw do pieśni i uzmysławia go w pięknym obrazie nawiedzającej go Muzy. Czuje poeta, że choć ból jest wielki, to w wyśpiewaniu tego bólu mógłby stworzyć pieśń nieśmiertelną. Na razie nie ma dość mocy do wypowiedzenia swych uczuć, zbyt one jeszcze gwałtowne, aby pieśń mogła z nich powstać, musi wpierw obraz powlec się siną mgłą oddalenia. Milczenie to wobec świeżego tak zawodu rojeń i nadziei wyrażone jest w tej nocy maja z wielkim wdziękiem poetyckim. Kojąca rola Muzy-przyjaciółki względem zranionego serca poety uchwycona jest tutaj żywo i oddana z uczuciem. Mówią, że Musset uważał rzeczywiście natchnienie swe za coś współżywego. Brat jego Paweł pisze, że poeta na przyjęcie Muzy gotował się specyalnie, zamykał okna, zapalał świece i kładł na stół kwiaty, jak gdyby miała go odwiedzić żywa osoba. Co do mnie sądzę, że i bez tego przypuszczenia samotność i cień sprzyjają natchnieniu, a widok kwiatów świeżych do pieśni usposabia.

Noc Grudniowa.

Utwór ten pojawił się w sześć miesięcy po „Nocy Maja“. Ból poety jest już nieco uśmierzony i nie tak gwałtowny. Odczuwa swe osamotnienie, ale już ono nie wyrywa mu z ust namiętnej skargi, zaczyna niemal widzieć jego urok i jakby towarzysza swego w nim rozpoznaje. Poemat ten, jak mówi Barine (Les grands ecrivains français) wyjaśniają dwa listy Musseta, które otrzymała odeń George Sand poprzedniej zimy. W jednym poeta skarży się na niesłuszne zarzuty, czynione sobie i twardość serca. Drugi list, pisany ołówkiem w nieładzie myśli, mówi o wizyach, które go otaczają. W zbiorze „Correspondance“ Séché'go znalazłem ów list pisany ołówkiem, ale z datą 1835 roku. Pisze tu Musset:. Quand sa pâle figure (t. j. Stenio z „Lelii“) s'est présente à toi dans le calme des nuits, quand tu as écrit pour la première fois son nom sur la première page, c'est moi qui m'approchais. Une main invisible m'amenait à toi. (str. 116). Cały list utrzymany jest w tonie gorączkowym i bezładnie fantastyczne wznieca figury, jak anioła boleści i t. p.

W tym samym czasie pisał poeta: „La confession d'un enfant du siècle“ — gdzie w trzech ostatnich rozdziałach wiernie niemal przedstawia dzieje swej nieszczęsnej miłości. Nie można zgodzić się na twierdzenie brata poety Pawła, że w Nocy Grudnia mowa jest nie o George Sand, ale o innej kobiecie. (To samo powtarza za Pawłem de Musset jedna z Encyklopedyi angielskich.) Twierdzenie zupełnie bezpodstawne, bo poeta w „Nocach“ chce wyraźnie wyśpiewać cierpienia zawodu swego w jedynej miłości, którą uważał za prawdziwą i głęboką. Pamiętajmy, że zerwanie z George Sand nastąpiło w grudniu, a zatem rocznica bolesna dla serca poety właśnie ją tylko najwyżej mu przypominać musiała. Nadto jest w poemacie tym mowa o „a n i e l e s m u t k u“ i „z d r ę t w i a ł e j“ lutni, co przypomina list ów ołówkiem pisany, o którym mówiliśmy wyżej. (por. str. 608.)

Twierdzenie Pawła de Musset wytłómaczyć się daje we-

dług Barin'a tem, że był on dla George Sand ósobiście niechętnym, a poemat Nocy Grudnia w łagodniejszym, niż inne świetle przedstawia postać umiłowanej przez poetę osoby. Sądzimy, że wywód ten zupełnie za słuszny uważać należy.

Przystąpmy teraz do samego utworu. Ze wszystkich Nocy Musseta ta najwięcej może posiada poetycznego wdzięku tęsknej zadumy. Niema tu już wiosennego uroku świeżych łąk, ni śpiewu ptasząt, otacza nas ponura głucha cisza grudniowej nocy, o której tak pięknie wyraża się nasz Mickiewicz:

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne zatapia w niem szpony. (Son. krym.)

Cały utwór, jak wspomnieliśmy na wstępie, owiewa uczucie smutku, nie tego namiętnego, który wstrząsał sercem poety przy świeżém jeszcze wspomnieniu, ale raczej cichej melancholii i rezygnacyi, odpowiedniej spokojnej nocy grudnia, gdzie wszystko, co żyło — zamarło i zjawia się tylko zdala, we mgle wspomnienia. Ażeby oddać ten nieuchwytny urok posępnej zimowej nocy, posługuje się poeta nadzwyczaj szczęśliwie dobranymi obrazami zjawiska, które ukazuje się jak cień przelotny, utrzymuje uwagę słuchacza w naprężeniu i dopiero przy samym końcu odkrywa swe znaczenie i imię. Wywołuje to w słuchaczu dziwny nastrój niepewności i lęku, odpowiedni temu wrażeniu, jakie sprawają w nas wśród mroków cienia niepewne nieznane przedmioty. W ciszy i głębokim pokoju budzą się wtedy w myśli wspomnienia z odległych, nawet dziecięcych, lat z wielką żywością i siłą, napełniając serce dziwną tęsknotą na utraconem szczęściem lat wiośnianych, za niezniszczonymi ideałami. Trzeba tylko iskry poetycznego zapału i natchnienia, ażeby z tego szeregu obrazów związać girlandę, pociągającą oko dziwnym urokiem i czarem. Ażeby odkryć czytelnikom ten wdzięk „Nocy Grudnia“, podajemy wierny nasz przekład całej niemal Nocy, a potem zajmiemy się jego estetyczną analizą. Oto tekst przekładu:

Gdy jeszcze uczniem mnie zwali,
Dumając raz w pustej sali,
W gasnące patrzałem zorze, —
Przed pultem wtedy usiadło
Podobne do mnie widziadło —
Chłopczyna w czarnym ubiorze...

Przy świecy — z smutkiem na twarzy,
Co dziwnym wdziękiem go darzy,
Nad książką moją się słania,
Z uśmiechem słodkim — w mej ręce
Ukrywszy czoło dziecięce,
Doczekał się ze mną zarania...

Gdym rok już liczył piętnasty,
Raz w chaszcze wbiegłem i chwasty,
W zarosłe gajem bezdroże, —
Pod drzewem wtedy usiadło
Podobne do mnie widziadło —
Pacholę w czarnym ubiorze...

O drogę pytam wśród lęku:
On lutnię trzymał w swem ręku
I polne, zwite w pęk róże,
Skinieniem wita uprzejmie,
Od lutni rękę odejmie,
I palcem wskaże mi wzgórze...

W wieku, co wierzy złud fali
Opłakiwałem w mej sali
Zagasłe rojeń mych zorze,
Przy ogniu wtedy usiadło
Podobne do mnie widziadło —
Młodzieniec w czarnym ubiorze...

W ponurym smutku, z ukosa
Dłoń jedną podniósł w niebiosa,

A z drugiej miecz mu wystawa,
Współczuciem zda się oddycha,
Lecz tylko westchnął raz zcicha
I niby senna znikł zjawa.

W wieku, co z gwarem uczt płynie,
By głosić toast przy winie,
Nad zgiełki wzniosłem głos hoże,
Naprzeciw wtedy usiadło
Podobne do mnie widziadło —
Biesiadnik w czarnym ubiorze.

Na płaszczu wstrząsał, ponury,
Stargane strzępy purpury,
Mirt zeschły czoło mu płoni,
Dłoń jego, sucha i drżąca
Szkłem swojem w moje szkło trąca,
Aż prysnął puhar w mej dłoni.

W rok potem, pomnę, wśród nocy,
Po zmarłym ojcu sierocy,
Zraszałem rzewną łzą łoże,
W poduszkach wtedy usiadło
Podobne do mnie widziadło —
Sierota w czarnym ubiorze.

W łzach rzewnych toną mu oczy,
Jak a n i o ł s m u t k u w pomroczy
Cierń wieńcem obwił mu skronie,
W dół lutnia padła z d r ę t w i a ł a,
Purpura żywą krwią pała,
A miecz mu ostry tkwi w łonie.

Wspomniałem: Ten to przychodzień,
Widziany ledwo nie codzień,
Poznać go bliżej nie mogę,
Lecz, czy to anioł, czy szatan,
Tak dziwnie z kształtem mym zbratan,
Wciąż cicho schodzi w mą drogę...

Gdy potem, znużon łzą przeżyć,
By na śmierć z losem się zmierzyć
Opuścić Francyę mą chciałem,
Gdziekolwiek wiodłem me kroki,
Pogrążon w smutek głęboki
W pogoni za ideałem.

Wśród Pizy, przy Apeninie,
W Kolonii, tam gdzie Ren płynie,
W nicejskiej skłonie doliny,
Gdzie gród Florencyi bogaty,
W Brigues, pośród krytej mchem chaty,
I gdzie Alp granit lśni siny.

W Genewie, popod cytryną,
W Vevay, skąd jabłka tak słyną,
Gdzie z Havru morski nurt lśni się,
W Wenecyi, w Lido, gdzie fala
Pod brzeg się z szumem przewala,
Przy grobów płacząc cyprysie —

Gdzie tylko błękit przezroczy
Me serce znużył i oczy,
Ustawną krwawiąc pierś raną,
Gdzie tylko serca tęsknota
I smutek, co niem wciąż miota,
W swą sieć mnie niosły splątaną.

Gdzie tylko, tęskniąc bez końca,
Cień złudny brałem za słońca,
Nieznanej żądzy gnan żarem,
Gdzie tylko, poprzez złud nawał,
Znajomy widok mi stawał,
Twarz ludzka z kłamstwem swem starem.

Gdzie tylko, drogi skryt pyłem,
W dłoń drżącą czoło ukryłem,
Łzą dziecka kojąc katusze,

Gdzie tylko w bólu, jak jagnię,
Co darmo z cierni wyjść pragnie,
Splątałem biedną mą duszę.

Gdziem tylko spocząć chciał we śnie,
Lub dni me skończyć przedwcześnie,
Gdzie tylko stopa dojść może,
Na drodze każdej wnet siadło
Podobne do mnie widziadło —
Nieszczęśnik — w czarnym ubiorze...

Kim więc ty jesteś — ty, co w życia drodze
Ciągle mi stajesz, tęsknoty łzą splamion.
Nie mogę myśleć, że w tobie znachodzę
Zły los, co tłumi obręczą mych ramion,
Zbyt słodki dla mnie uśmiech twojej twarzy,
Twe łzy zbyt dla mej boleści litosne,
Widząc cię, kocham wszech Władcę mocarzy,
Twój wzrok siostrzanem współczuciem mnie darzy,
Ukojeń błogich śląc wiosnę.

Kim więc ty jesteś? Nie — stróżem-aniołem,
Boś nigdy żadnej mi nie dał przestrogi,
Zawsze (rzecz dziwna!) jesteś ze mną społem,
I serca mego oglądasz ból srogi,
Od lat dwudziestu w mej stajesz ścieżynie,
Bez miana, wiatru niesiony oddechy,
Z jakąż mi wieścią z nieba cień twój płynie,
Nie dzieląc szczęścia, — ślesz uśmiech jedynie,
Płaczesz, nie dając pociechy...

Opisuje wreszcie Musset pojawienie się tego samego zjawiska wśród grudniowej nocy, kiedy dumał nad rozwianemi złudami w swej pierwszej, a tak ślepej miłości. Poeta zadaje zjawisku to samo pytanie:

Kimże ty jesteś — młodości mej widmo,
Pielgrzymie, nigdy niestrudzony w drodze?

Czemuż mi z mroków zawsze kształt twój wydmą
Cierpienia, serce krwawiące tak srodze,
Co znaczy cień twój, co ciągle mi zlata,
I jak gość błogi zbolałą myśl pieści,
Coś zrobił, że cię czarna kryje szata,
Dlaczego zawsze, postać wziąwszy brata,
We dniach się jawisz boleści?

WIDMO.

O drogi! — rodzic wspólny nasz,
Nie — Ducha Stróża we mnie masz,
Jam nie jest los niemiły —
Ja nie wiem, gdzie mych drogich rój
Wśród mgły, krok błędny wiedzie swój
Przez świata tego pyły.

Nie czart ja, ani Władca chwał,
Lecz moje imię tyś mi dał,
Zwąc bratem, równym sobie:
Gdziekolwiek dróg twych pasmo lśni,
Jam z Tobą, aż do kresu dni —
Ja siądę na twym grobie —

Mej pieczy ciebie oddał Bóg,
Gdy boleść stanie u twych dróg,
Przyjdź do mnie luby w gości,
Na każdą z tobą pójdę błoń,
Choć się nie zetkniem dłonią w dłoń,
Jam — Ciszą samotności...

Czytelnika, który uważnie odczytał ten utwór, uderzyć musi przedewszystkiem misterna jego i wykwintna budowa. Przez ciągłą sustentacyę i ten sam powtarzający się refren utrzymuje nas poeta w nastroju smutnej nocy grudniowej. Ale pod tą zewnętrzną jakby formą i powłoką ukrywa się głęboka prawda uczuć i wiernie oddana psychologia wspomnienia. Myśl ludzka chwyta z fal dni przebiegłych obraz własnego „ja“, upiększa go

jakby odcieniem rzewnej tęsknoty i pokazuje oczom, jakby inną już osobę, której cień za nami idzie i nas ściga. Dla tego obrazu zbiegłej przeszłości, w którym własne „ja“ tysiąckrotnie się odbija, samotność i cisza jest żywiołem i środowiskiem najlepszem; w ciszy myśl ludzka, oderwana od otaczającego ją wiru zdarzeń, zwraca się do swego wnętrza i nad sobą zastanawia. Stąd to Musset utożsamia prawie samotność z przeżytem wspomnieniem.

(Dok. nast.) *Ks. Tadeusz Karyłowski.*

Mickiewiczowe widzenie księdza. Piotra.

IV.

X. Piotr miał co do Konrada, jak widzieliśmy, jak najlepsze nadzieje, ale przygotowanie do ich spełnienia uważał za zależne, powiedzmy krótko, od Oleszkiewicza. Nim odbierze jego naukę, Konrad jeszcze nie zna swej misyi, a jeśli dobrze postępuje, to tylko dzięki temu aniołowi-stróżowi, który na początku prologu czuwa nad więźniem — na prośby zmarłej matki. Taki sens ma wiersz: „On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę". Francuska parafraza: „Il paraît aveugle... il est conduit par un genie", wyraża to samo i nie usprawiedliwia bynajmniej kombinacyi S. Ptaszyńskiego (str. 52 nn). Trafne jest natomiast jego objaśnienie słów: „To namiestnik na ziemskim padole" i „To namiestnik wolności na ziemi widomy". Już w Księgach pielgrzymstwa (r. 24) czytamy o starszych wśród pielgrzymów, podoficerach czyli namiestnikach, którzy mają owe księgi objaśniać i wykładać. Jeżeli zaś całe pielgrzymstwo wędruje do wolnej ojczyzny, a zarazem do wolności Europy, to autor Ksiąg pielgrzymstwa, nietylko podoficer, ale oficer pielgrzymów, może być słusznie nazwany namiestnikiem wolności. Te myśli żyją w Mickiewiczu jeszcze w r. 1848, skoro w Manifeście rzymskim napisał: „Zebrani rodacy... obierają namiestnikiem swoim i dotychczasowym przewodnikiem Adama Mickiewicza". Dalsze świadectwa o poczuciu misyi u Mickiewicza

po r. 1842 pomijamy[1]), jako obojętne dla objaśnienia widzenia z roku 1832.

Pojęcie namiestnika wolności w pielgrzymstwie assocyuje się z pojęciem namiestnika Chrystusa, papieża tem łatwiej, że może już wtedy kiełkowała w Mickiewiczu myśl założenia organu pielgrzymstwa — w stowarzyszeniu „Braci Zjednoczonych", powołanem do życia w r. 1834, potem w Zgromadzeniu Zmartwychwstania Pańskiego. Te stowarzyszenia i zgromadzenia miały odrodzić kościół oficyalny, który Mickiewicz ostro krytykował w wykładach z r. 1844. Gdybyśmy jednak tych zamiarów poecie w roku 1832 jeszcze nie przypisywali, to wystarczy przypuszczenie, że assocyacya namiestnika wolności z namiestnikiem Chrystusa wywołała obraz o budowaniu na sławie ogromów kościoła stosownie do miejsca Matth. 16,18 (por. Joa. 1, 42): „Ty jesteś Piotr czyli opoka, a na tej opoce zbuduję kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go". Nie bez wpływu było też proroctwo Zacharyasza[2]) (6, 12) o mężu, którego Wschodem nazywają: „Oto mąż, Wschód imię jego. A on zbuduje kościół Panu i on nosić będzie sławę i siędzie, a panować będzie na stolicy swojej". Kościół wolności ma być także kościołem powszechnym, wyniesionym nad narodowości i państwa. Stąd jego namiestnik „nad ludy i nad króle podniesiony". Choć sam bez stanowiska oficyalnego i politycznego („bez korony"), „na trzech stoi koronach", jak wskrzesiciel Polaków, Czechów i Rosyan[3]), których zapowiada także tryumfalny okrzyk słowiański: Sława! sława! sława! W związku z papieżem łatwo też było o assocyacyę z jego tyarą, złożoną z trzech koron, a ta assocyacya mogła wywołać wzmiankę o staniu na trzech koronach, wypełnioną treścią słowiańską.

Formalnie szczegół ten trąci hyperbolizmem stylu proroczego, np. Apokalipsy 12, 1: „Księżyc pod stopami jej, a na głowie korona gwiazd dwunastu". Jeżeli posłannictwo męża przyszłości wyraża się w obrazie: „Podnóżem jego są trzy stolice, trzy końce świata drżą, gdy on woła, i słyszę z nieba głosy, jako gro-

[1]) Por. S. Ptaszyński, str. 103 nn.
[2]) U Ptaszyńskiego, str. 16.
[3]) Por. S. Ptaszyński, str. 60 n.

my", to te attrybuty przypominają psalmowe wyrażenia o nieprzyjaciołach, położonych jako podnóżek Pana (ps. 109, 1, por. ps. 46, 4) i o strasznym głosie Pana (np. ps. 16, 14 i t. d.). Także w Apokalipsie (14, 2) czytamy: „I słyszałem głos z nieba, jako głos gromu wielkiego". Analogia z psalmami i groza, jaka świat napełnia na wołania namiestnika, pozwala przypuszczać, że owe trzy stolice, stanowiące jego podnóże, to stolice nieprzyjaciół, rozbiorców Polski. Wszakże i w Księgach Pielgrzymstwa (r. 22), gdy Wolność zasiędzie na stolicy świata, by sądzić narody, z wielkiej budowy politycznej europejskiej nie zostanie kamień na kamieniu, bo przeniesiona będzie stolica wolności...

Zasuggerowana trójką szczepów słowiańskich i trójką rozbiorców troistość przenosi się i na samego męża: „Mąż straszny... ma trzy oblicza, on ma trzy czoła". Taka wielotwarzowość znamionuje zwierzęta — koła (Cherubinów), widziane przez Jezechiela (10, 14 i 21). Epitet straszny pozwala przypuszczać reminiscencyę z Dantego Piekła (34, 37), gdzie czytamy o Lucyferze: „Oh, quanto parve a me gran maraviglia, quanto vidi tre facee alla sua testa!..." W każdej z trzech paszczęk miażdży Lucyfer zębami jednego ze zdrajców majestatu boskiego i ludzkiego: Judasza Iskariotę, Kassiusa i Brutusa. Jeśli przypomnimy sobie sąd Wolności z Ksiąg pielgrzymstwa i potępienie nawet obojętnych, to tem większej kary musimy oczekiwać dla winnych, dla rozbiorców i despotów (por. Ks. Pielgrz. r. 23). W tym związku straszliwość męża byłaby zapowiedzią kary dla winnych, a jego trzy twarze i trzy czoła, jak trzy twarze Lucyfera, oznaczałyby groźbę dla trzech zaborców. Wolno zresztą przypuszczać, że predylekcya do trójki, widoczna także w takich proroctwach, jak Apok. 8, 7, ma za podkład mistyczne znaczenie tej liczby, głoszone począwszy od Pitagorejczyków, a Mickiewiczowi znane choćby tylko z dzieł Saint-Martina.[1])

[1]) Dzieła jego radzi Mickiewicz czytać Odyńcowi w liście z 7 września 1835, powołuje się na nie często w Kursach literatury, więc znajomość ich w r. 1832 nie jest poświadczona. Mimo to dla objaśnienia 44 powołuje się na nie L. Siemieński, Religijność i mistyka w życiu i poezyach A. M., Kraków 1871; Wł. Mickiewicz, Mélanges posthumes d'Adam M., Paris, 1889, s. II i J. Kallenbach, A. Mickiewicz w ustępie o widzeniu X. Piotra.

Mimo trzech czół i trzech twarzy mąż zdaje się mieć tylko jednę głowę, skoro „jak baldachim rozpięta księga tajemnicza — nad jego głową, osłania lice". S. Ptaszyński[1]) uwiedziony parafrazą francuską: „Il paraît aveugle et cependant il lit dans le livre mysterieux", skłonny jest do przypuszczenia, że to ta sama księga przyszłości, na którą patrzy Konrad w pierwszej improwizacyi: Wznoszę się... między proroki. — Stąd ja przyszłości brudne obłoki — rozcinam moją źrenicą jak mieczem, — rękami jak wichrami mgły jej rozdzieram". Następujący wiersz określa uczucie w chwili czytania przeszłości: „Już widno, jasno. Z góry na ludy spozieram", o tyle, że prorok czyta przyszłe ich losy, bo tam (nie na dole, lecz we mgle przyszłości) „księga sybillińska przyszłych losów świata". Ten ustęp nie może mieć żadnego zastosowania w widzeniu X. Piotra, bo tu X. Piotr czyta w księdze sybillińskiej przyszłych losów świata, podczas gdy mąż spełnia ową przyszłość. Księga tajemnicza, rozpięta nad jego głową i zasłaniająca jego lica, formalnie jest rekwizytem wizyi proroczych, jak w Apokalipsie 5, 1: „Widziałem w prawicy siedzącego na tronie księgę, zapisaną wewnątrz i zewnątrz, zapieczętowaną siedmiu pieczęciami". Nikt jej nie mógł otworzyć ani spojrzeć na nią. Otworzył ją dopiero baranek zabity. W Apokalipsie 10, 8 czytamy: „Idź i weź księgę otwartą z ręki anioła, stojącego nad morzem i nad ziemią. I poszedłem do anioła, mówiąc mu, aby mi dał ową księgę. I rzekł anioł: „Weź księgę i połknij ją..." Tu autor Apokalipsy naśladuje Ezechiela, 2. 8, gdzie prorok otrzymuje rozkaz połknięcia księgi zapisanej wewnątrz i zewnątrz: „I widziałem i oto ręka wyciągnęła się do mnie, w której była zwinięta księga; i rozwinął ją przedemną, a ona była zapisana wewnątrz i spisane były w niej biadania i pieśń i biada". Te wzory zupełnie wystarczająco objaśniają sam attrybut męża przyszłości, księgę tajemniczą, ale nic nie mówią o znaczeniu tego symbolu. Ktoby przypuszczał, że księga, zasłaniająca lice męża, służy do zaznaczenia jego niewidzialności, nieznajomości, ignorowałby cel (choćby tylko literacki) wizyi księdza Piotra. Celem tym jest prze-

[1]) Str. 67.

cież odsłonięcie, choćby w formie proroczej przyszłego wskrzesiciela, którego X. Piotr znał jako dziecko, poznał jako męża. Więc księga zasłaniałaby go tylko przed czytelnikiem wizyi, a takie igranie z czytelnikiem przy komponowaniu wizyi absolutnie udowodnić się nie da. Zresztą w tekście księga, rozpięta nad głową męża, nie zasłania jego lica, lecz je tylko osłania, ocienia jak baldachim, jak parasol. W każdym razie sama twarz przez to mniej jest wyraźna.

Jeżeli owa księga niema być konwencyonalnym rekwizytem i attrybutem proroczym i jeśli X. Piotr spodziewał się, że Konrad zapomocą pism zrealizuje misyę Polski i Słowiańszczyzny, to owa księga mogłaby być tem dziełem, które w najbliższym czasie miało wśród pielgrzymstwa polskiego przygotowywać zmartwychwstanie Polski. Zidentyfikowawszy ją zaś z Księgami narodu i pielgrzymstwa polskiego, nie moglibyśmy za przypadkową uważać koincydencyi anonimowego wydania owych Ksiąg i osłaniania lic męża przez księgę. Księga osłania lica męża, bo jej autor nie chciał być przez szeroką publiczność poznany. I taka hipoteza trąci igraniem z czytelnikiem, ale i sama przez się się nasuwa i znajduje potwierdzenie w gromowym głosie z nieba, wołającym (jak przy chrzcie Chrystusa w Jordanie): „To namiestnik wolności na ziemi widomy". Widzieliśmy zaś powyżej, że nazwa namiestnika łączy się ściśle z emigracyą i Księgami pielgrzymstwa.

Dotychczas wymienione były attrybuty męża przyszłości i zarysowana jego działalność: Nieprzyjaciele Polski legną podnóżkiem pod jego stopami, Słowianie zjednoczą się jego sprawą w nowy Kościół. Następuje formuła, ujmująca treść jego żywota: trud trudów. Jest ona i sama przez się zrozumiała i łączyć się może ze wspomnieniem owego bohatera z Ody do młodości, który dzieckiem w kolebce łeb urwał hydrze, młodzieńcem zdusił Centaury, a mężem piekłu wydarł ofiarę i do nieba sięgnął po laury. Wobec jego dwunastu trudów zadanie męża przyszłości jest trudem trudów. Jeśli poeta podaje w dalszym ciągu t y t u ł swego męża, to idzie za przykładem Malachiasza czy Opata Stanisława, którzy, jak widzieliśmy, jedynie z pomocą takich tytułów (np. crux de cruce, flos florum) oznaczają przyszłych bohaterów w tya-

rze czy koronie. Wybór tytułu wskrzesiciela Polski łączyłby się z messyanistyczną misyą Polski, która uważana była za naród wybrany z narodów, za naród narodów czyli inaczej lud ludów.

V.

Gdyby to podanie tytułu męża wizyi zamknęło samą wizyę, objaśnienie jej byłoby poszło oddawna jedynie dopuszczalnymi torami egzegezy historyczno-literackiej, wysnutej ze związku z całym poematem i poglądami Mickiewicza na rolę Polski, Słowiańszczyzny i człowieka przyszłości; oddawna byliby uczeni poznali to, co staraliśmy się powyżej uzasadnić, że bohaterem owej wizyi mógł być tylko bohater Dziadów części III, Konrad, o którym poeta podał tylko to, co wiedział sam o sobie w chwili pisania wizyi, t. j. że jako autor Ksiąg Narodu Pielgrzymstwa polskiego pracować będzie nad ziszczeniem ideałów mesyanistycznych. Jedyną wycieczką w przyszłość był dodatek: i że je ziści. Ale ten dodatek, to tylko wyraz wiary w posłannictwo narodu i swoje, wiary, bez której nie mógłby był pisać Ksiąg pielgrzymstwa.

Ostatecznie więc odnosząc wizyę do Konrada, uznajemy przecież, że poeta wyposażył go w rysy własne, chociażby tylko w autorstwo Ksiąg narodu i pielgrzymstwa. A jeżeli tak jest, to przecież nie dalecy od rozwiązania zagadki byli ci, którzy twierdzili, że Mickiewicz kazał X. Piotrowi przepowiedzieć — A. Mickiewicza. Jest to, jak wspomniałem, wersya emigracyjna, rozważana także przez Leona Zienkowicza[1]), prawie akceptowana przez Wojciecha Cybulskiego[2]) w berlińskich odczytach o poezyi

[1]) Wizerunki polityczne literatury polskiej, Lipsk, 1867, t. I, str. 176: „Może to być, że w tej zupełnej dezorganizacyi, w jakiej żył naród, kiedy wyglądano zbawcy, messyasza, owego czterdzieści cztery, każdy się pytał siebie, czyli nim nie jest. Może nawet były chwile, iż nie jeden v. to wierzył, a pierwsze prawo do tego przyznawali poecie“ We formie humorystycznej objaśnia tenże autor widzenie X. Piotra w Albumie Pszonki 1845 str. 539 n, podając niby Towiańszczykowskie objaśnienie, że 44 oznacza syntezę Jezusa Chrystusa (13 liter), Napoleona Bonapartego (17 liter) i Adama Mickiewicza (14 liter), por. Jan Strojek, Rok polski I, 1916, grudzień.

[2]) Odczyty o poezyi polskiej: „Zbawcą ma być dziecko, zbiegłe z pomiędzy zesłanych na Syberyę, które ma być już dorosłem. Czy nim ma być Towiański

polskiej w r. 1842/3 i 1844/5, szeroko udowadniana przez Stanisława Ptaszyńskiego[1]), nowymi poparta „argumentami“ przez Teodora Wierzbowskiego[2]), potem przez Jerzego Ohra (Słowo, 1904), a przedewszystkiem przez J. Chrzanowskiego (Słów kilka o Mickiewiczowskiem 44. Gazeta narodowa, 1904, nr. 295, wigilijny). Prof. Chrzanowski wyranie mówi o Konradzie-Mickiewiczu, jako przedstawicielu pielgrzymstwa (to dziecię, które uszło rąk Heroda). — Dlaczego ta wersya się nie przyjęła? Głównie z powodu fatalnych tłumaczeń arytmografu, na którym budowano jej udowodnienie. Cybulski pisał: Der Vorname (Adam) hat vier Buchstaben, der Familienname (Mickiewicz) 10, also 4 mal 10 ist 40, dazu die 4 Buchstaben des Wortes Name (imię) ist 44. — Takiej zasady gematryi, by ilość liter imienia mnożyć przez ilość liter nazwiska, a nadto dodawać do tego ilość liter wyrazu imię, skądinąd nie znamy. Mimo to „droga, jaką poszedł Cybulski przy swoim domyśle, usiłując z głosek imienia i nazwiska otrzymać liczbę tajemniczą, wogóle wydaje się najprostszą“ S. Ptaszyńskiemu. Ina-

---

lub też sam poeta, który z pomiędzy wygnańców sam jeden dostał się za granicę i ocalił? Mógłbym w to ostatnie prawie wierzyć, gdyż poeta przytacza w przedmowie, że on jeden tylko uciec zdołał, a w pierwszej improwizacyi, gdzie ksiądz modlitwą ratuje Konrada, mówi: Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary.. on poprawi się jeszcze, on wstawi twe imię“ Za Cybulskim idzie Antoni Mazanowski, Adam M. od r. 1829—1732. Przew. nauk. liter. 1884, str: 144: Widzenie księdza Piotra, to nic innego, jak dzieje kwestyi polskiej przed i bezpośrednio po powstaniu (1831) i w chwili, kiedy poemat się pisał. Jeden z wywiezionych na północ uszedł — to może sam poeta... Że nazywa się wskrzesicielem narodu, jest może wyrazem po części własnej siły, po części wiarą w to, co mu powiadali przyjaciele... Dzieje męża o trzech obliczach, trzech czołach, trzech stolicach u podnóża, który jest nadto namiestnikiem wolności na ziemi, to znów dzieje Polski, ale w przyszłości... Nie da się wyjaśnić dwuwiersz: „Z matki obcej, krew jego dawne bohatery, a imię jego czterdzieści i cztery“. Trzeba atoli zapisać takowy na karb przypadkowości, gdyż poeta sam był w kłopocie co do jego rozumienia.

[1]) Mąż czterdzieści i cztery, Poznań 1895, str. 155. Zasługą Ptaszyńskiego jest zestawienie wielu formalnych parallel z proroctw biblijnych i rzeczowych materyałów z Mickiewicza do objaśnienia Widzenia ks. Piotra.

[2]) Artykuł Kuryera warszawskiego, przedrukowany w lwowskim Tygodniku, Dodatku lit. do Kuryera lw. Rok V nr. 38, 19 września 1897. Interpretacya wizyi nie posunięta naprzód dowód oparty o nowe rozwiązanie liczby z poprzedzającym ją wierszem.

czej ją tylko konstruuje. Bierze mianowicie dwa chrzestne imiona poety: Adam, Bernard, trzecie podobno z bierzmowania: Napoleon; nadto ubiera poetę jeszcze w imiona trzech jego bohaterów: Gustaw, Alf, Konrad; dodawszy do tego nazwisko: Mickiewicz, stwierdza, że te siedm wyrazów liczą razem 44 litery. Wierzbowski wypowiada „krótkie słowo w długiej sprawie", przeciwstawiając kombinacyom liczbowym — „fakta": Wywód szlachectwa, złożony przez Mickiewicza przy wstąpieniu do seminaryum nauczycielskiego w Wilnie, ma liczbę registratury: 445, a dyplom stopień kandydata filozofii nr. 4244. Przez „assocyacyę pojęć" i „refleks pamięci" z owych numerów registralnych dostało się do wizyi ks. Piotra 44... Czwartą próbę nieznanego mi krytyka[1]), przytacza A. Niemojewski[2]): Adam, napisane po hebrajsku, daje w sumie 44, jako że dalet równe 4, mym równe 40. Początkowe aleph przy tem samowolnie jest opuszczone. Piątą przedsięwziął Daniel Toporski (przytoczony w redakcyjnym artykule Przeglądu literackiego, 1897 nr. 13 i 14), który w monogramie MA każe A odwrócić jako ∀ i My czytać jako — 44. Prof. Chrzanowski, biorąc asumpt z notatki Tołstoja (w Wojnie i Pokoju) o masońskiej modzie oznaczania osób zapomocą cyfr, przypomina, że Zan był masonem, i Mickiewicz mógł się tą sprawą zajmować. Przyjąwszy to, skonstruujmy alfabet, w którym a—k równe 1—10, l—t równe 20—100, u—z równe 110—160, w takim razie Adam Mickiewicz równe 1, 4, 1, 30, 30, 9, 3, 10, 9, 5, 130, 9, 3 i 160, suma 404, co można czytać jako 40 i 4. Do tego suma jedności daje liczbę 44.

Interpretacya pewnych szczegółów widzenia na rzecz Mickiewicza u przytoczonych historyków literatury jest zupełnie meto-

---

[1]) Może ma na myśli Władysława Mickiewicza (Mélanges posthumes d'Adam Mickiewicz II, 1889), który bierze za podstawę wartości hebrajskiego daleth (4) i mym (40), by w sumie ich znaleźć wyraz „mad" = rozszerzanie. „Quand Mickiewicz dit: son nom est 44, on peut entendre: son nom est étendeur... le caractére essentiel de la troisiéme ère réligieuse est extension selon les besoins de ce temps, qui sont d'étendre chaque jour d'avantage l'application politique et sociale de la réligion".

[2]) Któż ten mąż? (Widzenie ks. Piotra, Dziadów cz. III, sc. V), Kraków, 1903, str. 19.

dyczna; ale sposób objaśnienia liczby tajemniczej osłabia wszystkie nawet trafne wywody poprzednie. Cóż dopiero powiedzieć o tych rozwiązywaczach zagadki, którzy bohatera wizyi z zewnątrz wnoszą do tekstu, mówiącego o dziecięciu i mężu, i obliczają jego imię jeszcze fantastyczniej. Poważnie można brać tylko pracę dra E. Krzyszkowskiego (Czterdzieści i cztery, Czerniowce 1888. 2 wyd. uzup. 1903), który przedstawiwszy kult Mickiewicza do Napoleona i Napoleonidów, sądził, że poeta, posługując się metodą Dantejską (Purg. 33, 43: nel quale un cinquecento diece e cinque: pięćset dziesięć i pięć ma oznaczać DVX, przyczem przestawienie dwóch ostatnich cyfr jest samowolne[3]), wyraził początkowe litery wyrazów Xiążę Ludwik Napoleon: XLN, przyczem N ma być identyczne z rzymską IV. Hipotezę tę odświeżył niedawno dr W. H. w krakowskim Kuryerze codziennym (nr. 264 r. 1913), dodając od siebie nową, że 44 może być pamięciowym refleksem roku 44 przed Chr., daty śmierci Cezara. Na podobnym tropie chronologicznym była już Henryka Ewa hrabianka Ankwiczówna, która pisała do poety (Kor. Mick. III, str. 175): „W całem polskiem towarzystwie o niczem innem nie rozmawiają (jak o poezyach Mick.), jednogłośnie je uwielbiają, każdy inaczej tłumaczy ten prześliczny kawałek: Xiędza Piotra Widzenie. Utrzymują, że Pan masz w myśli jakiegoś nieznanego bohatera; mnie jednej to zdaje się zupełnie do Polski stosowane, nawet czterdzieści cztery nazwisko, rozumiem być jakąś alluzyą do tyluż lat jej niewoli, które od trzeciego podziału jeszcze nie upłynęły, a więc sześć lat zostawałoby do uwolnienia zupełnego naszej biednej ziemi. Czy tak jest, chciej Pan nam donieść.“ Wiadomo, że poeta na listy hrabianki wtedy już nie odpowiadał.

Drugą grupę objaśniaczy prowadzi rabin Benjamin z Jerozolimy, wspomniany przez Władysława Mickiewicza (Melanges posthumes d' Adam M., II, Paryż 1879). Ów rabin sądził, że poeta miał na myśli pojęcie zbiorowe LVD. Jeśli zwyczajem żydowskim od końca czytamy litery, biorąc je w znaczeniu liczb rzymskich,

[3]) Należałoby raczej użyć do rozwiązania tej zagadki gematryi sybillińskiej, więc pięćset razy dziesięć i pięć.

to D równe 500, LV równe 55, 500 mniej 55 równe 445. Według zasad kabalistyki skreśla się liczba 5, zostaje więc 44. Władysław Mickiewicz zapytuje się, coby powiedział na takie wyjaśnienie jego ojciec i dodaje: Przypominam sobie wiarę ojca w konieczność silnych indywidualności i ufność w przybycie zbawcy osobistego. — Niezależnie od Benjamina z Jerozolimy to samo rozwiązanie zagadki znaleźli inni w inny sposób: Włodzimierz Łuskina[1]) w powieści Wielki Rok (1892) wziął za podstawę obliczań numeryczne znaczenie alfabetu, w którym każda litera oznacza cyfrę naturalnego szeregu liczb, więc a równe 1, b równe 2, c równe 3 i t. d. Otóż Lud równe 14 więcej 25 więcej 25. Taką samą wartość ma wyraz Duch (5 więcej 25 więcej 4 więcej 10) i wyraz My (16 więcej 28). Więc zamiast jednej mamy aż trzy 44. Zasłużony tłumacz Mickiewicza na niemieckie, dr. Zygfryd Lipiner (Widzenie ks. Piotra, Krytyka I, 1904, str. 303), przedstawiwszy obszernie, że zbawcą Polski ma być ta warstwa społeczeństwa, która do r. 1831 uszła prześladowań tyranów i pochodzi z matki obcej (w stosunku do lechickiej szlachty), sprawdza swe wywody rachunkiem, że forma rządu ludowego, gmina[2]) (g równe 7, m równe 13, i równe 9, n równe 14, a równe 1), to właśnie 44. Słusznie tu dr W. Horodyski (Kuryer codzienny, 1916, nr. 261) zwraca uwagę, że taksamo np. wyraz r a b i n miałby znaczenie 44 i że podobnych kombinacyi może być większa liczba zależnie od ukształtowania alfabetu. Jeżeli do alfabetu wprowadzi się ą, ę, ć, ś, ż, ź, to wartości liter będą inne niż bez nich; taksamo jeśli się pominie np. j, q, v. Wszystko zależy od konstrukcyi alfabetu. Toteż A. Lange (Przegląd liter., Kraków, 1897, nr. 13/14) przyjąwszy, że w alfabecie a—i równe 1—9, j—r równe 10—90, s—y równe 100—600, z równe 1000, obliczył, że pierwszy werset Modlitwy Pańskiej (Ojcze nasz, któryś jest w niebie) daje jako wartości wyrazów: 1078, 1151, 1070, 315, 400, 80. Jeśli

[1]) Przypomniała o tem pani M. Wysłouchowa w Tygodniku dod. lit. do Kur. lw. 1897. nr. 41, str. 321.

[2]) Bez szukania jakiegokolwiek znaczenia w liczbie 44 uznaje za bohatera wizyi cały naród polski J. K. Brzostowicz, O widzeniu ks. Piotra z III cz. Dziadów (Krosno 1912).

teraz w każdym wyrazie zesumujemy poszczególne liczby (w pierwszym jeszcze 16 równe 7), to 7, 8, 8, 9, 4, 8 daje razem 44.

Komu nie wystarczał skombinowany alfabet polski, ten brał do pomocy starosłowiański, ale z opuszczeniem tych liter, których niema w nowszych językach słowiańskich. Więc Andrzej Niemojewski (Któż ten mąż? Kraków 1903), doszedłszy drogą interpretacyi Widzenia X. Piotra, że to — Litwa, poparł swój wywód rachunkiem Władysława Wołoszyńskiego.[1]) W alfabecie starosłowiańskim litery az — twerdo mają wartość 1—19. Więc l równe 12, i (że) równe 9, t równe 19, w równe 3, a równe 1, razem 44. To samo wypływa z alfabetu Rusinów galicyjskich.

Od takich rachunków, zwłaszcza w rodzaju Langego niedaleko było do — maniactwa. Widnieje ono już z tytułów takich publikacyi, jak: „Któż ten mąż? 44?... Otom ja! Otom! ja! Kazymir Stanisław Jasieńczyk Jabłoński z Leżajska“ (Kraków, 1895), lub „44 — Księga Tajemnicza — Złoty róg“ — Stefan Rogalski (Kraków, 1917)...

Wobec takich metod i takich rezultatów inni uczeni zrezygnowali z zajmowania się zagadką liczbową w widzeniu ks. Piotra. P. Chmielowski (Adam M. Zarys biogr. liter. Kraków—Warszawa, 1886. II, str. 125) pisze: „Przepowiednia ta, której sam poeta objaśnić naówczas nie umiał, daje się zrozumieć psychologicznie co do swego powstania...“ Chwilową assocyacyę mógł poeta „uważać za symboliczną, i lubo sam jej wytłómaczyć nie zdołał, postanowił zatrzymać w poemacie, ażeby wskazówki nie stracić dlatego tylko, że analiza rozumowa wyjaśnić jej nie mogła“. M. Kawczyński (Przyczynki do wyjaśnienia Improwizacyi Mickiewicza i Trzeciej części Dziadów, Rozpr. Wydz. filol. Akad. Krak., t. 21, 1894, str. 27) oświadcza, że skoro nikt dotąd w końcowych wierszach Widzenia sensu nie znalazł i on go szukać nie będzie: „Trzeba sobie wyobrazić poetę w stanie na pół przytomnym, gdy pisał to proroctwo; sądził może, że oddaje rękę i pióro wyższej, nadziemskiej inspiracyi, podczas gdy w rzeczywistości oddał je imaginacyi, nie kontrolowanej rozwagą i rozsądkiem“. Szymon Ma-

[1]) Sam Niemojewski przedstawił kombinacye liczbowe w artykule „Gematrya i Dziady“. (Bibl. nauk., Warszawa, 1904, str. 308 nn.

tusiak (O Dziadach Mickiewicza, lwowski Przegląd 1903, nr. 193, artykuł ostatni z długiej seryi) orzekł, że liczba 44 nie znaczy nic; równie dobrze mógłby poeta w razie potrzeby użyć do rymu 33 i t. p.; to należy do techniki stylu proroczego. Wreszcie S. Tarnowski (Hist. lit. pol. V, Kraków, 1900, str. 18) ostrzega: „Chcieć odgadnąć, co Mickiewicz rozumiał przez swoje czterdzieści cztery, przez człowieka, który stoi na trzech koronach, a sam bez korony, toby było upierać się nad rozwiązaniem zagadki, która rozwiązaną być nie może". Rezygnacya to zrozumiała co do samej liczby 44, ale nie koniecznie rozciągnięta na całe widzenie męża przyszłości, skoro, jak widzieliśmy, nie trudno udowodnić, że mógł nim być ze stanowiska ks. Piotra i w związku z całą Dziadów cz. III. i współczesnemi Księgami narodu i pielgrzymstwa polskiego, tylko bohater poematu, Konrad, wyposażony w wiele rysów samego poety z r. 1832.

VI.

Na tym wywodzie moglibyśmy poprzestać, objaśniając określenie bohatera przez liczbę 44 analogią stylu proroczego (Apokaliptyczne 666) i wpływem czwórek St. Martina, gdyby nie świadectwo samego Mickiewicza, potwierdzające nasze objaśnienie, ale i zachęcające do ponownego podjęcia gematryi. Ogłosił je M. O. Świerz w krakowskim Czasie z 5 listopada 1913, nr. 511[1]) z rapperswilskich papierów S. Goszczyńskiego (Brulionik p. t.: Do przemówienia o Mickiewiczu nad jego grobem, Teka I). Goszczyński zanotował: „Moja rozmowa o sławnem 44 w jego „Dziadach" i w ogólności i całym ustępie proroczym. — Kiedym go pytał, co w rzeczywistości rozumiał przez tę liczbę 44, odpowiedział mi, opowiadając obszernie pracę swoją nad tem miejscem Dziadów. Było to w Dreźnie. Miał nadzwyczajne natchnienie. Przez trzy dni nie mógł się oderwać od pisania. Stół zasłany był czystym

[1]) Stąd powtórzyły inne dzienniki, nieraz w artykułach n. p. B A. Piskozub. A imię jego 44, Słowo Polskie 1913, nr. 538, str. 9; Z badań nad Mickiewiczem Słowo warsz. 1913 z 1 grudnia; Hołyński: Jeszcze 44, Świat, 1914, nr. 28, str 5.

papierem, a on cały dzień prawie leżał na stole i pisał. Zaledwie tyle tylko odrywał się od pracy, o ile było potrzeba niekiedy zjeść cokolwiek, zaczem wracał natychmiast do siebie i ciągnął dalej pracę. Kreśląc obraz proroczy tego męża, Zbawcy polski, zdawało mu się, że tym mężem on będzie. Nie płynęło to z zarozumiałości, bo czuł cały ogrom ofiary, leżący w takim człowieku, trudzie trudów. Rysy, którymi kreśli tego męża, rzucał bezwiednie, bez żadnego rozmysłu; nie zdawał sobie podczas pracy sprawy z tego obrazu i dzisiaj zdać jej nie umie. Podobno położył liczbę 44, nie wiedząc dlaczego tę liczbę, a nie inną położył; położył ją, bo mu sama nastręczyła się w chwili natchnienia, gdzie nie było miejsca dla żadnego rozumowania."

Rozmowa powyższa nie jest datowana, ale można przypuszczać z pewnem prawdopodobieństwem, że Goszczyński pytał się o znaczenie 44 wnet po zetknięciu się z Mickiewiczem w Paryżu, dokąd przybył w roku 1838. Gdyby rozmowa odbyła się była w kilka lat później, kiedy obaj interlokutorzy wierzyli już w Towiańskiego, nie wypadłaby była inaczej, jak ostatnia lekcya kursu literatury słowiańskiej. Od tego drugiego objaśnienia, także „autentycznego", tamto pierwsze różni się tem, że polega na uprzytomnieniu sobie przez poetę drezdeńskich chwil, wypełnionych pisaniem Dziadów cz. III. Nic dziwnego, że assocyacye myślowe z r. 1832 już się zatarły w pamięci poety. Tyle pamiętał: Zdawało mu się (wtedy przy pisaniu), że tym mężem on będzie. Otóż to wspomnienie zmusza nas do uznania, że w Konradzie jest więcej Mickiewicza, niż powyżej przypuszczaliśmy. Mąż z Widzenia miał być nietylko tworem fantazyi poety, osobą literacką, Konradem, ale także samym Mickiewiczem. To objaśnienie pozwala nam zrozumieć, dlaczego poeta daje mu genealogię, matkę i ojca. Konrad matki i ojca nie miał. O sobie mógł powiedzieć Mickiewicz, że krew jego dawne bohatery, skoro potem w Panu Tadeuszu (IV, 336) pisał, choć w tonie żartobliwym: „Poraj, krzyknął cMikiewicz z mitrą w polu złotem, — herb książęcy, Stryjkowski gęsto pisze o tem". Nie potrzeba tu wypisywać herbowych legend Stryjkowskiego o Poraju. Wystarczy notatka, oparta na informacyach samego poety, kolegi Mickiewicza, profesora w College de

France, Ludwika de Lomenie (Gallerie des contemporains illustres, Paryż 1841), w której czytamy: „La famille de Mickiewicz est une des plus anciennes du pays. Plusiers pretendent, quelle appartient a la mene souche que celle des princes Giedroyć". Tę samą tradycyę podtrzymuje syn poety, Władysław (Ad. Mick., Sa vie et son oeuvre, Paryż 1888): „Adam M. appartenait a une famille, a laquelle une tradition pretait une urigine princiere". Ta tradycya zupełnie wystarczała poecie, aby swych przodków po mieczu nazwać dawnymi bohaterami, oczywiście litewskimi. Ale dlaczegóż w takim razie matka obca? Prof. Wierzbowski wnioskuje zbyt logicznie, że skoro ojciec Mickiewicza, herbu Poraj, był Litwinem, to matka, Majewska, jak sama końcówka nazwiska wskazuje, była pochodzenia — polskiego i dlatego obca — Litwinom! Raczejby przyjąć należało domysł Jerzego Ohra, że matka obca — to matka Barbara, boć barbarus znaczy: cudzoziemski, obcy. Ale takie przypuszczenie zbyt byłoby dowcipne. Więc lepiej nie przeciwstawiać obcej matki dawnym bohaterom, tylko cały wiersz brać za określenie rodu — litewskiego. Pewne akcentowanie litewskości, widniejące choćby z inwokacyi Pana Tadeusza, wystarczająco oświetlili Ptaszyński (str. 41 nn) i Niemojewski (14 n) tak, że tu możemy poprzestać na takiem stwierdzeniu: B o h a t e r, wskrzesiciel Polski będzie pochodził z Litwy (z matki obcej) z rodu wywodzącego się od dawnych bohaterów. Hipotezę o żydowskiem pochodzeniu Barbary Majewskiej, opartą na późnej tradycyi Fr. Ksawerego Branickiego (w przekładzie Rabina Gabryela „Bramy pokuty", 1879), a podpieraną kombinacyami T. Wierzbowskiego (Z badań nad Mickiewiczem i utworami jego, Warszawa 1916) możemy pominąć po artykule S. Pigonia (Sprawa o matkę A. Mickiewicza, Rok polski, I, 8 października 1916, str. 10 nn).

Zostaje nam tylko połączenie liczby 44 z imieniem Mickiewicza. Przyda nam się do tego poniekąd ustęp z autobiografii powieściopisarza niemieckiego Alfreda Meissnera (Geschichte meines Lebens, Wien u. Teschen 1884), przytoczony przez Ptaszyńskiego (str. 71 n). Meissner odwiedził Mickiewicza w Paryżu w lutym r. 1847: Sodann kam er auf Polen zu sprechen und erzählte,

dass es eine alte Wahrsagung gäbe: Polen werde befreit werden durch einen Mann, dessen Name 41 Buchstaben habe. Dieser werde einen Bund von 41 Städten stiften und ein Heer von 41 Legionen aufstellen. Mickiewicz schien an diesen Unsinn fest zu glauben, er äusserte die Ueberzeugung, dass dieser Heiland bereits geboren sei. Schliesslich gab er mir sein Werk „Le Messianisme" mit, in welchem Napoleon für einen Heiland erklärt wird". Liczbę 41 uważa Ptaszyński za pomyloną z zapomnianych po 40 latach 44. Ale czy nie łatwiej zapamiętać liczbę podwojoną 44 niż czterdzieści i coś? Raczej mógł Meisner zapomnieć, w jaki sposób Mickiewicz łączył tę liczbę z imieniem przyszłego zbawcy Polski: trudno bowiem przypuścić, aby czyjeś imię miało się składać z 41 liter. Między liczbą a imieniem musiał więc inny zachodzić związek. Mniejsza o to, czy Mickiewicz w r. 1847 myślał już o swej bliskiej roli politycznej, o legionie włoskim i t. d. W każdym razie na militarne wystąpienie Towiańskiego już wtedy nie liczył. Może więc wrócił do wiary, że przecież on będzie owym organizatorem 41 legionów... Jeżeli teraz przypomnimy sobie system gematryi sybillińskiej, według którego nazwisko oznacza się jego pierwszą literą, wyrażaną liczbą (według alfabetu greckiego), to według tego systemu Mickiewicz oznacza się przez M równe 40, Adam przez A równe 1. Imię jego byłoby 41, a tę właśnie liczbę zachował Meissner. Ale w widzeniu czytamy 44. Otóż zamiast twierdzić, że Mickiewicz pierwotnie oznaczył swe imię przez 40, a potem dla odróżnienia się od braci i innych imienników dodał Adam, wyrażone liczbą czterech głosek (stąd nie czterdzieści cztery, lecz czterdzieści i cztery), raczej należy tu przypuścić owe refleksy pamięciowe z Apokalipsy (666) i St. Martina (znaczenie czwórki). Materyału do takich refleksów mogły mu dostarczyć i inne miejsca Apokalipsy, np. 7, 4: I słyszałem liczbę pieczętowanych: sto i czterdzieści i cztery tysiące; 14, 1: Baranek stał na górze Sion, a z nim sto czterdzieści i cztery tysiące, mających imię jego zapisane na czołach swoich; 21, 18: I mierzył mur jego (miasta, nowej Jeruzalem) sto czterdzieści i cztery łokcie miary człowieczej i która jest aniołowa.

Specyalnie zakończenie pytagorejskiego dzieła Saint

Martina: Des erreurs et de la verite (ou les hommes rappeles au principe universel de la science, drugie wyd. 1781) mogło wpłynąć na wymienienie czwórki łącznie z imieniem człowieka przyszłości. Brzmi ono (str. 533): „Cóż może lepiej jak ten kwadrat przypomnieć nam wybitne stanowisko, przyznane człowiekowi przy jego początku? Ten kwadrat jest sam jedyny, jak zasada, której jest produktem i obrazem; miejsce, które człowiek zamieszkiwał, jest takie, że nie można będzie z niem nigdy porównać żadnego innego. Ten kwadrat wymierza cały obwód; człowiek na łonie jego państwa obejmował wszystkie strony wszechświata. Ten kwadrat jest utworzony z czterech linii; stanowisko człowieka było zaznaczone czterema liniami komunikacyjnemi, które się ciągły aż do czterech punktów kardynalnych horyzontu. Ten kwadrat wychodzi ze środka i jest jasno zaznaczony przez cztery współbrzmienia muzykalne, które zajmują właśnie środek gamy i są zasadami twórczemi przy wszystkich pięknościach harmonii... Nie trzeba się zdumiewać, że jeżeli z tej jednej zasady (kwadratu) pochodzą wszystkie prawdy i wszystkie światła, a emblem czwórkowy jest jej najdoskonalszym obrazem, ten emblem mógłby oświecić człowieka w wiedzy o wszystkich naturach, to znaczy o prawach porządku niemateryalnego, porządku czasowego, porządku cielesnego i porządku mieszanego, które są czterema kolumnami budowli; jednem słowem, trzeba przyznać, że ten, kto będzie mógł posiadać klucz tej cyfry uniwersalnej, nie znajdzie dla siebie więcej nic skrytego w całej istności, skoro ta cyfra jest cyfrą samego Bytu, który wydaje wszystko, sprawia wszystko, obejmuje wszystko". Ten klucz daje jedynie uniwersalna Przyczyna, która, „choć tkwi przy źródle wszystkich liczb, jednak objawia się specyalnie przez liczbę kwadratu, a ten jest zarazem liczbą człowieka". Zrozumieć to można jedynie na tle całego dzieła, ale wiemy, że Mickiewicz pilnie studyował St. Martina, jak jego mistrza Jakóba Böhmego.

Materyału do refleksów mamy więc dość, ale same refleksy nie wystarczyłyby do objaśnienia liczby, wprowadzonej w ustępie, w którym mimo stylu proroczego żaden szczegół nie okazał się bez znaczenia. Kto bohaterowi literackiemu dał krew

i kości, kto mu dał ziemską genealogię, ten musiał też zdawać sobie sprawę z jego rzeczywistego imienia. To imię, a raczej nazwisko według zasad stylu proroczego dało się wyrazić przez 40, z praenomen przez 41 lub 44. Jeśli poeta obrał drugą liczbę, to na to dopiero (a nie na samo określenie imienia) wpłynęły refleksy pamięciowe.

Przy tej gematryi, jak przy genealogii i przy księdze tajemniczej musieliśmy męża przyszłości identyfikować z samym Mickiewiczem, skoro poeta te własne rysy przeniósł na Konrada. Ale jak cały Konrad nie jest wiernym konterfektem historycznego Mickiewicza, tylko fikcyą, ożywioną myślą i uczuciem poety, tak mąż przewidziany przez X. Piotra nie jest historycznym Mickiewiczem, tylko bohaterem Dziadów cz. III i nienapisanej dalszej. Mimo wiary Mickiewicza w własne natchnienie, dar proroczy i własną misyę, poeta w widzeniu X. Piotra, stanowiącem integralną część Dziadów, nie puścił się za granice dostępnych mu wtedy, w r. 1832, wiadomości i zamiarów — i jak widzenie przyszłej Polski przerwał na emigracyi r. 1832, tak i o mężu przeznaczenia powiedział tylko to, co wtedy było mu nie z natchnienia, lecz z doświadczenia wiadome.

To też stwierdziwszy naturalny, literacki charakter owego widzenia, nie potrzebujemy do jego objaśnienia żadnych elementów irracyonalnych. Te występują przed nami dopiero w chwili, gdy zajmujemy się psychologią Mickiewicza, jako mistycznego polityka. Ale nie do nas już należy objaśnienie, jakiemi drogami doszedł Mickiewicz do uznania siebie czy Towiańskiego za męża przyszłości w rozmowie, zanotowanej przez Goszczyńskiego, w drugiej, zachowanej przez Meissnera i wreszcie w ostatniej lekcyi kursu literatury słowiańskiej. To pewna, że życie przekonało go o błędzie w odnoszeniu owej misyi do siebie, do Towiańskiego, znów do siebie (przed wystąpieniem z legionem włoskim). Mimo to nie stracił wiary w przyszłego zbawcę narodu, jak nie stracił ufności w przyszłe zmartwychwstanie Polski. Pozostało też w nim przekonanie, że zbawca Polski wyjdzie z Litwy, jak o tem świadczy notatka Lenartowicza (Listy o Mick., str. 70). Donosi on, że w r. 1855 w wigilię swego wyjazdu na Wschód

udał się Mickiewicz z nim i Bohdanem Zaleskim do lasu Fontainebleau, gdzie dzieci Zaleskiego zbierały grzyby: Przypomniało to poecie ojczystą Litwę i opisy jej kras w Panu Tadeuszu. Pod wpływem tych wspomnień powiedział do Lenartowicza: „Tak, tak bracie, już ja to niejednemu mówiłem, że w lasach litewskich jest tam taki kąt, którego nigdy stopa wroga nie dotknęła i na tej ziemi urodzi się przyszły zbawca Polski".

Tadeusz Sinko.

Zmiany w znaczeniu gospodarczem wojny.

(Ciąg dalszy.)

VII.

W świetle wywodów o stosunku gospodarstwa wymiennego do odosobnionego i do niewoli łatwiej wyjaśnić zmniejszanie się znaczenia wojny jako sposobu zarobkowania. Te same czynniki, które złożyły się na mniejszą zdolność rozwojową gospodarstwa odosobnionego i opartego na niewoli, wchodzą w grę, gdy mowa o walkach i wojnach, jako sposobach zarobkowania. Także i w tym wypadku wywarły podobny skutek: okazało się niemożliwem dojść na tej drodze do pożądanego postępu gospodarczego.

Pisząc poprzednio o wojnie i o pokoju, o zwycięstwie pierwiastków pokojowych w dziejach ludzkości, zwracałem uwagę na to, że nie ma objawów ani wyraźnego wzrostu, ani wyraźnego zmniejszania się wojen. Mimo tego można mówić o zmniejszaniu się ich znaczenia, ponieważ wzrost i zacieśnianie się pokojowej styczności między ludźmi jest zupełnie widoczne i znaczne, skutkiem czego stosunek tych dwóch form współżycia ludzkiego zmienia się na korzyść pokojowej. Zupełnie podobny stan rzeczy stwierdzamy, rozpatrując to samo zagadnienie z gospodarczego punktu widzenia. Trudno na pierwszy rzut oka dopa-

trzeć się wyraźnych zmian w rozmiarach korzyści gospodarczych, które może zapewnić wojna. Niepodobna twierdzić bez popadnięcia w rażącą sprzeczność z rzeczywistością, jakoby dziś wojny były istotnie zyskowne, czy też jakoby uchodziły za bardziej zyskowne, niż dawniej. Niepodobna również twierdzić, jakoby dziś wojny w zupełności przestały być chwilowym zarobkiem dla pewnych warstw i dla zwycięskich narodów. Inaczej przedstawia się sprawa wytwórczości pokojowej pracy gospodarczej. Jej wzrost na podłożu przejścia do bardziej wolnościowego gospodarstwa wymiennego jest trwały, znaczny, pewny, oczywisty. W stosunku do niej zyskowność wojen uległa zmniejszeniu. Bardzo znacznemu, niezawodnemu zmniejszeniu ulega zyskowność walk, które się toczą nie w formie wojen — dowodem ich zanik.

Dziś człowiek w celach zarobkowych posługuje się chętniej gospodarstwem wymiennem, niż walką i wojną. Rzecz tem więcej zastanowienia godna, że poniekąd walka i wojna mogą uchodzić za bardziej naturalne sposoby zarobkowania, bardziej zgodne z pierwotnymi popędami natury ludzkiej. Rozpatrując stosunek gospodarstwa odosobnionego do wymiennego, miałem sposobność stwierdzić, że zupełnie mylny jest pogląd, jakoby człowiek miał naturalną skłonność do wymiany. Raczej można mówić o naturalnej skłonności do gospodarstwa odosobnionego i do nabywania dóbr cudzych podstępem lub przemocą. Gdy człowiekowi nie wystarczają dobra przezeń wytworzone, gdy odczuwa chęć posiadania dóbr cudzych, może jej zadośćuczynić, jeżeli posiadacz podaruje mu dobra, których pożąda. Ponieważ darowizna jest raczej zjawiskiem wyjątkowem, nie pozostaje mu nic innego w przeważnej części wypadków, jeno nabyć owe dobra w drodze wymiany lub przemocą. Wymiana, zwłaszcza jako objaw stały w życiu człowieka, wymaga ciągłej, systematycznej pracy, do której człowiek pierwotny odczuwa mało pociągu. Toteż dawniej zazwyczaj wolał nabywać cudze dobra przemocą, aczkolwiek przy tej sposobności często narażał życie. Uważał przemoc za tańszy sposób nabycia dóbr, ale z biegiem czasu zmienił zapatrywanie. Podjął się pracy, która stanowi założenie wymiany. Dlaczego?

Wszelkie walki z włączeniem wojen są mało wymierne i

przymusowe. Jedno i drugie jest sprzeczne ze stopniową, ogólną racyonalizacyą życia. Jedno i drugie jest gospodarczo mało korzystne. Dążności racyonalistyczne w życiu gospodarczem znajdują swój wyraz w ciągłém doskonaleniu gospodarstwa wymiennego. Niema dla nich sposobności rozwoju w toku walk i wojen.

Dziś „walka z naturą", prowadzona przez ludzi wspólnemi siłami, stała się popłatniejszą, niż dawniej, skutkiem czego stosunkowo zmniejszyły się korzyści, które można zdobyć w bardziej niebezpiecznej walce z bliźnimi. Dawniéj wyniki pracy gospodarczej były daleko więcej zależne od sił przyrody. Wobec nich wówczas człowiek był nad wyraz słaby. Praca gospodarcza dawała wyniki małe i niepewne. Dziś człowiek rozporządza daleko większymi możnościami pokojowego zarobkowania.

Zamożność sąsiada i dziś jeszcze jest aż nazbyt często solą w oku uboższego. Nasuwa myśl wydarcia mu z bronią w ręku jego bogactw. W miarę rozwoju wymiany ta myśl znajduje przeciwwagę w spostrzeżeniu, że bogactwo bliźniego można wykorzystać przez wymianę. Dawniej dopatrywano się w wymianie zysku jednej strony połączonego ze stratą drugiej, biorącej udział w wymianie. Dziś rozumiemy, jesteśmy ciągle świadkami, że wymiana jest w zasadzie korzyścią obustronną. Dobrobyt współczesnych jest większy, a zarazem powszechniejszy, niż dawnych pokoleń. Wniknął głębiej w warstwy ludowe. Ogarnia coraz więcej narodów. Wielkość i powszechność dobrobytu nowoczesnego są zjawiskami współzależnymi. Ów dobrobyt wyrósł z upowszechnienia się bardziej wolnościowego gospodarstwa wymiennego, którego założeniem wzajemność świadczeń, połączona z obustronną korzyścią. Gdyby wymiana była trwałym wyzyskiem, przestałaby dochodzić do skutku. Może ogarniać coraz szersze kręgi tylko w razie obustronnej korzyści.

Dobrobyt współczesny, oparty o udoskonalenia organizacyi gospodarczej i o postępy techniki, które przewyższyły najśmielsze nadzieje dawniejszych pokoleń, ogarnia coraz więcej narodów. Szybkie rozszerzanie się nowoczesnej organizacyi gospodarczej i techniki, jej zdolność łatwego przystosowania się do różnych środowisk naturalnych i społecznych, wynikająca przedewszystkiem

stąd, że odpowiada istotnym, i wśród ludzi najróżnorodniejszego pochodzenia wielce rozpowszechnionym właściwościom psychicznym, wpłynęła ujemnie na możność łatwego uzyskania znacznych, bezpośrednich korzyści wojennych. Dawniej zdobywano przestrzenie, zamieszkałe przez ludność nie posługującą się nowoczesnymi urządzeniami, przestrzenie, których bogactwa naturalne były jeszcze mało wyzyskane. Można było osiągnąć znaczne korzyści niemal bez pracy. Dawniej można było z bronią w ręku dotrzeć do rzek, z których piasku łatwo było wypłukać znaczniejsze ilości złota rodzimego. Dziś łatwo dostępnego złota napływowego niemal niema na świecie. Trzeba złoto uzyskiwać mozolną odbudową górniczą. Dawniej zdobywano lasy pełne zwierzyny, ziemie, które rodziły bez nawożenia. Dziś coraz trudniej o łatwo dostępne, jeszcze nie wyzyskane bogactwa naturalne. Szybkie upowszechnianie się udoskonaleń organizacyi gospodarczej i techniki pomniejsza zyskowność wypraw wojennych.

Szybkie upowszechnienie się techniki wojennej w czasach najnowszych (Japonia) wywołuje ten sam skutek, a więc powiększa ujemne oddziaływanie rozpowszechniania się techniki gospodarczej na zyskowność wojen. Rozszerzanie się techniki gospodarczej umniejsza możności osiągnięcia korzyści gospodarczych, wojennej — zwiększa koszta i ryzyko wojen. Pewne i łatwe zyski zapewnia wojna, gdy nieprzyjaciel jest znacznie gorzej uzbrojony. Łatwo zdobyć wielkie przestrzenie, gdy zdobywca walczy bronią palną, a przeciwnik łukami i dzidami. Te czasy minęły.

Przejęcie wyższej techniki gospodarczej (fabrycznej czy innej), rozpowszechnionej wśród jednego społeczeństwa przez inne staje się ich obopólną korzyścią. Powoduje wzbogacenie się społeczeństw poprzednio uboższych, skutkiem czego wzrasta ich siła kupna. Stają się lepszymi odbiorcami cudzych towarów. Międzynarodowe upowszechnianie się techniki gospodarczej jest zwiększeniem pokojowej wytwórczości ludzkiej. Międzynarodowe upowszechnianie się techniki wojennej wywołuje wprost odwrotne skutki. Zmniejsza wytwórczość gospodarczą wojen.

Rozwój techniki wojennej w czasach nowszych utrudnia osiągnięcie wielkich korzyści gospodarczych wojenną przemocą,

ponieważ, jak wykazała wojna współczesna, ułatwia bardziej obronę, niż napad, skutkiem czego wzrastają koszta pokonania przeciwnika. Wspominałem już o skutkach, wynikających ze stawania się zabiegów wojennych w coraz to wyższym stopniu pracą pod wpływem rozwoju nowoczesnej techniki.

Technikę wojenną i pokojową człowiek udoskonalił. W jednę i w drugą włożył dużo pomysłowości. Że udoskonalenie pokojowej człowieka wzbogaciło, jest widoczne, ale skutki gospodarcze postępów w technice wojennej są wielce wątpliwe. Technika pokojowa coraz bardziej obniża koszta wytwarzania w stosunku do wyników. Trudno stwierdzić obniżkę kosztów wojennych.

Silny wzrost wytwórczości pokojowej pracy gospodarczej umożliwił i skłonił ludzi do łożenia coraz to znaczniejszych kosztów na wychowanie i wykształcenie gospodarcze dorastających pokoleń. Koszta mogą się opłacić z chwilą, gdy jest uzasadniona nadzieja, że zwrócą się w większych zarobkach, uzyskanych skutkiem znaczniejszych nakładów, łożonych na wykształcenie. Szkoły rolnicze założono niedawno pod wpływem przekonania, że wzrastająca wytwórczość pracy rolnej może pokryć ich koszta. Większe nakłady, łożone na wychowanie potomstwa, są przejawem wzrastającej wytwórczości życia ludzkiego. Świadczą o niej większe zapasy dóbr, którymi człowiek współczesny rozporządza. — Wzrost wartości życia ludzkiego jest wynikiem postępów organizacyi i techniki gospodarczej, dzięki czemu człowiek obecnie wytwarza daleko więcej wartości w ciągu swego życia, czyli zużywa mniej czasu, mniej wysiłku na wytworzenie danego towaru. Wzrost wartości życia ludzkiego jest powiększeniem kosztów wojennych. Stawka, rzucana na szalę wypadków przez tego, kto chce zarabiać orężnie, stała się, gospodarczo rzecz biorąc, znacznie cenniejszą, niż dawniej.

Walczący, jak dawniej, tak i dziś, naraża swe życie, ale obecnie wartość życia ludzkiego jest większa, niż onegdaj. Także i dlatego, że udało się przedłużyć życie ludzi zamożniejszych i umysłowo pracujących.

Dalszą przyczynę wzrostu kosztów wojennych stanowi odmienne oddziaływanie wojen na gospodarstwa odosobnione i wy-

mienne. Los jednych i drugich, jeżeli są bezpośrednio narażone na klęski wojenne, pożałowania godzien. Życie gospodarcze zamiera w ostrzeliwanych wsiach i miastach. Chodzi o gospodarstwa mniej bezpośrednio dotknięte. Z pośród nich odosobnione i do nich zbliżone są w lepszem położeniu. Obecnie mamy sposobność ciągle stwierdzać, że wieś znosi lepiej przesilenie, wywołane wojną, niż miasto. Dlaczego? Ponieważ wojna godzi przedewszystkiem w pieniądz, w kredyt, w stosunki komunikacyjne, w cały splot urządzeń, na których polega łączność gospodarcza między ludźmi. Utrudnia wymianę, mniej gospodarowanie rolnika drobniejszego i średniego, który znaczną część ziemniaków i innych płodów swego gospodarstwa zużywa dla własnego wyżywienia i rodziny. Wojna godzi w wydajniejsze formy gospodarowania. Staje się kosztowniejszą w miarę ich rozwoju.

Straty wojenne są nieobliczalne, zwłaszcza, jeżelibyśmy zechcieli brać pod uwagę utracone zyski, „lucrum cessans" w przeciwstawieniu do „damnum emergens", jak mówią prawnicy. Wojna, oprócz strat istotnie poniesionych, zawiera w sobie jeszcze pewne uszczuplenie możności rozwojowych. Nie wiadomo, czem byłaby się zaznaczyła w życiu młodzież, która padła ofiarą wojny. Nie sposób stwierdzić wyraźną zwyżkę lub zniżkę nowoczesnych kosztów wojennych w porównaniu z dawniejszymi.

Rzeczywiście ponoszone straty w ludziach i w majątku z pewnością wzrosły, ale trudno orzec, czy wzrosły w stosunku do ogólnego zasobu bogactw, którymi człowiek rozporządza. Można tylko powiedzieć, że ludzkość z biegiem wieków stała się bardziej uzdolnioną do ponoszenia strat, wynikających z wojny, ponieważ jest liczniejszą, ponieważ rozporządza organizacyą gospodarczą i techniką wielce udoskonaloną w porównaniu z przeszłością. Oczywiście można uważać ludzkość za bardzo uzdolnioną do ponoszenia strat wojennych i do ich szybkiego wyrównania o tyle, o ile wojna nie pociągnie za sobą zbyt wielkich ofiar w ludziach i w majątku. Możność wykorzystania tego uzdolnienia zależy od zaprzestania wojny na dłuższy przeciąg czasu. Trudno ją urzeczywistnić w czasie trwania wielkiej wojny, pochłaniającej znaczną część sił ludzkich i bogactw. A wreszcie pamiętajmy, że założe-

niem tego optymistycznego poglądu jest dalszy postęp w organizacyi i w technice. Powoływanie się na możność stosunkowo łatwej i szybkiej odbudowy bogactw, zniszczonych przez wojnę, jest równoznaczne z przypomnieniem znacznego wzrostu wytwórczości pokojowej pracy ludzkiej.

Uskutecznienie znacznych wydatków gospodarczo nie jest uzasadnione w możności wynagrodzenia ich dalszą, usilną pracą, ale w nadziei osiągnięcia zysków tym nakładem. W życiu gospodarczem nie podejmujemy się interesów, o których z góry wiemy, że są złe, dlatego, iż istnieje możność wynagrodzenia strat przez podjęcie później dobrych. Zakładamy przedsiębiorstwa, które obiecują zyski. Możność osiągnięcia zysków gospodarczych przez prowadzenie wojen zmalała. Wzrosło ich ryzyko.

W pokojowem życiu gospodarczem wysokość zysku zależy przedewszystkiem od prawdopodobieństwa osiągnięcia zysku. Zadowalamy się małym procentem od kapitału, włożonego w kupno ziemi, ponieważ dochód z gospodarki rolnej jest pewny. Wartość ziemi rzadko spada. Kapitał włożony w kupno ziemi prawdopodobnie nie przepadnie. Zadowalamy się małym procentem od kapitału, wypożyczonego na pierwszą hypotekę, ale żądamy wyższego od kapitałów, zabezpieczonych na dalszych hypotekach, bo nie wiadomo, czy w razie, jeżeli licytacya skończy się sprzedażą po niskiej cenie, czy wówczas przypadkiem ci, co pożyczyli na dalszą hypotekę, nie stracą swego kapitału w całości lub w części. Natomiast nie jest prawdopodobne, aby go stracili zabezpieczeni na pierwszem miejscu. Kopalnie nafty dają często wysokie dochody, ale nie brak wypadków zupełnej utraty kapitałów, zużytych na ich zakupno. Prawdopodobieństwo strat jest wcale znaczne. Przedsiębiostwa naftowe mają w sobie stosunkowo dużo pierwiastku spekulacyjnego, to też żądamy wysokiego oprocentowania kapitałów naftowych.

Zajęcia pokojowe dają z biegiem czasu coraz to większe dochody, natomiast trudno stwierdzić wzrost zarobków wojennych. Zdawałoby się więc, że zapewne ryzyko połączone z pokojową pracą gospodarczą wzrasta, a ryzyko wojenne raczej, przynajmniej stosunkowo, maleje. Mam na myśli gospodarcze ryzyko

wojenne. Pomijam niebezpieczeństwo utraty życia. Chodzi o to, czy w razie wojny zachodzi znaczne prawdopodobieństwo osiągnięcia korzyści gospodarczych dla ogółu, biorąc pod uwagę dłuższy przeciąg czasu. To prawdopodobieństwo powinno zachodzić, ponieważ zyski wojenne nie wzrastają. Biorąc za podstawę stosunek między zyskiem a ryzykiem w pokojowem gospodarowaniu, należałoby przypuszczać, że ryzyko wojenne jest niewielkie w porównaniu z pokojowem i że maleje.

Wiemy wszyscy z codziennego doświadczenia, że ryzyko wojenne jest znaczne. Zazwyczaj łatwiej ocenić prawdopodobieństwo powodzenia, gdy chodzi o puszczenie w ruch fabryki lub założenia sklepu, niż szanse wojenne. Szybkie upowszechnianie się udoskonaleń gospodarczych, techniki wojennej uszczupliło sposobności osiągnięcia pewnych i zyskownych zwycięstw. Ryzyko pokojowego gospdarstwa byłoby jeszcze mniejsze, gdyby nie wpływ wojen. Odwrotnie, ryzyko wojenne byłoby większe, gdyby nie prawdopodobieństwo wyzyskania korzyści wojennych, ewentualnie naprawy stosunków gospodarczych, wstrząśniętych wojną, podczas pokoju. Jedno i drugie twierdzenie pragnę objaśnić kilku słowy. — Kształtowanie się cen ziemi jest dowodem, jak dalece w toku pokojowych wypadków gospodarczych ludzie liczą się z możliwością zawikłań wojennych. Ziemia idzie w górę, bo powszechnie uchodzi za pewną lokacyę kapitału. Wiadomo z doświadczeń przeszłości, że także podczas wojny nie zawiedzie. W zwyżce cen ziemi podczas pokoju tkwi z pewnością po części chęć gospodarczego zabezpieczenia się na wypadek wojny. W przeciwstawieniu do ziemi papiery wartościowe uchodzą za mniej pewne, co znowu po części jest wynikiem liczenia się z możliwością wojny. Wojna współczesna stwierdziła słuszność obu ocen.

Gdyby nie nadmierna ilość pieniędzy papierowych, puszczanych w obieg podczas wojen, ludzkość zapewne byłaby porzuciła kosztowną walutę kruszcową na rzecz tańszej papierowej. Dziś kruszcowa mimo znacznych kosztów wybicia jest wyżej ceniona, a papierowa jest uważana za niebezpieczną ze względu na stosunki wojenne. Przekonanie o korzyściach oparcia wartości pieniądza na jego wartości, jako towaru, jest wyrazem braku wzajemnego zau-

fania między ludźmi, uzasadnionego głównie w powtarzaniu się wojen. Wyższość pieniądza kruszcowego okazuje się głównie podczas wojen. W czasach pokojowych byłoby stosunkowo łatwo ustrzec się niebezpiecznej, nadmiernej emisyi pieniędzy papierowych. Potrzeba gromadzenia złota podczas pokoju byłaby znacznie mniejszą, gdyby nie obawa wojen. W niej tkwi jedna z głównych przyczyn wartości ziemi jako takiej (renty gruntowej) i złota dla celów pieniężnych.

Z drugiej strony ryzyko wojny łagodzą widoki rozwoju gospodarczego w czasach pokojowych. Dziś wojna chyba tylko w bardzo małym stopniu dostarcza natychmiastowych korzyści. — Stwarza — w razie zwycięstwa — warunki dalszego pomyślnego rozwoju, którego konieczną przesłanką jest możność ich pokojowego wyzyskania. Nie wystarcza podbić sąsiednie kraje. Trzeba je umieć wyzyskać w późniejszych czasach pokojowych.

Ryzyko wojen jest znaczne ze względu na możność ich zbyt szybkiego powtarzania się lub długiego trwania. Wieczny pokój nie przedstawia niebezpieczeństw gospodarczych. Przeciwnie. Prawdopodobnie ułatwiłby wzrost wytwórczości pracy ludzkiej. Wieczna wojna byłaby gospodarczo zabójczą. Wojna może być poniekąd gospodarczo korzystną, ale tylko o tyle, o ile ludzie pozwalają sobie na nią w umiarkowanej dozie.

Właśnie dlatego zyski gospodarcze łączą się istotniej z pokojem, niż z wojną. Pokojowa praca daje zyski bez względu na przedłużanie się pokoju. Wojna w najlepszym razie tyko o tyle, o ile nie trwa zbyt długo, względnie nie powtarza się zbyt często.

Zyski wojenne zawierają w sobie stosunkowo znaczne ryzyko w porównaniu z pokojowymi, ponieważ są mniej trwałe. Zagraża ich trwałości nietylko możność powtarzania się wojny. Wchodzi tu także w grę ich jednostronność, którą się zazwyczaj niekorzystnie wyróżniają od pokojowych. Opowiadają o ludach pierwotnych, że ścinają drzewa gwoli uzyskania ich owoców. Chęć korzystania przemocą z płodów cudzej pracy powoduje zazwyczaj wyschnięcie źródła z którego walczący czerpie. Wojna aż nadto często jest korzyścią jednych, uwarunkowaną stratą drugich, podczas gdy wymiana jest korzyścią obustronną, umożliwiającą w

dalszym ciągu wymianę i dalsze obustronne wzbogacenie się. Niema tej możliwości, gdy jedna strona jest poszkodowana.

Okazuje się, że ryzyko wojenne jest znaczne w stosunku do pokojowego. Nie może być także o tem mowy, jakoby malało. Przeciwnie, raczej wzrasta, ponieważ zmniejsza się wysokość i prawdopodobieństwo osiągnięcia zysków przez podejmowanie wojen.

Przejawem coraz to niższego oceniania zysków gospodarczych, które można osiągnąć przemocą wojenną, jest rozwiązywanie trudności, wynikających z przyrostu ludności, w coraz wyższej mierze pokojową pracą, w mniejszej — starciami orężnymi. — Współczesne społeczeństwa są bez porównania liczniejsze, niż poprzednie. Równolegle ze wzrostem ludności wzrasta pokojowa styczność między ludźmi. Zmniejszają się walki, a nawet starcia wojenne. Wzrost ludności wywiera wpływ podwójny i to wprost przeciwny. Jest równocześnie czynnikiem, wzmacniającym nastroje wojownicze i czynnikiem, działającym w kierunku zachowania pokoju. Wyniki świadczą wymownie o większej sile wpływów pokojowych.

Wzrost ludności, pomnażając liczbę odbiorców, ułatwia podział pracy, wymianę, wielką produkcyę, skutkiem czego sprzyja udoskonalaniu organizacyi gospodarczej i techniki. Z drugiej strony pod wpływem przyrostu ludności rozporządzalne bogactwa naturalne maleją, ponieważ coraz więcej ludzi pragnie wziąć udział w ich wyzyskaniu. Wzrasta niebezpieczeństwo starć orężnych o ich podział. A jednak zwyciężają wpływy pokojowe, bo okazało się korzystniejszem wspólnymi siłami zwalczać przyrodę, niż toczyć wojny między sobą.

Gdyby ludność wzrastała, a organizacya gospodarcza i technika nie doskonaliły się, gdyby pozostawały na dawnym poziomie rozwoju, mnożyłyby się starcia między ludźmi. Mogłoby być inaczej tylko wtedy, gdyby ludzie byli gotowi zadowolnić się coraz skromniejszym trybem życia.

Dziś jest więcej ludzi na świecie, a żyją dostatniej. Dziś potrzeba coraz mniej przestrzeni do wyżywienia ludzi.

Choć to napozór brzmi paradoksalnie, ale jest niewątpliwie prawdą, że przeludnienie daje się najbardziej we znaki społeczeń-

stwom nielicznym. Zabijanie niemowląt i starców gwoli łatwiejszego wyżywienia reszty, jest zjawiskiem wielce rozpowszechnionem w krajach bardzo rzadko zaludnionych. Wzrost gęstości zaludnienia wśród ludów, doskonalących organizacyę gospodarczą i technikę, łączy się ze wzrostem bogactwa. Zmniejsza się przeludnienie. Rozejrzenie się w istocie i w dziejach wychodźtwa świadczy wymownie o zmniejszaniu się przeludnienia w miarę wzrostu liczby mieszkańców. Jeżeli weźmiemy pod uwagę społeczeństwa przeważnie rolnicze o małym rozwoju rolnictwa, handlu i przemysłu, a dość szybkim przyroście ludności, wówczas zdarza się wychodźtwo do krajów rolniczych, rzadziej zaludnionych, w pogoni za tanią ziemią. Ale gdy mamy do czynienia z silniejszym rozwojem handlu i przemysłu, a więc zawodów, zdolnych wyżywić w porównaniu z rolnictwem większą liczbę ludzi na tej samej przestrzeni, wówczas przebieg wypadków ulega zupełnemu przewrotowi. Wówczas wychodźtwo kieruje się z okolic rzadziej do gęściej zaludnionych. Ludność z szeroko rozsiadłej wsi odpływa do ciasno zabudowanego miasta w poszukiwaniu wyższych płac. Nie do miasta małego i średniego, ale przedewszystkiem do wielkiego i największego. Kosztem wsi rosną szybciej w ludność miasta wielkie, niż małe. Miasta ludniejsze okazują najmniejszą zdolność przyciągnienia ludności. W ich murach — „mirabile dictu“ — najprzestronniej. — Stosunek gór do nizin jest zupełnie podobny; z rzadko zaludnionych gór odpływa ludność do gęsto zaludnionych, a przecie mniej przeludnionych nizin.

Wojnę możnaby nazwać rodzajem zbrojnego wychodźtwa. W zaraniu dziejów nie było pokojowego, bo jeszcze pokojowa wytwórczość pracy ludzkiej była nisko oceniana. Dziś wychodźtwo pokojowe jest chyba bardziej rozpowszechnionym sposobem zarobkowania, niż zbrojne. Dziś wychodźtwo pokojowe spełnia znaczną część tych zadań gospodarczych, które dawniej chciano osiągnąć wychodźtwem orężnem.

Podobieństwo wojny i wychodźtwa objawia się także w tem, że do jednego i do drugiego okazują większą skłonność społeczeństwa rozporządzające wielkimi obszarami w stosunku do ludności, a więc kraja przeludnione.

Ludy koczownicze, żyjące z łowiectwa, z pasterstwa były wojownicze w porównaniu z rolniczymi, które żyły dostatniej na mniejszym kawałku ziemi i które były często narażone na napady ludów koczowniczych. Z podobnych przyczyn społeczeństwa wysoko rozwinięte handlowo i przemysłowo są mniej wojowniczo usposobione, niż rolnicze. Innymi słowy — wieś jest bardziej wojownicza w stosunku do miasta, niż miasto w stosunku do wsi. Wprawdzie ludy rolnicze chętnie wojowały celem zdobycia niewolników, a handlowo wysoko rozwinięte gwoli wywalczenia dogodnych warunków dla rozwoju handlu, ale przecie z biegiem czasu wobec wzrastającej wytwórczości ludzkiej jedne i drugie stały się bardziej liczne i równocześnie bardziej pokojowe.

(Dok. nast.) *Adam Krzyżanowski.*

Z kazań politycznych X. Woronicza o odbudowie Państwa Polskiego.

Mniej od poprzedniego realne, nie tyle polityczne, nierównie też krótsze w rozmiarach, ale natomiast zarówno potęgą uczucia, jak siłą wyobraźni, jak nawet formą retoryczną nad niem górujące, jest następne, w przeszło trzy lata później wygłoszone:

Kazanie[1]) przy otwarciu Sejmu nadzwyczajnego Księstwa Warszawskiego, miane w kościele katedralnym warszawskim dnia 26 czerwca 1812 r.

Sejm ten nadzwyczajny zwołał król Fryderyk August z powodu nadzwyczajnych wypadków. Ledwie posłowie sejmowi „po zamknięciu pierwszego sejmu w domach odetchnęli, ledwie zaczęli wydobywać z pod serca dogorywających ofiar na utrzymanie odzyskanego ułomka ojczyzny", kiedy przy nowem wstrząśnieniu odradzającego się świata głos króla zgromadził ich ponownie (w połowie czerwca 1812 r.), aby wspólną radą, namysłem i dzielnem działaniem jeszcze raz „pokazali się narodem

[1]) Drukowane oddzielnie tegoż roku w Warszawie, w drukarni Wiktora Dąbrowskiego, str. 23, w 8-ce, jakoteż w tłómaczeniu francuskiem: D'scours prononcé dans la cathédrale de Varsovie a l'ouverture de la diète extraordinaire du Duché de Varsovie par Mrgr l'abbé doyen de la cathédrale et conseiller d'État le 26. Juin 1812. Traduit en polonais chez V. Dąbrowski. p. 26, en 8-e.

godnym dawnego znaczenia w Europie". Napoleon postanowił wydać wojnę Rosyi, więc zbierał potężną armię, do której przyłączyć się miało także wojsko polskie w sile 60 tysięcy żołnierza i to w kraju ledwie wracającym do życia. Polakom świtała teraz nadzieja pogromu Rosyi, a wraz z tem zupełnego odzyskania ojczyzny w dawnych granicach. Sam Napoleon ożywiał tę nadzieję i podniecał zapał, a współcześni historycy utrzymują, że tym razem poważniej, niż przedtem (r. 1807), zaczął myśleć o odbudowaniu całej Polski, że miał teraz rzetelną wolę zadość uczynić powszechnemu oczekiwaniu narodu. Wbrew swemu zwyczajowi począł nawet głośno o tem mówić i wyraźnie to obiecywać, rozumiejąc słusznie, że do takiej wojny, a zwłaszcza do utrzymania po wojnie skutków spodziewanego zwycięstwa, Polska wielka i silna może mu być bardzo potrzebna Więc starym polskim obyczajem polecił zwołać Konfederacyę generalną, a ta wydała manifest, wzywający wszystkich Polaków do powstania. Lecz przedtem wiele jeszcze spraw należało obmyślić, a głównie przygotować fundusze niezbędne do takiej wojny. Trzeba było nietylko złożenia nowych ofiar dla osiągnięcia tego idealnego celu, ale zarazem także przysposobienia umysłów do spodziewanej zmiany stosunków politycznych, do wczesnego rozważenia całego przedsięwzięcia, do obmyślenia dla niego środków, a następnie także ujęcia z góry w pewien plan całej polityki, jakąby dla zapewnienia pomyślnych skutków tej wyprawie wojennej należało mimo trudnych warunkow bytu zastosować. W tym właśnie celu zwołano Sejm nadzwyczajny i znowu nie kto inny, tylko X. Woronicz otworzył go niejako swem kazaniem. Przypadło mu zadanie wielkie i domagające się wszechstronnej przezorności. To też całą dążnością Woronicza w tem kazaniu jest podźwignienie otuchy, zagrzanie do ofiarności całego narodu, a posłów do przezorności, aby w ten sposób utorować drogę dla „wspólnych narad głębokiego namysłu i dzielnego działania" w Izbie prawodawczej i wcześnie usposobić dla nich korzystnie opinię publiczną.

Kaznodzieja obwieszcza na czele powód zwołania tego sejmu nadzwyczajnego i uzasadnia, że w obecnem położeniu naro-

du najwierniej dadzą się zastosować słowa Jozuego: Umacniajcie się i bądźcie pieczołowitymi (r. 23), któremi ów wódz Izraela przysposobił niegdyś lud swój przed wejściem do utęsknionej ziemi obiecanej. Obrawszy te same słowa za swój tekst naczelny, Woronicz wykazuje na wstępie analogię w warunkach bytu obu narodów: „Omdlewacie nie dopiero pod tłoczącem brzemieniem tylu ciężarów, którym tylko dusza polska dla miłości rodu swojego ochoczo się poddać jest można. Zbrodziliście morze strumieniami krwi wezbranej i drugie takie morze gorzkich łez, cierpienia i frasunków wypiliście. Obiegliście sławą oba niemal ośniki świata, uganiając się za przelotnym uśmiechem nadziei, goicie poniesione i znowu nowym ciosem pluszczące roztwieracie rany. I więcże tak drogiem kupnem jeszcze ani imienia swego, ani ojczystych granic, ani chlubnych matki waszej zaszczytów dokupić się nie zdołacie?“

Aby ta analogia była wierniejsza i pełniejsza, mowca poucza dalej, że posłannictwo Jozuego objął względem Polaków Napoleon; owszem daleko większe przypisuje mu zadanie, o wiele przestronniejsze wmawia w niego zamiary względem Polski. Już tu na wstępie kazania nie waha się stwierdzić, że sama zapowiedź Napoleona, iż dokona pogromu Rosyi, a Polsce dawne granice przywróci, przejęła cały naród takim zapałem do walki, którego nawet na wodzy utrzymać trudno: „Duch wasz ujarzmiony, który jednem dotknięciem cudotwórczej laski waszego wskrześcy całych was porywczym pożarem ogarnął, w drobnem ciele zamknąć się nie da“. Po nieodproszonych u niego zachwytach dla tego „dziwami oznaczonego męża przeznaczeń“ szkicuje mowca w rysach krótkich te zmiany, jakie od lat dwudziestu, t. j. od drugiego rozbioru Polski dokonały się w stosunku Polski do państw zaborczych, aby stwierdzić, że słowa Jozuego: Patrzcie, co uczynił Bóg wasz narodom okolicznym i te dalsze: jako sam walczył za wami, dosłownie się na Polakach sprawdziły. Stąd bierze otuchę do zabezpieczenia słuchaczy, że i dalsza jego obietnica: Posiędziecie ziemię, tak ponętna i urocza dla serca polskiego, niechybnie na nich się ziści. Więc wraz z apostrofą

ukrytą do potęg zaborczych parafrazuje tę obietnicę: „Posiądziecie ziemię ojców waszych, ziemię nie napaścią i rozbojem właścicielowi wydartą, ale trudem i znojem naddziadów waszych z dziczy i zarośli wydobytą, świadectwem wieków i umowami wszystkich narodów przyznaną, ziemię z pierwszego działu natury samem położeniem swojem przeznaczoną, aby — będąc przedmurzem wszystkich stowarzyszonych ludów Europy — całością swoją ich nowy byt, spokojność i chlubne rozkwitnienie na zawsze zabezpieczała".

Pod wpływem tych wspomnień o posłannictwie historycznem Polski uczucie jego patryotyczne znajduje upust w okrzyku podniosłym: „O, jak świetne i wysokie przeznaczenie twoje ojczyzno nasza! Któż nie rozgorzeje żądzą być godnym ciebie!" Tem uczuciem dzieli się wraz z posłami, tymi zwłaszcza, którzy już w legionach chrzest wojenny przebyli: „Wam ta chwała zachowana, o wy pierwsi zaszczepce i rozkrzewiciele nowego zarodka niezagubnych, Polaków!, którzyście naprzód imiona, gardła i siedliska wasze w ofierze dla ojczyzny ponieśli". Stąd już otwiera sobie przejście, prowadzące do założenia kazania: „Do was więc należy na dzisiejszej nadzwyczajnej obradzie zawiązać skutecznie środki korzystania z tak życzliwej chwili, która może najświetniejszym zakresem dzieje nasze uwieczni".

Założenie tego kazania tworzą wymienione juz w tekscie naczelnym dwa jędrne słowa z wezwania Jozuego: „Umacniajcie się i bądźcie pieczołowitymi. Podstawę do umocnienia wskazuje Woronicz

a) w ufności nieograniczonej ku Bogu,
b) w dobroci i świętości sprawy polskiej,
c) w potędze i rzetelności króln.

Pieczołowitość zaś zaleca:

d) w rozpoznaniu gruntownem przedsięwzięć zamierzonych,
e) w dobraniu do nich skutecznych środków,
f) w dzielnem i mężnem onych wykonaniu.

Taka ma być treść narad i namysłów, zagajenia sejmowego czekających, taki zarazem podział tego kazania.

Na uwagę zasługuje inwokacya, umieszczona u końca wstępu, a wyprzedzająca rozwinięcie tematu w kazaniu właściwem. Odznacza się ona bowiem niezwykłym polotem i siłą wyrażenia wyższą nierównie, aniżeli spodziewaćby się jej można w zwykłej kaznodziejskiej okrasie retorycznej. „Któżby mi to dał — woła kaznodzieja — aby głos mój, niniejszych uczuciów waszych niedołężny tłumacz, przebiwszy się przez te sklepienia, całą starożytną posadę ojców waszych obieżeć i napełnić zdołał. Usłyszcie go na urwiskach skał jednym z nami gorejący duchem Rodacy! Przekażcie go bratnim nadmorcom i całej przestrzeni jednoszczepnych rozsypańców naszych! Usłyszcie go uśpione kości naszych naddziadów!, którzyście granice Witołdowe mogiłami swemi na okrężu północy oznaczyli! Wstańcie, ożyjcie! i teraz z pokoleniem prawnuczem o własność się waszą zastawcie!“ Jest to i prawdziwie poetyczna i równocześnie jedna z najśmielszych figur krasomówczych, jakie nie już u Woronicza, ale naogół u naszych starszych kaznodziejów spotkać można.

Aby otuchę słuchaczy umocnić, wznieca w nich mowca w samem kazaniu przedewszystkiem ufność ku Bogu, więc używając zwykłego zwrotu retorycznego, każe rzucić zasłonę na usiłowania niedawnych jeszcze wtedy libertynów religijnych, a za przykładem przodków nie mierzyć groźnego przeciwnika szczupłością sił swoich, lecz sprawę swą poruczyć Bogu, bo kto w Nim ufność położył, nigdy nie był zawiedziony. Otuchy także ta okoliczność dodać im powinna, że zamierzając przyłączyć się do wyprawy wojennej, „chcemy się upomnieć jedynie o własność i dziedziny ojców naszych“, a to jest rzeczą godziwą i słuszną. Tu następuje najrzewniejszy szczegół w tem kazaniu, gdzie mówi już samo uczucie patryotyczne, dotknięte boleśnie krzywdą narodowi wyrządzoną: „Jestże pod słońcem sprawa świętsza i sprawiedliwsza? Byłaż która własność na świecie uroczystszemi prawami zabezpieczona? Wspomnijmy tu w goryczy serca ową srogość gwałtu i przemocy nam wyrządzonej, która pierwsza podobno rzuciła zarzewie tego pożaru, jakim dotąd świat nieugaszony goreje. I cóżeśmy przecie niebacznym na własne dobro sąsiadom zawinili? Czyśmy im wiary i przy-

mierza kiedy nie dotrzymali? czyśmy ich granice napastnym orężem zgwałcili? czyśmy ich chlebem i dobytkiem naszym w potrzebie nie zasilali? czy ojcowie nasi tysiącem dobrodziejstw w najkrytyczniejszych razach ich nie zobowiązali?"

Ale najwięcej rozżalony jest Woronicz na Rosyan, którzy mimo pobratymstwa słowiańskiego, mimo przeróżnych dobrodziejstw, doznanych w dawnych okresach dziejowych, tak się okazali niewdzięcznymi, tak zapamiętałymi w srogiem prześladowaniu. „Czegoż dopiero nie uczynili przodkowie nasi dla tych, których sama wspólność rodu słowiańskiego, wzajemne korzyści, szlachetne z naszej strony dawniejszych uraz zabaczenie, ściślej ku nam pociągnąć były powinny. Oni najprzód dobrocią i powolnością ojców naszych do granic Europy przytknęli i wyśliźnione z pod jarzma hanów tatarskich siedliska na dziedzinach Giedyminowych rozszczepili; oni przez nas południem światłem przejrzeli; oni się tyle razy mściwemu za swe krzywdy orężowi ojców naszych od ostatniej zagłady wyprosili. Niestety, i więc że ci sami niezbłaganą nam zgubę od wieku zaprzysięgli! od wieku rozpuszczone po krainach naszych tabory plonem naszym wytuczali, a strumieniami łez niewinnego ludu siebie i bydlęta swoje napawali! ci sami niesyci grabieżą tylu zamków i powiatów w domowych nieszczęść odmęcie dawniej nam wydartych, ci sami (zadrżyjcie tu wszystkie narody!) niewidzianem w Europie zgorszeniem wnętrzności ojczyzny naszej rozszarpali, a szczątki jej udręczeniem drgające radym i nieradym sąsiadom narzucali!"

Po tej skardze bolesnej na brutalny podział ziemi ojczystej daje kaznodzieja wyraz swemu oburzeniu z powodu narad sejmowych, odbywających się niegdyś pod bagnetami: „Uczujcie tu obelgę prawa narodów starożytne naszych obrad świątynie, po tyle razy zbrojnem żołdactwem i gromami nasrożonej spiży otoczone, abyście gwałtowi imię słuszności i prawa przyznały" Przypomina porwanie senatorów: „Wspomnijcie te drogie nam imiona szanownych ojców senatu i dostojnych wolnego ludu pełnomocników, którzy deptani, powłóczeni, woleli nieugięte dusze Polaków w turmach sybirskich uwięzić, niżeli się

sprawy i ojczyzny swojej nikczemnie zaprzeć". Odświeża dalej bezprawia katuszy i znęcania się nad bezbronnymi: „Stańcie tu włóczący dotąd po ulicach naszych niedołężną starość, owych czasów sromotnych bezręczni świadkowie, którym nie na placu boju i sławy, ale w katorgach uwięzionym dzielne ramiona dzika srogość żywcem ucinała, na to chyba, abyście świadectwo niezemszczonej ludzkości czasom następnym dochowali." A z jaką grozą kreśli rzeź Pragi: „Usuń od nas okropne widziadła, nadwiślańska Prago, gdzie jeszcze lamenta i jęki starców, matek i dzieci tamerlańską ręką wyciętych, zdają się nas o nieczułość powiniać. Uczcij w twem łonie, ojczysta Wisło, ich męczeńskie kości, owoczesnym zgonem Ojczyzny naszej poświęcone, a póki tylko obce narody chlebem naszym obdarzać będziesz, przypominaj im, że ich losy z ogniwem nieszczęść i bytu naszego są połączone".

Ogromem tych ciosów przejęty i jakby przerażony, kaznodzieja pyta teraz rozgłośnie: „Ale pocóż tyle mordów i srogości nienasyconej? po co tyle domów i familii w setne pokolenia zgubionych? tylu więźniów z łona ojczyzny porwanych, po turmach i klozach azyatyckich przewłóczonych? Jaka przecie wina okiem ludzkiem dojrzana tyle klęsk na ziemię naszą sprowadziła?" W odpowiedzi zaś wylicza te, które chciwości zaborów za pozór zewnętrzny, a raczej za dogodną sposobność służyły: „Oto, żeśmy w domu własnym lepszy ład i porządek — obcym narzutem i wpływem zatruty — wprowadzić pragnęli- żeśmy za rękojmią dalszych nadziei ulubioną od nas dostojną familię zgodnem całego narodu życzeniem do tronu ojczystego powrócili. O Boże! — woła pełen skargi — mógłżeś nie powstać za świętością sprawy naszej, mógłżeś naszych łez i cierpień pokutnych nie skrócić?" Lecz ufa, że godzina kary już się zbliża, że ręka Boża już się ku pomście podnosi, „już teraz nad bramami dumnego Petropolu połyska. Kiedyż więc szczęśliwszej pory wzdychania i cierpienia nasze doczekać się mogły? Kiedy rany mordercze krwią Ablową zasklepione ufniej do nieba o zelżenie ziemi zawołać mogą!"

Już sam dźwięk tonów tej bolesnej skargi mógł niewątpliwie wzruszyć serca choćby najtwardsze i posłużyć do przekonania słuchaczy, że zbliżająca się rozprawa wojenna z Rosyą jest „szczęśliwą porą“ do wzięcia odwetu za tyle krzywd wiekowych, że zatem skrzętnie ją wyzyskać i osobistym w niej udziałem przyczynić się należy do rychlejszego odzyskania całej ojczyzny. Kaznodzieja jednak na tem nie poprzestaje, ale w ślad za owem założeniem wskazuje jeszcze podstawę umocnienia w potędze i rzetelności wiernego sprzymierzeńca, który był „pierwszym wskrześcą jestestwa naszego, a przeto wzywa równocześnie, aby „go obskoczyć w koło i zgodnie zawołać: Chcemy być narodem godnym twego sprzymierzeństwa i poczesnego w Europie szeregu“. Ponadto zjawia się w tem miejscu wezwanie do połączenia się dalszem sprzymierzeństwem z Litwą: „Okrzyknijmy braci i rodzinę naszą sterczącemi dzidami od nas oddzieloną: kość z kości naszych jesteście! Kto ożywia jedne, możeż drugie zamorzyć? Tu się nasz Orzeł wiekami osiwiały z popiołów odrodził, tu z bratnią Pogonią poprzysięgłe śluby odnowić powinien, tu się nas wszystkich zbawca objawił, do niego się więc zbierajcie i tłumami zlatujcie! on waszych dziedzin nie pragnie, syt wielkości i potęgi swojej. On wam musu ukazów nie narzuci, on wam waszych odwiecznych nawyknień i narodowych lubości nie odejmie, on waszego języka, obyczaju i stroju nie przerodzi“.

Wywiązawszy się z pierwszego zadania, jakiem było umocnienie otuchy w słuchaczach i zagrzanie ich do rozprawy wojennej z Rosyą za tak liczne krzywdy ojczyźnie wyrządzone, kaznodzieja przechodzi do drugiej części kazania. Nie wystarcza bowiem „żądzą przedmiotu jakiegoś rozgorzeć“, ale potrzeba nadto „przedsięwzięcie to, od którego zależą losy wszystkich pokoleń, gruntownie rozpoznać i zgłębić. Przypomina przeto, że wróg używał zawsze na zagładę ojczyzny nie tylko gwałtu, ale i chytrego podstępu. Trzeba przeto niemałej przezorności i pieczołowitości, aby nie wpaść w sidła tych, którzy aż „do imienia i śladu naszego nienawiść rozciągnęli“. Nie należy się łudzić zabutwiałymi cyrografami, w któ-

rych całość granic, swobód i jestestwa naszego najuroczyściej nam zabezpieczono, w których ani tknąć ziemi naszej, ani nikomu, ktoby się na nią chciał targnąć, całą potęgą nie dopuścić tylo przysięgami ślubowano«. Były to zwodnicze obietnice, bo i „w cóż się przecie te wszystkie śluby obróciły? Kto pierwszy do ich potargania przewodniczył i drugich gwałtownem wciągnieniem ośmielił?" Jako dowód nieszczerości w tych zobowiązaniach wskazuje Woronicz postępowanie Katarzyny z królem Poniatowskim, bo któż to nawet „przy ostatniem dogorzeniu naszem zachwiał skołataną nieszczęściami stałość (lepszej doli godnego) ostatniego króla naszego, aby w szlachetnej rozpaczy porwany od narodu oręż powściągnął w chlubnym zapędzie? Kto go nowemi obietnicami ocalenia kraju usidlił?, jeżeli nie ta sama ręka, która tronem jego podług zamierzenia miotając, razem grób dla niego u nóg swej dumy wykopywała?" Pamięć tego nieszczęśliwego króla i sieci dyplomatycznych, któremi go omotano, wydobywa z piersi mowcy okrzyk oburzenia i przeklęctwa na posłów i ministrów, „tych chytrych służebników, którzy pierwsi doradzili rozedrzeć w jednorodnym korzeniu ludy słowiańskie" i raz jeszcze skłania go do ostrzeżenia posłów przed czyhającą na nich chytrością.

Rozważone należycie przedsięwzięcie dostarczy łatwo odpowiednich środków działania. Te się niechybnie znajdą, jeśli tylko będzie zgoda i jednomyślność braterska. Dla przekonania słuchaczy kreśli mowca okropny stan Polski za Jana Kazimierza i pyta: „Cóż przecie w jednem oka mgnieniu tę okropną postać rzeczy zmieniło? Oto jeden okopek częstochowski dzielnie obroniony, jedno porozumienie się w Tyszowicach sercem i duszą sklejonych Polaków, Polskę w oceanie nieszczęść zatonioną znowu na świeczniku Europy postawiło". Otuchą tak pożądanej jednomyślności w sejmie jest dla kaznodziei obecność w nim ks. Adama Czartoryskiego. Więc w pięknej apostrofie wita go jako sławą i nieszczęściami osiwionego (sic!) Nestora, wylicza jego ofiary dla ojczyzny i ufa, że przy nim wszyscy posłowie „w nowy pożar bratniej zgody i miłości rozgorzeją"

A gdy zarówno spodziewana zgoda wewnętrzna jak szczę-

śliwy zbieg okoliczności zewnętrznych zamierzonej wyprawie wojennej wszelkie powodzenie rokują, nic innego nie pozostaje, jak tylko dzielnem i mężnem wykonaniem zamysłów, śmiałym i odważnym krokiem poskoczyć do dźwignięcia umarłej ojczyzny. Mowca wypowiada przekonanie, że tych, którzy już tyle ofiar ponieśli dla jej odzyskania, nie potrzeba chyba wielu słowy do tego zagrzewać. „Już się nawet i święte ofiarki prababek waszych na ołtarzach nie wybiegały, już i same świątynie nędzą i gołotą połyskują. I pókiż tych ofiar dla ojczyzny?“ Lecz zaraz poprawia się w formie ret rycznej, że niedość jeszcze takich ofiar, potrzeba nadto ofiary krwi i życia. Za przykładem owego Saryusza, który wobec króla Łokietka nie na życie uchodzące z wnętrznościami wskutek rany otrzymanej, ale na złego sąsiada się skarżył, powinni wszyscy w walce z takim sąsiadem, który im ojczyznę wydarł, być gotowi „jeszcze wolnym ogniem dogorzeć, jeszcze ostatnie wnętrzności żywcem wyzionąć“. Że tak się stanie, jest mu rękojmią objaw poświęcenia się bez zastrzeżeń, już dotąd przez posłów okazany: „Oto i teraz na pierwszy odgłos ojczyzny, głucho zasłyszany, odbiegliście domów, gwałtownym odmętem obskoczonych, zapłakanych małżonek, przestraszonych, a może i zgłodniałych dziatek. Niejeden może między wami, Bracia kochani, ostatni sprzęcik w błogosławieństwie od ojca przekazany, oblawszy łzami, albo go zastawić, albo marnie w ręku uronić musiał, aby się tu przywlókł i kosztowną gościnę opłacał“. Więc na samo przypomnienie takich nieustannych i ciągle jeszcze czekających naród ofiar, woła z zachwytem i współczuciem zarazem: „O narodzie, któryż pod słońcem tobie podobny? o plemienniki jego obecne, jakże was drogo to patryarchowstwo nowych pokoleń polskich kosztuj! Będzież w stanie potomność temu uwierzyć i mogiły wasze wdzięcznemi łzami uświęcić?“

Wspaniałą prośbą do Boga o pomyślny skutek tych ludzkich zamysłów i przedsięwzięć patryotycznych za pośrednictwem królów Stefana, Zygmunta, Władysława, których przypomina z tej racyi, że wielkie ich dzieła wskutek obecnego rozszarpa-

nia ojczyzny poszły na marne, otuchą wreszcie w posłannictwo i przewodnictwo Napoleona kończy mowca to kazanie sejmowe.

Chociaż sejmowe, odcina się ono przecie od poprzedniego całym nastrojem mowcy i potęgą uczucia. Tamto spokojne, poważne, trzeźwe i treściwe, zajmuje się głównie współczesną organizacyą polityczną państwa polskiego i wskazuje drogi i środki do utrwalenia dalszego bytu narodowego — to całe zabiera od samego początku wyobraźnię mowcy, porywa jego uczucia gorące, ma wszystkie znamiona jakby kazania obozowego, wygłoszonego pod wrażeniem chwili, brzemiennej w poważne następstwa w przyszłości, a sama ta przyszłość przedstawia się mu już w różanych blaskach wschodzącej nad całą, nierozdzielną ojczyzną jutrzenki wybawienia. To też i słowa jego mają w sobie jakby coś z dźwięku spiżu i z echa surmy wojennej, wzywającej do broni, do powstania, do odwetu; całe kazanie to istna pobudka rycerska w duchu Birkowskiego. Założeniem i podziałem, a nawet tłem, tokiem myśli i ich rozwojem zbliża się ono bardzo do kazania przy poświęceniu orłów i chorągwi polskich. Tu i tam występuje na plan pierwszy wiara ojców, ufność ku Bogu, przeszłość dziejowa, a zwłaszcza w dalszej części (w porównaniu z 3-cią częścią przy poświęceniu orłów), gdzia mowa o mądrem baczeniu na przyszłość, zalecone są zupełnie identycznie: a) pieczołowitość w rozważeniu zamysłów; b) mądrość w przedsięwzięciu i w dobraniu do niego dzielnych i skutecznych środków; c) zgoda i jednomyślność do jednego celu połączona; d) stałość w dzielnem i mężnem wykonaniu zamiarów; e) poświęcenie się zupełne dla wspólnej sprawy ojczystej. Co więcej: w obu powtarzają się nawet te same zwroty prawie dosłownie, odnawiają się bardzo do siebie podobne wspomnienia i szczegóły, zwłaszcza w odniesieniu do stanu rycerskiego, jego przejść, walk i ofiar.

Różnica między niemi chyba tylko w odmiennym nastroju mowcy, odmiennemi okolicznościami i dziejowem podłożem wywołanym. Tam pod wpływem radosnych uczuć całej publiczno-

ści, przy obrzędzie religijnym zgromadzonej, wydobywa Woronicz z przeszłości dziejowej tylko wydarzenia promienne, chlubne i zaszczytne, z pola chwały i zwycięstw. a przeważnie zajmuje się najbliższą przyszłością własnego narodu w zakresie wydzielonego tymczasowo skrawka dawnej ojczyzny i utrwalenia rządu w jego zadaniach politycznych. Tu przeciwnie, pragnąc zapalić słuchaczy do nowego czynu wojennego, do szukania odwetu za dawne krzywdy, do przywrócenia ojczyźnie jej pełnych granic, przytacza z niedalekiej przeszłości wypadki, w których prawie wszyscy słuchacze brali jeszcze udział, z głębokiem przejęciem uwydatnia ciosy i uciemiężenia zaborcy, całą najświeższą martyrologię narodu polskiego maluje żywemi barwami, z wielką siłą przekonania kreśli świętość i sprawiedliwość sprawy polskiej, a rozporządzając bogatym zasobem zwrotów krasomówczych, wytacza formalny akt oskarżenia przeciw Rosyi przed forum całej Europy. Tak śmiało i wymownie, z takiem męstwem kapłańskiem i z taką odwagą cywilną, z takiem zresztą przeświadczeniem i mocą słowa nikt przed nim i żaden z współczesnych mu kaznodziejów nie napiętnował gwałtów i chytrości północnego zaborcy. To szczere, otwarte i szlachetne wystąpienie X. Woronicza na wyżynie ambony stołecznej, bez oglądania się na możliwe szkody dla własnej osoby, przynosi zaszczytne świadectwo jego charakterowi męskiemu, jego ogromnemu i rozumnemu patryotyzmowi.

A wszystkie łącznie te trzy jego kazania polityczne, jak tworzą niechybnie cenny przyczynek do wydarzeń historycznych w Polsce, współczesnych Woroniczowi, tak w wielu szczegółach z dziedziny jego ówczesnych poglądów politycznych i dążności reformacyjnych zawierają chyba wiele wskazówek i projektów, przydatnych może nawet dla dzisiejszych mężów stanu, którym przypadło w udziale cenne dzieło odbudowy Polski w dobie spółczesnej, przedstawiającej tak żywą analogię z fazą dziejową w okresie pracy publicznej X. Woronicza.

Ks. Dr. Aloizy Jougan.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Masonerya. Napisał *Ks. dr. J. S. Pelczar*, bisk. przem. o. ł. — Wydanie 4-te, Kraków 1914. W 8 ce, str. 444.

Niejednokrotnie są w obiegu ustępy pism masońskich, które głoszą „niezależność umysłu, nieograniczoną żadnym dogmatem, niezależność woli, nie uznającą nad sobą żadnej władzy prócz tej, jaką sama sobie wybiera, niezależność sumienia, nie krępującą się żadnem prawem wyższem. Masoni twierdzą... że człowiek rodzi się bezwzględnie wolnym i panuje nad wszystkiemi instytucyami, podczas gdy katolicyzm rozciągnął niewolę nad duszami i nad życiem człowieka, począwszy od kolebki aż do grobu. W myśl tych zasad popiera masonerya związki wolnomyślne, jakoteż koła etyczne albo stowarzyszenia kultury etycznej, propagujące etykę bez Boga, z których w najnowszych czasach powstał Międzynarodowy Związek dla krzewienia Etyki i Kultury. Stowarzyszenie etyczne, forytowane przez takich wrogów Kościoła jak Forel, profesor w Zurychu, Ernest Haeckel, misyonarz materyalizmu, Portugalczyk Magelhaes Lima, Czech Masaryk i inni, dotarły już do Krakowa i Lwowa, gdzie istnieją osobne sekcye akademickie“ [1]).

Czy jednak te zarzuty ostoją się wobec pewnika, że dowód przesadny nie zda się na nic? Wszak śród polskich zwolenników etyki niezależnej spotykamy sporo porządnych i zasłużonych działaczy na polu

[1]) Str. 52.

prac obywatelskich: skądby ich tylu, gdyby masoni wyzuwali kogobądź ze sumienia i nie krępowali dziesięciorgiem przykazań?

Autor odpowiada: „Rozumie się, że przytoczonych tu zarzutów nie odnosimy do wszystkich bez wyjątku masonów, ale do ducha sekty; jest bowiem między nimi niemało takich, którzy ostatecznych celów masoneryi nie znają i nie wszystkie jej dążności podzielają, w życiu zaś przestrzegają uczciwości i filantropii [2]), do nich wpisują się podług statutów ludzie różnych wyznań, poprzestający na pozorach pewnej uczciwości przyrodzonej [3]) — słusznie powiedział Leon XIII, że celem masoneryi jest obalenie z gruntu wszelkiej karności religijnej i państwowej, jaką instytucye chrześciańskie wytworzyły a postawienie nowej według swego ducha, opartej na podstawach i prawach wziętych z naturalizmu [4]). Podobnie ostrzega Pius IX przed masoneryą jako przed zgubną dżumą, bo krętemi drogami wślizgując się, a w swej pracy nie ustając, zwiodła wielu podejściem i... chce utworzyć religię bez Boga. Leon XIII wykazuje o masoneryi, że jej religią jest naturalizm i indyferentyzm, moralność wyzwolona i nagi realizm [5]). Przyznają nawet wierzący protestanci, że wolnomularstwo pozwala temu tylko katolicyzmowi się ostać, któryby się wyrzekł swojej istoty, swego jądra i swego życia i któryby z racyonalizmem, deizmem, naturalizmem i podobnemi opiniami w najserdeczniejszej żył zgodzie [2]). Pamiętać też trzeba, że masonerya nietylko wtenczas szkodzi Kościołowi katolickiemu, gdy go w spółce z radykałami, socyalistami i żydami otwarcie zwalcza, ale także, gdy podziemną swoją robotą, przy pomocy związków i pism wolnomyślnych, socyalistycznych, żydowskich i liberalnych wszczepia katolikom ducha swojego, a zatruwa ducha katolickiego. Skutki tego powolnego zatruwania, czyli jak trafnie powiedziano, tej infiltracyi ducha masońskiego, pokazują się, niestety, we wszystkich krajach katolickich, czego dowodem jest spotęgowanie się w nich złych prądów, jak indyferentyzmu, modernizmu, liberalnego katolicyzmu i t. d. [2]). Nadto dla przeprowadzenia swoich planów łączy się masonerya z innemi towarzystwami tegoż ducha, którym daje początek, albo pomoc i opiekę, a które korzystając z tajemniczości, jużto odgrywają rolę literatów, stowarzyszonych w celach naukowych, jużto głoszą swą troskliwość o szerzenie oświaty i kultury, jużto chełpią się miłością dla biednego ludu, dążnością do polepszenia bytu pospólstwa. Wreszcie

---

[2]) Str. 62. [3]) Str. 84. [4]) Str. 14. [5]) Str. 87.
[1]) Str. 89. [2]) Str. 21.

masonerya dąży do tego, aby na wszystkich objawach życia ludzkiego wycisnąć swą pieczęć, a stąd pisma masońskie w dziale umiejętności protegują szczególnie pozytywizm i nauki przyrodnicze, w literaturze sensualizm, w dziennikarstwie i polityce antychrześciański liberalizm, w sztukach pięknych skrajny realizm i kult nagości, w zakresie dobroczynności bezduszną filantropię, dbającą tylko o ciało [3]). Przynętami masoneryi są: sama idea religii bez dogmatów, nieograniczonej wolności sumienia, etyki wyzwolonej, czyli przyrodzonego humanitaryzmu. Wzajemna pomoc, tworzenie zakładów dobroczynnych dla masonów i ich rodzin, posuwanie tychże na urzęda i godności, zapewnianie im mandatów poselskich i wyższych stanowisk w rządach, popieranie braci w spekulacyach giełdowych, dostawach, budowie kolei, interesach zawodowych i t. p. [4]). Metoda masoneryi jest ta, że za pomocą dzienników, broszur, książek i mów publicznych powoli i nieznacznie obrabia opinię publiczną i przygotowuje umysły do przyjęcia swoich idei i haseł [5]), przednią strażą lóż są t. zw. związki wolnej myśli i kółka etyczne, istniejące także w Warszawie, Krakowie i Lwowie; w ostatnich zaś czasach wdziera się do naszego nauczycielstwa t. zw. związek wolnej szkoły [1]). Czy na ziemiach polskich istnieją loże masońskie? Pod zaborem pruskim pracują jawnie. We Lwowie istnieją dwie, jedna z samych żydów, druga mieszana. Według „Słowa Polskiego“ po r. 1894 powstała także loża w Warszawie [2]), masonerya niemiecka pomyślała o zdobyczach, zaledwie okupacya ustaliła się w Królestwie, zaraz w Warszawie, Kownie, Wilnie i Mitawie założyła t. zw. loże polowe, zależne od W. Loży w Berlinie [3]). Nie ulega wątpliwości, że masonerya będzie starała się opanować także Polskę; tymczasem zaś torują jej drogę pisma wolnomyślne, żydowskie, radykalne i socyalistyczne, zatruwając swym jadem nietylko warstwy wykształcone, ale także ludowe i ścierając powoli cechę chrześciańską ze społeczeństwa polskiego, a tak usposabiając je do przyjęcia idei masońskich. To też katolicy wszystkich stanów łączyć się powinni, aby stawić tamę tym prądom.

K. Czaykowski.

---

[3]) Str. 81—82. [4]) Str. 287. [5]) Str. 388. [1]) Str. 252—353.
[2]) Str. 443.

Ks. Stanisław Kozierowski: **Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidyecezyi gnieźnieńskiej.** Poznań 1914, str. 440. **Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidyecezyi poznańskiej.** T. I, str. 577, T. II, str. 765 in 8°. Poznań 1916.

Mamy pod ręką poważne dzieło Ks. Proboszcza ze Skórzewa, które nietylko znawcy języka polskiego, lecz także historykowi i heraldykowi wielce przydać się może. Jest to istny las nazwisk, ułożony w alfabetycznym porządku. Cóż on więc zawiera w sobie? Za przedmiot swych badań obrał sobie uczony autor naprzód dzisiejszą archidyecezyę gnieźnieńską, ponieważ ten obszar zna stosunkowo najlepiej, jako rodzinne strony. Źródła także średniowieczne, począwszy od roku 1136, więcej światła rzucają nadawne osadnictwo, aniżeli w innych stronach, wreszcie ziemia ta, okolice Kruszwicy i Gniezna, to kolebka narodu polskiego; tem droższą więc sercu naszemu każda pamiątka przywiązana do niej. Nazwy miast, wsi, osad i pól, są to znaki i pomniki naszej kultury, świadkowie pracy tylu pokoleń zachowują nam nieraz nazwiska tych, których szczątków w szarym nie rozróżnimy już prochu, a imion ich nie znają pisane dzieje. Wciągnął tu w zakres badania nietylko nazwy miejscowe, ale także nazwy rzek, strumieni, jezior, stawów, toni na jeziorach, wzgórz, lasów, gajów, ostrowów, uroczysk i pól. Niektórych nazw, pochodzących z zamierzchłej przeszłości, jak Gopło, Noteć, nie śmiał autor objaśnić. Trudności nasuwały się na każdym kroku, ponieważ brzmienie nazw nieraz nie ustalone, pisownia źródeł średniowiecznych w wielu razach niejasna i niejednostajna, utożsamienie niektórych miejscowości z dzisiejszemi wątpliwe. Bądź co bądź, niniejsza praca jest ważnym przyczynkiem na mało dotąd uprawianej niwie nauki o imionach i nazwiskach polskich.

Po opracowaniu nazw topograficznych archidyecezyi gnieźnieńskiej, wydanem w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, zajął się autor badaniem nazw miejscowych obecnej archidyecezyi poznańskiej. Jest to nieomal cały zwarty obszar obwodu rejencyjnego poznańskiego, z wyjątkiem okolic Pobiedzisk i Wrześni i skrawka między Pleszewem a Kobylinem, dalej zachodnia część obwodu rejencyjnego bydgoskiego aż po Piłę, Margonin i Skoki, wreszcie powiat wałecki w Prusach Zachodnich. Całe więc Wielkie Księstwo Poznańskie opracował pod względem imiennictwa krajowego w wymienionych trzech tomach. Zgromadził tu obfity materyał onomastyczny, w znacznej części dotąd nieznany, przeważnie z źródeł rękopiśmiennych czerpany; mnóstwo nazw osad zaginionych, rzek, strumieni, strug, je-

zior i toni, lasów i puszcz, uroczysk, pól i łęgów, wzgórz, ostrowów i wysp, bagien, błot i brodów, grodzisk i żalów nieraz dawno zapomnianych. Starodawna piastowska ziemica przedstawia się nam w tych nazwach w innej szacie, jak ją obecnie widzimy. Odżyły w nazwach tak bogate w wody okolice Sierakowa i Międzychodu, Pszczewa i Skwierzyny, Zbąszynia i Babimostu, również prastara Czarnkowszczyzna między Czarnkowem a Człopą, która przeważnie już zatraciła piętno rodzime. I tu trudności były do zwalczania na każdym kroku wobec niedbałej i nieraz barbarzyńskiej pisowni, nieczytelnego charakteru pisma, smutnego stanu, w jakim znajdują się niektóre źródła, licznych błędów pisarskich, rzadkich nieraz zapisek niektórych nazw, tak że czasem wobec rozbieżnych podań właściwej postaci nie podobna odtworzyć. W dodatku załączonym do ostatniego tomu uwzględnił autor także okolicę Koronowa i Fordonu na północno-wschodnich krańcach Poznańskiego, wchodzącą w skład dyecezyi chełmińskiej, oraz umieścił rozmaite uwagi i uzupełnienia do całości wydawnictwa swego. Badacze języka naszego, ziemi i dziejów naszych, również heraldycy i archeologowie znajdą ciekawe zasoby, z których czerpać i na których budować mogą.

A z jakich źródeł czerpał czcigodny autor tak obszerne poszukiwania swoje? Same źródła i dzieła pomocnicze, przytoczone na początku tomów, obejmują 15 stron druku. Znajdziesz tam wymienione kodeksy dyplomatyczne Wielkopolski, Małopolski, Mazowsza, Monumenta Poloniae Historica, Monumenta Poloniae Vaticana, Regesten zur Schlesischen Geschichte, kodeksy dyplomatyczne Moraw i Śląska, Warmii i Pomeranii, Acta Castrensia Posnaniensia, Księgi grodzkie kościańskie, konińskie, gnieźnieńskie, kcyńskie, nakielskie, pyzdrskie, wschowskie; przywileje klasztoru Cystersów w Bledzewie, Byszewie, Koronowie, Obrze, Ołoboku, Przemęcie, Bożogrobców w Gnieźnie, Benedyktynów w Lubiniu i inne bardzo liczne i rozmaite źródła w języku polskim, łacińskim i niemieckim. Cześć patryotycznej, bardzo mozolnej i prawdziwie mrówczej pracy.

Ks. Jan Sygański T. J.

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. T. XLI—XLIII. Poznań. Nakładem Tow. Przyj. Nauk. 1915—1916. 8-ka, str. XIX, 1 nlb, 577; kt. nlb. 2, str. 765; kt. nlb. 3, str. 308.

Wydaniem omawianych „wojennych" tomów zdobyło sobie Tow. Przyj. Nauk poznańskie świeże laury do wieńca dotychczasowych za-

sług swoich. Pomimo wojny, prace w niem nietylko nie ustały tak, jak to się przydarzyło licznym galicyjskim stowarzyszeniom naukowym, owszem, w latach wojennych T. P. N. P. nadrobiło restancye lat ubiegłych. I oto ukazały się trzy pokaźne tomy, z których XLI i XLII przyniosły nadzwyczaj cenną pracę ks. Kozierowskiego p. t.: „Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidyecezyi poznańskiej", którą oszpecono fatalnie, zapominając o zaopatrzeniu jej osobnym tytułem.

Po cennem opracowaniu nazw topograficznych archidyecezyi gnieźnieńskiej, wydanem swego czasu w tychże samych „Rocznikach", zajął się szan. autor zbadaniem nazw miejscowych obecnej archidyecezyi poznańskiej. Jest to niemal cały zwarty obszar obwodu rejencyjnego poznańskiego z wyjątkiem okolic Pobiedzisk i Wrześni oraz skrawka między Pleszewem a Kobylinem, zachodnia część obwodu rejencyjnego bydgoskiego aż po Piłę, Margonin i Skoki, wreszcie powiat wałecki w Prusach zachodnich. Obszar ten, podzielony pod względem kościelnym na 351 parafii, zamieszkuje około 997.000 katolików. W dodatku, załączonym do tomu XLII, uwzględniona została także okolica Koronowa i Fordonu na północno-wschodnich krańcach Poznańskiego, wchodząca w skład dyecezyi chełmińskiej.

W dziele swojem, które jest owocem prawdziwie benedyktyńskiej pracowitości i sumienności, zgromadził autor obfity materyał onomastyczny, w znacznej części dotąd nieznany, przeważnie ze źródeł rękopiśmiennych zaczerpnięty, w którym odżyło mnóstwo nazw osad zaginionych, rzek, strumieni, strug, jezior i toni, lasów i puszcz, uroczysk, pól i łęgów, wzgórz, ostrowów i wysp, bagien, błot i brodów, grodzisk i żalów, nieraz dawno zapomnianych. Autor zapisywał skrzętnie każdą w źródłach znalezioną nazwę, chyba że chodziło o tak pospolite, jak: bagno, bielawa, błonie, błoto, kąt, kępa, klin, kopanina, nowina, ostrów, pasieka, poręba, które można napotkać niemal w każdej wsi. Starodawna dzielnica piastowska przedstawia się nam w tych nazwach w innej szacie, jak ją obecnie widzimy. Odżyły w nazwach tak bogate w wody okolice Sierakowa i Międzychodu, Pszczewa i Skwierzyny, Zbąszynia i Babimostu, również prastara Czarnkowszczyzna między Czarnkowem a Człopą, która przeważnie już zatraciła piętno rodzime.

Autorowi udało się szczęśliwie nasuwające się na każdym kroku trudności wobec niedbałej i nieraz barbarzyńskiej pisowni, nieczytelnego charakteru pisma, smutnego stanu, w jakim niektóre źródła znajdują się, licznych błędów pisarskich, rzadkich nieraz zapisek niektórych

nazw, tak że czasem wobec rozbieżnych podań właściwej postaci niepodobna odtworzyć. W cennej pracy ks. Kozierowskiego znajdą badacze języka naszego, ziemi i dziejów naszych, również heraldycy i archeologowie cenne zasoby, z których czerpać i na których budować mogą. Przez stworzenie fundamentu trwałego dla przyszłych studyów położył szan. autor zasługę wprost nieocenioną.

Na tom XLIII „Roczników" złożyło się sześć prac. A zatem: ks. Stan. Kozierowski podał szereg „Nieznanych zapisków heraldycznych" (str. 1—65), które zebrał z ksiąg ziemskich i grodzkich, złożonych w poznańskiem archiwum państwowem. Z ksiąg tych wydał jeszcze w r. 1886 prof. dr Ulanowski zbiór zapisek, przeważnie z pierwszej połowy XV wieku, nie wyczerpując tem wszelako wcale ich całego zasobu. Ks. Kozierowski przejrzał ponownie rzeczone księgi ziemskie, oraz posunął poszukiwania o jeden wiek naprzód aż poza rok 1550. Także w innym kierunku była praca ta nader owocna, bo badaczowi udało się zgromadzić obfity plon nazw topograficznych, w znacznej części zapomnianych. Pracę tę kończy garść zapisek z XVII wieku, znalezionych dorywczo w księgach ziemskich i grodzkich lub w spisach archiwalnych. Zaopatrzono też ją indeksem herbów oraz rzeczowym spisem treści.

Z kolei następuje dokończenie z dawniejszych roczników pracy ks. P. Czaplewskiego p. n. „Tytularny episkopat w Polsce średniowiecznej" (str. 67—164), które obejmuje dyecezyę krakowską, wrocławską, poznańską, włocławską, płocką, lwowską, chełmińską i wileńską.

Zofia hr. Szembekówna (w zakonie Siostra Krysta) podała część czwartą „Sprawozdania z poszukiwań archeologicznych" odbytych w r. 1905 i 1906 na cmentarzysku z epoki rzymskiej w Siemianicach (str. 165—189). Opisano tu szczegółowo groby nr. 47 do 81, pochodzące z epoki rzymskiej, opis zaś ten zaopatrzył cennemi uwagami fachowemi dr. J. Kostrzewski. Tenże badacz opracował znaleziska, przechowywane w muzeum Towarz. Przyj. Nauk, w rozprawie p. n.: „Groby grzebalne (szkieletowe) z początku epoki bronzowej w Wielkopolsce (Okres I—II Manteliusa)", (str. 191—212).

Dr Stanisław Karwowski dał zwięzłą monografię „Biskupów poznańskich z drugiej połowy XIII wieku" (str. 213 do 240), oraz omówił „Inwentarz dóbr Wróblewskich", spisany 1794 roku przez p. kasztelanową Teresę z Szczanieckich Kwilecką,

pod względem kulturalnym i językowym (str. 241—256). Tom cały kończą sprawozdania z czynności Towarzystwa i poszczególnych wydziałów oraz spis członków.

Dr. St. Zdziarski.

Album zabytków przedhistorycznych Wielkiego Księstwa Poznańskiego, zebranych w Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, wydali dr. B. Erzepki i J. Kostrzewski. Poznań. 1914—1915. Zeszyt III, folio. kt. nlb. 2, str. 23 z 19 tablicami; zeszyt IV, fo. nlb. 2, str. 15 z 11 tablicami.

Dwa ostatnie zeszyty tego wspaniałego, jak na nasze stosunki wydawnicze „Albumu", które ukazały się po dłuższej przerwie, stoją zarówno pod względem swojej zawartości wewnętrznej, jak nie mniej też strony zewnętrznej, typograficznej, na tej samej wyżynie, co poprzednie.

Zeszyt trzeci zawarł na 19 tablicach reprodukcye 364 przedmiotów, pochodzących wprawdzie ze starszych poszukiwań, a więc niezadawalających dzisiejszych wymagań naukowych, ale przyniósł wśród nich typy niezwykle rzadkie i ważne, dorzucające niejedną cegiełkę do odbudowy gmachu naszej przeszłości przedhistorycznej.

Do najciekawszych w zeszycie III-m należą: nr. XLIII kociełek bronzowy, dęty, z cienkiej blachy, złożony z dwu części oddzielnych, spojonych wielkimi, płaskimi nitami i zaopatrzony pierwotnie w dwa masywne ucha bronzowe, z których tylko jedno ocalało; nr. LIII, przedstawiający część górną naczynia twarzowego, znalezionego w Lednogórze w pow. gnieźnieńskim. Nos i uszy są plastyczne, oczy w postaci kółek z punktem w środku, usta zaś w kształcie rowka poziomego; oraz nr. LVII, wyobrażający bronzowy posążek Izydy, trzymającej małego Horusa na łonie. Bogini przedstawiona jest w postawie siedzącej, w szacie obcisłej, sięgającej aż do stóp. Na głowie ozdoba, w znacznej części odłamana, sądząc z analogii z innemi figurami, zapewne tarcza słoneczna pomiędzy rogami krowimi. Włosy bogini spadają w dwu wielkich puklach na piersi, reszta zwiesza się na plecy. Na środku czoła wystaje z włosów rodzaj ozdoby w kształcie ptaka. Lewą ręką obejmuje bóstwo główkę Horusa, prawą trzyma przy własnej piersi. Horus siedzi bez ruchu, z rękoma zwieszonemi po obu bokach ciała. Twarz jego bardzo uszkodzona ma dziś formę niekształtnej bryły. Nóżki Horusa są utrącone. Nogi Izydy spoczywają na czworobocznej płytce,

z której wyrasta dołem gruby, czworograniasty kolec, długości 2.4 cm. Służył on widocznie do osadzenia posążka na przeznaczonym do tego postumenciku. Wysokość posążku razem z podstawą dochodzi do 19.5 cm., waga wynosi 777 gramów.

Zeszyt IV-ty uwzględnia prawie wyłącznie wykopaliska nasze z epoki rzymskiej oraz okresu wczesno-historycznego (tzw. „słowiańskiego") i zawiera reprodukcye 174 przedmiotów. Są tu: wazy, dzbany, miseczki, puhary, kieliszki, kubki, czerpaki, szpile bronzowe, kolczyki, naręczniki, pierścionki, naszyjniki, fibule, groty do dzirytu itp., które zostały objaśnione wyczerpującym tekstem dra Kostrzewskiego. Ogółem w wydanych dotąd czterech zeszytach „Albumu" odtworzono reprodukcye 1394 przedmiotów ze wszystkich okresów naszej przeszłości przeddziejowej. Obok tekstu objaśniającego, zawiera zeszyt omawiany dokładny wykaz miejscowości, z których pochodzą zabytki, opisane w czterech zeszytach „Albumu". Przedstawiwszy w ten sposób wybór najważniejszych zabytków przedhistorycznych muzeum poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk, zamknięto zeszytem czwartym całe wydawnictwo. W przyszłości opisy ciekawych przedmiotów muzealnych, których ilość od czasu wykonania ostatnich tablic znacznie wzrosła, będą pomieszczane w „Rocznikach" T. P. N. lub w miarę funduszów, w osobnej, odpowiedniejszej celowi publikacyi peryodycznej.

Wydawnictwem tem postawili sobie obaj wydawcy monument w zupełności zasłużony a piękny.

Dr. St. Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

„Les Saints". Saint Justin, par Le P. M. J. Lagrange, Paris, libr. V. Lecoffre, 1914, in 16°, str. 203.

Dobra książka, to najlepszy przyjaciel, który nigdy nie zawodzi — rozrywa, poucza lub pociesza, stosownie do okoliczności. Taką dobrą książką jest właśnie studyum uczonego Dominikanina francuskiego, poświęcone św. Justynowi, jednemu z pierwszych apologetów wiary chrześcijańskiej i męczennikowi za tę wiarę. W czasach obecnych, gdy

ludzkość trapi tyle nieszczęść, przeczytanie podobnej książki sprawia prawdziwą ulgę. Pozwala ona bowiem oderwać się na czas jakiś od brutalnej rzeczywistości, jaką przeżywamy i przenosi nas w inny lepszy świat, w którym hojnie także lała się krew, ale krew męczenników, dających swe życie w ofierze za najwyższe ideały wiekuistego dobra i piękna.

O. Lagrange ostrzega w przedmowie do swej pracy, że nie jest ona biografią św. Justyna we właściwem tego słowa znaczeniu, gdyż nie istnieją dane do jej napisania. Jestto więc konterfekt duchowy tego świętego szermierza za dobrą sprawę, odtworzony na podstawie dzieł po nim pozostałych a uznanych za autentyczne, mianowicie dwóch Apologij, Dialogu z Tryfonem i fragmentów z traktatu o Zmartwychwstaniu.

Z właściwą francuskim uczonym jasnością i ścisłością umiał O. Lagrange skreślić ten konterfekt, poczynając od nawrócenia się św. Justyna aż do chwili, gdy poniósł chwalebną śmierć męczeńską. Oglądamy na wizerunku tym równocześnie apologetę chrystyanizmu, występującego w obronie dobrej sprawy z pełnem przekonaniem o jej zwycięstwie i filozofa chrześcijańskiego, który drogą rozumu przychodzi do poznania istotnej prawdy.

Nawiązując do nawrócenia się Świętego, jak on je sam przedstawił w swym Dyalogu, O. Lagrange tak charakteryzuje stan jego intellektu:

„Nie widzi on od tej chwili, aby nazwa chrześcijanina nie zgadzała się z nazwą filozofa. Chrystyanizm bowiem jest także filozofią, ale filozofią, która posiada większą pewność. Zamiast mistrzów, mówiących mu w sposób nieokreślony o Bogu a którzy zresztą przestali Go głosić (Neoplatonicy. rzym. tłóm.), będzie miał proroków natchnionych przez Ducha św. i Apostołów, ogłaszających wszystkim zbawienie w Jezusie Chrystusie. Mało go obchodzi, że jego wiara wymaga, aby rozum się jej poddał. Ona daje mu poznać Boga, obiecuje mu, że kiedyś go posiędzie, a tego właśnie wymagał od rozumu, który okazał się bezsilnym. Jednakże nie będzie uważał on rozumu za coś niepotrzebnego. Owszem, będzie zajmował się więcej, niż przedtem, ale z większą pewnością, wzniosłymi przedmiotami, jakie przedstawią się mu niejasnymi w wierze, spodziewając się ich wyświetlenia. Wszystko to będzie filozofią, lecz filozofią ma się rozumieć, religijną, o której właśnie marzył...

„Przez filozofię szukał Boga; gdy jednak stracił wiarę do ludzi,

stał się skłonnym uznać autorytet Boski. Wewnętrzny impuls pcha go ku temu, bada Pismo św. — jest przekonanym. Takiem było u niego przesilenie intellektualne, zakończone szczęśliwie pod wpływem łaski". (Str. 21).

Podobną drogę mógłby i dziś jeszcze przebyć niejeden wyższy umysł, napróżno szukający prawdy poza obrębem wiary.

Autor podnosi przedewszystkiem znaczenie św. Justyna, jako twórcy Apologij, z których pierwsza przypada prawdopodobnie na czasy Antonina Pobożnego (r.138—161), druga zaś — Marka Aureliusza (r. 161—180). Święty przemawia w tych Apologiach do imperatorów imieniem chrześcijan „jako jeden znich, za nimi". W tem miejscu O. Lagrange przytacza słowa innego pisarza francuskiego — A. Pnech'a — który mówi:

„Naszą sympatyę bezpośrednią dla Justyna zdobywa to, co nazwałbym „przejrzystością" jego duszy bardzo szczerej, lojalnej i gorącej. Dusza ta przejawia się już w pierwszych wierszach Apologii. Mało znajdzie się w pierwiastkowej literaturze chrześcijańskiej słów równie wzruszających, jak to proste powiedzenie: j a k j e d e n z n i c h" (str. 69).

Erudycya i pierwszorzędne zalety stylu O. Lagrange'a najlepiej dają się poznać w rozdziele zatytułowanym: „Święty Justyn, teolog; jego nauka o Słowie". Traktuje on bowiem w tym rozdziale o najzawilszych zagadnieniach wiary w sposób zarówno głęboki, jak dostępny, jasny i zwięzły. Ustęp ten jest bardzo pouczający, gdyż objaśnia nas o tem, jak odnoszono się do powyższych zagadnień w połowie II-go wieku, gdy teologia była dopiero w początkach.

Stydyum swe o św. Justynie, którego pamiątkę Kościół św obchodzi w dniu 14-go kwietnia, kończy autor słowami, malującemi jego dlań uwielbienie: „Oby się stał on patronem dusz prostych, dusz szczerych, dusz mężnych!"

J. Trepka.

100 Berufe für Frauen und Mädchen des deutschen Mittelstandes, von Käthe Schrey. Verlag Otto Beyer, Leipzig 1916. Vierte Auflage.

Jak bardzo poczytną i na czasie była ta książka, świadczy najlepiej czwarte jej wydanie. Istotnie p. Käthe Schrey oddała swemu społeczeństwu dobrą usługę zebraniem w ściśle uporządkowaną, zwięzłą całość, najpotrzebniejszych danych, jakie zajęcia i zawody są obec-

nie dostępne dla kobiet, jakich wymagają studyów przygotowawczych, wkładów materyalnych, jak są płatne na początku, a jak po latach, do czego doprowadzić mogą, czy dają zabezpieczenie na starość itp. Książka, nie roszcząc żadnych pretensyi do wytyczania nowych dróg, do pchnięcia na szerokie emancypacyjne tory ruchu kobiecego, jest tylko skromnym, a bardzo pożytecznym skorowidzem, ułatwia w znacznej mierze oryentowanie się przy wyborze zawodu, tak dla wstępującej w życie młodzieży żeńskiej, jak i osób starszych, zmuszonych niespodziewanemi okolicznościami do zarobkowania, wykorzystania swych uzdolnień fachowo nie wyszkolonych. Wybitny zmysł praktyczny, znajomość charakteru narodowego, potrzeb społeczeństwa, przemawiają z każdej kartki książki, która jednak dla nas nie przedstawia bezpośredniej większej wartości, gdyż uwzględnia tylko stosunki niemieckie.

Karyery ściśle artystyczne pomija autorka z rozmysłem, wychodząc z założenia, że wybitny talent utoruje sobie zawsze drogę do rozwoju, wie w jakim iść kierunku, a istotna wartość jego zadecyduje o dalszem powodzeniu. Trudniejszem daleko zadaniem jest skierowanie na właściwe tory tego legionu przeciętnych uzdolnień, które nie zdradzając wybitnych zdolności, ani upodobań w żadnym ściśle oznaczonym kierunku, łatwo dają się powodować fantazyi, chwilowym prądom czasu, innym ubocznym wpływom, wybierają niejednokrotnie zajęcia zupełnie sobie nie odpowiadające i zamiast tworzyć zastępy dzielnych pracownic, tę siłę podstawową społeczeństwa i iść przez życie z zadowoleniem dobrze spełnianego obowiązku, uważają się za nieszczęśliwe ofiary losu. Ten niepożądany stan rzeczy, aż nazbyt często powtarzający się niestety, przypisuje autorka bardzo słusznie złemu założeniu przy wyborze zawodu przez rodziców, niedostatecznemu obznajmieniu się młodzieży z jakim rodzajem pracy spotka się. Wybór ustala się przeważnie po rozważeniu pytań: 1) czy posada jest zaraz, lub będzie intratną na przyszłość? 2) Czy odpowiada pojęciu „wypada lub niewypada, by panienka z lepszego domu zajmować ją mogła? 3) A wreszcie czy są widoki na szybki awans, czy zbyt wiele kandydatek garnie się do niej. Względy bez kwestyi ważne, ale właściwie decydującemi winny być: 1) uzdolnienie i skłonności, które od dzieciństwa należy obserwować i kierować, 2) Siły i rozwój fizyczny, a także środki materyalne i czas jaki w przybliżeniu poświęcić można studyom fachowym. Nie bez słusznej racyi gani autorka, źle rozumowaną zapobiegliwość rodziców, szczędzących kosztów na studya fa-

chowe, na ewentualny wyjazd w celu dokładnego poznania lub wypraktykowania zawodu, rodziców, którym się zdaje, że lepiej tę sumę umieścić w banku, nierozumiejących, że gruntowne wykształcenie ogólne i fachowe jest kapitałem najlepiej się procentującym. Najważniejszy jednak powód niepowodzenia życiowego, zniechęcenia ze strony osób pracujących, lekceważenia i niedoceniania, zwykle nawet bardzo sumiennej pracy kobiet, jest właśnie ten brak fachowego przygotowania. Najlepiej przygotowane są nauczycielki i osoby z ukończonemi studyami buchalteryjnemi, ale nikomu na myśl nie przychodzi, żądać studyów przygotowawczych od urzędniczek prywatnych, sekretarek, administratorek, bibliotekarek, zarządczyń gospodarstw miejskich czy wiejskich i tylu t. p., które obecnie zajmowane są przez kobiety. Z tym to właśnie dyletantyzmem trzeba zacząć walczyć bardzo energicznie, organizować krótkie kursa, żądać pracy umiejętnej, wynagradzać jak należy. — Każdemu zawodowi poświęca autorka osobny rozdział książki. Kreśli krótko, jaki jest ewentualny przebieg studyów, jakie są wymagane egzamina, poucza, jakie kontrakty lub umowy należy zawierać, jakie istnieją organizacye prawne i ochronne. Krótki pogląd na szkolnictwo w Niemczech, spis i adresy organizacyi zawodowych uzupełniają tę pod każdym względem bardzo pożyteczną książkę, której dosłowne tómaczenie nie miałoby żadnego praktycznego celu, natomiast opracowany na ten wzór i do naszych stosunków dostosowany skorowidz, oddałby społeczeństwu polskiemu ogromne usługi.

Jadwiga Mayówna.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicki uniwersytet w Salzburgu. — Zniesienie ustawy antyjezuickiej w Niemczech. — Kościół grecko-katolicki w Rosyi.

Katolicki uniwersytet w Salzburgu.

Nie zapomnę chwili, gdy podczas wiecu katolickiego we Wiedniu byłem świadkiem mowy Luegera do biskupów austryackich, w której Lueger rzucił hasło: Katolicy, musimy zdobyć uniwersytety. Była to ta sama mowa, co zelektryzowała całą Austryę i wywołała, z poduszczenia kół liberalnych i radykalnych, rewolucyę na uniwersytetach austryackich. Otwarło się wtedy piekło nienawiści, rozpętała się orgia wściekłości, nie poskąpiono ze strony radykalnej żadnego środka, byle tylko ideę uniwersytetu katolickiego w zawiązku zdusić. Nic dziwnego, broniono najsilniejszej twierdzy, od której kierunek cywilizacyi i panujący duch czasu zależą.

Na czele biskupów, do których przemawiał wtedy Lueger, stał czcigodny starzec, arcybiskup Salzburski, kardynał Katschtaler. Człowiek ten poświęcił się cały idei wzniesienia katolickiego uniwersytetu w Salzburgu. W tej chwili, gdy przemawał do niego Lueger, Katschtaler miał już zebranych 3 miliony koron na fundusz uniwersytecki, (dziś suma dochodzi do 4 milionów), obfite zbiory naukowe, między innemi bibliotekę, liczącą 30.000 tomów, prócz tego istniał już szereg wykładów i kursów, sporadycznie urządzanych w Salzburgu. I właśnie widok Katschtalera nasunął Luegerowi hasło, które tak donośnie rozległo się po państwie całem.

Dziś patrzymy, jak ta idea, przeszedłszy losy męczeńskie, zaczyna urzeczywistniać się.

Moment dzisiejszy, w którym powstaje ta szkoła, dziwnie przypomina początki dawnego uniwersytetu salzburskiego. Dawny ten uniwersytet powstał również w zamieci wojennej, w samym środku okropności wojny 30-letniej. Trwał aż do czasów napoleońskich, podczas których runął zostawiając po sobie tylko fakultet teologiczny. Wysiłki obywatelstwa salzburskiego, aby przywrócić miastu szkołę wyższą pozostały aż dotąd płonne i dopiero w czasie wojny światowej zaczynają się urzeczywistniać.

Idea uniwersytetu katolickiego wyłania się na nowo w XIX wieku. Wiemy, że aż po czasy nowsze uniwersytety były tylko katolickie, że otwierali je tylko Papieże. Z chwilą jednak, gdy oświata wymknęła się z rąk Kościoła, gdy uniwersytety rządowe zaczęły nie uwzględniać nauki objawionej, co więcej, gdy stały się nie tylko bezwyznaniowymi lecz nieraz i antyreligijnymi instytucyami, zaczęło sumienie katolików szukać punktu wyjścia z trudnego położenia. Zasadzie katolickiej odpowiadałby najlepiej uniwersytet rządowy, w którym nauka zgadza się z dogmatem tam, gdzie dogmat wchodzi w grę. Gdy jednak to istotne prawo natury idzie w poniewierkę, najprostszym obowiązkiem katolicyzmu jest czynić wszystko, by dojść do swojej uczelni. Widzimy też, jak w XIX wieku, w Europie i w Ameryce, powstaje szereg uniwersytetów katolickich.

Nie powiodło się jednak tym razem w Salzburgu dojść do czysto katolickiego uniwersytetu. Obok wysiłków katolickich obywateli Salzburga, aby dojść do katolickiej uczelni, istniały także wysiłki liberalnych żywiołów tego miasta, aby dojść do państwowego a więc bezwyznaniowego uniwersytetu w Salzburgu. Obydwie strony, które niejednokrotnie dotąd zwalczały się, doszły między sobą do porozumienia i do kompromisu. Na czem ten kompromis polega, oficyalnie dotąd nie wiadomo; obydwie strony zachowują sekret. Faktem jest tylko, że delegaci obu stron zjawili się we wspólnej reprezentacyi u obecnego cesarza i przedstawili życzenie, że pragną mieć w Salzburgu uniwersytet imienia cesarza Karola, że zadowolnią się na razie tem, że do fakultetu teologicznego dodane będą dwa inne fakultety, czwarty zaś fakultet medyczny może być później dołączony. Cesarz życzenie to przyjął do wiadomości i uczynił poważną obietnicę. Tak przedstawia się dotychczasowy bieg sprawy.

O fakcie kompromisu czytamy następujący ustęp w chrześci-

jańsko-społecznem piśmie „Salzburger Chronik“: „Katolicy, którzy od r. 1884 posiadali własny organ w katolickim związku uniwersyteckim, w pamięci na katolicki charakter starej salzburskiej uczelni, postawili sobie za cel stworzenie wolnego katolickiego uniwersytetu i ku temu celowi zebrali pokaźne środki. Natomiast niemiecko-postępowe stronnictwa dążyły wyłącznie do państwowego, bezwyznaniowego, uniwersytetu w Salzburgu. Jak długo obie strony trzymały się uparcie swego punktu widzenia, tak długo nie można było dojść do wspólnego obu stronom celu, do uniwersytetu w Salzburgu. Obecnie, pod wpływem wojny światowej, która wszystkich patryotycznie usposobionych Austryaków ściślej zespoliła, sądzą przedstawiciele obu wielkich stronnictw salzburskich, że znaleźli drogę, która do wspólnego celu prowadzi. Nowy salzburski uniwersytet ma wprawdzie być, jak inne austryackie uniwersytety szkołą państwową, ma stać pod nadglądem ministeryum oświaty i ma posiadać prawa i przywileje innych uniwersytetów, — przytem jednak równocześnie mają być zaspokojone usprawiedliwione żądania katolików. Kwestya, jak jakiemuś mniej lub więcej prywatnemu związkowi mają być zapewnione pewne prawa, co do uniwersytetu, bez zmiany ogólnego charakteru, została rozwiązaną na wzorze starej salzburskiej uczelni“.

Tymczasem zawrzało już w katolickiej i liberalnej prasie austryackiej. Puszczono w kurs niesprawdzoną pogłoskę, że kompromis polega na tem, iż salzburskiemu arcybiskupowi przysługuje prawo obsadzania pięciu katedr, filozofii, historyi, historyi sztuki, prawa państwowego i biologii. Ta pogłoska wywołała już publiczny protest profesorów uniwersytetów austryackich, przeciw podkopywaniu zasad, na jakich wspiera się chwała i niezależność niemieckiej nauki. Dzienniki żydowskie rozpisały się obszernie o duchu świętym wiedzy i wolnego badania, o obskurantyźmie księżego uniwersytetu. Zaatakowano także rząd, że za pieniądze salzburskiego związku rozszerza i ustala wpływ Kościoła na obsadzanie katedr uniwersyteckich.

Burza jednak tą sprawą wywołana nie jest zbyt silną. Chwila jest dość sposobna dla przeprowadzenia tej sprawy i o ile nie zajdą nieoczekiwane przeszkody, akcya cała stoi pod znakiem pomyślnym.

Zniesienie ustawy antyjezuickiej w Niemczech.

Donieśliśmy w poprzednim zeszycie krótko, że ustawa antyjezuicka w Niemczech została zniesioną. Warto do tej sprawy wrócić, bo jest pouczającą.

Zwracano niejednokrotnie uwagę dawniej i dziś na tę niezrozumiałość, jaka tkwi w pojęciu podobnej ustawy w różnych państwach w różnych czasach wprowadzanej. W państwie dzisiejszem szczycącem się kulturą i poczuciem wolności, wszyscy obywatele cieszą się prawem osiadania, przebywania, prawem wolności pracy, tylko członkowie katolickich zakonów stają się w jednym dniu z wszystkich praw ograbieni. Anarchiści, ateiści, zażywają pełni swobód, profesorzy wygłaszają bezkarnie najbardziej przewrotowe opinie, autorzy książek i publicyści mogą zwalczać wszelką wiarę i wszelki idealizm, demagodzy mogą na tłumnych zebraniach wrzucać w duszę najradykalniejsze hasła, dyrektorzy teatrów i kabaretów swobodnie zaprzepaszczają obyczajność narodu, wszyscy mają prawa, jednym tylko zakonnikom katalickim nie wolno w państwie przebywać i pracować.

Druga uwaga, jaka przy tym fakcie nasuwa się, jest ta: wraz ze zniesieniem tej ustawy przybywa nowy dowód, że każde kłamstwo na krótkie nogi, że dni każdego bezprawia są policzone, że przychodzi chwila, w której podobne prześladowania okazują się bezużyteczną i kompromitującą stratą czasu i energii, i wtedy z zajętego stanowiska trzeba się cofnąć i błąd naprawić.

Pouczającą jest także właściwa przyczyna, która zniesienie tej ustawy spowodowała. Bezpośrednią przyczyną jest obecna sytuacya wojenna, właściwą jednak przyczyną jest niezmożona wytrwałość katolików niemieckich, którzy raz rzuciwszy hasło przeciw tej ustawie, nie ustąpili ze stanowiska, aż cel osiągnęli. Z roku na rok przez lat dziesiątki, na ogólnych wiecach katolickich i lokalnych zebraniach, hasło to rozbrzmiewało wciąż jako hasło bojowe. Zrazu nie było skutku żadnego, powoli jęły się okazywać częściowe skutki. W dwadzieścia lat po wydaniu ustawy, 18 lipca 1892 r., powzięła rada związkowa uchwałę ścieśniającą pierwotne brzmienie, mianowicie, że ustawa w przyszłości nie będzie się odnosić do kongregacyi Redemptorystów i do kongregacyi kapłanów św. Ducha. W dwanaście lat później, 8 marca 1904 roku, został zniesiony paragraf drugi tej ustawy; dziś po dalszych trzynastu latach cała ustawa upadła.

Ciekawym przyczynkiem do tej sprawy jest, jak zniesienie tej ustawy przyjęli Jezuici niemieccy. W miesięczniku „Stimmen der Zeit“ ogłosił prowincyał Jezuitów, Kösters, pod tytułem: „Dank und Gruss“ następujący list otwarty do narodu niemieckiego: „Dn. 17 kwietnia 1917 r. przyniósł niemieckiej prowincyi zakonnej Towarzystwa Jezusowego długo oczekiwane zniesienie tak zwanej jezuickiej ustawy. Pod

wpływem radości jaka nas przepełnia na myśl, że, jako równouprawnieni współobywatele mamy rozpocząć pracę na ojczystej niwie, znika pamięć na twarde i gorzkie losy, jakie przyniosło nam przeszło 44-letnie wygnanie.

„Nie wygaśnie w nas pamięć na miłość i współudział, jakimi cieszyliśmy się od r. 1872 w szerokich kołach naszej ojczyzny. Jak przy rozłące żegnał się ówczesny prowincyał w czasopiśmie „Stimmen aus Maria Laach", tak dziś w temsamem czasopiśmie składam dzięki... Nie zapomniano o nas. Niejeden nawiedzał domy wypędzonych dla odprawiania ćwiczeń duchownych, wielu powierzało naszym zakładom wychowawczym swoje dzieci. Książki i pisma, które jak posłańcy niosły przyjaciołom naszym z wygnania naszego pozdrowienie, trafiały na szerokie koła czytelników. Kapłani nasi, którzy w miarę warunków, czyto z wykładami czy z inną pracą, mogli na chwilę zaglądnąć do ojczyzny, byli witani jak starzy przyjaciele. Najpiękniejszy dowód swego nieumniejszonego zaufania dały nam te liczne katolickie rodziny, co ofiarowały nam swoich synów, którzy razem z powołaniem zakonnem stawali się banitami i którzy nawet na najodleglejszych misyach zachowali miłość dla swej ojczyzny i pracowali dla jej potęgi.

„A iluż z niezmożonym trudem pracowało od lat trzydziestu nad upadkiem wyjątkowego prawa. Wspaniałe mowy na zjazdach katolickich, niezliczone zebrania, urządzane przez świeckich i duchownych, wierne przywiązanie katolickiego ludu, nieustanna działalność katolickiej prasy i innych obozów, niewyczerpane trudy stronnictwa centrum, szlachetne zastawienie się dostojnego niemieckiego episkopatu, dziewięciorazowa uchwała niemieckiego parlamentu — to wszystkio cieszyło nas i zawstydzało. Cel w końcu został osiągnięty, jezuickie prawo zachwiało się i padło. Rada związkowa przychyliła się do ostatniej uchwały parlamentu a J. M. Cesarz raczył w tym samym dniu zamienić uchwałę w prawo.

„Wszystkim, którzy pamiętali o nas na wygnaniu i dopomogli nam do powrotu do ojczyzny, składamy wyrazy serdecznej wdzięczności i w poczuciu własnej niemocy wołamy: Bóg zapłać — co ponawiamy codziennie w modlitwie i przy ołtarzu...!!"

Kościół grecko-katolicki w Rosyi. Lwowskie „Diło" przynosi wiadomość o wznowieniu swobody dla kościoła grecko-katolickiego w Rosyi. Z nad kordonu rosyjskiego donoszą „Diłu", że bawiący chwi-

lowo w Kijowie metropolita lwowski Szeptycki ma w najbliższych dniach w kościele rz.-kat. w Kijowie wyświęcić unickiego biskupa dla wyznawców unii na całym obszarze Rosyi. Pierwszym biskupem-unickim zostaje były duchowny prawosławny ks. Fiedorow.

W związku z nowym stanem rzeczy, jaki zainaugurowany został przez rewolucyjny rząd rosyjski w dziedzinie swobody wyznaniowej, notuje „Diło", że metropolicie Szeptyckiemu pozwolono przeprowadzić w okupowanej przez Rosyę części wschodniej Galicyi śledztwo w sprawie niedawnego masowego „nawracania" Rusinów galicyjskich na prawosławie za rządów wojennego generał-gubernatora Bobrińskiego. Umyślnie utworzona komisya ma ustalić wypadki, w których ludność przemocą wcielano do cerkwi prawosławnej. Rezultatem tej akcyi ma być powrót do unii tych, którzy niedobrowolnie ją opuścili. Komisya rozpocznie swą działalność od powiatu brodzkiego.

Wiadomości te podajemy za dziennikami z tem zastrzeżeniem, że na ostateczne ich sprawdzenie należy jeszcze poczekać. Jakkolwiek jednak stoi sprawa z podanymi szczegółami, podstawa ich jest pewną — ogłoszenie swobody wyznań w Rosyi jest faktem dokonanym. Losy tego stanu rzeczy są oczywiście taksamo niepewne jak niepewną jest przyszłość rewolucyi rosyjskiej. Dlatego poprzestać dziś wypada na powyższej krótkiej notatce.

Ks. J. Pawelski.

Z dzisiejszej Francyi.

Ruch piśmienniczy. — Jarmark księgarski. — Komitet książki. — Rozprawy ekonomiczno-polityczne. — Artykuły fachowo-wojskowe. — Z rowów strzeleckich. — Z ruchu wydawniczego.

Wolna, rzec można, nieograniczona wymiana myśli między członkami wielkiej rodziny ludów cywilizowanych została nagle powstrzymana przez wojnę światową. Nic tedy dziwnego, że teraz zaciekawia nas niezmiernie to, co się myśli, pisze, drukuje po drugiej stronie frontów bojowych, które dokładniej, niż mur chiński, rozdzieliły narody. Ale ciekawość nasza może być zaspokojoną tylko częściowo za pomocą tych szczupłych wiadomości, jakie przedostają się przez kraje neutralne.

Rzućmy np. okiem, opierając się na tych wiadomościach, na francuski ruch piśmienniczy — z wyjątkiem powieści i romansów — ostatniej doby.

W roku ubiegłym odbył się w Lyonie „Jarmark księgarski" („La foire du livre et la semaine de la culture francaise"). W sprawozdaniach z tego „Jarmarku" czytamy wśród innych wiadomości, że w r. 1913 wydano we Francyi 9.000 książek, w Anglii 12.000, a w Niemczech 36.000 i że przez ostatnie 2 i pół roku przed wojną sprowadzono do Francyi z Niemiec druków za 19 milionów franków. Dalej dowiadujemy się z tych sprawozdań rzeczy ciekawych, mianowicie, że $^2/_3$ paryskich dzienników mód było własnością wydawców niemieckich lub austryackich i że studenci francuscy muszą nieraz posługiwać się lipskiemi wydaniami klasyków, bo wydania francuskie są... za drogie.

Sprawozdania wymienione podnoszą również, iż do początku 1916 roku padło na polu walki przeszło 300 francuskich poetów, literatów, dziennikarzy itd., wogóle ludzi pióra.

Wydawcy paryscy obesłali wystawę „Jarmarku" albo temi rzeczami, które najlepiej sprzedają się w ciągu ostatnich lat 50-ciu, albo też temi, które „idą" w czasie wojny, tj. wystawili rzeczy względnie stare i najświeższej daty.

Jeden ze sprawozdawców, pisząc o tej wystawie, tak się wyraża o tem, jak powinna książka wyglądać:

„Dostojeństwo książki polega na tem, że zawiera w sobie ducha ludzkiego; zasadniczym zaś jej warunkiem jest, by go dobrze od zewnątrz przedstawiała. Książka winna być jasna i ładna, zarówno książka tania, jak i wydana zbytkownie. Piękny, czysty tekst, odbity na prawdziwym papierze, przyjemnemi dla oka czcionkami i wolna przestrzeń na marginesach, — oto warunki książki, którą ochotnie bierze się do ręki". O tych warunkach mogliby więcej pamiętać i nasi, polscy wydawcy!

Tensam sprawozdawca narzeka — t o u t c o m m e c h e z n o u s — że we Francyi zamało wydaje się pieniędzy na kupno książek. A przecież wydawnictwa francuskie, szczególniej ilustrowane, są bajecznie tanie w porównaniu do naszych; za 2 f r a n k i tylko można dostać „Podróże Gulliwera" ze wspaniałemi ilustracyami R a c k h a m a.

Podczas tego jarmarku odbyły się narady przedstawicieli firm wydawniczych, właścicieli drukarni oraz pewnej liczby ludzi piszących. Powzięto na nich szereg uchwał, mających na celu zwiększenie ruchu wydawniczego i uprzystępnienie warunków nabywania książek francuskich w kraju i zagranicą, aby „z ich pomocą promieniowała jak najdalej kultura francuska". Postanowiono również powołać do życia specyalny „komitet książki" (Le comite du livre). „Za jego pośrednictwem

myśl francuska i wszystko, co stanowi oblicze duchowe Francyi, na które chcemy, by cały świat patrzył, dostawałoby się do wiadomości cudzoziemców".

Omawiając sprawę tego komitetu, wyraża się jeden z publicystów w sposób ważny dla charakterystyki obecnego nastroju we Francyi.

„Widać, że chodzi tu, podobnie jak w jakiemkolwiek przedsiębiorstwie przemysłowem lub handlowem, o ż y c i e. Żywotność naszego kraju okazuje się teraz wszędzie. Ta wojna, wydająca się być państwem śmierci, budzi u wszystkich namiętną potrzebę przedłużania egzystencyi. Ta wojna, która nas przygniata, która nas przykuwa do swych losów, czujemy, że nas przez siebie samą wyswobadza. Wydaje się, że wielkie dziewicze pole czynów leży przed nami, otwarte i że niecierpliwość popycha nas do zbierania zeń plonów. Kult czynu, który już przed wojną ogarnął całą młodzież francuską, z pewnością po niej nie zaniknie".

Wojna, jak nie może być inaczej, wycisnęła oczywiście swe piętno na ruchu wydawniczym francuskim doby obecnej — na dziesięć książek, wydanych w czasie jej trwania, dziewięć pozostaje z nią w tym lub owym związku. Tosamo daje się widzieć w artykułach pism peryodycznych wszelkiego typu.

Na czoło tych artykułów wysuwają się, obok rozpraw fachowo-wojskowych i wspomnień osobistych uczestników wojny, roztrząsania na temat jej wpływu na stosunki ekonomiczno-polityczne Europy wogóle, a w szczególności Francyi. Troska o j u t r o przebija z nich przedewszystkiem i ona to niezawodnie była powodem projektu do ustawy, wniesionego jeszcze w kwietniu 1915 r. w Izbie przez dep. H e n e s s y, a odnoszącego się do „decentralizacyi administracyjnej oraz ustanowienia przedstawicielstwa interesów ekonomicznych przez zniesienie departamentów, zaprowadzenie podziału na ziemie („régions") i zgromadzeń ziemskich („assemblées régionales"). Projekt ten jest bardzo żywo omawiany w prasie francuskiej. Nie przesądzając jego losów, należy należy jednak stwierdzić, że stanowi on prawdziwe s i g n u m t e m p o r i s, bo narusza zasadnicze podstawy administracyi francuskiej, która z bardzo małemi zmianami przetrwała do dziś w tym stanie, jak ją ukształtował Napoleon I. I to także jeden z wielu niespodziewanych refleksów wojny.

Słynny ekonomista francuski, L e r o y - B e a u l i e u, umieszczał od początku wojny przez r. 1915 i 16 na czele każdego numeru swego

tygodnika „L'Economiste français" artykuły wstępne p. t. „La guerre, la situation et les perspectives". Nawet ten wyborny znawca stosunków europejskich nie przewidywał, żeby obecna wojna trwać mogła dłużej, niż 6 do 7 miesięcy. Dziwić się więc nie można ludziom mniej dokładnie poinformowanym, iż podobnie, jak on, mylili się w przypuszczeniach co do czasu trwania wojny światowej.

Uczony ten okazał się jednak gruntownym znawcą ościennych stosunków gospodarczych, skoro ostrzegał swych spółziomków przed nadziejami, związanemi z możliwością „wygłodzenia" Niemiec. Przypominał on im Francyę, blokowaną za czasów wielkiej rewolucyi i cesarstwa, gdy brakowało w niej często nietylko chleba, ale nawet prochu. Drwił zaś ze statystyków, przepowiadających jaknajdokładniej termin „wyczerpania" Niemiec, bo „narodu blokowanego nie można porównywać z obleganą twierdzą".

Przeglądając dostępne nam źródła, spotykamy w jednym miesięczniku aktualny artykuł M. Marion'a, profesora w „Collège de France" p. t. „La chasse à l'or pendant la Révolution et aujard'hui". Autor tego artykułu stwierdza, że sposób zdobywania tego niezbędnego w czasie wojny dla państwa kruszcu dziś a dawniej różni się zasadniczo. Obecnie państwo, chcąc go wydostać, apeluje krótko i grzecznie do patryotyzmu obywateli, wówczas używano do tego celu całego aparatu terroru i gwałtu, gróźb, konfiskat oraz potoków wymowy oficyalnej i prywatnej. Pomimo tego jednak, gdy w roku V-m Rzeczypospolitej zaczęto wycofywać asygnaty papierowe, złoto pojawiło się nagle w wielkiej obfitości. Widocznie więc nagonka za niem urządzona nie zdołała znacznie uszczuplić jego zapasów. Prof. Marion zauważa przytem, że

„Na nic się nie przyda tępić złoto gwałtownymi sposobami, bo bardzo trudno wtedy je schwytać. Nie należy używać celem zdobycia go ani szumnych frazesów, ani gróźb, jest ono bowiem z natury swej niespokojne i trwożliwe; umie kryć się w cudowny sposób, gdy jest wystraszone".

Przeciwna zaś metoda, której trzymano się teraz, t. j. w ciągu wojny światowej, we Francyi i gdzieindziej dla wydobycia złota z kieszeni obywateli, przyniosła bardzo dobre wyniki. Ile jednak złota, pomimo wszelkich subskrypcyj i pożyczek wojennych, zdołało w Europie ukryć się bezpiecznie, to będzie wiadomem dopiero wtedy, gdy zawita tak upragniona era pokoju.

W niewielkim, ale gruntownie napisanym artykule podanym przez dwutygodnik „Le Correspondent", a zatytułowanym „La guerre

et les finances des états belligérants", zastanawia się Max Furmann nad tem, w jaki sposób udało się państwom wojującym zgromadzić środki na pokrycie wydatków spowodowanych wojną. A wydatki te osiągnęły już wysokość wprost bajeczną, nieprawdopodobną. Autor stwierdza, że wszystkie mocarstwa posługują się w tym wypadku temi samemi metodami, a mianowicie: bankami emisyjnymi, pożyczkami wewnętrznemi oraz nakładaniem nowych i podwyższaniem dawnych podatków. Z początku wojny państwa stosowały te metody kolejno w powyższym porządku, później jednak widziały się zmuszone stosować je wszystkie razem.

Z omawianego artykułu dowiadujemy się także, iż kwota emitowanych do marca 1916 r. przez Bank francuski pieniędzy papierowych równała się 28 miliardom franków, zapas zaś złota w tym miesiącu wynosił 5011 milionów franków, srebra — 369 milionów franków.

Furmann utrzymuje, że W. Brytania była do wojny światowej nieprzygotowaną; zarówno finansowo, jak wojskowo. Dowodem tego szalona panika, która wybuchła w angielskich sferach finansowych pod koniec lipca 1914 roku. Jak trudną była wówczas sytuacya pieniężnego rynku angielskiego, świadczy fakt, niesłychany w dziejach, podniesienia stopy procentowej Banku angielskiego w dniu 1 sierpnia 1914 roku do 10 proc. Zapasy złota tego Banku podlegały w czasie wojny częstym fluktuacyom, tak, że musiano go kilkakrotnie wspierać większemi zaliczeniami złota z Paryża i Petersburga. Zapas na początku wojny tego szlachetnego kruszcu w Banku angielskim posiadał wartość tylko 725 milionów franków. Zaznaczyć jednak przytem trzeba, że Bank angielski nie jest na podobieństwo Banku francuskiego lub Banku austro-węgierskiego, bankiem państwowym, lecz jest instytucyą prywatną, grającą rolę bankiera państwa, który ma prawo emitowania w jego imieniu pewnej ilości pieniędzy papierowych, administruje jego długiem publicznym i t. d.

Artykuły fachowo-wojskowe o wojnie obecnej, którymi przepełnione są pisma francuskie, odznaczają się zarówno swą rzeczowością i jasnością, jak i naogół tonem umiarkowanym.

Jeden z wybitnych pisarzy wojskowych, Karol Sténion, szkicując przebieg pierwszego okresu wojny na froncie austryacko-rosyjskim, wyraża się o generale Danklu z największemi pochwałami. Uważa on odwrót Dankla z Królestwa Polskiego na linię Sanu za znakomitą operacyę strategiczną, w której przeprowadzeniu okazał się ten generał równie dzielnym wodzem, jak Joffre po bitwie pod Charleroi, Kluck

po bitwie nad Marną, a Sarrail w Serbii. O żołnierzu austryackim mówi Sténion z wielkiem uznaniem: „We wrześniu 1914 roku byli Austryacy strasznym przeciwnikiem. Często, nawet w najbardziej zawikłanych sytuacyach, stawiali oni zacięty opór, aż do śmierci".

Inny fachowiec, Francis Marre, zaznajamia czytelnika z pracą saperów przy budowie podkopów dla zakładania min pod ufortyfikowane stanowiska nieprzyjacielskie. Jego opowiadanie czyta się z zapartym oddechem. Przedstawiwszy niebezpieczeństwa, na jakie jest saper narażony przy swej kreciej robocie w głębokich podziemnych galeryach, skutkiem braku powietrza, zdatnego do oddychania, wielkiego gorąca, wyziewów trujących, obsypania się brył ziemi, nagłych zalewów wody zaskórnej, kontrataków podziemnych nieprzyjaciela itd., tak charakteryzuje jego działalność:

„O tem wszystkiem saper wie, ale go to nie porusza. Jego heroizm, chociaż jest innego rodzaju, niż heroizm żołnierza, walczącego na powierzchni ziemi, który ani drgnie wśród gradu kul, lub z bagnetem nałożonym na karabin idzie naprzód w sferze ognia huraganowego, nie jest przecież mniej godnym podziwu. U niego nie chodzi o czyny męstwa, podniecanego i podtrzymywanego przez odór prochu, przez zgiełk walki, przez przykład przełożonych, przez nadzieję wreszcie pięknego zgonu wśród apoteozy bitwy... On toczy walkę ukrytą, cieruliwą, cichą, z wrogiem chytrym a niewidzialnym, czeka go śmierć w ciemnościach, bez rozgłosu i świadków, grób nieznośny i zapomniany."

Jak łatwo się domyśleć, książek i broszur francuskich, omawiających pojedyncze epizody obecnej wojny, wyszło już w świat mnóstwo. Gustaw Babin, autor sporego szkicu p. t. „La bataille de Marne, esquisse d'un tableau d'ensemble", stwierdza, że nawet w odniesieniu do tej jednej tylko bitwy

„daleką jest jeszcze chwila, gdy będzie można dokładnie przedstawić, jak następowały po sobie ściśle ze sobą związane pojedyncze epizody, które rozgrywały się w ciągu tygodnia na froncie 300 kilometrów mierzącym, a które noszą nazwę bitwy nad Marną".

Tem trudniej tedy nabrać można dokładnego wyobrażenia o przebiegu wszystkich walk, jakie dotąd stoczyły między sobą armie: francuska, angielska i belgijska a niemiecka.

„Znakiem czasu", jak obecnie piszą literaci francuscy, jest n. p. taki ustęp z opowiadania C. Héarty p. t. „Le Capitaine" o przebiegu jednego dnia w rowach strzeleckich. Zmęczonemu trudami dnia dowódcy pewnego odcinka

„udało się wreszcie spocząć na tapczanie zbitym z kilku desek. Nagle wspomniał sobie z rozrzewnieniem tych, których serca biją dla niego. Jego własne zahartowane serce zadrżało uczuciem ku Królowej jego myśli, którą pozdrawia słodkiemi słowy Serafa: Zdrowaś Maryo... łaskiś pełna...

„Pragnienia jego duszy opuściły tę ziemię pełną nienawiści i kierują się ku przyjaciołom tam — w górze:

„Duchu Święty, napełnij serce, które Ci jest wiernem... podtrzymaj moich żołnierzy tak, jak mnie podtrzymujesz.

„Skąd miałbym tę stałość duszy, jak nie od Ciebie? Jeśli to możebnem, chroń mnie od zabijania innych...

„Spójrz na mych żołnierzy, czyż to nie bohaterowie wytrwania, męstwa, zaufania? Czyż pozwolisz, aby te dusze zaginęły? Oni Cię nie znają, lecz gdyby Cię poznali, służyliby Bogu tak, jak służą ojczyźnie. Mnie nie wolno o tem do nich mówić, ale czyż oni zostaną zawsze pozbawieni z winy innych tego, co daje siłę i słodycz memu życiu?

„Daj się im poznać, o mój Boże!... Czemu zwlekasz?".

Tuż przed wojną żaden francuski człowiek pióra nie zdobyłby się, aby tak pisać!

Albo inny obrazek z opowiadania Maurycego d'Hartoy p. t.: „Au front":

Kapelan, towarzyszący sanitaryuszom, którzy zbierają rannych na pobojowisku, spostrzega wśród nich znajomego żołnierza. On bardzo ciężko ranny. Żołnierz poznał kapelana i mówi doń z wysiłkiem:

— Ojcze, to ja, Monton... kula w głowie, umieram... pobłogosław mnie ojcze... boję się teraz, że jest ktoś tam... w górze...

„Nieszczęsny charczał, dusił się, każde słowo jakby wyrywało kawałek z jego krtani.

— Czy możesz to uczynić ojcze dla mnie... co nigdy nie wierzyłem?

— Tak, mogę za łaską Tego, kogo tu zastępuję. Bądź spokojny Monton, umierasz jak bohater i święty. Najpiękniejsze miejsca w niebie przeznaczone są dla tych, co okazali skruchę.

„Monton gasnącym głosem zdołał zaledwie wyszepnąć „dziękuję" i skonał".

W miarę, jak przedłużała się wojna światowa, wzrastał jej wpływ przygniatający na wytwórczość ludzkiego ducha. Dość np. powiedzieć że berliński korespondent medyolańskiego „Corriere della sera" donosił, iż pewien profesor uniwersytetu monachijskiego obliczył ilość utwo-

rów wierszowanych, mających związek z wojną i wydanych drukiem w Niemczech po kwiecień 1915 roku, na trzy miliony. Skutkiem tego prasa niemiecka musiała wzywać „poetów“ do umiarkowania.

Jaka ilość wierszowanych utworów ukazała się w tym samym czasie we Francyi, nie wiemy. Pewnem jest atoli, że, sądząc po tych, jakie wpadły nam w ręce, nie posiadają one naogół żadnej wartości artystycznej, podobnie jak niemieckie. Wiersze te, a właściwie proza rymowana, ożywione są gorącym duchem patryotycznym i to jedynie stanowić może ich zaletę w oczach czytelników francuskich.

Czynność na polu wydawniczem rzeczy, nie mających związku bezpośredniego lub pośredniego z wojną, nie ustała jednak w zupełności. Oto niektóre dzieła religijno-moralnej lub historycznej treści, jakie ukazały się w okresie wojennym :

„Nos Saints de Paris“ przez Dom Du Bourg'a, książka, w której ten uczony Benedyktyn, dał barwnie napisane, krótkie monografie Świętych i Błogosławionych, jacy spędzili całe swe życie lub jego część w murach Paryża; „La femme au foyer“ przez Mgr. Tissier'a, biskupa z Châlons, wyborne dzieło o obowiązkach żony-chrześcianki w dzisiejszych czasach; „Les bourreaux de Jeanne d'Arc et sa fête nationale“ przez Józefa Fabre'a, interesujące studyum ze względu na to, że autor w drugiej jego połowie, czyniąc przeskok od XV do XX w., streszcza dyskusyę parlamentarną i głosy prasy odnośnie do ogłoszonego przezeń projektu ustanowienia święta narodowego na cześć Dziewicy Orleańskiej; „Etudes sur la polemique religieuse à l'époque de Grégoir. VII ; les Pregrégoriens“ przez prof. Feiche, dzieło poświęcone uwydatnieniu zasług św. Piotra Damiana i kardynała Humberte'a na polu reformy duchowieństwa, którą Grzegorz VII ostatecznie przeprowadził; „La psychologie des convertis“ przez O. T. Mainage'a Z. K., rzecz wielce na czasie, omawiająca tak liczne dziś nawrócenia ludzi niewierzących; „Etudes sur l'histoire de la Prusse“ przez znanego historyka Ernesta Lavisse'a, członka Akademii; „Histoire diplomatique depuis le Congrès de Berlin jusque' à nos jours“ przez A. Debidour'a, książka, którą wartoby przetłómaczyć, bo nasza literatura naukowa ubogą jest w dzieła, traktujące o historyi czasów najnowszych; „Questions contemporaines“, zbiór artykułów zmarłego Fustel de Coulanges'a, pisanych jeszcze w czasie wojny 1870/71 r., ale które stały się teraz znów aktualnemi, nie tracąc na wartości historycznej; „Un demi siècle de la civilisation française (1870—1915)“,

dzieło zbiorowe, dające treściwy obraz tego, co dokonano we Francyi od czasu upadku drugiego cesarstwa na polu literatury, sztuki i nauki.

Józef Trepka.

Kronika ekonomiczna.

Problem waluty w Królestwie. — Kurs rubla i rosyjski bank państwa.— Tabor przewozowy dla polskich dróg żelaznych.

Wobec pojawienia się marki polskiej, ogłasza p. Roziecki z Piotrkowa, wybitny znawca spraw finansowych Królestwa nast. projekt:

„Marka polska ułatwi wprawdzie na razie zarządowi miasta Warszawy wyjście z kłopotów finansowych, natomiast nie przyczyni się do podniesienia bytu ekonomicznego kraju.

Giełda warszawska, zaznaczając w swoim komunikacie z dnia 26 kwietnia za nr. 283, że dotychczasowy kurs walorów zamieniać będzie po kursie dziennym marek, a nie po kursie urzędowym, równocześnie podniosła, jak to powyżej nadmieniono, kurs 4 i pół proc. Listów zastawnych ziemskich z rb. 86.65 na rb. 96.25, czyli oceniła markę na kopiejek 41.60. Każdy więc otrzymujący pożyczkę lub zapłatę w markach, traci na różnicy kursu na każdej marce kopiejek 4.70. Nasuwa się przeto pytanie, czy rolnik, przemysłowiec lub rzemieślnik może dla podniesienia swojego warsztatu pracy korzystać z dobrodziejstw statutu Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej? Nie! Kalkulacya bowiem nie pozwala na zaciągnięcie pożyczki.

Siłą takiego stanu rzeczy nasuwa się drugie pytanie. W jakiej instytucyi finansowej wyżej wymienione osoby mogą korzystać z kredytu? Odpowiedź jest tylko jedna. W Banku Polskim, uprawnionym do wydawania banknotów polskich, wartością zbliżonych do wartości monet państw centralnych, o nazwie opartej na tradycyach narodowych.

Po dwuletniem przeszło doświadczeniu, musimy nareszcie dojść do przekonania, że stosunki monetarne na terenie Królestwa Polskiego, które stają się coraz bardziej chaotyczne, mogą być tylko uregulowane przez powołanie do życia przy współudziale Rady Stanu i społeczeństwa, Banku Polskiego z prawem emisyjnem. Również musimy się na to zgodzić, że tylko moneta polska, o tradycye oparta, niszczącej działalności rubla kres położyć jest w stanie. Gdyż czy to będzie marka polska, czy też polska korona, w stosunku do rubla, mającego obieg, czy też zdemonetyzowanego, zawsze będzie marką i koroną, a faktycz-

na wartość wzajemna tych walut wahać się będzie ciągle, mimo rozporządzeń i obwieszczeń. Natomiast moneta polska, równająca się stu tradycyjnym groszom polskim, przedstawiająca wartość pół rubla, skutecznie może przeciwstawić się spekulacyi, mając oparcie w szerokich masach społeczeństwa polskiego, przyzwyczajonych do rozrachunku na grosze. Zrujnowane rolnictwo, powalony w gruzy przemysł, w katastrofalnem wprost znajdujące się położeniu gminy miejskie, potrzebują natychmiastowej racyonalnej pomocy finansowej.

Czynnością banku polskiego powinno być przeto obok zadań ogólno-państwowych, przedewszystkiem udzielanie w banknotach polskich na hipoteki wiejskie, oraz na hipoteki gminne pożyczek, oprocentowanych możliwie najniżej.

Jeżeli Bank Polski na początek przyjmie wyżej wymienione zabezpieczenia, jako podkład dla obiegowych znaków polskich, to okaże się, że pierwsza emisya banknotów polskich będzie miała zupełnie pewne zabezpieczenie hipoteczne, przeto przymusowy obieg podług wartości nominalnej, który te banknoty otrzymać muszą w kasach publicznych i rządowych, w zupełności będzie usprawiedliwiony.

Siedzibą Banku Polskiego powinna być naturalnie stolica kraju, ze względu jednak, że w Warszawie, jak to już zaznaczono, otworzoną została Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, uprawniona do wydawania marek polskich, jako jedynego prawnego środka płatniczego w generał-gubernatorstwie warszawskiem, pożądanemby było, celem uniknięcia jeszcze większego, niż obecny, chaosu w stosunkach monetarnych na terenie okupowanym przez władze niemieckie, na siedzibę Banku Polskiego obrać tymczasowo jedno z miast, pozostających pod zarządem generał-gubernatorstwa lubelskiego.

Podkreślając, iż nienormalne stosunki monetarne, panujące na terenach Królestwa, wywołane różnorodnością obowiązujących walut, może uzdrowić tylko moneta polska, o tradycye narodowe oparta, oddaję mój projekt pod rozwagę odnośnych czynników oraz opinii publicznej".

* * *

Jakkolwiek rozwój wypadków w Piotrogrodzie nie może być uważany za pomyślny dla kredytu państwa rosyjskiego, to jednak w Polsce, skutkiem nieświadomości, zwłaszcza między ludnością włościańską, która uważa rubel za jakiś uprzywilejowany znak obiegowy,

kurs rubla w stosunku do innych walut jest niezmiernie wysoki. Jak wielkie kryje się w tem niebezpieczeństwo, widoczne jest z obecnego położenia rosyjskiego Banku Państwa według własnych jego wykazów.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zarząd rosyjskiego Banku Państwowego, na którego czele dotychczas stał wysoki urzędnik rosyjski, mający, według najświeższych wiadomości, nad sobą kontrolę w osobie urzędnika angielskiego, stara się smutne położenie bankowe przedstawić zarówno własnemu narodowi, jak i zagranicy w możliwie najlepszem świetle. Przedewszystkiem zaś wykazy tego banku mają na celu, o ile możności jaknajlepiej usposobić prasę zagraniczną dla waluty rosyjskiej, a to głównie ze względu na cudzoziemskich wierzycieli. Wobec tego wszystkiego przyjąć można, że wykazy owe starają się przedstawić stosunki w rosyjskim Banku Państwa, w miarę możności, jaknajkorzystniej. Położenie jednak tego Banku jest takie, że dalsze osłanianie nie jest już możliwe. Nie trzeba wcale być fachowcem, ażeby w danych, przedstawionych przez dyrekcyę banku, módz wysnuć wnioski należyte.

Banknoty tego banku, według wykazu z 11 kwietnia 1917, wynoszą ogólną sumę 10,590.000.000 rb., gdy tymczasem zapas złota wynosi 1,476.000.000 rb. Oznacza to, że złoto pokrywa tylko 13.7 proc. ogólne sumy banknotów, będących w obiegu. Według najświeższych pogłosek, nawet z tego zapasu złota część znaczniejszą w ostatnich czasach wysłano za granicę. Wprawdzie w stanie czynnym figuruje znajdujący się zagranicą zapas złota w wysokości 2,141.000.000 rubli, wiadomo jednak powszechnie, iż to złoto oddawna już zafantowane zostało przez angielskich i amerykańskich wierzycieli na rachunek dostawy amunicyi i nigdy już nie będzie do rozporządzenia rządu rosyjskiego. Pokrycie w srebrze i bilonie, już ze względu na swe skromne rozmiary (120,000.000 rb.) wogóle nie może być brane w rachubę.

W dalszym ciągu za niepomyślną w najwyższym stopniu uważać należy propozycyę „krótkoterminowe świadectwa skarbowe", zapisaną na stronie czynnej wykazu, a przedstawiającą olbrzymią sumę 8,493.000.000 rubli. Wspomnieć też należy, że pozycya ta niema nic wspólnego z tak często podejmowanemi pożyczkami rosyjskiemi.

Jeśli prócz tego weźmie się pod uwagę, że w najbliższym czasie nastąpią nowe emisye banknotów, już zadecydowane przez Rząd Prowizoryczny, to wprost narzuca się wniosek, że w interesie Polski leży, ażeby rubel przestał być prawnym środkiem płatniczym.

Rewolucya rosyjska pod wieloma względami rozgrywa się we-

dług wzoru swej wielkiej poprzedniczki francuskiej. Możliwe też jest, że i w zakresie finansowym Rosyi powtórzy się to, co się stało w sławetnej gospodarce asygnacyjnej za rewolucyi francuskiej. W przyjmowaniu zatem rubli, a tembardziej w gromadzeniu ich, jak to się w Polsce praktykuje głównie w sferze włościańskiej, kryje się bardzo poważne niebezpieczeństwo.

* * *

Interesujące uwagi o jednej z przyszłych trosk narodowych kreśli inżynier Kamieński. Podajemy je dosłownie:

Niebywałe dotąd w dziejach świata spustoszenie naszego kraju, doszczętne zniszczenie wielu miast, miasteczek, wsi i dróg przewozowych oraz przedsięwzięte przez różne instytucye rzeszenia zawodowe ku odbudowie zniszczonego zabiegi i starania wszystkim są już wiadome.

Do rzędu poważnie zdewastowanych należą również nasze drogi żelazne, które zostały już częściowo doprowadzone do takiego stanu, aby na nich mógł odbywać się ruch pociągów.

Nie ulega wątpliwości, że nasze drogi żelazne zostaną oddane przez okupantów rządowi polskiemu. Kiedy to jednak nastąpi i co nasze władze uczynią, czy same będą je eksploatowały, czy też oddadzą koncesyonaryuszom, dziś o tym sądzić niepodobna. W każdym razie możemy być pewni; że chociaż stan dróg żelaznych jest i niewątpliwie będzie taki, że pociągi będą w możności po nich przebiegać, to jednak do ruchu, t. j. do przewozu ludzi, żywego i martwego towaru, oraz materyałów niezbędnych do odbudowy dworców, budynków stacyjnych, mostów, składów, wodociągów i t. d. potrzeba będzie parowozów i wagonów osobowych, towarowych i specyalnych, których nie posiadamy, albowiem część taboru została zabrana albo zniszczona przez ustępującą armię rosyjską. Wobec powyższego, w pierwszej linii zajdzie potrzeba zaopatrzenia się w niezbędną ilość taboru, drogą kupna, czy wynajmu lub — obiema.

Czy ilości, jakie można będzie nabyć lub wydzierżawić, będą dostateczne do zaspokojenia potrzeb i wymagań odbudowy kraju i przewozu ludzi, opału i towarów wogóle, trudno sądzić; śmiem mniemać, że prędzej — nie!

Dlatego też z obowiązku dbałości o przyszłość naszego kraju i wzmożenia niezbędnego potencyału przewozowego naszych dróg

żelaznych, uniezależnienia go od warunków i wpływów obcych, jest naszym obowiązkiem dziś już obmyślić sposoby zaspokajania postępowo tych potrzeb przez przemysł rodzimy.

Aby sprostać wskazanemu zadaniu musimy nasz przemysł należycie urządzić i uzdolnić do poważnego współzawodnictwa z cudzoziemskim.

Na początek nie może być jeszcze mowy o budowie całych parowozów — ale wszak leży przed nami wielka przyszłość, boć w kraju naszym mamy zaledwie jedną czwartą tej sieci dróg szynowych, którą winien i musi on posiadać, w najbliższym okresie będziemy w stanie budować tylko wagony i wyrabiać części zapasowe parowozowe i wagonowe.

Nie zapominajmy, że mamy pewne tradycye i spuściznę techniczną: już przeszło od lat czterdziestu zakłady Tow. Przemysł. Lilpop i Rau budowały wagony towarowe, a niekiedy i pasażerskie i wyrabiały zestawy kół, pojedyncze koła, talerze buforowe, resory, łączniki i t. d.; nasze stalownie wytwarzały bandaże, osie, stal resorową itp. Dalej mamy pomiędzy nami kompetentnych i uzdolnionych inżynierów, techników i werkmistrzów; jest w kraju również odpowiedni zastęp hutników, monterów i rzemieślników. Wogóle dział ten nie jest nową, nieznaną u nas gałęzią przemysłu i nie wymaga wyszukiwania specyalistów w obcych krajach.

Wytyczną dla racyonalnego ekonomicznego urządzenia naszego przemysłu w dziedzinie wytwórczości taboru kolejowego i jego części zapasowych jest: stosowanie jaknajszerszej specyalizacyi i najnowszych metod pracy, możliwe ujednostajnienie typów parowozów i wszelkiego rodzaju wagonów i nieustanne dążenie do doskonalenia zespołu. Sposób ten zrodzi masową wytwórczość, przy stosowaniu specyalnych szablonów i dyferencyalnych kalibrów, identycznych części składanych, rozwinie szeroko przemysł średni i drobny, poruszy drobny kapitał, korzystnie przeciwdziałając ujemnym wpływom wielkich kapitałów, da poważne źródło dochodu podatku krajowego, oraz otworzy szerokie szranki do rozwoju indywidualności i inicyatywy inżyniera, techniki i rzemiosła.

Prace, zmierzające do takiego rozwiązania sprawy, są następujące:

1. Zaprojektowanie typów jednostek taboru przewozowego i ich części składowych i zapasowych.

2. Obmyślenie metod fabrykacyi, wypracowanie należytych kosztorysów dla poszczególnych części, a jeśli okaże się możliwem—usta-

lenie cen jednostkowych w porównaniu z cenami fabryk zagranicznych.

3. Organizacya urządzenia wytwórni i wykonywania robót, oraz zespołów między pojedynczemi wytwórniami drobnego przemysłu i uregulowanie, odpowiednio do zdolności wytwórczej i zapotrzebowania, rozdziału i odbioru wykonanych przedmiotów.

4. Ustalenie warunków technicznych i handlowych dostawy wyrobów i materyałów.

5. Wskazówki w sprawach zakupu, magazynowania, oceny gatunku, rozdziału materyałów i t. p.

Aby wszystko przytoczone skierować na należyte tory i ująć w odpowiednie ręce, należy, aby istniejące zakłady, jak również wytwórnie drobnego przemysłu metalowego bezzwłocznie zastanowiły się i przygotowały do wytwarzania taboru kolejowego i jego zapasowych części, w celu możliwego uniezależnienia naszego kraju od rynku zagranicznego, którego zresztą zapewne nie będzie, albowiem tabor całego świata uległ poważnemu zniszczeniu i restrykcyi i musi być kapitalnie remontowany i zastąpiony przez nowy.

Ze świata sztuki.

Wystawa prac treści religijnej ś. p. ks. Stanisława Moszyńskiego. — Wystawa „Czwórki".

Wystawa prac treści religijnej ś. p. ks. St. Moszyńskiego.

Niejeden z czytelników, oglądając przydrożne kapliczki wiejskie, widział z pewnością tak często w nich umieszczany polichromowany posążek siedzącego Chrystusa w koronie cierniowej i w płaszczu purpurowym. Zazwyczaj posążek taki nie posiada żadnej wartości artystycznej. Jednak piszącemu te słowa zdarzyło się pewnego razu, że nie mógł oderwać oczu od podobnego wyobrażenia frasobliwego Boga-człowieka. Robota była, oczywiście, niezgrabna, jak u jakiegoś samouka, co nie uczył się ani rysunku, ani modelowania, ani anatomia, a przecież... W wyrazie twarzy Zbawiciela i w układzie całej postaci, był taki wyraz powagi i bolu, z jakim spotkać się można tylko w dziełach utalentowanych artystów-rzeźbiarzy. Bezimienny samouk, który w drzewie ową postać wyrzeźbił, był także prawdziwym artystą, bo udało mu się, choć nieudolnymi środkami, wywołać wrażenie piękna, górującego nad słabą formą. Co byłby ten samouk stworzył, gdyby danem mu było posiąść arkana techniczne sztuki rzeźbiarskiej?...

Tasama myśl nie opuszczała mnie, gdym obejrzał wystawę ś. p. Ks. Moszyńskiego — przyznaję — zdumiony tem, co zawiera.

Ogólne wrażenie wystawy da się streścić krótko: t e n s a m o u k b y ł n i e p o s p o l i t y m a r t y s t ą, którego talent, choć nierozwinięty w całej pełni, nosił na sobie wszystkie znamiona genialności.

Osobistość malarza lub rzeźbiarza, względnie droga jego życia, odgrywa w stosunku do jego dzieł daleko mniejszą rolę, niż osobistość poety do jego utworu. To też bezprzedmiotowem jest rozwodzenie się nad tem, kim był i jakim był zmarły rzeźbiarz albo malarz. Ale wolno w każdym pojedyńczym przypadku stwierdzić, jakiemi drogami ktoś kroczył do zdobycia swego artystycznego dorobku. Otóż, wiedząc tym razem, że ks. Moszyński był autodydaktem, należy wyrazić żal, że nie odbył zawodowych studyów, któreby mu pozwoliły ucieleśnić swe natchnione pomysły w formę, mogącą zapewnić im miejsce wśród arcydzieł naszego malarstwa.

Problem sztuki religijnej w dobie obecnej, nietylko u nas, nie został dotąd rozwiązany. Ks. Moszyński był bliskim jego rozwiązania, p o n i e w a ż z j e g o p r a c b i j e n a s t r ó j n a p r a w d ę d u c h o w y, r e l i g i j n y, równie daleki od szablonu rytualnego, narzuconego przez renesans, jak i trywialności realistycznej, której hołduje wielu pseudoreligijnych malarzy dzisiejszych. Ten nastrój zbliża się najwięcej do nastroju, stanowiącego s p i r i t u s m o v e n s wielkich włoskich malarzy religijnych po czasy Rafaela, czyli że jest wrodzonym, naturalnym. W niczem natomiast nie przypomina ani osobliej twardzizny niemieckich nazarejczyków, jak Amon albo Piotr Cornelios lub szukanej prostoty prerafaelitów angielskich, jak Rosetti albo Millais, czyli, że nie jest sztucznym.

Naiwność, będąca najwyższym i najprzyjemniejszym stopniem prostoty w malarstwie, często nadaje dziełom sztuki wdzięk specyalny, który kryje do pewnego stopnia braki w ich wykonaniu. Dużo tej naiwności w wypowiedzeniu zamierzeń malarskich, widzi się w pracach Ks. Moszyńskiego i ona to sprawie w znacznej mierze, że jego prace „biorą“ widza.

Rozbieranie szczegółowe ujemnych stron w dziełach artystów żyjących, może mieć o tyle praktyczny skutek, że zwraca ich uwagę na te strony, poucza ich niejako. Przy dziełach artystów nieżyjących ten wzgląd praktyczny odpada i dlatego jedynie zaznaczam, że technika ks. Moszyńskiego jest — jak nie mogło być inaczej u samouka — wogóle słaba, a l e n i e j e s t n i e u d o l n a. Jedno od drugiego trzeba

dobrze rozróżnić. Wystarczyła mu ona jednak na tyle, że prawie we wszystkich swych pracach dał wyraz zamierzonemu nastrojowi i uczynił je wyższemi ponad dyletantyzm.

Ks. Moszyński najsilniejszym jest tam, gdzie wyraża smutek i cierpienie. Takie np. „Biczowanie Chrystusa" (nr. kat. 50, tensam temat pod nrem 55 i 56) wzrusza naprawdę, a jeszcze głębsze wrażenie czyni „Przybicie do krzyża" (nr. kat. 49 i 59), ono budzi współczucie obok grozy. I smutek bezbrzeżny i żal i tęsknica są znamiennemi cechami „Modlitwy w Ogrojcu" (nr. kat. 77).

Cykl „Ojcze nasz" (nr. kat. 101—108) skomponowany jest w sposób tak odmienny od wielu podobnych cyklów, że zasługuje na reprodukcyę, jako dzieło o wysokiej wartości religijnej. Ks. Moszyński w cyklu tym n i e i l u s t r o w a ł Modlitwy Pańskiej — on o d t w o r z y ł ją w kompozycyach, pojętych jako symbol, przyczem posunął się ku najwyższym sferom uduchowienia, dostępnym dla artysty-malarza.

Kompozycye o charakterze radosnym, lub wogóle nie będące wyrazem cierpienia, mniej siły mają, niż poprzednie, ale za to posiadają coś z grottowskiego „Wesela ducha". Charakterystycznem w tym rodzaju jest „Narodzenie" (nr. kat. 20, także 21 i 22), gdzie udało się ks. Moszyńskiemu pokonać taką trudność, jaką stanowi ominięcie analogii z tysiącami kompozycyj na ten sam temat i które powstały w ciągu kilkuset lat malarstwa chrześciańskiego.

Zastanowienia godnem jest „Znalezienie Chrystusa Pana w świątyni" (nr. kat. 34). Rzecz ta pomyślana jest tak pięknie i szeroko, że, wykonana w większych rozmiarach, mogłaby dać wspaniały obraz. Zwrócić przytem trzeba uwagę na to, jak odmiennie od utartego schematu traktuje ks. Moszyński postać św. Józefa.

Tak pociągający dla malarza religijnego, ale zarazem tyle trudności nastręczający temat, jak „Zwiastowanie", obrobił ks. Moszyński na swój sposób (nr. kat. 42) i to bardzo szczęśliwie, szczególniej przez to, że nie miał tyle na uwadze względów malarskich, ile świętość i powagę tej chwili. Z tematu wcale niewdzięcznego, którym jest „Nawiedzenie", wyszedł on także obronną ręką (nr. kat. 38 i 131).

Wśród innych kompozycyj, nie mających charakteru ściśle religijnego, wyróżnia się „Zdobyte dziedzictwo" (nr. kat. 69), w którem ks. Moszyński dał niejako symbol swego własnego życia. Jakżeż różnym jest ten młody zakonnik, którego on namalował, od tylu już widzianych na rozmaitych kompozycyach tego rodzaju. Tamci zwykle czynią wrażenie ludzi, żałujących, że oblekli suknię zakonną. Nie wiem dlaczego,

ale malarze zawsze to akcentują. Ten zaś stoi przed nami jako człowiek, który cieszy się, że P. Bóg pozwolił mu dotrzeć do upragnionego celu wędrówki doczesnej:

„Ku ideałom" (nr. kat. 121), „Rycerz Maryi" (nr. kat. 112), „Widzenie" (nr. kat. 111), „Nie oglądaj się wstecz" (nr. kat. 118), — jasno świadczą, że symbolistyka ich autora miała w sobie element wzniosłej a rozwiewnej poezyi, skłaniającej się do mistycyzmu.

Z kilku drobnych próbek portretowych, jakie znalazły się na wystawie, zawierającej, nawiasem powiedziawszy, 146 prac, nabiera się przekonania, że w ks. Moszyńskim tkwił materyał na tęgiego portrecistę, wystarczy przypatrzeć się dokładnie takiemu np. „Portretowi hr. Stefana Moszyńskiego" (nr. kat. 2) lub „Portretowi ks. Kwietnia (nr. kat. 4), albo też „Portretowi ks. Proboszcza z Opali" (nr. kat. 5).

Przy ocenie prac ks. Moszyńskiego przez ogół znawców i nieznawców krakowskich zaszło grube nieporozumienie.

Jedni — tych było niewielu — ocenili je bezstronnie ze stanowiska czysto artystycznego, ważąc wszystkie p r o i c o n t r a, inni zaś skrytykowali bardzo ostro, biorąc na uwagę tylko te strony, które na ich niekorzyść przemawiały, jakoto: słaby rysunek, błędy anatomiczne itp. Że ogół, jak zwykle płytki w swych sądach, pomylił się, nie można zbytnio się dziwić, skoro nawet z pewnej strony, autorytet w sprawach obrazów treści religijnej posiadającej, wydano wyrok, że prace ks. Moszyńskiego, to „bohomazy". Prace jego mogą zresztą podzielić tym razem los wielu znakomitszych nawet od nich dzieł sztuki, które po długim dopiero czasie doczekały się zasłużonej oceny i uznania, nic im to nie zaszkodzi.

Dla nieżyjącego artysty-samouka obojętnemi są oczywiście wszelkie krytyki, czy przechwały; ale dla tych, co oglądając prace ks. Moszyńskiego, postawili je w należytem oświetleniu — wbrew zdaniu ogółu — pozostanie faktem pocieszającym, że za naszych przecież czasów zostali „odkryci" np. El Greco i Cypryan Norwid.

Wystawa „Czwórki". W chwili, gdy piszę niniejsze sprawozdanie, wystawa „Czwórki" przedstawia się wcale zasobnie, nie tyle jednak co do wartości, ile co do ilości prac na niej umieszczonych, jest ich bowiem siedmdziesiąt kilka, licząc i te, które nie zostały uwidocznione w ostatnim katalogu. Ponieważ jestto wystawa z charakterem „kunsthändlerskim",

przeto trzeba ją oceniać inaczej, niż prawdziwe wystawy sztuki, gdzie strona merkantylna leży na drugim planie. Artyści, biorący udział w wystawach „Czwórki", czują to zapewne, bo przysyłają na nie przeważnie rzeczy „zawadzające" im w pracowni, rzeczy, które — oglądane przez jakiegoś cudzoziemca nieobeznanego z naszem malarstwem, nie dałyby mu dobrego o niem pojęcia.

Ale niema reguły bez wyjątków, bo kilku malarzy przysłało na obecną wystawę „Czwórki" prace tak dobre, że mogłyby stanowić ozdobę Salonu.

Tymi artystami są: Sichulski, Fałat, Karpiński i Rubczak.

Sichulski, któremu poświęciłem obszerniejszą wzmiankę w kwietniowym zeszycie „Przeglądu Powsz.", zdając sprawę z wystawy „Dziecko w sztuce", wystawił tym razem 11 prac, dających jasno określone wyobrażenie o tem, czego chce i co osiągnął ten malarz, obdarzony bujnym temperamentem, głębokiem odczuciem barwy a szukający nowych dróg dla swej twórczości artystycznej.

Impresyonizm francuski na ogół nie przyjął się u nas. Jednym z jego niewielu przedstawicieli w polskiem malarstwie jest właśnie Sichulski, lecz nie naśladowcą niewolniczym. Zwrócić tedy należy uwagę na to, że z pomiędzy prac teraz wystawionych jedna tylko, a mianowicie „Na śniegu", malowana jest wprost świetnie — w manierze „pointillistycznej", będącej ostatnim wyrazem francuskiego impresyonizmu. W krajobrazach za to jest Sichulski samym sobą. Taki n. p. „Pejzaż górski" albo „Pejzaż z Podola" (III) mają tyle nastroju, że możnaby je postawić obok krajobrazów Segantini'ego. Technika Sichulskiego jest przytem nawskróś oryginalna, nie przypomina techniki czyjejkolwiek. Ciekawą paralelę daje „Baba", porównana z „Portretem damy". I w jednem i w drugiem studyum natura, ale jak uchwycona! Jestto realizm bardzo artystyczny i odpowiadający duchowi czasu. Rozumiem zaś to tak, że Sichulski nie popada w drobiazgowe, fotograficzne naśladowanie natury, lecz umie wybrać z niej najbardziej charakterystyczne szczegóły, dające całości wyraz swobodnie, bez ślęczenia i szperania zdobytej prawdy. Twardy żywioł wieśniaczy odbija się wiernie w pierwszem z tych studyów, podczas gdy z drugiego wyziera gładkie, bez trosk i trudów życie klasy uprzywilejowanej.

Jako pejzażysta zwrócił na siebie uwagę przed laty Fałat krajobrazami zimowymi, w których doprowadził wydobywanie efektów kolorystycznych, związanych z tą porą roku, do mistrzowstwa. Na wy-

stawie „Czwórki“ znajduje się teraz także jeden z jego doskonałych krajobrazów tego rodzaju — „Zima“. Krajobraz zimowy nie może z natury rzeczy usposabiać wesoło patrzącego, ale zima, malowana przez Fałata, nie czyni wrażenia przygniatającego, ona wywołuje raczej wrażenie głębokiej, lecz nie bezsilnej zadumy. Jednym zaś z sekretów malarskich, będących wyłączną własnością tego artysty jest nad wyraz prawdziwe zestosunkowanie barw nieba, tak bogatych o tej porze roku, z barwami terenu. Do tych sekretów malarskich należy również umiejętność wywoływania silnych efektów kolorystycznych, akwarelą przy malowaniu oblicza ludzkiego, jak to np. widać na głowie „Chłopa“, z czem idzie w parze klasyczny, że tak się wyrażę, w swej poprawności i energii rysunek.

Wogóle nie często się zdarza, aby który z malarzy, tak długo, jak Fałat malujących, zachował całą świeżość swego talentu i nie postarzał się, co tak przykro widzieć niekiedy u starszych artystów.

Wytworny malarz głów kobiecych, Karpiński, który odtwarza je z finezyą francuską i polską szczerością, niema sobie równego na tem polu pomiędzy spółczesnymi, polskimi malarzami, choć ma wielu konkurentów. Jego „Włoszka“ z wystawy „Czwórki“ powinnaby znaleść się w Muzeum narodowem obok innej jego głowy kobiecej, już tam zawieszonej.

Zdając sprawę z obrazów lub rzeźb, piszący znajduje się w położeniu o wiele trudniejszem, niż ten, co pisze o poezyi, albo muzyce. Krytyk-literat może przytaczać na poparcie swych sądów całe ustępy z odnośnego dzieła, zaś krytyk-muzyk ma do rozporządzenia względnie bogate słownictwo techniczne, za pomocą którego precyzuje swe zdania, tego pozbawionym jest krytyk z dziedziny sztuk plastycznych. Bardzo rzadko może on załączyć reprodukcyę dzieła omawianego do swej krytyki, a słownictwo, jakiego musi używać, nie dotrzymało kroku polskiemu malarstwu, jest względnie młodem i nierozwiniętem. Niepodobna więc wysłowić słowami owego nieuchwytnego wdzięku, jakim wyróżniają się głowy kobiece pendzla Karpińskiego. Odczuwa go jednak każdy wrażliwy na piękno i przyzna, że to nie ten tani, mdły sentymencik, którym tak chętnie operują niektórzy malarze, a który zapewnia im względy bezkrytycznego, mało w swych sądach artystycznych wyrobionego ogółu.

Kogo interesują etapy, jakie przechodzi twórczość Rubczaka, ten z prawdziwem zadowoleniem oglądnie jego na tej wystawie umieszczone akwaforty. Już teraz okazuje się bardzo cennym nabyt-

kiem dla naszego malarstwa ten dużo zapowiadający artysta i tem więcej, że szlachetna gałąź sztuki malarskiej, artystyczne rytownictwo, jest u nas mało uprawianą. Podnoszę przytem z naciskiem przy akwafortach Rubczaka tę dodatnią ich stronę, że są trzymane w tradycyach techniki, jaką przekazali nam mistrze, uprawiający akwafortę w wiekach ubiegłych. Zbytnie bowiem „modernizowanie" tego rodzaju rytownictwa prowadzi do płodzenia dziwolągów, od jakich się roi wśród współczesnych akwafort niemieckich.

Z pomiędzy wystawionych prac tego artysty wyróżniają się pewnością pociągnięcia rylcem i głębokim tonem: „Grande Horlogerie" (Paryż) i „Wejście do kaplicy, muzeum Mun" (Paryż). Równie dobrym jest „Klasztor PP. Norbertanek na Zwierzyńcu".

Wobec tego, że średnie klasy naszego społeczeństwa nie są tak zamożne, by mogły ubierać swe mieszkania oryginalnymi obrazami, przeto należałoby im uprzystępnić nabywanie odbitek z akwafort, wykonywanych przez polskich artystów. Do zajęcia się tą sprawą, w charakterze przedsiębiorcy, powołanem jest w pierwszym rzędzie krakowskie Towarzystwo Sztuk pięknych, które, nie reflektując na zyski, płynące obecnie do kieszeni żydowskich handlarzy, obniżyłoby cenę odbitek akwafortowych i tem samem oddało przysługę naszej kulturze artystycznej.

Dwa szkice pastelowe Wyczółkowskiego, przedstawiające „Krużganki na Wawelu" podczas restauracyi, mają wartość dokumentu historycznego. „Morskie Oko" zaś wyróżnia się nowym punktem, z którego wzięty jest widok na tę perłę gór naszych.

Stachiewicza rysunek „Staś i Nelly" (Z pustyni i puszczy Sienkiewicza), gdyby był ukazał się ćwierć wieku temu, byłby na swojem miejscu — dziś trąci myszką. „Akademicka" poprawność rysunku nie straciła wprawdzie na wartości, ale po za nią wymaga się teraz jeszcze czegoś więcej od malarza, czegoś, coby dawało indywidualny wyraz duchowy namalowanej, czy narysowanej postaci. Zresztą i technika rysunkowa poszła obecnie innym szlakiem — wystarczy uprzytomnić sobie np. rysunki Antoniego Kamieńskiego.

Co do „Ironii" Malczewskiego, to zaszła chyba jakaś pomyłka w tytule, bo tu postać kobieca, której twarz nie wyraża żadnego afektu, nie może być podawaną za uosobienie ironii, tego subtelnego, ale odbijającego się bardzo wyraźnie na obliczu ludzkiem nastroju. Rzekoma „Ironia" posiada jednak, jak wszystko, co wyszło z pod ręki tego artysty, pewne znamiona jego genialności.

Wśród siedmiu, jak zwykle drobnych rozmiarami, prac Bronisławy Rychter-Janowskiej wyróżniają się: zaletami kolorystycznemi „W domowem zaciszu“, gdzie artystka zgrabnie pokonała trudności, jakie nastręcza sztuczne oświetlenie oraz „Po rozstaniu“, obrazek o pewnym głębszym nastroju. Niebrzydką jest także serya widoczków włoskich, które tracą jednak przez to, że są za mało przeźroczyste w tonie a za ciemne w kolorze.

W studyach krajobrazowych, które wystawił Dr Oleś, są ślady talentu, najwidoczniejsze w takim „Zimowym szarym dniu“. Pozatem technika jest jeszcze bardzo słaba, a patrzenie na naturę wykazuje znaczną nieśmiałość. Na jego krajobrazach wszystko namalowane jest dokładnie i porządnie, ale to nie natura, widziana okiem artysty-malarza.

Znacznie ponad dyletantyzm wznoszą się kwiaty Matyldy Meleniewskiej. Kwiaty, to temat nęcący i na pozór łatwy, a jednak w rzeczywistości tak trudny, że tylko malarze z podobną rutyną, jak np. Wyczółkowski lub Stachiewicz, wychodzą z obrobienia go zwycięzko. Chociaż kwiaty tej artystki bez wad w wykonaniu nie są, zapowiadają przecież, iż prawdopodobnie doprowadzi ona w tym zakresie do perfekcyi. Wskazują na to, między innymi, „Kosaćce“, malowane z dużem poczuciem barwy i odpowiednią miękkością.

Odbiciem chwili obecnej jest dzielnie naszkicowany portrecik „Beliny na koniu“ przez Rozwadowskiego, podobnie, jak Jerzego Kossaka (wnuka) dwa szkice: „Przestraszony“ i „Jeszcze cały“. Pierwszy z nicch przedstawia pędzącego bez jeźdźca spłoszonego konia, drugi huzara austryackiego konno, obok którego pęka pocisk armatni. Na obu szkicach łby i torsy końskie narysowane są poprawnie, nawet z pewnym rozmachem, za to nogi tych koni są jakby pożyczone od królika. Ten fatalny błąd świadczy, że autor tych szkiców nie doszedł jeszcze w swem studyum konia tam, gdzie należy. Wojciecha Kossaka (syna) „Patrol legionistów“ jest notatką bez znaczenia. Za to Juliusza Kossaka (ojca) „Chłop prowadzący oddział ułanów“ daje miarę tego, jak ten niezapomniany artysta umiał rysować konia, jak odczuwał jego indywidualność, jakie wlewał życie w postacie ludzi, jak zręcznie układał swe kompozycye.

To zestawienie chociaż w drobnych pracach malarskiej „dynastyi“ Kossaków jest zajmujące i stanowi do pewnego stopnia atrakcyę omawianej wystawy.

ka.

Ważne wydawnictwo.

Otrzymujemy następującą odezwę:

Trzeci już rok dobiega od chwili, gdy rozpoczęła się wojna, pociągająca za sobą niewidziane dotychczas wstrząśnienia natury politycznej, ekonomicznej i społecznej.

Dopóki trwa walka, skutki wstrząśnień tych nie dają się odczuć w całej pełni. Gdy jednak pokój podpisany zostanie i gdy życie powracać zacznie do normy, uwidocznią się ich wyniki, sięgające nierównie głębiej, niż ogół to sobie wyobraża.

Zajdą niezawodnie wprost zdumiewające przeobrażenia nietylko w dziedzinie politycznej, ale również i w dziedzinie stosunków prawnych i ekonomicznych. Przeobrażenia te w wielkim bolu ujrzą światło dzienne. Jak każda wielka zmiana, pociągną one za sobą całe zastępy ofiar i olbrzymie szeregi kolizyi.

Rzeczą jest naturalną, że im rozumniejsze i im głębsze będą zarządzenia prawodawcze, przy których przeobrażenia te wejdą w życie, tym mniejsza będzie ilość ofiar, tym łatwiejsze do rozwiązania będą owe kolizye.

W żadnym kraju w Europie przeobrażenia te nie będą tak radykalne, jak w Polsce. Cała struktura polityczna, przez rządy poprzednie zbudowana i wszystkie z niej płynące następstwa ekonomiczne i społeczne gruntownej ulegną rewizyi. Strukturę dawną zastąpi nowa, zaś zadaniem prawodawcy będzie dla tej nowej struktury podwaliny położyć.

Praca to będzie olbrzymia i niepomiernie trudna.

Im gruntowniej jednakowoż problematy przyszłości już dzisiaj naukowo opracowane zostaną, im bardziej wyniki tych prac wszechstronnej będą poddane krytyce, tym niewątpliwie łatwiejsze będzie zadanie przyszłego prawodawcy polskiego.

Wydział Rejestracyi Strat Wojennych stoi najbliżej tej olbrzymiej szczerby, którą wojna obecna w majątku narodowym zrobiła. Niebywałe straty, przez kraj poniesione, pociągną za sobą, siłą rzeczy, potężne zmiany natury prawnej i ekonomicznej.

Stąd powstała w Wydziale Rejestracyi Strat Wojennych myśl wydania pracy zbiorowej, której zadaniem byłoby naukowe oświetlenie prawnych i ekonomicznych zagadnień, jakie zaraz po wojnie w kraju roztrzygnąć wypadnie.

Do zagadnień tych zaliczamy: kryzys w dziedzinie własności nieruchomej miejskiej, stosunek pomiędzy wierzycielem a dłużnikiem w epoce powojennej, sprawę licytacyi nieruchomości, kwestyę indemnizacyi strat wojennych, sprawę likwidacyi serwitutów włościańskich, skutki praw cywilnych, czasie wojny wydanych itp.

Wydawnictwo to nosić będzie ogólny tytuł: „Likwidacya skutków wojny w dziedzinie stosunków prawnych i ekonomicznych w Polsce".

W najbliższym czasie wyjdą z pod prasy następujące prace:

Tom I.: 1. Polski Bank miejski, przez Kaz. Olszowskiego.

2. Środki prawne ograniczenia przymusowej sprzedaży nieruchomości w czasie powojennym, przez dra H. Strasburgera.

Tom II.: 1. Rejestracya i indemnizacya strat wojennych w świetle ustaw, wydanych we Francyi po r. 1814—15, 1870—71, w Niemczech po r. 1870—71, w Austryi po 1866, w Rosyi po 1904 oraz w czasie wojny obecnej, przez Leona Babińskiego.

2. Sprawa likwidacyi strat wojennych za Księstwa Warszawskiego, przez A. Kraushara.

3. Rekwizycye w Księstwie Warszawskim, okupowanym przez Rosyę w roku 1813—15, przez dra Natalię Gąsiorowską.

4. Rejestracya i indemnizacya strat wojennych na Litwie po roku 1812, przez J. Iwaszkiewicza.

Tom III. 1. Szkody wojenne a współczesne prawo narodów, przez Szymona Rundsteina.

2. Tytuł do indemnizacyi strat wojennych, przez Wł. Maliniaka.

3. Zasady indemnizacyi strat wojennych w ich rozwoju historycznym, przez Wł. Mazurkiewicza.

4. Odszkodowanie strat wojennych w oświetleniu niemieckich ustaw obecnych, przez M. Kuratowa.

Tom IV. 1. Nasza przyszła waluta, przez dra Wacława Fajansa.

2. Przyszłe finanse i reformy prawne, przez St. Skarzyńskiego.

3. O likwidacyi serwitutów włościańskich, przez K. Olszowskiego.

4. Ważniejsze zmiany prawodawcze podczas wojny obecnej, przez J. Glassa.

5. Odpowiedzialność kolei za straty w ładunkach i bagażach, poniesione podczas wojny, przez K. Mayznera.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Górski Artur: **Godło,** książka zbiorowa, tom II-gi. Nakładem Tow. „Znak" Warszawa 1916. Stron 145.

Daszyńska-Golińská Zofia: **Przyszła Polska,** ekonomiczne znaczenie połączenia Galicyi i Królestwa, Piotrków 1917. Str. 32.

— **Rozprawy Akademii Umiejętności,** Wydz. filolog. Ser. 3, tom 10, Kraków 1917.

Leliwa Marya: **Elegie wiosenne,** Kraków 1917, Str. 103.

X. Szymański, Dr. A.: **Zagadnienia społeczne.** Włocławek 1916. Str. 540.

X. Siemieński, Dr. Jan: **Memoryał posłów Sejmu czteroletniego dla rządu francuskiego.** Nakładem autora. Poznań 1917. Stron 62 in 12°.

Michalski K. i Sinko T.: **Przyczynki z Kodeksu Mogilskiego do dziejów oświaty w Polsce w XV. wieku.** Nakładem Akademii Umiejętności. Str. 86.

Zakrzewski Stanisław: **Opis grodów i terytoryów z północnej strony Dunaju** czyli t. zw. geograf bawarski. Lwów 1917. Str. 80.

X. Staich Władysław: **Królestwo Maryi,** nauki majowe o Najśw. Maryi Pannie na tle dziejów Polski. Kraków 1917. Str. 462.

X. Kruszyński Józef. Prof.: **Wstęp szczegółowy do Ksiąg Swiętych Nowego Testamentu.** Włocławek 1916. Str. 740.

Nakładem Księgarni Gebethnera Kraków—Warszawa 1917.

Szereszewska Lola: **Kontrasty,** str. 192.

Nowiński Stefan: **Gruba Berta,** Echa z lat 1915—1916, str. 116.

Lewicki Dr. Józef: **Z tajemnic filomackich,** str. 48.

X. Żelazowski Dr. Stefan: **Istota katolicyzmu,** str. 88 in 12°.

Bartoszewicz Kazimierz: **Dzieje Galicyi i „Wyodrębnienie“**, str. 214.

Oppman Artur: **Księstwo Warszawskie**, str. 192 in 12⁰.

Romer Eugeniusz: **Polska, ziemia i państwo. Ilu nas jest?** str. 32.

Nakładem Wydawnictwa Tow. Jez., Kraków, Kopernika 26.

Nigronius Julius: **Regulae communes Soc. Jesu,** tom. IV i V.

X. Haduch Henryk T. J.: **Jubileusz dwusetny koronacyi M. B. Częstochowskiej** Królowej Korony polskiej dn. 8 września 1917 r., str. 30.

X. Rudnicki Ludwik T. J.: **Nabożeństwo żołnierza podczas wojny.** Wydanie 10-te.

— **Eucharystyczna droga krzyżowa w czasie wojny**, str. 16.

X. Urban Jan T. J.: **Bł. Andrzej Bobola,** Męczennik Tow. Jez., str. 46 in 16⁰.

X. Czencz Władysław: **Wiersz o Krzyżu.**

X. N. J.Tow. Jez.: **Cześć i Wynagrodzenie,** modlitwy i rozmyślania w czasie adoracyi Najśw. Sakramentu, poprzedzone nauką ks. Riedla T. J. o Komunii wynagradzającej.

X. Matzel Ernest T. J.: **Serce Jezusa źródło życia i świętości,** str. 280. Czytania o N. Sercu Zbawiciela z przykładami.

X. Meschler Maurycy T. J.: **Trzy podstawy życia duchownego,** przełożył ks. Lohn Wł. Tow. Jez., str. 236.

Niezależnie od tego szereg innych ekonomistów, prawników i socyologów przyrzekł swą współpracę.

Wydawnictwo wychodzić będzie pod kierunkiem Komitetu redakcyjnego, który stanowią pp.: Jakób Glass, Kazimierz Olszowski, prof. dr. Edward Strasburger, dr. Henryk Strasburger.

Warszawa, w lutym 1917.

Wydział Rejestracyi Strat Wojennych
przy Radzie Głównej Opiekuńczej.

Zasadniczy postulat konstytucyjny i ustawodawczy w nowem Państwie Polskiem.

Z długiego szeregu problemów, obejmujących całokształt ustroju konstytucyjnego powstającego do nowego życia Królestwa Polskiego i tegoż ustawodawstwa we wszelkich jego dziedzinach, wysuwa się z żywiołową niemal siłą na pierwszy plan pracy kodyfikacyjnej w różnych wydziałach i komisyach Rady Stanu postulat, wypływający wprost i bezpośrednio z samej istoty, genezy i posłannictwa dziejowego wskrzeszonego państwa polskiego. One wszystkie zadają kłam i stwierdzają dowodnie fałszywość nowoczesnej doktryny o państwie bez Boga, „l'état est athée", którą już zresztą jeden z koryfeuszów nauki prawa państwowego [1]) napiętnował jako nonsens. Śmiało rzec można, że Polska jako państwo, mające istnieć bez Boga-Człowieka, żyjącego do skończenia wieków w swym św. Kościele katolickim, jako w swem Ciele mistycznem, w swem Bożem Królestwie (Civitas Dei) — Polska, zarażona względem Niego indyferentyzmem, wykazująca w swym państwowym ustroju, w swych instytucyach, w swem ustawodawstwie zasadnicze przeciwieństwa do Kościoła i jego prawa, opartego na niewzruszonych principiach prawa Bożego, prawa chrześcijańskiego, którego Kościół jest wiernym depozytaryuszem i z Boskiego swego posłannictwa autentycznym tłumaczem — tego rodzaju

[1]) Bluntschli: Allg. Staatsrecht. 2 Aufl. 1857. II. S. 580.

zrekonstruowany organizm i społeczność państwowa, choć zdobna szczytnem mianem Polski z koroną Piastów i Jagiellonów, byłaby w gruncie rzeczy negacyą wielowiekowego jej posłannictwa dziejowego, zaprzeczeniem najistotniejszego charakteru rdzennie polskiego obywatela i jego najżywotniejszych interesów, a nawet ze stanowiska interesów politycznych sąsiadów, którzy bezpośrednio spowodowali wskrzeszenie jej samoistnej państwowej egzystencyi, przedstawiaćby się musiała jako chybiony utwór, nie nadający się wcale do spełnienia tych zadań i celów w życiu i stosunkach państw europejskich, które jego inicyatorowie mieli na względzie.

A zatem racyonalne stanowisko wskrzeszonej Polski w stosunku do Kościoła katolickiego, zgodne z jej najistotniejszym charakterem państwowym i narodowym, z jej genezą i syntezą dziejową, winno przedewszystkiem odpowiadać istocie Kościoła i normom jego prawa, w którem kardynalne podstawy wszelkiego prawa ludzkiego i porządku społecznego, z objawienia Bożego, jako *jus divinum positivum*, znajdują najsilniejszą i najwyższą swą sankcyę, oraz zewnętrzną ustawową promulgacyę [1]). Owo *jus divinum*, które stanowi niewzruszoną, niezmienną podwalinę i zasadniczą treść prawa kościelnego, będącego tylko zastosowaniem, rozprowadzeniem jego principiów w zakresie stosunków Kościoła, określa zarazem osnowę i zakres Boskiego jego posłannictwa, którego spełnienie jest nienaruszalnem prawem, oraz świętym obowiązkiem organów jego władzy w stosunku do pojedynczych ludzi, jako jego członków, jak również w stosunku do drugiej, obok Kościoła istniejącej, samoistnej i zupełnej społeczności, *societas perfecta*, w rozumieniu filozofii i prawa chrześcijańskiego, t. j. do państwa [2]). *Jus divinum* więc jest jedyną i wyłączną zasadniczą normą, określającą racyonalnie kompetencyę oraz wzajemne atrybucye władzy kościelnej w stosunku do władz państwowych; jest ono koniecz-

[1]) Prawo Boże jest więc istotnie, jak je trafnie nazywa Kalinka (Galicya, Kraków 1898, str. 294) normą wszystkich prawodawstw ludzkich.

[2]) W niem bowiem mieści się jedna niezmienna dla całego świata konstytucya chrześcijańska (Kalinka l. c. str. 294).

nym warunkiem utrzymania właściwego stosunku koordynacyi pomiędzy państwem i Kościołem, jako społecznościami samoistnemi, jest jedynym środkiem usunięcia konfliktów, zgubnych dla egzystencyi państwa i istotnego dobra obywateli. Albowiem prawo Boże objawione (jus divinum positivum), jako niezmienna ustawa zasadnicza Kościoła i jego prawa, mieści w sobie zarazem w całej pełni zasady prawa przyrodzonego (jus naturale), będącego istotną, niezbędną podstawą wszelkiego prawa ludzkiego. Pomiędzy dwie społeczności naczelne w ludzkości, t. j. Kościół i państwo, a względnie pomiędzy dwie władze, kościelną i świecką, jak naucza wielki papież, Leon XIII w swej doniosłej encyklice „Immortale Dei" o chrześcijańskim ustroju państw, rozdzielił Bóg pieczę o dobro rodzaju ludzkiego, a mianowicie kościelną władzę przełożył nad sprawami Boskiemi (res divinae); państwową zaś czyli świecką nad sprawami ludzkiemi (res humanae) czyli doczesnemi. Każda z tych władz jest w swoim rodzaju najwyższą, suwerenną. „Utraque est in suo genere maxima". Na tej dwoistości władz, odpowiednio do dwóch rzeczy porządków w stosunkach ludzkości t. j. porządku duchownego, nadprzyrodzonego i porządku przyrodzonego, doczesnego, opiera się cały chrześcijański rozwój ludzkości, chrześcijańska kultura, oraz prawdziwa, w duchu Chrystusowej nauki pojęta wolność ludzka [1]). Cokolwiek zatem — naucza dalej pap. Leon XIII w rzeczonej encyklice — w życiu ludzkiem nosi na sobie cechę świętości, cokolwiek odnosi się do zbawienia dusz i do czci Bożej, czy to z istoty swej, czy też że ma za swoją przyczynę, za swój cel cześć Bożą lub zbawienie dusz, to wszystko podlegać ma władzy i jurysdykcyi Kościoła; wszystko inne zaś „cetera vero, quae civile ac politicum genus complectitur", tj. co należy do zakresu politycznego cywilnego — słuszna jest, aby było poddane władzy świeckiej". W powyższych słowach wielkiego Papieża mieści się autentyczna interpretacya odnośnych principiów prawa Bożego objawionego, wydana przez najwyższego w Kościele nauczyciela i ustawodawcę w kwestyi okre-

[1]) ob. Moulart: L'église et l'état, p. 152 et suiv.

ślenia kompetencyi Kościoła w stosunku do państwa. O tej kompetencyi bowiem rozstrzygać ma — jak nadmieniłem wyżej *jus divinum positivum*, jako niezmienna ustawa zasadnicza Kościoła i jego prawa. Tam, gdzie odnośnie do rzeczonej kompetencyi w pewnych sprawach prawo Boże objawione nie podaje bezpośrednio normy, tam rozstrzygać ma w myśl powyższego papieskiego pouczenia istota rzeczy, tudzież właściwy bezpośredni cel i przeznaczenie pewnego stosunku, pewnej rzeczy, pewnej instytucyi, tudzież ogólny charakter Kościoła, jako społeczności zupełnej (societas perfecta) tak pod względem swego celu nadprzyrodzonego i posłannictwa Bożego, jakoteż pod względem wszelkich środków, służących do jego urzeczywistnienia [1]). We wszystkich szczegółach atoli nie da się przeprowadzić wyczerpująco rozdział wszelakich spraw w stosunku Kościoła do państwa według ustalonych kategoryj na *res ecclesiasticae civiles mixtae* na podstawie norm kościelnego prawa powszechnego (jus commune). W danym przypadku prawo partykularne, ujęte w formie konstytucyi papieskiej czy też konkordatu, uzupełni luki i usunie wątpliwości.

Kardynalny postulat w kwestyi zasadniczego określenia stanowiska prawnego Kościoła katolickiego w pewnem państwie, a przedewszystkiem w Królestwie Polskiem, winien zatem do tego dążyć, aby normą, regulującą ów stosunek, była niezmienna Boska ustawa zasadnicza Kościoła, zawarta i przeprowadzona w kościelnem ustawodawstwie, a obejmująca w zupełności prawo przyrodzone (jus naturale), jako najgłówniejszą, istotną podstawę państwa i wszelkiego prawa ludzkiego, którą pozatem charakteryzuje w odróżnieniu od Kościoła zmienność i wielka różnorodność. Kodyfikacya prawa kościelnego powszechnego, którą można już uważać jako fakt dokonany, wydarzenie epokowej doniosłości nietylko dla Kościoła, ale także dla ogólnego ustawodawstwa światowego, ułatwia ogromnie uwzględnienie i urzeczywistnienie rzeczonego postulatu konstytucyjnego i ustawodawczego w ustawach zasadniczych Królestwa Polskiego.

[1]) Ph. Hagenröther: Lehrb. d. Kirchenr. S. 64.

Od uwzględnienia owego postulatu zależy, rzec można, cały charakter tej na nowo powstałej państwowej kreacyi, jeżeli ona ma być, jak się podniośle o niej wyraził ces. Karol w najnowszem swem piśmie do Dowództwa Polskiego Korpusu Posiłkowego, „przedmurzem religii i kultury zachodniej“ — jeżeli Najświętsza Matka Boża Częstochowska, do której z tak piękną inwokacyą zwraca się iście katolicki monarcha, ma być nadal naszą łaskawą Królową i Orędowniczką. Cała przeszłość Polski, narodu ze wszystkich najbardziej religijnego, według wyrażenia naszego znakomitego historyka[1]), w której dzieje Kościoła najszczytniejszą są kartą, składa się na jeden wielki argument, uzasadniający w mowie będący postulat. W rzeczy samej w żadnym kraju formy rządowe, — pisze X. Kalinka — towarzyskie, stosunki domowe, zwyczaje i obyczaje nie przesiąkły bardziej niż w Polsce chrześcijańskością, owszem, duch narodowy, napojony religijnością w zewnętrznych nawet objawach, charakter religijny zachowywał i utworzył sobie konstytucyę, która dziwnie myśli chrześcijańskiej, hierarchii nawet kościelnej odpowiadała. Bo też i idea narodowa nie była inną, jedno chrześcijańską, i gdy gdzieindziej prawa monarsze w interesach politycznych posługiwały się ewangelią, to w Polsce prawa polityczne stały się niejako egzekutorami ewangelii. Wśród takiego układu społeczeństwa w Polsce nie rząd świecki nad Kościołem panował, ale Kościół przeważną w interesach świeckich odgrywał rolę. — A w dalszym ciągu pisze ten sam autor: „Dzieje nasze nie stawiają ani jednego przykładu, aby rząd świecki mieszał się w stosunki ściśle religijne, nawet kiedy o oznaczenie stanowiska obywatelskiego dla duchowieństwa chodziło, nie czyniły tego sejmy bez zniesienia się z władzą kościelną, bez zażądania sankcyi od Głowy Kościoła. Co większa, w wieku powszechnej niewiary przy schyłku XVIII w., kiedy deptać prawa kościelne weszło w modę prawodawców, sejmy polskie do wszystkich reform w zewnętrznym układzie duchowieństwa przyzywały biskupów, im bliższe rozpatrzenie się i stosowne napra-

[1]) Kalinka l. c. str. 298 i nast

wy polecały. Tak głęboko było w narodzie zaszczepione uszanowanie dla hierarchii Kościoła, że nie stanowił nic, coby jego organizacyę, karność wewnętrzną zepsować mogło; tak silnie panowała owa zasada mądrej polityki, że wszelka interwencya władzy świeckiej w rząd Kościoła — i Kościołowi i narodowi szkodę przynosi, że w jednej tylko Polsce reformy pod koniec zeszłego (18) wieku przedsięwzięte w niczem stosunków religijnych nie naruszyły". Powyższa głęboka charakterystyka chrześcijańskiej idei narodowej Polski, jako państwa, znajduje najzupełniejsze potwierdzenie na każdej niemal karcie jej dziejów, jak również jej ustawodawczego rozwoju. Powtórzyć można za Balzerem[1]), że religia katolicka była w Polsce panującą od przyjęcia chrześcijaństwa". Atoli dopiero przy schyłku Rzeczypospolitej odczuwano potrzebę stwierdzić to wyraźnie przez konfederacye generalne, a w szczególności warszawską z r. 1733 i z r. 1764, według której t. zw. spisanie się przy wierze św. katolickiej opiewa: „Jako wiara św. katolicka rzymska, którą przez ręce przodków naszych wziętą nienaruszenie dotąd z przykładną gorliwością zachowywać staraliśmy się, jest najmocniejszą tego Królestwa y Prowincyi do niego należących twierdzą, tak usiłując onę w nieporuszonym nigdy stanie na czasy potomne zostawić przez teraźniejszą Generalną Konfederacyę, to sobie wspólnie najuroczystszym obowiązkiem przyrzekamy y w opisie tego artykułu podług dawniejszych Generalnych Konfederacyi y ostatniej Warszawskiej z r. 1733 zaszłej mocno stanowiemy: iż wszelkim ustawom prawowiernego Kościoła Katolickiego Rzymskiego y z nim zjednoczonego ritus Graeci nikomu uwłaczać lub naruszać nie dopuściemy, owszem do wspólnej onegoż obrony w każdym czasie i przypadku obowiązujemy się i opowiadamy, przytym prawa dawne i wszelkie w ogólności przywileje wyżej wspomnianego prawowiernego Kościoła Katolickiego Rzymskiego i z nim zjednoczonego obrządku greckiego, jak one były i są w swojej istocie y zachowaniu, zawsze utrzymywać przyrzekamy y ku obronie ich zdrowia, życia y substan-

[1]) Historya ustroju Polski, Przegl. wykł. uniw. Lwów 1914, str. 24.

cye nasze łożyć obiecujemy[1]). W akcie osobnym, pierwszym konstytucyi sejmu extraordynaryjnego warszawskiego w r. 1768 prorogowanego, zawierającym w sobie wolności y prerogatywy Greków Oryentalnych, Nieunitów i dyssydentów, obywatelów y mieszkańców w państwach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i w przyłączonych do niey Prowincyach; Artykuł I. opiewa: „Gdy aktu osobnego teraźniejszego mocą przychodzimy do jedności obywatelskiej z Grekami Nie-Unitami y dyssydentami; to najprzód dla wiary Rzymsko-katolickiej jako panującej, sposobem najuroczystszym warujemy i ubezpieczamy.

§. I. Ile razy wiara Rzymska katolicka, w prawach, konstytucyach i w wszelkich aktach publicznych wspomniona będzie, zawsze jej dawany bydź ma tytuł panującej, i wieczyście będzie panującą.

§. II. Stosując się do prawa kardynalnego Rzeczypospolitej, przez które od pierwszego zaszczepienia wiary świętej Rzymskiej panującej tron Polski tylko Katolikami Rzymskiemi był osadzony, reassumując oraz Konstytucyą 1669[2]) y ową za niewzruszoną deklarując, na wieczne czasy warujemy, aby nie kto inny na przyszłe czasy mógł bydź Królem Polskim, jak szczególnie z urodzenia, albo z powołania Katolik Rzymski, a ktoby z Polaków innej wiary kandydata na tron Polski promowować ważył się, takowego pro hoste patriae et invindicabili capite irremissibiliter deklarujemy. Królowa także ad sonatiam tejże Konstytucyi 1669 natione vel vocatione Katoliczka Rzymska bydź zawsze powinna, a jeżeliby się trafiło, żeby królowa była innej religii, tedy pokądby do Wiary Świętej Rzymskiej nie przystąpiła, koronowaną bydź nie będzie mogła.

§. III. Policzając inter Jura Kardinalia Panującą w Polszcze Wiarę Św. Katolicką Rzymską, przejście od Kościoła Rzymskiego do jakiejkolwiek innej religii w tym Królestwie Polskim w W. Ks. L. et in annexis Provin-

---

[1]) Vol. leg. VII, str. 7.

[2]) Por. Vol leg. T. V. str. 11 (akta sejmu walnego elekcyi z r. 1669 nr. 39 exorbitancye) i str. 14 tamże „Corticali pactorum conventorum“ nr. 63, 65.

ciis, za kryminalny występek deklarujemy; etc. Dosłownie identycznie z poprzednio przytoczonymi Artykułami Aktu Pierwszego Konstytucyi sejmu extraordynaryjnego Warszawskiego z r, 1768. opiewają Prawa Kardynalne, zamieszczone w Artykułach II, III i IV. Aktu Drugiego rzeczonej Konstytucyi". Konstytucya z 3 Maja 1791 r. stanowi: „W imię Boga w Trójcy św. Jedynego w naczelnym swym artykule, że Religią narodową panującą jest i będzie wiara święta Rzymska katolicka ze wszystkiemi jej prawami. Przejście od wiary panującej do jakiegokolwiek wyznania jest zabronione pod karami apostazyi". Innym wyznaniom zapewnia podług ustaw krajowych pokój w wierze i opiekę rządową. We wstępie Konstytucyi 3 Maja prawodawca oświadcza, że uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i wydoskonalenia konstytucyi narodowej jedynie zawisł, długiem doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady — ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą — egzystencyę polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu — dla dobra powszechnego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia Ojczyzny naszej i jej granic z największą stałością ducha uchwala konstytucyę, w której zasadniczą podstawą, a tem samem główną podwaliną całego ustroju państwowego Polski, zrywającej się w dogorywającej chwili do nowego życia, ma być to, co było przez wszystkie wieki jej dziejów duchowną treścią, kwintesencyą dziejowego jej posłannictwa, jako przedmurza Chrześcijaństwa, tj. Wiara Św. Rzymska Katolicka ze wszystkiemi jej prawami jako religia narodowa, panująca.

W naczelnym artykule Konstytucyi 3. Maja odzywa się z głębin ducha narodowego Polski, imającej się ostatecznego środka ratunku, hasło „instaurare omnia in Christo", t j. aby całe życie polityczne, społeczne, narodowe na nowo oprzeć na opoce Św. Wiary Katolickiej, którą jeżeli w jakiem państwie, to niewątpliwie z największą słusznością w Polsce można nazwać najsilniejszą gwarancyą konstytucyjną, najpotężniejszem palladyum porządku prawnego i społecznego, oraz prawdziwej obywatelskiej wolności. Wszystkie następne artykuły Konstytucyi są do pewnego stopnia w świetle Artykułu I. sformułowa-

nemi przez jej twórców konsekwencyami tej naczelnej zasady. Tem się tłómaczy przedewszystkiem energiczne odrzucenie w artykule VI. karykatur istotnej wolności obywatelskiej i negacyi państwowej egzystencyi w formie liberum veto, konfederacyi wszelkiego gatunku i sejmów konfederackich jako duchowi niniejszej Konstytucyi przeciwnych". Wiara Rzymska Katolicka zatem, jako panująca religia narodowa ze wszystkiemi jej prawami, ma być głównym regulatorem wszelkich stosunków w państwie polskiem, w państwie *par excellence* chrześcijańskiem, a prawo Kościoła katolickiego jedyną normą w tegoż stosunku do państwa. Ten kardynalny postulat wypływa wprost i bezpośrednio z Konstytucyi 3. Maja, a znajdując swoje uzasadnienie w polskiej historyozofii, nie może ulegać również w obecnych stosunkach zasadniczym modyfikacyom, tudzież oportunistycznym kompromisom, jeżeli nowej kreacyi państwowej istotnie zgodnie z prawdą przysłużać ma miano wskrzeszonej Polski.

Nasuwa się tu uwaga i pytanie w ślad za wielkim mowcą Burke'm, który porównując genezę konstytucyi polskiej z pełnem okropności i krwawych gwałtów powstaniem konstytucyi francuskiej [1]), widział w niej jedyne w swoim rodzaju wielkie dzieło reformy państwowej i społecznej, dokonane bez mordów i rabunków, bez obalenia ołtarzy i naruszenia religii i dobrych obyczajów, uskutecznione w granicach godności i harmonii społecznej, tak, że z podziwem wołał do Polski: „O szczęśliwy narodzie, oby Ci było danem módz dokonać tak, jak rozpocząłeś"! Czy właśnie tego wszystkiego nie należy w wielkiej części przypisać jako następstwo idei przewodniej, nawskróś chrześcijańskiej, a zbratanej z duchem prawdziwej wolności, która charakteryzuje tak wybitnie Konstytucyę 3. maja? W niej tylko mieści się jedynie racyonalne zasadnicze określenie stanowiska, jakie Kościół katolicki winien zająć we wskrzeszonem państwie polskiem; wszelkie inne formy określenia rzeczonego stosunku nie odpowiadają jego istocie, a w swych konsekwencyach i w zastosowaniu jako niezgodne również z istotą Kościoła, jako sa-

[1]) ob. J. B. Weiss Weltgesch. XVIII B. 3. Aufl. S. 36.

moistnej i zupełnej obok państwa istniejącej i z właściwym charakterem jego ustroju, wcześniej czy później stają się powodem konfliktów, szkodliwych nietylko dla Kościoła, lecz również sprzecznych z kardynalnemi zadaniami państwa i najdonioślejszymi interesami jego obywateli. W ten sposób pojęte i określone stanowisko Kościoła w Polsce jak z jednej strony zaznacza i streszcza zasadniczą jej ideę chrześcijańską, której Kościół katolicki po wszystkie czasy jest jedynym, istotnym, panującym czynnikiem, a jego prawo z Bożej sankcyi jedynym i wyłącznym regulatorem wszelkich stosunków, którym charakter kościelny przyznaje, tak z drugiej strony zasadniczo wyklucza władztwo i supremacyę Kościoła w sferze właściwych stosunków świeckich, cywilnych, uznając w niej w całej pełni suwerenność państwa, według słów Wielkiego Leona w Encyklice »Immortale Dei«: „Utraque (scil. ecclesiastica et civilis) potestas est in suo genere maxima". To przeświadczenie od samego początku w ustawodawstwie polskiem znajdywało po wszystkie czasy swój wybitny wyraz w stosunku do Kościoła, z wielkim obopólnym pożytkiem tak państwa, jakoteż Kościoła. Ów tytuł Religii Rz. Katolickiej, jako panującej dorozumiany zawsze w konstytucyach polskich aż do czasów upadku, a celowo dołączony w okresie wiekopomnej reformy 3 Maja, jakżeż różne miał w Polsce znaczenie w porównaniu do józefińskiej „dominante Kirche", zepchniętej pod tym szumnym tytułem przez absolutyzm oświecony do rzędu czynnika i organu administracyi i policyi państwowej. Również w stosunku Kościoła katolickiego do innych wyznań artykuł I. Konstytucyi 3. Maja, zabraniając przejścia od wiary panującej do jakiegokolwiek wyznania pod karami apostazyi, a tem samem wykluczając zgodnie z nauką Kościoła t. zw. tolerancyę dogmatyczną[1]), dopuszcza w granicach wiary św., która przykazuje kochać bliźnich naszych, t. zw. tolerancyę praktyczną, warując wszystkim ludziom innych wyznań w krajach polskich wolność religijną według ustaw krajowych, świeckich i kościelnych.

[1]) ob. Syllabus Piusa IX. teze 15—18.

Od powyższego, jedynie racyonalnego określenia stanowiska prawnego Kościoła katolickiego, zawartego w Konstytucyi 3. Maja, które również w dzisiejszych warunkach winno w drodze recepcyi tego prawodawczego testamentu Polski być wzięte za podstawę do uregulowania jej prawno-kościelnych stosunków, różniły się późniejsze porozbiorowe ustawy konstytucyjne. — W szczególności Ustawa Konstytucyjna Księstwa Warszawskiego z dnia 22. lipca 1807 r., która w Tytule I. art. 1. stanowi, że Religia katolicka, apostolska, rzymska jest religią stanu. Określenie to pozornie identyczne z religią panującą, atoli w istocie rzeczy zupełnie od niej odmienne, zarówno jak samo Księstwo Warszawskie ma Napoleona za swego twórcę. Tak samo francuska i oktrojowana konstytucya z r. 1814 w art. 6 ogłasza religię katolicką jako religię stanu[1]). Wprawdzie w Księstwie Warszawskiem religia katolicka była uznaną jako religia stanu, w przeciwstawieniu do Francyi, gdzie w konkordacie Napoleońskim z r. 1801, a w ślad za nim podobnie w zaadach Konstytucyi Królestwa Polskiego z d. 25 maja 1815 r. nazwaną była tylko religią wielkiej większości obywateli francuskich „la religion de la grande majorité des citoyens français" lecz wraz z kreacyą państwową Napoleona wtargnął do Polski również duch liberalno-rewolucyjny jego ustawodawstwa, co prowadziło do ciągłych konfliktów organów kościelnych z władzami świeckiemi. To spowodowało Episkopat Księstwa Warszawskiego do wniesienia imieniem całego kollegium do króla kilku memoryałów, w których biskupi z arcybiskupem Raczyńskim na czele przedstawili monarsze obszernie i wyczerpująco zwłaszcza w dziedzinie małżeństwa ówczesny stan stosunków kościelnych w Księstwie Warszawskiem, niezgodność postępowania władz i sądów cywilnych z prawem kościelnem, gwałcących prawa religii katolickiej jako religii stanu w Księstwie,

[1]) ob R. Scherer Handb. d. Kirchenrechtes I. B. Graz 1886. S, 59. Anm. 5. Porów. także Konwencye Napoleona Bonapartego, jako pierwszego konsula Rzeczypospol. włoskiej i francuskiej z pap. Piussm VII z r. 1803. art. I. „Religio catholica Apostolica Romana esse pergit Religio Reipublicae" (ob. Nussi Conventiones Moguntiae 1870 p. 143.

a zarazem żądali od panującego usunięcia przyczyn tych ciągłych konfliktów Kościoła z władzami świeckiemi. Objaśnia nas o tem doniosłe dla poznania ówczesnych stosunków kościelno-politycznych w Księstwie Warszawskiem dzieło, wydane staraniem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk w r. 1816 przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Raczyńskiego p. t. „Sześcioletnia korespondencya władz duchownych z rządem świeckim Księstwa Warszawskiego. Obejmuje ona korespondencyę arcybiskupa gnieźnieńskiego z królem, ministrami i innemi władzami cywilnemi, tudzież inne ważne dokumenty, dotyczące różnych stosunków prawno-kościelnych dyecezyi warszawskiej, a mianowicie w dziedzinie małżeństwa. Tu właśnie wskutek wprowadzonej przez Kodeks Napoleoński instytucyi małżeństwa cywilnego nieuniknionymi stawały się ciągłe konflikty władz kościelnych, które z najściślejszego swego obowiązku, jako stróże trydenckich kanonów dogmatycznych, bronić musiały przeciw władzom świeckim sakramentalnej istoty i świętości małżeństwa chrześcijańskiego tak pod względem ustawodawczym, jak również sądowym i administracyjnym. Określenie Konstytucyi 3-go Maja, stanowiące, że Religią narodową panującą jest i będzie Wiara święta Rzymska katolicka z e w s z y s t k i e m i j e j p r a w a m i, jedynie skutecznieby zapobiegało rzeczonym zasadniczym a tak zgubnym konfliktom pomiędzy obiema władzami. Z dalszych artykułów wyżej omawianej ustawy konstytucyjnej Księstwa Warszawskiego wyeliminowany już został charakter katolicki n. p. co do osoby monarchy, występuje natomiast w artykułach 2 i 3 liberalizm, a względnie arbitralność Napoleona. Dekretem z 24 lutego 1810 r. została rzeczona konstytucya przystosowaną i rozciągniętą do nowych departamentów, utworzonych z kraju po-austryackiego [1]). Według zasad Konstytucyi Królestwa Polskiego z 25. maja 1815 r. art. 2., w odróżnieniu od poprzedniej Księstwa Warszawskiego, religia katolicka przestała być religią Stanu, jako wyznawana przez znaczną więk-

[1]) ob. M. H a n d e l s m a n: Trzy konstytucye. Warszawa-Lwów 1915 r. str. XVI i 32 i nast.

szość mieszkańców (art. 2), będąc od najdawniejszych czasów religią narodową, używać będzie jak przedtem z tego powodu wyraźnej opieki rządu, nie mogąc jednak przez to uwłaczać w niczem wolności innych wyznań, które wszystkie bez wyjątku będą używać zupełnie i publicznie tejże wolności pod dozorem prawa. Różnica wyznań chrześcijańskich nie pociąga żadnej różnicy w używaniu praw społecznych[1]). Jest to określenie, zaczerpnięte również z aktu Napoleońskiego, a mianowicie z konwencyi Napoleona Bonapartego, jako pierwszego konsula Rzeczypospolitej z papieżem Piusem VII. z r. 1801, a: „Gubernium reipublicae recognoscit religionem catholicam apostolicam Romanam eam esse religionem, quam longe maxima pars civium Gallicanae reipublicae profitetur" — a w dalszym ciągu b: „Religio catholica apostolica Romana libere in Gallia exercebitur: cultus publicus erit, habita tamen ratione ordinationum quoad politiam, quas gubernium pro publica tranquillitate necessarias existimabit". Pod pozorem wprowadzenia tylko przepisów natury policyjnej, w art. 1. konkordatu zastrzeżonych, dołączone zostały niebawem do takowego przez Napoleona t. zw. „artykuły organiczne" jednostronnie (1802 r.) pomimo protestu Stolicy św., które jako ustawa państwowa nie były wcale częścią konkordatu, lecz aktem zupełnie odrębnym. One to wprowadzone w zwodniczej formie mało znaczącego policyjnego regulaminu w sprawach kościelnych tworzyły cały zbiór ustaw wrogich Kościołowi, sprzeciwiających się konkordatowi, a przez władzę świecką nielegalnie jako ustawa państwowa łącznie z konwencyą promulgowanym, z którymi chyba tylko despotyzm kościelno-polityczny dekretów Józefińskich może iść w porównanie[2]).

Wprawdzie według brzmienia zaręczeń ogólnych, zamieszczonych na czele rzeczonych zasad Konstytucyi Królestwa Polskiego, nowa konstytucya wprowadzić miała tego rodzaju ulepszenia i poprawy w dotychczasowych instytucyach, aby takowa

[1]) Handelsman l. c. str. 34.

[2]) porów. obszerniej Brzeziński „O stosunku Kościoła do państwa we Francyi", Kraków 1906, str. 15 i nast.

stać się mogła zupełnie narodową i zbliżyć się do Ustawy 3-go Maja 1791 r. w miarę, ile różnica okoliczności i czasów pozwala [1]), a w urządzeniach względem duchowieństwa (art. 31 zasad Konstytucyi) rzymsko-katolickiego i Duchowieństwa obrządku grecko-unickiego miało być uchylonem z praw i urządzeń, dotąd egzystujących, to wszystko, co przeszkadzać mogło karności duchownej lub ubliżać godności lub prawom uznanym Kościoła". Jednakże już sam ów artykuł (31) zasad konstytucyi zawiera jednostronne państwowe zapowiedzenie regulacyi majątku kościelnego i dóbr duchownych, a art. 12. ustawy konstytucyjnej Król. Pol. z d. 27 listopada 1815 poddaje duchowieństwo wszystkich wyznań pod protekcyę i dozór praw i rządu" [2]). Również wygotowany przez Stanisława Potockiego d. 4 listopada 1815 imieniem Komisyi Wydziału Oświecenia Narodowego do spraw religijnych projekt urządzenia duchowieństwa katolickiego w kraju, przesłany do Najwyższej Decyzyi, przedstawiał się formalnie jako jednostronna państwowa ordynacya stosunków Kościoła i duchowieństwa, osnuta w ogólności na prawidłach kościelnych [3]). To samo stanowisko wybitnie państwowe ujawniło się następnie w r. 1818 zaraz przy wniesieniu imieniem Rady Stanu projektu do zmiany prawa cywilnego o małżeństwie. Z rzeczonego powodu właśnie w owym projekcie sprawy małżeńskie poddane zostały sądom krajowym konstytucyjnym wbrew kanonom dogmatycznym Soboru Trydenckiego.

(Dok. nastąpi).

Dr J. Brzeziński.

---

[1]) ob. Handelsman l. c. str. 34. St. Kutrzeba „Historya ustroju Polski w zarysie po rozbiorach". Lwów 1917. Tom III. str. 101 i nast.

[2]) porów. także art. 13 Konstytucyi z 27 listopada 1815. Handelsman l. c. str. 42.

[3]] ob Rkpis Krak. Ak. Um. Nr. 138.

Najnowsza polska powieść historyczna.

Dział historycznej powieści w ostatnim dziesiątku lat rozwinął się u nas bogato i rozległem pochlubić się może czytelnictwem. Zamiłowanie do powieści historycznej zawdzięczamy Sienkiewiczowi. On mistrzem jej niezrównanym, on jej prawodawcą. Od niego uczyćby się powinni dzisiejsi historyczni powieściopisarze, jak tworzyć tego rodzaju dzieła. Od niego i od rosyjskiego autora Mereżkowskiego; w całej bowiem literaturze światowej spółczesnej nie widzę ponad nich większych twórców historycznej powieści. A każdy z nich tworzy inaczej. Sienkiewicz pisał trylogię w r. 1883, kiedy u nas badania dziejów stały bardzo wysoko, kiedy czytano chciwie niezliczone studya i szkice Szujskiego, Korzona, Kalinki, Smoleńskiego, Smolki, Kubali, Wojciechowskiego i innych. Prądy polityczne, społeczne i socyalne od ideału skierowały myśl narodową ku rzeczywistości. Poezya straciła moc nad duszami i historya stała się pokarmem dla tych dusz, łaknących czegoś więcej nad chleb codzienny. Ale przeszłość traktowała historya surowo, jak sędzia traktuje obwinionego. Polska niepodległa oczom uczonych badaczy odsłaniała swe skazy — i ci, na wzór zimnych lekarzy, dyssekcyą trupa zajętych, tłómaczyli ogółowi bezlitośnie, jaki to stek wad i ułomności doprowadził naród do upadku. W dziele naukowem, na katedrze

i na ławie szkolnej analizowano strony ujemne dawnego życia Polski. Źle o niej mówił Niemiec, źle Moskal, źle socyalista, pozytywista czy stańczyk. Dzięki temu zapał i miłość ojczyzny pokryły się warstwą popiołu. Na takie podłoże serc i umysłów padła trylogia. Sienkiewicz roztoczył w niej dwa światy i podwójne ukazał życie. Świat ludzi historycznych i świat ludzi zmyślonych, idealnych. Życie i wypadki prawdziwe i życie i zdarzenia, z marzeń i wyobraźni zaczerpnięte. Pierwszy miał stanowić tło, szeroką bazę powieści; drugie miało dać wyraz ideałowi autora. Celem pierwszego było przedstawić okres tytanicznych walk narodu o byt z ościennemi państwami; celem drugiego wykazać dla dzisiejszych ludzi, że ocalenie i zwycięstwo osiąga się wówczas, gdy w piersiach znicz miłości ojczyzny płonie jaśniej, niż dobro i szczęście osobiste, niż życie. Dlatego cierpi Skrzetuski, pokutuje Kmicic, ginie Wołodyjowski. U nas każdy wypadek dziejowy jest przedewszystkiem problemem etyki narodowej. Dla nas nie jest sprawą obojętną, czy z rozważania przeszłości wynosimy dla przyszłości niewiarę, zwątpienie, rozpacz, słowem „kamień ludzi topiących się", czy też wiarę, nadzieję i wolę do czynu, słowem „skrzydła ludzi wysokich". Duch piśmiennictwa — pisał Szujski w 1869 r. — powinien przejść w dobę oceny spraw i dziejów swoich, jeżeli ono ma być, czem bywało, r a t u j ą c e m słowem narodu. Polska harfa uczuć, zagrzewająca do męczeństwa, już nie wystarcza. Trylogia Sienkiewicza wskazała, jak z bolesnych przeżyć przeszłości czerpać dla przyszłości nasiona życia nowego.

Czy stąd nie wynika, że historya w powieści może być zmienioną i nagiętą stosownie do celów ideału? Bynajmniej. Chodzi raczej o co innego. Powieściopisarz historyczny — to po pierwsze głęboki znawca przeszłości, a powtóre — artysta. Zgoła mu nie starczy znajomość w drobnych nawet szczegółach przebiegu dziejowych wydarzeń. Bogata jego wyobraźnia może nawet bezkarnie braki i luki w wydarzeniach, nie przekazane przez źródła dziejowe, uzupełniać w pomniejszych rozmiarach. Studya nad Szekspirem wyjaśniły, jak genialny poeta wkładał duszę w zwięzłe zarysy suchych przekazów starożytnej literatury. Wszakże w minionych wiekach nie tylko miasto i wieś miało

inny wygląd, nie tylko wnętrza domów były inaczej urządzone, nie tylko pokarmy były odmienne, ale przyroda, klimat, fauna i flora różniły się od spółczesnej; człowiek rósł i kształcił się śród innego środowiska. Odmiennie żył, inaczej się uczył, inne były jego wrażenia, inne uczucia i wzruszenia, odrębna cała duchowa struktura. Powieściopisarz historyczny, zbadawszy gruntownie zewnętrzne warunki ludzkiego życia na tle wypadków dziejowych, kultury i wśród wybranych przezeń miejsca i czasu, musi za pomocą intuicyi odgadnąć cały szereg duchowych konfliktów, licząc się z właściwościami charakteru plemiennego i rasowego. Musi on całkowicie zaprzeć się siebie, własnego psychicznego ustroju i na podstawie danego faktycznego materyału tworzyć szereg dusz, wyobrażać sobie ich stany wewnętrzne pośród położeń, przez dzieje wskazanych lub przez siebie wynalezionych; a jeśli jest dużej ręki artystą, to potrafi nie tylko tysiączne przemiany duchowe uwzględnić, nie tylko wszystko wznieść, szczegóły i całość kompozycyi na wyżynę prawdy tak, ażeby „stara baśń wydawała się starą prawdą", ale i wyrazowi jej nada artystyczną i pełną harmonii miarę. Uczeni przyrodnicy ze znalezionej kości konstruują postać przedhistorycznego zwierzęcia. Rzecz to trudna. O ileż atoli trudniej skonstruować duszę ludzką ze szczupłych zazwyczaj danych historycznych! O ileż nadto trudniej odgadnąć, jak się owa dusza zachowa w pewnem otoczeniu świata, ludzi i sytuacyi! Jaki będą miały wyraz jej smutek, boleść, rozpacz, zazdrość, miłość, nienawiść, żądza, gniew, radość, uczucia religijne, rodzinne, a to wszystko w pewnym narodzie, w pewnem mieście, w pewnym czasie.

Nie dziw, że historyczni powieściopisarze nie lubią takich szczegółów, które z geografią, etnografią, topografią, sztuką pozostają w ścisłym związku.

Uczony i artysta, przyrodnik i historyk, i ekonomista i psycholog, i językoznawca i geograf daje powieściopisarzowi historycznemu swój materyał. Dział ten powieści strzępi się tedy mnogiemi trudnościami i wymaga prócz talentu twórczego wszechstronnej erudycyi.

Talentów i nam nie brak; ochotników do tego działu zgłasza się dużo. Jakiż tedy plon? [1])

Czy Wł. Reymont w powieści Rok 1794 ma jaki ideał na widoku — ocenić trudno przynajmniej z tego tomu, jaki się pojawił. To pewna, że rok ów naszych dziejów poddany chłoście zjadliwej satyry.

Rzecz w Grodnie. Akcya trwa przez sierpień. Król, dwór, rodziny magnackie, posłowie, dużo rosyjskiego wojska. Przybywa też porucznik polski, Seweryn Zaręba, zdegradowany za udział

---

[1]) Reymont Wł.: *Rok 1794.* Ostatni Sejm Rzeczypospolitej. Powieść histor. Warszawa 1913.

[2]) Gąsiorowski Wacław: *Rok 1809.* Powieść historyczna z epoki napoleońskiej. T. 1—2. Lwów 1903.

[3]) Gąsiorowski Wacław: *Pani Walewska.* Powieść histor. z epoki napoleońskiej. T. 1—2. Lwów—Warszawa 1904.

[4]) Gąsiorowski Wacław: *Huragan.* Powieść historyczna z czasów napoleońskich. Warszawa 1904.

[5]) Gąsiorowski Wacław: *Czarny generał.* Romans historyczny. Warszawa 1912.

[6]) Wacław Gąsiorowski: *Szwoleżerowie Gwardyi.* Powieść historyczna. Warszawa 1—2. 1910.

[7]) Gąsiorowski Wacław: *Kajetan Stuart* Powieść z czasów Księstwa Warszawskiego. Warszawa 1905.

[8]) Gąsiorowski Wacław: *Bem.* Powieść historyczna z XIX w. Warszawa 1912.

[9]) Halicka Blanka: *Błędni rycerze.* Powieść z dziejów emigracyi. 1—2. Kraków 1912.

[10]) Tetmajer Kazim. Przerwa: *Koniec epopei.* Warszawa 1913.

[11]) Gomulicki Wiktor: *Bój olbrzymów.* Powieść histor. Warszawa 1913.

[12]) Gomulicki Wiktor: *Siódme amen Imci Pana Mokrzeckiego.* Powieść z czasów saskich. Warszawa 1910.

[13]) Gomulicki Wiktor: *Grandmuszkieter.* Powieść histor. z czasów Augusta Mocnego Warszawa, b. r.

[14]) Gliński Kazimierz: *Boruta.* Powieść z lat dawnych. Warszawa 1904.

[15]) Choiński Jeske Teodor: *O miłość hospodarską.* Powieść historyczna z XVI stulecia Warszawa 1904.

[16]) Choiński Jeske Teodor: *Błyskawice.* Powieść histor. z czasów rewol. francuskiej. Warszawa 1907.

[17]) Daniłowski Gust.: *Marya Magdalena.* Kraków 1913.

[18]) Zorjan E.: *Zawsze ojczyźnie wierni.* Powieść histor. Lwów 1908.

[19]) Zorjan E.: *Grunwaldzki bój.* Pow. hist. Lwów 1911.

[20]) Zorjan E.: *Warneńczyk.* Pow. hist. Lwów 1912.

[21]) Łada Jan: *Oman.* Kijów 1912.

[22]) Łada Jan: *Mag.* Pow. hist. Kijów 1914.

w bitwie pod Dubienką, i czyni zabiegi o odzyskanie szarży. Socyeta szaleje, bawi się w miłostki, bale, sielskie podwieczorki, imieninowe fety; Zaręba z nią razem, ale poza nią spiskuje. Oto cała akcya.

Powieść Reymonta buduje się tedy na następujących zbiorowych kolumnach motywów:

a) Zaręba: jego chęć odzyskania szarży, jego miłość ku Izie z Górskich Rudskiej, jego wywiady śród targowiczan, Moskali, kliki dworskiej, jego w tym celu chwilowa służba u biskupa Kossakowskiego, jego werbowanie ochotników dla powstańców...

b) Koło sejmowe: król po przystąpieniu do targowicy, jedni magnaci na jurgielcie Moskali, drudzy na jurgielcie Prusaków — wszyscy chciwi na grosz, bez sumień, rozpustni, zdrajcy. Tłum ich: graf Moszyński, hr. Ankwicz, wytworniś Miączyński, regimentarz Ożarowski, kanclerz Sułkowski, hetman Zabiełło, miecznik koronny Stecki, marszałek Pułaski, podkanclerzy Plater, biskup Skarszewski, podskarbi Ogiński, biskup Kossakowski, Giełgud, Narbutt, X. Wołłowicz, Łopot, Jeziorkowski — wszyscy za g w a r a n c y a m i carowej.

c) Garstka zelantów: dumny i wyzywający, o orlich oczach upicki Kimbar, łomżyński Skarżyński, wyszogrodzki Mikorski, liwski Krasnodębski, ciechanowski Szydłowski, Ciemniewski, Rożański, Karski, Zieliński, Gosławski, Plichta.

d) Moskale, a zwłaszcza Sievers, który ukazany jako główna i właściwa tutaj potęga, oparta o karabiny i armaty wojsk rosyjskich.

e) Życie t. z. socyety. Ohydny światek kobiecy: wyzywająco bezwstydne, bez śladu wyższych uczuć, bez cienia obywatelskiej myśli, tylko nasyceniu instynktu oddane, tylko wystawę ciał czyniące — są stadem bydląt.

f) Tłum nieosobowo traktowany, sam jeden patryotyczny: burzy się, chciwie czyta paszkwile, rozlepiane na różne osobistości przedajne — na króla, na Moskali, na Prusaków.

Reymont materyał do obrazu znalazł w obfitych i znanych pamiętnikach; oświetlił go z pewnym z góry sobie naznaczonym

celem. Chodzi o to, j a k widzi przeszłość, j a k układa z tych motywów powieść?

Reymont przeszłość widzi w świetle owego sądu Goszczyńskiego z K a n i o w s k i e g o Z a m k u: pozostały zbrodnie te same. Warstwa magnacka nie ma ani jednej dodatniej postaci w powieści: same przedawczyki, jurgieltniki; sama rozpusta, chciwość i ważenie za nic ogólnego dobra. Jak u owych Radziwiłłów w P o t o p i e rzeczpospolita — to postaw sukna: ciągnąć ku sobie, byle jak największy płat dla siebie oderwać.

Gdzie podzieli się ludzie wielkiego sejmu? Gdzie ludzie Komisyi Edukacyjnej? Jest to tem ohydniejsze, że choć przemoc Moskali i Prusaków malowana jaskrawo, to jednak — z wyjątkiem ostatniego posiedzenia sejmu z 7. września 1793, na którem gwałt bagnetów jawny — widać, że szalbierczy sojusznicy z wolą narodu i sejmu liczą się jeszcze. Skutkiem takiego przedstawienia straszliwa hańba rozszarpania kraju spada wyłącznie na magnatów i nikczemnych ich służalców. A zelanci, ich zabiegi, ich uczucia, działania, ich mowy i zaklęcia, ich bohaterska walka — wszystko traktowane epizodycznie, bez psychologicznego wniknięcia.

Czy przy wydatniejszem stosowaniu w powieści prawa kontrastu rzecz straciłaby na wypukłości? Czy może autor znalazłby się w kolizyi z historyczną prawdą? Ani jedno, ani drugie. Zasada kontrastu w sztuce tak dobrze była znana naszym romantykom; dziś jest w poniewierce. Malczewski w M a r y i powiedział, że „sztuka malarza z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza". Powieści kontrast świadczy jeszcze większe usługi. Dawniej, kiedy to sztuka liczyła się z ideałem nie tylko piękna, ale dobra i prawdy, kontrast uchodził za pierwszorzędny czynnik sztuki. Dałoby się to porównać z koniecznością światłocienia w malarstwie, z którego Rembrandt wykrzesał przedziwne efekty. Kontrast stanowi duszę kompozycyi powieściowych wielkiego Dickensa. Ludzie dobrzy i ludzie źli; ludzie egoistyczni i miłosierni, skąpi i szczodrzy, bogaci i ubodzy, zmysłowi i wstrzemięźliwi, sprytni i tępi, pyszni i pokorni, odważni i lękliwi, szybcy w postanowieniu i moderatorzy, przystojni i szkaradni. Czy nie tak jest w klasycznych powieściach, jak np. w N i c k l e b y, w O l i-

wierze Twiście, albo w Nędznikach Hugona, albo w Komedyi ludzkiej Balzac'a, albo w Quo vadis Sienkiewicza? Wynagradza się to bogactwem pomysłów, barwnością akcyi, urozmaiceniem motywów twórczych, nawet epitetów i języka. Wszakże niekoniecznie muszą być przeciwieństwa ustawione wprost naprzeciw siebie w tych samych czy podobnych postaciach. Tem lepiej, jeżeli są ujęte w grupy, działające ze sobą lub przeciwko sobie. W grupach pojedyncze figury wspomagają się lub uzupełniają. Inne tworzą wycinki zła lub dobra. U nas dzięki zanikowi harmonii w liniach kompozycyjnych akcyi daje się także zauważyć zanik równowagi sił duchowych, czynnych we wszechświecie. Wszakże nasze wybitne talenty zabiegają o siłę słowa i obrazu, skąd wyrasta niebezpieczeństwo ubóstwa akcyi, niezrównoważenia się zła i dobra, niebezpieczeństwo jednostajności i szybkiej maniery. Dickens na przykład w każdej swej dużej kompozycyi powieściowej wprowadza wiele scen i postaci epizodycznych. Jego powieściowa kompozycya podobna do rzeki w skrętach płynącej, a bogatej wielu dopływami. Przedziwna różnorodność charakterów; każdy charakter ma kształt odlewu z bronzu, jednolity i konsekwentny. Wiją się mniejsze akcye obok głównej, autor je śledzi i do harmonii układa te rozbiegające się w orkiestrze głosy wielu instrumentów ludzkich. W każdej powieści tajemniczo zadzierzga się, czy za pomocą nowej postaci, czy za pomocą sceny, węzeł intrygi pobocznej, ale ściśle z główną złączonej i potrafi on tajemniczość tę utrzymać w rosnącem napięciu do momentu rozwikłania.

W dziele Reymonta szwankują oba te znamiona arcydzieł powieściopisarskich: ani głębokich kontrastów niema, ani zawiłej i głównej akcyi, skombinowanej z akcyami pomniejszemi. Dla stwierdzenia dziwnej pobieżności w rysunku zelantów weźmy choćby postać Kimbara. Po wieku z górą postać ta przeciętnemu człowiekowi dzisiejszemu nic prawie nie mówi i p. Reymont zniwelował ją gruntownie do poziomu innych zelantów. A jednak już sam sztych Oleszczyńskiego, wyobrażający dumną głowę o wyniosłem czole, orlim nosie i płomiennych oczach — bardzo wymowny; już sam szczegół, że mu w równym rzędzie z Kościu-

szką konwent francuski w r. 1792 nadał prawa obywatela francuskiego [1]) — jeszcze bardziej wymowny. Jego sejmowa opozycya w Grodnie działała wstrząsająco na koło poselskie; jego pamięć żyła długo w narodzie obok pamięci Reytana, któremu przecież Polska pomniki wzniosła i Matejko obrazem uwiecznił. Niedaremnie Słowacki umieścił go, wymieniwszy po nazwisku, wśród najszlachetniejszych męczenników sprawy polskiej w Anhellim [2]); niedaremnie Krasiński w liście do Małachowskiego w 1844 r. cześć mu należną oddawał.

Były tedy wpośród zelantów głowy o wysokich czołach, sięgające entuzyazmem i ognistą wymową ponad rzesze i talent z tego materyału mógł wykuć spiżowe posągi w przeciwstawieniu do żółcią malowanej zgrai jurgieltników. Oni to w historycznej powieści winni byli znaleźć się, jako dodatnia i ratująca sprawę narodu siła naprzeciw zaprzedańców, nie jakiś imć Seweryn Zaręba. Do posądu młodzik ten o profilu duchowym jakobina z rewolucyi francuskiej bardzo ochoczy. W otchłani żrących dumań — podług słów Reymonta — przegarniał zimnemi oczyma głowy senatorów, posłów i dygnitarzy, niektóre ważył długo, inne jakby odkładał na stronę, ale w większość bił ciężkiem, jak topór katowski, słowem: winien. Wszędzie widział ruinę, zgniłość, prywatę; wszędzie zatracenie i ostateczną zagugę, grzęzawisko wiecznej hańby, występków, podłości. Przekleństwo dzieciom, zaprzedającym matkę rodzoną w kajdany, przekleństwo!"

Zapewne, brzmi to zgoła inaczej, niż przedświtowe Zygmunta Krasińskiego: Błogosławcie ojców winie! Historya powie, że zarówno błogosławieństwo marzyciela-romantyka, jak klątwy demagoga-modernisty można traktować bez zapału. Warto jednak tego ostatniego spytać, jak Zaręba działa sam w tem grzęzawisku wiecznej hańby?

Zaręba zrazu szaleje dla szambelanowej, potem zuchwale igra z ogniem. Niby za bary bierze się ze sobą i walczy, lecz wciąż ulega — jak prawe dziecię schyłku XIX. w. Wystrojony, jak Francuz najlepszej marki (str. 117), wcale sobie smakuje

[1]) Ob. Mościcki Henryk: *Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi.* T. I. Str. 136.
[2]) R. XI.

w roli dandysa w owem grzęzawisku. „Popielaty blondyn, o włosach przyciętych à la Titus i orlej twarzy, wysoki, w barach w miarę rozrosły, w stanie smukły, wyraz miał wyniosły, ruchy sprężyste, głos melodyjny i szafirowe oczy o długich, czarnych rzęsach i brwiach, przecinających białe czoło groźnym łukiem".

Wprawdzie „rwało mu się serce do rozpraw wojennych i przygód", wprawdzie „dusił się poprostu w tem powietrzu, przejętem nikczemnością" — ale w roli dandysa trwał i wytrwał do końca tej pierwszej książki o sejmie 1793 r. p. Reymonta. Kiepski to odczynnik zatrutej atmosfery, mizerny równoważnik steku podłości; i dlatego koloryt powieści tak beznadziejnie ponury, a historyczność jej podobna do historyczności żyda, ekonoma, szlachcica i księżego sługi z P o p a s u w U p i c i e Mickiewicza.

Słowem R o k 1794 są to dzieje politycznej intrygi, rozesnute na tle kroniki skandalicznej wyższego towarzystwa polsko-rosyjskiego w Grodnie.

A w swojej formie?

We formie ma ona obrazki bardzo piękne: np. przeor i ptactwo (str. 61—67), sielanka socyety — istny obrazek Watteau lub Bouchera i t. p.

Jednakże i tu mógł autor oszczędzić czytelnikowi niesmacznych i brudnych scen, oraz własnych gniewnych uniesień. Mógłby oszczędzić widoku zmysłowych scen, wstrętnego obrazu oficerskiej orgii (str. 408), ordynarnych przysłowi (str. 250), takich zwierzeń, jak: „wyszedł dla uczynienia ulgi naturalnej potrzebie" (str. 408), jak „inny oddawał na stół, że go tam przyparła potrzeba" (str. 409) i t. p.

Nie udał się też i język powieści p. Reymontowi, który archaizować nie umie.

Jak dziś, tak i zawsze, na dużej powierzchni polskiej ziemi bywała znaczna ilość polskich gwar i językowych odmianek. Miał swoje tonacye wymowy Wielkopolanin i Mazur, Krakowiak i Ślązak. Obok tonacyi miewali oni niezawodnie ulubione miejscowe wyrażenia, niektóre techniczne nazwy, nawet zwroty. Język zaś literacki tem pragnął się zawsze wyróżnić od szarej mowy, że otrząsał się od owych dostawek miejscowych. Jakże ma dziś

postąpić pisarz, pragnący odtworzyć mowę wieku? Czy ma pstrzyć i przejaskrawiać styl swój i słownictwo barwami narzeczy, czy też ma za wzór brać spółczesne utwory literackie najlepsze? Jedynie wskazaną jest ta ostatnia droga. P. Reymont zaś za wzór swego stylu nie wziął Pana Podstolego lub Przypadków Mikołaja Doświadczyńskiego, nie wziął Trembeckiego ani nawet Naruszewicza, nie wziął Rzewuskiego lub Kaczkowskiego, lecz śladem osławionej pamięci Nowaczyńskiego stworzył brzydki volapük, podobny w smaku do paprykowanej na żółto mieszaniny węgierskiego gulaszu. Wypadła też ta próba naprawdę z kiepska po węgiersku. Bo nie dość, że język gęsto naszpikowany takiemi wyrażeniami, jak: promenowały, cyrkulując, estymacyjny aplauz, usatysfakcyonowany, rezoluj (—miej odwagę), profetować, zdezarmować, mieć w głowie roksolany, egzercyrunek, fortragujący i t. p., nie dość, że natkał w ten wieniec kwiatuszków wprawdzie używanych w satyrze XVIII. wieku, lecz w tonie ironicznym, jak boskiety, berżerek, solituda, kabanka, supiry, zulagi, befele i t. p., ale przyozdobił tę mieszaninę chwastem dzisiejszej chwili, nie szczędząc takich słów, jak: rypali się, rzegot, zajazgotały i t. p.

O ile też wolno mi sądzić na podstawie Roku 1794, jedynej powieści historycznej autora Chłopów, brakło mu do stworzenia dzieła sztuki dwóch kardynalnych warunków. Po pierwsze — objektywizmu. Zanadto był, pisząc, sam sobą, zanadto modernistą, aby z zaparciem się własnej filozofii mógł stworzyć świat ludzki odmienny. Powtóre — wybornej znajomości kultury XVIII. wieku. Każda historya kultury ma swoje sekreta, znane spółczesnym, lecz zmienne, bo wygasające z pokoleniem: jaki grymas w twarzy miał Stanisław August? Jakie były jego uśmiechy, zmarszczenia, ruchy rąk, chód? Jakie o nim krążyły dowcipy w przemnogich chwilach jego rządów? Jakie tworzyły się zagadki, wierszyki, ulotne słowa o różnych ludziach różnymi czasy u schyłku wieku XVIII.? Jakie miewali odmianki w strojach, wzięciu się, w minach, w grze i przy uczcie koryfeusza tego wieku? Są to drobiazgi historyczne, których posiąść niepodobna przez lekturę pamiętników Ochockiego czy Kitowicza, Licho-

ckiego czy Niemcewicza, ale których pełno w przebogatych s i l v a r e r u m po zbiorach rękopisów. Bez tej drobnowidzowej znajomości czasu i ludzi życie i postaci ludzkie w powieści wydają się wylizane szpachelką, jak portrety Bacchiarellego. Tak to właśnie stało się w powieści p. Reymonta i dlatego powieść się nie udała. (Dok. nast.).

A. Mazanowski.

Ciągłość zjawisk w przyrodzie[1].

Temat, którym mamy się zająć, ciągłość zjawisk w przyrodzie, o ile dla przyrodnika jest jasny co do swej treści i rozciągłości, o tyle dla filozofa, a zwłaszcza dla filozofów różnych szkół i poglądów, nastręczyć musi liczne wątpliwości. I tak, dla idealisty jest on tylko zestawieniem sztucznem pojęć i wyrazów, zestawieniem, którem teoretycznie czasami zająć się niezawadzi, ale o którego rzeczywistości ontologicznej nic powiedzieć nie możemy. Kto znów, jak np. Russell [2]), utrzymuje, że filozofia jest tylko logiką, dla takiego temat powyższy całkowicie lub przynajmniej w większej części nie należy do filozofii. Realiści natomiast przyznać muszą, że sprawa ciągłości jest zarówno, jak i sprawa przemian, najbardziej podstawową w filozofii, lecz każdy z nich inaczej ją pojmie, odpowiednio do swych zasadniczych filozoficznych przekonań. Dlatego też chcąc mówić o ciągłości zjawisk, rzeczą będzie konieczną, bym zaznaczył stanowisko filozoficzne, na jakiem stoję, a nadto, bym jasno określił, jakie pojęcia podstawiam pod wyrazy, zawarte w temacie.

Więc najpierw co do części pierwszej, oświadczam, że stoję na stanowisku dualistycznego realizmu, który przyjmuje istnienie świata zewnętrznego za fakt prawdziwy, różniąc się w tem zasadniczo od tych filozofów, którzy przyjmują rzeczywistość świata zewnętrznego tylko za bardzo prawdopodobną hypotezę, prawdo-

[1]) Odczyt, wygłoszony d. 31 maja b. r. w Towarzystwie filozoficznem w Krakowie

[2]) B. Russell: Our Knowledge of External World. London 1914.

podobną dlatego, że nic, ani z nauk ścisłych, ani z filozofii, nie można przeciw niej pewnego podnieść. Dualista realistyczny przyjmuje nadto za fakt istnienie w sobie i innych ludziach świata wewnętrznego, jako podłoża zjawisk psychicznych, i oparty na ścisłej analizie tych zjawisk stwierdza napewne, że świat ten wewnętrzny jest zasadniczo różny od świata zewnętrznego, że jednak między jednym a drugim zachodzi stosunek wzajemnego oddziaływania, stosunek niezmiernie ścisły, któremu psyche zawdzięcza wszystkie swe podstawowe pojęcia, biorąc je ze świata zewnętrznego przez tak zwaną oczywistość. System ten nazwać też można filozofią zdrowego rozsądku, *philosophy of common sense,* a to dlatego, że ludzie psychicznie zdrowi, tak filozoficznie uświadomieni, jak i na najniższym stopniu wewnętrznej kultury stojący, jego się trzymają we wszystkiem, tak w czynnościach praktycznych, jako też i w najzawilszych badaniach naukowych, a od niego odstępują tylko filozofowie pewnych szkół w chwilach swych marzeń filozoficznych. Jestto też jedną z zasadniczych cech filozofii zdrowego rozsądku, że uznaje w człowieku tylko jedną logikę, którą kieruje się zarówno w życiu codziennem, jak i w badaniach filozoficznych. Dla filozofii tej wszelkie badania filozoficzne są tylko rozwinięciem i uświadomieniem czynności umysłowych, napotykanych u każdego psychicznie zdrowego człowieka, baczy też ona pilnie, by nie zasłużyła słusznie na zarzut, stawiany nieraz filozofowi przez człowieka z ulicy, że „przefilozofował zdrowy rozsądek".

Realizm dualistyczny przeczy, byśmy posiadali jakiekolwiek pojęcia wrodzone, lecz wszystkie bierzemy ze świata zewnętrznego, jużto bezpośrednio, już przez analizę wrażeń, otrzymanych zapomocą zmysłów. Pojęcia nasze czyli idee możemy i powinniśmy badać, rozwijać, oceniać ich wartość psychologiczną i przedmiotową, a przedewszystkiem starać się ściśle i jasno je definiować. W tej jednak pracy, niesłychanie zresztą obszernej a płodnej, napotykamy na granicę, określoną tym faktem, że są pojęcia jak gdyby pierwotne, których już na inne prostsze rozłożyć nie można, których więc nie można definiować, lecz chyba tylko opisywać. I główny spór w fiozofii, jak wiadomo, toczy się

o wartość psychologiczną i ontologiczną tych właśnie pojęć. Realizm dualistyczny twierdzi, że prawdziwości ich niczem udowodnić nie można, wzięte z oczywistości są one ostatnimi już etapami myśli naszej, ale ktoby o ich prawdziwości wątpił, ten staje natychmiast w sprzeczności z zdrowym rozsądkiem i gdyby chciał postępować odpowiednio do tych wątpliwości, wyłączonoby go z towarzystwa ludzkiego, jako człowieka umysłowo chorego, mimo, że we własnem mniemaniu, a nawet wedle oceniań objektywnych, nie popełniłby w toku myśli, które do tego stanu go przywiodły, żadnego logicznego błędu. By tej możliwości uniknąć, twierdzą przeciwnicy, że filozof w dociekaniach naukowych może i powinien iść poza ten tak zwany zdrowy rozsądek, którego zresztą granice i wartość trudnoby było realiście określić, i z tej wycieczki wynoszą oni dwie zasady: najpierw, że inny jest rozum praktyczny, a inny teoretyczny, i ta zasada ma chronić od dziwactw w życiu praktycznem — a dalej, że cała nasza wiedza jest pozbawiona fundamentów, bo w ostatecznej analizie pojęć i podstaw nauk wszelakich napotkamy na takie, których nie można ani definiować, ani udowodnić — i ta zasada odnosi się do badań naukowych, stawiając je wszystkie nad jakąś beznadziejną próżnią, przed którą widnieją słupy graniczne z napisem: *indéfinite* — w miejsce dawnego: *infinité*. Jestto przykre usiłowanie wyjścia umysłu poza siebie, to znaczy poza swoją moc i siłę, nasuwające mi pewne porównanie, które pozwolę sobie przytoczyć.

W *National Gallery* w Londynie jest sala, poświęcona wyłącznie najsławniejszemu malarzowi angielskiemu, Turnerowi, gdzie śledzić można, jak artysta rozwijał swój geniusz, od realistyczno-klasycznych utworów początkowych, aż do przejrzystych pejsaży, o najsubtelniejszym kolorycie. Wyobraźmy sobie, że gdy z zachwytem oglądamy te arcydzieła, staje nagle malarz przed nami, z zakrytem płótnem w ręku i mówi: Tu na ścianach wiszą utwory malarskie, jedne subteniejsze od drugich, ale i najdoskonalsze z nich są jeszcze bardzo a bardzo daleko od prawdziwej sztuki. Bo i na nich artysta nie zdołał przedstawić dynamiki pejzażu, a i koloryt soczystością, ani barwą nie rywalizuje należycie z przyrodą. Próbowałem sposobów

rozmaitych i wreszcie przekonałem się, że wszystko, czego nam dostarcza dzisiejsza technika chemiczna i malarska, nakłada pęta gneiuszowi artysty i utwory jego ducha ścina w nieudolne, brudnobarwne manekiny. Toteż przemyślając z rozpaczą nad tą nieudolnością człowieka, wpadłem na pomysł, który sam jeden godny jest nazwy prawdziwej sztuki — i tu artysta odsłania przed nami swe płótno — które jednak jest zupełnie czyste. Patrz — woła malarz — na tym płótnie w y o b r a ź n i a moja odtwarza najpiękniejsze obrazy, świetnością kompozycyi i barwy przewyższające sceny najpiękniejsze przyrody. Czyż nie logicznie doszedłem do tych wyników? Tak, logicznie — odpowiemy — ale to nie jest sztuka, bo zadaniem sztuki jest oddziaływać na ducha zapomocą zjawisk zmysłowych, gdy wyjdzie poza nie, przestaje być sztuką, jest tworem subjektywnym, sam w sobie może pięknym, lecz dla drugich niedostępnym. Otóż podobnie i z negacyą zasad zdrowego rozsądku: można logicznem rozumowaniem wyjść poza nie, można tysiączne stawić przeciw nim trudności i wątpliwości, ale mimo to poza niemi ustaje prawdziwa nauka, ustaje więc i filozofia. Może się umysł ludzki zżymać na to swoje ograniczenie, ale faktem pozostanie na zawsze prawdziwym, że większej pewności mieć nie może ponad oczywistość, komu zaś ta nie wystarcza, ten popaść musi w beznadziejny sceptycyzm, a popaść bez żadnego rozumnego powodu.

* * *

Te kilka uwag pozwoliłem sobie przytoczyć na wstępie, by zaznaczyć i usprawiedliwić swoje filozoficzne stanowisko, które, jak wspomniałem, zaznaczyć koniecznie było potrzeba, by wyrazom, tworzącym mój temat, nadać jakiś sens i znaczenie.

Przystępując więc do określenia tego znaczenia, stwierdzam, że pojęcie ciągłości jest pojęciem pierwotnem i bierzemy je z doświadczenia, z oczywistości. Rozróżniamy ciągłość dwojakiego rodzaju: ciągłość trwania, statyczną, przestrzeni i ciągłość ruchu, kinetyczną i o obu tych ciągłościach jest mowa w obecnym temacie. Albowiem zajmować się on ma ciągłością zja-

wisk — zjawiskiem zaś jest wszystko to, co oddziaływać jest zdolne na nasze zmysły — a więc zarówno przedmioty trwałe, jak i zachodzące wśród nich zmiany. Pojęcie ciągłości przestrzennej nie tylko, że nie zawiera w sobie sprzeczności, jak to utrzymuje Leibnitz, Herbart, Spencer i inni, ale jest tak związane z przedmiotami materyalnymi, że nawet myśleć o nich nie możemy, bez wyobrażenia sobie równocześnie pojęcia ciągłości. Ciągłość przestrzenną możemy w następujący sposób opisać — opisać, nie zdefiniować: ciągłem jest to, co nie jest podzielone, a jednak jest podzielne na części, tworzące po dokonanym podziale coś samo dla siebie zupełnego. Jestto określenie, zbliżone do określenia, podanego przez Arystotelesa: φανερὸν δὲ καὶ ὅτι πᾶν συνεχὲς διαιρετὸν εἰς ἀεὶ διαιρετά to znaczy, ciągłem nazywamy to, co podpada pod zmysły i jako całość spoista daje się dzielić na wciąż dalej podzielne cząstki.

Dokładny obraz ciągłości spoczynkowej czyli statycznej dają nam utwory geometryi, owej nauki, zajmującej się abstrakcyjnie jedną z własności ciał, to jest ich rozciągłością. Zrozumienie i określenie natomiast jak najdalej idące pojęcia tej ciągłości daje algebra i arytmetyka, przyczem jednak zachodzi pewna różnica między algebrą a geometryą. W geometryi ciągłość widzimy w sposób jasny i prosty, w algebrze ciągłość w sposób subtelny określamy. Gdy mówimy, że prosta między dwoma punktami A i B jest ciągłą, to odrazu łatwo to każdy zrozumie i łatwo sobie wyobrazi, ale gdy słyszy, że jakaś wielkość może przyjąć wszystkie wartości od 4 do 5 w sposób ciągły, wyobraźnia jego odrazu ustaje i tylko dłuższe i subtelne określenia do zrozumienia takiego twierdzenia doprowadzić go mogą. Od punktu A do punktu B przejść mogę w sposób ciągły w dowolnym czasie, ale od 4 do 5 w sposób ciągły rzeczywiście nigdy przejść nie mogę, a sofizmat Zenona staje się tu prawdziwym poprostu dlatego, że aby przejścia takiego w sposób ciągły dokonać, trzebaby przejść wszystkie wartości między 4 i 5, a więc przechodzić z jednej do najbliższej, gdy tymczasem najbliższej niema, bo między 4 a każdą, chociażby niewiem jak bliską, można sobie pomyśleć i wyznaczyć dowolną ilość wartości

pośrednich. Ktoby więc takie zadanie chciał spełnić, by z 4 przejść do 5 w sposób ciągły, musiałby się zatrzymać na 4 i ani kroku dalej myślą postąpićby nie mógł, bo od 4 do każdej innej wartości oddziela go przepaść. Mimo to nigdzie tak jasno i ściśle nie rozumiemy pojęcia ciągłości, jak właśnie w matematyce — ale zarazem mamy tu przykład, jak najsubtelniejsze badania naukowe nie wychodzą poza łamy zdrowego rozsądku. Pojęcie samo ciągłości matematycznej nie różni się zasadniczo w niczem od tego pojęcia, jakie ma o ciągłości każdy najprostszy człowiek, a przerwa, to znaczy brak ciągłości, u wszystkich jednakowe ma znaczenie.

Ciągłością kinetyczną jest przedewszystkiem ciągłość ruchu. Opisać ją można za Russellem [1]) w następujący sposób: Przypuśćmy, że w pewnej chwili t cząstka poruszająca się znajduje się w punkcie P. Na odcinku jej drogi oznaczmy część P_1 i P_2 tak, że zawiera ona punkt P. Otóż ruch cząstki wtedy jest ciągły, gdy zawsze będzie można znaleść takie dwie chwile, t_1 i t_2, jedna wcześniejsza od t, a druga późniejsza, że w ciągu czasu od chwili t_1 do t_2 włącznie cząstka znajdować się będzie na odcinku P_1 i P_2. Mówię: t_1 i t_2 „włącznie“ — bo w przyrodzie nie istnieją punkty czasu, to znaczy jakieś momenty bez trwania, podobnie, jak nie istnieją punkty geometryczne, to jest twory, nie mające żadnych wymiarów.

Lecz by mówić dzisiaj o ciągłości zjawisk w przyrodzie, nie wystarcza zająć się tylko ciągłością statyczną i ruchu. Był wprawdzie czas w nauce, gdzie sądzono, iż wszystkie zjawiska można zredukować do trzech zasadniczych pojęć: masy, długości przestrzennej i czasu i utworzywszy sobie taki mechaniczny zupełnie światopogląd, w sposób naiwnie prosty wszystko pod niego podciągano, wyrzucając ze słownika naukowego i nawet filozoficznego dawne jakości *quantités* i istoty, substancye. Teorya ta, która mimo swej jednostronności wiele dobrego w nauce zdziałała, upadła pod naciskiem nowych faktów, i obecnie znowu jakości, jak słusznie na to zwrócił Duhem uwagę, odzyskały swe prawa, chociaż nie nakrywają się pojęciowo z jakościami filozofii perypatetycznej. Otóż ciągłość zmian jakościowych możeby można

[1]) l. c.

określić ściśle w ten sposób: własność jakościowa, np. barwa ciała, zmienia się w sposób ciągły w chwili t, gdy zawsze mogę znaleść takie dwie chwile, t_1 i t_2, jedna wcześniejsza od t, druga od t późniejsza, że chociaż na końcu chwili t jakość dana pozornie (to znaczy obserwowana nawet zapomocą metod naukowych) nie różni się od jakości na początku chwili t_1, a jakość na końcu chwili t_2 od jakości na końcu chwili t, to jednak stan na końcu chwili t_1 jest dostrzeganie różny od stanu na początku chwili t_2.

Jak widzimy, pojęcie ciągłości kinetycznej i jakościowej stoi w ścisłym związku z pojęciem zmiany, mianowicie zmiany położenia i zmiany jakościowej, którą dawniej, w wieku ubiegłym, sprowadzano do zmiany kinetycznej. Ale prócz tych zmian jest jeszcze w filozofii znana inna, niesłychanie doniosła, zmiana tak zwana istotna, substancyalna. Jak dla filozofa przyrody wieku 19-go nie istniały zmiany jakościowe, tak realista monistyczny nie uznaje zmian istotnych, i dla niego pod tym względem ciągłość zjawisk przyrody nie przedstawia żadnych trudności, bo wszystko, co istnieje, jest przejawem jednej jedynej substancyi. Realista dualistyczny jednak, przyjmując rzeczywistość świata zewnętrznego, dostrzega w nim zapomocą ścisłej analizy wrażeń, istnienie ich objektywnej przyczyny, którą jest istnienie przedmiotów nie tylko jakościowo, lecz istotnie między sobą różnych. Para wodna od wody, woda od lodu różni się prawdopodobnie tylko jakościowo, ale woda od ryby, a nawet mięszanina piorunująca tlenu i wodoru od wody różni się istotnie, substancyalnie. Nie będę przytaczać tu argumentów, które przemawiają za takiem pojmowaniem rzeczy, lecz tylko stwierdzam, że istnieje szkoła filozoficzna o takich poglądach, i stając na stanowisku tej szkoły, pytam teraz, czy może ona mówić o ciągłości zmian substancyalnych, istotnych? Boć jeżeli dwa ciała różnią się między sobą istotnie, np. gaz piorunujący i woda, to zdawałoby się, że przejście od jednego do drugiego nie może odbywać się w sposób ciągły, że musi istnieć granica, od której wszystko na lewo jest gazem piorunującym, na prawo wodą, a więc na której następuje przerwa ciągłości. Sądzę jednak, że w wielu wypadkach nie jest rzeczą niemożebną, by zbliżać się do granicy

w sposób ciągły od jednej strony do drugiej, a mimo to by stan ciała, nieskończenie bliski jednej strony granicy, był istotnie różny od stanu ciała po stronie drugiej. Wiadomo, że i doświadczalnie granicy tej nie można często uchwycić.

* * *

A teraz, po tych określeniach pojęcia ciągłości, zwracając się do przyrody, pytamy, czy wszystkie zjawiska, bądź spoczynkowe, bądź kinetyczne, są tam ciągłe? Bo, że wiele z nich jest ciągłych, to wątpliwości dla zdrowego rozsądku nie ulega, wynika to z oczywistości. Co prawda, Russel uważa fakt, iż jakiś przedmiot rozpatrywany nie znika na tę chwilę, gdy się obserwator nań nie patrzy, za *soft datum*, za fakt niezbyt oczywisty, jednak tym razem autor ów, jak zresztą niejednokrotnie mu się to zdarza, mimo chęci stanął w sprzeczności z tyle przez siebie zachwalanem *common sense* i robi wrażenie człowieka, który idąc po równej drodze, obawia się, by stawiając krok następny, nie wpadł w przepaść.

Więc o istnieniu zjawisk ciągłych poucza nas oczywistość doświadczalna — ale czy wszystkie są ciągłe? Czyli innemi słowy, czy możnaby, matematycznie biorąc, wynaleść taką funkcyę ciągłą, której poznanie i zbadanie odkryłoby przed nami wszystkie rzeczywiste i możliwe zjawiska i pozwalało je zarówno czytać w przeszłości, jak i przepowiadać na pewne w przyszłości, tak, jak się przepowiada dokładnie czas i miejsce wielu zjawisk planetarnych?

Ci z filozofów, którzy chcą dowodów na istnienie świata zewnętrznego, lub którzy przeczą, by istniał pomost ścisły i niezawodny między tym światem a wewnętrzną naszą jaźnią, na pytanie powyższe muszą odpowiedzieć, jak wogóle na wszystkie: nie wiemy. Ale kto, idąc za zdrowym rozsądkiem, przyjmuje rzeczywistość zjawisk i ich podłoża, jako też uznaje możność ich przedmiotowego zbadania, ten na pytanie powyższe odpowiedzi szukać będzie przedewszystkiem w naukach doświadczalnych, a więc w fizyce i chemii, w biologii i w psychologii doświadczalnej. Otóż, jak sądzę, synteza tych nauk doprowadzić musi do następujących wniosków: W obrębie przyrody nieorganicznej panuje

bezwarunkowo ciągłość zjawisk i co za tem idzie, zupełny determinizm. Fizyka i chemia poucza nas, że wszystkie zjawiska są funkcyą czasu, to znaczy, że niema zjawisk zupełnie momentalnych, odbywających się jak gdyby w punkcie czasu. Z biegiem rozwoju nauki i z udoskonaleniem przyrządów zdołano zmierzyć szybkość odbywania się nawet takich zjawisk, jak szybkość wybuchania reakcyj chemicznych, rozchodzenia się fal elektrycznych lub świetlnych, wyładowań elektrycznych i jeden tylko sfinks spogląda na nas tajemniczo, a jest nim rozchodzenie się działań grawitacyjnych, o których szybkości dotychczas nic nie wiemy. Doświadczenie uczy nas dalej, że nie odbywają się nigdy ruchy ciągłe w przyrodzie po liniach łamanych, lecz mniej lub więcej zakrzywionych, a w mechanice teoretycznej, która bądź co bądź przedstawia idealne granice zjawisk przyrody, bo jest logicznem i matematycznie ścisłem rozwinięciem faktów i pojęć, z doświadczenia zaczerpniętych, udowadnia się twierdzenie, że na wywołanie ruchu po linii łamanej — to jest ruchu, momentalnie, w punkcie czasu zmieniającego swój kierunek, potrzebaby siły nieskończenie wielkiej, bez względu na to, czy ciałem poruszającem się byłaby bakterya, czy słońce. A sił nieskończenie wielkich w przyrodzie nie znachodzimy, przynajmniej w tej przyrodzie, która jest badaniom naszym dostępna.

Podobnie rzecz się ma i z szybkością ruchu. Wprawdzie teoretycznie możemy sobie wyobrazić i roztrząsać wypadek, że na ciało, w spoczynku będące, wpada inne większe i wprawia je nagle w ruch, lecz wiemy z doświadczenia, że ciał doskonale sztywnych w przyrodzie niema i przy zderzeniu się ciał sprężystość sprawia, iż zmiany szybkości ruchu nie są nagłe, lecz odbywają się w czasie. Obliczono, że gdyby bryła, wielkości ziemi, zderzyła się z inną o wielkości słońca, godzinę przeszło razem byłyby w zetknięciu i w ciągu tego czasu malałaby prędkość obu ciał do zera, by następnie przybrać zmienione wartości kierunkowe, odpowiednie warunkom zderzenia. Wogóle więc w całej przyrodzie nie napotykamy innych ruchów, jak tylko ciągłe, tak co do wartości, jak i kierunku. Skoków prawdziwych niema zupełnie.

To samo powiedzieć też należy i o innych zjawiskach.

Stany skupienia, od gazowego przez płynny do stałego, temperatura, naelektryzowanie i wogóle potencyał elektryczno-magnetyczny, przemiany chemiczne, wszystko odbywa się w sposób ciągły, nigdzie nie można udowodnić skoków, przerw ciągłości. To też fizyka stoi na tem stanowisku, że nawet i takie zjawiska, które na zewnątrz przejawiają się jak gdyby nagłe, jak dyssocyacya molekuły na jony i atomy lub atomu na elektrony, są wynikiem wewnętrznych przemian ciągłych, odbywających się w czasie. Wprawdzie w ostatniej dobie zjawia się w fizyce koncepcya, która pozornie wyłamuje się z pod tego ogólnego prawa ciągłości, uznawanego dotąd powszechnie, mianowicie koncepcya atomu energii. Według niej energia występuje rzekomo w pewnych stałych ilościach lub ich wielokrotnościach, podobnie jak materya w atomach, a występuje wybuchowo. Koncepcya ta jednak jest tylko przypuszczeniem, którego filozoficzne znaczenie wymaga z pewnością ścisłej krytyki.

A więc dowiadczenie nieuprzedzone mówi, że w całym świecie nieorganicznym panuje ciągłość, tak statyczna, jak i kinetyczna. Czy jednak wyobrażać sobie należy wszechświat jako złożony z cząstek najmniejszych ciągłych, ustawicznie dających się dzielić, czy też, jak uczy filozoficzny atomizm lub dynamizm, myśl w tem podziale ma się zatrzymać na punktach nieposiadających już ciągłych wymiarów, a wywołujących tylko wrażenie ciągłości przez ilościowe skupienie, podobnie jak grupa gwiazd, przedstawiająca się nam jako ciągła mgławica lub jak obrazy w kinematografie? Analiza subjektywna i przedmiotowa wrażeń i zjawisk przemawia z pewnością za pierwszem przypuszczeniem, bo i te elementy wrażeń ciągłości, tak w mgławicy, jak w kinematografie, chociaż rozdzielne, są jednak same w sobie ciągłe. I nigdzie w przyrodzie nie spotykamy się z faktem, by prawdziwe punkty sprawiały przez samo nagromadzenie się lub przez irradyacyę wrażenie ciągłości, bo zresztą punktów prawdziwych w przyrodzie niema. Jak więc w tylu innych kwestyach filozoficznych, tak i tu, powiedzieć trzeba: za teoryą ciągłości przemawia ogromnie wiele faktów, a nic przeciwko niej, a jest ona nadto zgodna z oczywistością, więc trzeba ją przyjąć za prawdziwą.

Inaczej nieco rzecz się przedstawia, gdy zwrócimy się do zjawisk biologicznych. Tu doświadczenie nam mówi, że im bardziej udoskonalają się przyrządy, im dalej i głębiej postępuje biologia w swych badaniach, tem bardziej zaciera się różnica pomiędzy światem zwierzęcym a roślinnym, a nawet często różnica pomiędzy jedną grupą organizmów a drugą — ale tem ostrzej i silniej zarysowuje się przepaść między światem żywym a nieorganicznym. To też dziś każdy nawet monista przyjmuje za fundamentalny aksyomat badań biologicznych niemożliwość samorództwa, a chociaż hypotezę samorództwa odsuwa pod wpływem wierzeń filozoficznych do czasów przednaukowych, czy przedprzyrodniczych, to jednak praktycznie to uznaje i czuje, że między najniższą bakteryą lub najprostszą komórką wielokomórkowego organizmu, a między najbardziej skomplikowanem zjawiskiem katalitycznem chemii istnieje przepaść, która mimo wszelkich usiłowań coraz to się pogłębia. Doszło do tego, że znamy organizmy, tak zwane virus, których nigdy nie widzieliśmy jeszcze, chyba przypuszczalnie w pozamikroskopach, a któremi operujemy, (jak np. świeżo w badaniach nad katarem [1]), w tem pewnem przeświadczeniu, że mamy tu do czynienia z organizmami żywymi, chociaż tak drobnymi, że wobec nich są bezsilne najsilniejsze objektywy mikroskopiczne.

Doświadczenie więc mówi, że między światem nieorganicznym a żywym istnieje genetyczny przeskok, przerwa ciągłości. Gdy jednak raz już organizm żywy się zjawi, chociażby w formie najprostszej, wtedy znowu przypuścić można — lecz nic do tego przypuszczenia nie zmusza — ciągłość deterministyczną zjawisk życiowych, które za pomocą ewolucyi przybierają coraz to doskonalszą formę — aż w człowieku natrafią na grupę zjawisk, zwanych psychicznemi. I tu znowu *common sense*, zdrowy rozum, nam mówi, że w naszej jaźni odbywają się zjawiska świadomości i woli, zupełnie różne od tych, jakie spotykamy w materyalnym świecie, czy to żywym, czy niezorganizowanym; są to akty rozumu i woli. — I tu znowu następuje przerwa ciągłości, ciągłości tak kinetycznej, jak statycznej, bo te akty wykazują dowodnie, że istnieć musi ich podłoże swoiste, zu-

[1]) H. Dold w Münchener medizinische Wochenschrift 1917.

pełnie różne od materyalnego organizmu biologicznego. I chociaż to dla nauki bardzo jest może czasami niewygodne, bo w świecie fizyki grozi pozornie najistotniejszemu jego prawu, prawu zachowania energii — powiadam pozornie — a do świata biologicznego wprowadza czynnik nieobliczalny, który z pewnością oddziaływać może i jak uczy doświadczenie, rzeczywiście oddziaływa, na kierunek przebiegu wielu zjawisk biologicznych i nawet fizyologicznych, to przecież zdrowy rozum uznać nakazuje te przerwy ciągłości. Bo filozofia zdrowego rozsądku między swemi zasadami na pierwszem miejscu stawia następującą: nigdy i pod żadnym warunkiem nie zaprzeczać faktu. A że akty świadome poznania i woli posiadamy i że akty woli mogą być zupełnie niezależne od jakichkolwiek warunków zewnętrznych, to wiemy z największą pewnością co do siebie i z pewnością oczywistą co do drugich. Na tej też pewności zbudowano całą strukturę społeczną, w niej żyje każdy, kto kieruje się zdrowym rozsądkiem a niema żadnego faktu, któryby jej zaprzeczał. Więc każdorazowe powstanie nowej psyche człowieka, każdorazowy świadomy akt woli, przejawionej na zewnątrz, to przerwa w ciągłości zjawisk przyrody.

W nowszej fizyce wprowadzono do badań teoretycznych niektórych zjawisk rachunek prawdopodobieństwa, i metoda ta oddaje znakomite usługi tam, gdzie mamy do czynienia z przejawami mnogości. Zgodzić się też na nią można, jednak pod warunkiem, że pojęciowo na dnie wszystkich zjawisk fizycznych panować zawsze będzie determinizm. Że tak zresztą być musi, wynika z faktu, iż chociaż niektórzy fizycy wątpią w determinizm, jednak nikt dotychczas nie umie podać nam mechanizmu, któryby przedstawiał obrazowo konstrukcyę systemu jakiegoś, niepodlegającego determinizmowi. Sądzę jednak, że taki obraz skonstruować można a będzie nim grupa ludzi, zwłaszcza ludzi inteligentnych, o silnej, wyrobionej woli, o nich bowiem nigdy nie możemy powiedzieć z deterministyczną pewnością, jak w danym razie reagować będą na daną pobudkę. Podczas gdy cała fizyka i chemia stoi na przypuszczeniu, że takie same cząstki zawsze i stale jednakowo zachowywać się będą w danych warunkach, że magnes zawsze przyciąga cząstki stali, tlen w tych samych warunkach, złączony z wodorem,

zawsze dawał i dawać będzie wodę, że dalej organizm żywy stale reaguje jednako na pewne czynniki, to o przejawach woli ludzkiej tego powiedzieć nigdy nie można — bo tam przerwa ciągłości, a w punktach przerw ciągłości funkcye nieciągłe usuwają się z pod roztrząsań analizy.

* * *

Postawićby sobie teraz jeszcze można pytanie następujące: skoro w przyrodzie tyle jest przerw ciągłości, więc oczywiście panować tam musi chaos i niema nadziei, by znaleść pojęcie czy zasadę, albo mówiąc językiem matematycznym, by znaleść funkcyę, któraby obejmowała i jednoczyła w sobie wszystkie zjawiska przyrody, a więc fizyczno-chemiczne, biologiczne i psychiczne? Taka beznadziejna wątpliwość leży rzeczywiście na dnie wielu szkół filozoficznych i doprowadza do pesymizmu. Filozofia zdrowego rozsądku jednak od pesymizmu daleka, mówi ona, że mimo wszystko jest jakaś jedność i ciągłość w całym wszechświecie, i jeżeli na język nowożytnej nauki przetłómaczymy pewne twierdzenia św. Tomasza z Akwinu, to istnieje zasada, czy funkcya, w której odczytaćby można wszystkie zjawiska, jakie są, były i być mogą w przyrodzie, a pierwszą z cech tej funkcyi to jest jej niesłychana prostota. I nic dziwnego — im pojęcie jakieś obszerniejsze, tem też jest prostsze, a i w naukach przyrodniczych nie posiadamy żadnej innej zasady, tak prostej, a zarazem tak obszernej, jak zasada grawitacyi Newtona. W starożytności i w wiekach średnich ludzkość z rozpaczliwą beznadziejnością spoglądała na zagadkowe ruchy planet, tworząc dziwaczne hypotezy i przypuszczenia, a najdzielniejsze nawet umysły nie cofały się przed możliwością, że ciała niebieskie to są istoty rozumne, o organizacyi doskonalszej, niż człowiek. Geniusz Newtona odrazu obalił dowolne, nienaukowe hypotezy, bezładny pozornie mechanizm niebieski zamienił na idealnie poruszający się zegar, i dziś każdy, kto zna prawo grawitacyi Newtona, ze spokojem i pewną dumą spogląda w niebo, bo wie dokładnie, że wszystko tam odbywa się w sposób niezmiernie prosty, na mocy prawa Newtona. Wielu jednak nie wie, że chociaż zasada newto-

nowska bardzo prosta, to jednak do dziś nauka nie umie jej zastosować wyczerpująco do ruchu choćby trzech tylko planet, wzajemnie grawitacyjnie na siebie oddziaływujących, i problem trzech ciał, chociaż już silnie atakowany przez matematyków, dotychczas w ogólnej formie nie doczekał się rozwiązania. A cóż dopiero mówić o problemie ciał milionów i milionów! A jednak teoretycznie wszystko dałoby się odczytać i wszystko z pewnością jest zawarte w jednej, prostej zasadzie Newtona, w Newtońskiej funkcyi!

Otóż podobnie i pojęcie, czy funkcya Tomasza z Akwinu jest niezmiernie prostą, zupełnie pojedynczą, a mimo to ktoby ją pojął, potrafiłby rozwiązać wszystkie możliwe wypadki i zjawiska wszechświata. A dalej ta funkcya tem się jeszcze odznacza, że istnienie jej nie jest takie, jak funkcyi matematycznych, wyłącznie idealne, myślowe, lecz istnieje ona, bytuje rzeczywiście. Lecz gdy cała nauka dzisiejsza zaledwie brzeżek tylko może rozważać zasady Newtona, to cóż dziwnego, że tej funkcyi jeszcze prostszej, a najogólniejszej nikt pojąć nie może. I jak twierdzi Tomasz, jeden jest tylko umysł, który ją ogarnia i wyczerpuje, a nim jest ona sama — essencia divina.

Matematyk, zajmując się funkcyami nieciągłemi, tyle co najwyżej dokonać może, że zbliża się ile możności nieskończenie z wszystkich stron do punktu, w którym funkcya swoją ciągłość zrywa, starając się zacieśnić obszar nieciągłości, który z pod jego rozważań zawsze usuwać się musi. Funkcya Tomasza obejmuje i jednoczy wszystko, ciągłość i nieciągłość — w jaki sposób, tego nie zrozumiemy. Lecz nauka przyzwyczaiła nas już dostatecznie do kojarzenia wielu faktów, o których nie wiemy, jak się ze sobą godzą, lecz wiemy napewne, że się ze sobą godzą.

Ks. Feliks Hortyński.

Jerozolima współczesna.

Czasy dzisiejsze, to chwile nadzwyczajnego, bo wojennego nastroju. Z dnia na dzień alarmujące, to znów krzepiące ducha wieści przebiegają, by iskrą, po sercach naszych, pochłaniając w sobie wszystką naszą wyobraźnię i całe nasze uczucie.

Czy w takich warunkach odczyt o „Mieście pokoju“ — takiem bowiem według etymologii ma być Jerozolima — może liczyć na zainteresowanie, na sympatyczne przyjęcie? Wasza, Czcigodni słuchacze, obecność rozprasza me wątpliwości.

Chociaż, aby całą prawdę odrazu Wam powiedzieć, niema miasta na ziemi, któreby przez 40 wieków swego istnienia tyle razy patrzało na wojny i krwi rozlew, jak to rzekome miasto pokoju, Urusalimu. Jego nazwa, to ironia! Bo jak obliczają historycy, to „miasto pokoju“ było 36 razy przez wroga zdobyte, a przynajmniej 2 razy całkowicie zrównane z ziemią. A mimo to Jeruzalem ciągle się odradzało, wciąż z popiołów powstawało, niby drugie wieczne miasto, Rzym Wschodu, Syon wiekuistego królestwa.

Ta też historya miasta, obfitująca w przejścia najdramatyczniejsze, jest powodem, że z 40-stu wieków swego bytowania miasto zdołało uratować prawie że tylko blizny i zmarszczki starości na swem siwizną przyprószonem czole, — ale nie przechowało prawie żadnych starszych, większej wagi pomników. Nic dziwnego, że historyk-archeolog, chcąc źródłowo odtworzyć obraz tego miasta, w danym jakimś, więcej od nas odległym okresie,

nieraz prawie że po omacku w ulicach jego błądzi, nie bez setek naukowych wątpliwości i pytajników, o wiele więcej, niż np. w Rzymie lub Atenach.

Dzisiaj wszelako moje zadanie jest bardzo proste i łatwe, bo zamierzam odmalować Wam jedynie obraz Jerozolimy współczesnej. W tym celu wystarcza przejść się z Wami po mieście i zaglądnąć czasem do jego annałów.

Rzecz to pod każdym względem zasługująca na uwagę. Bo Jerozolima jest miastem równie świętem i drogiem tak dla żydów i dla islamu, jak i dla chrześcijan wszystkich wyznań czy obrządków. Do niego rok rocznie zdążają dziesiątki tysięcy pielgrzymów z całego świata, w pamiątkach jego przeszłości krzepią się na duchu i z najmilszemi wspomnieniami wracają do swych pieleszy.

Wielu z Was oglądało już zapewne Jerozolimę, ale większa może jest tu liczba takich, co mimo najlepszej chęci chwilowo tego uskutecznić nie mogą. Dla pierwszych będzie odczyt niniejszy wspomnieniem przeżytych ongi miłych wrażeń, dla drugich zachętą, by w ten, owiany czarem i baśniami, świat Wschodu czasem przynajmniej myślą podążyć; dla wszystkich zaś niezbędnem przygotowaniem terenu pod drugi, naukowy już wykład o Jerozolimie za czasów Chrystusa.

I.

A) Warunki oro- i hydrograficzne miasta.

Jeruzalem mieści się prawie w samym środku dawnej prowincyi Judei, 52 km. w linii powietrznej od morza Śródziemnego, 22 km. od morza Martwego, 30 km. od Jordanu, tyleż od Hebronu, a 50 km. od miasta Nâblus. Dość wygodne drogi łączą je dziś z Samaryą, z Jafą, z Hebronem, Gazą i Jerychem. Samo miasto leży na górze, odcięte prawie zewsząd głębokiemi dolinami, które znowu — niby wałem — otoczone są od reszty świata dwoma łańcuchami górskimi. Jeden z nich, z północnego zachodu (od Karm Ahmed) biegnie półkolem ku południo-

wemu wschodowi, poprzez wzniesienia takie, jak Skopus i 4 szczyty Góry Oliwnej, okalającej miasto od wschodu, — aż wreszcie pagórkiem Batn el-Hawa opada na południowym wschodzie miasta ku Cedronowi. Drugi łańcuch od północnego zachodu (od Râs en-Nâdir) biegnie półkolem po stronie zachodniej miasta ku południowemu wschodowi, opadając stopniowo aż do pagórka Abu Tôr znowu do doliny Cedronu, która w tem miejscu ma już tylko 603 metrów wzniesienia.

Głęboki jar Cedronu powstaje z trzech ramion: a) ramię północno-wschodnie poczyna się u stóp Râs en-Nâdir kotlinką W. Luka (794 m.) i biegnie dalej ku wschodowi, jako W. Akabet es-Suwwân, biorąc w siebie kilka dopływów z góry Skopus; potem (715 m.) tworzy z nagła kolano, zwane el-Kar'a. przybiera kierunek południowy, pogłębia się, zwęża i jako dolina Panny Maryi (W. Sittî Marjam) oddziela ze wschodu miasto od góry Oliwnej. Wreszcie po połączeniu się od zachodu z doliną W. er-Rahâbi (610 m.), otrzymuje nazwę doliny ognistej (W. en-Nar) i w kierunku południowo-wschodnim dąży już ciągle ku morzu Martwemu.

b) Ramię północno-zachodnie zaczyna się tuż przy wschodnim stoku działu wodnego Palestyny, na wysokości 800 m.; jako W. el Mês przepływa sadzawki Birket Mâmilla (783 m.) i Birket es-Sultan (722 m.), a potem, tworząc łagodne kolano, w kierunku wschodnim już jako W. er-Rabâb (wysok. przeciętnie 671 m.), zwane dawniej doliną Gehenny (Gê Hinnom) dąży do Cedronu. To ramię odcina miasto od okalających je gór zachodnich i południowych.

c) Trzecią wreszcie doliną, która ma swe ujście w Cedronie, jest dzisiejszy el-Wâd, dawniej Tyropeonem zwany. On to, powstając na wysokości 760 m., przecina wyżynę, na której leży Jeruzalem, na dwa prawie równoległe pagórki (niższy wschodni i wyższy zachodni), i przy sadzawce Birket el-Hamra (620 m.) łączy się z Cedronem.

Żadna rzeka, żaden stały potok nie przepływa przez miasto, ni w jego pobliżu. Nawet źródła prawdziwego w obrębie samego miasta nie znachodzimy. Natomiast poza miastem, w dolinie Ce-

dronu, u stóp 'Ofelu (636 m.) bije peryodycznie jedyne źródło 'Ain Umm ed-Dereż, także 'Ain Sitti Marjam zwane, najprawdopodobniej starożydowski Gihon. Brak źródeł zastępują sztuczne zbiorniki wody zaskórnej w kształcie studzien, a przedewszystkiem cysterny i sadzawki, odżywiane wodą deszczową. Ze studzien zasługuje na uwagę Bir Ejjûb (603 m.), w dolinie Cedronu (38 m. głębok.), starobiblijny Rogel.

Sadzawki jerozolimskie odgrywają w historyi miasta pewną rolę. O dwóch wspominają Ewangelie; pierwszą jest Betsaida (Bezeta, Betesda, Jan 5, 2), przy Owczej Bramie, na północ od świątyni, dziś w znacznej części odkopana (przy kościele św. Anny); składała się z 5-ciu krużganków, tak ze sobą połączonych, że cztery leżały po 4 bokach prostokąta, a piąty biegł środkiem ponad sadzawką. Drugą zaś jest Siloe (Jan 9, 7. 11), dziś Birket Silwân (16 m., 56 m.), na południu za miastem, zasilana ze źródła Ain Sitti Marjam. O innych sadzawkach wiemy jedynie ze Starego Zakonu lub z Józefa Flawiusza, ale ich utożsamienie z dzisiejszemi jest czasem dość niepewne. Tak np. sadzawką Górna (4 Reg. 18, 17) = Birket Mamilla; Dolna (Iz. 22, 9) = Amygdalos (Józef Flawiusz) = najprawdopodobniej Birket Hammam el-Batrak, w samemże mieście, często także sadzawką Ezechiasza zwana; sadzawka Wężowa = Birket es-Sultân (?); sadzawka między dwoma murami = może Birket el-Hamra; Struthion = sadzawka Bliźniacza = (dziś już tylko cysterny pod domami na północny zachód od Antonii, lub może zasypane Birket Israin (?)

Prócz cystern i sadzawek trzy pary wodociągów zaopatrywały za czasów Chrystusa Jerozolimę w potrzebną wodę. Pierwsza para z południa miała swe ujście na placu świątyni; składała się z dwóch wodociągów: górnego (I; 20 km.) z doliny W. el-Bijâr; dolnego (II) z W. el-Arrûb (40 km.) i z tak zwanych stawów Salomona w dolinie W. Artas. Pierwszy zawdzięcza swe (częściowe) istnienie Herodowi Wielkiemu, drugi zaś wodociąg naprawiał już prawdopodobnie Piłat, za pieniądze, zrabowane ze skarbca świątyni. Druga para wodociągów biegła z zachodu: górny (III., dziś w części zniszczony) wychodził w pobliżu dzisiej-

szego urzędu celnego (północny zachód od miasta, gdzie więc dawniej musiało być jakieś źródło; czyżby Aquae Lucillianae ?), a koło Kasr Żalûd wchodził do miasta. Dolny (IV.) natomiast łączył sadzawkę Birket Mâmilla bezpośrednio z sadzawką Hammâm el-Batrak, stąd zaś dążył do Tyropeonu i Cedronu, którym oddawał nadmiar swych wód. Trzecia para (V., VI.), p ó ł n o c n a, wchodziła do miasta około bramy Damasceńskiej, a potem dążyła na plac świątyni; jej początków szukać należy może w el-Bire (14 km. na północ od Jerozolimy).

Na szczególniejszą uwagę, tak dla swej starożytności, jak i dla swego znaczenia archeologicznego zasługuje hydrauliczny zespół (system) S i l o e. Poczyna się w źródle 'Ain Sitti-Marjam w dolinie Cedronu, u stóp wschodniego stoku pagórka 'Ofel. Z tego to źródła do dwóch sadzawek Siloe prowadziły za czasów Chrystusa aż trzy wodociągi, czy kanały. Dwa starsze (VII. i VIII., może z czasów kananejskich) przez samą dolinę Cedronu doprowadzały wodę do dolnej sadzawki Siloe czyli do Birket el-Hamra; Rzymianie dołączyli tylko do jednego z nich ołowiane rury. Trzeci natomiast (IX.), młodszego już pochodzenia, bo prawdopodobnie z czasów Ezechiasza (730 r. przed Chrystusem, 2 C h r. 32, 30), przez kręty tunel (Šelah, Šiloah — Missus — Emissarius), 533 m. długi, wykuty w skale popod pagórkiem 'Ofel dążył do górnej sadzawki Siloe, t. j. do Birket-Silwân.

Już więc przez samo swoje położenie była Jerozolima silną twierdzą, miastem na pagórkach, otoczonych zewsząd wysokiemi górami. Ba, nawet ma się wrażenie, że łańcuchy gór judzkich mają za główny cel otoczyć tę perłę skalistym pierścieniem, a przez swe przepaściste doliny i wysokie zwały górskie uczynić ją nie do wzięcia. Tak też było w istocie. Nieprzyjaciel musiał naprzód zdobyć całą krainę, zanim mógł zagrozić stolicy. A gdy nareszcie po wielkich mozołach stanął pod jej murami, wtedy — obok braku wody — czekał go trud nielada. Ze wschodu, południa i zachodu miasto było niedostępne, bo strome, poszarpane ściany skalne nie dawały łatwego dostępu. Tylko z północy był dostęp łatwiejszy; — ale i tu spotykał najeźdźca mury i baszty,

o których spoistość rozbijały się nieraz jego zakusy. Tylko głodem można było wziąć miasto.

Znamy już w najogólniejszych zarysach fizyczne podłoże Jerozolimy. By jednak nabrać więcej szczegółowego pojęcia o ogólnej topografii tego miejsca i warunkach życia, musimy oglądnąć je z bliska.

Dwa miasta, różne pochodzeniem i charakterem, rozsiadły się na całej prawie przestrzeni, jaką objęły widły dolin Cedronu i Gehenny. Miasto starsze, murami otoczone, zajęło bliźniacze pagórki, przedzielone od siebie dolinką el-Wâd. — Natomiast na przestrzeniach na północ i północny zachód od starego grodu rozrosło się w drugiej połowie ubiegłego wieku miasto nowe, które swym obszarem przewyższa znacznie starą Jerozolimę. Ponieważ Soliman (po roku 1537) przywrócił dawne mury Trajana (z r. 130 po Chr.), a przez to nadał staremu miastu ściśle już ograniczoną przestrzeń i formę, — dlatego ten stary gród będę zwał krótko: miastem Solimana.

B) Opis miasta Solimana.

Wejdźmy w jego mury. P i e r w s z e w r a ż e n i e to gorzkie rozczarowanie, graniczące z obrzydzeniem. Kto po raz pierwszy, wprost z Europy, przyjeżdża do Jerozolimy, odbiera wrażenie wielkiego rumowiska i śmietniska zarazem. Z wyjątkiem placu świątyni muzułmańskiej, niedostępnego dla ruchu ulicy, nie spotykamy w całej Jerozolimie Solimana ani placu, ani ulicy dla pojazdów. To, co tu się szumnie nazywa ulicami, haret, to raczej tunele, po największej części zasklepione, wązkie, brudne, kręte i ciemne. Poruszają się one po liniach tak wykrzywionych, że prawie nigdzie nie pozwalają objąć wzrokiem jakiegoś widoku, perspektywy, czy całości gmachu. Ponieważ domy zwyczajem wschodnim mają okna swych mieszkań skierowane na wewnątrz, do podwórza, przeto czoło ulicy stanowią gołe, niby więzienne ściany, czasem urozmaicone zakratowanem okienkiem, a raczej otworem, służącym do wylewania brudów na ulicę. Z powodu nierówności gruntu, o którego niwelacyi nikt tu nie myśli, a jeszcze

więcej dlatego, że rumowiska nagromadziły się miejscami do 25 m. wysokości — te tak zwane ulice to podnoszą się w górę, to znów opadają na dół, najczęściej zapomocą śliskich, źle ułożonych schodów wapiennych. Ulice bazarowe, a więc niby krakowskie Sukiennice, nie są wcale szersze od innych, owszem, jeszcze bardziej zwężone z powodu wystawionych tamże bud, składów, sklepów i warsztatów, a nadto przepełnione ludźmi, osłami i wielbłądami, które przepychają się przez tłum ludzki tak, iż elegant europejski wiele potrzebuje czasu, uwagi i cierpliwości, by się bez przykrego przypadku przepchać przez tę niepożądaną mieszaninę istot żyjących. Dodajmy do tego, brud, zapachy niepożądane i gromady ohydnych, obszarpanych psów, żyjących na pół dziko po ulicach, a będziemy mieli bardzo n i e d o k ł a d n y obraz tego, co się tu na każdym kroku spotyka.

Gdy się już oko nasze przyzwyczaiło do półcienia, jaki panuje na ulicach, zaczynamy rozpoznawać przechodniów. Jeżeli weźmiemy na uwagę l u d n o ś ć wyłącznie t u b y l c z ą, to można bez przesady powiedzieć, że nasz smak estetyczny będzie ujemnie podrażniony. Większość ogromna ludzi wygląda chudo, wygłodniale. Ubranie nie wystarczające; czarne, długie suknie i niesmacznie pomalowane, gęste welony na twarzach, zdradzają, że mamy muzułmanki przed sobą. Między prostym ludem prawie co piąty cierpi na oczy. Nawet dzieci jakoś dziwnie brzydkie, bez krwi, bez życia, wybladłe, nie pociągające. Zdaje się, jakby jedynie tragaże posiadali tu muszkuły. Tylko, gdy Beduini lub Fellahowie z okolicznych wiosek zjawią się dla zakupna w Jerozolimie, oko spoczywa swobodniej na ich postaci, wprawdzie wysmukłej, chudej, opalonej, ale zdrowej, pełnej życia i siły. — To ulica; bo że są wyjątki po domach bogaczów, np. Greków, o tem wspominać nie potrzeba.

Ta sama nędza, brud i niechlujstwo cechuje ogromną większość ż y d ó w w Jerozolimie; a stanowią oni na 70.000 mieszkańców, 65 odsetek ludności. Żydzi zamieszkują osobną dzielnicę, leżącą na południu, między placem świątyni muzułmańskiej a Cytadelą. To istny labirynt uliczek wązkich, brudnych, przykrego zapachu, do których promień słońca prawie że nigdy nie dochodzi.

Budy i budki, wszelakiego kroju i smaku, wypełniają ulicę aż po brzegi. Spotykamy tu typy najrozmaitsze. Jeśli już za czasów Chrystusa wyznawcy mozaizmu i prozelici wszelkiego narodu pod słońcem, mieli w Jerozolimie swych przedstawicieli (Dz. 2, 8—10), — to w niemniejszej liczbie dzieje się to dzisiaj. Z całego świata ściągają tu żydzi; wielu po to, by umrzeć na ojczystej ziemi; inni, by żyć bez pracy z tak zwanej hanuki, czyli jałmużny, jakiej im nie szczędzi bogaty świat żydowski w Europie, i by się modlić za swych dobrodziejów.

Trzy wszelako grupy etnograficzne rozróżni wprawniejsze oko wśród setek napotykanych żydów. Pewnego rodzaju arystokracyę stanowią tak zwani Sefardyści, żydzi hiszpańsko-portugalscy; twarze ich zacniejsze, wygląd porządniejszy. Drugą grupę tworzą Aszkenazim, to jest żydzi niemiecko-słowiańscy, o typach nam znanych, wybitnie semickich, najróżnorodniejszym ubiorze, a także i charakterze. Dzielą się oni na dwa obozy: prawowiernych Husytów i heretyckich Karaitów. Do trzeciej wreszcie grupy należą żydzi, powiedziałbym semiccy, chociaż wygląda to na paradoks — to jest żydzi z krain świata muzułmańskiego, jak Jemen, Alger, Egipt, Indye i t. d. Każda grupa i sekta i narodowość ma tu swoją bóżnicę i szkołę. To też tych bóżnic liczą tutaj na 80.

Do żydowskiej dzielnicy z zachodu przylega dzielnica ormiańska. Względna czystość i schludność cechuje tych ruchliwych a muzykalnych wychodźców z Armenii, którzy tu od lat kilkuset założyli kolonię i, obok Greków, stanowią śmietankę Jerozolimy.

Wspomniałem o Grekach. — Są to potomkowie wychodźców z Hellady, którzy po dziś dzień posługują się językiem nowogreckim, a przez swoje wpływy, pieniądz i przebiegłość są bezsprzecznie panami Jerozolimy. Zamieszkują przeważnie osobną dzielnicę, która leży na północ od ormiańskiej, i mają w swem wyłącznem albo przeważnem posiadaniu najważniejsze sanktuarya Jerozolimy i Palestyny. Zazdrosnem okiem spoglądają na ich wpływy arabscy wyznawcy ortodoksyi greckiej, a jeszcze więcej Rosyanie, którzy swemi cebulastemi cerkwiami i klasztorami

coraz gęściej zaludniają Palestynę i Jerozolimę i są groźnym konkurentem helleńskiej schizmy.

W przeważnem, chociaż nie wyłącznem, posiadaniu Greków, w każdym razie w ich dzielnicy, znajduje się bazylika św. Grobu, wzniesiona nad miejscami, gdzie się mieścił grób Chrystusowy i krzyż na Golgocie. To dla chrześcijan najcenniejsza pamiątka z całej Jerozolimy. Autentyczność jej nie podlega dziś naukowym wątpliwościom. Pominiemy na razie archeologię i dzieje tego zespołu budowli, a ograniczymy się do pobieżnej wizyty bazyliki, by mieć jakie takie pojęcie o całości. Wielki ten kościół jest dziś ze wszystkich stron tak zabudowany poprzyczepianymi do jego murów monasterami Greków, Ormian, Koptów, Abissyńczyków i Łacinników, że jedynie na małej przestrzeni (od południa) jest dostępny i widzialny.

Gmach dzisiejszy w znacznej części pochodzi z czasów wypraw krzyżowych, ale wieki późniejsze popsuły i bezmyślnie zeszpeciły dzieło Krzyżowców. Jeden wspólny, płaski dach, zdobny w dwie kopuły, kryje pod sobą poważną liczbę kaplic, ołtarzy, grobów i pamiątek, z których jedne są nad wyraz cenne, inne znowu nie posiadają prawie żadnej wartości naukowej.

Wejdźmy przez portal do wnętrza. Mamy przed sobą poprzeczną nawę tumu Krzyżowców. Dawniej była ona pełna światła i perspektywy; dziś jest mocno zaciemniona wskutek muru, jakim Grecy po r. 1810 otoczyli główną nawę i utworzyli z niej dla siebie osobny kościół.

Na prawo, tuż przy wejściu, prowadzą schody do kaplicy, która obecnie pokrywa szczyt dawnego pagórka Kalwaryjskiego. Jego boki są także murami spięte. Kaplica Kalwaryi jest dwunawowa, a na jej wschodniej ścianie mieszczą się trzy ołtarze. Pierwszy z nich na lewo, z wielkim krzyżem, brylantami sadzonym, wskazuje na miejsce, gdzie się dokonała najważniejsza tajemnica ziemi: odkupienie ludzkości przez śmierć krzyżową Chrystusa. Przez otwór pod ołtarzem można dostrzedz jeszcze pierwotną skałę Kalwaryi. — Słabe błyski świec rozświetlają tę ciemną kaplicę; gwary, panujące bezkarnie w bazylice, tutaj jakoś nie dochodzą, czy cichną. Powaga śmierci Chrystusowej panuje tu dotąd

i udziela się mimowoli wszystkim, tak pielgrzymom, jak nawet turystom. Tylko modlitwa, łzy i westchnienia, a czasem śpiewy pobożne przerywają grobową ciszę tej najcenniejszej na świecie pamiątki.

Tą samą drogą schodzimy na dół do przedsionka, z którego — idąc na lewo — dostajemy się do wysokiej r o t u n d y ś w. G r o b u. W swych głównych rysach pamięta ona czasy Konstantyna Wielkiego, a spoczywa na 18-tu potężnych pilastrach, mając 20 m. średnicy, przy 50 m. wysokości. Mimo zniszczonych już i nieodpowiednich malowideł, kopuła przedstawia się poważnie. Pod nią widnieje niesmaczny kiosk, w stylu rokoko, nakryty cebulastą kopułką, obłożony taflami z marmuru, poobwieszany setkami lampionów i dziesiątkami obrazów. To kapliczka św. Grobu. Z dawnego żydowskiego grobu skalnego zachowały się tylko ściany przedsionka i komory grobowej; ale i one są w niejednem miejscu podziurawione, a wszędzie zakryte taflami z marmuru, tak, iż samej skały grobowej nie dojrzysz, — nawet ozdoby są przeładowane, niesmaczne. Oto, co z grobu Chrystusa i z całego majestatu piękna, jakie stąd w pierwszych wiekach chrześcijaństwa tryskało, — uczyniły z jednej strony prześladowania muzułmańskie (aż do XV. w.) i pożary, — z drugiej zaś niewczesna pobożność, skojarzona z zawiścią, chciwością, przekupstwem i chytrością ortodoksyi wschodniej.

To samo najprzykrzejsze i najboleśniejsze wrażenie odnosimy w tej bazylice na każdym niemal kroku. Wszędzie brak porządku, nieład, brud, zaniedbanie ogólne. — Czemu to przypisać? Temu, że ta najcenniejsza bazylika ma, niestety, za wielu kuratorów i właścicieli, począwszy od straży tureckiej, która posiada klucze i sprawuje nadzór policyjny, a skończywszy na schizmatykach greckich, ormiańskich, syryjskich i koptyjskich, obok łacinników włoskich. Niczego tu zmienić, niczego naprawić nie mogą OO. Franciszkanie, bez zgody wszystkich. A tej zgody osiągnąć niepodobna, bo właściciele podejrzliwem na siebie patrzą okiem, w nieustannych żyją sporach i bitkach między sobą, o których chwilowe uciszenie — ale nie o radykalne usunięcie — dba sołdat turecki, straż odbywający. Nic dziwnego, że bazylika

coraz bardziej podupada i uważana w całości, przedstawia stan zastraszający, a beznadziejny.

Jakże przedstawiała się Golgota za czasów Chrystusa? Był to mały cypel (760 m. wysoki), wznoszący się 10 m. ponad otaczającą go wyżynę; goły, może do łysej czaszki podobny. Stąd jego nazwa hebrajska Golgota, z łacińska Kalwarya, równoważnik arabskiego er-Ras. Tuż w jego pobliżu, w kotlince zachodniej, był ogród, a w tym ogrodzie grób, który sobie kazał wykuć w skale Józef z Arymatei. Tam więc dla braku czasu, gdyż szabat już zapadał, złożono ciało Jezusa. — Jak wyglądał ten grób? Na podstawie opisu ewangelicznego i analogicznych grobów żydowskich z owych czasów, które się przechowały do dnia dzisiejszego, można go sobie za Vincent'em tak przedstawić:

Na skłonie wyżyny, tuż za Kalwaryą, wykute w skale stopnie prowadzą do niskiego otworu grobowca, zasuwanego kolistym, młyńskim kamieniem, obracalnym w przekopie. Przez ten mały otwór wchodzi się do przedsionka lub salki, kutej w żywej skale. W przeciwległej ścianie salki wybity jest otwór do właściwego grobu, który się składa z kurytarzyka i niszy w ścianie bocznej. Pod łukiem niszy była kamienna ława (2 m. długa a pół m. szeroka), na której składano ciało nieboszczyka.

Gdy w IV. wieku, za czasów Konstantyna, pomyślano o tem, aby Kalwaryę i grób Chrystusa ująć w jedną architektoniczną całość, wtedy budowniczy rzymscy rozwiązali swe trudne zadanie w ten sposób, że skałę, zawierającą św. Grób, wyrąbali z całości pagórka, jako bryłę ośmioboczną, a z pagórka Kalwaryi wyciosali kostkę sześcienną; całą zaś przestrzeń skalną wokoło obniżyli i wyrównali. Na tym obszarze wznieśli szereg budowli, które tu podaję znowu według rekonstrukcyi Vincenta. Składała się ona z osobnej rotundy, zwanej Anastasis, t. j. Zmartwychwstanie, pokrywającej św. Grób. Osobne atryum wewnętrzne łączyło ją z właściwą bazyliką (Martyrium), poświęconą pamięci męki Chrystusowej .Fronton jej poprzedzało atrium zewnętrzne i eksedra, a zdobiły propyleje. Sześcian Kalwaryi, ze srebrnym krzyżem na szczycie, widniał oddzielnie między Martyrium a Anastasis, pod gołem niebem; na jego szczyt z dwóch stron prowadziły stopnie. Przy

Anastasis, u jej boku, wznosiła się jeszcze osobna chrzcielnica (Baptisterium).

Ten przecudny zespół budowli padł, niestety, w znacznej części ofiarą ognia za najazdu Persów r. 614. Jej odbudowa, dokonana przez Modesta, nie mogła się co do wspaniałości równać z przepychem bazyliki Konstantyna. W wieku IX. trzęsienie ziemi, a w X. ogień i rabunki muzułmanów nie oszczędziły cennej pamiątki. W końcu fanatyk, kalif Hakem biamr Illâh, rozkazał wszystko zburzyć i zniszczyć w r. 1009. Późniejsze próby restauracyi za Konstantyna Monomacha (r. 1048) ograniczyły się do Anastasis. Pierwszą troską Krzyżowców po zdobyciu Jerozolimy była odbudowa bazyliki św. Grobu. Ale ich środki nie wystarczały na wskrzeszenie dawnej świetności; ograniczyć się musieli do zmniejszenia bazyliki o połowę. Od XIII. w. aż do naszych czasów było zmian dużo, jedne prawie gorsze od drugich. To, co z bazyliki uczynili Grecy w w. XIX. i co czynią po dziś dzień, nie nadaje się wprost do opisu. To też nic dziwnego, że bazylika św. Grobu jest dzisiaj krwawiącą raną każdego wierzącego chrześcijanina, a przedmiotem obrzydzenia i odrazy dla ludzi obojętnych. Jest ona, (jak się wyraził biskup Keppler), „wielką, kamienną skargą nad brakiem jedności w Kościele Bożym... głośną prośbą o „Adveniat regnum Tuum".

Wspomniałem o m u z u ł m a n a c h. Są oni politycznymi panami Jerozolimy; rozsiedli się w osobnej dzielnicy, na wschód od chrześcijańskiej, a na północ od żydowskiej. Prócz znikomej odsetki Turków — urzędników, są to przeważnie arabscy Syryjczycy, potomkowie tych osadników, którzy od najazdu Arabów, zwłaszcza po Saladynie, zamieszkali święte i dla nich miasto Jeruzalem, nazywane przez nich krótko el-Kuds, to jest „Świętość". W ich wyłącznem posiadaniu jest ogromny plac dawnej świątyni żydowskiej, z dwoma meczetami, es-Sahra i el-Aksa. Plac ten stanowi sam dla siebie dzielnicę.

Poświęćmy mu kilka chwil uwagi, bo zasługuje na to w wysokim stopniu. E s - S a h r a, zwana powszechnie, ale niesłusznie, meczetem Omara, jest bezsprzecznie najładniejszym klejnotem, jaki posiada Jerozolima z zakresu budownictwa. Owszem, znawcy

nie wahają się twierdzić, że dla symetryi budowy, jednolitości charakteru, skończonej wprost harmonijności linii i rozmiarów, meczet Omara należy do najwybitniejszych i najpiękniejszych dzieł architektury wszystkich czasów. Że jego twórcą nie był ani Omar, ani żaden z jego następców, to dziś dość przyjęte między uczonymi; choć — przyznać to trzeba — cała ornamentacya meczetu pochodzi niewątpliwie od Arabów, prawdopodobnie z czasów Walida. Że nie jest to świątynia Salomona, jak błędnie mniemali Krzyżowcy, ani świątynia Heroda, jak utrzymywał Rafael, to także nie ulega żadnej wątpliwości. Nie jest wszakże wykluczonem, że dzisiejszy meczet Omara stoi w ścisłym związku ze świątynią Jowisza, zbudowaną tu przez Hadryana, albo przynajmniej ze świątynią Justyniana, poświęconą Matce Bożej.

Przypatrzmy się zbliska temu arcydziełu sztuki. Jest to potężny ośmiobok; jego koliste wnętrze składa się z czterech pilastrów i 12 kolumn o korynckich kapitelach, spiętych ze sobą łukami. Na tych pilastrach i kolumnach spoczywa potężny bęben kolisty, którego powierzchnię przecina 16 małych, prostokątnych okien, a na którym wsparta strzela lekko ku niebu kopuła, 30 m. wysoka. Dekoracya wnętrza jest wprost bajeczną i przenosi nas w krainę sennych marzeń. Biały marmur, kosztowna mozaika, złoto i srebro na tle ciemno-niebieskiem, pyszne arabeski, wreszcie prześliczne roślinne motywy, o barwach żywych, zlewają się w jedną, przecudną całość. Przez okna, zapomocą lejkowatych otworów, przedostają się do wnętrza tylko różnobarwne promienie światła i wypełniają całą przestrzeń poważnym, tajemniczym półcieniem, o niezrównanej grze kolorów. Wszystko, począwszy od kształtów, a skończywszy na barwach, zachowane jest spokojem, jakiemś dziwnem skupieniem, by nie powiedzieć marzącym półsnem, który tak trafnie charakteryzuje pobożeństwo islamu. Można bez przesady powiedzieć, że chociaż islam nie jest twórcą tego arcydzieła, to w każdym razie w dekoracyi meczetu Omara doszedł do szczytu swego rozwoju i piękna.

A serce tej budowli? To prosta, nieforemna bryła kamienna, o średnicy 13—17 metrowej, która miejscami dochodzi do dwóch metrów wysokości ponad posadzkę, — to nagi szczyt pagórka

Morji. Dziwny zaiste zespół najwybredniejszej sztuki z nagą naturą! — Czemu to przypisać? Oto historyi tej bryły kamiennej, nad którą unoszą się dziesiątki żydowsko-muzułmańskich legend i podań. To rzekomy środek ziemi (umbilicus, omfalos), to skała, na której składał ofiary Melchizedek; to kamień, który pozdrowił Mahometa, gdy tenże tu przyszedł bić pokłony; to kamień, który buja w powietrzu, trzymany wyłącznie ręką aniołów, i t. p. Historycznie prawie pewnem jest jedynie to, że na tej bryle skały, jako na ołtarzu całopalenia, składali żydzi krwawe ofiary Bogu przez kilkaset lat z rzędu. Za tem przemawiają wykute w skale ścieki, co odprowadzały krew ofiar do większej jamy pod skałą, skąd krew podziemnym kanałem uchodziła niegdyś do Cedronu. Że zaś es-Sahra stanowi istotnie szczyt pagórka Morji, przeto wykluczonem nie jest, że tu właśnie Abraham gotów był ofiarować Izaaka Bogu, że tu Dawid, przebłagawszy gniew Boży, wybudował ołtarz i złożył Panu ofiary, a także powziął myśl, by na tem miejscu Bogu wybudować świątynię, myśl, którą w czyn obrócił syn jego, Salomon. A ponieważ na Wschodzie nic nie jest tak stałem, jak miejsca kultu, przeto kamień ten był przynajmniej przez 1.000 lat świadkiem ofiar, składanych bóstwu; patrzył na dwukrotne dziennie ofiary palne Izraela, przez lat blisko tysiąc z przerwami; widział ofiary, które tu przez dwieście lat z górą odbierał Jowisz Kapitoliński; był potem podstawą, na której przez trzy wieki królował krzyż Chrystusa, aż w końcu ułożył się do wiekowego snu pod godłem półksiężyca. Ta bryła kamienna jest zatem najstarszą może — bo przynajmniej 40 wiekową — historycznie stwierdzoną pamiątką czci, oddawanej tu bóstwu przez człowieka.

Ogromny plac świątyni (do 490 m. długi, a do 320 m. szeroki), nosi na sobie jeszcze wiele innych budowli, istotnie lub tylko rzekomo pamiątkowych. Małe kapliczki, to znów nisze modlitewne; tu łuki, tam kazalnice; tu baseny z wodą, tam cyprysy, a wreszcie najpoważniejszy, potężny meczet el-Aksa. — Bazylika ta, przemieniona w meczet, pochodzi z czasów Justyniana, z VI. w., ma aż siedm naw na wewnątrz, zastanawia widza rozmiarami, ale w całości jest jakoś dziwnie sztywna i zimna. Bizantynizm położył na niej swą surową rękę.

Trzy czwarte placu świątyni, zwanego Haram esz-Szerif, „Dostojnem ogrodzeniem“, są kryte płytami z białego wapienia, a całość, otoczona potężnym murem, jest zwyczajnie wyludniona, bo na ten plac mają dostęp wolny jedynie muzułmanie; chrześcijanom trzeba osobnego pozwolenia i towarzystwa żołnierza tureckiego; żydom zaś jest wstęp całkowicie wzbroniony. To też trafnie porównał ktoś to „Dostojne ogrodzenie“ do wielkiego, rozpadającego się cmentarzyska, do grobowca religii Izraela, nad którym — o ironio losu! — muzułmanin straż odbywa. Tak tu wszystko spokojne i ciche, tak tu wszystko słodko do pobożnego półsnu islamu zachęca.

C) Za murami miasta Solimana.

Otrząśnijmy się z niego; rzućmy stęchłe i brudne miasto Solimana; wyjdźmy za jego mury. Siedm bram prowadzi nas dzisiaj na zewnątrz: trzy z północy, dwie z południa, po jednej ze wschodu i zachodu. Wyjdźmy bramą południową, zwaną Mogrebinów. Przed oczyma stanie nam locus, ubi Troia fuit; wyłonią się dwa pagórki: wschodni, niższy, to żydowski 'Ofel; wyższy, na zachodzie, to tradycyjny Syon; a więc jedno i drugie miejsca najstarszych osad Jeruzalemu. Teraz w znacznej części świecą one pustką, brudem, rumowiskiem, rozrzuconemi tu i ówdzie ruinami; — tylko część 'Ofelu i doliny Tyropeonu przemieniono na uprawne pola.

Gdy skierujemy wzrok ku wschodowi, na łańcuch góry Oliwnej i na jego najniższy szczyt, zwany skromnie „Brzuchem wiatru“ (Batn el-Hawa), to na jego stoku spotkamy najobrzydliwszą i najnędzniejszą w świecie norę, Kefr Silwân. To jedno śmietnisko, którego mieszkańcy zabudowali się albo w dawnych grobach, albo też poprzyczepiali swe lepianki do wyrw skalnych i dołów. Tu mają swe główne siedlisko trędowaci, istna plaga Jerozolimy, którzy nad urzędowe schronisko przenoszą wolną włóczęgę po drogach i zaułkach w pobliżu miasta.

Poniżej, w głębi doliny Cedronu, widać t. zw. studnię Joba, raz w roku miejsce wesela i ludowego święta, gdy nagro-

madzona wskutek zimowych deszczów zaskórna woda pocznie z brzegów 30-ci m. głębokiej studni występować i przelewać się w dolinę. Wtedy spieszy tu w procesyi całe Jeruzalem, by przynajmniej raz na rok ujrzeć wodę płynącą, wodę żywą, i na jej widok oddaje się śpiewom i pląsom wesołym. Bo to niechybna zapowiedź urodzajnego roku.

W południowej części starego miasta, na tradycyjnym Syonie, znajdował się Wieczernik. Dziś leży on za murami miasta, wśród gromady domostw, ogrodów i uliczek. Smukły minaret, a tuż obok wysoka wieża, z nowym, ślicznym kościołem Zaśnięcia Najśw. P. Maryi, cechują zespół budowli, które u muzułmanów noszą nazwę grobu Dawida, (Kabr Dawud), bo tu islam szuka błędnie grobowca Dawidowego. U chrześcijan zwie się on Wieczernikiem, bo naukowo uzasadniona tradycya upatruje tu miejsce, gdzie ongi wznosił się budynek, w którego wieczerniku (t. j. sali godowej) Chrystus ustanowił Najśw. Sakrament Ołtarza. W jego też pobliżu Matka Jezusowa dokonała swego ziemskiego żywota. Na tem miejscu pierwsze wieki wolnego Kościoła wzniosły wspaniałą bazylikę, Hagia Sion zwaną, która jednak uległa w XIII. w. zniszczeniu. Część jej zdołali odbudować OO. Franciszkanie w w. XIV., ale już w dwa wieki później wypędzono ich stąd, a Sanktuaryum przeszło na własność islamu. Pokoik, pokazywany obecnie jako sala Wieczernika, był dawniej jedną z górnych kaplic odbudowy franciszkańskiej. W przyległej obok izbie pokazują muzułmanie za kratami rzekomy grób Dawida.

Na południu przed nami, w dolinie Gehenny, leży osławione Hakeldama, rola garncarza, zakupiona za 30 judaszowskich srebrników, na cmentarz dla cudzoziemców.

Idąc dalej, wzdłuż murów miasta, możemy podziwiać ich blanki i wystające baszty, które w liczbie 40 rozstawione są na całej przestrzeni murów, jakby jego czujne strażnice. Niebawem stajemy przed dzisiejszą cytadelą, el-Kala, która stoi na miejscu, a nawet i na fundamentach dawnego zamku Heroda W. Tuż obok brama jafska, jedno z najbardziej ożywionych miejsc Jerozolimy. Od niej w kierunku północnym i północno-zachodnim rozchodzą się drogi do nowego miasta, pełne sklepów, bazarów

i handlów. Nowe miasto — to siedziba hoteli, gmachów dobroczynności, szpitali, klasztorów, schronisk, konsulatów i nowszych kościołów. Osobne przedmieście, widne u góry, stanowi osada rosyjska, Moskubijje zwana, siedziba przedstawicieli tego państwa, które za cel swego działania na Wschodzie postawiło sobie po Konstantynopolu zawładnąć Syryą, a przedewszystkiem Palestyną, i nie szczędziło setek milionów na zakładanie wciąż nowych placówek schizmy w Palestynie.

Najwspanialej przedstawiają się mury miasta od północy. Podziwiać tu można, obok piękności ich ozdób, już mocno nadgryzionej zębem czasu, przedewszystkiem różnorodność w ociosywaniu kamiennych bloków, owo niezrównane pole dla archeologów z zawodu, którzy właśnie z pomocą tego sprawdzianu wnioskują o ich pochodzeniu i o epoce, w której powstały. Po długich bowiem naukowych dyskusyach jest dziś rzeczą prawie że ustaloną, iż tak zwany trzeci (od północy) mur dawnej Jerozolimy, zbudowany już po śmierci Chrystusa, biegł w ogólnych zarysach prawie tą samą linią, co dzisiejszy mur północny miasta, a jego wielkie bloki w niejednem miejscu są dziś jeszcze in situ, jako silne podłoże obecnego muru. Prawdziwą ozdobą muru północnego jest jego środkowa brama, zwana Damasceńską, bo do Damaszku prowadzi. Jest to jakby warownia, o dwóch silnych wieżach po bokach, którą zamykają ogromne podwoje.

Idąc dalej ku wschodowi wzdłuż murów miasta, dochodzimy do wieży narożnej, skąd otwiera się przed nami prześliczny widok na wschód. To góra Oliwna, wszystkim znana i droga. Głęboka dolina Cedronu, dziś w części zasypana rumowiskiem i przemieniona w ogrody, dzieli ten wschodni trzon górski od Jerozolimy. Poważna wysokość, średnio 150 m. od koryta Cedronu, a nadto dość stroma pochyłość samejże góry, sprawiają, że widokiem swym zasłania nam ona cały wschodni horyzont. Kilka stromych, kamienistych ścieżek prowadzi na szczyt, na którym widnieje przedewszystkiem wieża cerkwi rosyjskiej i olbrzymi gmach niemiecki cesarzowej Augusty Wiktoryi. Skłon góry zasiany jest nielicznemi grupami drzew oliwnych i z roku na rok rosnącą liczbą zabudowań i sanktuaryów. Do pierwszorzędnych, naukowo uzasadnionych,

należą trzy pamiątki: rotunda Wniebowstąpienia Pańskiego, w której resztkach rozsiadł się dziś meczet muzułmański; dalej ruiny dawnej bazyliki Eleony, gdzie czasy staro-chrześcijańskie czciły pamiątkę częstego pobytu Chrystusa na górze Oliwnej, a wreszcie Getsemani, uświęcone modlitwą i zmaganiem się Chrystusa przed męką, dziś uroczy ogródek, z bardzo staremi drzewami oliwnemi.

Pominąłbym milczeniem tak zwane Getsemani rosyjskie, wzniesione przez carat w myśl zasady: a l t a r e c o n t r a a l t a r e, by obok sanktuaryów katolickich stawiać schizmatyckie i odciągać pątników od pamiątek łacińskich, bez uwagi na to, czy historyczne względy pozwalają na takie przesuwanie i fałszerstwa, czy nie; milczałbym o tem, gdyby nie ta okoliczność, że artystycznie niesmaczna budowla rosyjska, o sześciu cebulastych kopułach, rozsiadła się w samym środku skłonu góry Oliwnej i, — jak się protestant von Soden wyraził, — „swą arogancką kokieteryą odbiera całemu obrazowi góry Oliwnej jego ciszę i harmonię [1]).

U stóp góry Oliwnej, w dolinie Cedronu, zasługują na uwagę liczne g r o b o w c e. Jeden z nich, zwany grobem Najśw. Maryi Panny, pochodzi w dzisiejszej swej postaci z czasów wojen Krzyżowych; ale jego podziemia, do których w dół się spuszczamy po długich schodach, pamiętają jeszcze pierwsze wieki chrześcijaństwa. Inne pomniki to staro-żydowskie grobowce z czasów Chrystusa, chociaż ich nazwy wspominają szumnie Absalona (z lewej strony), proroka Zacharyasza (po prawej) i św. Jakóba (w środku).

* * *

Wróćmy jednak na górę Oliwną; stańmy mniej więcej w środku jej pochyłości, poniżej Eleony. Góra Oliwna to przepyszny punkt obserwacyjny na całą okolicę, zwłaszcza w rannych godzinach. Za naszemi plecami wschodzi właśnie słońce. Widok, jaki mamy przed sobą, jest bardzo poważny, a przytem niezmiernie urozmaicony. Tuż przed nami leży miasto: dość blisko, by ocenić

[1]) **Palästina und seine Geschichte Leipzig 1894, str. 78.**

wszystkie jego szczegóły; dość nisko, by objąć wzrokiem jego całość. Zdaje się, że poprzez głęboki jar Cedronu, mgłą nicco podszyty, można prawie ręką dotknąć się murów miasta, które leży jakby w powietrzu, a jednak tak pewne na swem podłożu skalistem, tak silnie ujęte kamienną obręczą swych wysokich murów, zdobnych w baszty i blanki, tak pilnie wokoło strzeżone wałem okalających je gór, jakoby dziecię w kołysce spowite. Podczas gdy na zachodzie góry już się kąpią w złocie pierwszych promieni, spoczywa samo miasto jeszcze w półcieniu. Ze wszystkich jego dzielnic strzelają w górę minarety, wieżyce, kopuły, wśród których króluje na wschodzie kopuła meczetu Omara, a na zachodzie św. Grobu. Obok nich rozłożyło się wieńcem niezliczone mnóstwo mniejszych, kamiennych półkopuł, które w braku drzewa zdobią prawie wszystkie tarasy domostw. Zwolna słońce obejmuje wszystkie krzyże wieżyc, liczne półksiężyce minaretów i zielonawe kopuły bóżnic, potem wylewa z siebie całe morze gorejących promieni na nieprzejrzane szeregi domów, ulic i gmachów. Ponad wszystko jednak więzi oko widza olbrzymi plac dawnej świątyni, mimo licznych budowli prawie pustej i samotnej. Jego samotność zwiększają rozrzucone tu i ówdzie cyprysy; a jego białe marmury i szlifowane wapienie sieją wokoło blaskiem nieporównanym.

Widziane zdala, jest Jeruzalem dziś jeszcze symbolem siły i mocy, pełne piękna i majestatu, który przykuwa oko widza, a serce czarem oblewa. Czemże musiało być ono za czasów Chrystusa, gdy jego widok budził z roku na rok uniesienie w pielgrzymujących tłumach, gdy wyrywał okrzyki zdziwienia z ust uczniów Jezusa, którzy, patrząc stąd na wspaniałe budowle świątyni i całego miasta, wołali z podziwem: „Mistrzu, patrz! Jakie to kamienie i co za budowle!“ — Stoimy właśnie na miejscu, zwanem Dominus flevit, t. j. Pan zapłakał, w miejscu, skąd Chrystus, patrząc na miasto w niedzielę palmową, wzruszony jego pięknością, ale i zagrażającym mu losem, zapłakał nad niem i rzekł: „O gdybyś i ty, w tym właśnie dniu twoim poznało to, co ci pokój przynosi, — teraz jednak zakryte jest przed oczyma twemi. — Albowiem przyjdą na cię dni, a nieprzyjaciele twoi otoczą cię wałem i oblegą cię i ścisną cię zewsząd, a ciebie i twe dziatki

w tobie powalą o ziemię, i nie pozostawią w tobie kamienia na kamieniu; ponieważ nie poznałoś czasu nawiedzenia twego“ (Łuk. 19, 41—44).

W istocie piękne musiało być za czasów Chrystusa to bogobójcze miasto, jeżeli jego łachmany dziś jeszcze wywołują podziw, boć Jeruzalem żyje dzisiaj jedynie przeszłością. Aureola wielkości, potęgi i znaczenia, która jeszcze je otacza, to tylko łuna wieczornego zmierzchu, po słońcu, które już zaszło. „Swą pierwotną rolę, mówi biskup Keppler, Jerozolima już odegrała. Ona żyje jeszcze, bo dla wielkiej części ludzkości posiada wartość cennej relikwii, a dla mniejszej wysoką wartość archeologiczno-antykwarską. Ona żyje z jałmużny pielgrzymów całego świata, z modlitw i łez, któremi jej podłoże zraszają chrześcijanie“.

Ks. Wład. Szczepański.

Kościół wobec państw i narodowości[1].

Ugruntowana przez Jezusa Chrystusa na Opoce — Piotrze i jego następcach, biskupach rzymskich, społeczność religijna — Kościół staje wobec tworów naturalnego instynktu społecznego ludzkości, wobec wielkich grup ludzi, zrzeszonych w narody i państwa. Gdyby te grupy z jednej strony, a Kościół z drugiej, zaciągały swych członków z pomiędzy zupełnie innych istot, rozdział między nimi i przeciwstawienie wzajemne Kościoła państwom, a państw Kościołowi, byłyby zupełne i godziłoby się postawić kwestyę uregulowania zewnętrznych stosunków między nimi, t. j. między Kościołem, a wymienionemi grupami. Lecz rzecz ma się inaczej. Z jednej strony niema człowieka, któryby tem czy innem prawem nie należał do pewnej narodowościowej grupy, a przynajmniej, — jeśli nawet dopuścimy istnienie prawdziwych kosmopolitów pod względem narodowym, — by nie był członkiem - obywatelem tego czy innego państwowego organizmu; z drugiej znowu strony Kościół składa się z tychże samych ludzi i w założeniu swem otrzymał posłannictwo wchłonięcia w swój organizm całej ludzkości.

Kiedy więc chodzi o stosunek Kościoła do państwa czy narodowości, niepodobna wychodzić z pojęcia stron, jako grup

[1]) Z cyklu odczytów o Kościele, mianych w Krakowie w r. 1916—1917.

zupełnie odrębnych, ani poszukiwanego stosunku wyobrażać sobie jako czysto zewnętrznego. Chodzi raczej o rozgraniczenie w łonie mniej więcej tejże samej materyalnie masy ludzi, odrębnych c e l ó w, o określenie różnych, wynikających z tychże celów, f u n k c y i życia społecznego, o ustalenie k o m p e t e n c y i organów, którym ten czy inny cel powierzony został i wzajemnego do siebie tychże organów s t o s u n k u.

I.

Kiedy garstka pierwotnych chrześcijan opuściła po Zesłaniu Ducha Świętego jerozolimski wieczernik, wchodząc w świat jako zorganizowana pod przewodnictwem apostołów nowa społeczność religijna, zaraz musiała wejść w kolizyę z istniejącemi dotąd władzami. Ze strony Synagogi, dotychczas prawowitej władzy religijnej, zostali wezwani apostołowie, „aby nie mówili, ani nie uczyli w imię Jezusowe“ (Dz. Ap. 4, 18), t. j. by wyparli się Mistrza, który przez tęż Synagogę został odrzucony. Na to wezwanie odpowiedzieli, że „Boga raczej trzeba słuchać, niż ludzi“ (Tamże, 4, 19); — w rezultacie nowa gmina chrześcijańska zerwała węzły łączności z Synagogą, w której łonie się poczęła.

Potem utwierdzając swą stopę na gruncie helleńskim i rzymskim, chrystyanizm wchodził w nową kolizyę, — tym razem z wszechpotęgą Imperyum Rzymskiego. Prawodawstwo rzymskie, dość tolerancyjne dla różnych form religijnego kultu, żądało wszakże jednego od wszystkich warunku, — mianowicie, by każdy obywatel państwa, niezależnie od swych osobistych religijnych poglądów, uznawał religię państwową, uosobioną w kulcie cezarów. Nie chodziło tu zresztą o wewnętrzne przekonanie, lecz o pozory i porządek zewnętrzny.

Chrześcijaństwo, religia prawdy, religia, wyrosła z głębokiego przekonania, z wiary w Boskie objawienie się Bóstwa w Chrystusie, nie mogła się zgodzić na żaden kompromis z konwencyonalnem kłamstwem: w kulcie cezarów widziała atentat na prawa jedynego Boga i jedynego Zbawcy ludzkości, Chrystusa. Atoli odpowiedzią ze strony państwa na owo pierwsze chrześci-

jańskie: „non possumus“ było krwawe prześladowanie wyznawców Chrystusa.

Trzeba przyznać, że jeżeli po stronie chrześcijan była prawda i słuszność, sądząc z punktu widzenia ich wiary, to pewnej formalnej słuszności nie było pozbawione i państwo, które ich karało. Chrześcijanie przez usta swych apologetów niejednokrotnie zwracali się do urzędów i cesarzy z obroną swej niewinności, oświadczając, iż są i chcą pozostać dobrymi obywatelami państwa; odpowiadano im na to nie słowami, ale mieczem i ogniem, że dobrym obywatelem jest ten tylko, kto zachowuje wszystkie prawa swej ojczyzny, oni zaś byli przekonywani o przekraczanie prawa, zabraniającego wprowadzać na własną rękę nowe religie, i o zbrodnię obrazy majestatu cezarów, którym wymaganej czci publiczno-religijnej odmawiali. Tragiczne nieporozumienie, nieodłączne tam, gdzie się ścierają przekonania, wychodzące z dwu odrębnych i dyametralnie sprzecznych światopoglądów!

Walkę, która trwała blisko trzy wieki, wygrało wreszcie chrześcijaństwo i wygrało ją nie inną bronią, jak tylko siłą swej wiary i potęgą swej miłości, przed któremi musiały się zachwiać przekonanie o wszechwładzy państwa i religijny kult ubóstwionego w cezarach człowieczeństwa. Materyalnie uzyskało chrześcijaństwo wolność dzięki edyktowi Konstantyna r. 313, lecz że taki edykt był możliwym w Imperyum Rzymskiem, to wywalczyła wytrwałość chrześcijan. Od edyktu medyolańskiego stało się możliwem, by dobry chrześcijanin był zarazem lojalnym w całej rozciągłości obywatelem, ale stało się to możliwem dzięki ograniczeniu przez pogańskie państwo swojej własnej kompetencyi w rzeczach sumienia.

Z chwilą, kiedy cesarze rzymscy zostali chrześcijanami, zasady stosunku Kościoła do państwa musiały uledz przeobrażeniu. Chrystyanizm, zrazu tylko zrównany w prawach z pogaństwem, niebawem obdarzony przywilejami, od Teodozyusza W. stał się religią wyłączną i państwową. Kult pogański, prawnie zniesiony w r. 392, upadł, pozbawiony podpory państwa, nie mając żadnej wewnętrznej siły, ani chęci zajęcia stanowiska, jakie

zajmowało do niedawna chrześcijaństwo, stanowiska ludzi prześladowanych za swe przekonania. Ale mniejsza o stosunek chrystyanizmu do państwa. Chodzi nam tu o stosunek władzy cesarskiej do Kościoła.

Jasna rzecz, że uwierzywszy w Chrystusa, cesarze wyciągnęli ze swego nawrócenia i dalsze konsekwencye. Czyż nie ich obowiązkiem bronić objawionej prawdy i karać tych, którzy się jej zechcą sprzeciwiać, albo ją fałszować? Czyż nie ich obowiązkiem otoczyć sługi nowego kultu opieką, episkopat obdarzyć przywilejami? Tak rozumowali cesarze chrześcijańscy i rozumowali dobrze. Kto poznał prawdę, czyż może być obojętnym na jej losy, czyż nie wykorzysta swego stanowiska, by jej zapewnić tryumf? A stanowisko cesarzów rzymskich było wyjątkowem: rozporządzali faktycznie absolutną władzą.

To też gorliwość chrześcijańskich imperatorów chwalili Ojcowie Kościoła; opiekę ich i pomoc przyjmowali z wdzięcznością biskupi. I nie byłoby można nic zarzucić ustalającym się wzajemnym stosunkom Kościoła do państwa, gdyby przedstawiciele władzy państwowej byli jasno zdawali sobie sprawę z tego, że występują tylko w roli potężnych o b r o ń c ó w i p r o t e k t o r ó w odmiennej i odrębnej od państwa organizacyi, organizacyi kościelnej, posiadającej swoją własną władzę prawodawczą, organizacyi, do której oni, imperatorowie, wchodzili tylko na prawach prostych członków. Niestety, to właśnie rozumowanie często się zacierało, a niekiedy zupełnie gasło. Wychowani na prawie rzymskiem, nie znającem żadnego innego, oprócz państwa, źródła władzy i jurysdykcyi, nawróceni na chrystyanizm cesarze zapoznawali fakt, że Chrystus nie tylko przyniósł oraz ogłosił światu nowe prawdy, ale założył nową, niezależną, religijną społeczność; zrzekli się wprawdzie noszonego przez ich pogańskich przodków t y t u ł u najwyższego kapłana — pontifex maximus, — ale nie widzieli potrzeby albo nie chcieli zrzekać się w ł a d z y prawodawczej i jurysdykcyi w rzeczach religii i instytucye kościelne usiłowali włączyć do organizmu państwowego, na wzór tego, jak były włączone do niego instytucye pogańskiego kultu: i u s s a c r u m po dawnemu pojmowano jako składową i organi-

czną część państwowego ius publicum. Stąd, zamiast poprzestać na sankcyonowaniu na zewnątrz praw Kościoła, w celu zapewnienia im posłuchu w społeczeństwie, ale z uznaniem, że są one rzeczywistem prawem i bez cesarskiej sankcyi, imperatorowie obydwóch połów imperyum, a zwłaszcza wschodni, przywłaszczają sobie rzeczywistą władzę prawodawczą w Kościele samym, orzeczeniom biskupów i soborów całych przyznając jedynie znaczenie jakby moralnych wskazówek i projektów. Tytuł „episcopus ad extra", jaki przyjął już Konstantyn W., biorąc zupełnie na seryo i we wszystkiem, co się zewnętrznego zarządu Kościoła tyczy, wysuwają się naprzód.

Dopóki ich nowele, dotyczące porządku kościelnego, nie stały w sprzeczności z interesami wiary i Kościoła, przedstawiciele tego ostatniego nie myśleli protestować jedynie z formalnych względów niekompetencyi władzy państwowej w rzeczach kościelnych; tem mniej o tem mogli myśleć, że sami obdarzeni zostali przez cesarzy licznymi przywilejami i prerogatywami nawet w dziedzinie spraw natury świeckiej. Wszak biskupi mogli sądzić w swych trybunałach nawet sprawy cywilne i wyroki ich były prawomocne wobec władz świeckich. Widzimy więc jakby pewnego rodzaju wzajemne ustępstwa z władzy przedstawicieli Kościoła na rzecz przedstawicieli państwa i odwrotnie, pewnego rodzaju kompenetracyę obydwóch dziedzin prawnych. Imperatorowie w poczuciu swego episkopatu ad extra, którego jednak nie uważali za rodzaj delegacyi ze strony Kościoła, ale za swoje naturalne prawo, posunęli się dalej. Nietylko legiferowali w kwestyach bieżącego zarządu Kościoła, ale rozciągnęli swoją ingerencyę do samej nauki wiary. Zeno, Justinian, Herakliusz ogłaszają wyznania wiary i zobowiązują Kościół do ich przyjęcia; że zaś nie posiadali daru nieomylności, stąd często stają się patronami heretyckich błędów i wyznawców nauki prawdziwej wystawiają, jako rzekomych heretyków, na dotkliwe prześladowania.

Mimo zaznaczonej faktycznej kompenetracyi obydwóch władz, nie zginęło doszczętnie poczucie zasadniczej ich różności. Zasada różności tych władz i niekompetencyi państwa i cesarza w sprawach Kościoła była wypowiadana głośno przez najpoważniejszych

przedstawicieli tegoż Kościoła. Taki Hozyusz z Korduby, ojcem soborów zwany, taki Hilary z Poitiers, Wielki Atanazy, Grzegorz z Nazyanzu i Grzegorz z Nyssy, Chryzostom, Ambroży i Augustyn, raz wraz przypominają cesarzom, że im Bóg powierzył rządy w rzeczach doczesnych, podczas gdy sprawy duchowne i wieczne należą do biskupów. Protesty te rozlegały się głównie wtedy, kiedy spostrzegano szkodliwość rozporządzeń cesarskich dla wiary; kiedyindziej zaś nawet sobory, zwoływane przeważnie przez imperatorów, z pewnego rodzaju pochlebstwem wschodniem witają ich jako arcykapłanów i uznają faktyczną ich ingerencyę.

W takich warunkach utrwalał się system, zwany bizantynizmem, lub cezaropapizmem. Wciągając religię w kompleks państwowych spraw, władcy Konstantynopola chcieli uczynić z Kościoła pokorne narzędzie swej polityki. Kiedy wzmacniająca się coraz bardziej na Zachodzie władza papieska wystąpiła do walki z tym systemem, było już zapóźno. Z tego systemu powoli zrodziła się schizma wschodnia, a ta, rozpadając się później dalej, wydała z siebie owe niezależne kościoły narodowe Wschodu, na które patrzymy.

Na Zachodzie historya stosunków między państwem a Kościołem szła nieco odmiennym torem. Cesarstwo zachodnio-rzymskie wcześnie runęło pod ciosami barbarzyńców. Królowie nowych ludów, po przyjęciu chrystyanizmu, poczuli się do obowiązku, jak i cesarze rzymscy, bronić interesów wiary. Nie mając atoli owego wygórowanego poczucia omnipotencyi, jakie otrzymali w spuściźnie po pogańskiej Romie imperatorowie wschodni, rządcy nowych państw, zawdzięczający często swe trony pomocy Kościoła (nowe cesarstwo zachodnie!), rozciągali nieco mniej swą ingerencyę na dziedzinę prawodawstwa kościelnego i skłonniejsi byli do posłuchu dekretom, idącym z centrum świata chrześcijańskiego, od Stolicy Apostolskiej. Mimo to i na Zachodzie dość powszechnie obydwie dziedziny ściśle się splatały i mięszały. Biskupi i opaci brali czynny udział w zarządzie i administracyi państwa; za to królowie i cesarze mieli wielki, jeśli nie wyłączny, wpływ na nominacye biskupów, zwoływanie synodów; owszem, cesarz faktycznie przez długi czas decydująco wpływał na obsadzanie

tronu papieskiego, podczas gdy papieżowi znowu przysługiwało wyłączne prawo koronowania cesarza.

W średnich wiekach krystalizowała się teorya o wzajemnym obydwóch władz stosunku. Papiestwo w osobach wielkich papieży: Grzegorza VII., Innocentego III., Bonifacego VIII. otrząsało się ze zbytnich wpływów państwa w sprawach Kościoła; niezależność Kościoła od państwa i czynników świeckich, samodzielność prawodawstwa kościelnego została jasno wyrażoną w szeregu enuncyacyi Stolicy świętej. Owszem, w pismach teologów i kanonistów, a nadto w enuncyacyach papieży zaafirmowano nawet pewną uboczną wyższość Kościoła nad państwem. Kościół, według ówczesnej nauki, w osobie św. Piotra otrzymał dwa miecze: duchowny i świecki; pierwszego używa sam, drugi wkłada w dłoń cesarzy i królów, by nim władali w obronie wiary i Kościoła i na zawołanie papieża. Wręcz przeciwna teorya Marsyliusza z Padwy, według której państwo czyniło się źródłem wszelkiej władzy, nawet papieskiej, miała daleko mniej zwolenników.

Poniżenie atoli papiestwa przez t. zw. niewolę babilońską, a potem przez schizmę zachodnią, łącznie z przeniknięciem idei prawa rzymskiego do filozofii państwa, dały początek nowym ingerencyom panujących w sprawy Kościoła. W 15 i 16 stuleciach nastaje era konkordatów, które w praktyce regulują wzajemny obydwóch władz stosunek i sporne, mieszane sprawy to jednej, to drugiej stronie przydzielają; zasadniczą wadą tych umów między Rzymem a panującymi była pewna nieszczerość, że kiedy Rzym przyznane panującym w zakresie kościelnym prawa poczytywał za ustępstwa, za przywileje i niejako delegacyę ze swej strony, to panujący skłonni byli uważać za ustępstwa na rzecz papiestwa te dziedziny wpływów, które władzy kościelnej w konkordatach przyznawano. Wychodzono więc z dwóch odrębnych koncepcyi i obie strony uważały, że drugiej czynią łaskę i ustępstwa z praw swoich.

Protestantyzm wielce zawinił co do ingerencyi państwa w rzeczy kościelne. Stworzył wprawdzie koncepcyę Kościoła niewidzialnego, — i temu Kościołowi oczywiście panujący nie mógł narzucić się ze swą władzą; ale i protestanci nie mogli się przecież

obejść bez widzialnych kościelnych urządzeń i organizacyi kultu i w tej właśnie dziedzinie, po oderwaniu się od papieża, dano miejsce zupełnej arbitralności panujących. Usłużni uczeni rozmaite tworzyli systemy, by usprawiedliwić teoretycznie ingerencyę królów i książąt. — Jedni też uzasadniali ją w duchu prawa rzymskiego tem, że na jednem terytoryum nie może być miejsce dla dwóch niezależnych od siebie władz najwyższych, a zatem, że panujący jest, jak w innych dziedzinach, tak i w dziedzinie religii, najwyższym i jedynym prawodawcą: cuius regio, eius et religio. Inni tworzyli fikcyę, że władza kościelna, spoczywająca do reformacyi w rękach biskupów, lub nawet w rękach całego ludu, została przeniesioną na tych książąt, którzy się dla tejże reformacyi szczególnie zasłużyli. Bądź co bądź panujący protestanccy stali się faktycznymi papieżami, każdy dla swojego krajowego kościoła. Wreszcie filozofia Hegla, ubóstwiająca państwo, dawała ostatni jaskrawy wyraz tym teoryom i usprawiedliwiała istniejące stosunki.

Gorsza, że nie tylko w krajach protestanckich, ale i w katolickich system ten znajdował uznanie. Niekiedy dla skuteczniejszej obrony swych krajów przed protestantyzmem, kiedyindziej dla obrony wolności narodowych przed „zbytnią“ ingerencyą Rzymu, raz wychodząc z założeń prawa naturalnego, drugi raz ze swego charakteru obrońców Kościoła i wiary, panujący katoliccy faktycznie wstępowali w ślady swych protestanckich sąsiadów i coraz większe kompetencye w rzeczach kościelnych sobie przypisywali. Znane nam systemy gallikanizmu, febronianizmu i józefinizmu, z ich kontrolą nad stosunkami wiernych z papieżem, z ich wdzieraniem się w prawodawstwo, jurysdykcyę i sądownictwo kościelne, — oto wyrazy zamachu państwa na samodzielność życia kościelnego. Zenitu swego dosięgnął ten system w rewolucyi francuskiej, która wszakże nie mogąc dać sobie rady z chrześcijaństwem, zupełnie takowe przekreśliła, usiłując wprowadzić deistyczny kult „Najwyższej Istoty“.

Upadek wiary w społeczeństwach, liberalizm, coraz większe pomieszanie wyznawców różnych wyznań, wysunęły w 19 stuleciu nową teoryę stosunków państwa do Kościoła, teoryę zupeł-

nego ich rozdziału. Państwo, jako takie, według tego systemu, żeby dogodzić wszystkim swym obywatelom, musi być ateistyczne i sprawy wiary uważać za obce sobie; wszystkie religie i bezwyznaniowość nawet są zrównane w prawach, Kościół i wiara nie mogą w niczem wtrącać się do życia publicznego, wolno im za to urządzać się, jak chcą, we własnym domu. „Wolny Kościół w wolnem państwie“ — było hasłem wielu polityków 19 stulecia. W praktyce jednak wyciągano z tej teoryi tylko to, co służyło do obdarcia Kościoła z reszty wpływów na społeczeństwo; rzekoma zaś wewnętrzna wolność Kościoła w rzeczywistości częstokroć bywała prześladowaniem katolicyzmu — dowód nowożytna Francya.

II.

Jak się mamy zapatrywać na naszkicowane systemy stosunku między Kościołem a państwem ze stanowiska nauki katolickiej o Kościele?

Zacznijmy od końca, od *systemu rozdziału Kościoła od państwa*. System ten, wielokrotnie potępiany przez papieży, począwszy od Grzegorza XVI., musi być uznany za fałszywy. A nie tylko za fałszywy, ale za niesprawiedliwy i niemożliwy w zastosowaniu. Jest on w założeniu swem fałszywy. Głównym jego dogmatem jest, że państwo, jako takie, powinno być ateistycznem. Czy atoli na to można się zgodzić? Jeżeli jednostka ludzka, z tytułu swego stworzenia przez Boga i zależności odeń, obowiązana jest oddawać Mu cześć, jakiem prawem może się z tego obowiązku zwalniać społeczeństwo, które przecież również podwaliny bytu swego i trwałości zawdzięcza Bogu?

Dalej, z punktu widzenia katolickiego, system ten jest niesprawiedliwy. Skoro wiarę w Boga i ateizm, który jest zaprzeczeniem tej wiary, stawia choćby tylko na równi, albo kiedy w łagodniejszej formie, na gruncie teizmu, z zasady daje równe prawa wszystkim wyznaniom, tem samem krzywdzi prawdę i Kościół. Jakąś wyznaniową grupę, która zrodziła się z buntu przeciw Kościołowi, instytucyi Boskiego pochodzenia, zrównać w prawach

z tymże Kościołem, — to przecież, rzeczowo, nie może być nazwane sprawiedliwością. Ale do tego jeszcze dodajmy, że w rzeczywistości system ten gorzej postępuje: w państwach, które nim się rządzą, właśnie Kościół katolicki, w porównaniu z innemi wyznaniami, bywa systematycznie upośledzany.

Wreszcie trzeba stwierdzić, że konsekwentne zastosowanie tego systemu jest niemożliwem i to dla dwóch powodów. Po pierwsze, wiele istnieje spraw, które zarówno obchodzą Kościół, jak i państwo, np. małżeństwo. Stojąc na gruncie ateistycznym, zatem zasadniczo ignorując religijny charakter tej instytucyi i odnoszące się do niej prawodawstwo kościelne, państwo musi tworzyć swoje własne prawodawstwo małżeńskie. Oczywiście, można z góry przypuścić, że nie we wszystkiem będzie ono zgodnem z prawem kościelnem, a nawet — według najgłębszych przekonań katolików — Boskiem, lecz w takim razie głęboko zadraśnie uczucia religijne wierzących, czyli stworzy sytuacyę, w której nie można nie widzieć prześladowania religijnego katolików — i w cóż się obróci frazes o wolności przekonań religijnych?

Po drugie, niemożliwość systemu areligijności państwa jest natury psychologicznej. Państwo nie jest bezduszną maszyną; składają je i na czele jego stoją żywi ludzie ze swemi prywatnemi przekonaniami i uczuciami. Lecz w takim razie, czyż możliwe, by przedstawiciel władzy, panujący, urzędnik, poseł, jeśli jest człowiekiem wierzącym, zdołał naprawdę ukryć swą religię w życiu publicznem i czy sumienie pozwoli mu na obojętność względem prawd i zasad, od których zależy dobro doczesne i wieczne ludzkości? Czyż, z drugiej strony, przekonany ateusz, zatem człowiek, poczytujący religię za przesąd, zdoła się utrzymać na poziomie tolerancyi przekonań religijnych? Faktycznie też, państwo nigdzie nie zdołało stać się prawdziwie obojętnem w rzeczach wiary, ateistycznem, t. j. abstrahującem od Boga. Niekiedy, głosząc zasadę zupełnego rozdziału Kościoła od państwa, w praktyce daje przewagę pewnemu wyznaniu, czy wyznaniom nad innemi, gdzieindziej znowu wpada w fanatyzm a n t y teistyczny, zawzięcie zwalczając religijne przekonania, jak np. jest w nowożytnej Francyi.

Jak teoryę rozdziału państwa od Kościoła, tak musimy potępić i przeciwległy jej system, system zbytniego zlania się obydwóch sfer, bez względu na to, czy wystąpi on w szacie wschodniego bizantynizmu, czy też zachodniego i nowoczesnego, naturalistycznego absolutyzmu. Tylko musimy wiedzieć, dlaczego ten system odrzucamy. W wielu dziełach i rozprawach zdarza się spotykać z argumentacyą, która całkowicie dałaby się streścić w formule: ne misceantur sacra profanis, nie mieszać rzeczy duchownych ze świeckiemi. Stawia się twierdzenie, że państwo z natury rzeczy, jako instytucya, mająca za cel dobra doczesne, jest niekompetentne w rzeczach religii, mających na celu dobro wieczne. Tę argumentacyę, choć często zrodzoną przez dobrą pobudkę, uważam za niewystarczającą; owszem, nie widzę różnicy między nią, a systemem rozdziału Kościoła od państwa, który w zasadzie również z niekompetencyi państwa w rzeczach religii wychodzi. Różnica między takiem uzasadnieniem z pod pióra katolików, a teoryą rozdziału Kościoła od państwa, redukuje się do tego, że pierwsi uważają religię za rzecz zbyt świętą, by nią państwo miało się zajmować, kiedy druga odnosi się do niej pogardliwie, jako do rzeczy, niezasługującej na to, by ją państwo wciągało w zakres swych trosk i obowiązków.

Ingerencya państwa w sprawy religii, ingerencya wprost, polegająca na ustanawianiu praw kościelnych, kontrolowaniu Kościoła etc., musi być usunięta nie z tej przyczyny, że państwo z natury rzeczy do tego jest niezdolnem, ale dlatego, że naturalne prawo, które państwu mogło przyznawać głos w rzeczach publicznego kultu, zostało okrojone przez objawioną pozytywnie wolę Bożą, która w chrystyanizmie do spraw religii powołała odrębną i niezależną instytucyę i organizacyę — Kościół. Nie chcemy więc odmawiać prawa pogańskiemu państwu do regulowania publicznego kultu tam, gdzie się nie zjawiła Ewangelia Chrystusowa i dopóki się nie zjawiła.

Gdyby Bogu spodobało się nie sprowadzić ludzkości do stanu nadprzyrodzonego, pozostawić ją w stanie, jak teologia się wyraża, czystej natury, byłaby przecież ona, równie jak teraz, obowią-

zaną do oddawania czci Bogu i to zarówno zbiorowo, jak prywatnie. Obowiązek jednak urządzania publicznego kultu spadałby wtedy rzeczywiście na państwo, do którego należy dbać o rozwój wszystkich dóbr ludzkich, o tworzenie warunków pomyślnych dla działalności wszystkich dodatnich ludzkich dążności i uczuć, a zatem i uczuć religijnych. Na tej podstawie przyznać można, że do czasu przyjścia Chrystusa Pana f o r m a l n i e były w prawie państwa, kiedy i religię wciągały w zakres swego prawodawstwa, jako jedno z dóbr, zasługujących na promocyę i opiekę. Innej bowiem władzy, któraby tem skutecznie zająć się mogła, nie było. Inne pytanie, czy owe państwa, objektywnie rzecz biorąc, wywiązywały się ze swego zadania, czy przeciwnie, nie utrwalały swem prawodawstwem i opieką tego, co było błędem i zabobonem nawet w religii naturalnej: wielobóstwa i bałwochwalstwa.

Dopiero Jezus Chrystus ograniczył kompetencyę państwa w rzeczach religii. Religia, którą On światu zwiastował, jest religią nawskróś nadprzyrodzoną, nadprzyrodzoną w swoim celu i w swoich środkach; nauka Jego w najważniejszych prawdach przewyższa rozum ludzki; sposób czci Bożej i najwyższy jej akt — ofiara niekrwawa Ciała i Krwi Zbawiciela, przewyższają wszelki pomysł ludzki. Przytem religia ta miała być uniwersalną, obowiązkową dla wszystkich czasów i narodów. Z góry więc wypadało, by straży takiej religii nie powierzać czysto naturalnym instytucyom, jakiemi są państwa i ich rządy, lecz powołać do tego instytucyę osobną, niezależną przytem od ograniczonych i partykularnych względów państw i narodowości. I taką instytucyę stworzył Chrystus. Z całej Jego działalności widzimy, że zakładając swój Kościół, nie opierał się na żadnej ludzkiej władzy, nie liczył się z żadną, nie zabiegał o żadne pozwolenie. On przychodzi w imię Ojca niebieskiego, jako pełnię władzy na ziemi i na niebie mający; i stwierdziwszy swe posłannictwo i Boskość licznymi cudami i zmartwychwstaniem, przekazuje swe pełnomocnictwo wybranym przez siebie uczniom. Kiedy wybierał Piotra na fundament budowy nowego społeczeństwa i powierzał mu klucze rządów, tem samem zacieśnił i okroił naturalną kompetencyę rzą-

dów państwa. Miał do tego prawo, gdyż sam był dawcą prawa natury.

Apostołowie i ich bliżsi następcy strzegli tej nadanej przez Mistrza niezależności nowej religii wobec państwa: nie szukali tedy u niego aprobaty swych zasad i swego kultu, jako bezprawni, ale domagali się uznania tylko przez państwo gotowego, wyższego prawa, z jakiem przychodzili. I państwo, skoro zjawiła się tak niezależna religia, mogło zbadać jej tytuły, ale skoro się przekonywało, że ona jest rzeczywiście religią Boskiego pochodzenia, mającą własny rząd i powagę, obowiązanem było ustąpić z naturalnego prawa ius circa sacra, jakiem dotąd się cieszyło.

Oto prawdziwy tytuł, na podstawie którego Kościół windykuje sobie niezależność rządów i prawodawstwa od władzy świeckiej: wychodzi nieznatury kultu, jako takiego, ale z Boskiego ustanowienia swego. I skoro raz ustała władza państwa w rzeczach religii, nie może powrócić na tej tylko podstawie, że państwo samo i panujący staną się chrześcijańskiemi, bo nie jest mocen Kościół zrzec się przekazanej sobie i do strzeżenia powierzonej władzy. Może On, jak już wykazywałem dawniej [1]), przypuścić do pewnego udziału w swojem imperium sacrum i pewne czynniki, nie należące ściśle do hierarchii kościelnej, — gdyż nie chodzi tu o sakramentalne czynności, wymagające ściślejszego zjednoczenia się z kapłaństwem Chrystusowem; może przytem to dopuszczenie być albo wyraźne, albo domyślne i milczące. Stąd zrozumiałymi się stają i pewne akty ingerencyi panujących w rzeczach Kościoła, jak np. nominacye biskupów, ale w takich razach państwo nie może się odwoływać do prawa naturalnego, które mu odjętem zostało w dziedzinie religii, lecz winno uważać się raczej za delegata jedynej, prawowitej w rzeczach religii władzy, władzy kościelnej. Oczywisty stąd wniosek, że tego rodzaju delegacye, czy przywileje, mogą być także cofnięte przez Kościół, skoro dobro religii tego wymagać będzie.

Jakiż zakres wolności i samodzielności Kościół sobie w zasadzie zastrzega? Taki, jaki mu jest potrzebny do spełnienia jego

[1]) W wykładzie o hierarchii kościelnej.

posłannictwa. On jest nieomylnym stróżem prawdy objawionej i powołanym przez Boga misyonarzem do głoszenia dobrej nowiny jednostkom i społeczeństwom; państwo więc pozbawione jest prawa wpływania na taki czy inny wykład tej nauki, naginania jej do swych celów; nie powinno też przeszkadzać Kościołowi w spełnieniu jego misyi, zabraniając np. szerzenia prawdziwej nauki wśród niewierzących lub heretyków. Jezus Chrystus, kiedy wyrzekł: „Idźcie na cały świat, nauczajcie wszystkie narody", wcale nie dodał warunku: „jeśli wam na to pozwolą władze państwowe". Z tegoż tytułu i nauczanie religii w szkołach, a zwłaszcza specyalne szkoły teologiczne, w zasadzie są zależne jedynie od Kościoła. Kościół jest szafarzem łaski w Sakramentach, organizatorem publicznej czci Bożej; państwo więc tem samem traci kompetencyę do normowania kultu lub szafowania Sakramentów; do tego Kościół ma prawo posiadać i urządzać, jak uważa za potrzebne, i miejsca kultu, a zatem świątynie, cmentarze, i środki utrzymania tegoż kultu i hierarchii, a zatem majątek kościelny. Do Kościoła należy dobierać sobie sług ołtarza, i to bez względu na stopnie hierarchiczne, a więc winien posiadać wolność obsadzania wakujących miejsc, tworzenia nowych urzędów kościelnych, biskupstw i t. d.

Według dogmatu katolickiego, małżeństwo jest instytucyą religijną, podniesioną przytem do nadprzyrodzonego porządku, jest sakramentem. Jest ono nie tylko komórką naturalnego organizmu społeczeństwa, ale i cząstką Kościoła, biorącą na się pewne jego zadania i funkcye. Zasadnicze prawa małżeństwa zostały wygłoszone przez Chrystusa; Kościół stoi na straży tych praw niezmiennych. Do niego więc, a nie do państwa, należy czuwanie nad jego nadprzyrodzoną świętością i stanowienie praw i warunków ważnego jego zawierania.

Słowem, Kościół winien być wolny i niezależny we wszystkich trzech dziedzinach swego posłannictwa: w kapłaństwie, nauczycielstwie i zarządzie. Prawodawstwo, administracya i sądy jego w tym zakresie nie są owocem jakiegoś nadania ze strony państwa, lecz wypływem powierzonego mu przez pozytywny akt woli Chrystusa Boskiego posłannictwa.

Słowem, Kościół jest instytucyą, która w terminologii prawniczej nazywa się społecznością zupełną i doskonałą. W zakresie swego posłannictwa jest on całkowicie od państwa niezależny.

Skoro Kościół jest w zakresie swoim od państwa niezależnym, a z drugiej strony skoro państwo, jak widzieliśmy, nie może być na religię obojętnem albo wprost ateistycznem, jakże się konsekwentnie ułożą stosunki, do czego państwo w dziedzinie religii ma prawo i jest obowiązanem? Obowiązki państwa w tej dziedzinie magistralnie określił papież Leon XIII w encyklice „Immortale", o chrześcijańskim ustroju państw, z r. 1885. Państwo nie ma prawa być wogóle obojętne na rzeczy religii, bo i ono jest tworem Bożym i do czci Boga obowiązane. Państwo, skoro się zjawiła religia, przychodząca z dowodem swego Boskiego pochodzenia, nie może już samo tworzyć religii, ale winno przyjąć tę, którą Bogu spodobało się ludziom objawić i przepisać. Państwo nie powinno również przechodzić obojętnie nad faktem istnienia wielu wyznań, wzajemnie się zwalczających w łonie chrześcijaństwa i zasadniczo uważać wszystkie za równowartościowe. Bogu dzięki prawdziwa religia Chrystusowa posiada dość znamion, by ją można było odróżnić od fałszywych. Znalazłszy zaś religię prawdziwą, zorganizowaną w Kościół, państwo winno zapewnić temuż opiekę i poparcie, nie wdając się w wewnętrzne jego rządy i prawodawstwo. Za to otrzymuje państwo sowitą nagrodę: prawdziwa religia wychowuje dobrych obywateli państwa i sama władzę państwową otacza nimbem Boskiego pochodzenia, a zatem zapewnia jej posłuch i cześć ze strony obywateli.

Oto ideał stosunku Kościoła do państwa i państwa do Kościoła, stosunku harmonii dwóch różnych dziedzin i wzajemnych ich usług.

Czy atoli, zobowiązując państwo do opieki nad Kościołem, a pozbawiając go prawa kontroli życia kościelnego i prawodawstwa w rzeczach kościelnych, nie czynimy z państwa prostego sługi Kościoła? — Lecz cóż byłoby w tem ubliżającego dla państwa — zapytamy my znowu, — gdyby nawet tak było? Czyż państwo z natury swej nie jest zrzeszeniem ludzi ku skuteczniej-

szemu osiąganiu rozlicznych dóbr ludzkich? Zatem czyż nie jest pod pewnym względem sługą każdego obywatela? A jeżeli służy mu i dopomaga w osiąganiu dóbr niższego rzędu, jakiemi są dobra materyalne, dlaczegożby ubliżało mu służyć do skuteczniejszej realizacyi dobra wyższego rzędu, pomyślności religii, wzrostu wiary i dobrych obyczajów, i to w sposób, jaki Bogu podobało się objawić, mianowicie popierając tę instytucyę, która na straży tych dóbr została postawiona, Kościół?

Że pewna idealna supremacya Kościoła nad państwem wypływa z natury obydwóch społeczności, to nie da się zaprzeczyć. Biorąc pod uwagę bezpośredni cel Kościoła i bezpośredni cel państwa, trzeba przyznać Kościołowi pewną wyższość, bo im cel jest wyższy i szlachetniejszy, tem wyższą i szlachetniejszą jest społeczność, czy organizacya, a chyba cel Kościoła — prowadzenie ludzi do Boga — jest wyższym i szlachetniejszym od bezpośredniego celu państwa, jakim są dobra doczesne ludzkości. Dlatego chrześcijańska nauka, nie mieszając obydwóch dziedzin, ale i nie rozłączając ich zupełnie, widziała między Kościołem a państwem taki stosunek, jaki zachodzi między duszą a ciałem, niebem a ziemią, i władza kościelna tak zacnością swą przewyższa władzę świecką, jak jasnością słońce przewyższa księżyc.

Mimo tych i tym podobnych wyrażeń, encyklika Leona XIII. zapewnia, że państwo nie ma powodu bać się jakichś zamachów na swą kompetencyę ze strony Kościoła. Jak Kościół w swojej sferze, tak ono w swojej jest najwyższem i niezależnem. Kościół, dopóki nie wchodzą w grę interesy wiary objawionej i moralności, nie wtrąca się i wtrącać się nie może do rządów świeckich, ani do polityki. „Że Kościół jest uprzedzony do nowożytnego państw ustroju i wszystkie nowszych czasów zdobycze bez różnicy potępia, jest to czcza i bezpodstawna potwarz“, mówi Leon XIII. Kościołowi np. są obojętnemi formy rządów: tak dobrze godzi się z republiką, jak i z monarchią, potępia tylko nadużycia, jakie zmianom rządów towarzyszyć zwykły, choć towarzyszyć nie muszą. Nie wtrąca się Kościół ani do prowadzenia wojen, ani do rozwoju industryi, ani do wynalazków, ani do tysiąca innych dziedzin, z których składa się postęp doczesny i cywilizacya

ludzkości. W tem wszystkiem przypomina tylko prawa moralne, przedewszystkiem zasady sprawiedliwości, miłości, ale i przypominanie to nie może wyjść na szkodę społeczeństwa, ani państwa. Posłuch w tych rzeczach jest o tyle zbawienniejszym dla państwa i dobrobytu narodów, że Kościół w moralnem prowadzeniu ludzkości ma zapewnioną tę samą gwarancyę nieomylności, jak i w teoretycznych rzeczach wiary.

III.

Nie pogardliwe więc hasło rozdziału Kościoła od państwa, ale i nie brutalne wdzieranie się rządów świeckich w sprawy Kościoła i religii — ma być programem kościelnej polityki, ale wzajemna harmonia obydwóch dziedzin, wzajemna pomoc obydwóch władz. Czy jest to atoli możliwe do osiągnięcia?

Z ideałem stosunków między Kościołem a państwem rzecz się ma podobnie, jak z każdym innym ideałem. Można się do niego wciąż zbliżać; dość trudno całkowicie go zrealizować. Historya świadczy, że nigdy dotąd nie był on całkowicie urzeczywistniony. Nawet wtedy, kiedy teoretycznie najlepiej go rozumiano, w epoce wierzących średnich wieków, nawet wtedy nie obchodziło się bez starć i nieporozumień między obiema władzami. W naszych czasach jesteśmy odeń bardzo oddaleni. Całkowicie dałby się ten ideał osiągnąć, gdyby wszyscy obywatele państw byli jednomyślni w rzeczach religii, konkretnie mówiąc, gdyby wszyscy byli wierzącymi i konsekwentnymi w postępowaniu katolikami. Jakże jednak dalecy od tego jesteśmy w czasach upadku wiary, w czasach mieszania się i przenikania wzajemnego różnych wyznań, w czasach sceptycyzmu i kołowacizny w przekonaniach!

Nie przeszkadza to atoli stawiać ideału za cel naszych dążeń, ani nie zmusza nas nic do ostatecznego pogodzenia się z obecnymi stosunkami i uznania ich za najlepsze lub konieczne. Dwa są niezawodne środki, by do portu jakiegoś nigdy nie zawinąć: albo sobie wyobrazić, że się już w nim jest, chociaż się jest od niego o sto mil, i dlatego z miejsca się nie ruszyć, albo miejsce,

gdzie się znajdujemy, uznać za najlepsze i nie chcieć go na inne zamienić.

Czy ideał stosunku między państwem a Kościołem, jaki naszkicowaliśmy, będzie kiedykolwiek osiągnięty choćby w przybliżeniu, czy też stosunki jeszcze bardziej od niego się oddalą? Nikt tego nie wie i nawet wiara nie daje nam żadnej pewnej podstawy do prorokowania. Można być optymistą i wyobrażać sobie, że świat bez przerwy zbliża się i zbliżać się będzie do zrealizowania na tej ziemi Królestwa Bożego, królestwa prawdy i cnoty. W takim razie i państwa coraz bardziej uznawałyby swoje obowiązki względem religii, i Kościół coraz doskonalej wypełniałby swą misyę. W takim razie końcowy stan historyczny ludzkości byłby prawdziwem przygotowaniem do szczęśliwej, pozaświatowej wieczności. Prawo Boże przenikłoby we wszystkie dziedziny życia ludzkiego i ludzkość, tak udoskonalona całkowicie przeszłaby z przedsionka do sali wiecznej. Tak np. pojmował przyszłość głośny rosyjski filozof, Sołowiew, w epoce swej młodości. — Ale można być i p e s y m i s t ą, jakim się stał tenże Sołowiew u zmierzchu swych dni, i być tego przekonania, że świat, przy całym materyalnym swym postępie, o ile chodzi o duchową i moralną wartość, idzie we wręcz przeciwnym kierunku, że się cofa, owszem, że cofać się będzie aż do końca, — że królestwo prawdy i cnoty nigdy na ziemi nie utrwali się, że borykać się wciąż musi z wrogiemi mocami i ulegać im, aż nożyce Boże przetną nić historyi i zjawi się Nowe Jeruzalem, złożone z tej garstki wiernych, którzy wytrwają aż do końca. Tak nam przyszłość rysuje późniejszy Sołowiew, tak niedawno zmarły, angielski myśliciel i powieściopisarz, Benson, w swej powieści „Pan świata".

Można wreszcie zająć jeszcze inne stanowisko, mianowicie wstrzymać się od wszelkiego prorokowania. Tak różowe, jak i posępne wyobrażanie sobie przyszłości może się stać szkodliwem dla czynu: optymizm działa, jak opium, napełniając fantazyę miłemi rojeniami, pesymizm — jak paraliż. Poco robić wysiłki, mówi optymista, skoro i bez nich Królestwo Boże prędzej — później z konieczności na ziemi zapanuje? Poco robić wysiłki, wtóruje mu pesymizm, skoro one i tak złemu nie zapobiegną? Wobec

tego lepiej będzie stanąć na pewnym gruncie uznania obowiązku i tylko obowiązku. Przyszłość będzie taką, jaką ją uczyni zbiorowa wola ludzkości; żadne fatum nad światem nie zawisło. W tej zaś zbiorowej woli ludzkości jest i wola każdego z nas, jako drobna cząsteczka składowa, ale cząsteczka realna. Czyńmy to, co uważamy za dobre i za swój obowiązek; wtedy napewno albo do zrealizowania Królestwa Bożego się przyłożymy, albo przynajmniej zło zmniejszymy. Będzie to zależało od tego, ilu nas będzie i z jaką wytrwałością pracować i walczyć będziemy. Nie końcowy rezultat, który nie od nas zależy, będzie nam za zasługę poczytany, ale wysiłki, jakie uczynimy na drodze ku osiągnięciu ideału.

Wierzącemu katolikowi sumienie narzuca obowiązek współpracowania, by Królestwo Boże szerzyło się w świecie; wszak czyn musi iść w parze z pragnieniem, któremu wyraz dajemy codzień: przyjdź Królestwo Twoje! Postęp Królestwa Bożego warunkuje się znowu tem, by Kościół miał wolne ręce do nauczania dróg prawdy i cnoty i do prowadzenia ludzi niemi. Ten obowiązek ciąży na wszystkich. Dobre bowiem stosunki między Kościołem a państwem, to nie jest rzecz, któraby dla ogółu wierzących miała być obojętną i obchodzić jedynie hierarchię kościelną. Każdy katolik winien przynieść swoją cegiełkę; spełni tem zarazem i czyn iście obywatelski, bo prawdziwe dobro państwa jest tu zarówno zainteresowane, jak i Kościół. Na nienormalnych stosunkach obie strony cierpią i tracą.

Zwłaszcza w naszych czasach przeniknięcie się szerszych mas zdrową nauką o Kościele, jego zadaniach i prawach, jest konieczniejszem, niż kiedykolwiek. Dawniej, kiedy szerokie warstwy były tylko bierną masą w życiu publicznem, można było wpływać na ich wychowanie religijne przez rządy, z którymi Kościół stał w bezpośrednim stosunku; dziś rządy państw będą takie, jakim będzie ogół lub przynajmniej większość obywateli, — dlatego dziś do mas wprost trzeba się zwrócić. Dziś nie dosyć uczyć dzieci cnót indywidualnych i domowych; dziś matka synowi, mężowi żona winnaby przypominać publiczne cnoty chrześcijanina-obywatela.

Szerokie poznanie prawd, które składają się na to, cośmy polityką kościelną nazwali, i uświadomienie sobie obowiązku wprowadzania ich w życie, umożliwi niejedną zmianę na lepsze w stosunkach między państwem a Kościołem. Wszak w naszych rękach oręż opinii, w naszych rękach wybory do parlamentów. Dlaczegożbyśmy mieli oglądać się tylko na przekonania polityczne, zasady społeczne kandydatów, a pomijać przekonania ich religijne?

Podwójnie uświadomienia tego potrzeba nam, w Polsce, w chwili, kiedy wypadki dziejowe otwierają nam możność urządzania się na naszej ziemi więcej samodzielnie, niż dotąd. Czyżbyśmy w kwestyach kościelnych mieli zapoznać naukę i interesa naszego katolickiego Kościoła, by ślepo kopiować obce, wrogie religii wzory?

Nie mam czasu ani dość powagi, bym kreślił jakieś konkretne programy naszej polityki kościelnej. Jedno jednak uważam za potrzebne wskazać, jako jej ton zasadniczy i linię wytyczną: j a k n a j ś c i ś l e j s z ą j ę d n o ś ć z R z y m e m. W tem jednem jest domyślnie zawartem wszystko. Walka państw i panujących z Kościołem, na jaką wieki patrzyły, była zawsze walką z papiestwem; zwycięstwa papiestwa były zwycięstwami wiary i religii. Skoro wierzymy, że na tym fundamencie zbudował Chrystus Kościół swój, to nie wolno nam z tego fundamentu się zesuwać, ale trzeba ściślej do niego się przywrzeć.

Czy może jest rzeczą zupełnie zbyteczną przypominać sobie ten obowiązek? Sądzimy, że nie. Między rozmaitymi pomysłami, jakie się po głowach ludzkich roją, znany jest pomysł unarodowienia religii i Kościoła. Z pomysłem tym można się spotkać i w innych krajach, ale nie jest przed nim zamkniętą i Polska. Niekiedy pod unarodowieniem religii pojmuje się powrót nawet do swoistych, pogańskich form kultu, co widzimy w Niemczech na przykładzie agitacyi garstki zapaleńców o wznowienie kultu pra-germańskiego Odina. Częściej jednak pod unarodowieniem religii rozumie się rozluźnienie, albo i zerwanie zupełne węzłów między organizacyą Kościoła miejscowego, a sercem chrześcijaństwa, Rzymem, dodając do tego większe spopularyzowanie liturgii

przez wprowadzenie do niej języka krajowego, zamiast łaciny. Przedewszystkiem jednak chodzi w takich razach o poddanie miejscowej kościelnej hierarchii pod wyłączny wpływ państwa.

Oczywiście tylko bardzo powierzchowny i niekonsekwentny katolik może uważać podobne pomysły za niewinne i niniebezpieczne, albo nawet za korzystne dla narodu własnego. Biorąc rzecz ze stanowiska dogmatycznego, unarodowienie Kościoła albo odrazu jest kompletną schizmą, albo na drogę do niej wiodącą wprowadza, lecz w takim razie jest to zarazem apostazyą od prawdziwego chrześcijaństwa, które w myśl Chrystusa, nie tylko jako nauka, ale i jako organizacya, jest jednem i niepodzielnem. I arcypłytkiem byłoby mniemanie, że „unarodowiony" Kościół pozostanie katolicyzmem, jeżeli zachowa formy katolickiego kultu. Nie w obrządku bowiem, ale w jedności wiary i w jedności hierarchii leży istota katolicyzmu.

Korzyści, jakie mógłby nam ktoś obiecywać z unarodowienia Kościoła, są więcej, niż wątpliwe. Słyszało się głosy, że Kościół, prowadzony ręką dalekiego cudzoziemca, nie umie wczuć się w potrzeby narodu polskiego, ani dostatecznie służyć jego interesom. Lecz o jakie potrzeby i interesy tu chodzi? Religia chrześcijańska tem wysługuje się najlepiej dobru publicznemu narodów, że krzewi wśród swych wiernych cnoty, na których spoczywa tak materyalny dobrobyt, jak i duchowy i moralny postęp. Ale tę swoją cywilizacyjną misyę katolicyzm spełnia najlepiej tam i o tyle, gdzie i o ile Kościół, ściśle zjednoczony z papiestwem, używa wolności.

Służyć zaś bezpośrednim politycznym celom, popierać tę lub ową polityczną koncepcyę czy koteryę — nie jest jego celem ani powołaniem, i pozwolić się zaprządz do rydwanu zmiennej polityki, to znaczy upaść i zaprzedać się w niewolę. W takiej niewoli jęczą wszystkie narodowe kościoły tak schizmatyckiego Wschodu, jak i protestanckiego Zachodu. Prawda, że one nie znają walki z państwem, że panuje tam pokój; nie łudźmy się, jest to pokój umarłych. Kościoły narodowe błogosławią i uświęcają wszystko, co zarządzą stojący u steru rządu, ale ich błogosławieństwo nie posiada moralnej powagi; taką powagę może mieć

tylko Kościół wolny. Tę zaś wolność i niezależność od czynników państwowych daje Kościołowi właśnie tylko instytucya pozapaństwowa, ponad-narodowościowa, jaką jest papiestwo. Osłabić, nie tylko zerwać, ale choćby osłabić związek z papiestwem Kościoła jakiegoś narodu, to w rezultacie znaczy tyle, co obedrzeć go z nimbu Boskości i podkopać wszelkie jego znaczenie, jako potęgi duchowej i moralnej. Tylko krótkowidztwo może spodziewać się dla narodu korzyści z takiej polityki, chyba że korzyść tę będziemy mierzyli jedynie miarą czysto materyalnego postępu lub chwilowych politycznych sukcesów, choćby z zatraceniem wyższych duchowych i moralnych wartości narodu.

Pewne wyrazy i hasła wywierają magiczny skutek; zwłaszcza kiedy padną na uczucia, a rozum nie bada ich rzeczywistej treści. U nas może zajść niebezpieczeństwo, że pod hasłem unarodowienia przyjmie się najnędzniejsza teorya. Mówi się o unarodowieniu wychowania, unarodowieniu przemysłu, sztuki etc., dlaczegożby nie unarodowić religii? Ale podstawmy tylko inny wyraz rzeczowo tej samej treści, a urok cały pryśnie. Gdyby ktoś zaproponował przyjęcie b i z a n t y n i z m u, jako idealnej formy stosunków polityczno-kościelnych, uczucie nasze wzdrygnęłoby się: wyobraźnia nasunęłaby nam obrazy popich warkoczy, niskiego służalstwa kleru policyjnym celom machiny państwowej, zupełnej bezradności duchowej, wreszcie obraz ober-prokuratorskiej ostrogi, wpijającej się w organizm kościelny. Bądźmy przekonani, że pod nazwą Kościoła narodowego nie co innego się kryje, bo się kryć nie może co innego, jak bizantynizm. Historya go osądziła; nie mamy żadnego powodu pragnąć powtórzenia tego eksperymentu na własnej Ojczyźnie.

Ks. Jan Urban.

Zmiany w znaczeniu gospodarczem wojny.

Podobnej zmianie uległy stosunki wśród ludów, zamieszkujących góry i niziny. Dawniej zachodziły pomiędzy nimi pod tym względem wyraźne różnice. Plemiona górskie były bardziej wojownicze w stosunku do nizinnych, niż nizinne w stosunku do mieszkańców gór.

Dowodem, że przeludnienie zmniejsza się w miarę wzrostu zaludnienia, jest także zaniechanie dawniej wielce rozpowszechnionego zwyczaju zabijania wszystkich mieszkańców zdobytego kraju, bez różnicy płci i wieku, uzasadnione w chęci uzyskania jak największych przestrzeni niezaludnionych na rzecz zwycięzców. Jeszcze nie rozumiano, że praca ludzka dodaje wartości ziemi. Sądzono, że większa liczba ludzi uszczupla możność jej wyzyskania.

Uczyli Malthus i inni, że wojnę należy uważać za zjawisko niemal korzystne, ponieważ jest niezbędnym środkiem usunięcia przeludnienia. Jest nim także przyrost ludności, umiejętnie gospodarującej. Na zasadzie podobnych rozumowań uważano często wojny za skutek przeludnienia. Niewątpliwie w razie niezmiennego stanu organizacyi gospodarczej i techniki wzrost ludności, zaostrzając współzawodnictwo o ograniczoną ilość bogactw naturalnych, stawałby się czynnikiem sprzyjającym podejmowaniu wojen. W rzeczywistości jest inaczej. Postęp organizacyi i techniki umożliwia

coraz dostatniejsze wyżywienie coraz większej liczby ludzi. W tym stanie rzeczy przeludnienie może stać się skutkiem wojny. Jeżeli wojna uszczupli możności zarobkowania, wówczas, choćby wywołała ubytek ludności, ludność znajdzie się w trudniejszych warunkach, niż przedtem. Mimo ubytku ludności, może dojść do wzrostu wychodźtwa. Po wielkiej wojnie, którą przeżywamy, odpływ ludności z Europy do Stanów Zjednoczonych prawdopodobnie wzrośnie, o ile nie nastąpią zakazy państwowe w Europie lub Stanach. W czasie wojny zasobność Stanów w kapitały wzrosła, Europy zmniejszyła się, czyli wzrosła w Stanach, a zmniejszyła się w Europie zdolność dania zarobku ludziom. [1])

Wojna staje się zbędną w miarę zwycięstwa, także i w stosunkach międzynarodowych, ustroju bardziej wolnościowego. Istnieje możność osiedlenia się, zużytkowywania swoich kapitałów w krajach obcych. Można kupować towary z zagranicy, a sprzedawać jej rodzime. Dawniej merkantylistyczna polityka kolonialna polegała na zastrzeżeniu podwójnego monopolu dla kraju macierzystego. Wolno było surowce z kolonii wywozić jedynie do kraju macierzystego, a do kolonii wolno było przywozić towary przemysłowe wyłącznie z kraju macierzystego. Kolonia była gospodarczo dostępną wyłącznie na korzyść kraju macierzystego. Stosunki się zmieniły. Wprawdzie kraj macierzysty czasami posiada po dziś dzień pewne przywileje podobnego pokroju, ale przecie istnieje znaczna wolność w nawiązywaniu stosunków gospodarczych między mieszkańcami kolonii a innych państw. Dawniej także i poza sferą kolonialną utrudniano cudzoziemcom zarobkowanie, podczas gdy dziś (mam na myśli lata, poprzedzające wybuch wielkiej wojny) prawie wszystkie państwa, o ile chodzi o gospodarczą swobodę ruchów, niemal nie robią różnicy między cudzoziemcami, a własnymi poddanymi. Dziś podbój polityczny przestał być warunkiem gospodarczego korzystania z zasobów danego kraju. Cudzoziemcy mogą z nich korzystać i bez podboju przez wymianę w jej najrozmaitszych przejawach.

[1]) Z doniesień dziennikarskich sądząc, zdaje się, że obecnie stanie się ustawą w Stanach projekt od dawna rozpatrywany, zakaznjący przyjazdu analfabetów.

Temu rozumowaniu możnaby zarzucić, że byłoby trafne, gdyby organizacya gospodarcza stawała się wszędzie i stale coraz bardziej wolnościową. Mniej więcej w trzeciej ćwierci zeszłego stulecia stosowanie zasady wolnego współzawodnictwa osiągnęło najwyższy, dotąd urzeczywistniony stopień rozwoju. W latach siedemdziesiątych w wielu państwach zaznaczył się zwrot w kierunku przeciwnym. Przed wybuchem wojny istniały wysokie cła ochronne, wolność osiedlania się w obcych krajach była w niektórych z nich ograniczoną. Istniały także inne utrudnienia międzynarodowej wymiany. Wojna znacznie je zwiększyła. Kto wie, czy wiele ograniczeń wojennych nie będzie obowiązywało także po zawarciu pokoju. Jeżeli istnieją trudności w nawiązywaniu stosunków gospodarczych z poddanymi obcego państwa, w wyzyskaniu drogą wymiany jego bogactw naturalnych, wówczas nasuwa się pytanie: czy nie byłoby rzeczą korzystną podbić obce państwo i jego ludność w całości lub w części? Ideałowi powszechnej, wolnej międzynarodowej wymiany możnaby przeciwstawić państwo zamknięte w sobie, samo sobie wystarczające, a więc powrót do gospodarstwa odosobnionego w stosunku do zagranicy. Znaczna przestrzeń stanowi niezbędny warunek pomyślnego rozwoju państwa zamkniętego w sobie, gdyż tylko znaczna przestrzeń zabezpiecza rozporządzanie koniecznie potrzebnymi, różnorodnymi surowcami w dostatecznej ilości i jakości. Rozszerzenie granic państwa przedstawia znaczne korzyści gospodarcze.

Zarzut, o którym mowa, możnaby rozszerzyć. Gospodarcza swoboda ruchów spoczywa na równie nietrwałych podstawach w obrocie wewnętrznym, jak w międzynarodowym. Po wojnie każde państwo zechce samo wytwarzać całe pożywienie, całe uzbrojenie, potrzebne dla jego ludności. Wymiana międzynarodowa znacznie zmaleje. Coś podobnego nastąpi wewnątrz kraju. Spełnią się ideały socyalistyczne. Państwo ujmie w swe ręce życie gospodarcze. Zniesie własność prywatną i wymianę. Oparcie pokojowości na rozwoju gospodarstwa wymiennego nie liczy się z przyszłością, której znamieniem będzie zmierzch liberalizmu ekonomicznego.

O przyszłości trudno przesądzać. Chciałem wytłumaczyć przeszłe zdarzenia. Liczyć się z przyszłymi będzie zadaniem teo-

retyków następnego pokolenia. Z tem zastrzeżeniem zaznaczam, że jedno i drugie wydaje mi się mało prawdopodobne.

Nie należy przeceniać doniosłości zmian, które zaszły w polityce ekonomicznej wielu państw w ostatniej ćwierci XIX wieku. Mimo uskutecznienia tych zmian, ograniczenia miały raczej znamię wyjątków od ogólnej zasady wolnego współzawodnictwa, urzeczywistnionej ciągle jeszcze w rozmiarach dawniejszym stuleciom przeważnie nieznanych. Mimo ograniczeń wymiana międzynarodowa ciągle i szybko wzrastała. Zwyżek ceł nie uważam za przyczynę wybuchu wielkiej wojny, którą przeżywamy, ale czynnikiem pokojowym nie były. Prawdopodobnie nieco zaostrzyły przeciwieństwa międzynarodowe. Zniesienie wszelkich ograniczeń w międzynarodowym obrocie gospodarczym samo przez się nie byłoby równoznaczne z zaniechaniem wszelkich wojen, ponieważ wojny są wyrazem nietylko gospodarczych przeciwieństw, ale jako wyraźne stwierdzenie ekonomicznej bezprzedmiotowości wojen, zapewne wzmocniłoby dążności pokojowe.

Byłoby prawdopodobnie gospodarczo korzystniejszem, niż tworzenie choćby znacznych państw, odciętych ekonomicznie od zagranicy jest bowiem rzeczą nader wątpliwą, czy podbój, rozszerzający granice państwa, może zrównoważyć straty, wynikające z poniechania wymiany międzynarodowej. Jak dotąd, niema podstaw do przypuszczenia, że rozwój wypadków doprowadzi do znaczniejszego ograniczenia rozmiarów obrotu międzynarodowego, a tem mniej do jego zaniechania. Podczas wojny przejawiły się dobitnie ujemne skutki podcięcia obrotu międzynarodowego. „Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił". Po tych doświadczeniach potrzeba przywrócenia i rozwoju obrotu międzynarodowego w czasach pokojowych, gwoli osiągnięcia tym sposobem poprawy stosunków gospodarczych, będzie niezawodnie silnie i powszechnie odczuwaną.

Ograniczenia swobodnego ruchu osób i towarów, umniejszając opłacalność pracy pokojowej, zwiększają w porównaniu z nią korzyści pomyślnej imprezy wojennej. Ale to spostrzeżenie dostarcza przedewszystkiem jednego dowodu więcej przeciwko opłacalności ograniczeń gospodarczych. Jest stwierdzonem, że ich znie-

sienie, a nie, że prowadzenie wojen jest dobrym interesem. Stosowanie owych ograniczeń, podobnie jak prowadzenie wojen, może być wskazane z przyczyn politycznych lub narodowych, ale ani jedno, ani drugie nie jest najpewniejszym sposobem wzmożenia wytwórczości pracy ludzkiej.

Będzie także silnie i powszechnie odczuwaną chęć zniesienia ograniczeń, zarządzonych podczas wojny, krępujących wolny obrót gospodarczy wewnątrz kraju. Dzieje ostatnich ograniczeń i ich przyszłość w obrocie wewnętrznym są zasadniczo zbieżne z tem, co powiedziałem o obrocie międzynarodowym. Rozpatrując politykę ekonomiczną i społeczną na końcu zeszłego i na początku nowego stulecia, łatwo stwierdzić szereg odstępstw od zasad ściśle liberalnych. Ale przecie wolne współzawodnictwo stanowiło czynnik przeważający. Rozwój wypadków nie jest prostolinijny. Ludzie posługiwali się wolnem współzawodnictwem w życiu gospodarczem raz w mniejszej, to znowu w większej mierze. Kto wie, czy w przyszłości nie dozna dalszych ograniczeń? Znaczniejsze ograniczenia wolnego współzawodnictwa, któreby przetrwały czasy wyjątkowych przesileń wojennych lub innych, wydają się prawdopodobne chyba tylko o tyle, o ile nie będą wstrzymywały dalszego wzrostu wytwórczości ludzkiej, dalszych postępów techniki gospodarczej. Będą przelotnym epizodem, jeżeli ich ujemny wpływ na wzrost pokojowej wytwórczości ludzkiej stanie się oczywistym.

Niema danych, uzasadniających przypuszczenie, że dalszy wzrost pokojowej wytwórczości rychło ustanie. Jeżeli te przewidywania nie zawiodą, trudno przypuścić, ażeby gospodarcze zyski wojenne odzyskały moc przyciągającą. Oddziaływania gospodarcze tej wojny, o ile można o nich mówić na zasadzie dotychczasowego przebiegu wypadków, są, każdy to czuje, stwierdzeniem małej zyskowności zarobków wojennych w porównaniu z pokojowymi. Bogacą się jedni, ale kosztem drugich, skutkiem czego ogół ubożeje we wszystkich państwach wojujących. Nawet wzrost bogactwa w państwach neutralnych jest mniejszy, niżby się na pozór zdawało. Ma mało widoków trwałości. Także i mieszkańcy państw neutralnych nie zdołali uniknąć znacznej drożyzny, wywołanej stosunkami wojennymi.

Pisałem poprzednio o rozwoju współżycia ludzkiego i wojny, wskazując na zmieniającą się celowość działań wojennych, zabijania ludzi, brania jeńców, zaboru ruchomości i nieruchomości. Te wszystkie zmiany stają się zrozumiałe dopiero wtedy, gdy przypuścimy, że przynajmniej w pewnej mierze były zgodne z interesami gospodarczymi. Trudno sobie wyobrazić na podstawie tego, co wiemy o naturze ludzkiej, że dokonane zostały wbrew interesom gospodarczym. Cały ten rozwój jest wyrazem rozpowszechniającego się przekonania o wzrastającej wytwórczości gospodarstwa wymiennego i zmniejszającej się opłacalności wojny.

Rozwój współżycia ludzkiego polega na silnem, wielce widocznem wzmożeniu współzawodnictwa pokojowego, na wzroście współdziałania. Równolegle i współzależnie następuje zanik walk na rzecz wojen, poniekąd ubytek wojen. Współzawodnictwo pokojowe i współdziałanie wzrosło pod naciskiem wzrastających potrzeb gospodarczych. Rozwój gospodarstwa wymiennego jest równoznaczny ze wzmożeniem współzawodnictwa pokojowego. Dla osiągnięcia celów gospodarczych posługują się ludzie coraz częściej współdziałaniem. Jedno i drugie jest uwarunkowane ograniczeniem walk, a nawet wojen. Wymiana stopniowo sięga coraz dalej w przestrzeń. Powoduje ożywiony ruch osób i towarów na znaczniejsze odległości, który nie mógłby pomyślnie się rozwijać, gdyby nie nastąpiło pewne uspokojenie, obejmujące większe przestrzenie.

Z biegiem czasu coraz to większe bezpieczeństwo życia i mienia stanowi jeden z doniosłych warunków pomyślnego rozwoju gospodarczego. Dawniejsze gospodarstwo było mało kapitalistyczne czyli mało przewidujące. Człowiek dbał o zaspokojenie potrzeb chwili bieżącej. Nie próbował zabezpieczyć sobie przyszłości, bo był jej niepewien. Nie miał wielkiej skłonności do robienia zapasów na przyszłość, do tworzenia kosztownych urządzeń, które dopiero później mogłyby dać dochody odpowiednie nakładom, bo czuł się słabym wobec przyrody. Umiejętność przechowywania zapasów, budowania trwałych urządzeń była mało rozwinięta. Wobec częstych starć orężnych, człowiek czuł się ciągle narażonym na niebezpieczeństwo utraty życia lub majątku. Prze-

bieg wypadków stwierdza, że dopiero wówczas ludzie zdobywają się na większy wysiłek, na większą zapobiegliwość gospodarczą, gdy dochodzi do skutku zmiana organizacyi społecznej, zapewniająca ludziom w wyższym stopniu, niż przedtem, możność korzystania z owoców ich pracy i możność zapewnienia tych korzyści dzieciom. Odpowiednia zmiana organizacyi społecznej była warunkiem rozwoju gospodarstwa bardziej przewidującego. Pewne ograniczenie walk między ludźmi, zwiększające bezpieczeństwo życia i mienia, okazało się konieczne gwoli umożliwienia postępu w dobrobycie.

Już nam znany zanik walki na rzecz wojen jest, gospodarczo rzecz biorąc, wyrazem potrzeby zwiększenia bezpieczeństwa życia i mienia gwoli stworzenia tym sposobem warunków bardziej zyskownego gospodarowania. Państwo, chcąc skutecznie prowadzić wojny, musi jak najbardziej ograniczać walki między poddanymi. Aczkolwiek niejednokrotnie prowadzi wojny, jest jednak równocześnie organizacyą wybitnie pokojową, czem oddaje znaczne usługi życiu gospodarczemu. Wyższość gospodarcza wojen nad walkami polega właśnie na tem, że wojna zawiera w sobie pewne dążności pokojowe, obce walkom.

Zmiany w celowości poszczególnych działań wojennych są również przejawem zrozumienia, że poszanowanie wolności osobistej i prywatnych praw własności jest walną dźwignią postępu gospodarczego. Wojna przestała być sposobem zyskiwania niewolników, ponieważ ich praca okazała się podwójnie szkodliwą. Okazała się mało wytwórczą. Wpływała ujemnie na pracowitość ludzi wolnych. Z podobnych przyczyn uległ zmianie z biegiem czasu zabór nieruchomości i ruchomości. W zasadzie państwa, a nie społeczeństwa wiodą wojny. Podboje mają charakter publiczny. Podbicie kraju jest podporządkowaniem go innej zwierzchności państwowej, w zasadzie niepołączonem z naruszeniem prywatnych praw własności. Dążność ich poszanowania, dawniej nieraz całkiem nieznana lub znacznie słabsza, jest dziś widoczną, ponieważ okazało się, że własność stanowi skuteczną zachętę do wysiłków gospodarczych. Gospodarczo dawniejsza wojna jako wyprawa łupieska, jest bardziej zrozumiałą. Dlaczego właściwie lu-

dzie przestali porywać kobiety, brać niewolników, dlaczego zwycięscy żołnierze przestali rabować ruchomości zwyciężonych i przywłaszczać sobie ich ziemię? Przekonali się, że korzyści tego pokroju są chwilowe, raczej pozorne, niż istotne, że wymiana, połączona z poszanowaniem własności i wolności jest lepszym interesem. Ale w zwycięstwie tego poglądu mieści się właściwie zaprzeczenie gospodarczej racyi bytu wojen.

Wielce jest rozpowszechnione mniemanie, że wojna jest zjawiskiem koniecznem a nawet pożytecznem w pewnej, co prawda bliżej nieokreślonej dozie. Ale chyba nikt nie życzy sobie powrotu ciągłych walk między jednostkami, orężnych starć między grupami luźnymi, nie ujętymi w karby trwałej organizacyi państwowej. Chyba nikt nie życzy sobie brania niewolnika na wojnie, zaboru ruchomości i nieruchomości z pominięciem wszelkich prywatnych praw własności. Powrót do dawnego stanu rzeczy wydaje się niepożądanym z różnych przyczyn. Jedną z nich przeświadczenie, że tego rodzaju wskrzeszenie przeszłości byłoby zubożeniem gospodarczem (oczywiście i moralnem) ludzkości. Bogactwo społeczeństwa, zamieszkującego którekolwiek z państw nowoczesnych, znacznie zmniejszyłoby się w razie częstego powtarzania się zamieszek, rozruchów wewnętrznych. Wobec widocznej nieopłacalności walk trudno uprawdopodobnić, że wojny są gospodarczo korzystne.

VIII.

Twierdzenie o zmniejszaniu się zysków wojennych nasuwa szereg zarzutów, na które dotychczasowe wywody nie dają odpowiedzi. Jeżeli istotnie zyski wojenne stają się coraz bardziej pozornymi, cóż jest właściwie przyczyną wojen? Odpowiedź na to pytanie mam zamiar dać w następnej rozprawce. Chcę także rozpatrywać skutki wojen. Przy tej sposobności może uda mi się wyjaśnić, jak należy rozumieć korzyści gospodarcze, osiągnięte w toku dawniejszych wojen. Możnaby dowodzić, że wojny przyszłe są może gospodarczo zbędne wobec nowoczesnych postępów w wytwórczości pracy pokojowej, ale przeszłe w każdym razie

były źródłem wzbogacenia. Były opanowaniem kopalń złota, pól urodzajnych, czy też innych skarbów naturalnych, dostępu do spławnych rzek i do morza, były środkiem utworzenia wielkich państw, stanowiących założenie nowoczesnego bogactwa. Słowem stworzyły niezbędne warunki jego uzyskania. Wielkość tych korzyści jest trudno obliczalna, a jeszcze mniej uchwytna wielkość kosztów wojennych i utraconych możności rozwojowych.

Podrzędną jest rzeczą, czy wojna istotnie daje zyski? Rozstrzyga o ich podejmowaniu mniemanie, że tak jest.

Bez wątpienia. Ale, czy ludzie istotnie uważają wojnę za źródło zarobku? Zapatrywania na wojnę zmieniły się. Ich ocena ekonomiczna stała się mniej korzystną (ut supra „Wojna i Pokój" VI). Niemal jednozgodnie ludzie potępiają wojny zaczepne. Uważają tylko obronne za dopuszczalne. Nikt nie chce się przyznać do wywołania wielkiej wojny, która rozpoczęła się w roku 1914. Potępianie zaczepnych jest niewątpliwie wyrazem idei moralnych, a nadto gospodarczego przekonania o małej zyskowności wojen. Sądzę, że gdyby były na prawdę dobrym zarobkiem, ludzie okazywaliby mniej zapału w potępianiu wojen zaczepnych. Zarzut, o którym mowa, jest tylko częściowo zgodny z rzeczywistością. Ludzie coraz mniej cenią zyski wojenne, ale przecie jeszcze ciągle je przeceniają. Gdyby rozumieli w całej pełni wyższość gospodarczą pokojowej pracy, byliby jeszcze mniej skłonni do ich podejmowania.

Chłop nasz niejednokrotnie przepłaca parcelę, dokupywaną z obszaru dworskiego. Gdyby ten nakład pracy i kapitału włożył we własne gospodarstwo, które przedtem posiadał i zużył go umiejętniej i bardziej pomysłowo, niż poprzednie nakłady, z pewnością zarobiłby więcej. Ale w tem właśnie sęk, że jest niezdolny do takiego wysiłku umysłowego. Gdyby ludzie więcej wkładali pomysłowości w pracę pokojową, wojna stałaby się gospodarczo jeszcze zbędniejszą, niż dziś. Czerpie swą racyę bytu z niechęci do umysłowego wysiłku. Najtrudniej człowiekowi zdobyć się na samodzielną, twórczą, wynalazczą pracę. Jako chęć jej uniknięcia wojna jest gospodarczo najbardziej zrozumiałą. Z tego

stanu rzeczy ludzie jeszcze z pewnością nie zdają sobie dostatecznie sprawy.

Nie ma znaczenia, czy wojna ogółowi przynosi korzyści lub szkody *sub specie aeternitatis*. Wystarczy do jej wytłumaczenia, że chwilowo daje dochody, często znaczne, pewnym jednostkom, a nawet całym warstwom. Wojny dawniej niezawodnie rozpoczynano aż nazbyt często dla wzbogacenia łupem wojennym warstw lub jednostek, które je wywoływały chętnie zwłaszcza wtedy, gdy były w stanie innych zmusić, czy skłonić do narażania za nich życia. Dziś jednak stosunki uległy zmianie. Będę się starał później uprawdopodobnić, że nie można obecnej wielkiej wojny wytłumaczyć chciwością jednostek, czy poszczególnych warstw. Wprawdzie w każdem z państw wojujących pewne jednostki i warstwy na niej zarabiają. Gdyby nikt, choćby chwilowo na niej nie zarabiał, z pewnościąby ustała. Ale nie można tego wyniku wojny uważać za jej przyczynę.

Swoją drogą, pojmowanie wojny jako zmiany w rozdziale dochodu społecznego posuwa wielce naprzód jej gospodarcze zrozumienie. Czy jest trwałem wzbogaceniem, czy też zubożeniem społeczeństwa ludzkiego, trudno dojść. Jest pewnem, że zawiera w sobie zmianę w rozdziale dochodu społecznego i to podwójną: na korzyść pewnych warstw lub jednostek, oraz na korzyść pewnych społeczeństw. Wojna, ogólnie rzecz biorąc, może być złym lub dobrym interesem, mniejsza z tem. Wystarcza, że zazwyczaj bywa dobrym dla państwa zwycięskiego i jego mieszkańców. Ludzie chcą być bogatsi od innych, chcą należeć do społeczeństwa, które jest bogatsze od społeczeństwa, zamieszkującego sąsiednie państwa. Z tego punktu widzenia wojna byłaby zubożeniem jednych, połączona, choćby ze zubożeniem drugiej strony, byleby tylko stosunkowo mniejszem. W ostatecznym wyniku zysk gospodarczy zwycięzcy polegałby na tem, że stał się stosunkowo bogatszy. Mówią, że Stany Zjednoczone wzbogaciły się na tej wojnie. Niewątpliwie zubożały mniej od państw wojujących, czyli wzbogaciły się w stosunku do nich. Ale czy ich ogólne bogactwo wzrosło? Wolno wątpić. Także i tam drożyzna daje się we znaki olbrzymiej większości.

Nie twierdzę, że człowiek prowadzi wojny świadomie w celu zubożenia innych w wyższym stopniu, niż siebie samego. Atoli pewnym wynikiem wojny jest tylko zmiana w rozdziale bogactwa. Jego rzeczywisty, trwały przyrost lub ubytek skutkiem wojny jest niesprawdzalny.

Jeżeli tak jest, jakim sposobem można mówić o zmniejszaniu się wojennych korzyści gospodarczych? Sądzę, że wojna jest gospodarczo niewymierną. Nie wszystko da się w pieniądzu wyrazić, a i to, co można pieniężnie ocenić, jest szacowane wielce niedokładnie, bo właśnie podczas wojny wartość pieniądza czyli miernika ulega szybkim, nieobliczalnym zmianom. A więc ani przeszłe ani teraźniejsze czyste korzyści wojenne nie są nam znane. Mimo tego można o nich wyrobić sobie pewien sąd. Nie chodzi bowiem o ich bezwzględną wysokość, ile raczej o znaczenie, które im ludzie przypisują. Wzrastająca pokojowość oraz zmiany w celowości poszczególnych działań i zaborów wojennych, zmiany w polityce ekonomicznej i w poglądach gospodarczych byłyby niezrozumiałe, gdybyśmy nie przypuścili, że ludzie przypisują coraz mniejsze znaczenie wojnom w porównaniu z wytwórczością pokojowych zajęć. Zarówno wojna, jak zabiegi pokojowe stały się w coraz to wyższym stopniu usilną, systematyczną pracą. Podczas gdy korzystne owoce zwiększonego wysiłku pokojowego są widoczne, niepodobna stwierdzić istnienia uchwytnych zysków wojennych. Ich niewymierność, cała ich istota jest sprzeczna z rozwojem racyonalizmu w życiu gospodarczem. Pewnem jest, że kosztów przybyło z powodu wzrostu wartości i przedłużenia się życia ludzkiego. Również pewnie stwierdzić można zanik wiary w opłacalność stosowania przymusu. Zniesienie niewoli, przejście do gospodarstwa wymiennego, którego założeniem wolność działania, wzbogaciło ludzi. Zachwiało wiarę w zyskowność zarobków wojennych, zrodzonych ze stosowania przymusu. Długi czas podtrzymywało wiarę w nie przeświadczenia, że zarobek jednych pochodzi ze straty drugich. Gdy jednak rozpowszechnienie wymiany, wzbogacającej obie strony, okazało się najpewniejszem źródłem zamożności ogólnej, zabrakło także i tego uzasadnienia opłacalności zarobków wo-

jennych. Wojny dawniejsze można było w pewnej mierze uważać za wynik przeludnienia. Ale dziś, w miarę doskonalenia się organizacyi gospodarczej i techniki, coraz częściej nasuwa się wątpliwość, czy przypadkiem przeludnienie nie jest skutkiem wojen, powstrzymujących ludzkość w postępie gospodarczym.

Adam Krzyżanowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

O nowym polskim przekładzie czterech Ewangelii.

Kulturę polską charakteryzują trzy kierownicze i wybitne rysy: religijny, polityczno-patryotyczny i rycersko-ziemiański. Cokolwiekby można obok nich wymienić, zwłaszcza mówiąc o czasach porozbiorowych, i jakkolwiek rysy te bardzo rozbieżnie się zróżniczkowały, mimo to pozostanie faktem niezmiennym, iż religijność była jej rysem najcharakterystyczniejszym, a bywała niegdyś (począwszy od polskiego średniowiecza), dominantą, później dopiero przez ton patryotycznego bolu przegłuszoną.

W dziejowym pochodzie ogólno-ludzkiej kultury i my szliśmy po linii falistej, wznosząc się i obniżając za falami prądów zachodu, choć spóźnieni i słabiej je odczuwający — i my więc przeżywaliśmy smutnej pamięci dni duchowego obniżenia. Dziś jednak znowu za Mickiewiczem możemy stwierdzić, że „nadeszły czasy inne", — albowiem ożywczy prąd odrodzenia myśli i uczuć religijnych owiewa coraz silniej i wyraziściej cały nasz świat cywilizowany. Wraz z przypływem uczuciowym wznosi się i poziom naukowego zainteresowania i opracowywania dotyczących kwestyi, nastaje zwrot ku studyom nad genezą i filozofią religii, nad „Księgami świętymi" i Biblią, mnożą się wśród różnych prądów i kół etycznych młodzieży akademickiej koła chrystologiczne, wzmaga się wreszcie tak pożądana naukowa praca wśród kleru.

W dobie współczesnej — wśród dni fermentu, gnani przez fata politycznych i narodowych niepewności, udręczeń i prześladowań nie małą otuchę tak osobistą, jak i zbiorową znaleźć możemy i my także we wspomnianym odradzającym się prądzie życia religijnego, który i nas powoli ogarnia.

W najostatniejszych latach — w bieżących smutnych dniach przewlekłej, a potwornej w jej rozmiarach i środkach, wojny światowej ważą się wśród wielu innych i nasze losy. Dzień zmartwychwstania Polski — jak słońce nie dający się w dziejowym biegu powstrzymać przez nic i przez nikogo — nad skrwawioną jej ziemią zawitał. Powoli — sami nie dowierzając własnym oczom i uszom, stajemy się nie tylko biernymi świadkami tego cudu, przez ojców naszych tak gorąco i pokutnie wyglądanego, tej realizacyi zarazem sprawiedliwości dziejowej, ale jesteśmy współczynnymi bądź orężem, bądź radą i wszelakim ofiarnym czynem narodowym tego odrodzenia, tej restytucyi i powolnej regeneracyi i reorganizacyi pracownikami. W dniach tak olbrzymiego narodowego skupienia, przełomu, kiedy jeszcze nie opamiętawszy się ruin, spalenisk i ofiar w żywotach i mieniu, dla kultury wolnej Polski nowe polityczno-społeczne i międzynarodowe staramy się wypracować konstytucye i prawno-państwowe fundamenta — dziś właśnie nieobojętnym jest i tak już pozatem sam w sobie niesłychanej doniosłości fakt o p r a c o w a n i a i w y d a n i a n o w e g o, n a u k o w e g o p o l s k i e g o p r z e k ł a d u E w a n g e l i i.

Nieobojętny to fakt dla polskiej kultury wewnętrznej i polskiej nauki, że po trzystu przeszło latach od. Wuykowego, do dziś obowiązującego, ukazuje się nowy, katolicki, ale naukowo przeprowadzony i naukowo komentowany przekład tej najbogatszej i bezsprzecznie cudownej, a naprawdę nieśmiertelnej księgi świata, jaką jest „Nowy Testament“.[1])

[1]) Na razie mamy przed sobą „Cztery Ewangelie“ — ale karty tytułowe zapowiadają cały Nowy Testament. „Pana naszego Jezusa Chrystusa Nowy Testament wydał Ks. Władysław Szczepański T. J. 1 Cztery Ewangelie. Kraków, Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego.“ Karta tytułowa tej obecnie wyższej pierwszej części N. Testamentu brzmi: K s. W ł a d y s ł a w S z c z e p a ń s k i T. J. p r o f. p a p. I n s t y t u t u b i b l i j n e g o w R z y m i e. *Cztery Ewangelie* W s t ę p, n o w y p r z e k ł a d i k o m e n t a r z. Wydano zasiłkiem Akademii Umiejętności w Krakowie, kasy im. Mianowskiego w Warszawie i J. E. Arcyb. E. Dalbora w Poznaniu. Kraków, składy gł: G. Gebethnera w Krakowie, w Warszawie, w Łodzi i Lublinie i księg. Św. Wojciecha w Poznaniu. 1917

I dziwne zaprawdę zjawisko oglądają nasze rozmiłowane dla tej księgi oczy. Zadedykowana: „Ojczyźnie na ręce Jej Prymasa"— wydana współudziałem moralnym i materyalnym episkopatu wszystkich dzielnic polskich, a równocześnie, co jeszcze wymowniejsza, nakładem i subwencyą wszystkich trzech stolic dawnych zaborów, rozrywających dziś tak krwawo dotychczasowe dzielące je kordony.

Jeśli dodamy, że nikt nie był bardziej upoważnionym i nikt lepiej w Polsce przygotowanym do tego dzieła nad Ks. Władysława Szczepańskiego, profesora Instytutu papieskiego biblijnego w Rzymie i że wskutek tego przekład ten jest realizacyą najdalej idących postulatów współczesnej nauki — tedy obok radości uczujemy w sercu dumę, iż taka rzecz za naszych czasów doszła nareszcie do skutku i że dzieło tej wagi i tej doskonałości możemy mieć dziś wszyscy w ręce!

Ks. prof. Szczepański znany był w kołach naukowych jako autor prac naukowych z zakresu geografii i archeologii biblijnej.[1]) Mając nadto gruntowne podstawy filologiczne, mógł się stać dawno oczekiwanym nowym polskim tłumaczem Ksiąg świętych tak Nowego, jak i Starego Testamentu. Istotnie też w r. 1914 ukazało się w Rzymie wspaniale ozdobione reprodukcyami z Fra Angelika dzieło „Bóg-Człowiek w opisie Ewangelistów," harmonia ewangeliczna, dająca jednolity, chronologicznie zestawiony podług tekstów czterech Ewangelii żywot, naukę, mękę i śmierć Jezusa Chrystusa.

Dzieło to powitane ogólnym aplauzem najwyższego duchowieństwa polskiego, mnóstwem listów pasterskich zaszczycone, dało z jednej strony rękojmię, iż ks. Szczepański jest naprawdę powołany do przekładu Nowego Testamentu, z drugiej, wykazując olbrzymią masę jego pracy i umiejętności, naprowadzało przecież na obawy, iż nowy jego przekład, choć naukowo i niewolniczo wierny, jednak pozbawiony będzie polotu, cechującego staro-polskie przekłady, a to dlatego, że tłumacz nie oglądając się na żadne tradycye językowe, pragnął dać i dał naonczas przekład zupełnie współczesny.

Piszący te słowa nie mógł mu wtedy darować tego odrzuce-

[1]) Prócz szeregu rozpraw po czasopismach polskich i zagranicznych wydał: *„W Arabii skalistej."* Kraków 1907 — *„Na Synaju,"* Kraków 1908 — *„Nach Petra und zum Sinai,"* Insbruck 1908 — *„Geographia historica Palestinae antiquae,"* Romae 1912 — *„Bóg-Człowiek w opisie Ewangelistów,"* Rzym 1914. To ostatnie pięknie ilustrowane dzieło in folio (str. XL + 468) jest harmonią, w której tekst był nowego własnego przekładu Ks. Szczepańskiego.

nia bezwzględnego umiłowanych, znanych, a do dziś doskonałych i zrozumiałych zwrotów staropolskich, które zniknęły bez śladu w tym pierwszym przekładzie.[1]) Wywołana na tym tle dyskusya z tłumaczem doprowadziła do obustronnych ustępstw i zgody, zwłaszcza w miarę przeglądania i ustalenia ostatecznej redakcyi nowego trzykrotnie na nowo przez Ks. Szczepańskiego dokonanego przekładu czterech Ewangelii.

Zrazu nie otwierał on wcale ani Wuyka ani żadnego innego tekstu, przekładając sam z tekstu greckiego. Ostatecznie zajął następujące stanowisko: postanowił dać przekład całkowicie nowy, to jest niezależny od metod przekładaczy polskich dotychczasowych, ale przedewszystkiem filologicznie wierny i krytyczny, jednakże używając języka współczesnego, nie usuwać tonu archaicznego i pięknych, dobrych co do wierności, a powszechnie znanych zwrotów starych przekładów (Wuyka), godząc w ten sposób umiejętnie wymagania naukowe ze stylistyczno-estetycznemi i tradycyjnemi. Dalej: postanowił dać przekład wierny, to jest odzwierciedlić nie tylko każde zdanie w jego najwłaściwszym sensie, ale i każde słowo natchnionego tekstu w jego najistotniejszym odcieniu. Uzyskał wobec tego nie tylko *versionem* ale zarazem i *dilucidationem, in textu implicite* doborem wyrazu uskutecznioną. Mamy tu więc nie niewolniczy przekład werbalny, ale przebranie myśli poszczególnych, najprzenikliwiej zbadanych, w szatę polskiego przepięknego, poważnego stylu i języka.

Dalej: przekład miał być krytycznym, t. j. odpowiadającym poziomowi dzisiejszej krytyki tekstów biblijnych, przyczem uwzględniony został tekst grecki na równi z Wulgatą. Stało się to oczywiście nie tylko dla kompromisu, gdyż Kościół uznaje za oficyalny tekst łaciński Wulgaty, podczas kiedy naukowy, nowożytny przekład musi być oparty na oryginalnych tekstach greckich, rozpatrzonych i wydanych krytycznie, ale i dlatego, że między obu tekstami zachodzą pewne różnice, bądź braki, bądź znowu amplifikacye.

[1]) Wytykał mu też piszący z tego stanowiska cały szereg źle brzmiących wyrażeń w obszernym sprawozdaniu, które jednak wskutek wybuchu wojny nie ukazało się w druku. N. p.: peryodycznie (tak nieeufemistyczne w Ewangelii. Łk. 2, 1, str. 15 a—) w szeregu następnych (tamże) wszystkich chłopczyków (zam. pacholęta itp, Mt. 2, 16, str. 22 b) — zaniechaj na razie tych względów (— ἄφες ἄρτι — Mt 3, 15, str. 33 a) — napastników (zam. gwałtowników Królestwo niebieskie porywających — Mt. 11, 13, str. 101 a) — dziewczynko! (zam. tak wdzięcznej, a innej zupełnie dzieweczki — Mt. Mr. i Łk. str. 119 a) itp. Wszystkie te braki zniknęły jednak bez śladu w obecnie omawianym nowym przekładzie.

Powyżej nakreślony zamiar osiągnął Ks. Szczepański w sposób uchylający wszelkie zarzuty i wszelką krytykę, owszem zmuszający każdego znawcę tekstów ewangelicznych tak greckich jak i wszystkich polskich do najwyższego dlań respektu i gorącej wdzięczności. Zapewne, że ten i ów powołany do sądzenia podobnie trudnej, cierpliwej i odpowiedzialnej pracy tłumacza w niejednym szczególe miałby coś od siebie do powiedzenia — bo nawet wobec najsurowszych metod naukowych, i to jak najgorliwiej przestrzeganych, pozostanie u poszczególnych uczonych ostatecznym doradcą pewien indywidualizm w ich interpretowaniu i zastosowaniu. To też w czasie kontrolowania trzech redakcyi przekładu nieraz można było ten fakt stwierdzić z tym jednakże wynikiem, iż cokolwiek się w szczegółach tłumaczowi i wykładaczowi zarzucało, żądając odmiany czy poprawy, okazywało się wtedy, iż był on prawie zawsze świadom bądź możliwości zarzutu, bądź możliwości innej, odmiennej, wszakże przez niego pominiętej, lub odrzuconej interpretacyi wyrazu danego, czy sensu poszczególnych kwestyi. Owszem — miało się ciekawą sposobność przekonania się na każdym kroku, do jakiego stopnia drobiazgowości i przewidywania wszelkich możliwych zarzutów i różnic dochodziła sumienność naukowa tłumacza.

Podkreślamy to nie dla pochwały, ile dla istotnego usprawiedliwienia samych siebie, że nie odważamy się dziś robić żadnych szczegółowych zarzutów i krytyk ujemnych, wiedząc, że tłumacz w swej sumienności już i bez nas, albo prawie całkiem bez nas, dawał sobie radę. Tam jednakże, gdzie uwaga kontrolujących ostatnią redakcyę tekstu uznaną została przez niego za istotnie słuszną, poddawał on się cudzemu trafnemu zdaniu z podziwienia godną skromnością. [1])

---

[1]) Tutaj wypada uczynić małą wyjaśniającą dygressję. Pracując od kilku lat przed wojną nad stosunkiem literatury polskiej do Biblii, miałem sposobność zaznajomić się nie tylko z kwestyami biblijnemi i greckim tekstem, ale ze wszystkiemi polskiemi, albo raczej staropolskiemi przekładami. Z Ewangelią nie rozłączałem się nigdy, a wyruszywszy po wybuchu wojny jako żołnierz z Legionami w Karpaty, zawsze nosiłem ją w tornistrze.

Nie rozłączając się z Ewangelią i w szpitalu, miałem to zadowolenie, że zetknąwszy się wtedy osobiście z Ks. prof. Szczepańskim, mogłem widzieć zrealizowane przez niego dawne moje pragnienie — dokonania nowego krytycznego przekładu przynajmniej Nowego Testamentu.

Na skutek wspomnianej dyskusyi co do jego „Boga-Człowieka w opisie

Mając tak wzorowe, a trudne do przeprowadzenia w przekładzie metody i kryteryа, nie tylko że pokonał Ks. Szczepański wszelkie te trudności zwycięsko, ale wykonał nadto bardzo ścisły, krytyczny, przejrzysty, rzeczowy p o d z i a ł poszczególnych ustępów Ewangelii i ich kwestyi wedle chronologii i według treści, oraz zaopatrzył tekst niezbędnym k o m e n t a r z e m, słusznie pomijając w nim uwagi ascetyczne i apologetyczne, tak utrudniające dziś czytanie. Przekład uzyskał przez to doskonałą przejrzystość i zrozumiałość, posuniętą do maximum. Ile daje nieocenionych nowych wiadomości krytycznych i objaśnień jego świetny komentarz, niechaj osądzi czytelnik sam, porównawszy go z okropnym i niemożliwym dziś do strawienia, a przecież ku naszemu smutkowi do dziś dnia utrzymanym po wileńskich wydaniach Wuyka komentarzem Menochiusza, a choćby nawet z wielkiem paryskiem 28-tomowem wydaniem Migne'a: „*Cursus completus Scripturae Sacrae*."

Jeszcze to nie wszystko. Słusznie bowiem i ze wszech miar chwalebnie uczynił Ks. Szczepański, iż prócz nowego swego przekładu i nowego własnego komentarza, dał osobno c z ę ś ć w s t ę p n ą, zastępującą specyalną naukę „introdukcyi do Pisma św." a zawierającą w naukowem, przystępnem ujęciu ogół najważniejszych kwestyi, bez których znajomości nie da się absolutnie rozumieć tylu miejsc i ich sensu w Ewangeliach.

Ten „*Wstęp ogólny do Ewangelii*," wydany osobno w ubiegłym roku jako cz. I. całego dzieła, ma za cel, jak nas sam autor informuje, „zwięźle, metodą naukową podać to, co jest prawdziwie potrzebne, by wykształcony czytelnik mógł się zabrać z pożytkiem do naukowego studjum Ewangelii."

Pomieścił tu autor następujące rozprawy:

1. *Palestyna za czasów Chrystusa pod względem geograficznym, politycznym i etnograficznym.*
2. *Stosunki religijne wśród Żydów palestyńskich.* (I. Znamiona ogólne: monoteizm — powierzchowność — usuwanie się od pogan — drobiazgowość, II. Świątynia jerozolimska. III.

Ewangelistów" otrzymałem i ja od niego rękopis nowego przekładu do przejrzenia. Czyniłem to z najwyższą radością jako rekonwalescent jesienią roku 1915 go, a następnie po roku służby w 4 p. p. drugi raz znalazłszy się w szpitalu jesienią r. 1916. W takich warunkach, dręczony tylu niepewnościami ciężkich dni, które przeżywały i do dziś przeżywają Legiony polskie, znajdowałem w tej pracy nieprzepłaconą pociechę i pokrzepienie.

Ofiary starozakonne. IV. Święta kościelne. V. Bożnice palestyńskie. VI. Stan kapłański. VII. Sanhedryn żydowski. VIII. Uczeni. IX. Stronnictwa religijne: 1. Faryzeusze 2. Saduceusze. 3. Essenczycy. 4. Samarytanie. X. Nadzieje mesyańskie Izraela.)

3. *O Ewangeliach.* (I. O Ewangeliach wogóle. II. Ewangelia według Mateusza. III. Ewangelia według Marka. IV. Ewangelia według Łukasza. V. Ewangelia według Jana. VI. Greckie kodeksy czterech Ewangelii. VII. Najstarsze przekłady Ewangelii.)
4. *Dwa rodowody Chrystusa.*
5. *Chronologia życia Chrystusowego.* (I. Rok i dzień urodzenia Chrystusa. II. Publiczny zawód Chrystusa Pana. III. Chronologia ostatnich dni Jezusowych.
6. *Zestawienie harmonii ewangelicznej.*

Następują szczegółowe s k o r o w i d z e (1— geograficzny, 2— historyczny, 3— pisarzy, 4— biblijny, 5— skróceń) wreszcie spis analityczny treści i w dodatku dwie *mapy Palestyny* (fizyczna i polityczna.)

W tych dziesięciu arkuszach wstępu znajdzie czytelnik taką moc nowych szczegółów, tyle świetnej charakterystyki kraju świętego i jego ówczesnych pojęć religijnych, tyle erudycyi, najnowsze badania i całą literaturę światową przedmiotu uwzględniającej, że z zupełnie innem rozumieniem rzeczy, tak niepomiernie do czasów i ludzi Nowego Testamentu zbliżony, zacznie czytać Ewangelie.

Wstęp ten w swej skondenzowanej formie i niesłychanie bogaty w treść usuwa znakomicie tak bardzo dający się odczuwać w literaturze polskiej brak oryginalnego, a wyczerpującego podręcznika, wprowadzającego nowożytnego, wykształconego Polaka do krytycznej oceny Ewangelii. Już też wstępem tym zasłużyło dzieło w zupełności na nakład Akademii Umiejętności. Wartość tej pracy podnosi nie tylko znajomość historyi, archeologii i filologii orjentalnej, ale studja oparte na autopsyi, dokonywane przez autora „Arabii skalistej", „Na Synaju" i „Geographia historica Palestinae antiquae" w czasie jego podróży naukowych na miejscu w Ziemi Zbawiciela. Wyczuwa się to i ocenia z niezliczonego mnóstwa takich bezpośrednio zaobserwowanych przez niego szczegółów i doświadczeń.

Przejdźmy do części drugiej — do samego p r z e k ł a d u. Aby go należycie ocenić, trzeba tekst nowy zestawić z greckim i Wuyko-

wym. Przyzwyczajeni do Vulgaty czy do tekstu greckiego i pamiętający tyle niewolniczości i niezręczności szacownego zresztą i ulubionego Wuyka, znajdujemy tu tekst nowożytny wprawdzie, zrozumiały, przejrzysty, ale naprawdę pełen świętej powagi i namaszczenia, styl prosty i podniosły, w zupełności odpowiadający nastrojowo tak swoistemu a charakterystycznemu tonowi ewangelicznemu, język zwycięsko łamiący trudności gramatyczne i niedomówienia zbyt zwięzłego czasami tekstu, oddający wreszcie — co jest już sukcesem najwyższym — różnice indywidualne mowy i myśli autorów poszczególnych Ewangelii. Uważny czytelnik zaraz spostrzeże, jak różnym jest tu styl i język Marka a Jana itp.

A wreszcie — jeszcze jedna nowość i zdobycz prawdziwa — poetycki, pełen rytmicznej harmonii przekład natchnionych hymnów, rozsianych po Ewangeliach, zwłaszcza u Łukasza. Osiągnąć przy bezwzględnej wierności przekładu piękną poetycką formę hymnologiczną było niesłychanie trudno, o czem dowodnie sami mieliśmy się sposobność przekonać. Jakże jednak inaczej czyta się dziś te same znane ustępy!

Radzibyśmy tu dać całkowite zestawienie tekstów wszystkich czterech Ewangelii z greckim oryginałem i przekładem Wuyka. Niestety musimy poprzestać na Mateuszu. Otwierając pierwsze karty, widzimy odrazu przejrzysty rozkład rodowodu wstępnego Jezusa[1]). Porównajmy zdanie za zdaniem, wypisując w zestawieniu różnice i poprawki poczynione przez tłumacza, co nam da najoczywistszy argument do oceny jego przekładu[2]).

1 18: (*W*) pierwey, niżli się zeszli, naleziona iest w żywocie mająca (= dosłownie: πρὶν ἢ συνελθεῖν αὐτοὺς εὑρέθη ἐν γαστρὶ ἔχουσα) — (*S*:) zanim jeszcze zamieszkali z sobą, znalazła się w sta-

---

[1]) Tłumacz w komentarzu nie przemilczał ogłoszonej w 1898 r. odmianki tekstu greckiego, z której zdawałoby się poprostu wynikać twierdzenie o człowieczem pochodzeniu Jezusa i co do Ojca, lecz tak jasno wytłumaczył powód i źródło tej odmianki (przez t. zw. dittografię przepisywacza), iż najoporniejszych w tej kwestyi dowodnie przekonuje.

[2]) Tekst grecki i łaciński cytujemy według ostatniego podręcznego wydania krytycznego: „Novum Testamentum, Graece et Latine. Utrumque textum cum apparatu critico ex editionibus et libris manuscriptis collecto imprimendum curavit." *Eberhard Nestle.* Editio quarta recognita. Stuttgart 1912. Tekst Wuykowy wypisujemy z pierwszego wydania jego biblii Kraków 1599.

Najpierw dajemy Wuyka (*W*) — w nawiasie tekst grecki — następnie Szczepańskiego (*S*). —

nie błogosławionym.

20 i 24: przyiąć Marńey (παραλαβεῖν) — (słusznie dodaje X. S.:) w dom przyjąć — (objaśniając, że łac.: *accipere* nie oddaje gr. παρά)

— 25: y nie uznał iey aż porodziła syna... (= καὶ οὐκ ἐγίνωσκεν αὐτὴν ἕως οὗ ἔτεκεν υἱόν) — i żył z nią w panieństwie, aż powiła Syna...

2,2 i 9: gwiazdę iego na wschód słońca (ἐν τῇ ἀνατολῇ) — wschodzącą.

— 7: pilnie sie wywiadował od nich czasu gwiazdy, ktora się im ukazała. (— τὸν χρόνον τοῦ φαινομένου ἀστέρος) — pilnie ich wypytywał o czas pojawienia się gwiazdy.

— 10: uradowali sie radością barzo wielką (= ἐχάρησαν χαρὰν μεγάλην σφόδρα) — niezmiernie się cieszyli.

12 (i 22:) A wziąwszy odpowiedź we śnie (— καὶ χρηματισθέντες κατ' ὄναρ) — a pouczeni objawieniem we śnie.

— 13: Którzy gdy odiechali (= Vulg.: qui cum recessissent), *S*: kiedy zaś odjechali (= Ἀναχωρησάντων δὲ αὐτῶν).

— 16: y posławszy pobił wszystkie dzieci (= et mittens... καὶ ἀποστείλας ἀνεῖλεν...) *S*: i przez wysłańców pomordował... wszystkie pachołęta.

— 18: Głos iest słyszan w Ramie, płacz y krzyk wielki: Rachel płacząca synów swoich, y nie chciała sie dać pocieszyć, iż ich niemasz. (Jak poplątane tutaj gramatycznie orzeczenia, na skutek ślepego przekładania:

— φωνὴ ἐν Ῥαμὰ ἠκούσθη,
κλαυθμὸς καὶ ὀδυρμὸς πολύς.
Ῥαχὴλ κλαίουσα τὰ τέκνα αὐτῆς,
καὶ οὐκ ἤθελεν παρακληθῆναι, ὅτι οὐκ εἰσίν.

S: Słyszano krzyk w Ramie,
płacz i jęki wielkie:
Rachela płacze nad dziatwą swą,
i nie chce się ukoić, iż jej niemasz.
(Zupełnie inaczej brzmi — szkoda, że rytmicznie słabo.)

— 20: Którzy dusze dziecięcey szukali (niewolniczo: qui quaerebant animam pueri — τὴν ψυχήν...) *S*: którzy czyhali na życie dzieciny.

— 23: A przyszedłszy mieszkał w mieście, które zowią... *S*: Po przybyciu zaś osiadł w miasteczku zwanem...

3, 3: Bowiem ten iest, który opowiedziany iest przez Izaiasza proroka mówiącego: Głos wołaiącego na puszczy: gotuydie dro-

gę Pańską: proste czyńcie szczeżki iego. (Znowu niewolniczo za Vulg.; Gr: οὗτος γάρ ἐστιν ὁ ῥηθεὶς διὰ Ἡσαΐου τοῦ προφήτου λέγοντος.

φωνὴ βοῶντος ἐν τῇ ἐρήμῳ.
ἑτοιμάσατε τὴν ὁδὸν κυρίου,
εὐθείας ποιεῖτε τὰς τρίβους αὐτοῦ.)

S: O nim to właśnie u proroka Izajasza powiedziano słowa: „Głos się rozlega w pustkowiu:
Drogę gotujcie Panu,
prostujcie Mu ścieżyny!"

— 7-9: A gdy widział wielu z Phariezeuszów y Sadduceuszów przychodzących do chrztu swego, mówił im: Rodzaiu iasczórcy, któż wam pokazał abyście uciekali od przyszłego gniewu? Czyńcież tedy owoc godny pokuty. A nie chcieycie mówić sami w sobie... (... γεννήματα ἐχιδνῶν τίς ὑπέδειξεν ὑμὶν φυγεῖν ἀπὸ τῆς μελλούσης ὀργῆς...) *S*: A widząc wielu faryzeuszów i saduceuszów przystępujących do swego chrztu, odezwał się do nich: Plemię żmijowe! Któż was zapewnił, że ujdziecie przed nadchodzącym gniewem!? Czyńcież tedy owoce prawdziwej pokuty! A nie mówcie sobie w duszy.. (Por. 12 3 4: plemię żmijowe!)

— 12: Którego łopata w ręku iego, a wyczyści boiowisko swoie, y zgromadzi pszenicę swą do gumna, a plewy spali ogniem nieugaszonym.

S: Ma on wiejadło w ręku swem, a oczyści swoje boisko; pszenicę swą zbierze do spichrza, a plewy spali w ogniu, który się nie da ugasić. (πτύον, *ventilabrum* nie jest łopatą, ale wiejaczką, wiejadłem, rodzajem szufli do wiania zboża).

14-15: A Jan mu nie dopuszczał, mówiąc: Ja mam bydź ochrzczon od ciebie, a ty idziesz do mnie? A Jezus odpowiadając rzekł mu: Zaniechay teraz, albowiem tak się nam godzi wypełnić wszelką sprawiedliwość. Y tak go dopuścił. (ὁ δὲ διεκώλυεν αὐτὸν λέγων· ἐγὼ χρείαν ἔχω ὑπὸ σοῦ βαπτισθῆναι, καὶ σὺ ἔρχῃ πρός με; ἀποκριθεὶς δὲ ὁ Ἰησοῦς εἶπεν αὐτῷ· ἄφες ἄρτι· οὕτως γὰρ πρέπον ἐστὶν ἡμῖν πληρῶσαι πᾶσαν δικαιοσύνην. τότε ἀφίησιν αὐτόν.)

S: Ale (Jan) opierał Mu się, mówiąc: Ja powinienem być chrzczonym od Ciebie, a Ty przychodzisz do mnie? Jezus jednak odezwał się i rzekł: Pozwól na teraz! Bo wypada, byśmy tak dopełnili wszystkiego, co słuszne. Wtedy Mu

pozwolił. (Można było również dobrze ἄφθες tłom.: ustąp).

4, 5: Tedy go wziął dyabeł do miasta świętego, y postawił go na ganku kościelnym, y rzekł mu: Ieśliś iest syn Boży spuść sie na dół. Abowiem napisano iest: Iż Anyołom swoim rozkazał o tobie, y będą cię na ręku nosić, abyś snadź nie obraził o kamień nogi swoiey. (Τότε παραλαμβάνει αὐτὸν ἐπι τὸ πτερύγιον τοῦ ἱεροῦ, καὶ λέγει αὐτῷ· εἰ υἱὸς εἶ τοῦ θεοῦ, βάλε σεαυτὸν κάτω· γέγραπται γὰρ ὅτι

τοῖς ἀγγέλοις αὐτοῦ ἐντελεῖται περὶ σοῦ
καὶ ἐπὶ χειρῶν ἀροῦσιν σε,
μή ποτε προσκόψῃς πρὸς λίθον τὸν πόδα σου.)

S: Wtedy szatan bierze Go ze sobą do Miasta świętego i stawia Go na narożniku świątyni, i mówi doń: Jeśliś Synem Bożym, rzuć się na dół; napisano bowiem:

Aniołom swoim da rozkaz o Tobie,
a oni Ciebie na rękach poniosą,
byś snadź nie zranił swej nogi o kamień.

(Objaśnia słusznie, że *pinnaculum templi*, πτερύγιον τοῦ ἱεροῦ nie jest żadnym „gankiem świątyni" (*W.*) ale szczytem, narożnikiem murów zewnętrznych około świątyni).

— 12: iż Jan był wydan, (παρεδόθη) — że Jana podstępnie wydano.

— 13: na granicach Zabulon i Nephtalim — *S*: na pograniczu plemion Zabulona i Neftalego.

15-16: Ziemia Zabulon y ziemia Nephtalim, droga morska za Jordanem, Galilea poganów: Lud, który siedział w ciemności, uyżrzał światłość wielką: siedzącym w krainie cienia śmierci, weszła im światłość (niebardzo jasne!).

S: Ziemio Zabulona i ziemio Neftalego,
w nadmorskim szlaku po za Jordanem,
pogańska Galileo!
Lud, co siędział w ciemnościach,
Światłość ujrzał wielką, —
a pogrążonym w pomroków krainie
jasność zabłysła.

(Przykład poetyckiego brzmienia przekładu.)

— 21: ...uyżrzał drugich doń braciey... w łodzi z Zebedeuszem oycem ich, oprawuiąc (sic!) sieci swoie. (— καταρτίζοντας...)

S: ujrzał dwóch innych braci... którzy... porządkowali w łodzi swe sieci (porządkowali — w znaczeniu wyporządzali,

t. j. czśycili).

— 24: y przynosili mu wszystkie źle sie maiące, rozmaitemi chorobami y dręczeniem zięte: y którzy dyabelstwa mieli y lunatyki, y powietrzem ruszone: y uzdrowił ie. (= καὶ προσήνεγκαν αὐτῷ πάντας τοὺς κακῶς ἔχοντας ποικίλαις νόσοις καὶ βασάνοις συνεχομένους, δαιμονιζομένους καὶ σεληνιαζομένους καὶ παραλυτικούς, καὶ ἐθεράπευσεν αὐτούς.

S: I znoszono doń wszystkich chorych, nawiedzonych różnemi słabościami i cierpieniami. równie jak opętanych, lunatyków i paraliżem tkniętych, — a On ich uzdrawiał.

5, 22: Raka ...głupcze (raca ...fatue, ῥακά ...μωρέ) *S*: „zakało" ... „bezbożniku" (uzasadniając w przypisku filologicznie takie znaczenie tych wyrazów.

— 29: wszelki, który patrzy na niewiastę, aby iey pożądał (— ad concupiscendam eam; πρὸς τὸ ἐπιθυμῆσαι [αὐτὴν]) — S: każdy, kto pożądliwie patrzy na niewiastę — (poprostu, a zupełnie dobrze).

29 i 30: Jeśli ...oko twoie gorszy cię (σκανδαλίζει σε) *S*: jeśli cię ...oko ciągnie do grzechu. (Toż por. 18, 8 i 9.)

6, 26: Weyźrzycie na ptaki niebieskie (volatilia coeli, τὰ πετεινὰ τοῦ οὐρανοῦ). *S*: Przypatrzcie się ptakom w powietrzu.

— 34: Dosyćci ma dzień na swoicy nędzy (sufficit diei malitia eius; ἀρκετὸν τῇ ἡμέρᾳ ἡ κακία αὐτῆς.)

S: dość ma dzień każdy swojej własnej biedy.

7, 3: cóż widzisz źdźbło w oku brata twego a tramu w oku twoim nie widzisz (τὸ κάρφος — δοκὸν... festucam — trabem) *S*: Czemuż to widzisz drzazgę w oku brata swego, a belki w oku swojem nie spostrzegasz?

— 29: Abowiem ie uczył iako władzę mający, a nie iako Doktorowie y Pharizeuszowie (ὡς ἐξουσίαν ἔχων).

S: Nauczał je bowiem mocą swej własnej powagi, a nie jak ich uczeni [i faryzeusze].

8, 29: Co nam y tobie Jezusie (Quid nobis et tibi, — τί ἡμῖν καὶ σοὶ,) *S*: Co ci do nas... (Por. tak samo Mk. 1, 24. 5, 7. Łk. 4, 34. 8, 28 i Jan 2, 4: znane a tak niezręczne w swej dosłowności Wuykowe słowa: co mnie y tobie niewiasto — tłumaczy *S*: Mnie to zostaw, niewiasto — uzasadniając to w przypiskach; (patrz str. 47 przyp. 3-ci i 470 przyp. 6-ty).

9, 2: powietrzem ruszonego — *S* (j. w.:) porażonego.

— 9: na cle — (ἐπὶ τὸ τελώνιον in telonio).
S: przy rogatce celnej (b. słusznie.)

16-17: A żaden nie wprawicie łaty surowego sukna w wiotchną szatę. Abowiem obrywa od szaty całość iey (sic! bo Vulg: plenitudinem) y stawa sie gorsze przedarcie. Ani leią wina młodego w stare statki: bo inaczey pukaią sie statki, y wino sie rozlewa, y statki sie psuią. Ale młode wino zlewaią w statki nowe: a oboie bywaią zachowane.
S: Wszak nikt na stary płaszcz nie przyszywa łaty z surowego sukna, gdyż taka łata obrywa szatę, i powstaje większa dziura. Również młodego wina nie wlewają do starych bukłaków, bo inaczej dną się bukłaki, a wino się wylewa, i bukłaki przepadają. Ale młode wino wlewa się do nowych bukłaków, a tak jedno i drugie zachowuje się.
[Przytoczmy też tu wzorowe wprost przypisy: (7): *commissura* (*assumentum* Mk.) *panni rudis*, ἐπίβλημα ῥάκους ἀγνάφου = łata ze sukna, którego jeszcze nikt nie przemył, ani nie przewałkował sukiennik. Taki kawałek sukna, w razie namoczenia kurczy się gwałtownie; a jeżeli jest przyszyty na dziurze starej sukni, kurcząc się odrywa sobą dalej kawałek sukni i dziura się powiększa. *Vestimentum* Wulgaty = ἱμάτιον tekstu gr., a więc płaszcz.
Druga (8:) Przekład Wulgaty w tem miejscu (Mt. 9, 16) jest błędny; τὸ πλήρωμα (w greckiem) jest bowiem podmiotem a nie przedmiotem zdania. (Wulgata: plenitudinem.) Zresztą taż Wulgata tłumaczy już poprawniej ten sam tekst u Mk. 2. 21.)

— 21: y dotknęła sie kraiu szaty iego (fimbriam — κράσπεδον) *S*: strzępców Jego płaszcza. [objaśniając: żydzi nosili je (t. j. kutasy, frendzle, strzępce) na czterech rogach zwierzchniego płaszcza (ἱμάτιον) w celu uprzytomnienia sobie przykazań Bożych.] Por. 14, 36.

— 23: piszczków i lud giełk czyniący.
S: fletnistów i tłum zawodzący (τοὺς αὐλητὰς καὶ τὸν ὄχλον θορυβούμενον).

10, 29: za pieniądz (ἀσσαρίου — asse).
S: za jednego miedziaka. (Znowu doskonały przypis.)

34 i 35: Nie mniemaycie, żebym przyszedł puszczać pokóy na ziemię: nie przyszedłem puszczać pokoiu, ale miecz. Bom przyszedł rozłączyć człowieka przeciw oycowi iego, y córkę przeciw matce

iey, y niewiastkę przeciw świekrze iey. (— zbyt dosłownie βαλεῖν, mittere). *S*: Nie sądźcie, że przyszedłem pokój zapewnić ziemi. Nie przyszedłem, żeby wnieść pokój, ale miecz. Przyszedłem bowiem „wnieść rozbrat" między człowieka a jego ojca, i między córkę a jej matkę, i między synową a jej świekrę. (i objaśnia: *separare* διχάσαι, dosł. przeciąć na dwie części; tu przenośnie: wnieść rozbrat między ludzi, rozdzielić).

Przejrzawszy tak zdanie za zdaniem 60 stron przekładu ks. Szczepańskiego t. j. 10 pierwszych rozdziałów Mateusza, uzyskaliśmy dostateczny materjał na poparcie powyższych naszych sądów o wartości tej znakomitej pod względem krytycznym i stylistycznym pracy. Wiele niejasności Wuyka, niewolniczym przekładaniem spowodowanych niezręczności, wprost błędów czasami[1]) pozbyliśmy się nareszcie z polskich Ewangelii. Jeśli się zaś zważy, że przecież Ewangelie były z Biblii przez Wuyka najlepiej przełożone, że Psałterz i listy św. Pawła koniecznie wymagają nowego przekładu, tedy nie posiadamy się z zadowolenia, spodziewając się, że ks. Szczepański da nam cały polski przekład wszystkich ksiąg Biblii. Wtedy i różnice między nim a Wuykiem będą jeszcze większe, ale też i zasługa jego przerośnie i przetrwa zasługi Wuykowe.

Przekład jest nietylko bezwzględnie wierniejszym, unikając właśnie ślepej niewolniczości, ale nadto oddając wszelkie najdrobniejsze odcienia (w czem tekst grecki był walną pomocą) jest zarazem miejscami tak jędrny, że z całą plastyką stawia nam sytuacyę opowiadanych momentów. Przykładem tego jest śliczny ustęp, opowiadający o chodzeniu Jezusa po morzu. (Mt. 14, 22-33.) Kiedy Wuyek mówił: „zatrwożyli sie, mówiąc: Iż iest obłuda" — tutaj widzimy i słyszymy co innego: przerazili się i mówili: To widmo!" Słychać tu wprost ten okrzyk przerażenia. Temu okrzykowi odpowiada znów zawołanie zbliżającego się po falach Jezusa: „Odwagi!" — gdy Wuyek zachęcał słabo: „Mieicie u fność." Kiedy Wuyek użył wyrazów dziś trywialnych jak: plugawi człowieka (Mt. 15. 11) albo gęba (ryby) (Mt. 17, 27) — tutaj znajdujemy jedynie właściwe wyrażenia: plami — pyszczek (ryby), zaś zamiast kańciatych jak: „kłaść liczbę" (Mt. 18, 24) — czynić obrachunek. Wyrażenia znowu: na tarasie domu (zam. na dachu

[1]) Nie mogąc już nużyć czytelnika dalszym zestawianiem, przytoczymy tu choćby tylko jedno miejsce tak nieszczęśliwie u Wuyka niezręczne. Łk. 2, 23: *wszelki mężczyzna otwierający żywot* (scil. niewiasty), świętym Panu nazwany będzie. Tymczasem *S*: *Każdy pierworodny płód męski* ma być Panu poświęcony.

Mt. 24, 17) — k a g a n k i (zam. nieśmiertelnych zdawało się „lamp" panien mądrych i głupich, Mt. 25, 1.) — d o z a g r o d y zwanej Getsemani (zam. do wsi... Mt. 26, 36.) oddają nie tylko istotniej tekst oryginalny, ale zbliżają nas daleko bezpośredniej do jego treści. Przykładów takich wyliczaćbyśmy mogli całe litanie.

Nie możemy się nakoniec oprzeć chęci przytoczenia prześlicznych poetyckich ustępów tak dobrze znanych z Łukasza. Są to hymny natchnione: Magnificat Maryi Panny i hymn proroczy Zacharjasza.

Uwielbia Pana dusza ma, i w Bogu
mym Zbawicielu, duch mój się raduje,
iże na nizkość służebnicy swojej
wejrzał. Bo oto odtąd zwana będę
błogosławioną przez wszystkie narody.
gdyż wielkie dzieła spełnił mi Wszechmocny.
Święte ma imię; — toteż z pokolenia
na pokolenie miłosierdzie Jego
na owych, którzy w bojaźni Mu służą.
Stwierdza potęgę swojego ramienia,
w niwecz obraca dumne serc zamysły;
władców potężnych ze stolic obala,
pokornych zasię podnosi na wyże;
tych, którzy łakną napełnia dobrami,
bogaczów puszcza z próżnemi rękoma.
Przygarnął sługę swego Izraela,
pomny obietnic miłosiernych (swoich),
jak ojcom naszym rzekł, — Abrahamowi
a także jego potomstwu na wieki.[1])

Zaś hymn Zacharjasza:

Błogosławiony Pan Bóg Izraela.
iż łaskaw wejrzał i lud swój wybawił,
i Zbawiciela potęgę nam wzbudził
w rodzie Dawida, służebnika swego.
Jako od wieków był to zapowiedział
przez usta świętych swych prorokujących.
że nas wybawi z ręki naszych wrogów

[1]) Ustęp ten u Wuyka brzmiał daleko słabiej, nie mając nie tylko rytmu, ale i tej dosadnej plastyki wyrażeń. Por. n. p: „ Uczynił moc ramieniem swoim, rozprószył pyszne myślą serca ich. Złożył mocarze z stolice, a podwyższył niskie.' (Łk. 1, 47-55.)

i z ręki wszystkich, co nas nienawidzą;
że ojcom naszym będzie miłościwy,
i że na święte swe przymierze wspomni;
że nam dotrzyma przysięgi, złożonej
Abrahamowi, praojcu naszemu; —
byśmy od (naszych) nieprzyjaciół wolni,
zbywszy się trwogi, Jemu mogli służyć
w świątobliwości i sprawiedliwości,
przed twarzą Jego po wszystkie dni nasze.
A tyś pacholę, prorok Najwyższego!
bo chodzić będziesz przed Pana obliczem,
ażeby Jego przygotować drogi,
ludowi Jego głosić wieść zbawienia,
by odpuszczenia swych grzechów dostąpił,
przez wielki bezmiar łask Boga naszego,
które zlał na nas On — Światłość z wysoka,
by świecić owym, którzy są w ciemnościach,
i którzy w grubym mroku się rozsiedli,
by kroki nasze wieść drogą pokoju.[1])

Albo ten ustęp, który jest cytatem z Izajasza: (Iz. 40 2-5, tutaj Łk. 3, 4-6):

Głos się rozlega w pustkowiu:
Drogę gotujcie dla Pana,
Jemu prostujcie ścieżyny,
Niech każdy parów zapełnią,
zniżą szczyt każdy i wzgórze,
i dróg krzywizny sprostują,
i szorstkie szlaki zrównają...
A wtedy człowiek wszelaki
Zbawienie Boże obaczy.

A Wuyek zaczynał znanemi nam słowy: „Głos wołającego na puszczy...“

A wreszcie pełen siły wyrazu i dramatyczności w rytmie ustęp

[1]) U Wuyka w ustępie tym (Łk. 1, 68. 79) czytamy takie zdania: Dla wnętrzności (!) miłosierdzia Boga naszego, przez które nawiedził nas. Wschód z wysokości: Aby zaświecił tym, którzy w cieniu śmierci siedzą, ku wyprostowaniu nóg (!) naszych na drogę pokoiu. — Po tem zestawieniu nikt chyba bezwzględnie nad zarzuceniem piękności Wuyka płakać nie będzie, skoro wśród owych piękności takie przecież dziwolągi do dziś dnia cierpieliśmy.

także z Izajasza w Ewangelii zacytowany: (Iz. 61, 1-4-tu Łk. 4, 18-19):

Nademną Pański Duch!
Przetoż namaścił mnie,
bym głosił Dobrą ubogim Nowinę.
Posłał mię, (bym koił skruszone serca),
abym zwiastował jeńcom wyzwolenie,
a ociemniałym wzrok,
bym uciśnionych obdarzał swobodą,
rok zmiłowania Pańskiego ogłaszał
(i odpłacenia dzień...).

Wszyscy chyba znamy prolog św. Jana... A przecież ks. Szczepański przełożył go w ten sposób, że minjaturowy ten traktacik, ten istny klejnot wyposażony bezcennymi kamieniami myśli, nagłem światłem Bożem olśnionej, leży przed nami w swej całej głębi i przejrzystości nigdy nie zaobserwowanej. Prostym, a tak trafnym sposobem rozpisany na drobne człony poetyckiego i proroczego niemal rozumowania, staje się widoczną podwaliną misternej budowy całej filozofii chrześcijańskiej, przez tłumacza-architekta *ad oculos* zademonstrowaną.

Na początku było Słowo,
a Słowo było u Boga,
a Bogiem było Słowo,
Ono to było na początku u Boga.

— — — — — — — — — — — — — — —

Jest to korona tej niezmiernej i nieprześcignionej pracy.

Uważnemu czytelnikowi nie potrzeba na zakończenie żadnej rekapitulacyi. Tłumaczowi zaś — więcej niż wszelkie pochwały, listy zaszczytne, choćby od samego Papieża, które tak zasłużenie otrzymał — największą radością i chwałą jest własne jego dzieło.[1])

Zamknąwszy z uczuciem wdzięczności tę księgę, mimowoli uprzytomniwszy sobie iście apokaliptyczne piekło dni dzisiejszych, słyszymy na dnie duszy nagły okrzyk niepohamowanej tęsknoty:

„veni, Domine Jesu — cito!"

Józef Andrzej Teslar.

---

[1]) Mamy je już aprobowane przez Benedykta XV. w popularnem wydaniu w 50.000 nakładzie, na który Ks. Arcybiskup Dalbor dał subwencyi 25.000. Kor.

Psałterz Dawidowy dla użytku wiernych. Z Wulgaty na nowo przełożył X. Fr. A. Symon, arcybiskup. Kraków 1917, (16°, XXXII — 304).

Owocem pracy żmudnej i trudnej jest niniejsza książeczka, mała formatem, ale wytworna treścią. Płón to pracy ż m u d n e j, bo żmudnym jest wogóle każdy przekład, który chce być wiernym, a przytem pragnie zadość uczynić rozlicznym wymaganiom nowożytnego czytelnika. Jeśli jednak rzeczą, którą tłumacz chce czytelnikowi przyswoić, jest sam psałterz Dawidowy, wtedy talent tłómacza (prócz mozołu) ma jeszcze do pokonania t r u d n o ś c i nielada. Leżą one w genezie i we właściwościach samego psałterza gallikańskiego, którym się obecnie Kościół posługuje.

Czemże bowiem jest tak zw. Psałterz gallikański, który dotychczas figuruje w urzędowej Wulgacie kościelnej i w brewiarzu? To bardzo stary, ludowy przekład psalmów na język łaciński, dokonany nie bezpośrednio z hebrajskiego, ale z przekładu greckiego, zwanego tłómaczeniem Septuaginty, a w dodatku poprawiony przez św. Hieronima. Już sam przekład grecki psalmów hebrajskich według Septuaginty jest płodem literackim, o wartości dość podrzędnej. Cechuje go wierność, posunięta aż do niewolniczości, do poświęcenia, a raczej zatracenia nieraz samejże myśli oryginału, której tłómacz Psałterza często należycie nie zrozumiał. Jeśli tak wadliwy przekład grecki jest znów dalej podstawą dla przekładu łacińskiego, to z konieczności rzeczy wszystkie ujemne strony jeszcze w wyższym stopniu wystąpią w przekładzie łacińskim. Tak też się stało i taki stan rzeczy zastał w Kościele wielki Hieronim. Ponieważ psałterz łaciński był w powszechnem użyciu i lud go umiał prawie na pamięć, przeto o radykalnem usunięciu go na razie mowy być nie mogło. Hieronim zrobił, co mógł: oczyścił psałterz z dodatków, głos i objaśnień przepisywanych, a nadto w wielu miejscach sam tekst zmienił, wszystko według Septuaginty. Ta pierwsza praca św. Hieronima nad psałterzem nosi nazwę P s a ł t e r z a r z y m s k i e g o i jest dotychczas używana we Mszale rzymskim. Niezadowolony z tej niewdzięcznej roboty, która się tylko częściowo przyjęła, zabrał się św. Hieronim po raz wtóry do poprawienia starego psałterza znowu według tekstu greckiego, a ta jego druga praca nosi właśnie nazwę P s a ł t e r z a g a l l i k a ń s k i e g o, bo przyjęła się naprzód w kościołach Galii, a potem ogólnie, tak, że przeszła w skład Wulgaty kościelnej i brewiarza. Była to łatanina, miła Duchowieństwu i wiernym dlatego, że im zostawiała wiele rzeczy

(wprawdzie niezrozumiałych), ale które już się umiało na pamięć. Była ona mutatis mutandis, by użyć porównania z naszych czasów, modnem dziś u niektórych poprawianiem Wujka; — ale, rzecz jasna, nie mogła zaspokoić uczonego tej miary i smaku, co św. Hieronim, który — uporawszy się z nałożonemi sobie poprawkami, — zabrał się wreszcie do nowego przekładu Pisma św. już wprost z tekstów oryginalnych. Wiele ksiąg Pisma św. zostawił on nam w tym nowym, oryginalnym, a przepięknym przekładzie, między innymi także i Psałterz według tekstu hebrajskiego. Podczas gdy inne księgi Pisma św., mniej znane ludowi, przyjęły się w nowym, oryginalnym przekładzie Hieronima bez trudności i weszły w skład kościelnej Wulgaty, to Psałterz jego (według tekstu hebrajskiego), niestety się nie przyjął, z wielką szkodą dla rzeczy i dla samego Kościoła. Dlaczego? Bo habent sua fata libelli, rzecz starą umiano na pamięć! W sferach kościelnych nieraz odzywały się głosy, by temu koniec położyć, a obecnie papieska komisya, pracująca w Rzymie nad krytycznem wydaniem Wulgaty, poważnie się namyśla, czy w miejsce psałterza gallikańskiego, nie przyjść do tekstu urzędowego ostatniej pracy Hieronima: jego tłómaczenia według oryginału hebrajskiego? Jak ostatecznie rzecz wypadnie, nie wiem. Wspominam tu o tem wszystkiem, by wykazać, jak trudnego problemu podjął się Ks. Arcyb. Symon, przyswajając nam Psałterz gallikański, poprawiony i rozumiany w świetle tekstu hebrajskiego.

Jeszcze słów kilka o samymże „Psałterzu Dawidowym". Szczegółowe porównywanie nowego przekładu z Wujkiem byłoby łatwe, ale jest zbyteczne. To już nie poprawianie Wujka, ale zupełnie nowy przekład. Świadczy o tem każdy psalm, każdy prawie wiersz psalmu. Ile tu wszędzie jasności! Jaki wdzięk płynie z tych zdań prostych, w które tłómacz umiał ubrać przekład gallikański! Psalmy stają się jakby żywe, zrozumiałe i dostępne dla wszystkich! Dzieje się to głównie dzięki jasności przekładu i lapidarnego stylu, to prawda — ale także w wyższym jeszcze stopniu dlatego, że Dostojny Tłómacz uwzględnił także tekst hebrajski, głównie, gdy chodziło o czasy i odgadnięcie sensu w niezrozumiałych ustępach Wulgaty. Tak więc raz jeszcze została stwierdzona w praktyce zasada, że Psałterza przełożyć należycie niepodobna bez zaglądania do oryginału hebrajskiego.

Sąd o Psałterzu Dawidowym X. Arcyb. Symona może wypaść tylko jeden: Tak dobrego i jasnego przekładu, gdy chodzi o Psałterz gallikański, jeszcześmy dotychczas w Polsce nie mieli, a czy

w przyszłości otrzymamy, w to bardzo wątpić można. Cel swój: „służyć dla użytku wiernych", spełni on znakomicie i pogłębi niewątpliwie pobożność ludu naszego.

Ks. Władysław Szczepański T. J.

Z piśmiennictw obcych.

Von kommenden Dingen. Von Walther Ratenau. 1917. T. Fischer Verlag, Berlin, in 8-vo, 345 str.

Typowa książka niemiecka — ciekawa co do treści, lecz napisana w sposób niemożliwie ciężki, niezajmujący, a miejscami tak zawiły i mglisty, że trudno uchwycić wątek myśli piszącego. Autor daje w niej pogląd na stan ekonomiczny i duchowy Niemiec spółczesnych, wytyka jego strony ujemne i wskazuje punkty wytyczne dróg, po jakich, jego zdaniem, winno kroczyć niemieckie społeczeństwo. Wprawdzie niektóre z jego wywodów dałyby się zastosować do wszystkich narodów cywilizowanych, to jednak podkład jego rozumowań stanowią sprawy niemieckie, tak, jak się one ukształtowały po utworzeniu obecnej Rzeszy.

Na wstępie do swej pracy Ratenau, mając oczywiście na myśli protestantyzm niemiecki, pisze, iż

„wiara dogmatyczna podupadała z winy czynników, posiadających władzę. Były one za słabe, aby narzucić ją światu bez konkurencyi, lecz dość silne, aby przez całe wieki osłaniać ją ciemnemi szybami przed promieniejącem życiem ludów; wiara ta skonała, gdy okna gwałtownie wyrwano.

„Wynajdywać bogów, wymuszać znaki, przepisywać sakramenty — są to w dobrej wierze pomyślane, ale próżne sposobiki.. bo żadne sztuczne mędrkowanie nie zdoła zastąpić dawnych, namacalnych cudów przez pojęcia etyczne; przekonania transcendentalne żyją w naszem sercu, lecz wymagają nowej budowy, nowego przedstawienia, nowego oświetlenia. Zeszedłszy w najdalsze głębie naszego poznania, przekonujemy się, że nie są one próżne; powracamy z nich, przekonani o nieskończoności, o boskiej stronie stworzenia, oświeceni o powołaniu

naszego ducha, o naszej nad intelekt wyższej mocy i w posiadaniu tajemnic państwa duszy“ (str. 13).

W dalszym ciągu zaznacza autor, że książka jego skierowana jest przeciw dogmatycznemu socyalizmowi, który

„wyrasta z woli materyalnej, a którego ośrodkiem jest podział dóbr doczesnych, celem zaś stworzenie nowego porządku państwowo-ekonomicznego. Pomimo, że ten socyalizm stara się także czerpać z innych źródeł obce dla siebie ideały, to i tak w nich się nie odrodził, nie potrzebuje ich, one nawet mu szkodzą, bo jego droga prowadzi tylko od ziemi do ziemi, jego wiedzą najgłębszą jest bunt, największą siłą wspólna nienawiść, najdalej sięgającą nadzieją — ziemski dobrobyt“.

Za dwa czynniki, które wytworzyły obecną epokę taką, jaką jest, uznaje Ratenau: napór, liczebnie coraz silniejszych, niższych warstw ludowych, które przedarły cienką warstwę górną, nadającą dawniej charakter ludom europejskim i trzymającą je w karbach, oraz zmechanizowanie („Mechanisirung“), polegające na tem, że ludzkość po części świadomie, po części nieświadomie, została złączona w jedną przymusową asocyacyę, zacięcie walczącą o swój byt i przyszłość.

To zmechanizowanie jest, jego zdaniem, jednym z objawów ewolucyi, ale stanowi samo w sobie przymus, który wolno, a nawet trzeba zwalczać. Pewnem jest, że będzie ono służyło jako forma życia materyalnego tak długo, dopóki ludzkość nie spadnie liczebnie do normy ery przedchrześcijańskiej, ponieważ trzy funkcye zapewniają mu panowanie nad obecnem życiem na ziemi: podział pracy, opanowanie mas i opanowanie ich sił. (Str. 30).

Ludzkość jest wprawdzie upojona jeszcze tem swojem dziełem, ale tu i ówdzie budzi się już odruch przeciw zmechanizowaniu. Wydziedziczeni przez obecny porządek rzeczy domagają się swych praw, a uprzywilejowani czują się pokrzywdzonymi skutkiem zaniku wartości estetycznych i moralnych — wyrzuty sumienia odzywają się wszędzie.

Ratenau stwierdza, że: 1) Zmechanizowanie społeczeństwa zrodziło się z woli materyalnej i prowadzi ludzkość w kierunku przeciwnym duchowi. 2) Jest ono organizacyą przymusową, więc niszczy ludzką wolność i 3) Powstało ono nie na podstawie wolnego, świadomego układu, lecz na skutek liczebnego zwiększenia się ludzkości, jest zatem — mimo przeciwnych pozorów — procesem nieświadomym, bezwiednym objawem przyrody.

Oparłszy się na tych przesłankach, omawia on zasadnicze pod-

stawy obecnego ustroju społecznego, względnie ideały, jakimi ludzkość się łudzi.

Zadaleko zaprowadziłoby streszczanie całości jego wywodów, zaznaczamy więc jedynie, że ostrzega czytelnika, jakoby wolność i równość, tak, jak się jedziś pojmuje, mogły spełnić ziemskie postulaty ludzkiego życia duchowego, trzeba bowiem dążyć do wolności duchowej jednostki ludzkiej.

„Socyalizm — pisze Ratenau — nigdy nie zapalał serc ludzkich, w jego imieniu nie dokonano żadnego wielkiego i szczęśliwego dzieła, streszcza on interesy i budzi trwogę; ale interesy i trwoga mogą być panami dnia, nie epoki. Zamknął się on w granicach ponurej, rzekomej naukowości i straszliwego fanatyzmu rozumu... Gdy rozpatrzymy się w całości wyników ruchu socyalistycznego za życia ubiegłych trzech pokoleń, to — poza działalnością zawodowo-organizacyjną — dał on w rezultacie wzmożenie się ducha reakcyi, zniszczenie myśli liberalnej i zdyskredytowanie wolności... Ze swą wewnętrzną spólnotą interesów i zewnętrzną hierarchią urzędniczą, spadł socyalizm, który ongi miał być ruchem światowym, do rzędu partyi. Popadłszy zaś w złudzenie liczby i popularnej formułki jedności, stracił na rzeczywistej sile, w miarę, jak liczebnie wzrastał". (Str. 66).

Trojakie są drogi, po których winno iść społeczeństwo — zdaniem autora — do nowych celów, a mianowicie: droga gospodarki społecznej, droga moralności i droga woli.

Co się tyczy pierwszej z tych dróg, to da się ona określić w ten sposób:

„1. Produkcya i zamożność kraju muszą wzrastać, gdy marnotrawstwo zostanie wykluczone; gdy nadprodukcya zbyteczna zamienioną zostanie na produkcyę użyteczną; gdy usunie się próżniactwo, a użyje się każdą siłę rozporządzalną do produkcyi duchowej lub materyalnej; gdy zachowa się wolną konkurencyę i prywatną przedsiębiorczość; gdy odpowiedzialność za rządy będzie złożona na barki obyczajowo i duchowo najlepszych jednostek.

„2. Gromadzenie nadmiernych i martwych bogactw ma być wzbronione.

„3. Sztywne rozczłonkowanie warstw społecznych trzeba zamienić na więcej giętkie. Zamiast warstw stale obciążonych ma być wprowadzony żywy ruch między niemi oraz organiczne ich wznoszenie się i opadanie.

„4. Przez to wzrośnie potęga państwa, jego siła materyalna

i możność wyrównywania przeciwieństw, a równocześnie powstanie średni dobrobyt, przenikający wszystkie warstwy społeczne, usuwający różnice klasowe i prowadzący naród do możliwie intenzywnego rozwoju sił duchowych i gospodarczych". (Str. 151).

Następną z dróg wymienionych autor tak charakteryzuje:

„W świetle nowych dni wzbudzi się sumienie gospodarcze przez to, że własność będzie odtąd uważaną tylko za dobro powierzone, z którego trzeba zdać rachunek, a także przez to, że w miejsce samowoli posiadania przyjdzie poczucie odpowiedzialności za nie, wreszcie i przez to, że życie i praca nie będą cenione tylko z punktu widzenia zysku i użycia.

„Istota tej ewolucyi polega na tem, aby ta sama zasadnicza myśl państwa i wiary, która podporządkowywuje czyny moralne i polityczne pojedyńczego człowieka, jakoteż równość, granice i odpowiedzialność ludzką, wyższej jednostce, opanowała również rdzeń gospodarstwa społecznego oraz stosunków towarzyskich, dając wolność wyższego stopnia, zamiast wolności poślednejszej.

Wolność indywidualna powinna być zależną od wewnętrznych przekonań i przeżyć, z których rodzą się dzieła transcendentalności, serca, sztuki i myślenia" (str. 217).

Co do trzeciej wreszcie drogi Ratenau sądzi, że

„powinniśmy dążyć do jedności i solidarności spólnoty ludzkiej, do wytworzenia poczucia odpowiedzialności duchowej i boskiej równowagi. Biada pokoleniu, biadą jego przysłości, gdy, stłumiwszy głos swego sumienia, będzie tkwiło w tępocie materyalnej, gdy blichtr będzie je cieszył, gdy będzie pozostawało w więzach samolubstwa i nienawiści.

„Nie żyjemy tu na ziemi tylko dla posiadania, dla władzy, dla szczęścia, ale żyjemy dla przejaśnienia boskiego pierwiastka w ludzkim duchu".

Niezmiernie ciekawem jest to, co pisze Ratenau à propos wojny światowej w odniesieniu do swej ojczyzny:

„Dziś (t. j. 31 lipca 1916 roku) minęło dwa lata, gdy poczułem się oddzielonym boleśnie od sposobu myślenia mego narodu, o ile uważa on wojnę jako zbawcze wydarzenie.

„Od szeregu lat widziałem zmierzch mego narodu i ostrzegałem przed nim słowem i pismem. Jego oznaki widziałem w bezczelnym obłędzie ulic wielkiego miasta, w arogancyi życia zmaterjalizowanego, w ułudach miliardowych jubileuszu 1813 roku, w hańbie historycznych

epigramów Köpenicku i Saverne, a przedewszystkiem w śmiertelnej indolencyi bogatego mieszczaństwa, bojącego się odpowiedzialności i zamroczonego przez swe interesy. Na rok przed wybuchem wojny zwracałem po raz ostatni uwagę na zbliżające się wydarzenia. Nie z racyj politycznych, lecz na skutek praw transcendentalnych, musiały nastąpić wydarzenia największej wagi, bo Prusy uczyły się tylko przez otrzymane ciosy". (Str. 220).

Nieco zaś dalej (str. 221) czytamy:

„Nie mamy żadnej racyi ku temu, aby kierować losami świata, skoro nie nauczyliśmy się jeszcze kierować swym własnym losem. Nie mamy prawa narzucać narodom cywilizowanym naszych myśli i uczuć, gdyż jakiekolwiek słabe strony posiadałyby te narody, my nie osiągnęliśmy jednego: woli do uczynienia się odpowiedzialnymi".

Interesującym jest ustęp, poświęcony charakterystyce stosunku „kasty panującej" w Prusiech do reszty ludności tego kraju (str. 261 i następn.). Autor upatruje w nim podkład s ł o w i a ń s k i (s i c!), co różni go zasadniczo od stosunków, panujących w tych stronach, gdzie przynajmniej częściowo przechował się duch dawnych Germanów, jak we Fryzyi, Westfalii, Frankonii i Alemannii.

Z pokrótce naszkicowanej treści tej książki wynika, że jej autor widzi niebezpieczeństwo, grożące spółczesnym Niemcom przez to, że ugrzęzły w grubym materyalizmie i upomina, aby się nawróciły w stronę przeciwną.

Józef Trepka.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

O polską naukę religii w Poznańskiem. — Arcybiskup Zaleski. — Sprawa prałata Gerlacha. — Reforma katechizmu.

O polską naukę religii w Poznańskiem.

W drugiej połowie czerwca pruski minister oświaty ogłosił rozporządzenie co do używania języka polskiego przy wykładaniu religii w szkołach ludowych prowincyi poznańskiej. Do tego rozporządzenia dodaje półurzędowa Nord. Allg. Zeitung następujące objaśnienie:

„Jak się dowiadujemy, wydał obecnie minister oświaty rozporządzenie co do używania języka polskiego w wykładzie religii w szkołach ludowych prowincyi poznańskiej, które to rozporządzenie nadaje ogólne znaczenie dotychczasowym rozstrzygnięciom różnych pojedynczych przypadków. Już od początku wojny władze szkolne przykładały wagę do przywrócenia języka polskiego w nauce religii w tych szkołach prowincyi poznańskiej, gdzie był brak nauczycieli, mówiących po polsku, i gdzie skutkiem tego nauka religii w niemieckim języku odbywać się musiała. Prócz tego bywały w wielu wypadkach uwzględniane podania o dopuszczenie języka polskiego w nauce religii tam, gdzie większa część uczniów początkujących nie posiada dostatecznej znajomości języka niemieckiego.

Obecnie ma być wprowadzony język polski w nauce religii na niższym stopniu, bez osobnych podań ze strony interesowanej wszędzie tam, gdzie część dzieci, wstępujących do szkoły, niedostatecznie włada

językiem niemieckim. Jeżeli dana szkoła nie posiada nauczyciela, mówiącego po polsku, wtedy należy wezwać nauczycieli ze szkół sąsiednich, a gdyby — i dopóki to okaże się niemożliwem, — polecenie nauczania religii dzieci polskich otrzymają odpowiedni duchowni. Co do uwzględnienia liczby dzieci, mówiących po niemiecku, lub tylko po polsku, również i co do zużyć się dających sił nauczycielskich, rozstrzygnie każdorazowo regencya w poszczególnych wypadkach. W załatwianiu i przeprowadzeniu niniejszego rozporządzenia tak władze, jak dozór szkolny i nauczyciele winni kierować się zasadą uprzejmego przyzwalania (entgegenkommender Billigkeit), a w poszczególnych wypadkach zdarzające się trudności niech starają się pokonać i usunąć".

Do wyjaśnień tych dodaje poznańska „Gazeta Narodowa" następujący komentarz:

„Taka jest treść najnowszego rozporządzenia ministeryalnego. Wynika więc z niego, że polska nauka religii ma być ograniczona do szkół ludowych Księstwa Poznańskiego w najniższym oddziale, gdzie wstępujący nowi uczniowie nie władają dostatecznie językiem niemieckim. Stwierdzić nasamprzód trzeba, że rząd wskutek swej wieloletniej błędnej polityki szkolnej wyzbył się dostatecznej liczby polskich sił nauczycielskich. Tak jest w Księstwie Poznańskiem. Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa w Prusach Zachodnich, na Warmii i Górnym Śląsku. Ale tu już musi rząd sam starać się o to, by popełnione względem ludności polskiej błędy naprawić i postarać się o wykwalifikowanie potrzebnych dla wykształcenia ludowego sił polskich. W żadnym razie oświata ludowa, a przedewszystkiiem wychowanie religijne i moralne, nie mogą doznawać uszczerbku z powodu rządu pruskiego, który przez dziesiątki lat zaniedbywał najprostszych powinności względem społeczeństwa polskiego i wprost tamował Polakom drogę do zajmowania posad nauczycieli ludowych. Dziś rząd sam przyznaje się pośrednio do winy, uznając potrzebę przywrócenia wykładu polskiego w nauce religii. Do tego potrzeba było jednak wielkiej wojny światowej i niesłychanych ofiar w krwi i mieniu polskiego narodu. Widzimy jednakże w tem minimalnem ustępstwie jedynie zadatek równouprawnienia ludności polskiej z niemiecką. Ma do niego prawo przyrodzone nie tylko polska ludność Księstwa Poznańskiego, lecz także Prusy Zachodnie, Warmia i Śląsk, jak niemniej polscy mieszkańcy, gęsto osiedleni w prowincyach niemieckich. Nie podzielamy także zapatrywania pruskiego ministra oświaty, jakoby wystarczającem było uwzględnienie polskiego wykładu religii w najniższej klasie szkoły ludowej.

Zasadniczym bowiem postulatem wychowania moralnego jest i musi być niezmiennie możność wpajania dziecku najświętszych prawd w języku ojczystym podczas wszystkich lat nauki szkolnej.

Jeszcze jedno zastrzeżenie: Powiedziano w rozporządzeniu ministeryalnem, że ewentualnie powierzonoby naukę religii „odpowiednim" duchownym. Nie wiemy, co rząd pragnie przez to powiedzieć, bo uważamy, że z powołania kapłańskiego wypływa posłannictwo nauczycielskie przedewszystkiem tam, gdzie idzie o szerzenie prawd wiary i wpajanie ich młodzieży. Zresztą sama władza duchowna jest jedynie powołaną do rozstrzygnięcia o kwalifikacyach danych osobistości i ona też udziela pozwolenia kanonicznego, czuwając nad sumiennem spełnianiem obowiązków i zadań przez nauczycieli religii".

Dodajmy od siebie ogólnikowo, że i to jeszcze nie czyni zadość prawom przyrodzonym w stosunku do szkoły.

Arcybiskup Zaleski. Długoletni delegat apostolski dla Kościoła w Indyach, Arcybiskup Zaleski, został odwołany z tego stanowiska do Rzymu i przy tej sposobności wyniesionym został do godności łacińskiego patryarchy Antiochii. W tej chwili, gdy Rzym przez wojnę wymieciony został z Polaków, gdy powaga kwestyi polskiej domaga się gorąco jakiegoś wpływowego przedstawiciela Polski przy Watykanie, Opatrzność zrządza, że jeden z najlepszych synów Polski przybywa na stałe do Rzymu.

Arcybiskup Zaleski znany jest w kraju ze swoich prześlicznych prac pisarskich, zamieszczanych w Misyach katolickich i wydanych osobno, o charakterze misyjno-historycznym. Zwłaszcza umiejętne zebranie tradycyj indyjskich o św. Tomaszu Apostole pozostanie niezapomnianą zasługą Arcybiskupa Zaleskiego. Dochodziły też do kraju wieści o wielkich i błogosławionych skutkach działalności apostolskiej Arcybiskupa. Niewątpliwie „Misye katolickie" podadzą wkrótce dokładny opis tej działalności. Dziś zanotujemy głos prasy zagranicznej o naszym rodaku. Oto, co za pismem angielskiem pisze pismo niemieckie:

„Ustępujący delegat apostolski dla Kościoła w Indyach bezsprzecznie zdobył sobie największe zasługi. Od r. 1892, a więc lat 25, piastował wysoki urząd delegata apostolskiego. Przedtem jeszcze (od r. 1886) jako sekretarz obydwu swych poprzedników, wywierał wielki wpływ na rozwój misyj indyjskich. Był on twórcą myśli założenia

w Indyach Centralnego Seminaryum dla Indyi, jemu też powierzono przygotowanie i przeprowadzenie planów. W czasie swej podróży po Indyach w zimie r. 1890/91 badał kwestyę krajowego duchowieństwa w poszczególnych dyecezyach. Jego sprawozdanie w tym przedmiocie przyjęto w Rzymie z pełnem uznaniem i dlatego otrzymał w dniu 19 lutego 1893 r. telegraficzne polecenie, ażeby natychmiast założył seminaryum w Kandy na Ceylonie. Encyklika papieska „Ad extremas Orientis oras" z dnia 24 czerwca 1893 r. wzywa świat katolicki do poparcia tego przedsięwzięcia. Pocieszający rozwój seminaryum i postawienie go w całem tego słowa znaczeniu na stopie wzorowego zakładu, jest główną zasługą niezmordowanych zabiegów i pracy Mgra Zaleskiego.

Nie mniej ożywionym i owocnym był jego udział w pracy około nawracania niższych warstw ludności na jego szerokiem polu działalności. Najmocniej był przekonanym, że nawracanie Indyi powinno odbywać się, poczynając od warstw biedniejszych. W ciągu rozlicznych objazdów wizytacyjnych po Indyach — najmilszym jego wypoczynkiem było obcowanie z nowonawróconymi. Szczególną zdolność miał on przyciągania dzieci ku sobie; to też zawsze, gdzie się ukazał, spieszyły one ku niemu.

Także na polu piśmiennictwa położył zasługi arcybiskup Zaleski. Przez stałe zasilanie „Misyi katolickich" swojemi artykułami, umiał On obudzić w polskich czytelnikach zainteresowanie się misyami. Kilka z tych sprawozdań ukazało się także w tem piśmie. Prócz tego zasługują na pełną czci wzmiankę jego inne rozmaite prace drukowane, o charakterze historyczno-misyjnym i metodyczno-misyjnym, które wysyłał bezpłatnie swoim indyjskim współpracownikom w winnicy Pańskiej.

Pomimo wątłego i słabego zdrowia arcybiskup Zaleski był niezmordowanym w wiernem wypełnianiu swego obowiązku i wytrwał w niem, nic nie folgując sobie w rozlicznej swej działalności. Duchowieństwu swojemu był i pozostał jako wzór męża o silnym charakterze i żarliwego misyonarza; katolicki zaś lud indyjski zachowa na długo we wdzięcznej pamięci swego pełnego miłości Ojca". („The examiner" 1916, 471 i „Die kathol. Missionen" März 1917).

Ze stanowiska sprawy polskiej dodajmy, że Arcybiskup Zaleski pozostawał zawsze w zetknięciu z krajem i każdą jego ważniejszą sprawą żywo się zajmował.

Sprawa prałata Gerlacha.

Dzienniki ostatnich dni doniosły o wyroku w głośnym procesie przeciw prałatowi Gerlachowi, papieskiemu szambelanowi. Prałat Gerlach został skazany zaocznie na dożywotnie więzienie.

Prałat Gerlach, narodowości niemieckiej, przebywający po wybuchu wojny włoskiej nadal w Watykanie, posądzony był o szpiegostwo na korzyść Niemiec, przy czem miał działać w porozumieniu z niejakim Włochem Tedeschi. Już dziś z całą pewnością stwierdzić można, że oskarżenie miało charakter tendencyjny, a zmierzało do rzucenia plamy na Watykan. Masońskiemu rządowi włoskiemu chodziło o kompromitacyę Watykanu, o podsunięcie Papieżowi współwiedzy w rzekomej akcyi szpiegowskiej. Można pojąć, z jak zapartym oddechem oczekiwano w Watykanie wyroku. Położenie Papieża wśród państw ententy wcale nie jest godnem zazdrości, nie jest niem szczególniej we Włoszech. Do steku oszczerstw na Papieża przybyło oszczerstwo nowe, mogące mieć następstwa. Sprawa przedstawia się tak:

Koło osoby prałata Gerlacha kręciły się od samego początku wojny włoskiej różne indywidua, nasyłane przez rząd, z zamiarem przychwycenia czegoś, coby mogło wzbudzić podejrzenie. Zamiar ten jednak nie doprowadził do żadnych wyników. Wtem zaszło tajemnicze zatonięcie włoskiego okrętu wojennego „Benedetto Brin" w zatoce tarentyjskiej. Rząd kazał uwięzić kilku ludzi i wytoczył im zaraz proces przed sądem wojennym; między uwięzionymi i oskarżonymi był także spedytor pocztowy Watykanu, Ambrogetti. W pierwszej chwili wydany był rozkaz aresztowania także Gerlacha, cofnięto jednak zaraz ten rozkaz wobec sprzeciwu Papieża. Zaraz na drugi dzień zjawił się u sekretarza stanu baron Monti w imieniu rządu włoskiego i Papieża uroczyście przeprosił za samowolę policyi. Dorzucił jednak, że rząd włoski pozostaje w tej sprawie pod naporem francuskiej dyplomacyi, która żąda, by prałat Gerlach natychmiast Rzym opuścił. Zresztą, jak twierdził, pomiędzy ludem włoskim rozeszła się wieść o szpiegostwie niemieckiego prałata, wobec czego rząd włoski nie mógłby gwarantować za bezpieczeństwo Watykanu. Rząd niema przeciw Gerlachowi żadnych poszlak i żadnych posądzeń, musząc się jednak liczyć z nastrojami ludu, żąda, by Gerlach jak najprędzej Rzym i Włochy opuścił. Jeżeli Gerlach wyjedzie, to proces będzie prostą formalnością i spedytor Ambrogetti odzyska natychmiast wolność.

I rzeczywiście 1 stycznia 1917 r. opuścił Gerlach Watykan i Włochy. Uczynił więc zadość Papież woli rządu włoskiego, wpadł jednak

tem samem w zasadzkę masonii. Teraz dopiero rozpoczęła się na dobre nagonka na Watykan. Radykalny poseł Felico-Giufrida wystąpił zaraz w parlamencie włoskim przeciw Gerlachowi z zarzutem zdrady stanu i oskarżył rząd, że dopuścił do ucieczki szpiega. Pisma loży, które na to hasło czekały, uderzyły na alarm. Rej wiodło „Messagero". Związek Giordana Bruno rozrzucił olbrzymią masę świstków, w których dowodzono, że Papież popierał i w Watykanie trzymał szpiegów takich, jak Gerlach, że zatem nieodzownem jest, by Watykan przeszedł pod prawo rządu. W samym Rzymie rozrzucono takich świstków 50.000. Cenzura i policya przypatrywała się temu z założonemi rękami.

Równocześnie proces, który miał być tylko formalnością, urósł do olbrzymich rozmiarów. Powołano 120 świadków. Mimo to jakiejkolwiek winy Gerlacha nie zdołano stwierdzić. Wtedy chwycono się obosiecznego środka, wyszukano indywiduum, osławione we Włoszech i poza granicami Włoch, pseudo-księdza, a obecnie żołnierza w Kalabryi, Tedeschiego. Ten Tedeschi jest jedynym świadkiem, na którym wspiera się wyrok przeciw prałatowi Gerlachowi i Watykanowi.

O tym Tedeschim rośnie obecnie literatura kronikarska w dziennikach z dniem każdym. Stwierdzonym naprzykład jest faktem, że przed kilku laty wysłała za nim policya szwajcarska dwa listy gończe. Czy jest w rzeczywistości wyświęconym na księdza, czy nie, nie możemy orzec na pewno; w każdym razie ani sukni kapłańskiej nie nosi już od dłuższego czasu, ani funkcyi kapłańskich nie spełnia. „N. Züricher Nachrichten" twierdzą, że został wyświęconym na księdza przy pomocy sfałszowanych dokumentów; „Reichspost" w numerze o kilka dni późniejszym pisze, powołując się na wiadomość z Watykanu, że święconym na księdza nigdy nie był, że posiada tylko sfałszowane świadectwo święceń. Podług tej wiadomości ma być tylko ochrzczonym żydem. Wprost potworne są oszustwa i występki, jakich przez dłuższy czas dopuszczał się w Paryżu. Przytoczmy jeden szczegół. Było to w czasie katastrofy mesyńskiej. Na ofiary płynęły w Paryżu liczne składki. Część tych składek, wynoszącą milion franków, złożyła pani Marschall na ręce Tedeschiego. Po pewnym czasie ofiarował Tedeschi w darze pani Marschall fotografię szpitala w Messynie, który za ten milion franków miał być wybudowany. Po bliższem zbadaniu sprawy okazało się nad wszelką wątpliwość, że nie była to fotografia domu, ale domku kartonowego. Po całym szeregu takich sprawek musiał pospiesznie opuścić Francyę, bo policya zaczęła go poszukiwać.

Powrócił na włoski bruk, na którym powszechnie jest znany pod ironiczną nazwą: „kapelana królów neapolitańskich".

Takim jest świadek loży włoskiej. Otóż ten świadek zeznał, że miał rozmowę w cztery oczy z Gerlachem, podczas której Gerlach obiecał mu 100.000 lir, gdyby dopomógł skutecznie do zatopienia wielkiego włoskiego okrętu wojennego. O tej rozmowie milczał dotychczas, ale teraz patryotyzm każe mu wyjawić prawdę.

W czasie procesu zaszedł następujący szczegół. Adwokat Scimonelli, broniący oskarżonych, zapytał Tedeschiego, czyby poznał Gerlacha z fotografii. Na odpowiedź twierdzącą podał mu dziesięć fotografij prałatów watykańskich. Tedeschi po krótkiem szukaniu wybrał jedną i oddał ją adwokatowi jako fotografię Gerlacha. W rzeczywistości sprawa miała się tak, że między podanemi fotografiami fotografii Gerlacha wcale nie było; fotografia zaś, wybrana przez Tedeschiego, nie wykazywała najmniejszego podobieństwa z rysami Gerlacha. Adwokat zażądał zaraz uwięzienia oszusta. Mimo to przewodniczący Bitetti wziął Tedeschiego w obronę, usprawiedliwił, że jest to tylko pomyłka, że zeznania Tedeschiego nie mogą ulegać najmniejszej wątpliwości. Na podstawie tych zeznań zapadł wyrok, skazujący prałata Gerlacha na dożywotnie więzienie.

Loża, która wywołała wojnę włoską, robi obecnie przygotowania na każdy wypadek. Gdyby całe to przedsięwzięcie skończyło się katastrofą Włoch, wskaże wtedy na Watykan, jako na gniazdo szpiegostwa i zdrady, wskutek której najlepsze zamiary loży musiały pójść na marne.

Gdy obecnie koła watykańskie chciały w „Osservatore" pomieścić właściwe oświetlenie sprawy, cenzura rządowa wszystko skonfiskowała.

Reforma katechizmu. Benedykt XV. nakazał rozpocząć prace wstępne, celem sporządzenia jednolitego tekstu katechizmu we wszystkich dyecezyach świata. Najpierw będą zebrane wszystkie katechizmy, jakie są w użytku dyecezyj; biskupi są proszeni, by przysłali do Watykanu katechizmy takie w trzech egzemplarzach. Wtedy zbierze się komisya, złożona z kardynałów i wybitnych katechetów świata. Komisya ta, przeglądnąwszy zebrany materyał, ma wypracować jednolity tekst dla całego świata, tak, jak to uczynił Pius X. z katechizmem dla Włoch.

Tekst będzie zredagowany w języku łacińskim i rozesłany biskupom do oceny tak, jak to miało miejsce przy kodyfikacyi prawa kanonicznego. Po uwzględnieniu oceny episkopatu, będzie tekst potwierdzony przez papieża i w języku łacińskim oddany do drukarni watykańskiej, jako typiczne wydanie, podług którego mają być dokonane tłumaczenia na wszystkie języki.

Ks. J. Pawelski.

Ze świata sztuki.

Wystawa „Związku powszechnego Artystów pols."

Ruchliwy „Związek powszechny Artystów polskich" w Krakowie urządził znów niewielką, ale interesującą wystawę, w swym lokalu przy ul. Szpitalnej. Niestety, lokal ten jest w najwyższym stopniu nieodpowiednim dla celu, któremu służy, co bardzo ujemnie wpływa na wystawy „Związku", boć każdy obraz, każda rzeźba potrzebuje dużo światła — jakiego tam niema — aby okazać całą pełnię swych zalet. Tuż przed wojną, o ile mi wiadomo, budowa własnego domu „Związku" znalazła się na bardzo dobrej drodze, dzięki gorliwym zabiegom jego prezesa, p. Stachiewicza. Od trzech jednak lat sprawa ta skutkiem wybuchu wojny utknęła, a wystawy „Związku powszechnego Artystów polskich" poniewierać się muszą po lokalach bez dostępu i światła.

Ale gdy i w tak niekorzystnych warunkach jakaś wystawa czyni na ogół wrażenie dodatnie, — ten wypadek zachodzi właśnie przy wystawie, z której zdaję sprawę — to naprawdę stanowi miarę jej wartości.

Wystawa obecna „Związku" jest właściwie wystawą dzieł treści religijnej, dzieł bowiem innej treści jest na niej bardzo mało. I, co z prawdziwem zadowoleniem podnieść należy, dzieła te w przeważnej części mają na sobie piętno religijności. Fakt ten wyróżnia bardzo korzystnie niniejszą wystawę od owej osławionej przed paru laty wystawy dzieł sztuki kościelnej, gdzie nastrój religijny, w dziełach na niej wystawionych, odgrywał rolę podrzędną.

Kompozycyą, piętna religijnego najwięcej na sobie noszącą, a równocześnie dziełem o wysokiej wartości artystycznej, jest Jaxy Małachowskiego „Zwiastowanie".

Od dawna, nawet bardzo dawna, nie było na żadnej z wystaw krakowskich obrazu religijnego, jednoczącego w sobie te dwie właściwości w takim stopniu, co to dzieło. Pisząc w majowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego“ o pracach nieodżałowanej pamięci Ks. Moszyńskiego, zaznaczyłem między innemi trudności, jakie napotyka malarz przy tym właśnie temacie. Małachowski wywiązał się z niego w sposób, który uczynił zeń znakomitego malarza religijnego.

Noc księżycowa. Kopuła ciemno-szafirowego nieba unosi się nad Jerozolimą, drzemiącą w tle obrazu. Na jego przodzie taras, prawdopodobnie Świątyni jerozolimskiej. Na tarasie tym siedzi przyszła Matka Boża, cudownie, nadziemsko piękna dzieweczka, której postać wyraża niewinność, zachwyt i poddanie się woli najwyższej. Przed Nią klęczy posłannik Boży, zwiastując Wybranej wielką nowinę, w postawie, pełnej czci i podziwu dla Tej, co została wywyższoną nad wszelkie istoty stworzone; trzymaną w ręku lilią zmiata on proch z przed Jej stóp. Zda się, że słyszymy anielską harmonię słów:

„Zdrowaś Maryo.....“

Dookoła cisza i niczem niezamącony spokój. Na obrazie niema żadnych ubocznych szczegółów, żadnych akcesoryów, niczego, odrywającego uwagę widza od Maryi i anioła. Ale zato jest tam ów nastrój, który podnosi duszę patrzącego o oktawę wyżej, nastrój, właściwy tylko dziełom wielkiej sztuki religijnej.

Tak, powtarzam „wielkiej“, bo, pomimo pewnych usterek malarskich należy do niej ten obraz. Malować tematy religijne z tą naiwnością przedstawienia, z jaką malowali je artyści włoscy XIV. lub XV. wieku, malarz, żyjący w wieku XX., nie może. A jeżeli stara się bezkrytycznie ich naśladować, to czyni źle, bo maluje bez przekonania, w myśl narzuconej sobie tezy. Znaleźć tedy nowy, odpowiadający duchowi czasu sposób wyrażenia uczuć religijnych, jest zadaniem malarza, biorącego się do tematów religijnych. Niedalekim znalezienia tego sposobu był genialny samouk, Ks. Moszyński, bardzo bliskim zaś jest Małachowski. Oby to „Zwiastowanie“ było zapowiedzią jego dalszych prac w zakresie malarstwa religijnego, mogących stanowić epokę w dziejach naszej sztuki.

Pomimo całego zachwytu, jaki budzi we mnie omawiane dzieło, nie zamykam oczu na jego, szczęściem, nieliczne błędy. A więc, wcale niepotrzebnie dał artysta za tło głowom obu postaci masywną złotą aureolę. To błyszczące się prawdziwe złoto razi i psuje ogólny, spokojny ton obrazu. Lekko zaznaczona aureola w postaci obręczy —

namalowana, nie złocona — odpowiadałaby daleko lepiej nastrojowi kompozycyi. Że podobnemi, masywnemi aureolami, stroili głowy świętych malarze średniowieczni, to bynajmniej nie obowiązuje spółczesnego malarza i jest zbyteczną koncesyą na rzecz tradycyi. Postać anioła, pomyślana wyśmienicie w ruchu, ma jednak pewne błędy. Np. jego ręka wyciągnięta jest źle narysowana i namalowana niedbale. W ogóle w wykończeniu obu postaci widać zamało staranności, co czyni wrażenie, jak gdyby artysta zbyt się spieszył w malowaniu. Skupił się on w wykończeniu głów,które są bez zarzutu, zato resztę traktował trochę za pobieżnie. Rysunek posadzki tarasu jest trywialny w swej prostocie. a na niebie, podczas nocy księżycowej, tylu gwiazd widzieć nie można.

Małachowski, o którego znakomitych krajobrazach pisałem już wiele razy przed wojną, zdając sprawę z ruchu artystycznego w pismach krakowskich, podtrzymuje nadal swą dobrze zasłużoną sławę w tym zakresie. Taki nocny „Widok kościoła św. Jana“ w Krakowie, znajdujący się na wystawie „Związku“, jest rzeczą uderzającą. Dawniej już doprowadził artysta daleko w malowaniu efektów sztucznego oświetlenia. Tym razem jednak doszedł do perfekcyi. Doskonała perspektywa powietrzna w połączeniu z soczystym kolorytem, o głębokich cieniach i silnych światłach, czynią z tego widoku to, co Niemcy zowią „ein Cabinetsstück“ — obraz dla znawcy-kolekcyonera. Kilka widoczków morskich, w których Małachowski oddawna celuje, uzupełnia pojęcie o wielostronności talentu tego malarza, wkraczającego zwycięsko na obce sobie dotąd pole malarstwa religijnego.

Przyznaję otwarcie, że nie zachwycam się wcale temi polskiemi wieśniaczkami, poprzebieranemi za Madonny, których tyle namalowano w ostatnich latach dwudziestu, nie są to bowiem ani obrazy religijne, w ścisłem znaczeniu tego słowa, ani obrazy rodzajowe, lecz jakieś niby symbole, opierające się na patryotyzmie. Pewny jestem, że bardzo wielu ludzi jest tego, co ja, zdania, lecz z rozmaitych względów nie wyjawia go głośno. Te „spolonizowane“ Madonny przyjadły się już, bo najczęściej malują je artyści małego talentu, którzy z ich pomocą szukają taniej popularności.

Niema atoli reguły bez wyjątków, więc stwierdzam, że Tetmajerowi udało się namalować coś w tym rodzaju oryginalnego, nietylko wykraczającego za szablon, ale także posiadającego ogólne warunki dzieła sztuki: myśl głęboką i dobre wykonanie.

Mądrze postąpił Tetmajer, gdy wziął za punkt wyjścia dla swej

„Matki Boskiej z Dzieciątkiem“ obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Zatrzymał on tło tego obrazu, koronę i sukienkę, oblicze zaś, zachowując ciemny koloryt oryginału i w ogóle jego rysy, ożywił i wyzwolił z pęt bizantyńskiego rytuału. W podobny sposób postąpił z Dzieciątkiem, któremu dał rysy wieśniaczego dziecka polskiego. Obie głowy stylizowane są w sposób bardzo zręczny; niema w nich śladu pospolitości, owszem, jest nawet pewien sentyment religijny. Po bokach pęki kwiatów polnych, wyśmienicie namalowanych, herb Polski u dołu i napis: „Podnieś rączkę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą“, dopełniają sympatycznej całości.

Na pierwszy rzut oka widzimy tylko Częstochowską Matkę Bożą. Dopiero lepiej rozpatrzywszy się w obrazie, spostrzegamy poczynione w nim przez artystę zmiany, które przeobraziły obraz ów w nową kompozycyę. Myśl głęboka, o jakiej wyżej wspomniałem, spoczywa w tem, że artysta, zamierzając stworzyć dzieło religijne o silnem zabarwieniu patryotycznem, nie szukał jakichś nowych symbolów, lecz że za podstawę swej kompozycyi wziął właśnie ten obraz, tak silnymi, tak serdecznymi więzami złączony z Polską. Artysta przedstawił w swym obrazie „Królowę Korony polskiej“ w taki sposób, że obraz jego musi poruszyć serce każdego Polaka. Większego nad ten sukcesu artystycznego niema potrzeby życzyć żadnemu malarzowwi.

Tetmajer wystawił także projekty do polichromii kościoła w Kalwaryi Zebrzydowskiej. O ile z drobnych i w ogólnych tylko zarysach rzuconych szkiców wnioskować można, będzie to rzecz ładna, przedewszystkiem co się tyczy kolorytu, jasna, powietrzna i dobrze zharmonizowana. Oczywiście, że o końcowym efekcie tego dzieła można będzie sądzić dopiero na miejscu i to tem więcej, ponieważ jest to polichromia nie ornamentacyjna, lecz figuralna, w której pojedyncze pola sklepienia wypełniają kompozycye, oparte na Litanii loretańskiej.

W osobnym pokoju wystawy pomieszczono szereg szkiców Mehoffera do witraży i malowideł ściennych, zaprojektowanych i wykonanych przez niego dla rozmaitych kościołów.

Są to rzeczy, znane z innych, dawniejszych wystaw krakowskich, a zestawione razem, tworzą dość pełny obraz twórczości artysty na tem polu. Mehoffer wyrobił sobie w witrażach i malowidłach dekoracyjnych pewną odrębność, coś w rodzaju własnego stylu, co już znaczy niemało w naszych czasach, odznaczających się na ogół bezstylowością. Doszedł on do tego rezultatu głównie przez silnie krzyczący koloryt, w którym najjaskrawsze barwy, obok siebie położone, walczą

o pierwszeństwo. Zasadę, że witraż powinien zdaleka czynić wrażenie barwnego kobierca, przeprowadza artysta aż nadto konsekwentnie. Jego witraże wyglądają rzeczywiście jak kobierce, których jaskrawości, czasem wprost brutalnej, nie zaciera oddalenie. Gdy oglądamy z pewnej odległości witraże średniowieczne, to wydają się one być kobiercami, ale barwy ich zlewają się w jeden spokojny ton, tak niepodobny do dysharmonii barw na witrażach Mehoffera. Postacie świętych i aniołów na tych witrażach mają niejakie powinowactwo z takiemiż postaciami Wyspiańskiego, ale nie posiadają ich siły. Jakaś barokowość ruchów, kojarząca się w szczególny sposób z bizantyńską sztywnością rysów twarzy, zatrzymuje na nich uwagę, lecz nie pociąga ku nim, raczej odpycha. To samo dałoby się powiedzieć odnośnie do malowań ściennych tego artysty, zdającego się mieć opaczne pojęcia o wartości i celu polichromii, która nie może być sama dla siebie celem, lecz jest środkiem, podnoszącym piękno architektury. Nie wolno tedy malarzowi traktować wielobarwności tak, aby rzucała się natrętnie w oczy przez jaskrawość, aby nie tworzyła z wnętrzem danego gmachu zharmonizowanej całości.

Stosunkowo najmniej krzyczącymi i najspokojniejszymi są „Projekty witrażów do katedry wawelskiej“ (oznaczone nr. nr. 9 i 10), oraz projekt fresku, pomyślanego monumentalnie, dla kaplicy płockiej. Zato znów oglądamy istną orgię kolorów w „Projekcie na okna do Kaplicy Świętokrzyskiej“.

Przeciwieństwo do powyższych witrażów stanowią Fabijańskiego „Projekty do witrażów w kaplicy św. Zofii“ w katedrze na Wawelu. Niema w nich wprawdzie tego rozmachu kolorystycznego, którym tak chętnie posługuje się Mehoffer, ale zato jest dużo spokoju i powagi w kompozycyi, a równowagi w barwach. Wedle tych projektów wykonane witraże odpowiadałyby z pewnością wszelkim warunkom, jakich się wymaga od tego rodzaju dzieł sztuki.

Fabijański jest znanym i cenionym specyalistą od widoków starego Krakowa. Dał też na obecną wystawę kilka rzeczy w tym rodzaju, pomiędzy któremi wyróżniają się: „Fragment z placu Maryackiego“ i „Wawel“.

Odrębne stanowisko zajmuje od lat trzydziestu przeszło wśród plejady naszych malarzy Stachiewicz. Zdobył on je przez wielką liczbę prac, ołówkiem i pendzlem wykonanych, a w których poprzez poprawną i wykwintną formę przebija zawsze „sui generis“ sentyment. W obszernym zakresie swej twórczości, czy jako ilustrator, czy jako

kompozytor, bardzo często zużytkowywał Stachiewicz tematy religijne, przeważnie jednak z ich strony poetyckiej, a nie liturgicznej. Najpiękniejszą jego pracą z zakresu malarstwa czysto religijnego jest jeszcze nieznany szerszemu ogółowi projekt na mozaikę do nowego kościoła OO. Jezuitów w Krakowie, przedstawiający adoracyę Serca Jezusowego przez Świętych i Święte, patronów i patronki naszego narodu. O tej stronie twórczości artysty daje pewne wyobrażenie fotografia z monumentalnego obrazu ołtarzowego, przedstawiającego św. Wojciecha, który to obraz wykonał on na zamówienie do jednego z kościołów polskich w Ameryce, a także prześliczny szkic olejny, przedstawiający „Św. Józefa z Dzieciątkiem".

Ulubionymi jednak tematami artysty i najwięcej odpowiadającymi rodzajowi jego talentu są tematy napoły religijne, napoły poetyczne, jak np. „Legendy o Matce Boskiej", które zyskały mu szeroki rozgłos. Coś w tym rodzaju dał on teraz na wystawę „Związku", a mianowicie „Ciszę leśną". Przez gęsty, ciemny bór polski idzie o zmroku Matka Boża, z Dzieciątkiem na ręku. Pomysł prosty, lecz wykonany z nastrojem i finezyą, jakie przywykło się widzieć w każdej pracy Stachiewicza, mówiąc nawiasem, znakomitego malarza drzew i kwiatów.

Z tego samego zakresu, co i „Legendy", jest i „Zwiastowanie", jakie Stachiewicz teraz wystawił. Popełnił tu oń jednak błąd zasadniczy, bo nie wszystkie tematy religijne dadzą się traktować w sposób sielankowo-poetycki. Jednym z takich tematów jest właśnie „Zwiastowanie". Dlatego też ta kompozycya mogłaby śmiało „zniknąć w zapomnienia fali", bez żadnej szkody dla całokształtu twórczości artysty.

„Madonna" (olej.), „Studyum do Madonny" (olej.) i „Chrystus" (rys. węglem) — są wykonane z precyzyą rysunkową, posuniętą tak daleko, że osłabia ona efekt ogółu. Każdy szczegół, oko, nos, usta i t. d. jest sam dla siebie tak wykończony, że całość musi na tem tracić. Wobec lekceważenia rysunku, jakie zapanowało teraz w malarstwie, przyjemnie jest spotkać się z podobnem jego poszanowaniem. Stachiewicz jednak mógłby trochę mniej dokładnie rysować swe głowy, a zyskałyby one niezawodnie na sile i wyrazie. Ot, np. „Św. Łukasz", że jest trochę mniej drobiazgowo rysowany, czyni zupełnie inne wrażenie, niż tamte głowy, choć jest malowany w tradycyach monachijskich z dawno minionych czasów.

Kilka zgrabnych widoczków morskich Nowotnowej zdaje się zapowiadać w niej dobrą „marynistkę".

Wyczółkowskiego drobiazg, świetnie namalowana akwarellą „Martwa natura", jest cennym okazem dla zbieraczy, bo akwarelle tego koryfeusza polskiego malarstwa spotyka się stosunkowo rzadko.

Dosłowne naśladowanie dawnych sposobów malowania, czy rysowania lub rytowania jest, właściwie rzeczy biorąc, mniej lub więcej artystyczną zabawką, w miarę talentu naśladowcy. Taką zabawkę urządził sobie Skoczylas, zresztą bardzo utalentowany malarz, naśladując do złudzenia stare drzeworyty z końca XV. wieku. Pomimo tego jednak „Ecce Homo", „Św. Krzysztof", „Św. Sebastyan" i t. d. nie przemawiają do nas, bo sam autor nie wierzy w technikę, którą się posługuje, a która dobrą była w czasach Albrechta Dürera, lecz nie w XX. wieku. Jestto sztuczka, nie sztuka.

Rzeźb na wystawie „Związku", jak zwykle na krakowskich wystawach, mało — wystawcami są tylko: Laszczka i Popławski.

Pierwszy z nich dał „Chrystusa na krzyżu", dzieło piękne i pojęte w duchu wymagań sztuki kościelnej. Zarzucićby mu można tylko dwie rzeczy: Postać Ukrzyżowanego bliską jest naturalnej wielkości. Tego powinien unikać malarz lub rzeźbiarz; postać ludzka na obrazie lub w rzeźbie może być znacznie większą od natury, albo tylą, co ona, lub też znacznie mniejszą. Chyba, że artysta rachował tym razem na bardzo wysokie umieszczenie swego Krusyfiksu, przez co postać zmaleje w oddaleniu. Następnie postać Ukrzyżowanego jest zanadto wyprostowana, nie osuwa się ku dołowi własnym ciężarem, jak to musiało być w rzeczywistości. Usterki te jednak mało ważą wobec pięknej, pełnej boskiego majestatu i ludzkiego bólu twarzy Zbawiciela i piękna całej postaci. Artysta stylizował ją trochę, ale tak dyskretnie, że nie odbiegł od prawdy. Krótko mówiąc, Krucyfiks ten będzie stanowił prawdziwie artystyczną ozdobę świątyni, w której zostanie umieszczony.

Popławskiego „Madonna z Dzieciątkiem", płaskorzeźba w gipsie, jest również pracą, pojętą w duchu religijnym, a co do techniki naśladowaniem wczesno-renesansowych płaskorzeźb włoskich. Na ogół czyni ona wrażenie bardzo dodatnie, aczkolwiek widać, że autor jej nie opanował jeszcze w zupełności środków techniki rzeźbiarskiej.

ka.

Kronika ekonomiczna.

10-lecie Kółek rolniczych w Królestwie. — Finanse Rosyi według ministra Tereszczenki. — Rubel w niebezpieczeństwie.

Praca zbiorowa drobnych rolników dla pożytku własnego i dla dobra społecznego święci w tym roku, razem z Kółkami rolniczemi, tworzącemi specyalny Wydział przy CTR w Królestwie Polskiem, swój skromny jeszcze, bo dopiero 10-letni jubileusz. Jest ona młoda bardzo, nie dlatego jednak, by drobni rolnicy nasi nie uznawali jej dawniej, nie byli do niej przygotowani, lecz dlatego, że nie pozwalały na nią warunki polityczne, że nie dopuszczał do niej system, stosowany przez rząd rosyjski względem społeczeństwa polskiego. Pewne ulgi w tym względzie przynosi dopiero rok 1905. Korzysta z nich skwapliwie społeczeństwo nasze i rozpoczyna wytężoną pracę zbiorową we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Z ulg tych korzystają również drobni rolnicy, stając wspólnie z innemi warstwami do pracy społecznej. W dziedzinie rolniczej zaczynają się organizować specyalne Kółka. Pierwsze z nich powstają w r. 1906. A więc 10 lat upłynęło od ich zapoczątkowania.

Z okazyi 10-lecia Kółek rolniczych wyszedł specyalny numer „Przewodnika“, będącego organem Kółek i Stowarzyszeń rolniczych w Królestwie Polskiem. W szeregu artykułów zobrazowano intenzywną pracę organizacyi. Ogólny rzut oka na pierwsze dziesięciolecie Kółek daje w swym artykule p. Antoni Wieniawski. Następny artykuł zawiera dane o pracach Wydziału Kółek C. T. R., dane ciekawe, świadczące o żywotności naszej i o dążeniach drobnych rolników do pracy zbiorowej. Z artykułu tego warto przytoczyć nieco liczb i dat.

Wydział Kółek przy Centralnem Towarzystwie Rolniczem zawiązał się 15 maja 1917 r., na zebraniu, złożonem z 80 delegatów, reprezentujących około 500 Kółek. Dalszy rozwój organizacyi potoczył się szybko, która skupiając coraz większą liczbę członków, stawała się dźwignią gospodarstw włościańskich i drobnoszlacheckich i wielce skutecznym środkiem w zakresie obywatelskiego uświadomienia drobnych rolników. Wojna powstrzymała dalszy jej rozwój, przeto dane, jakie tu powtórzymy, dotyczyć będą r. 1913. W roku tym Wydział jednoczył 1051 Kółek rolniczych, które liczyły z górą 50.000 członków.

Przed wybuchem wojny Kółka niemal wyłącznie zajmowały się pouczaniem rolnictwa i omawianiem spraw gospodarczych. Jeno ubocznie krzewiło się przeświadczenie, że członek Kółka rolniczego musi

być nie tylko dobrym rolnikiem, lecz też i dobrym obywatelem kraju. Podczas wojny członkowie Kółek rolniczych stanęli na ogół pierwsi do pracy społecznej, tworząc na razie komitety obywatelskie, a potem rady opiekuńcze, nie cofając się przed ofiarami na rzecz poszkodowanych, podchwytując hasło wprowadzenia zmian do gospodarki gminnej i t. p.

Prace organizacyjne i uświadamiające w Kółkach rolniczych prowadzili instruktorzy, których w r. 1913 czynnych było 40, oprócz specyalistów, utrzymywanych przez Wydział Centralny w Warszawie. Instruktorzy w ciągu roku wygłosili przeszło 2.000 pogadanek, których wysłuchało z górą 100.000 ludzi. Poza tem instruktorzy założyli wiele różnych stowarzyszeń, dokonali lustracyi 1.600 gospodarstw i prowadzili sto kilkadziesiąt kursów dłuższych i krótszych. Od r. 1910 zaczęły się coraz bardziej rozpowszechniać kursa miesięczne; urządzano ich rocznie początkowo 3, potem 6, 9 i 11.

Co się tyczy właściwych szkół rolniczych, to przed powstaniem Wydziału Centralnego istniała tylko jedna całoroczna w Pszczelinie; od r. 1908 Towarzystwo rolnicze nałęczowskie prowadzi szkołę zimową, Wydział zaś w r. 1909 i 1910 urządził kilkunastotygodniowe kursa im. Promyka, po których w latach następnych powstały kursa handlowe dla synów gospodarskich. Dzięki ofiarności ludzi dobrej woli, obok Pszczelina powstają podobne szkoły — w Mieczysławowie w r. 1912, w Krzyżewie w r. 1913 i wreszcie już podczas wojny w Liskowie i w Brzozowej (zamiast szkoły 3-letniej dla oficyalistów rolnych). Szkoły te przygotowują poważny zastęp uświadomionej młodzieży wiejskiej, a krótsze kursa oraz pogadanki krzewią wśród dorosłych umiejętność dobrej gospodarki i poczucie obywatelskie.

„Olbrzymia zawierucha, która rozszalała się nad naszym krajem — pisze redaktor „Przewodnika Kółek", p. S. Jankowski — wywarła oczywiście i na Kółkach swój wpływ złowrogi... Ale, zdaje się, przeżyliśmy już najgorsze chwile i zaczynamy się otrząsać z bezwładu. Dochodzimy do przekonania, że można i trzeba nawiązać zerwane nici większości prac dawnych, że chwila bieżąca wysuwa — co więcej — nowe zadania dla Kółek rolniczych".

A p. A. Wieniawski w zakończeniu artykułu wstępnego z otuchą zaznacza: „Gdy spojrzymy na 10-letnią pracę Kółek, to w chwili obecnej wydać się nam może, że wojna w znacznej mierze zniszczyła owoc tej pracy, że gospodarze, którzy przed wojną wchodzili na drogę postępu, ponieśli tak wielkie straty, iż postęp ten na długie lata jest

udaremniony. Jest to wrażenie, usprawiedliwione strasznemi klęskami, jakie kraj nasz przechodzi. Wierzę mocno, że gdy szalejąca burza minie i kraj w odmiennych warunkach będzie musiał przystąpić nie tylko do odbudowy zniszczonych warsztatów, lecz i do budowy własnej państwowości, życie wysunie szereg ludzi, którzy już się zaznaczyli działalnością w Kółkach rolniczych. Cenne ostrzeżenia, jakie w działalności tej zdobyli, zarówno jak i znajomość wielu zagadnień, poruszanych w spółkach rolniczych, choć wówczas niemożliwych do urzeczywistnienia, ułatwi tym ludziom przyszłą pracę twórczą i wyrobi w nich głębokie przeświadczenie, że robota kółkowa była zaczątkiem przyszłych wysiłków zbiorowych na szerszem polu.

Zamiast więc oddawać się ponurym myślom, zamiast załamywać ręce i biadać nad tem, że owoc naszych zabiegów jest zniszczony, myśli nasze dążyć muszą ku przyszłości, w której czeka nas olbrzymi trud i wysiłek dla odbudowania naszej ojczyzny, a doświadczenie, zdobyte w pracy dotychczasowej, ułatwi nam wysiłek w stopniu większym, niżbyśmy mogli przypuszczać".

* * *

W czasie pobytu w Moskwie, b. minister skarbu (obecnie minister spraw zagranicznych), p. Tereszczenko, przedstawił sytuacyę finansową Rosyi. Wywody p. Tereszczenki przedstawiają położenie, jako bardzo ciężkie, o czem nowy rząd przekonał się szczegółowo dopiero wówczas, gdy wejrzał bliżej w tajniki archiwum ministerstwa finansów, stanowiące poprzednio bacznie strzeżoną tajemnicę. Z drugiej jednak strony p. Tereszczenko nie widzi powodu do rozpaczy, przeciwnie, wierzy silnie, że racyonalna i silna polityka finansowa może zachwiane finanse Rosyi w krótkim czasie naprawić.

Jakże się przedstawiają finanse Rosyi w cyfrach?

Stan ich z początkiem wojny był względnie pomyślny, ponieważ było pokrycie w złocie. Równowagę zachwiało wyrzeczenie się 800.000 rubli dochodu z „monopolu", a przedewszystkiem wydatki na wojnę, co odrazu zmieniło strukturę budżetu i zniewoliło do gwałtownego powiększenia długu państwowego. Przed wojną wynosił on około 9 miliardów rubli, co pociągało za sobą roczny wydatek na amortyzacyę około 400 milionów. Potrzeba gotówki wywołała w zakresie wewnętrznego kredytu naprzód konieczność pomnożenia banknotów, a dalej zaciągnięcia kolejno pięciu pożyczek wojennych. Z tych osta-

tnia, ogłoszona w listopadzie r. 1916, nie udała się — o czem oficyalnych wiadomości nie było dotąd, — gdyż z żądanych trzech miliardów państwowe kasy oszczędności i bank państwa pokryły tylko 1.700,000.000 rubli.

Niezależnie od wewnętrznego kredytu, posługiwał się stary rząd kredytem zagranicznym, głównie w Anglii, która stopę procentową w ostatnich czasach z 5 proc. podniosła do 6 proc. Zobowiązania wobec Anglii wynoszą dziś około 6 miliardów rubli. We Francyi wzięto w ciągu wojny 1 miliard, w Japonii 150 milionów rubli, w Ameryce 25 milionów dolarów.

Ogółem dług Rosyi, licząc razem wewnętrzne i zagraniczne pożyczki, oraz nową „pożyczkę wolnościową“ (3 miliardy rubli), wynosi już obecnie około 40 miliardów. Że zaś dziennie wydatki na wojnę wynoszą dziś 54 milionów rubli, zobowiązania Rosyi, gdyby się wojna przeciągnęła do końca roku, wzrosną do 55 miliardów, co pociągnie za sobą coroczny wydatek na same procenty 2 i pół miliarda rubli.

* * *

„Rubel w niedezpieczeństwie“. Pod tym alarmującym tytułem zamieszcza gazeta „Russkoje Słowo“ w Nr. 116 z dnia 8 czerwca artykuł, w którym obrazuje cyfrowo stan rzeczy, wytworzony przez nadmierne zalewanie rynku rosyjskiego pieniądzmi papierowymi.

W przededniu wojny, t. j. dnia 30 lipca 1914 r. znajdowało się w obrocie pieniędzy papierowych 1.633 mil. rubli. W dniu 1 stycznia 1915 r. 3.630 milionów rubli. W dniu 1 stycznia 1916 r. 5.622 mil. rubli. W dniu 1 lipca 1916 r. 6.628 mil. rubli. W dniu 1 stycznia 1917 r. 9.097mil. rubli. W dniu 1 marca 1917 r. 9.950 mil. rubli. W dniu 1 kwietnia 1917 r. 10.981 mil. rubli. W dniu 1 maja 11.457 mil. rubli. W dniu 29 maja 1917 r. 11.765 mil. rubli.

Jak wynika z powyższego, w ciągu trzech niespełna miesięcy, dzielących nas od daty przewrotu państwowego, nowy rząd zmuszony był rzucić na rynek około dwóch miliardów rubli nowych pieniędzy papierowych.

Jeśli życie finansowe i ekonomiczne kraju nie skieruje się na inne, niż dotychczas, tory, pisze „Russkoje Słowo“, to kasy państwowe zużytkują sumę nowych banknotów emisyjnych w terenie jeszcze krótszym, niż dotychczas!

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Ks. J. Pawelski T. J.*

DRUKARNIA EUGENIUSZA I DRA KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.

Z powodu dyskusyi na temat kościoła narodowego.

W zeszycie grudniowym „Przeglądu Powszechnego“ zamieściliśmy artykuł pod tytułem: „Biały papież czy biały car?“. W artykule tym stwierdziwszy w kilku wyrazach agitacyę za kościołem narodowym w gronie tych Polaków, którzy opuścili Królestwo z armią rosyjską, poddaliśmy ideę Kościoła narodowego roztrząsaniu i staraliśmy się uzasadnić, że jest ona głupstwem i pod względem religijnym i pod względem narodowym.

Artykuł ten wywołał dyskusyę. Najpierw zabrał głos poważny przedstawiciel duchowieństwa warszawskiego, ksiądz profesor Tomczak w „Wiadom. Archidyec. Warsz.“ Wkrótce po nim grono wybitnych osobistości wystosowało w „Głosie Narodu“ list otwarty do redakcyi „Przeglądu Powszechnego“, w którym zażądało dokładnych informacyi co do rzeczowej strony sprawy. Nadto w warszawskiej „Myśli Niepodległej“ pisał o zagadnieniu Kościoła narodowego p. Niemojewski, zdaje się jednak, że niezależnie od naszego artykułu.

Stwierdźmy najpierw, że wszystkie te głosy, zasadniczo rzeczy biorąc, przyszły w porę i były nam bardzo na rękę. Sam fakt, że wiadomość o podobnych zakusach wywołuje niepokój, najlepiej świadczy, że podobne zakusy trafiłyby na silny opór. Jest to znaczące upomnienie pod adresem tych, którzy na podobną agitacyę ważyli się.

Ale było też w tych głosach coś, czegośmy nieoczekiwali. Ujrzeliśmy się nagle otoczeni całym arsenałem wszystkich gatunków politycznej broni i politycznych pocisków. Ten artykuł godzi w Warszawę i w Królestwo i w duchowieństwo Królestwa — zawołał głos pierwszy. — To za mało — zawołał głos drugi — ten artykuł godzi w całe społeczeństwo polskie, rozdrażnia je i osławia przed światem.

W innych warunkach zarzuty takie trzebaby brać inaczej, dziś, z góry się wie, że wszystko u wszystkich jawi się w żywszych kolorach. Ponadto żyjemy w takiej chwili, w której naprężenie polityczne dopatruje się wszędzie politycznych aluzyj. Dziś tak jasny nawet przedmiot, jak słońce, podlega zaćmieniom dyskusyi; powstaje zaraz pytanie, czy mowa o słońcu zachodzącem czy wschodzącem. Że słońce czy księżyc mogą w pewnej chwili stać w zenicie, nikomu dziś na myśl nie przyjdzie. Tymczasem porządek rzeczy jest taki, że poza frontem wschodnim i zachodnim jest jeszcze środek nieba, są sprawy wyższe nad chwilę, zwłaszcza sprawy religijne. I właśnie pismo katolickie, jak „Przegląd Powszechny“ musi na ten zenit szczególniejszą zwracać uwagę — inaczej nie spełniałoby obowiązku względem społeczeństwa.

Wrzawa, jaka powstała dokoła naszego artykułu, będzie miała to dobre następstwo, że pouczy wielu, jak trzeba oceniać wrażliwości i opinie obecnej wojennej chwili.

Już z artykułu naszego, gdyby był dokładnie czytany, było widoczne, że nie piszemy o Królestwie, ani o duchowieństwie w Królestwie, do którego z pełną odnosimy się czcią, a jednym z tytułów tej czci jest to, że duchowieństwo Królestwa umiało zająć stanowisko względem zakusów o Kościół narodowy. Bo nie jest ks. Tomczak dobrze poinformowany, gdy pisze, że „u nas nikt nie myśli o Kościele narodowym“, o czem będzie miał sposobność przekonać się w dalszym ciągu. W artykule grudniowym o Królestwie nie pisaliśmy, dziś wobec narzuconej nam polemiki, gdy piszemy o Polsce całej, musimy i o niem pisać.

Wobec tego, że otrzymaliśmy w tych dniach wiadomość, iż to ognisko ruchu, które głównie spowodowało nasz artykuł, zdaje się dogasać, że agitacya tam ucichła, będziemy mogli odchylić

rąbek tej tajemnicy, jaka nas wiązała przy artykule grudniowym. Chyba teraz stanie się jasnem, że gdyby polityczne cele nami kierowały, to milczelibyśmy, ażeby same fakty skompromitowały zaangażowane stronnictwo. To, że zabraliśmy głos w dobie stawania się przed staniem się, świadczy dość jasno, że chodziło nam o cele religijne, o niedopuszczenie do rozwoju zła i o ochronę katolickiej Polski przed osławieniem. Zupełnie co innego, niż to, co nam podsuwa list otwarty.

Zanim wejdziemy w rzecz, jeszcze jedna ceremonia wstępna. List otwarty bierzemy za punkt wyjścia dyskusyi, ale odcinamy nazwiska pod listem podpisane.. Jest to postawienie kwestyi oryginalne, ale ostatecznie można wynaleźć, po długiem szukaniu, jakieś uzasadnienie takiego kroku. Jest jasnem, że takie listy otwarte zwykle powstają w ten sposób, iż jakiś aranżer komponuje list i zbiera następnie podpisy. Tak, czy owak, sytuacya jest taka, że w liście otwartym są rzeczy, na które musimy coś odpowiedzieć, — osobistości zaś pod listem podpisane są takie, dla których żywimy głęboki szacunek, dla niektórych z nich więcej niż szacunek, i wcale nie mamy chęci ni potrzeby wchodzić z nimi w jakiekolwiek utarczki. Szacunek i cześć każą nam uścisnąć dłoń tych osób i poprosić po przyjacielsku: Panowie, opuszczajcie okręt..

A teraz, szanowny aranżerze listu otwartego, kiedy jesteśmy sami, możemy sobie swobodnie pomówić. Napłatałeś rozmaitych figli, z których wiele puścimy ci płazem, jednego jednak nie możemy pominąć. Powiedz nam, szanowny aranżerze, co rozumiesz przez zdanie: „trzeba koniecznie unikać tego rodzaju niejasnych oskarżeń, które... w o b e c o b c y c h m o g ą o n a s w y w o ł a ć z u p e ł n i e b ł ę d n e m n i e m a n i e“. Jasność czy niejasność oskarżeń w tym wypadku nic nie mówi, bo gdy się powiedziało w naszym artykule, że inicyatorów tego ruchu jest „niewielu“, że ruch ten w Polsce jest „wiotką pajęczyną“ bez przyszłości, to dodanie kilku nazwisk, w imię jasności, nic w opinii obcych zmienić nie może. Rozumiesz zatem, że ten atut jest bezprzedmiotowy — tyo jednak używasz dla podrażnienia narodowej ambicyi, tej strony duszy ludzkiej, która jest najczulszą i której dlatego nie ma prawie sposobu uczynić zadość, gdy jakkolwiek jest podrażnioną. Bo

choćby sprawa okazała się najsłuszniejszą, to jeszcze powstanie tysiąc kwestyi nieuchwytnych — czy trzeba było koniecznie o tem mówić, czy nie było innych sposobów, tych i tamtych, i tak dalej i tak dalej. Z góry zatem, zanim damy odpowiedź, ty już podburzasz przeciw nam opinię polską, i to na każdy wypadek, czy damy odpowiedź taką czy inną. Rozumiesz, aranżerze, że to nie jest lojalne postępowanie w liście otwartym, pisanym w celu uzyskania informacyj, mających być podstawą sądu o słuszności czy niesłuszności naszego kroku. Nie wiedziałeś jednak o jednej rzeczy i to sprawiło, że nietylko ten pocisk nie ugodził w nas, ale, że ugodził w ciebie. Bo czemuż kierujesz ku nam tę pretensyę o opinię obcych? Jedynie rozumna z twej strony może być tylko ta, żeśmy tym Kolumbem, którzy nową Amerykę odkryliśmy, że przed naszym artykułem nikt o podobnej w Polsce agitacyi nie mówił i nie pisał. Rozumowanie jasne, bo tylko Kolumba można było interpelować o odkrycie Ameryki, jak długo fakt nie był stwierdzonym; ktoby chciał dzisiaj napastować listem otwartym jakiegoś geografa za to, że przy danej sposobności wyraził się, iż Ameryka istnieje, popełniłby oczywistą śmieszność. Albo, żeby dopełnić jasności przedmiotu innem porównaniem, z czemżeż, jak nie ze wzruszeniem ramion spotkałaby się pretensya rodziny do lekarza o to, że stwierdził u chorego nowy atak epileptycznej choroby, którą już przedtem u tegoż chorego dziesięciu innych lekarzy stwierdziło.

Czy rozumiesz teraz, szanowny aranżerze, tę słabość, jaka w twoim liście otwartym tkwi! Już przed laty dwudziestu zaczął się u nas ten ruch w kierunku Kościoła narodowego, — z czasopism, w których o nim mowa, już możnaby złożyć biblioteczkę, — a ty, mieszkając w Polsce, o tem wszystkiem nie masz pojęcia — i dziś nagle napadasz na nas, że mówimy coś niesłychanego, gdy my mówimy o tem, o czem już od dawna wielu przed nami mówiło. Gdyby ignorantem był ktoś, kogo sprawy religijne nie interesują, to wyrozumieć byłoby łatwo, ale cóż sądzić o tobie, którego gorliwość religijna tak przepełnia, że radbyś wydobyć od nas natychmiast nazwiska, ażeby tych ludzi publicznie napiętnować. I w dodatku jaka nieopatrzność, żeby decydując się na taki akt,

jak list otwarty, nie zasięgnąć dokoła wstępnych informacyj, nie upewnić się o tem, co z tą sprawą może mieć związek. Sami chętnie bylibyśmy takiemi informacyami służyli.

A teraz, szanowny aranżerze, posłuchaj, jak cała ta sprawa stoi. Przekonaj się, czy my jesteśmy pierwsi, którzy o tem piszemy, a potem, czy powodowały nami przywidzenia czy fakty?

* * *

Powiedzieliśmy, że obecny okres zakusów o Kościół narodowy trwa od lat dwudziestu. Mówimy „obecny okres", bo z historyi wiadomo, że jeden taki okres był za Zygmunta Augusta, uniecstwiony jednak w zarodku przez nuncyusza — drugi, również zażegnany, za ostatniego króla — trzeci wśród Polonii amerykańskiej, w ubiegłem stuleciu. Obecny okres jest czwartym. Tło, oczywiście w każdym z tych trzech okresów było różne, istota rzeczy jednak wspólna: dążenie do zerwania z papieżem. Zaznaczmy już w tem miejscu, że nazwa „Kościół narodowy", która tak podniecająco działa na pewne umysły, jest nazwą niedokładną, bo zerwanie z papieżem nie jest postulatem, dyktowanym przez pojęcie narodowości. Ma ta nazwa być przeciwstawieniem Kościoła powszechnego; tę rolę spełnia jednak dokładniej inna nazwa, „kościół lokalny", jak trafnie zauważa Niemojewski.

Okres obecny nazwaćby można okresem wpływów rosyjskich. Że Rosya zawsze dybała na katolicyzm i polskość, stwierdza cała nasza porozbiorowa historya, że ostatnią formą tej nienawiści był wynalazek „kościoła narodowego", przytaczamy zaraz dowód. To jedno jeszcze dodamy, że na tę genezę wskazujemy i z tego powodu, by entuzyastów kościoła narodowego przekonać, z jakiego źródła czerpią wodę.

Pierwszą widownią powstania tej idei był Petersburg. Zbiegiem okoliczności stało się, że jeden z dokumentów do tej sprawy jest dzisiaj w rękach całego świata. W zbiorowem wydaniu dzieł głośnego rosyjskiego filozofa, Włodzimierza Sołowiewa (tom VIII, str. 54—61, Petersburg 1903), tłumaczonych już na obce języki, jest jedna polemiczna rozprawa, na temat: „Polski Kościół narodowy", pisana w r. 1897. Szlachetny Rosyanin oburza się w tej

polemice na niecną robotę rządu i usiłuje wykazać nieszlachetność i nierozum tej taktyki. Wielkie pisma rosyjskie „Świet", „Nowoje Wremia" zapalały się dla tej idei i agitowały za nią w artykułach; na jeden z takich artykułów „Nowoje Wremia" usiłuje reagować Sołowiew. Z rozprawy tej przytoczymy dziś tylko kilka wyrazów. Są to sprawy bolesne, ale jeżeli wie o nich już świat, byłoby źle, gdybyśmy my nie wiedzieli.

W jednem miejscu tej rozprawy czytamy, że w sprawę tę wchodzi kilku polskich księży; w drugiem miejscu pisze Sołowiew, że jest kilka jednostek teraz już gotowych zerwać z Rzymem pod hasłem małżeństwa księży". O ewentualnem „poparciu rządu", o „przychylności miejscowej administracyi" czytamy kilka razy. W innem miejscu pod adresem rządu i dzienników pisze z oburzeniem Sołowiew: „Czyż można stwarzać jakiś sztuczny kościół w kancelaryach i redakcyach". A w innem miejscu: „Nie w sekcie, poczętej przez grzech i dla grzechu w zapadłych gabinetach i kancelaryach, zejdą się bracia wrogo rozdzieleni".

To był początek polskiego kościoła narodowego. Sprawa, oczywiście, upadła, wobec postawy całego społeczeństwa polskiego. Pisze już o tem w tejsamej rozprawie Sołowiew: „Podjęta na łamach Nowoje Wremia kwestya o stworzeniu polskiego narodowego kościoła wywołała w prasie polskiej nerwowe rozdrażnienie z dość zrozumiałych psychologicznych przyczyn".

W Polsce, jak przed tą datą, tak długo po niej, nikt o kościele narodowym nie myślał. Ale myślano o tem ciągle w Rosyi; co jakiś czas, to w tem, to w innem piśmie pojawiały się na ten temat rozważania. Zrozumiano prędko, że na śmietniku nie da się stworzyć kościoła, więc coraz idealniejsze motywy zaczęto przybierać do pomocy. Jak daleko posunięto się w tej technice, niech poświadczą ustępy z artykułu Berdiejewa, drukowanego przed rokiem i to na łamach pism polskich: „Naród, który jest twórcą takiej literatury, naród, który się wzniósł na takie wysokości mesyanicznej wiary (Towiański, Cieszkowski i inni) nie może nie mieć swego odrębnego posłannictwa w dziejach. Posłannictwo to nie polega na państwowem budownictwie, które jest tak utrudnione cechami polskiego charakteru, polskiem indywidual-

nem veto, lecz polega na osobliwej duchowej kulturze. Współczesny filozof polski, mistyk Lutosławski, przypomina o życiu duchowem narodu polskiego. Wewnętrzne pożycie dwu wielkich narodów słowiańskich jest rzeczą konieczną i ważną dla obu. Dla nas jest rzeczą cenną i ważną poznać bliżej polską mesyanistyczną myśl z okresu rozkwitu. Współczesny religijno-filozoficzny ruch rosyjski ma tak wiele punktów stycznych z polskim mesyanizmem. Rosyę z Polską zbliża ogólno-słowiańska, mesyanistyczna, religijna wiara o apokaliptycznym nastroju, proroczo skierowana ku „Królestwu Przyszłości".

Jaką drogą i w jakiej mierze przenikały te syrenie głosy do serc i umysłów polskich, stwierdzić dziś trudno. Ale że przenikały, świadczy rewolucyjny roku 1905, który zawirowawszy aż do dna polskich dusz, wyniósł z tego dna, między innymi mętami i ideę kościoła narodowego. Już odtąd ta idea nie znika z widowni. Nie skoncentrowała się po dziś dzień, nigdy nie przybrała szerszych rozmiarów, nie przyoblekła ciała, ale jak duch potępieńczy pokutuje w umysłach i raz tu, raz tam, daje znać, że jest.

Trudno nam na prędce zebrać dzisiaj te rozliczne notatki w dziennikach, krótsze i szersze uwagi w pismach, którymi przejawiało się istnienie tego ducha. Ważniejszymi etapami były: odczyt pewnego działacza politycznego we Lwowie, zeszyty „Niepodległej myśli" z r. 1906 i początkowe numery „Zarania".

Duchowieństwo Królestwa pierwsze zrozumiało swój obowiązek i zabrało się do obrony. Jak jednak daleko ta idea Kościoła narodowego postąpiła, świadczy ustęp z konferencyj rekolekcyjnych sławnego kaznodziei warszawskiego, księdza kanonika Szlagowskiego, mianych w r. 1909. („Konferencye, wypowiedziane na rekolekcyach dla mężczyzn, 1909 r. Warszawa 1909. Konf. 4. Str. 22 i 25).

Napomknąwszy o maryawityźmie, mówi dalej głośny kaznodzieja: „Wielu upatrywało w owem wystąpieniu odszczepieńczem pierwsze próby wyzwolenia się z pod wszechwładztwa Rzymu; inni witali w wyklętych przez Papieża kapłanach tworzący się zawiązek Kościoła narodowego".

O jedną kartkę dalej tak mówi ks. Szlagowski: „Napomkną-

łem już o tem, że u nas wielką życzliwością i współczuciem darzą każdego księdza, pokłóconego ze swą władzą kościelną. I nie bez powodu się to dzieje. Sądzą bowiem ludzie, że tą drogą dojdziemy wreszcie do Kościoła polskiego. Myśl bowiem Kościoła narodowego kołace się jednocześnie i w duszy naszych nieprzyjaciół, którzyby chcieli, oderwawszy naród polski od Rzymu, obdarzyć go tym cennym według ich mniemania nabytkiem — oraz w duszy wielu gorących, lecz nieopatrznych patryotów polskich, którzy zdają się żywić żal do ojców naszych, iż ci za dobrych czasów nie stworzyli na ziemi naszej polskiego Kościoła, chcieliby zatem sami naprawić błąd przeszłości i zastąpić ich w tem przedsięwzięciu. Marzeniem u nas wielu jest posiadać swój własny Kościół polski na polskiej ziemi, dla polskiej braci, z polską liturgią, z polską hierarchią, niezależną, odrębną od Rzymu".

Następują natchnione ustępy, zwalczające ideę takiego Kościoła. W jednem miejscu Kościół taki nazwany jest chochołem, ukręconym „z powrósła narodowej pychy czy polityki rządu" — w innem miejscu czytamy: „Patrzcie, patrzcie, Bracia, ten chochół z plew polskiego ludu, ukręcony zbrodniczemi rękoma, aż w stolicy żebrał dla siebie wsparcia, odkrywając bezwstydnie wobec nam niechętnych i obcych rany własnej Matki swojej".

Słowa ks. Szlagowskiego wskazują na jeden rys, w którym tkwi pewne niebezpieczeństwo: idea Kościoła narodowego stała się dla niektórych umysłów ideałem. A ideał zwykło się przystrajać we wszystkie uroki i barwy. Zauważyliśmy to raz w rozmowie z jednym młodym człowiekiem, że idei Kościoła narodowego dopatrywał się w Cieszkowskim, Towiańskim, w mesyaniźmie naszych poetów, w marzeniu ich o trzeciej epoce św. Jana. W związku z tem także pozostaje apoteoza „prarodzimego" pogańskiego kultu, ujawniającego się w pewnych zwyczajach narodowych, jaką przez jakiś czas przed kilku laty uprawiał jeden z dzienników krakowskich. Chodziło głównie o święto majowe i świętojańskie sobótki w dzień św. Jana Chrzciciela, przyczem w pewnem wydawnictwie św. Jan Chrzciciel jako patron nowej trzeciej epoki Kościoła, zdegradował św. Jana Ewangelistę. Bigos z tych wszystkich mieszanin był już niejednokrotnie podawany publiczności w drukowa-

nem słowie. W tej chwili jest w obiegu książka zbiorowa, pod tytułem „Godło“ (Warszawa. Tom I. 1915, Tom II. 1916), przejawiająca te tendencye. Przytaczamy dla przykładu parę zdań.

Jakiś ksiądz buduje „nową świątynię“, „świątynię ludu świętojańską“

„tu jest kościół budowany,
Na jaki naród dawno czeka
Na oczyszczenie ziemi naszej
I na przymierze, co człowieka
pogodzi z niebem w lepsze czasy“.

„Nowy kościół wiąże się na ziemi. Przed ruinami — ponad grozą — ponad rozumnem bezprawiem. Ponad narodami. Ponad Rzymem... Cały z twardego światła wykowany. Kościół świętego Jana na tej ziemi... W naszych kościołach Chrystus się rodził i umierał. Walczyliśmy o jego grób, zanim się zbudzi. Walczyliśmy o jego dom, zanim powróci. Minął jeden dzień, jedna noc — minął drugi dzień i druga noc. Noc trwa jeszcze — nadchodzi dzień trzeci. i to będzie jego dzień wstania zmartwych na ziemi. I poburzone będą stare świątynie jego, stare groby. Gdy się nowy dom Pana podniesie, dawne już nie będą potrzebne“.

Pomysły takie nie są wprawdzie kamieniami węgielnymi pod Kościół narodowy, entuzyastom służą jednak za witraże.

Czy są dowody, że i w tej chwili idéa Kościoła narodowego pokutuje w umysłach? Mamy pod ręką dwa dowody z roku 1917. W tych samych „Wiadomościach Arch. Warsz.“, w których polemizuje z nami ks. Tomczak, czytamy, że tendencye takie przejawiły się na głośnym zjeździe nauczycielstwa. W artykule ks. Trepkowskiego, pod tytułem: „Pierwszy zjazd nauczycielstwa szkół średnich“, czytamy takie zdanie: „Czytając przytoczone powyżej słowa w czasopiśmie Stowarzyszenia nauczycielstwa polskiego, jako drogowskazy pedagogiczne przyszłości i zestawiając je z usłyszanemi na Zjeździe wycieczkami czynionemi przez referentów pod adresem „takiego katechizmu“, Watykanu i Kościoła — z d o m y ś l n i k a m i u t w o r z e n i a n a w e t n a r o d o w e g o K o ś c i o ł a.... wprost wierzyć się nie chce własnym oczom i uszom

biernemu zachowaniu się prezydyum zjazdu oraz zarządu Stowarzyszenia, co gorsza oklaskiwaniu przewodniczącego brutalnej napaści osobistej na nieobecnego Zwierzchnika dyecezyi i na podwładny mu kler". (Wiad. Styczeń 1917, str. 20).

Drugiego dowodu dostarcza p. Niemojewski w „Myśli niepodległej" (zeszyt z 20 lutego 1917). Rozpocząwszy swój artykuł o Kościele narodowym rozmową, prowadzoną w pewnem towarzystwie na temat szans Kościoła narodowego w chwili obecnej, stwierdza autor w dalszym ciągu, że są tacy, co „przebąkują o potrzebie Kościoła narodowego", że istnieje strona, która „ujawnia zakusy w tym kierunku, raczej dyalektyczne, niż agitacyjne".

Tych szczegółów dość dla zrozumienia ogólnej sytuacyi w tej sprawie. Jest tych szczegółów więcej, będą zapewne i takie, o których nie wiemy, które mogą nawet sprawić, że i powyższa synteza nasza okaże się nie dość dokładną. Tworzymy sąd na faktach nam dostępnych.

* * *

Pisząc nasz artykuł grudniowy, tych szczegółów nie mieliśmy na oku. Mieliśmy przed sobą zjawisko wyjątkowe, któremu zaraz trzeba było przeciwdziałać. Byliśmy przytem tak związani, że nawet to określenie ogólnikowe „Polacy, którzy wyszli z armią rosyjską"... nie pokrywało dokładnie faktu, o który chodziło. Dziś możemy powiedzieć tylko, że chodziło o Polaków, przebywających w Szwajcaryi.

Nazwisk i teraz nie dowiesz się od nas, szanowny aranżerze listu otwartego. Mamy pewne swoje zasady i pewne względy, które wyższe są nawet nad pretensye twojego listu. Chcesz, to szukaj sam, drogę wskazaną masz. Jak każda redakcya, mamy swoich informatorów i swoje informacye, ale nie jesteśmy biurem detektywów. A względy religijne bardziej jeszcze pod tym względem wiążą od poczucia honoru świeckiego.

Dziś jednak możemy już podać pewne szczegóły, określające zjawisko. Charakterystycznym rysem było to, że inicyatorom ruchu nie chodziło wcale o sprawę religijną, tylko o interes polityczny. Znamiennym, naprzykład, był wykład jednego z tych panów

na pewnem zebraniu, w którym przedstawiwszy przyszłe państwo wszechsłowiańskie, obejmujące Rosyę, Polskę i Czechy, zaczął tłumaczyć, że nawet ideowo będzie ta formacya jednolitą, bo Rosya ma już Kościół narodowy, Czechy wskutek agitacyi Los von Rom mają go już w połowie, Polska zaś zaczyna go mieć.

Wmieszanie się nasze w tę sprawę poszło z tego względu, że groziła Polsce szczególna kompromitacya przed Papieżem. Pewne dane wskazują na to, że źródło tego ruchu szwajcarskiego powstało we Francyi, że była to infiltracya radykalizmu francuskiego. Wiadomo, że Francuzi odnoszą się do obecnego Papieża z najwyższą niechęcią dlatego, że w jego agitacyi pokojowej dopatrują się sojusznictwa z państwami centralnemi. Z tego względu już kilka razy odgrażały się pewne pisma francuskie ostatecznem wyrugowaniem Rzymu z Francyi, kościołem narodowym — i agitacya taka istnieje. Rozumieją jednak dobrze Francuzi, że Watykan nie wiele ma w radykalnej Francyi do stracenia. A gdyby tak udało się zyskać dla tej agitacyi tak katolicki naród, jak Polskę, gdyby się udało przynajmniej jakikolwiek ruch w tym kierunku wywołać, by później powiedzieć Papieżowi, oto skutek twojej polityki. Przystąpiono i do tego dzieła. W jakich rozmiarach brała udział w tej sprawie ambasada rosyjska w Paryżu, czy także rosyjskie poselstwo w Szwajcaryi, nie będziemy w tem miejscu dociekać.

I oto dlaczego napisaliśmy nasz artykuł, dlaczego użyliśmy kilku wyrazów, zwłaszcza w tytule. Ponieważ na tych panów nie działają zbyt silnie pobudki religijne, trzeba im było dać do zrozumienia, że zabawą swoją polityczno-religijną wchodzą w konflikt z całem katolickiem społeczeństwem. Niech wybierają. Żadną miarą nie mogliśmy dopuścić, by stosunek Polski do Papieża, zwłaszcza do takiego Papieża, który tyle serca ma dla Polski, przez kilka gorących słów był zachwiany. Dlatego też wrzawa, jaka koło naszego artykułu powstała, dla dobra sprawy była bardzo pożądaną.

Dziś, na szczęście, wedle naszych ostatnich wiadomości, agitacya w Szwajcaryi ustała. Nie twierdzimy, że był to skutek naszego artykułu — owszem mamy poszlaki, że artykuł nasz za późno przyszedł. Ruch, zdaje się, upadł sam swoją bezsilnością.

Podobno jeden z tych panów przemienił się nawet w gorliwego katolika.

Druga przyczyna, dla której pisaliśmy nasz artykuł grudniowy, była ta, że równocześnie z informacyą o ruchu szwajcarskim zaczęły się zjawiać oznaki podobnego ruchu między Polakami w Rosyi. I to w bardzo ciekawy sposób. Polacy, pod pseudonimem ukryci, piszą w pismach rosyjskich. I tak w piśmie Jugo-Zapadnyj Kraj znajduje się szereg „Myśli o odrodzeniu polskiem“ z podpisem „Towiańczyk“. Hasłem naczelnem tych „Myśli“ „unarodowienie Kościoła“. W innem piśmie rosyjskiem „Kijew“, gdzie Polacy dość często z odkrytą przyłbicą zabierają głos, pisze pod pseudonimem „Koroniarz“ jakiś Polak i również domaga się „unarodowienia Kościoła katolickiego w Polsce“. Szczegóły o tem podaje Gazeta polska z 10 lipca 1916 r.

Na odwrót pojawiły się także artykuły Rosyan z tą samą tendencyą, na łamach pism polskich, — Berdiejewa, — bez komentarzy redakcyj i Sergiusza Sołowiewa, z komentarzem polemicznym. Są to tak ciekawe dokumenty, że warto im osobną poświęcić uwagę, co w najbliższym czasie uczynimy.

Jest także, jakby dla kompletu, wydawnictwo polskie, co do celu identyczne z wyżej pomienionem „Godłem“. Jest to wydawnictwo zbiorowe Koła literacko-artystycznego Domu polskiego w Moskwie. Tytuł wydawnictwa: „Miasto świętego Jana“. Punktem wyjścia jest symboliczny obrzęd ludu polskiego w noc św. Jana Chrzciciela. Ci sami wydawcy zapowiadają następne wydawnictwo na następne święto prasłowiańskie, na Zaduszki. Wydawcy sami mianują się nazwiskiem „robotników i majstrów polskiej świątyni“. Są w tem wydawnictwie niektóre prace, nie idące w kierunku mesyanistyczno-prasłowiańskim, ale co do nich zaznacza redakcya z góry, że „niektóre prace rozchodziły się z jej celem“. Komitet redakcyjny pragnie, „oparty na praźródłach rozwoju ludowego, luźne myśli i prace stopić w słupie ognistym przyszłości“.

„dalej bracia w zamek lwi!
Noc to, noc świętego Jana —

chwila w dziejach niesłychana!
Miasto wznieśmy Objawienia"...

* * *

Zbiegiem tylko wypadków narzucona nam została sprawa Kościoła narodowego. Rozumiemy bardzo dobrze, że chwila obecna nie nadaje się do intenzywnej kontrakcyi w tym kierunku, ale kiedy raz sprawa weszła na widownię, kiedy dość jest dowodów, że postawiona kwestya jest kwestyą aktualną, dobro sprawy Bożej domaga się, aby nie spuszczać jej z oka. Bo chyba teraz z toku wywodów jest jasnem, że nie chodzi o dzielnice, ani o obozy polityczne, tylko o sprawę Bożą.

Czy podobna agitacya w Polsce mogłaby się przyjąć?

Bardzo pouczającym pod tym względem jest wzmiankowany artykuł Niemojewskiego. Podpisalibyśmy go całkowicie, z jednem tylko zastrzeżeniem. Niemojewski nie widzi wielkiego niebezpieczeństwa. Zdaniem jego, Kościół katolicki tak się zrósł z polskością, tyle dla niej wycierpiał, tyle razy ją chronił, że stał się Kościołem narodowym. Masa narodu pozostanie zawsze przy Kościele katolickim. Ale zdaniem Niemojewskiego, zdarzać się mogą oscylacye — agitatorzy polityczni od wyborów do wyborów mogą na tym koniku poganiać — literatura i poezya może w tym kierunku iść. Podpisujemy ten pogląd chętnie z tym dodatkiem, że obowiązkiem dbających o sprawę religijną jest wszystko czynić, ażeby tych oscylacyj nie było. A więc, przedewszystkiem, gruntowanie tych zasad religijnych, które unicestwiają obłędną ideę Kościoła narodowego. To jest to, cośmy zapowiedzieli w poprzednim naszym artykule, jako najbliższą troskę „Przeglądu powszechnego".

Ks. J. Pawelski.

„Wezwanie“ Arcybiskupa warszawskiego.

Rozbiegł się po Polsce głos z polskiej stolicy. Arcypasterz warszawskiej dyecezyi rozesłał Wezwanie po kraju. Razem z Arcybiskupem warszawskim i inni Dostojni Arcypasterze Królestwa zorganizowali wielkoduszną akcyę narodowo-religijną na dzień 6 maja. Listów Ich w tej sprawie nie mamy jeszcze w ręku, mamy przed sobą tylko list Arcybiskupa warszawskiego.

Jest w tem Wezwaniu i płomień wiary i największa z ludzkich sił, siła natchnionej miłości ojczyzny.

Następca Woronicza, wielkiego przewódcy narodu, raz po razu w jego akord uderza. „O jak świetne i wysokie przeznaczenie twoje, ojczyzno nasza! Któż nie rozgorzeje żądzą być godnym ciebie“. A na te słowa warszawskiego arcybiskupa, Woronicza, powiedziane w podobnych warunkach przed wiekiem, odpowiada dzisiejszy Arcypasterz Warszawy: „Bóg wzbudza Polskę do życia, Ojczyznę wolną nam powraca, toteż z głębi serca mego wołam kornie: Nie gniewaj się, Panie, bardzo, a nie pomnij więcej nieprawości naszej, oto wejrzyj, myśmy wszyscy Twój lud“. „Nie samolubni — woła znowu dzisiejszy Arcypasterz — stanąć mamy na przyjęcie odradzającej się ojczyzny, ale zjednoczeni i miłujący się społem“. Tak! dodaje Woronicz, bo „oto jeden okopek częstochowski dzielnie obroniony, jedno porozumienie się w Tyszowicach sercem i duszą sklejonych Polaków, Polskę w oceanie nieszczęść zatoniona, znowu na świeczniku Europy postawiło“.

Wezwanie Arcybiskupa warszawskiego jest w pierwszym rzędzie wezwaniem do modlitwy za niepodległą Polskę. „Święta codzienna modlitwa, płynąca z serca skruszonego, jest wprost obowiązkiem każdego Polaka. Jak w przeszłości... tak też i obecnie opieka Najświętszej Maryi Panny i Świętych Patronów naszych wyprowadzi Polskę z niedoli i cierpień do błogosławionej krainy wolności i szczęścia. Więc módlmy się o ojczyznę, módlmy się za ojczyznę". Jako szczególniejszy dzień, tym modłom poświęcony, naznacza Arcybiskup dzień 6 maja: „W niedzielę, dnia 6 maja, przypada uroczystość Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej. W tym dniu niech duchowieństwo odprawi nabożeństwo z wystawieniem Najśw. Sakramentu we wszystkich kościołach parafialnych i filialnych, z wszelką możliwą okazałością, na intencyę wolnej i niepodległej Polski, a zamiast kazania niech odczyta to moje pasterskie wezwanie. Ty zaś, ludu, módl się i śpiewaj: Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!"

Niechaj Polacy, zwłaszcza ci, co miłują Polskę ale nie miłują Kościoła, zapamiętają sobie te wielkie słowa Arcypasterza Warszawy i tę wielką akcyę duchową Arcypasterzy Królestwa. Ci zacni, ale czasem błądzący patryoci wiedzą dobrze, że pewna część ludu naszego przez sztuki rosyjskie była sercem odłączona od Polski; wiedzą nadto, że jedyna droga do serca tego ludu idzie gościńcem katolicyzmu. I oto ta religia, przez Boga samego ze sprawą narodową złączona, wszystko dziś czyni, żeby tej sprawie przyjść z pomocą. Któryż to tysiąc dobrodziejstw, jakie Kościół katolicki Polsce przyniósł!

Pragnęłoby się w dniu szóstego maja być w jakimś wiejskim, modrzewiowym kościółku Królestwa i łączyć się modłami serc prostych i widzieć na pooranych twarzach ludu budzący się odblask narodowej myśli i nadziei.

*

Poza wezwaniem do modlitwy i podniosłej uroczystości religijno-narodowej, ma Arcypasterskie Wezwanie doniosłość, jako akt narodowej myśli. I chwila i okoliczności listu i treść jego sprawiają, że list ten jest aktem niezwykłej wagi.

Ta chwila, w której pojawiło się „Wezwanie", jest chwilą osobliwą; ta chwila ni mniej, ni więcej mówi, jak blizkie zjednoczenie wszystkich serc polskich. Jak do tej chwili tęskniliśmy! Jak w tem rozłączeniu serc i rozbieżności opinii trudno było patrzeć w przyszłość! — tak trudno, że z tego labiryntu żaden największy rozum ludzki nie zdołałby wybrnąć. Ale Bóg wziął sprawę polską w swoje ręce. Kiedy porówna się, jak sprawa polska stała przed wojną i w początkach wojny z tem, jak stoi dzisiaj, kiedy obejmie się myślą wszystkie stadya rozwoju tej sprawy, te tysiączne trudności i przeszkody, jakie ta sprawa przezwyciężyła, niepodobna wstrzymać się od myśli: „Bóg tak chce!". Już dziś z niepokojem patrzeć nie trzeba, z której strony Polska przyjdzie, bo ona już idzie. Obie strony walczące ją uznały, świat cały ją uznał. Bieg wypadków jest taki, że Polska być musi. „I potężni monarchowie świata i rządy przyrzekły nam wolność i niepodległość — niebo i ziemia przemawia za nami" — woła Arcybiskup warszawski.

Co stąd płynie? „Reszta sprawy w naszem ręku — pisze Arcybiskup — nie skąpmy żadnej ofiary i żadnego poświęcenia, skoro go tylko dobro sprawy i naszych współrodaków zażąda". „Dawna odwaga, poświęcenie i ofiarność, która cechowała nasze daremne porywy do walki orężnej, niech się teraz okaże przy wspólnych usiłowaniach odbudowy kraju".

Przy tych usiłowaniach postępować oczywiście należy z wszelką przezornością i rozwagą, ale nie z taką, żeby nic nie robić. W sprawach ludzkich, obliczonych na dalszą metę, miarą przewidywań pozostanie zawsze prawdopodobieństwo. Otóż według wszelkiego ludzkiego prawdopodobieństwa, wobec zbliżającej się do końca wojny światowej, Polacy nie będą mieli nic do czynienia na szerszej widowni — natomiast wszystko im do zrobienia pozostaje przy odbudowie ojczyzny. Ta praca i to praca we wszystkich kierunkach, jest tak jasnym obowiązkiem, że nietylko przez swoich, ale i przez wszystkich obcych jakiegokolwiek obozu i poglądu, jako płynący z natury rzeczy obowiązek, uznaną być musi i uznaną już po części została. Im prędzej dojdziemy do skrzepienia sił, im silniejsi będziemy w decydującej chwili, tem

z większą pewnością w przyszłość możemy spoglądać. W takim rachunku prawdopodobieństwa powstać mogą jeszcze różne kwestye, jak wogóle w życiu, które mimo to ciągle pracuje i dostosowuje się do nowych warunków. Te uwagi wypowiadamy oczywiście od siebie. Nie chcemy ani jednem słowem sprowadzać „Wezwania“ Arcybiskupa z tej wyżyny ogólnych wskazań, na jakiej ono stanęło.

Na dwie sprawy szczególniej zwraca uwagę Arcypasterz. Jedną jest uświadomienie narodowe mas ludowych. Do tego ludu Rosya nie dozwalała przystępu, sama zaś czyniła wszystko, by lud ten od narodu oddzielić. Jeżeli plan nie udał się w tych rozmiarach, w jakich był zamierzony, to zawdzięczać należy zdrowemu instynktowi ludu i bohaterskiej samoobronie społeczeństwa. Niemniej jednak pozostały ślady tej roboty; w pewnej części ludu idea Polski utożsamiła się z ideą pańszczyzny, której któżby pożądał? Zwraca się przeciw temu kłamstwu z całą gorącością duszy Arcypasterz.

„Zwracam się z wezwaniem zwłaszcza do ciebie, ludu wiejski! Wiadomo mi, że w niektórych okolicach wmawiano w ludzi ciemnych i nierozumnych, jakoby w Polsce miała wrócić pańszczyzna, jakoby grunta przez włościan posiadane miały im być wydarte. Ja, pasterz wasz prawowity, który duszę swoją gotów dać za owieczki swoje, który dba nietylko o dobro wasze duchowne, ale i doczesne, mogę was z ręką na sercu upewnić, że takie fałsze mogą głosić tylko ludzie ciemni, albo przewrotni, albo wrogowie narodu naszego, którzy nadomiar urągają waszej małoduszności, iż podobnym bredniom wiarę dać możecie.“

Drugą sprawą jest zaprawienie społeczeństwa do posłuszeństwa władzom i karności. Nigdy w Polsce przypominanie tej prawdy nie było zbędnem, dziś po dobie rozbicia jest nieodzownem. Oto podniosłe słowa Arcypasterza:

„Więc trzeba chcieć skutecznie Polski, tworzącym się władzom polskim nie odmawiać szacunku, a ich rozporządzeniom poddać się z uległością i karnością, należną prawowitej władzy. Dotychczas mieliście władzę świecką, obcą nam wiarą, pochodzeniem i mową i tej słuchaliście kornie, jak niewolnicy, schylając

czoła przed przemocą z trwogą i bojaźnią; w wolnej i niepodległej Polsce zasiądą na urzędach rodacy nasi, synowie i bracia wasi, i tych powinniście słuchać, jako ludzie wolni z dobrej i nieprzymuszonej woli, z czcią, karnością i miłością. Grzeszy ciężko, kto nie słucha swojej prawowitej władzy, jeszcze ciężej, kto warcholi i podrywa jej powagę, najciężej, kto ją zohydza. Posłuszeństwa względem tych, którym kierownictwo narodu powierzyła i karności wymaga Ojczyzna od wiernych swoich synów; kto nimi gardzi, nią gardzi, kto ich nie słucha i nie szanuje, nie kocha Ojczyzny".

Innych szczegółowych wskazań Arcypasterz nie udziela, hojną jednak ręką rozrzuca wielkie zasady, które są podwaliną chrześcijańskiej etyki w sprawach narodowych. Więc najpierw odrzucenie wszelkiego egoizmu, samolubstwa i skąpstwa w sprawach narodowych. „Nie skąpmy z tego, co Opatrzność zostawiła w naszem ręku, bo nie samolubni, własnego tylko dobra szukający, stanąć mamy na przyjęcie odradzającej się Ojczyzny, ale zjednoczeni i miłujący się społem". I oto ta jedność narodowa i miłość społeczna, to drugie wskazanie. Dalszem wskazaniem to bohaterska ofiarność i poświęcenie: „Kątski porwał iskrzący się ogień i dał mu spokojnie na ręce swojej dogorzeć. Tym mężnym czynem ocalił od wybuchu miasto i krocie ludzi od śmierci... Oto wzór miłości i poświęcenia; takimi mamy być wszyscy względem Ojczyzny naszej". Takich silnych akcentów w literaturze naszej patryotycznej niewiele posiadamy.

Szczególniejsza troska arcypasterza zwraca się ku cnocie narodu, ku uświęceniu dusz, ku związkowi narodu z Kościołem i z niebem. „Wstawaj, Ojczyzna na cię czeka! Te słowa dziś matki mają nieustannie wszystkim swoim dzieciom powtarzać, w każdej chwili, przy każdej okazyi. Przypominajcie im, że Polska była wtedy mocna i silna, kiedy świętych miała, a gdy ich zabrakło, upadła. Nieinaczej utrzyma się przy życiu, gdy powróci do samodzielnego i niezależnego bytu. Nie bez słuszności czynią nam obecnie zarzut, że z dawnych cnót Ojców naszych niewiele nam pozostało. W żalu przeto i skrusze przyznając się do winy, możemy z Sienkiewiczem, niedawno zgasłym, odpowiedzieć: Wszystkie, być może, cnoty polskie zginęły wśród nas, pozostała jednak cześć

dla Maryi, i na niej, jak na fundamencie, resztę cnót odbudujemy, już w wolnej Ojczyźnie naszej". Ta zwłaszcza apostolska pobudka do czci Matki Najświętszej jaśnieje w arcypasterskim liście jak brylant pierwszej jasności.

Wiele z dzisiejszych spraw zblednie w pamięci narodu; ten list pozostanie w pamiątce pokoleń.

*

Doniosłą jest myśl Arcypasterzy Królestwa, by tegoroczną uroczystość Królowej Korony Polskiej zjednoczyć ze świtem powstającej Ojczyzny i z pamiątką Konstytucyi 3 Maja. Zaczynamy budować nową Ojczyznę tam, gdzie skończyła się dawna, a zaczynamy pod opieką Królowej Korony Polskiej. Ten dzień 6 maja jest w nowem Królestwie pierwszym dniem, w którym cały naród idzie ku Polsce — a idzie prowadzony przez Kościół. Wszystkie skrajne stronnictwa, które w nowem państwie polskiem zechcą niechybnie rozwinąć swoje zwinięte dziś sztandary, niech patrzą, jaką drogą idzie duch narodu.

Ks. J. Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

„Wezwanie“ arcybiskupa warszawskiego. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.* 1*

Z kazań politycznych x. woronicza o odbudowie państwa polskiego. Przez *Ks. Dr. Alojzego Jougana* 433, 643

Zmartwychwstanie. Przez *Ks. Tadeusza Karyłowskiego T. J.* 457

Dawne czy nowe] cele życiowe? Przez *Ks. Fryderyka Klimkego T. J.* 462

Różnemi drogami. Przez *Maryę Czeską* 477

Mickiewiczowe widzenie księdza piotra. Przez *Tad. Sinkę* 478, 613

Z powodu wystawy obrazów księdza moszyńskiego. Przez *Ks. Piotra Śledziewskiego* . . . . .

O wyższe kursa religii dla inteligencyi świeckiej. Przez *Ks. Jana Urbana T. J.* 578

Wojenni jeńcy austryaccy w lublinie w r. 1914. Przez *Ks. Dr. Karola Dębińskiego* 586

„Noce“ i „wspomnienie musseta“. Przez *Ks. Tadeusza Karyłowskiego T. J.* 595

Zmiany w znaczeniu gospodarczem wojny. Przez *Dr. Adama Krzyżanowskiego* 631, 778

Strona

ZASADNICZY POSTULAT KONSTYTUCYJNY I USTAWODAWCZY W NOWEM PAŃSTWIE POLSKIEM. Przez *Dr. J. Brzezińskiego* 7

NAJNOWSZA POLSKA POWIEŚĆ HISTORYCZNA. Przez *A. Mazanowskiego* 711

CIĄGŁOŚĆ ZJAWISK W PRZYRODZIE. Przez *Ks. Feliksa Hortyńskiego T. J.* 722

JEROZOLIMA WSPÓŁCZESNA. Przez *Ks. Wład. Szczepańskiego T. J.* 736

KOŚCIÓŁ WOBEC PAŃSTW I NARODOWOŚCI. Przez *Ks. Jana Urbana T. J.* 756

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Wstęp ogólny, historyczno-krytyczny do Pisma św. Ks. Józef Kruszyński M T. *(Ks. Dr. Wilhelm Michalski C. M.)*. 503

Wstęp szczegółowy do ksiąg N Testamentu. Ks. Józef Kruszyński. *(Ks. Dr. Wilhelm Michalski C. M.)* 512

De traditione orationum Gregorii Nazianzeni. Sinko Tadeusz. *(Ks. Wład. Szczepański T. J.)* 518

Monografie Kościołów Dyecezyi Sandomierskiej. Ks. Jan Wiśniewski. *(Ks. Jan Sygański T. J.)* 519

O nauce dopełniającej i o znaczeniu pracy. Leon Staeboń. *(Dr. Stanisław Zdziarski)*. 522

Masonerya. Ks. Dr. J. S. Pelczar, bisk. przem. o. ł. *(K Czaykowski T. J.)*. 655

Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidyecezyi gnieźnieńskiej. Ks. Stanisław Kozierowski. *(X. Jan Sygański T. J.)* 658

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Tow. Przyj. Nauk. *(Dr. St. Zdziarski)* 659

Album zabytków przedhistorycznych Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Dr. B. Erzepki i J. Kostrzewski. *(Dr. St. Zdziarski)* 662

O nowym polskim przekładzie czterech Ewangelii. Ks. Wład. Szczepański. *(Józef Andrzej Teslar)*. 790

Strona

Psałterz Dawidowy dla użytku wiernych. Ks, Fr. A. Symon, arcyb. (*Ks. Władysław Szczepański T. J.*) 807

Z piśmiennictw obcych.

Von Polens Seele. Stanisław Przybyszewski (*J. Trepka*). 526

Die Kulturgemeinschaft der Völker nach dem Kriege. Dr. Franz Klein. (*J. Trepka*). 529

Der Weltkrieg und das Schiksal der Juden. Binjamin Segel. (*J. Trepka*) 532

„Les Saints". Saint Justin. P. M. J. Lagrange. (*J. Trepka*) . . . 663

100 Berufe für Frauen und Mädchen des deutschen Mittelstandes. Käthe Schrey. (*J. Mayówna*). 665

Von kommenden Dingen. Walther Ratenau. (*J. Trepka*). 809

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy kościoła: Cerkiew rosyjska po rewolucyi. — Watykan a „Süddeutsche Monatshefte". — Jubileusz Lutra. — Międzynarodowa unia katolicka. — Jubileusz Suareza. — Zniesienie w Niemczech ustawy antyjezuickiej. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 534

Ze spraw szkolnych. 540

Zasady pisowni polskiej. 545

„Dziecko w sztuce". (*ka*) 547

Szanownej Redakcyi „Gazety kościelnej". (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 551

MAJ.

Sprawy Kościoła: Katolicki uniwersytet w Salzburgu. — Zniesienie ustawy antyjezuickiej w Niemczech. — Kościół grecko-katolicki w Rosyi. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 668

Z dzisiejszej Francyi. Ruch piśmienniczy. — Jarmark księgarski. — Komitet książki. — Rozprawy ekonomiczno-polityczne. — Artykuły fachowo-wojskowe. — Z rowów strzeleckich. — Z ruchu wydawniczego (*J. Trepka*). 673

Strona

Kronika ekonomiczna. Problem waluty w Królestwie. — Kurs rubla i rosyjski bank państwa. — Tabor przewozowy dla polskich dróg żelaznych 681

Ze świata sztuki. Wystawa prac treści religijnej ś. p. ks. Stanisława Moszyńskiego. — Wystawa „Czwórki". (*ka*) 686

Ważne wydawnictwo 691

CZERWIEC.

Sprawy kościoła: O polską naukę religii w Poznańskiem. — Arcybiskup Zaleski. — Sprawa prałata Gerlacha. — Reforma katechizmu. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 814

Ze świata sztuki. Wystawa „Związku powszechnego Artystów pols." (*ka*). 821

Kronika ekonomiczna. 10 lecie Kółek rolniczych w Królestwie. — Finanse Rosyi według ministra Tereszczenki — Rubel w niebezpieczeństwie. 828